



ADWOKAT

V IV III II I II III IV V VI VII VIII IX X XI XII XIII XIV

TAKOWDA

RANDY SINGER

RANDY SINGER

ADWOKAT

/ IV III II I I II III IV V VI VII VIII IX X XI XII XII

ADWOKAT

Przełożyła
Małgorzata Bortnowska



Święty Wojciech
wydawnictwo

Pamięci Lee Hougha, agenta i przyjaciela.,,Dziękuję Bogu mojemu, ilekroć Cię wspominam”.

Por. List do Filipian 1,3

Wykaz postaci

- postać historyczna
- postać fikcyjna
- postać bazująca na postaci historycznej, o której niewiele wiadomo
- ☀ postać bazująca na postaci historycznej, nieznaney z imienia
- Adrianna – westalka, w 38 roku wybrana przez Kaligulę na przełożoną domu westalek
 - Agrypa – wnuk Heroda Wielkiego, władający z nadania cesarza Klaudiusza Judeą i Samarią
 - Agrypina Młodsza – siostra Kaliguli, czwarta żona Klaudiusza, matka Nerona
 - Annasz – dawny najwyższy kapłan Izraela, miał duży wpływ na przebieg procesu Jezusa
 - Andronik – chrześcijanin, ważna postać Kościoła w Rzymie
 - Aproniusz – rzymski senator, oskarżony i sądzony za panowania Tyberiusza
 - Cherea – członek gwardii pretoriańskiej i osobistej straży Kaliguli
 - Ewarestus Aruncjusz – człowiek, który ogłosił śmierć Kaliguli
 - Flawia – westalka
 - Junia – chrześcijanka, ważna postać Kościoła w Rzymie
 - Kajfasz – Żyd, w czasie publicznej działalności Jezusa sprawujący funkcję najwyższego kapłana
 - Kaligula – cesarz rzymski w latach 37-41
 - Kalpurnia – westalka, przełożona domu westalek w latach 28-38
 - Katon – rzymski senator, w roku 36 pełniący funkcję konsula
 - Klaudiusz – cesarz rzymski w latach 41-54
 - Kobiuz – rzymski gladiator, przyjaciel Mansweta
 - Korneliusz – rzymski centurion służący w Cezarei
 - Kryspinus – rzymski senator, który wzbogacił się jako delator, oskarżający innych senatorów o zdradę
 - ☀ Kwintus – rzymski centurion, obecny przy ukrzyżowaniu Jezusa
 - Lateranus – rzymski arystokrata, wygnany z miasta, a następnie zrehabilitowany przez Nerona
 - Lokusta – kobieta trudniąca się wytwarzaniem trucizn
 - Longinus – rzymski centurion, służący pod Piłatem w czasie procesu Jezusa
 - Lucjan Aurelisz – pretorianin, przyjaciel Kaliguli z dziecięcych lat
 - Łukasz – towarzysz Pawła z Tarsu

- Makron – prefekt gwardii pretoriańskiej w latach 31-38
- Manswet, gladiator – jeden z najlepszych rzymskich gladiatorów za czasów panowania Tyberiusza i Kaliguli
 - Manswet – nastolatek zapowiadający się na świetnego adwokata, imię odziedziczył po sławnym gladiatorze
- Marek Lepidus – jeden z czołowych senatorów rzymskich za panowania Tyberiusza
 - Marek Serbiusz – wierny przyjaciel Teofila
- Neron – cesarz rzymski w latach 54-68
- Onezym – niewolnik Filomena i towarzysz Pawła z Tarsu
- Paweł z Tarsu – apostoł, jedna z najważniejszych postaci wczesnego Kościoła
- Piłat – prefekt prowincji Judei w latach 26-36
 - Prokula – żona Piłata
 - Rubria – westalka
- Saturnin – konsul rzymski w czasach Kaliguli
- Sejan – prefekt gwardii pretoriańskiej i faktyczny władca Rzymu, odkąd Tyberiusz usunął się na Capri
 - Seneka Młodszy – rzymski filozof i mąż stanu
 - Sergiusz – rzymski żołnierz pilnujący Pawła, przebywającego w areszcie domowym
 - Teofil – cieszący się wielkim uznaniem adwokat rzymski, który wcześniej był asesorem Piłata w Judei, a po latach bronił Pawła podczas jego rzymskiego procesu
- Tyberiusz – cesarz rzymski w latach 14-37
- Tygellin – prefekt gwardii pretoriańskiej w latach 62-68, przyjaciel i zausznik Nerona

UCZEŃ

III III I **I** II III IV V VI VII VIII I

W jedenastym roku panowania Tyberiusza Juliusza Cezara Augusta

Miałem czternaście lat, gdy dowiedziałem się, jak to jest być ukrzyżowanym.

Każdy z nas sam ciągnął poprzeczną belkę przeznaczoną dla niego. Nasza dwunastka, uczniowie Seneki Młodsze, targała je ponad pięć mil[01] po kocich łbach Drogi Appijskiej. Dzień był gorący i suchy. Pył osiadał nam w ustach i nozdrzach; między zębami zgrzytały mi drobinki kurzu. Oblizalem spierzchnięte wargi, usiłując je zwilżyć białą, gęstą śliną, która zebrała mi się w kąciку ust. Strużki potu spływały mi po twarzy. Seneka maszerował przed nami, niosąc jedynie swój bukłak, a przesiąknięta potem tunika lepiła mu się do tłustych pleców. Moje odzienie też było mokre i brudne, a sandały skrzypiały mi przy każdym kroku.

Na początku niosłem belkę, wsparłszy ją na swoich chudych barkach, lecz wkrótce zrezygnowałem z tego sposobu i wlokłem ją za sobą, jak wielu innych uczniów. Ważyła prawie tyle co ja. Szorstkie drewno ocierało mi plecy, więc musiałem opierać belkę to na jednym, to na drugim ramieniu. Jedynym, który nie włókł jej w ten sposób, był Lucjan, starszy od nas o dwa lata i zbudowany jak gladiator. Balansował z brzemieniem na barkach, jednak po pewnym czasie nawet on zaczął się garbić.

Aby wszystko nabrało pozorów prawdopodobieństwa, Seneka sprowadził nawet rzymskiego legionistę, który zamykał tyły. Nasz nauczyciel nie grzeszył poczuciem humoru. Był to człowiek krępy i nieogolony, miał nieświeży oddech i złośliwy charakter. Teraz korzystał ze sposobności, by wykrzykiwać rozkazy do synów patrycjuszy, jakby byli zwykłymi niewolnikami. Jeśli przystawaliśmy, popychał nas mocno i obrzucał przekleństwami. Popijał solidne łyki wody, dręcząc nas opowieściami o tym, jaka jest odświeżająca, a potem wypluwał większość na ziemię.

– Gdyby moi rodzice się o tym dowiedzieli, skróciliby go o głowę – mruknął Lucjan pod nosem.

Byłem pewien, że Seneka się tym nie przejmował. Jego zadaniem było uformować z nas młodzieńców, którzy w przyszłości obejmą stanowiska rzymskich senatorów, dowódców lub urzędników. Choć to i tak nie mogło się równać z wojskowym szkoleniem, z którym za kilka lat miało się zmierzyć wielu moich rówieśników. Mimo wszystko byliśmy przecież synami senatorów i ekwitów, więc z rozdrażnieniem popatrywaliśmy po sobie. *Za kogo ten człowiek się ma, że tak nas upokarza?*

Kaligula ciągnął najlżejszą belkę. Wiadomo. Był w moim wieku, ale nieco przewyższał mnie wzrostem; miał patykowate nogi i długą, chudą szyję. Jego gło-

wa, porośnięta kędzierzawymi rudymi włosami, zdawała się być za duża w stosunku do ciała. Kaligula miał w sobie jakąś podłość, więc na ogół trzymałem się od niego z daleka. Obowiązywała niepisana zasada, że nie wchodzimy mu w drogę – nie dlatego, abyśmy się obawiali tego zepsutego młodego człowieka, ale dlatego, że baliśmy się jego rodziny.

Jego pełne imię brzmiało Gajusz Juliusz Cezar Germanikus. Przyszedł na świat na polu bitwy w Galii, jako syn wielkiego wodza Germanika i jego żony Agrypiny. Żołnierze nadali mu przydomek Kaligula, co znaczy „sandalek”. Kaligula stał się swego rodzaju szczęśliwą maskotką dla oddziałów Germanika. Pozwalali mu, by szedł z nimi do boju, byle trzymał się blisko tylnych szeregów. Był ciotecznym wnukiem imperatora i mógł pewnego dnia sam nim zostać, o ile jego matka zdołałaby otruć wszystkich właściwych krewnych.

Był też prawdziwą kanalią.

Wcześniej w drodze dokuczał mojemu przyjacielowi Markowi, wyładowując swoją frustrację na najmniejszym z całej grupy. Teraz był już po prostu zmęczony.

– To oburzające – powtórzył kilka razy. W przeciwieństwie do Lucjana wypowiedział te słowa na tyle głośno, by dotarły do uszu Seneki. Nasz nauczyciel zignorował to jednak i szedł dalej. Kaligula przystawał kilka razy, a legionista go popychał, choć nie tak mocno jak pozostałych.

Spuściłem głowę i skupiłem się na kolejnych krokach, licząc do stu, a potem zaczynając znowu od początku. Jak zwykle znajdowałem się z przodu grupy, tuż za Seneką.

Było prawie południe, kiedy Seneka w końcu zatrzymał się przy rozległym pastwisku przy drodze, blisko niedużego, chłodnego strumienia. Upuściłem belkę na ziemię i pochyliłem się, opierając dłonie na kolanach. Usiłowałem złapać oddech.

Seneka pozwolił nam się napić i kazał usiąść na belkach. Sam stanął pośrodku. Kiedy podnosiłem na niego wzrok, słońce niemal mnie oślepiało.

Nasz nauczyciel otarł pot z czoła i rozpoczął lekcję. Legionista stał obok niego z nachmurzoną miną, skrzyżowawszy ramiona na piersi.

– Wszyscy słyszeliście o powstaniu Spartakusa – zagaił Seneka. – Człowiek ów stanął na czele trwającego dwa lata powstania niewolników przeciwko Rzymowi. Senat nie traktował tego buntu poważnie, dopóki nie stało się jasne, że zagrożony jest sam Rzym.

Niektórzy koledzy wiercili się na swoich belkach, próbując usadowić się wygodnie po długim marszu. Ale nie ja. Mógłbym słuchać Seneki cały dzień. Jego kręcone włosy, twarz okrągła jak u dziecka i małe niebieskie oczka sprawiały, że wydawał się nieszkodliwy jak dziecko właśnie. Jednak jego głos skłaniał do posłuchu; poza tym uwielbiałem jego błyskotliwość i cynizm. Wyobrażałem sobie, że podobnym uwielbieniem uczniowie darzyli kiedyś Cyncerona. Armie gromiły ludzi,

a gladiatorzy zapewniali im rozrywkę, lecz to właśnie mówcy pokroju Cyncerona i Seneki dawali im inspirację. Pewnego dnia sam będę to robił.

– Marek Licyniusz Krassus był najbogatszym człowiekiem w senacie, a może nawet najbogatszym w historii Rzymu – opowiadał dalej Seneka. – Miał ponad pięciuset niewolników i był znawcą architektury. Wiedział, jak tłumić pożary: jak burzyć płonące budynki, żeby ogień nie rozprzestrzenił się na sąsiednie domy. Kiedy Rzym stanął w płomieniach, Krassus i jego ludzie pobiegli do pożaru i złożyli właścicielom pobliskich nieruchomości pewną propozycję. Mogli oni sprzedać je od razu młodemu Krassusowi po obniżonej cenie albo patrzeć, jak domy pochłania ogień. Gdy tylko uściskiem dłoni przypieczętowali umowę, niewolnicy Krassusa gasili pożar, a on sam zbierał owoce swego sprytu.

– Kapitalne – skwitował Kaligula.

Seneka zgromił go spojrzeniem, ale Kaligula wcale się tym nie przejmował.

– U szczytu bogactwa Krassusa jego majątek był wyceniany na ponad dwieście milionów sestercji. Ponieważ zaś Krassus zbudował swoją fortunę na plecach niewolników, miał ważki powód, by stłumić rebelię Spartakusa. Najlepsi wodzowie Rzymu wojowali wtedy w obcych krainach, więc Krassus zebrał własną armię do walki ze Spartakusem i zbuntowanymi niewolnikami. W pierwszych bitwach niezbyt mu się wiodło. Na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa jego ludzie rzucali broń i uciekali. Aby zwiększyć morale, Krassus przywrócił starożytną praktykę decymacji. Lucjanie, powiedz, co to oznacza?

– Przepraszam, mistrzu Seneko. Co oznacza co?

Seneka okazał swoje niezadowolenie, zamilkłszy na chwilę.

– Decymacja. Jakie jest pochodzenie tego słowa?

Lucjan zmarszczył brwi.

– Nie wiem.

– Ktoś inny? – spytał Seneka.

Znałem odpowiedź, ale już dawno się nauczyłem, że czasami lepiej trzymać język za zębami. Spuściłem wzrok, kiedy Seneka omiatał spojrzeniem grupę.

– *Decymacja* pochodzi od słowa *decimare*, które znaczy tyle co *zdziesiątkować*: zabrać lub zniszczyć jedną dziesiątą – wyjaśnił nauczyciel. Podszedł do nas bliżej, a słońce za jego plecami otoczyło go poświatą. – Krassus podzielił swoje legiony na dziesięcioosobowe grupki i kazał im ciągnąć losy. Z tego, na którego padł los, dziewięciu pozostałych zdzierało zbroję i chłostało go na śmierć. Duch walki w oddziałach natychmiast wzrósł. Krassus pokazał im, że jest groźniejszy niż wrogo wie.

Teraz dopiero wszyscy nadstawili uszu. Wyobraziłem sobie, że nasza dwunastka ciągnie losy i że przegrany zostaje ubiczowany na śmierć. Pomyślałem, że nie umiałbym się do tego zmusić.

– Ostatecznie wojska Krassusa przyparły do muru Spartakusa i jego armię.

Spartakus chciał wciągnąć Krassusa w pojedynek, przebijając się ku miejscu, w którym stał wódz. Jednak niewolnicy ulegli przeważającej sile przeciwnika. Spartakus zginął w bitwie, zanim dotarł do Krassusa. Pojmano sześć tysięcy niewolników.

Jak daleko sięgałem pamięcią, uczono mnie gardzić Spartakusem i krwawą rewoltą, którą wywołał. To powstanie było obrazą dla każdego rzymskiego obywatela. Jednak coś we mnie sprzyjało tamtym niewolnikom – moje wrodzone pragnienie, by stanąć po stronie skrzywdzonych. Skrycie żałowałem, że Spartakus nie zdołał rzucić wyzwania Krassusowi i stanąć z nim do walki jeden na jednego, jak walczą prawdziwi mężczyźni.

– Krassus chciał mieć pewność, że już nigdy żaden niewolnik nie zbuntuje się przeciw cesarstwu – tłumaczył Seneka. – Udoskonalił więc sztukę krzyżowania.

Zrobił efektowną pauzę i wszyscy zrozumieliśmy, że zbliża się coś niezwykłego. To dlatego nasi rodzice słono płacili, byśmy mogli się uczyć w tej szkole. Seneka słyszał z zapadających w pamięć sztuczek.

– Jesteście wprowadzicie zbyt młodzi, by uczestniczyć w igrzyskach i zobaczyć prawdziwą egzekucję, jestem jednak pewien, że wielu z was widziało przestępców wiszących na krzyżach poza murami miasta. Myślę, że Gallus chętnie wam opowie, jak to się robi.

Legionista imieniem Gallus wystąpił naprzód, dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym siedziałem. *Dlaczego zawsze pada na mnie?* Gapiłem się na jego owłosione nogi, znoszone sandały, zrogowaciałe stopy.

– Wstań! – nakazał szorstko.

Wstałem i spojrzałem mu prosto w oczy.

Podniósł moją belkę i ułożył ją pośrodku naszej grupy. Wyciągnął zza pasa młotek, a z sakiewki długi, ostry gwoździec.

– Połóż się na belce – polecił. – Ramiona rozciągnij na drewnie.

Popatrzyłem na Senekę, który skinął lekko głową.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał Kaligula żołnierza.

– Chcesz zająć jego miejsce? – odparował Gallus.

– Niekoniecznie.

– To siedź cicho.

Położyłem się na belce, z rozciągniętymi szeroko ramionami, nie spuszczać Gallusa z oka. Legionista przyklęknął obok mnie, z młotkiem w jednej dłoni i gwoździem w drugiej.

– Używamy gwoździ długich na pół *pes*[02] – poinformował, przyciskając ostry czubek gwoźdźca do mojego lewego przegubu.

– Podejdz tu i przytrzymaj to – zwrócił się do jednego z uczniów. Był nim Marek, mój chuderlawy przyjaciel. Trudno mu było ciągnąć belkę, więc przez większość ranka musiał znosić besztanie Gallusa.

Marek wstał i drżącą ręką przytrzymał gwóźdź nad moim przegubem.

– Zdenerwowany? – spytał go Gallus.

– Tak.

– Nie masz powodu. To raczej twój przyjaciel powinien się denerwować.

Żołnierz zaśmiał się cicho, ale ja się nie przejąłem. Wiedziałem, że Seneka nie posunie się dalej. Legionista mógł zadać jakąś ranę, ale nauczyciel nigdy by mu nie pozwolił przebić mojego nadgarstka gwoździem.

– Odkryliśmy – wyjaśnił Gallus, spoglądając na pozostałych chłopców – że przekłucie nerwu, który biegnie przez przegub, powoduje ból nie do zniesienia. Ponadto kiedy wbijemy tu gwóźdź, utkwi on między dwiema kośćmi i nie rozerwie przedramienia.

– Ból jest tak silny – pospieszył z pomocą Seneka – że wymyślono nowe słowo, żeby go opisać. Na kogoś strasznie obolałego mówi się *excruciatu*, „jak zdjęty z krzyża”.

Następnie Gallus zaczął wyjaśniać szczegóły tej procedury. Jak należy przybić stopy. Jak to się dzieje, że skazaniec dosłownie się dusi, gdyż ciało zapada mu się pod własnym ciężarem, a on traci siłę i nie może już oprzeć się na gwoździach i podnieść, by zaczerpnąć oddechu.

– Zwykle pozwalamy im wisieć przez trzy dni. Przeważnie umierają drugiego dnia, a trzeciego ptaki mają ucztę. Jakieś pytania?

Nie było żadnych.

Gallus zamachnął się młotkiem. Zamknąłem na chwilę oczy i wzdrygnąłem się. Legionista zatrzymał młotek dość blisko gwoździa i się roześmiał. Pozwolił mi wstać i wrócić na drżących nogach na moje miejsce, a sam dalej opisywał pozycje, w jakich on i jego wojskowi kamraci zwykli krzyżować skazańców.

– No dobrze – rzucił na koniec Seneka. – Myślę, że mają już jakieś wyobrażenie.

Gallus wycofał się, a Seneka kontynuował lekcję.

– Nikt nigdy nie pobił rekordu Krassusa – oznajmił. – Ukrzyżował on sześć tysięcy ludzi, wszystkich niewolników, których pojmał podczas powstania. Krzyże stały wzdłuż Drogi Appijskiej, od tego miejsca aż do Rzymu.

Nauczyciel umilkł na moment, by dotarła do nas cała potworność sytuacji. W końcu wędrowaliśmy całe mile. Kiedyś wzdłuż przebytej przez nas trasy umierali ludzie.

– Krassus i jego ludzie przejechali konno między szeregami ukrzyżowanych. Niewolnicy wołali o litość, błagali, by przebito ich włócznią. W Rzymie Krassusa otoczyły wiwatujące tłumy, został uwieńczony wawrzynem i okrzyknięty triumfator. W świątyni Jowisza złożył w ofierze białego byka, a miasto świętowało przez całe dni. Mówią, że jeszcze trzy dni po tym, jak ciała niewolników zdjęto z krzyży, czuć było ich odór.

Seneka spojrział ponad naszymi głowami na Drogę Appijską, jakby wyobrażał sobie tę scenę.

– A teraz pytanie do was – powiedział, zniżając głos. – Czy Rzymianie powinni krzyżować ludzi? Czy to przystoi najbardziej rozwiniętej cywilizacji świata, jaką kiedykolwiek znano?

Patrzyłem na Senekę, ale kątem oka widziałem też Gallusa. Wydawało się, że zeszywniał na samą wzmiankę o tym, że jego ulubiona metoda egzekucji ma być poddana pod dyskusję.

Miałem nadzieję, że Seneka nie wywoła mnie. Czułem silne przekonanie, że ukrzyżowanie nie jest warte chwały Rzymu. Jak mogliśmy zadawać taką torturę naszym wrogom? Co nas różniło od barbarzyńców, skoro dopuszczaliśmy się takich czynów? A co z niewinnymi ludźmi, skazanymi na karę śmierci za coś, czego nie zrobili? Nasz system sprawiedliwości nie był doskonały.

Nie chciałem jednak wydać się słaby przed kolegami. Małe przedstawienie Seneki, z udziałem Gallusa, miało nam pokazać, jak strasznie jest umrzeć w ten sposób. Ale byliśmy Rzymianami. Nie wolno nam było wzdragać się w obliczu śmierci, nieważne jak straszliwej. Aby udowodnić swoją męskość, należało znieść tę zgrozę, a nawet się nią delectować.

– Ja odpowiem – oznajmił Kaligula, wstając.

– Bardzo dobrze, Gajuszu – pochwalił Seneka. Nigdy nie używał przydomków swoich uczniów.

– Czy po triumfie Krassusa nad Spartakusem doszło jeszcze do jakiejś rewolty niewolników? – spytał Kaligula. Pytanie było, rzecz jasna, retoryczne i należało do metody argumentacji, jakiej uczył nas Seneka.

– Urodziłem się na polu bitwy – ciągnął Kaligula. – Widziałem wojnę. Ludzie giną. Odcina się im głowy i wypruwa z nich wnętrzności. Przetrwają tylko silni. Nie ma w tym nic pięknego ani nie jest to temat do filozoficznej debaty.

Ta ostatnia uwaga była przytykiem pod adresem Seneki. Zastanawiałem się, jak nauczyciel na to zareaguje. Przyjął to z kamienną twarzą – jak zwykle zresztą.

– Jedyne, co mam do zarzucenia Krassusowi – mówił dalej Kaligula – to że zmarnował tyle dobrego drewna na bandę niewolników.

Stał przez chwilę, dumny ze swego dowcipu. Potem uśmiechnął się krzywo i usiadł.

Seneka przesunął spojrzeniem po młodych twarzach przed sobą.

– Czy ktoś się nie zgadza? – zapytał.

Wiedziałem, że nie powinienem się podnosić. Niczego nie osiągnę, wdając się w sprzeczkę z Kaligulą. Lucjan bez wątpienia przyszedłby mu z odsieczą – jeśli nie teraz, to później, kiedy Seneka nie będzie patrzył. Inni do nich dołączą, bo są zastraszeni. Jedyńm uczniem, który może by się ze mną zgodził, był mały Marek, a mieć go przy swym boku czasami oznaczało więcej kłopotów niż pożytku.

Nie mogłem jednak milczeć, prawda? Skoro teraz ugryzłbym się w język, to co by było, gdyby gra toczyła się o naprawdę poważną stawkę?

Wstałem, pewien, że Kaligula przewraca oczami.

– Ja się nie zgadzam – oznajmiłem tak stanowczo, jak tylko potrafiłem.

– Jakoś mnie to wcale nie dziwi, Teofilu – skwitował Seneka.

[01] Mila rzymska, *miliarium* – 1478 m (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[02] *Pes* (stopa) – rzymska miara długości, 29,6 cm.

Stałem naprzeciw Seneki, próbując zapomnieć o chłopakach, mimo że widziałem ich kątem oka. Wiedziałem, że powinienem się strzec, gdyż Kaligula był drażliwy i nie lubił, gdy robiło się z niego głupca. Nie potrafiłem jednak się oprzeć chęci dania popisu, skoro już miałem słuchaczy.

Wyprostowałem się i przemówiłem oratorskim głosem, tak jak uczył mnie Seneka.

– Nie słuchajmy tych, którzy sądzą, że powinniśmy wylewać swój gniew na naszych nieprzyjaciół, uważając to za coś wielkiego i męskiego – powiedziałem. – Nic nie jest równie chwalebne, nic jaśniej nie ukazuje duszy wielkiej i szlachetnej niż łaskawość i gotowość do przebaczenia.

Paru kolegów zareagowała na moją elokwencję jękami. Nieważne, Seneka uczył mnie, żeby nie pozwolić się rozproszyć wrogo nastawionej publiczności.

– To słowa Cyncerona, słowa prawdziwe i rozsądne – wygłosiłem dumnie. – Rzymskimi cnotami powinny być nie tylko sprawiedliwość i męstwo, lecz także przebaczenie i miłosierdzie.

– Tak mówi ktoś, kto nigdy nie widział bitwy, kto nigdy nie widział, jak barbarzyńcy skrócili jego przyjaciela o głowę – zaproponował Seneka. Przeszedł parę kroków, przyglądając się bacznie uczniom. – To nie przypadek, że Cyncero też nigdy nie był świadkiem bitwy. Czy młody Gajusz nie ma przypadkiem racji? Rzym nie podbił świata dzięki etykietce i uchwałom senatu. Krzewiliśmy naszą cywilizację, w tym tak dla nas ważny szacunek dla prawa, przemocą.

Seneka utkwił we mnie wzrok.

– Jak można twierdzić, że szanuje się prawo, a zarazem nie popierać kar, które gwarantują, że inni też będą tego prawa przestrzegać? – Wskazał nade mną na Drogę Appijską. – Drogi takie jak te nie pojawiają się znikąd. Muszą zostać zbudowane. Zbudowane przez niewolników, podobnie jak posiadłości twego ojca, Teofilu. Nie ma postępu bez cywilizacji, cywilizacji bez porządku, a porządku bez kar.

Nie wiedziałem, czy Seneka naprawdę tak uważał, czy też tylko prowokował mnie do myślenia. Zawsze żelazną ręką trzymał uczniów podobnych do mnie, którzy sądzą, że mogą upierać się przy swoim. Z kolei uczniów takich jak Kaligula traktował moim zdaniem zbyt łagodnie, im się po prostu nie chciało.

Miałem ochotę odpowiedzieć, że Seneka sam też nigdy nie uczestniczył w bitwie. Zapewne nie przetrzymałby ani jednego dnia forsownego marszu. Miał miękkie ciało filozofa, chociaż jego umysł był jak ze stali.

– Germanik Juliusz Cezar był jednym z największych wodzów, jakich znał Rzym – stwierdziłem. Chodziło o ojca Kaliguli, szanowanego wojownika, który

umarł otruty, kiedy Kaligula miał zaledwie siedem lat. Spostrzegłem, że Kaligula się poruszył. Zrobił gniewną minę i pochylił się do przodu, jakbym przez samo wspomnienie imienia jego ojca przekroczył jakąś uświęconą granicę.

– Germanik został konsulem dzięki zwycięstwom, jakie odniósł w Germanii. Kiedy jednak dotarł do Aleksandrii, zobaczył panujący tam głód i otworzył swoje spichlerze, by nakarmić tych ludzi. Czcił go za to jak faraona, a gdyby został tam dłużej, może obwołaliby go bogiem. Imperator jednak był niezadowolony, gdyż uszczuplono zapasy zboża dla Rzymu.

– Czy to jedynie lekcja historii – zapytał Seneka – czy do czegoś zmierzasz?

– Oto, do czego zmierzam: Czyż to nie dobroć Germanika, a nie brutalność Krassusa, najlepiej reprezentuje ducha Rzymu? Germanik nie ukrzyżowałby tych niewolników. Można walczyć z barbarzyńcami, nie stając się jednym z nich.

Stałem naprzeciw Seneki z wypiętą piersią, dumny ze swojej małej przemo-
wy. Choć obowiązywała niepisana zasada, żeby nie rozmawiać o podejranych okolicznościach śmierci Germanika, uznałem, że wspomnienie jego imienia w tym kontekście będzie do przyjęcia. Argument, jakiego użyłem, był szczególnie zręczny – przecież to rodzony syn Germanika, Kaligula, z takim rozdrażnieniem dowodził, że ukrzyżowanie owych niewolników było słusznym posunięciem. Może teraz nawet Kaligula jeszcze raz to przemyśli. Wszystko byłoby dobrze, gdyby Seneka pozwolił zakończyć sprawę w tym momencie. On jednak nigdy nie pozwalał nam się napawać chwilą oratorskiego triumfu. Właśnie wtedy, gdy byliśmy z siebie najbardziej dumni, usuwał nam grunt spod nóg i sprawiał, że znów maleliśmy.

– Wybrałeś interesujący przykład, Teofilu. Muszę jednak zadać pytanie: Czy to, co zrobił Germanik, było zgodne z prawem? Czy powinien w ogóle znaleźć się w Aleksandrii? Czy też może oparłeś swój argument na pogwałceniu tych właśnie praw, które każesz nam szanować?

Wszyscy znaleźliśmy odpowiedzi na te pytania, lecz nie chciałem wypowiedzieć ich na głos. Osierocony syn Germanika siedział zaledwie jakieś dwanaście stóp ode mnie.

Co jednak było prawdą? Seneka wpajał mi to przez ostatnie dwa lata nauki. Jeśli mamy mętlik w głowie, nauczał, to zapewne dlatego, że rozważamy nieistotne kwestie, które zaciemniają nasz osąd. Radził nam, byśmy znaleźli prawdę i jej się trzymali. Zalecił, byśmy odpowiedzieli sobie na jedno pytanie, jedno jedyne, a ono pozwoli nam znaleźć odpowiedź na najtrudniejsze życiowe wątpliwości.

Cóż to jest prawda?

– To nie było zgodne z prawem, mistrzu Seneko. Aleksandria wiele znaczyła dla Germanika, ponieważ był on potomkiem Marka Antoniusza. Jednak prawa Oktawiana Augusta zabraniały wstępu do tego miasta wszystkim członkom klasy rządzącej.

– Czy więc Germanik był przestępcą?

Nie zawahałem się.

– Tak.

Taka była prawda. Czasem jednak prawda przynosi niezamierzone konsekwencje.

Nie zauważyłem, że się zbliża.

Kaligula zaatakował z boku, przeklinając mnie za to, co powiedziałem. Powalił mnie na ziemię, przygniół i uderzył w twarz, zanim zdążyłem zareagować. Uniosłem ręce, by zablokować ciosy, lecz on odciągnął jedno moje ramię i przyłożył mi pięścią w policzek. Usłyszałem głuchy odgłos uderzenia kości o kość. Poczulem w ustach smak krwi i zobaczyłem gwiazdy.

Odwróciłem głowę i usiłowałem powstrzymać ciosy, lecz Kaligula wpadł w szal, nieprzerwanie okładał mnie prawą pięścią. Inni chłopcy zgromadzili się wokół nas. Wydało mi się, że widzę, jak Marek usiłuje mi pomóc, lecz ktoś go powstrzymał.

Seneka?

Nikt nie pospieszył mi na ratunek. Miałem ochotę krzyczeć. Kaligula przykucnął nade mną, wciąż zadając ciosy. Zdołałem zakryć głowę przedramieniem. Leżąc na boku, przyciągnąłem kolana do brzucha. Pomyślałem, że gdy przyjmę pozycję płodową, mój prześladowca może się powstrzyma. Zamiast tego Kaligula kopnął mnie w żebra i walnął pięścią w ucho. Poczulem, że coś pęka, ostry ból zmusił mnie do krzyku.

Małemu Markowi udało się jakoś do mnie przebić. Uderzył Kaligulę w plecy tak, że ten stracił równowagę. Lucjan pochwycił Marka i odepchnął go daleko od naszej dwójki. Ta pomoc wystarczyła mi jednak – zyskałem dość przestrzeni, by z trudem powstać na nogi i rzucić się na Kaligulę.

Tym razem byłem jak rozszalałe zwierzę. Posmakowałem krwi i upokorzenia. Nie miałem nic do stracenia. Trenowałem gimnastykę i zapasy i chociaż Kaligula ważył ode mnie o dobre dwadzieścia libr[03] więcej, ja byłem żyłasty i naładowany adrenaliną. Powaliłem go na ziemię i unieruchomiłem w pozycji kołyski zapaśniczej, co wydoskonaliłem do perfekcji. Owinąłem jednym ramieniem jego głowę, a drugim obie nogi. Próbował mnie drapać, ale ścisnąłem go mocniej i przygniotłem całym swoim ciężarem górną część jego ciała, boksując go niezbyt mocno w twarz tą samą ręką, którą otoczyłem jego nogi.

– Dosyć! – warknął Seneka.

Puściłem przeciwnika i skoczyłem na równe nogi, obcierając usta z krwi. Nie spuszczałem oka z Kaliguli, przygotowany na to, że może znów zaatakować.

Zamiast tego zaczął się trząść. Wpierw były to nieznaczące drgawki, lecz wkrótce przeszły w silne konwulsje. Ręce wykręcały mu się pod dziwnymi kątami, przeguby wygięły się do przodu, palce wykrzywione w szpony chwyciły powietrze. Stałem z szeroko otwartymi ustami. Głowa odchyliła mu się do tyłu, na usta wystąpiła piana.

– Odsuń się – nakazał Seneka, robiąc krok naprzód, by uklęknąć przy chorym uczniu.

Cofnąłem się, wzdrygając się na myśl o tym, co zrobiłem. *Czy on umiera?*

Seneka przyłożył dłoń do głowy Kaliguli, by ją odchylić. Wyciągnął swój bukłak i wcisnął mu go między zęby. Ujął w palce język chorego.

– To choroba parlamentarna[04] – powiedział martwym głosem. – Potrzebny jest lekarz.

Gapilem się przez chwilę na rozgrywającą się przede mną scenę, przerażony i pełen poczucia winy.

– Chodź – powiedziałem do Marka. Ruszyliśmy biegiem Drogą Appijską w kierunku miasta. Byłem chyba najszybszy w szkole. Poza tym czułem się osobiście odpowiedzialny za to, co spotkało Kaligulę, cokolwiek to było. *Czyżbym właśnie zabił cioteczynego wnuka cesarza?*

Wkrótce wyprzedziłem Marka, napędzany strachem z powodu swego uczynku. Biegłem tak szybko, że zaczęło mnie palić w płucach. Mijałem przeróżnych wędrowców – kupców na wozach zaprzężonych w muły, samotnego jeźdźca, sunącą z mozołem rodzinę o zaczerwienionych oczach, trupę aktorów, niewielki oddział żołnierzy. Przy każdej gromadzie pytałem zdyszczanym głosem, czy jest wśród nich lekarz albo czy może wiedzą, gdzie go szukać. Zwalniałem tylko trochę, by usłyszeć odpowiedź.

Obraz Kaliguli wijącego się na ziemi, z oczami wywróconymi tak, że widać było tylko białka, nie opuszczał mojej wyobraźni. Pobiegłem szybciej, choć mężczyło mnie pragnienie, a mięśnie zaczynały zawodzić.

– Potrzebuję lekarza! – wołałem do każdego podróznego.

Nie wiem, jak długo biegłem. Może pół godziny, może krócej. W końcu znalazłem człowieka, który twierdził, że jest lekarzem. Towarzyszył konno małej karawanie. Zapewne był osobistym medykiem rodziny w lektyce. Łapiąc powietrze, wyjaśniłem mu, co się stało.

Kiedy wspomniałem imię Kaliguli, siwe brwi lekarza uniosły się.

– Powiedziałeś „Kaligula”? Syn Germanika? – przerwał mi.

– Tak! Właśnie ma atak!

Mężczyzna szybko uzyskał od rodziny w lektyce pozwolenie na oderwanie się od karawany. Podciągnął mnie na grzbiet konia i zmusił zwierzę do galopu. Trzymałem się najlepiej jak potrafiłem, kiedy roztrącając przechodniów, przelecieliśmy obok Marka, zmierzającego w przeciwnym kierunku. Zawołałem go, a on obrócił się, zrobił wielkie oczy i rozpostarł dłonie. Kiwnąłem na niego, żeby pospieszył z powrotem i dołączył do nas.

W czasie tej powrotnej drogi moje myśli pędziły szybciej niż koń. Mogłem sobie tylko wyobrażać najgorsze. Kaligula wyzionął ducha, a ja byłem za to odpowiedzialny. Seneka zostanie oskarżony, że zawczasu nie podjął żadnych działań.

Modliłem się do bogów, aby w jakiś sposób ocalili życie Kaliguli i moje.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, odczułem niewymowną ulgę, widząc, że Kaligula i pozostali siedzą pogrążeni w rozmowie, jakby nigdy nic. Spocony i drżący zsiadłem z konia, a kolana niemal uginały się pod mną od napięcia i zmęczenia.

Seneka wziął lekarza na bok. Zamienili kilka słów. Kaligula omijał mnie wzrokiem.

Ulgą trwała tylko chwilę. Lekarz zdecydował, że jedyny sposób na to, by się upewnić, że epizod minął, to upuszczenie krwi celem pozbycia się zepsutych humorów.

Z sakwy przy siodle wyciągnął nóż chirurgiczny i miseczkę na krew. Zobaczyłem, że Kaligula pobladł ze strachu.

Zaraz jednak powiedział Senece, że czuje się dobrze. Zażądał, żeby lekarz go nie dotykał. Seneka to zignorował. Medyk promieniował spokojem i stanowczością, autorytetem płynącym z wieku. Kaligula spochmurniał, rzucił mi pełne nienawiści spojrzenie i zrobił, co mu kazano.

Lekarz usiadł przy Kaliguli i ujął go za lewy nadgarstek. Kazał mu patrzeć w bok. Seneka trzymał miseczkę pod przedramieniem chorego. Lekarz wykonał chirurgiczne nacięcie na ramieniu. Zakręciło mi się w głowie od samego patrzenia. Kaligula skrzywił się, lecz próbował udawać niewzruszonego.

Jasnoczerwona krew spływała do miseczki, aż w końcu lekarz uznał, że Kaligula dość się nacierpiał. Przycisnął do rany kawałek sukna, które zaraz przybrało szkarłatną barwę, plamiąc dłonie doktora.

Odwróciłem wzrok. Kręciło mnie w brzuchu, żołądek ścisnął mi się w supeł, świat zaczął wirować. Po tym wszystkim, co już poszło źle, nie chciałem jeszcze zemdleć na oczach kolegów. Usiadłem, spuściłem głowę między kolana i wpatrywałem się w ziemię, zmuszając się do myślenia o innych sprawach.

Następne, co pamiętam, to dłoń lekarza na moim karku.

– Weź kilka głębokich wdechów – polecił.

Podniosłem wzrok i choć świat wciąż był zamazany i rozpływał mi się przed oczyma, zdołałem powstrzymać się od omdlenia. Prawe oko mi zapuchło i było na pół przymknięte, bolało mnie ucho. Kość policzkowa również bolała, zastanawiałem się, czy nie jest złamana.

Lekarz obejrzał mnie i powiedział, że się z tego wyliżę.

Seneka podziękował mężczyźnie i sownie mu zapłacił. Potem kazał Kaliguli i mnie, byśmy podali sobie ręce i się przeprosili.

Spojrzałem Kaliguli prosto w oczy i przeprosiłem go za to, że źle mówiłem o jego ojcu. Słabo uściśnął mi dłoń i chociaż górował nade mną wzrostem, czułem zakłopotanie z powodu tego, co mu zrobiłem. Przecież tylko bronił ojca, zamordowanego przez tchórza.

– Wiem, że tylko odpowiedziałeś na zadane ci pytanie – rzekł do mnie. Te

słowa były przemyślane, a on sam po utracie krwi wciąż był biały jak ściana. Wyczułem gorycz, kryjącą się pod warstwą tych słów. – Przepraszam, że cię zbiłem – dodał.

Tym sposobem ratował twarz. Przypominał mi, że aż do interwencji Marka miał nade mną przewagę.

Jednak nikt, kto był obecny przy bójce, nie zapamięta jej w ten sposób. Powaliłem przeciwnika na ziemię, a on wpadł w konwulsje. To on potrzebował lekarza, nie ja.

– Przeprosiny przyjęte – odparłem śmiało.

Jednak spojrzawszy na twarz Kaliguli, zrozumiałem, że na tym nie koniec.

[03] *Libra*, często tłumaczona jako *funt* – rzymska miara masy, około 327,45 g.

[04] Tak nazywano epilepsję w Rzymie, gdyż uchodziło za zły omen, jeśli atak choroby nastąpił w trakcie rozstrzygania ważnych spraw publicznych.

Tę noc, spędzoną w koszarach, przespałem niespokojnie. Przez głowę przebiegały mi wszelkie możliwe konsekwencje zdarzeń tego dnia. Targały mną sprzeczne emocje. Byłem dumny, że się obroniłem, ale współczułem też Kaliguli. Nie było łatwo patrzeć, kiedy zwijał się spazmatycznie na ziemi, a wszyscy gapili się na niego. Wszyscy zaprzysięgliśmy, że utrzymamy jego chorobę w tajemnicy, ale wiedziałem, że trudno będzie jej dochować.

Ból pulsujący w opuchniętej twarzy i uchu przypominał mi, że nie miałem innego wyboru, jak tylko wziąć odwet. Seneka załatwił tę sprawę tak, jak to robił już wcześniej, raz czy dwa razy – pozwalał niektórym uczniom rozstrzygnąć konfliktów w walce, a potem ucisnąć sobie dłonie. Seneka, jak sądzę, był pewien, że dam sobie radę z Kaligulą, a może sądził, że trzeba mnie nieco zahartować. Jednak teraz, kilka godzin później, to nie ja stanowiłem problem. Kaligula nie należał do osób, które łatwo odpuszczają.

Przez resztę dnia nie próbowałem nawet ukrywać swojej pogardy dla mnie. Wiedziałem, jak omawiał coś z Lucjanem i innymi, jak snuli jakieś plany, rzucając w moją stronę ukradkowe spojrzenia. Zemsta wisiała w powietrzu, a inni chłopcy zaczęli odsuwać się ode mnie – z wyjątkiem, oczywiście, mego przyjaciela Marka, który chodził za mną jak cień.

Postanowiłem, że będę czuwał przez całą noc, gdyż zakładałem, że Kaligula i jego kumple uderzą pod osłoną ciemności. Jednak wyczerpały mnie wydarzenia tego dnia, a równy oddech śpiących kolegów w koszarach utrudniał czuwanie. Nie pamiętam, kiedy zapadłem w drzemkę, lecz moje znużone ciało nie uległo paranoicznemu rozkazom umysłu.

Dokładnie za to pamiętam, kiedy się ocknąłem.

Ściągnęli mnie z pryczy i rzucili na podłogę, zanim zrozumiałem, co się dzieje. Ktoś wykręcił mi ręce do tyłu, zaś inny z napastników zatkał mi usta szmatą. Trzeci zawiązał mi oczy przepaską. Próbowałem krzyczeć, ale knebel zagłuszał moje wołanie. Poczulem pośrodku pleców czyjeś twarde kolano, ktoś inny łokciem przycisnął mi głowę do podłogi. Napastnicy szybko związali mi przeguby za plecami, szepcząc jednocześnie między sobą. Związali mi też kostki u nóg i mocniej wcisnęli knebel do ust, wiążąc szmatę z tyłu głowy.

Byłem przerażony, serce biło mi tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Obrócili mnie na bok, ktoś kopnął mnie w brzuch, aż straciłem dech.

Pociągnęli za sznury u moich rąk i nóg. Kopałem i wywijałem się, ale te ruchy tylko zwiększały nacisk ze wszystkich stron, silne ręce przytrzymywały mnie na miejscu, przyciskając do podłogi. Ktoś zawiązał mi przeguby i kostki razem, robiąc wielki supeł ze sznurów za moimi plecami. Przestałem się szamotać i nakaza-

łem sobie tylko spokojnie oddychać.

Chwycili mnie za ramiona i nogi i wynieśli z koszarów, twarzą w dół; potem ponieśli dalej ulicą. Z odgłosu kroków wnioskowałem, że było przy mnie co najmniej dziesięciu czy dwunastu chłopaków. Słyszałem, jak szepczą i spierają się między sobą, w którą stronę iść.

Usiłowałem się uspokoić, przypominając sobie wszystkie figle, które sobie płataliśmy. Teraz rzadko brałem w tym udział, gdyż zajmowała mnie nauka, ale w przeszłości sam byłem prowodyrem paru takich psikusów, toteż powiedziałem sobie, że tym razem pewnie czeka mnie coś podobnego. Seneka nauczał nas stoicyzmu, wiedziałem, jak oderwać umysł od cierpienia czy upokorzenia.

W teorii.

Gdyż prawda była taka, że myśli w mojej głowie gnały, napędzane lękiem przed tym, co uknuli moi koledzy. Obwiązane przepaską oczy zwilgotniały mi od łez, wywołanych poczuciem druzgocącego upokorzenia, gdyż wybrali akurat mnie i znęcali się nade mną. Śmiali się ze mnie i świetnie się bawili moim kosztem. Nigdy nie nabrałem umiejętności dopasowywania się do innych. Jako jedyny uczeń w szkole miałem tylko jednego przyjaciela.

Zdawało mi się, że nieśli mnie długo, przystając od czasu do czasu, żeby się zmieniać przy dźwiganiu. W końcu zatrzymali się i położyli mnie twarzą do ziemi. Przewrócili mnie na bok i przecięli sznury wiążące razem moje przeguby i kostki. Poczułem, że krew napływa mi z powrotem do rąk, znów mogłem wyprostować nogi. Przecięli też sznur wokół moich nadgarstków, a ja szarpnięciem uwolniłem ręce – siłując się, wymachując nimi – lecz napastników było zbyt wielu i przygnieśli mi ramiona do ziemi. Przewrócili mnie na plecy, wciąż z opaską na oczach i kneblem w ustach. Poczułem, że pod ramionami mam belkę.

I wtedy zrozumiałem, co się święci. Miałem zostać ukrzyżowany!

Szepty stały się teraz gorączkowe, parę głosów chyba udało mi się rozpoznać. Do żył napłynęła mi adrenalina, ale nie umiałem się wyrwać na wolność. Ktoś na pewno powstrzyma to szaleństwo! Pośmieją się z mojego strachu i potem puszczą mnie wolno – upokorzonego, ale całego. Nie przybiją mnie tak naprawdę do krzyża.

Nie?

Usłyszałem, jak ktoś mówi o młotku, od czego przeszył mnie chłód, każdy mięsień w moim ciele stężał. Knebel głużył moje wołanie o pomoc, zamieniając je w stłumione jęki. Słyszałem, jak przybijają mały klocek z drewna do pionowej belki krzyża, gdzieś poniżej moich stóp. Teraz zmuszałem się do głośniejszych krzyków, przerywanych krótkim szlochem. Rozciągnęli mi ramiona na boki i szarpiąc za nie, rozłożyli je na poprzecznej belce. Przywiązali mnie do niej za przeguby, w ten sposób, że mięśnie ramion spoczywały na drewnie. Przymocowali mi też nogi do belki pionowej, sznury wrzynały mi się w ciało pod kolanami i wokół

kostek.

– Przesuńcie ten klocek trochę w górę – powiedział ktoś. Inni jednak upierali się, że jest dobrze tak, jak jest.

Nie można było tego nazwać nieszkodliwym żartem. Seneka mówił nam, że niektórzy skazańcy wisieli na krzyżu przez całe dni, zaś inni umierali w przeciągu paru godzin. Mój wstyd i upokorzenie przygasły, a ich miejsce zajęło przerażenie, że mógłbym naprawdę umrzeć. Miałem czternaście lat. Jak mogło mnie spotkać coś takiego?

I wtedy, pośród tej mrożącej krew w żyłach grozy, zaświeciła iskierka nadziei. Leżałem na krzyżu, przywiązany do belki poprzecznej i pionowej, z kneblem w ustach i opaską na oczach, ale nie czułem już na sobie niczyich rąk. Może po prostu mieli zamiar mnie tu zostawić, by natknął się na mnie jakiś przechodzień. Byłbym całkowicie upokorzony, ale przynajmniej nie musiałbym się bać, że umrę jak pospolity przestępca.

Wyczułem, że moi oprawcy oddalili się na chwilę i odbywali jakąś naradę. Może odetną mnie od krzyża i uciekną, zanim zdążę zdjąć opaskę? Może uznali, że już dali mi nauczkę?

Lecz wtedy wyczułem, że ktoś pochyła się nade mną. Coś ostrego drasnęło mnie w bok i zrozumiałem, że przecięli subligar, przepaskę na biodra, w której spiałem. Teraz leżałem całkiem nagi, krańcowo upokorzony, marząc, by zakrywało mnie cokolwiek.

Kilku napastników podniosło nieco krzyż i obróciło go, tak że teraz wisiałem twarzą do ziemi. Zdjęli mi przepaskę z oczu i wyjęli knebel. Było ciemno choć oko wykol, a oni stali za mną. Próbowałem obejrzeć się przez ramię, ale tymczasem unieśli krzyż do pionu i byłem kompletnie zdezorientowany.

Nie krzyczałem. Nie dałem im tej satysfakcji, by usłyszeli moje błagania. Łzy spływały mi w mroku po policzkach, ale zacisnąłem zęby i milczałem – gniew i bunt były silniejsze od lęku.

Napięte ramiona i klatka piersiowa sprawiały, że miałem trudności z oddychaniem. Spojrzałem w dół i dostrzegłem dłonie Kaliguli i co najmniej sześciu innych chłopaków. Kiedyś myślałem, że niektórzy z nich mnie lubią. Broniłem ich, kiedy Seneka był zbyt surowy, i cierpiałem wraz z nimi, gdy uczyliśmy się znosić trudności.

Teraz jednak wszyscy pomagali ustawić krzyż w pionie i osadzić go w dziurze, którą widocznie wcześniej wykopali w ziemi.

Kiedy krzyż już stanął, poczułem, że rozciągnięte ramiona niemal wrywają mi się ze stawów. Moi oprawcy przyklękli na dole i usypywali ziemię wokół krzyża, podpierając go, żeby się nie przechylił.

Nacisk na klatkę piersiową i ramiona stał się nie do zniesienia. Mogłem oddychać jedynie, gdy napinałem wszystkie mięśnie i podciągałem się w górę na ra-

mionach. Chwytałem hausty powietrza i znów opadałem. Wtedy prawie dotykałem stopami małego kawałka drewna umocowanego na dole krzyża i przez chwilę się na nim opierałem. Jednak w tej pozycji nie mogłem zaczerpnąć głębszego oddechu.

Większość moich oprawców kryła się z tyłu, za krzyżem, lecz Kaligula i Lucjan stanęli z przodu i patrzyli na mnie. W bladym świetle księżyca i gwiazd mogłem dostrzec szydery uśmiezek Kaliguli.

– Następnym razem – powiedział – okazuj więcej szacunku.

Podciągnąłem się w górę, ból przeszywał mi pierś i ramiona, które zaczęły już drętwieć.

– To nie był brak szacunku – odparłem. – Proszę. Nie jestem przestępcą. – Łapałem chciwie powietrze. – Już udowodniłeś, co chciałeś. Ściągnij mnie stąd.

– Tak gorąco wierzysz w Parki – zakpił. – Może one cię teraz uratują. – Skinał na innych. Zaczęli się zbierać do odejścia.

Znów podciągnąłem się siłą mięśni ramion i zawołałem za nimi, wymieniając po imieniu tych, o których myślałem, że mi sprzyjają. Jeden z chłopaków podniósł kamień i rzucił nim we mnie, a inni poszli za jego przykładem. Kaligula przyglądał się temu przez chwilę, a potem kazał im przestać. Ruszyli drogą przed siebie i wkrótce zniknęli mi z pola widzenia.

Rozejrzałem się wokół ze łzami w oczach, próbując się rozeznać w sytuacji. Wisiałem przy błotnistej drodze, chyba jakieś półtorej mili od świateł miasta. Ustawili krzyż na widoku, więc wcześniej rano odkryją mnie kupcy, którzy będą tędy przejeżdżać wozami pełnymi pszenicy i warzyw. Nie byłem jednak pewien, czy wytrzymam tak długo. Kiedy opadałem całym ciężarem, by oprzeć się na drewnianej podpórce, czułem, jak pierś mi się zapada, a ramiona wrywają się ze stawów. Musiałem je napinać i podciągać się wyżej, żeby je odciążyć. Jednak za każdym razem, gdy tak robiłem, szurając plecami po szorstkim drewnie krzyża, czułem, że resztki sił opuszczają moje ciało.

Nie minęło wiele czasu, a przy każdym oddechu kłujący ból przeszywał mi mięśnie ramion, barki i pierś. Zmuszałem się, żeby się podciągnąć, odetchnąć, zawołać o pomoc, i znów opadałem. Za każdym podciągnięciem było gorzej. Upokorzenie i gniew na tych, których uważałem za przyjaciół, ustąpiły w obliczu niesłabnącego bólu i jednego nadrzędnego celu.

Chciałem przetrwać.

Powtarzałem te dręczące czynności chyba przez całą wieczność. Mój oddech stał się płytki. Wkrótce zabrakło mi sił, by krzyknąć o pomoc.

Zamknąłem oczy i pomodliłem się do bogów. Cóż za upokarzająca śmierć! Wisiałem tam, obnażony jak pospolity przestępca czy buntownik. A przecież byłem synem ekwity! Obywatелеm rzymskim! Jeśli umrę, Kaligula i jego kohorta na pewno zostaną surowo ukarani.

Nie byłem jednak gotów na śmierć.

Zacząłem wyobrażać sobie różne rzeczy. Wciąż widziałem przed sobą twarz Kaliguli, wpiętej szyderczą, a potem wykrzywioną w konwulsjach. Pomyślałem o matce i młodszej siostrze – jaki ból je czeka, jeśli nie przeżyję. Ojciec wpadnie w furję, będzie szukał zemsty.

Kiedy wśród tych majaczeń usłyszałem jakiś głos, trudno mi było się rozpoznać, czy to prawda, czy wytwór imaginacji.

– Teofilu! Teofilu!

Poczułem, że ktoś dotyka pątykiem mojej nogi, i to jakoś przywróciło mnie do rzeczywistości. Spojrzałem w dół i zobaczyłem go. Rozpoznałem te kędzierzawe, jasne włosy i chudą sylwetkę. Na twarzy mojego przyjaciela malował się wyraz zgrozy i troski. Marek obejrzał się lękliwie przez ramię, jakby napastnicy mogli wrócić w każdej chwili i także jego powiesić na krzyżu.

– Jak cię stamtąd zdejmę? – spytał.

– Pospiesz się. – To było wszystko, co zdołałem wydusić.

Wdrapał się wyżej i wpiętej uwolnił z pęt moje nogi, a potem ręce. Jak dobrze było znów oddychać.

Gdy wreszcie stanąłem na ziemi, kłębiły się we mnie emocje. Ból wciąż przeszywał mi ramiona i klatkę piersiową. Czuję wdzięczność do przyjaciela, który naraził się na ryzyko i ocalił mnie. Silniejsza jednak była wściekłość na Kaligulę, Lucjana i ich kohortę.

Pragnąłem zemsty. Chciałem im odpłacić. Co takiego zrobiłem, by zasłużyć na ukrzyżowanie? Wiedziałem, że Kaligula i jego rodzina są potężni, ale czyż mogłem nabrać wody w usta i zamilczeć to upokorzenie?

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Marek.

– Wracam do domu – wysyczałem przez zaciśnięte zęby. Odszukałem mój subligar, porzucony na ziemi i przewiązałem go sobie wokół bioder. Po tym wszystkim byłem zbyt słaby, by przejść pieszo całą drogę do domu, ale nie miałem zamiaru wracać do koszar. – Powinieneś mi towarzyszyć.

Z wyrazu oczu Marka domyśliłem się, że nie podobał mu się ton mego głosu. Był gotów zaryzykować wszystko, by uratować przyjaciela, lecz wcale nie miał ochoty donosić na szkolnych kolegów.

– Nie możemy pozwolić, by uszło im to płazem – dodałem.

Żaden z wykładów Seneki o rzymskiej sprawiedliwości nie nauczył mnie tak wiele jak lekcja, którą otrzymałem po moim ukrzyżowaniu.

Tej nocy Marek i ja wróciliśmy do swoich rodzin i opowiedzieliśmy, co się stało. Moje wywichnięte barki, zadrapania na plecach, otarcia na kostkach i przegubach nie pozostawiały wątpliwości, że ta historia jest prawdziwa. Matka z konsternacją i przerażeniem patrzyła na moją opuchniętą twarz. Bolały mnie też żebra, przypuszczalnie od ciosów, które zadał mi Kaligula, zanim odparłem jego atak.

Jednak rodzina Kaliguli była zbyt potężna, by można było udowodnić mu winę. Jego matka, Agrypina Starsza, była prawnuczką Oktawiana Augusta i pasierbicą imperatora Tyberiusza.

Agrypina towarzyszyła mężowi na polu bitwy, gdy Rzym walczył z plemionami germańskimi. To tam urodził się chłopiec przezywany „Sandalkiem”. Kiedy Germanik zakończył żywot, Agrypina twierdziła, że jej męża otrul patrycjusz imieniem Pizon, a cały Rzym jej wierzył, mimo że Pizon przebywał wtedy w Syrii. Agrypina wróciła z Antiochii, wioząc w urnie popioły swego zmarłego męża, Germanika. Jego ciało poddano kremacji, choć w Rzymie mówiło się, że serce pozostało nietknięte przez płomień. Imperator nadał wdowie tytuł „Chwały swego kraju”.

Moja rodzina nie mogła się równać z tą kobietą, która rywalizowała o sławę z samym Tyberiuszem. W Rzymie zaś status rodziny znaczył więcej niż sprawiedliwość.

Seneka zamierzał wyrzucić Kaligulę ze szkoły, ale Agrypina nie chciała o tym słyszeć. Kaligula zaprzeczył, jakoby on i jego przyjaciele mieli coś wspólnego z moim ukrzyżowaniem.

– Rodzina Teofila ma na pewno innych wrogów – twierdził. – Może włamali się do koszar i wywlekli go w środku nocy.

Lucjan oświadczył, że widział kiedyś, jak wymykam się z koszar, by spłatać jakiś figiel w mieście. Powiedział, że wróciłem wówczas przed świtem, jak gdyby nigdy nic. To dlatego nie martwił się teraz, widząc, że moje posłanie jest puste. Dwóch innych chłopaków potwierdziło tę historyjkę. Reszta, z wyjątkiem Marka, utrzymywała, że o niczym nie wiedziała. Patronat rodziny Germanika liczył się dla szkoły o wiele bardziej niż zdanie mojej rodziny, więc ostatecznie uwierzono Kaliguli. Seneka w proteście zrezygnował ze swego stanowiska, czym skupił na sobie gniew Agrypiny i rozdmuchał cały incydent, tak że znaleźliśmy się na językach całego Rzymu. W mieście plotkowano tylko o tej sprawie. Rozniosła się wieść, że Kaligula i ja wdaliśmy się w bójkę i że później w nocy powiesili mnie na krzyżu.

Nikt jednak nie pisał ani słówka o chorobie parlamentarnej Kaliguli.

Chociaż ojciec zabrał mnie z tej szkoły, stałem się już znany. Idąc ulicą, zauważałem, że przechodnie z naprzeciwka szepczą o mnie między sobą. Nie miałem wątpliwości, o czym mówią.

– To ten chłopak, którego ukrzyżowali. To się będzie za nim wlokło przez całe życie.

Marek też opuścił szkołę, gdzie wcześniej nauczał Seneka, ale w przeciwieństwie do mnie, przeniósł się śladem naszego wielkiego nauczyciela do nowej szkoły retoryki. Moi rodzice zdecydowali, że potrzebuję zacząć od nowa gdzieś poza Rzymem, aby ta kontrowersyjna sprawa przycichła. Sprzedali działkę przylegającą do Tybru – kawałek ziemi, który od dziesiątków lat należał do rodziny – aby posłać mnie do Grecji i abym tam dokończył edukację w dziedzinie retoryki i prawa.

– Popłyniesz na Rodos, do szkoły założonej przez Apoloniusza Molona – poinformował mnie ojciec któregoś wieczoru. Serce mi podskoczyło na wieść o tym.

– To tam Juliusz Cezar stał się wielkim mówcą i zdobył wiedzę z zakresu rzymskiego prawa. Poza tym...

– ...tam studiował Cyncero – wtrąciłem. – Cyncero trafił na Rodos jako jękający się chłopiec, a opuścił tę wyspę jako geniusz retoryki.

Od tamtej nocy, gdy mnie ukrzyżowano, wciąż użalałem się nad sobą. Seneka starał się mnie nauczyć, bym nie ufał swoim emocjom. Nie mogłem się jednak powstrzymać od litowania się nad sobą i od gniewu, że Kaliguli i jego szajce uszło to na sucho. Słyszałem, jak rodzice mówili między sobą, że wyślą mnie gdzieś dalej, i nie chciałem wyjeżdżać. Lecz nigdy nie spodziewałem się takiej nowiny!

– Kiedy mam wyjechać? – spytałem.

– Wcześniej rano.

Musiało minąć siedem dni w szkole retorycznej Molona, zanim przyzwyczaiłem się do nowych warunków. Czekало mnie mnóstwo ciężkiej pracy! Grecy wierzyli w dyscyplinowanie ciała, umysłu i duszy. W przeciwieństwie do Seneki, który nie pałał do stoicyzmu wielkim entuzjazmem, Grecy podchodzili do tej filozofii poważnie. Cnota, twierdzili, to wystarczający warunek szczęścia, poza cnotą nie ma dobra.

W szkole Molona krzywo patrzono na emocjonalną, kwiecistą retorykę, jakiej nauczano w innej wielkiej instytucji retorycznej – szkole azjatyckiej. Nasi wykładowcy sarkastycznie nazywali tamtejszych nauczycieli „tańczącymi mistrzami”. Kazano nam trzymać głowę wysoko, bronić swego punktu widzenia z pełnym przekonaniem, krótko odwołać się do emocji słuchaczy, a potem usiąść. Powtarzano nam to samo, co Apoloniusz Molon powiedział Cynceronowi ponad stulecie wcześniej – że nic nie wysycha szybciej niż łzy.

Ten styl nauczania retoryki od razu przypadł mi do gustu, nie znosiłem za to

wyczerpującego reżimu ćwiczeń cielesnych. Po paru miesiącach jednak, gdy pod uważną opieką instruktorów moje ciało się zmieniło, zacząłem doceniać również fizyczne aspekty tutejszych studiów.

W Rzymie treningi gimnastyczne były przeznaczone głównie dla tych, którzy przygotowywali się do służby wojskowej. U Greków było inaczej. Oni wierzyli, że każde młode ciało da się ukształtować. Cenili gimnastykę za cnoty, które ze sobą niosła – samodyscyplinę, formowanie sylwetki, czystą radość płynącą ze współzawodnictwa. Moi instruktorzy uważali, że dobry retor musi wykazywać się doskonałą kondycją fizyczną.

Każdy dzień rozpoczynaliśmy przed świtem od obfitego śniadania, złożonego z ugotowanych na twardo jaj, krwistego mięsiwa, prażonej pszenicy i koziego mleka. W szkole krążyło powiedzenie: śniadanie zjedz jak król, obiad jak plebejusz, a kolację jak niewolnik. Po śniadaniu zaczynaliśmy zajęcia i ćwiczenia głosowe. Często recytowaliśmy fragmenty mów na morskiej plaży, aby nauczyć się mówić głośno i wyraźnie. Późniejszym rankiem, kiedy słońce już wzeszło i zaczynało doskwierać gorąco, recytowaliśmy te same ustępy, wspinając się na wzgórza, co miało nam pomóc utrzymywać właściwy ton i donośność głosu nawet wtedy, gdy zabraknie nam tchu.

Popołudnia zastawały nas na treningu w gimnazjonie. W Rzymie ćwiczyłem gimnastykę i zapasy, lecz tamten trening wypadł blado w porównaniu z tutejszym. Każdego dnia wprowadzano nowy rodzaj zawodów. Osiągnąłem wielką biegłość w *pancratium*, czyli pojedynku jeden na jednego, który łączył elementy zapasów i boksu. Często marzyłem o tym, że używam swoich nowych umiejętności przeciw Kaliguli czy choćby Lucjanowi. Nie byłem na tyle pokaźnej postury, by pokonać najsilniejszych uczniów szkoły, ale nauczyłem się nie poddawać kolegom mojego wzrostu.

W Rzymie synowie patrycjuszy uwielbiali być widzami i przyglądać się, jak niewolnicy walczą na arenie albo ścigają się w rydwanach. Rzymianie ćwiczyli z konieczności, utrzymując swoje ciała w formie, bo tak przystało potomkom Romulusa, przestrzegającym samodyscypliny. Grecy natomiast wciąż wierzyli w piękno ciała. Fizyczne ćwiczenia, przynajmniej w szkole Molona, były rodzajem obsesji, a ja nauczyłem się czerpać z nich radość.

W tej szkole nabrałem też pewności siebie. Tutaj nie wstydziłem się podnieść rękę jako pierwszy ani zajmować uwagę nauczyciela w stopniu większym niż pozostali. To na Rodos, na krańcu Morza Egejskiego, nauczyłem się wiary w siebie i stałem się mężczyzną.

Tutaj też poznałem greckich bogów. Moim ulubieńcem był Apollo, bóg muzyki, wyroczni, słońca, medycyny, światła i wiedzy. Apollo udzielał darów prorocstwa i talentu oratorskiego. Przykładem był Epimenides, grecki pasterz, który zasnął na pięćdziesiąt sześć lat i obudził się z darem prorocstwa, otrzymanym od Apolla.

Później wypowiedział nieśmiertelne słowa o Zeusie: „W nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”.

Odmienne niż Epimenides, w szkole Molona nie zaznałem wiele snu. Jednak na brzegu Morza Egejskiego moje barki powoli się zaleczyły, pozostał jedynie ostry ból, przeszywający czasem lewe ramię, kiedy próbowałem podnieść coś ciężkiego ponad głowę.

Z Epimenidesem łączyło mnie to, że w szkole Molona obudziłem się na własne dary, a także fakt, że stało się to w świątyni Apolla. Rosły tam moje ciało i dusza, a lata tam spędzone uważam za najszcześniejsze w moim życiu.

MENTOR

III II I I **II** III IV V VI VII VIII IX

Rzym, sześć lat później

W siedemnastym roku panowania Tyberiusza Juliusza Cezara Augusta

Miałem dwadzieścia lat, gdy wróciłem do Rzymu, gotów zmieniać świat. Ukończyłem studia z retoryki oraz prawa, marzyłem, by zostać adwokatem. Albo może nauczycielem, jak Seneka.

Rzym jednak nie był już tym miastem, jakie zapamiętałem z lat przed moim wyjazdem. A może to ja się zmieniłem – trudno powiedzieć. Tak czy owak, kontrast między piękną wyspą Rodos na Morzu Egejskim a zaaferowaną i duszną metropolią sprawił, że ujrzałem to miasto w innym świetle.

W Grecji panował względny spokój, w Rzymie natomiast kakofonia dźwięków powodowała, że trudno było się skoncentrować w ciągu dnia lub zasnąć w nocy. Sklepikarze zachwalali swoje towary, żebracy zawodzili, robotnicy budowlani nieustannie walili młotkami, uczniowie śpiewnie powtarzali wiersze, ucząc się czytać na balkonach, zaś przez całą długą noc rozlegały się krzyki z łaźni oraz skrzypienie ciężkich wozów i fur, turkotanie drewnianych kół po brukowanych ulicach.

Wynająłem małe mieszkanie przy wąskiej uliczce i przez pierwszą noc w mieście nie zmrużyłem oka. Poeta powiedział: „Bóg stworzył wieś, a człowiek miasto”. Nawet wielkie, wspaniałe miasto, takie jak Rzym, stanowiło dowód, że w tym wypadku człowiek okazał się gorszym architektem.

Rzym jednak, mimo swoich wad, nadal był stolicą cywilizowanego świata i dla kogoś obdarzonego ambicją i talentem nie było lepszego miejsca, by rozpocząć karierę.

W pierwszych tygodniach po powrocie spędzałem wolny czas na Forum. Dziwiło mnie, że obywatele Rzymu stracili już zachwyt dla cudów architektury swego miasta. Kupcy rozstawiali swoje stragany przed przepięknymi świątyniami i wokół schodów bazylik. W marmurowych portykach trwały gry, co czasem wymagało nakreślenia linii albo wydrapania wyników na kolumnach czy stopniach schodów. W cieniu największych architektonicznych cudów świata nikt nie wybałuszał oczu ze zdumienia – słychać było tylko ciągły gwar tysięcy Rzymian, którzy starali się zarobić na życie.

Ja jednak wyjechałem stąd wystarczająco dawno, by wędrując znajomymi ulicami, na nowo doceniać historię i wielkość tego miejsca.

Któregoś dnia wspiąłem się po schodach rostry, mównicy długiej na jakieś osiemdziesiąt stóp i na jedenaście stóp wysokiej, przyozdobionej baranami z brązu, zrabowanymi z dziobów wielkich statków, zdobytych na wojnie. To tutaj cesarze prezentowali obwieszczenia, a politycy przedstawiali swoje argumenty. To tutaj

wyglaszano wielkie mowy pogrzebowe. Stąd pokazywano tłumowi zakrwawione odcięte głowy pokonanych królów.

Stałem pośrodku mównicy, ignorowany przez przepychający się poniżej tłum. Wyobraziłem sobie, że zwracam się do obywateli w sprawie wielkiej wagi, z biegłością oratorską równą tej, jaką wykazał się Cyncero wiele lat wcześniej, biegłością, do której doszedłem w tej samej szkole co on. Uderzył mnie fakt, że to może najbardziej znaczące miejsce na całej ziemi, że to tutaj najwięksi mówcy, jakich kiedykolwiek znała ludzkość, stali i spoglądali na te same co ja budowle, zmieniając bieg historii. Któregoś dnia, jeśli Parki pozwolą, znajdę się w ich gronie.

Najpierw jednak musiałem znaleźć pracę. Nie miałem na nią większych perspektyw, jedyną szansą było dla mnie zbliżające się spotkanie z Seneką.

Podczas tych sześciu lat, które spędziłem w Grecji, pozycja mojego dawnego nauczyciela wzrosła. On sam zapewniał mnie też w listach, które wymieniliśmy między sobą, że wciąż ma słabość do swojego niegdysiejszego ucznia, jednego z najbardziej sumiennych.

– Dobrze wyglądasz! – ocenił Seneka, kładąc mi dłonie na barkach.

– Ty również – odwzajemniłem się. Obaj wiedzieliśmy, że nieco mijam się z prawdą. Wyglądał mniej więcej tak samo jak dawniej, z tym że przybrał trochę na wadze. Kręcone włosy przeredziły się, odsłaniając wysokie czoło; poza tym mój dawny nauczyciel miał teraz podwójny podbródek i znacznie więcej zmarszczek.

Staliśmy pośrodku jego domu, we wspaniałym prostokątnym atrium, otoczonym marmurowymi kolumnami, z kunsztowną fontanną pośrodku. Posadzkę wyłożono kolorowymi płytkami z marmuru, tworzącymi geometryczne wzory i wypolerowanymi, by uwydatnić żyłkowanie. W pobliżu fontanny Seneka z dumą wyeksponował czerwony marmur importowany z Egiptu. Jedna taka płyta była więcej warta niż całe moje mieszkanie. Wzdłuż ścian biegł fryz złożony z cennych malowideł, a przy kolumnach stały posągi.

Podążyłem za Seneką długim korytarzem i dalej po kilku schodkach do jego gabinetu. Pokój wychodził na wielki, zadbane ogród. Nieźle, jak na człowieka, który opowiadał się za stoicyzmem i potępiał życiowe zbytki.

Przez pierwsze kilka godzin omawialiśmy moje studia na Rodos, co przypominało mi dawne czasy. Seneka zasypywał mnie pytaniami; ta rozmowa uzmysłowiła mi, że nawet w swej najlepszej formie nie mogę równać się z byłym nauczycielem. Narzekaliśmy na moralny upadek Rzymu i na upowszechniające się krwiożercze obyczaje jego mieszkańców. Gdy konwersacja zesła z filozofii na politykę, Seneka zniżył głos i zaczął bardziej ważyć słowa.

– Czas zatarł większość wspomnień o twoim drobnym incydencie z Kaligulą, lecz rodzina wciąż paranoicznie się boi, żeby ludzie nie dowiedzieli się o jego cho-

robie. Lękają się, że to mogłoby zmniejszyć jego szanse na godność cesarską. – Sączyliśmy wino. Wyczułem, że Seneka ma zamiar wyjawic mi prawdziwy powód, dla którego mnie wezwał. – Agrypina i dom Germanika niestety nadal mają tu wielkie wpływy. – Kolejny łyk wina, spojrzenie znad kielicha. – W dzisiejszych czasach ścieżka prowadząca do władzy jest zdradliwa, szczególnie jeśli mieszka się w Rzymie. Łatwiej zdobyć stanowisko na prowincji i potem wrócić do Rzymu w sprzyjającym momencie.

Te słowa sprawiły, że ścisnęło mnie w brzuchu, a moje marzenia nagle zdały mi się bardziej odległe. Pewnie byłem naiwny, ale nie sądziłem, że bójka z Kaligulą sprzed sześciu lat wciąż będzie mnie prześladować.

– Co wiesz o Judei? – zapytał Seneka.

Judea?

– Wiem, że Żydzi mają twarde karki i trudno nimi rządzić – odparłem. – Wiem, że Poncjusz Piłat z trudem może sprostać temu zadaniu.

Seneka obdarzył mnie cierpkim uśmiechem, którym zwykle poprzedzał jakąś nieprzyjemną wiadomość. Z lękiem wyczekiwałem, co teraz powie.

– I właśnie dlatego potrzeba mu prawdziwego geniusza, który by sprawował przy nim funkcję asesora – podsumował Seneka.

Minęło parę chwil, zanim ta wiadomość w pełni do mnie dotarła. Asesor to główny doradca prawny prefekta, kogoś takiego jak Piłat. To stanowisko zwykle rezerwowano dla ludzi z większym doświadczeniem niż moje i o większych wpływach. Z tego względu była to wspaniała okazja. Jednak Judea zawsze była o krok od buntu, a Piłat miał wprawę w doprowadzaniu do wściekłości podległych mu Żydów. Pełnienie funkcji asesora byłoby najeżone niebezpieczeństwami i mogło łatwo skończyć się niepowodzeniem. Czy jednak mogłem odmówić swemu dobroczyńcy?

Seneka pochylił się ku mnie, być może zgadując moje myśli.

– Sejan nie ufa rodzinie Germanika – rzekł. To była dobra wiadomość. Sejan był człowiekiem, któremu Tyberiusz zostawił zarządzanie całym imperium, podczas gdy sam przemieszkiwał na Capri.

– To tylko kwestia czasu – przyobiegał Seneka. – Spędzisz trzy lata w Judei, a potem pomogę ci rozpocząć praktykę prawniczą w samym sercu Rzymu. Do tej pory rodzina Kaliguli powinna już przestać być zagrożeniem.

Potem rozmawialiśmy o zadaniu, które być może mnie czeka. Seneka wyjaśniał, jak może użyć swoich wpływów, by uzyskać dla mnie to stanowisko. Nie powiedziałem „tak”, ale też nie zniechęcałem byłego nauczyciela do tego pomysłu. Kiedy odprowadzał mnie do wyjścia, poklepując po plecach, było już ustalone, że Piłat za parę miesięcy może się spodziewać nowego asesora.

– A co się stało z poprzednim? – zapytałem.

Seneka machnął dłonią, jakby odganiał od siebie muchę.

– To nieważne. Poza tym łatwiej być następcą kogoś, komu się nie powiodło, niż tego, kto osiągnął spektakularny sukces.

Kiedy się już żegnaliśmy w portyku, Seneka wyskoczył z kolejną niespodzianką.

– Jest jedna sprawa, w której przydałaby mi się twoja pomoc, zanim wyjedziesz – oznajmił. – Wymaga spotkania z Flawią, westalką. Za dwa dni zaraz po Fordicidiach. Przyjmie nas na Forum po złożeniu ofiary.

Seneka rzucił to mimochodem, lecz prywatna audiencja u westalki nie należała do drobnostek. Starłem się ukryć entuzjazm, jak przystało na dobrego stoika.

– Mogę zapytać, w czym rzecz?

Obdarzył mnie protekcjonalnym uśmiechem, co często czynił, gdy jako uczeń zadawałem mu jedno z tysiąca moich pytań.

– Możesz – odrzekł – ale ja ci nie odpowiem.

Mówiąc to, klepnął mnie w ramię na pożegnanie.

Setki lat przed moim narodzeniem, za Numy Pompiliusza, drugiego króla Rzymu, kraj zniszczył głód. Pompiliusz zrozumiał, że to Tellus, bogini zbiorów, gniewa się na ludzi i że trzeba ją ułagodzić. Niepewny, co ma uczynić, by uratować swój kraj, król pomodlił się i otrzymał odpowiedź we śnie:

Królu, musisz przebłagać Ziemię parą krówek,
a jałówka niech odda swoje dwa żywoty.

Pompiliusz rozwiązał tę zagadkę, ustanawiając ofiarę z cielnej jałówki – czyli dwa żywoty w jednym – i tak narodziło się święto Fordicidiów. Ofiara z cielnej jałówki zapewniała obfite zbiory zboża, które już zostało zasiane i wzrastało w łonie Matki Ziemi. Nienarodzone cielę było istotą pośredniczącą – żywe, lecz jeszcze nienarodzone; niewinne, lecz złożone w ofierze. Ten rytuał, jak większość rzymskich rytów religijnych, rozrósł się w wiele dni świętowania i rozrywki.

W poranek dnia, w którym przypadały Fordicidia, spotkałem się z Seneką w owalnej świątyni Westy i obaj dołączyliśmy do tysięcy ludzi, którzy tłumnie wylegli na ulice, by obserwować ceremonię. Jak to zwykle bywało, pojawiło się tylko niewielu członków rzymskiej klasy panującej. Pobożnymi czcicielami bogów w Rzymie byli prości ludzie, a nie artyści, intelektualiści czy urzędnicy. Cycero powiedział kiedyś, że w Rzymie poeci mają swoją religię, filozofowie swoją, a mężowie stanu też swoją. Tylko częściowo miał rację. Mężowie stanu, jak mi się wydawało, nie wyznawali żadnej religii; wykorzystywali ją tylko do tego, by trzymać lud pod kontrolą. Poeci i filozofowie uwielbiali pisać o religii, lecz rzadko ją praktykowali. Tylko prości obywatele i żołnierze na polu bitwy naprawdę wierzyli w moc znaków pochodzących od bogów, przepowiednie oraz rytuały oczyszczenia i ofiary.

Seneka nie krył się z pogardą dla całej tej głupoty.

– Chcesz zjednać sobie bogów? – zapytał mnie kiedyś. – Prawdziwy wyznawca bogów to ktoś, kto postępuje jak oni.

Na moje własne przekonania religijne duży wpływ wywarł sceptycyzm Greków. *Lepiej nie wierzyć w nic, niż płaszczyć się przed bogiem, który jest gorszy niż najgorszy z ludzi.*

Lecz oto Seneka i ja byliśmy już na miejscu, potrącani przez tłum, buzujący adrenaliną i spragniony krwi. Ludzie wyteżali wzrok, by zobaczyć widowisko rozgrywające się przed wielkim marmurowym portykiem świątyni Westy.

Słudzy świątynni zbudowali na tę okoliczność ogromną, okrągłą drewnianą platformę, wspartą na ośmiu potężnych słupach. Stała na niej wielka, czarna jałówka, przytrzymana łańcuchami, których jeden koniec przyczepiony był do żelaznej obroży na jej szyi, a drugi przyszpilony do platformy. Muskularni niewolnicy

odziani w tuniki robili, co w ich mocy, by uspokoić zwierzę. Inni niewolnicy, szczuplejsi i bardziej zwinni, tańczyli w kręgu do wtóru bębnów. Gestykulowali szaleńczo, doprowadzając tłum do gorączki.

Gdy dudnienie bębnów przybrało na sile, a taniec na lubieżności, zacząłem się czuć nieswojo. Grecy nigdy się tak nie zachowywali.

Po lewej stronie podium widać było Sejana, przystrojonego w powłóczyste, czerwone szaty. To on sprawował rządy pod nieobecność Tyberiusza. Był mężczyzną o srogim wyglądzie, z twarzą ogorzałą od wojskowych wypraw. Dzisiaj to Sejan przybywał tu jako *Pontifex Maximus*.

Dostojnik zdawał się niezbyt interesować przebiegiem uroczystości. Przypartywał się gapiom, ledwie zwracał uwagę na tancerzy, którzy wirowali w coraz bardziej wulgarnym tańcu. Teraz do zmysłowego płąsu dołączyły kobiety, lecz Sejan stał z kamienną twarzą, jakby był ponad to wszystko i po prostu czekał, kiedy się to skończy.

Pod platformą klęczała piękna, młoda kobieta. Twarz uniosła, ręce miała rozłożone. Wydawało się, że zatraciła się w transie, w uwielbieniu dla bogów. Długie i lśniące czarne włosy spływały jej kaskadą na ramiona, kontrastując ze śnieżnobiłą szatą.

– To Flawia – powiedział Seneka.

W tym akurat momencie oczy wszystkich były zwrócone nie na nią, lecz na podium, gdzie właśnie pojawiła się przełożona westalek, kobieta imieniem Kalpurnia. Niedawno skończyła trzydzieści lat i pozostało jej siedem lat do ukończenia służby.

– Bardzo poważnie traktuje swoją rolę – szepnął Seneka, jakby to było coś haniebnego. On sam uważał całą tę ceremonię za farsę. – Wątpię, czy kiedykolwiek wyjdzie za męża.

Kalpurnia była drobną kobietą, rude włosy miała splecione w warkocze i upięte szylkretowymi grzebieniami zdobnymi w klejnoty oraz szpilkami z kości słoniowej. Byłem pewien, że spędziła długie godziny na przygotowaniach do tej chwili. Tak jak Sejan, zdawała się nie zauważać tancerzy, wpatrzona gdzieś w horyzont ponad głowami tłumy.

Kiedy już myślałem, że tłum eksploduje w ekstazie, jeden z niewolników wręczył Kalpurnii nóż z długą rękojeścią. Ujęła go obiema dłońmi i uniosła nad głową, co zebrani powitali gromkim rykiem. Dźwięk bębnów się wzmógł, tancerze przyspieszyli, a tłum falował, niecierpliwie wyczekując tego, co miało się teraz wydarzyć.

Kalpurnia stanęła za jałówką, uniosła wysoko nóż, wpatrując się weń, jakby była w nim zaklęta jakaś moc. Potem, trzymając go oburącz, zamasyście zadała gwałtowny cios, przecinając podgardle wielkiego zwierzęcia.

Bębny zamilkły, tłum się uciszył, a zwierzę opadło na kolana. Krew spływa-

ła przez dziurę wyciętą w podium wprost na głowę Flawii, skrapiając ją szkarłatnym deszczem, mierzwiąc jej włosy, zalewając twarz i ciało. Westalka klęczała tak pod krwawą kaskadą, z dłońmi zwróconymi ku górze. Krew przemoczyła doszczętnie jej białą szatę, która teraz przylegała do ciała jak druga skóra.

Po chwili Flawia otarła krew z oczu i otworzyła je. Tęczówki barwy migdała oraz białka oczu kontrastowały ze szkarłatem twarzy. Odgarnęła włosy do tyłu, jeszcze raz przetarła oczy i wstała, odwracając się twarzą do tłumu, z uniesionymi wysoko ramionami. Całe Forum rozbrzmiało radosnymi okrzykami, jeszcze głośniejszymi niż dotąd. Tellus została obłaskawiona; Matka Ziemia wyda swój plon; Rzym będzie się cieszył dostatkiem.

Flawia, wciąż ociekając krwią, podeszła do Sejana i uklękła przed nim. Tłum znów się uspokoił, patrząc, jak dostojnik kładzie rękę na głowie westalki i mruży coś, czego nie mogłem dosłyszeć. Flawia skłoniła głowę i zamknęła oczy, napawając się błogosławieństwem z rąk drugiego pod względem potęgi człowieka w Rzymie.

– Witamy z powrotem – skomentował to Seneka.

Oddaliliśmy się przed drugą częścią rytuału, w trakcie której wyciągano płód cielęcia i palono go w ofierze. Westalki przechowywały popioły i wsypywały je potem do ogniska podczas święta Pariliów.

Torowaliśmy sobie drogę przez tłum, rozpychając się łokciami, aż w końcu znaleźliśmy na tyle spokojne miejsce, by porozmawiać na osobności.

– Wypatrzyła nas w tłumie – stwierdził Seneka. – Mamy się później spotkać na Forum, ale pewnie będzie się dla niej liczyło, że uczestniczyliśmy w ofierze.

Dopiero przyzwyczajałem się do tego, że Seneka traktował mnie jak równego sobie. Za parę godzin mieliśmy się zobaczyć z jedną z dziewic westalskich. Mężczyzna w moim wieku i mojej pozycji nigdy nie miałby takiej sposobności, gdyby nie wpływy przyjaciela i dawnego nauczyciela.

Wiedziałem jednak również, że muszę być z nim szczery.

– Bogowie greccy są mniej krwiożerczy – zauważyłem.

– Wiem – odrzekł Seneka, nie patrząc na mnie. – I Grecy nie rządzą światem.

Podczas pobytu w Grecji brakowało mi Forum Romanum, a nawet tych zadufanych polityków i chciwych przedsiębiorców, kłębiących się w sercu cywilizowanego świata. W tym miejscu chodziło o to, by widzieć i być widzianym. Chłonałem tę energię, gdy Seneka i ja czekaliśmy na spotkanie z Flawią pod Łukiem Augusta.

Chwilę po naszym przybyciu dostrzegłem na Via Sacra towarzyszącą westalce świętą. Flawia siedziała w lektyce ozdobionej srebrem i jarzącymi się w słońcu klejnotami. Niosło ją czterech włochatych Etiopczyków o wydatnych torsach. Lektykę poprzedzali liktorzy, torując jej drogę okrzykami i od czasu do czasu uderzeniem laski.

Ludzie rozstępowali się, robiąc przejście dla Flawii. Niektórzy gapie witali ją spontanicznymi brawami. Fortuna uśmiechała się do każdego, kto znalazł się w pobliżu – sama jej obecność miała w sobie taką moc, że jeśli cień uświęconej dziewicy przypadkowo padł na drogę skazańca, uwalniano go bez dyskusji.

W Rzymie było tylko sześć czynnych westalek, choć kobiet pełniących posługę w świątyni Westy było w sumie osiemnaście. Sześć najmłodszych to uczennice, kolejne sześć, wliczając Flawię, sprawowało czynną służbę. Najstarsza szóstka pełniła rolę nauczycielek młodszych i przewodniczyła najważniejszym ceremoniom. Dlatego też to starsza westalka, Kalpurnia, przecięła gardło jałówce, a młodsza, Flawia, trafiła pod krwawy prysznic.

Wszystkie westalki były wybierane przez samego cesarza na trzydzieści lat posługi. Był to swego rodzaju konkurs piękności dla wyższych sfer. Rodziny patrycjuszy z całego imperium przyprawdzały swoje córki w wieku od sześciu do dziesięciu lat do domu westalek, *Atrium Vestae*. Prawo nakazywało, by dziewczynki nie miały żadnych defektów fizycznych ani umysłowych i by były córkami obywateli rzymskich. Zgodnie ze zwyczajem dziewczynki musiały być również piękne i nadzwyczaj inteligentne.

Przełożona westalek oglądała setki kandydatek, zawężając wybór do jakiegoś tuzina. Wtedy kandydatki oceniał sam cesarz. Był to jeden z najbardziej męczących poranków, jakie znała nasza kultura. Małe dziewczynki odpowiadały na grad pytań cesarza, wycieńczone skrupulatnym indagowaniem, aż w końcu imperator typował najbardziej obiecujące kandydatki.

Wówczas dziewczynki ustawiały się w szeregu, a rodzice stawali za nimi. Cesarz kolejno podchodził do zwyciężczyń i wyciągał ku nim rękę.

– Wybieram cię, *amata*, ukochana, na kapłankę Westy. Będziesz sprawować święte obrzędy w imieniu ludu rzymskiego.

Następnie wyprowadzał wybranki, oddzielając je od rodziców. Małym

dziewczynkom często drżały wargi, oczy wypełniały się łzami. Nie wolno im było oglądać się za siebie. Golono im głowy, po czym zamieszkiwały przy świątyni Westy. Rodzice opuszczali świątynię z ciężkim sercem, ale i dumni, że ich córka znalazła się w gronie wybranek.

Amata. Ukochana. Ta, którą wybrał *Pontifex Maximus*.

Flawia była pierwszą westalką wybraną przez Tyberiusza, który, jak mówiły pogłoski, potrafił wyłowić przyszłe piękności. Już w młodym wieku Flawia przyciągała spojrzenia. Znana była ze swojej radości życia.

Poczułem się nieco przytłoczony majestatem zbliżającej się dostojniczki.

– Jesteś pewien, że powinienem przy tym być? – zapytałem.

Seneka nawet nie raczył na mnie spojrzeć.

– Studiowałeś u najlepszych greckich retorów – odparł, zapatrzony przed siebie, jakby westalka go urzekła. – Nie wspominając już o twoich znakomitych pedagogach w Rzymie. Postaraj się tylko nie przyćmić swojego nauczyciela.

Próbowałem przekonać sam siebie, że Seneka się nie myli. Rzeczywiście, przygotowywano mnie do tego. Cała ta praktyka, zdobyta nad Morzem Egejskim, roztrząsanie i analizowanie słów wielkich filozofów i mówców, nawet fizyczna dyscyplina wyniesiona z gimnastyki – to wszystko się opłaciło. Mistrzowsko opanowałem swoją sztukę. Byłem bardziej niż gotów na tę chwilę.

Nie byłem za to wyrobiony towarzysko, czego na tym poziomie rzymskiego społeczeństwa wymagano bezwzględnie, i nie wydoskonalilem sztuki samooszukiwania. Dlatego im bardziej Flawia przybliżała się do nas, tym większą czułem suchość w ustach. Serce biło mi tak mocno, że myślałem, iż rozerwie mi togę. Przy najmniej był przy mnie Seneka. Ten człowiek nigdy nie zapominał języka w gębie.

Nie mogłem się powstrzymać od gapienia się na orszak Flawii, który zatrzymał się przed nami. Westalka wysiadła z lektyki, odziana w lśniącą białą szatę i długą pallę, spiętą broszką i zarzuconą na lewe ramię. Włosy miała upięte tak, jak nosiły się kapłanki – podzielone na sześć warkoczy, splecionych wokół głowy na kształt korony. Słyszałem, że do tej fryzury trzeba mieć włosy długie do pasa.

Flawia odprawiła liktorów, którzy ustawili się w półkręgu wokół Łuku Augusta, by zrobić nam miejsce.

Natychmiast uznałem tę kobietę za atrakcyjną. Miała wielkie, brązowe oczy, pełne wargi i piękny, niewymuszony uśmiech, który często pojawiał się na jej ustach. Wydawała się bardzo rozluźniona, jak na osobę zajmującą tak wysoką pozycję. Poczułem, że stoję w obliczu wielkości, choć była tylko o dwa lata starsza ode mnie.

Uśmiechnęła się do Seneki, gdy ten powitał ją zwyczajowym pocałunkiem w rękę. Poszedłem za jego przykładem.

– Niektórzy powiadają, że z ciebie drugi Cyncero – zagaiła.

Seneka próbował zbyć komplement.

– Są ludzie, co powiedzą wszystko, byle się przypochlebić.

Uśmiechnęła się szeroko, gdyż wpadł w jej pułapkę.

– W moich kręgach porównanie do Cycerona, orędownika republiki i krytyka wszystkiego, co związane z imperium, niekoniecznie musi być komplemmentem.

– Ten człowiek miał talent populisty – stwierdził Seneka takim tonem, jakby to było przestępstwo.

Szybko przedstawił mnie Flawii i opowiedział jej, że studiowałem w greckiej szkole Molona. Twarz jej się rozjaśniła.

– Uwielbiam Greków – rzekła. – To idealisci. Tworzą kulturę i filozofie. My budujemy drogi.

Podeszła pół kroku i dotknęła mojego ramienia.

– Opowiedz mi o szkole Molona. Jedną z wad bycia westalką to niedostatek podróży.

W tym momencie zawiodło całe moje retoryczne wykształcenie. Język zdawał się mnie nie słuchać i ledwie wyjąkałem pierwsze parę zdań. Mimo to zdumiałem się, widząc, jak uważnie słucha mnie Flawia, chłonęła każde słowo, niemal nie mrugając powiekami, a ja czułem się jak najważniejszy człowiek na świecie. Flawia odznaczała się niemal nieodpartym urokiem i rozbijającą osobowością. Jej wypowiedzi zdradzały żywość umysłu, a ton miała tak przekonujący, że tylko się uśmiechałem i kiwałem głową.

Po dłuższej chwili niezobowiązującej rozmowy Flawia ściszyła głos i spoważniała. Byłem gotów uczynić, o cokolwiek poprosi.

– Byłeś ostatnio na igrzyskach? – spytała Seneki.

– Igrzyska to ciemna strona Rzymu – zmarszczył brwi filozof. – W tych dziesięciu godzinach szlachtowania kumulują się najniższe i najpierwotniejsze instynkty naszych obywateli.

Flawia skinęła głową, zmartwienie zarysowało bruzdę na jej czole.

– Mdli mnie od tych rzezi, Seneko, i podejrzewam, że podzielasz moje uczucia. Może byłbyś w stanie mi pomóc jako jeden z najświetlejszych umysłów Rzymu.

Seneka był na tyle mądry, że nie spieszył się z odpowiedzią. Rozumiał, że igrzyska są ważną częścią politycznego systemu. Mówiono, że Tyberiusz to cesarz „chleba i igrzysk”. Uszczęśliwiał masy, zaopatrując setki tysięcy ludzi w darmowy chleb i darmową rozrywkę – najbardziej brutalne i krwawe igrzyska, jakie imperium kiedykolwiek oglądało. Zaś egzekucje, które wykonywano podczas przerwy na posiłek, miały jasno unaoczniać, że wykroczenie przeciw Rzymowi oznacza bolesną i haniebną śmierć.

– Słyszałam, że Tyberiusz w gruncie rzeczy nie popiera igrzysk – ciągnęła Flawia. – Siedzę w łożu z Sejanem, który sam ledwie je znosi. Ale te rzezie są co-

raz gorsze. Z każdym przedstawieniem ginie coraz więcej ludzi, a tłumy się nudzą, jeśli krew nie płynie coraz obficie. Twoje opinie są wysoko cenione, i tutaj, i na wyspie Capri. Wyświadczyłbyś mi osobistą przysługę, pisząc do Tyberiusza w sprawie igrzysk. Poprosiłam o to również kilku innych wpływowych obywateli, w tym trzech senatorów. – Nie spuszczała wzroku z Seneki, a ja podziwiałem promieniającą z niej witalność.

Znałem mego mentora na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest człowiekiem pełnym sprzeczności. Opowiadał się za stoicyzmem, lecz żył w luksusie. Głosił mowy o obojętności, lecz łaknął aprobaty. Potrzebował popularności tak, jak winogrona potrzebują deszczu, a nic nie mogło zniweczyć tej popularności szybciej niż wystąpienie przeciw igrzyskom.

– Sądzę, że przeceniasz mój wpływ na Tyberiusza – odparł z udawaną pokorą. – I nie jestem pewien, czy aż tak nie lubi igrzysk, jak mówisz. Jednak chętnie pomogę na tyle, na ile jestem w stanie. Daj mi parę dni, a z pewnością przygotuję coś godnego twej prośby.

Flawia uśmiechnęła się, wylewnie podziękowała Senece i ucałowała go w oba policzki. Mnie pożegnała podobnie. Patrzyłem zbaraniały, jak oddala się po zakończonej misji. Podziękowała nam jeszcze raz i pomachała ręką, wsiadając do lektyki.

Gdy obserwowaliśmy, jak się oddala, zdałem sobie sprawę, że Flawia dokonała czegoś, czego przed nią nie zdołał dokonać żaden wielki mówca. Wprawiała Senekę w osłupienie, choć nawet się o to nie starała.

– I tak nigdy nie lubiłem igrzysk – mruknął Seneka, wciąż wpatrzony w świętą westalki.

– Zabawne – odparłem. – Nigdy mi o tym nie wspominałeś.

Po naszym spotkaniu z Flawią Seneka poprosił, bym popróbował swoich sił i opracował szkic listu do cesarza. Z wielką energią zabrałem się do dzieła. Wiedziałem, że kogoś takiego jak Tyberiusz nie zrazi krwawa masakra. Dowodził legionami w Germanii, Panonii i Illirii i bez wątpienia skazał tysiące jeńców na ukrzyżowanie. Na polu bitwy widział krew lejącą się strumieniami obfitymi jak Tybr. Kazał przywiązywać dezserterów do dwóch koni, a potem popędzać rumaki batem, aż rozrywały człowieka na pół. Z pewnością nie przejmie się śmiercią paru tysięcy gladiatorów i skazańców.

Wymyśliłem jednak pewien sposób, który mógł zadziałać.

Tyberiusz był niebywałym paranoikiem. Pewnego razu na skały Capri wdrapał się jakiś rybak, by ofiarować cesarzowi świeże ryby. Tyberiusz, zatrwożony faktem, że rybakowi udało się ominąć strażę, kazał podrapać mu tymi rybami twarz.

Podobno rybak powiedział później: „Dobrze, że nie przyniosłem mu krabów!”.

Kiedy wieść o tym dotarła do uszu Tyberiusza, kazał ponownie przyprowadzić tego nieszczęśnika do siebie.

– Podrapcie mu twarz krabami! – rozkazał.

Taki charakter miał człowiek, który panował nad Rzymem, a który miał być adresatem naszego listu. Dzierżył wielką władzę, a potajemnie wierzył, że połowa Rzymu spiskuje przeciw niemu. Podejrzewał, że pod każdą togą kryje się sztylet.

Miał też obsesję na punkcie spuścizny, jaką pozostawi po sobie. Władców oceniano po tym, co zbudowali i kogo zwyciężyli. Oba cele wymagały silnej gospodarki. I od tego zacząłem.

Przez trzy dni gromadziłem dane. Udałem się do obozu szkoleniowego gladiatorów, gdzie informacji mogli mi udzielić *lanistae* – trenerzy i właściciele szkoły. Dałem do zrozumienia, że pracuję dla Flawii, choć nie objaśniałem, jakiej natury jest moje zadanie. Sprawdziłem rejestry zgonów. Zestawiłem programy minionych walk. Rozmawiałem ze znajomymi, którzy byli zagorzałymi zwolennikami igrzysk i pilnie śledzili rozgrywki. Zebrałem argumenty. Chciałem, by Seneka był ze mnie dumny. Kiedyś, w szkole, byłem jego ulubionym uczniem. Teraz on był moim dobroczyńcą i obaj wiele ryzykowaliśmy.

Rozpocząłem list zgodnie ze zwyczajem, sławiąc cesarza, a potem przywołałem bunt Spartakusa. Gladiatorzy zabili swoich trenerów i przez trzy lata walczyli z rzymskimi legionami. Krassus ukrzyżował sześć tysięcy buntowników.

Według moich obliczeń w Rzymie szkolono obecnie co najmniej szesnaście tysięcy gladiatorów. Prawie dorównywali liczbą trzem rzymskim legionom razem

wziętym, a już na pewno przewyższali gwardię cesarską stacjonującą w Rzymie, czyli pretorianów. Gladiatorzy wywodzili się przede wszystkim z niewolników lub jeńców wojennych – nieprzyjaciół Rzymu. Jeśli Spartakusowi udało się wzniecić rebelię z paroma tysiącami ludzi, to czego mógłby dziś dokonać jego następca? Spartakus przynajmniej był daleko od Rzymu. Teraz gladiatorów szkolono niemal w cieniu cesarskiego pałacu.

Na tym nie koniec. Gladiator dożywał przeciętnie dwudziestu dwóch lat. Trzy czwarte z nich ginęło, nim odbyło obowiązkowe dziesięć walk. Średnio dożywali szóstej walki. Szacowałem, że każdego roku w imperium ginie około ośmiu tysięcy gladiatorów, a znalezienie i wyszkolenie ich następców kosztuje w sumie więcej niż sześć milionów sestercji. Igrzyska, dowodziłem, okradają cesarstwo, zmniejszając jego szanse na rozwój i rozbudowę.

Jeśli zaś tego roku zginęło osiem tysięcy, to w następnym trzeba będzie dziesięciu tysięcy ofiar, by zaspokoić mordercze żądze widzów. Był to ogromny wydatek i przyczajone niebezpieczeństwo dla Rzymu. Dlaczego by nie ograniczyć igrzysk? A w zamian postawić na wyścigi rydwanów i inne zawody, które nie kończą się śmiercią?

Przez trzy dni ślęczałem nad listem, wciąż przepisując go od nowa, aż w końcu poczerwieniały mi oczy. Przez ten czas spałem tylko dziesięć godzin. Wiedziałem jednak, że wysiłek się opłaci, jeśli Seneka, przeczytawszy list, skinie z aprobatą głową i z dumą go podpisze.

Kiedy w końcu pokazałem mu swoje dzieło, dokładnie je przestudiował, podczas gdy ja wstrzymywałem oddech. Przecież ten list miał trafić do rąk samego imperatora! Seneka skończył czytać, zmarszczył brwi i pomilczał chwilę, która zdawała mi się nieznośnie długa.

W końcu podniósł wzrok.

– Czego nauczyłeś się w Grecji o najbardziej skutecznym sposobie przekonywania? – zapytał.

Teraz się przyjaźniliśmy, ale on wciąż był nauczycielem. Odpowiedziałem pewnie, choć widoczna dezaprobatą Seneki już popsuła mi humor.

– Etos, patos i logos – odparłem. – Arystoteles. Najlepszym adwokatem jest ten, kto łączy osobistą wiarygodność, wpływ na emocje oraz solidną logikę.

Wyrzekłszy te słowa, wiedziałem już, co odpowie Seneka. W moim liście było mnóstwo logiki, lecz mało emocji. Taki jednak był mój zamiar. Klasyczne formy perswazji nie zadziałają na człowieka pokroju Tyberiusza. Cesarz był chłodny, sceptyczny, podejrzliwy. Przejrzy sztuczki, mające wzbudzić emocje, i odniesie się do nich niechętnie. Rozważyłem to wszystko, bledząc się nad każdym słowem listu.

Jednak Seneka nie poruszył tego tematu.

– Zawsze dobrze ci szło z książkami, Teofilu. Ale w prawdziwym życiu na

ludzi najmocniej wpływają historie. Z faktami jest tak, że wpadają do głowy, a tam odbijają się od pancerza naszych uprzedzeń, rozsiekane mieczami przesądów. Historie natomiast trafiają wprost do serca. Tyberiusz już od dawna nie był na igrzyskach. Musimy mu przypomnieć, jak czuje się ich widz, jak to widowisko gasi ludzkiego ducha i osłabia duszę.

Seneka wyznaczył mi spotkanie na świątecznych igrzyskach Fordicidiów. Już wcześniej zdecydowałem, że wezmę w nich udział, jak przystało każdemu, kto zamierza wejść do rzymskich wyższych sfer. Te igrzyska były głównym towarzyskim wydarzeniem Rzymu. Należące do elity tego miasta rodziny senatorów spotykały się tam z przyjaciółmi, tam zawierano kontrakty i przymierza, umacniały swoją pozycję i szanse na awans. Jeśli Forum stanowiło ośrodek nerwowy Cesarstwa Rzymskiego, to igrzyska – przynajmniej obecnie, dopóki Tyberiusz nie zarządził inaczej – były sercem imperium, pompującym krew w jego arterie.

Wyjeżdżając z Rzymu, byłem zbyt młody, by wolno mi było w nich uczestniczyć, dotąd więc nie widziałem igrzysk na własne oczy.

– Lepiej coś zjedz, zanim usiądziesz na trybunach – poradził Seneka. – Do obiadu stracisz apetyt.

Circus Maximus był największą areną świata. Długi na ponad dwa tysiące stóp i niemal na czterysta stóp szeroki, dysponował miejscami siedzącymi dla ponad stu pięćdziesięciu tysięcy widzów. Gdy emocje sięgały zenitu, na przykład gdy rydwany szły łeb w łeb albo gdy dwaj gladiatorzy mieli równe szanse, ryk tłumu toczył się jak grzmot ponad siedmioma wzgórzami Rzymu, spadał na miasto i rozbrzmiewał podwójnym echem. Doświadczeni widzowie twierdzili, że po tym hałasie dzwoniło im w uszach jeszcze przez jakiś czas, jakby fale Morza Śródziemnego uderzały w ich głowy. Arena, powiadali, dosłownie trzęsie się od tej wrzawy.

Tyberiusza oczywiście nie spodziewano się na igrzyskach, ale ludzie nie dbali o to. Widowisku miał przewodniczyć Sejan, Tyberiusz za nie zapłaci – czegoż więcej można chcieć od cesarza?

Dwa dni wcześniej na tej samej arenie odbyły się wyścigi rydwanów, cieszące się niesłabnącą popularnością. Zawodnicy niemal ramię przy ramieniu prowadzili swoje kwadrygi dookoła niskiego muru, zbudowanego pośrodku podłużnej areny. W zakładach zdobywano i tracono całe majątki.

Następnego wieczora tysiące niewolników wysypało arenę piaskiem i ustawiło wyszukaną scenografię do dzisiejszych igrzysk, z mnóstwem krzewów i drzew, które przemieniły to miejsce w kawałek Afryki. Igrzyska miały się zacząć od polowania.

Miejsca siedzące na trybunach starannie podzielono. Sejan, kilku senatorów, niewolnicy cesarscy i westalki zajmowali miejsca pod czerwonym, wyłożonym kafelkami zadaszeniem łoża cesarskiej. Pozostali senatorowie, olśniewający w swych obszywanych złotem togach, siedzieli po obu stronach łoża. Ekwici tacy jak ja mieli prawo zająć przestronne siedziska najbliżej areny, kamienne ławy z mnóstwem miejsca na nogi. Nad nami, na drewnianych ławach, siedzieli pozostali obywatele rzymscy – wyzwoleńcy. Kobietom wolno było zajmować tylko najwyższe rzędy.

Siedziałem obok Seneki, niemal naprzeciwko łoża cesarskiej. Doskonałe miejsce, by obserwować zarówno igrzyska, jak i reakcje Flawii. Miejsca, które przysługiwały mojej rodzinie, znajdowały się o kilka rzędów wyżej i dalej od centrum areny. Dziś jednak towarzyszyłem Senece, a przyjaźń dawała pewne przywileje.

Odpowiednio późno rozbrzmiały fanfary, zapiszczały flety i wkroczył barwny pochód, który zmierzał tu z cesarskiego pałacu. Słońce wisiało nisko na niebie po mojej lewej stronie, promienie odbijały się od postaci Sejana i jego świty; refleksy padające od długich, lśniących trąbek wprost oślepiały. Pochód prowadził Sejan, przystrojony w purpurową togę. W tłumie wybuchła wrzawa. Dalej szli dwaj konsulowie i garstka senatorów. Następne były westalki; zdawały się tu nie paso-

wać w swych białych, atlasowych szatach i z elegancko splecionymi włosami. Zauważyłem, że Flawia jest nieco niższa od pozostałych. Trzymała jednak głowę wysoko i wyglądała majestatycznie, gdy zasiadała na swoim miejscu, kilka rzędów poniżej Sejana. Jeśli nawet nie cierpiała igrzysk, to niczym tego nie zdradzała.

Gdy wiwaty ucichły i widzowie usiedli, przez arenę przemaszerowali skazani przestępcy. Skuci w łańcuchy, upokorzeni, wpatrywali się w piasek pod stopami. Strażnicy trzymali nad ich głowami tabliczki, na których wypisano przestępstwa. Praworządni obywatele gwizdali i szydzili z więźniów, chociaż z niewielkim entuzjazmem. Przestępcy wywodzili się z wyzwoleńców i niewolników, nie byli obywatelami Rzymu. Skazano ich za morderstwa, podburzanie lub kradzież ze skarbcza państwowego. Znalazłoby się wśród nich ludzi każdego koloru skóry i każdej możliwej nacji. We mnie dała o sobie znać moja profesja adwokata, który zawsze opowiada się za najslabszymi. Przypuszczałem, że ci ludzie mogliby uniknąć kary, gdyby stać ich było na lepszego prawnika.

Gdy skazańcy zeszli z areny, wkroczyli gladiatorzy. Wszyscy byli potężnej postury, uzbrojeni w różną broń, gotowi, by zabijać. Poddawano ich masażom, natłuszczano oliwą i dobrze karmiono – *lanistae* dbali o swoje inwestycje. Poległy gladiator, jak powiedział mi pewien *lanista* trzy dni wcześniej, gdy zbierałem materiały, to kosztowny gladiator.

Sejan wstał. Ogłaszał imię i przebieg walk każdego gladiatora, po czym czekał na tradycyjne pozdrowienie: „Idący na śmierć pozdrawia cię!”. Odpowiadał skinieniem głowy i na przód występował kolejny gladiator.

Wszędzie wokół mnie z rąk do rąk przechodziły pieniądze, wybuchały też przyjazne spory, jakie *ludi* najlepiej wyrabiają gladiatorów i jaka broń najszybciej przynosi śmierć. *Gdybyż Rzymianie równie mocno interesowali się prawem, polityką czy filozofią.*

Seneka zaczął rzucać drwiące uwagi, przedrzeźniając widzów. Mówił, że chciałby postawić na tego lub owego z walczących, bo podoba mu się kolor jego tarczy. Podziwiałem odwagę gladiatorów i wyznałem to Senece.

– Chcesz usłyszeć o prawdziwej odwadze? – zagadnął. Po czym opowiedział mi o germańskim gladiatorze, który przed widowiskiem wyszedł do ubikacji, jedyne miejsce, gdzie nikt nie mógł go obserwować, i zadławił się na śmierć, wtykając sobie do gardła gąbkę na kiju. – Ten człowiek rzucił wyzwanie wszystkim, sam wybrał sobie rodzaj śmierci! – rzekł Seneka.

– I to czyni z niego bohatera?

– To mój ulubiony gladiator wszech czasów.

Poranne igrzyska zorganizowano z zadziwiającą precyzją. Wokół areny ustawiono metalowe ogrodzenie, za które następnie wpuszczono dzikie zwierzęta. Potem wybijano je ze śmiertelną skutecznością. Łucznicy i oszczepnicy popisywali się celnością, zostawiając za sobą szlak z powalonych lwów, panter, a nawet niedźwiedzi. W pewnym momencie na arenie zapanował malowniczy bezład, gdyż wypuszczono dwadzieścia pięć strusi, które trzepotały skrzydłami w szaleńczej próbie ucieczki. Wybito je w kilka chwil.

W połowie ranka jednego z myśliwych zabił niedźwiedź, lecz poza tym piasek splamiła tylko zwierzęca krew. Po dwóch godzinach tej jatki arena była usłana zwłokami zwierząt. Zrozumiałem wtedy, dlaczego każdy, kto przekraczał bramy cyrku, trzymał w dłoni małe naczynie z kadzidłem.

Okolo południa tłum zaczął się niecierpliwic i rozpoczęła się loteria. Rano przy wejściu otrzymaliśmy numerki. Kiedy usunięto poranną scenografię, przewodniczący igrzyskom urzędnik nakazał, by zaczęto ćwiartować zwierzęta, wywołując jednocześnie numery. Ten szczęśliwiec wygrywa nogę strusia! Temu przypada powalony niedźwiedź! Nagrody prawie zawsze trafiały do wyzwolenców tłoczących się w trzecim i czwartym rzędzie, co zupełnie nie przeszkadzało tym z nas, którzy zajęli niższe rzędy. My mogliśmy sami sobie kupić dzikie zwierzęta.

Prawdziwa rzeź zaczęła się w porze obiadu. Żołnierze znów wyprowadzali na arenę skazańców, jednego po drugim, aby dokonać egzekucji na oczach tłumu. Pierwszemu ścięto głowę. Krótka i bezbolesna śmierć, ale to była dopiero rozgrzewka. Potem przyszła pora na ukrzyżowanie. Ludzie wokół mnie łupali orzechy i daktyle, zakładając się, ile czasu minie, nim skazańcowi połamią golenie i nim wyda on ostatnie tchnienie. Poczulem mdłości, widząc, jak żołnierze wbijają gwoździe w przeguby i stopy więźnia.

Nie zabrakło też ognia. Natartego oliwą i smołą skazańca przywiązano do pala. Gdy liznęły go płomienie, wydał krzyk, który mroził krew w żyłach. Tłum przyjął to obojętnie. Widzowie ani nie klaskali, ani nie odwracali głów.

Jeden po drugim wchodzili kolejni więźniowie, ludzie skazani za poważne przestępstwa przeciwko państwu. Jedyłą żywszą reakcją tłumu – nieco braw i okrzyków – wzbudzili ci, których zaatakowały i rozszarpały dzikie bestie.

Te obrazy niewątpliwie mogły podziałać odstrasząco – wiedziałem, że zostaną w mojej pamięci na długo. Jednak w przeciwieństwie do większości widzów ja zbyt dużo wiedziałem o rzymskim systemie sprawiedliwości, by wierzyć, że wszyscy ci ludzie zasłużyli na śmierć.

Wiedziałem, że wielu z tych nieszczęśników bronili najgorsi adwokaci, jakich mógł zaferować Rzym. Przez tę całą sprawę coraz bardziej przynaglało mnie

pragnienie, by zostać prawnikiem. Nie mogłem zapobiec wszystkim egzekucjom – już sama próba ukrócenia walk gladiatorów okazała się wystarczającym wyzwaniem – ale pewnie mógłbym powstrzymać choć kilka z nich. Mógłbym przynajmniej osiągnąć tyle, że paru naprawdę niewinnych ludzi nie będzie musiało wkraczać do amfiteatru pełnego rzymskich obywateli, by zapewnić im kilka chwil rozrywki w czasie przerwy na obiad.

Kilkakrotnie przyłapałem się na tym, że badam reakcje Flawii i pozostałych westalek. Inni widzowie gwarzyli między sobą, Flawia zaś obserwowała wydarzenia na arenie niczym władczyni, ani razu nie odwracając spojrzenia od masakry. Wyobraziłem ją sobie w wieku siedmiu czy ośmiu lat, gdy dopiero co wybrano ją do szaczonej funkcji westalki i zmuszano do patrzenia, jak pali się żywcem nagich mężczyzn. W czasie gdy inne dziewczynki zasypiały tulone przez matki, Flawię szkolono na kapłankę. Uczono ją między innymi z kamienną twarzą przyglądać się najgorszej przemocy, jaką zdołał obmyślić zdeprawowany ludzki umysł.

W połowie przerwy obiadowej Seneka uznał, że dość już zobaczył.

– Przyjdź do mnie jutro rano, dokończymy ten list – powiedział. – Dzisiaj po południu będę zajęty.

Byłem rozdarty, bo z jednej strony chciałem wyjść razem z nim, z drugiej – musiałem przyznać, że ciągnęło mnie, by zostać. Wytrzymałem już najgorsze, a tłum powoli wracał na miejsca. Walki gladiatorów przynajmniej można było nazwać sportem. Ci mężczyźni mieli sporą szansę na przeżycie, niektórzy wywalczą sobie wolność. Zresztą wielu z nich – ci, którzy urodzili się jako wyzwolenicy – zostawało gladiatorami z wyboru. Skoro starałem się ukrócić całe to przedsięwzięcie, to chyba powinienem ujrzeć na własne oczy, czemu się przeciwstawiam?

Spodziewałem się, że pojedynki będą się odbywać po kolei. Byłem więc zaskoczony, słysząc, że przed pierwszą rundą ogłoszono od razu cztery pary imion. Wywołani ustawili się w różnych miejscach areny, dzięki czemu widzowie w każdym sektorze mogli przyglądać się walce z bliska.

Rozpoczął się bój, błyszczący metal i lśniące ciała zwały się w śmiertelnym zmaganiu, a emocje w tłumie rosły. Trudno było to wszystko pojąć – złapałem się na tym, że odwracam głowę to ku jednej, to ku drugiej parze gladiatorów, przyciągany rykiem tłumu.

Patrząc na arenę, mimo woli stawiałem się na miejscu gladiatorów. Co myśleli? Jak to jest, gdy w żyłach buzuje tyle adrenaliny? Co się czuje, zabijając przeciwnika albo samemu ginąc?

W Grecji urosłem ponad przeciętność i w zawodach atletycznych niekiedy wygrywałem z przeciwnikami cięższymi ode mnie. Byłem szybki i silny jak na swój wzrost. Jednak gladiatorzy zostali ulepieni z innej gliny. Czuję się mały, gdy zwiedzałem ich obóz szkoleniowy trzy dni temu, onieśmielony rzeźbą ich mięśni i intensywnością spojrzenia.

Wiedziałem, że w starciu z nimi nie wytrzymałbym nawet kilku chwil.

Nie minęło wiele czasu, a na arenie był już pierwszy poległy. Trak w odległym końcu areny szybko pokonał przeciwnika, który padł przed nim na kolana. Zwycięzca zerknął przez ramię na łożę cesarską. Tłum ryknął w wyrazie dezaprobaty. Wszędzie kciuki poszły w dół, nawet w moim sektorze, skąd ledwie widać było ten pojedynek.

Westalki i senatorzy w łoży cesarskiej również skierowali kciuki w dół. Zdziwiło mnie, że podobnie postąpiła Flawia. Twarz miała surową i zaciętą, nie różniła się od innych.

Gdy także Sejan zmarszczył brwi i zwrócił kciuk w dół, pokonany gladiator uniósł głowę, odsłaniając szyję. Trak przyłożył do niej koniec swego miecza. Odwróciłem wzrok, zanim dobił przeciwnika. Przez tłum przetoczył się ryk aprobaty, który towarzyszył też kolejnej walce. Tymczasem widzowie wokół mnie uzgadniali wypłaty z zakładów o skończony pojedynek.

Podobne sceny powtarzały się przez całe popołudnie, raz za razem, aż piasek nasiąkł ludzką krwią.

Sejan oczywiście zachował najlepsze na koniec – jedyny pojedynek, który miał całą arenę dla siebie, ośrodek uwagi wszystkich rozwrzeszczanych widzów, wszystkich stu pięćdziesięciu tysięcy. Przedtem nastąpiła krótka przerwa, by niewolnicy mogli zasypać świeżym piaskiem krwawe plamy na arenie i zagrabić powierzchnię, by walczący stali na równym gruncie.

Wyłonił się pierwszy z dwóch gladiatorów, Gal – przysadzisty rudy mężczyzna, z bicepsami tak potężnymi jak moje uda. Nosił ciężką broń rzymskiego centuriona – prosty obosieczny miecz, długą, prostokątną tarczę, pas nabijany metalem, ochraniacze na przedramiona ze skórzanych łusek oraz srebrne ochraniacze na golenie. Jego imię, jak zapowiadał program, brzmiało Celadus, co dosłownie oznacza „ryk tłumu”. Kiedy wyłonił się z tunelu, z hełmem w dłoni, tłum rzeczywiście powitał go wrzawą.

Celadus chlubił się czterem z zarejestrowanymi walkami, lecz wyglądał tak, jakby występował na arenie znacznie dłużej niż siedem lat, a tyle mniej więcej było trzeba, by zgromadzić taką liczbę zwycięstw. Skórę miał stwardniałą i pokrytą bliznami, twarz okoloną krzaczastą, rudą brodą. Pomaszerował przed łożę cesarską, uniósł miecz przed Sejanem i obrócił się dookoła, by mogli go podziwiać wszyscy zebrani. Gdy owacje przycichły, nałożył hełm z brązu – duży, z grzebieniem czerwonych piór i ozdobną przyłbicą, która chroniła całą twarz.

Za chwilę pojawił się jego przeciwnik, wyższy i smuklejszy mężczyzna z gładko ogoloną twarzą i lokami jasnych włosów, które zdawały się dziwnie nie pasować do świata krwawych walk. Występował pod imieniem Manswet. Od razu poczułem do niego sympatię. To tłumaczy się jako „łagodny”, co świadczyło o poczuciu humoru gladiatora, który je nosił. Uśmiechnął się do tłumu – pierwszy gla-

diator, który to zrobił – jakby naprawdę go cieszyła taka przyjemna, drobna potyczka w słoneczny dzień. Uzbrojony był na modłę starożytnego greckiego wojownika z plemienia Traków: mniejsza prostokątna tarcza, zakrzywiony miecz zwany *sica*, nagolenniki sięgające niemal połowy uda oraz hełm z dwoma piórami przymocowanymi po bokach, przyłbicą i wysokim pióropuszem niezasłaniającym twarzy.

Skłonił się głęboko przed lożą cesarską, witając władcę teatralnym gestem. W tłumie rozległy się posykiwania i gwizdy, choć kilku mężczyzn obok mnie krzyknęło z aprobatą. Gdy Manswet się wyprostował, dostrzegłem, że Flawia nieznacznie skinęła głową. Na jej twarzy malowała się obawa, czego nie zauważyłem wcześniej, gdy obserwowała innych gladiatorów. Odniosłem wrażenie, że zaczęła coś bezgłośnie mówić do Mansweta, ale potem opamiętała się i przestała. Może to był figiel mojej wyobraźni, lecz wydało mi się też, że ich oczy na moment się spotkały.

Pewien satyryk napisał kiedyś, że gladiator przypomina Adonisa. Kobiety przedkładają go nad swoje dzieci, kraj i męża. Owszem, kobiety głosiły swoją lojalność wobec rodziny, lecz kochały żelazo areny i gladiatorów, którzy je dzierżyli.

Być może podejrzenie, że Flawię łączy coś z Manswetem, wypływało z mojej nadmiernej wrażliwości. Nie miałem żadnego prawa do jej uczuć ani do zazdrości o nią – widziałem się z nią tylko raz. W głębi serca jednak wciąż gorąco życzyłem jej pomyślności. Było powszechnie wiadomo, jaka bezlitosna kara spotka westalkę, która pogwałci ślub czystości. Flawia na pewno by się na to nie narażała! Nie zaryzykowałaby swojej wysokiej pozycji jednej z najbardziej szanowanych kobiet Rzymu dla zakazanej miłości z gladiatorem.

Walka rozkręcała się powoli, obaj mężczyźni krążyli wokół siebie i mierzyli się wzrokiem, a tłum patrzył w nagle zapadłej ciszy. Gdyby chodziło o pomniejszych gladiatorów, widzowie popędzaliby ich sykami, a *lanista* zagrzewał do walki biczem. Jednak tutaj, w finałowym pojedynku, występowali mistrzowie, którzy zasłużyli sobie na szacunek tłumu. Widzowie delectowali się każdą chwilą.

Było to klasyczne starcie szybkości i zręczności z brutalną siłą. Celadus, chroniony wielką tarczą i hełmem, podchodził Mansweta, nieustępliwie napierając do przodu. Jednak gibki Trak lekko uskakiwał, pozostając poza zasięgiem miecza Gala, i szukał sposobności, by zbić przeciwnika z tropu i znaleźć słabe miejsce w jego uzbrojeniu.

Kiedy w końcu się zwarli, Gal zasypał ciosami tarczę Mansweta. Ten się wycofał, a tłum powstał z miejsc. Gal błyskawicznie, ruchem niemal niedostrzegalnym, wykonał dwa mocne pchnięcia. Pierwsze, wycelowane w głowę Mansweta, odbiło się od jego tarczy. Jednak drugie pchnięcie przecięło skórzany nagolennik, odkrywając mięśnie. Popłynęła krew.

Manswet nie pozostał dłużny. Celadus, zadając cios, zbyt się pochylił. Manswet obrócił się na pięcie, dał susa i przeciął ramię przeciwnika, upuszczając

mu nieco krwi. Celadus chwiejnie cofnął się o krok czy dwa, spojrzął na ranę, lecz szybko natarł znowu. Śmiercionośny taniec zadawanych i parowanych uderzeń trwał nadal. Mansweta hamowała zraniona noga, zaś Gal z trudem utrzymywał tarczę lewą ręką.

Wrzawa tłumu zrównała się z rytmem walki gladiatorów, którzy stękali i pomrukiwali, zasypując się nawzajem gradem uderzeń. Miecze dzwoniły o tarcze, od czasu do czasu zadając rany. Krwi było coraz więcej. Żaden z mężczyzn nie dawał za wygraną. Spojrzałem na Flawię. Przyglądała się starciu, zasłoniwszy dłonią usta, wzdrygając się z niepokoju, gdy Mansweta plamiły kolejne szkarłatne smugi.

Nawet cyniczni widzowie wokół mnie zrozumieli, że są świadkami męstwa, z którego nie można szydzić.

– Szkoda – stwierdził jeden z nich z powagą, wypowiadając myśli nas wszystkich – że jeden z nich musi zginąć.

Finał walki zaskoczył wszystkich.

Pierwszy uczynił to Manswet. Zmagania trwały już dość długo, gladiator ciało miał pokryte smugami krwi i potu, do mokrej skóry przywarły ziarnka piasku. Uśmiech już dawno zniknął mu z warg. Zrobił krok do tyłu, wycofując się z walki, i nieznacznie skinął głową do przeciwnika. Mierząc się nieufnie wzrokiem, obaj mężczyźni powoli wyjęli lewe ręce z uchwytów tarczy i położyli swe osłony na ziemi. Tłum przycichł, ludzie wokół mnie stawali na palcach, osłaniając oczy przed słońcem, wyężając wzrok. Nawet Sejan i westalki powstali z ław, zaciekawieni, pełni niedowierzania.

Manswet przykucnął, nie spuszczać wzroku z przysadzistego Celadusa, i odłożył na piasek także swój zakrzywiony miecz. To wzbudziło parę niechętnych okrzyków, które szybko przeszły w gwizdy i pełne dezaprobaty pohukiwania. *Lanista*, który stał dotąd przy krańcu areny, zrobił krok w kierunku walczących. Kto by pomyślał, że akurat tych gladiatorów trzeba będzie zagrzewać do walki chłostą?

Celadus również ukucnął i odłożył miecz na piasek, a potem cofnął się o krok od broni, ze wzrokiem wciąż utkwionym w Manswecie. Flawia wychyliła się nieznacznie do przodu, prawie do brzegu łoża cesarskiej.

Tłum zapalczywie dopingował gladiatorów do boju. Z trzeciej i czwartej ławy posypały się szyderstwa, które wkrótce podchwycili siedzący niżej patrycjusze.

- Dokończcie walki!
- Bój aż do śmierci!
- Tchórze!

Mężczyzna przede mną z niesmakiem pokręcił głową.

Ironiczny uśmiech wykrzywił usta Mansweta, jego białe zęby kontrastowały z ubrudzoną twarzą. Gladiator skrzywił w prawo, podobnie jak Celadus, aż wykonali półokrąg. Każdy przystanął przed bronią przeciwnika.

Obaj przyklękli z zamierzoną powolnością i każdy podniósł miecz i tarczę należącą do oponenta. Tłum szybko się połapał, o co chodzi, i wrzasnął z aprobatą. *Lanista* cofnął się na swoje miejsce. Gladiatory najwyraźniej uzgodnili jeszcze przed wejściem na arenę, że jeśli walka nie skończy się w wyznaczonym czasie, to zamienią się orężem i każdy spróbuje wykończyć przeciwnika, dzierżąc w dłoni nieznaną sobie broń.

Gdy znów się zwarli, tłum szalał. Rzymianie uwielbiali dobre niespodzianki. A co mogło być lepsze niż to – gladiatory, którzy udają rozejm, by potem walczyć jeszcze zacieklej?

Od tej jednak chwili walka była nierówna. Manswet miał większy zasięg ramienia, dzierżył dłuższy i cięższy miecz, a poza tym był szybszy i na tyle silny, by

poradzić sobie z cięższą bronią. Mimo zranionej nogi był niepowstrzymany. Gal, nieprzyzwyczajony do uników i lawirowania, nadal parł do przodu, nie wykorzystując zalet lżejszej broni. Mężczyźni stali o wyciągnięcie ramienia od siebie, wymieniając pchnięcia, lecz tym razem Manswet miał wyraźną przewagę.

Galowi w końcu osłabło lewe, zranione ramię i opuścił nieco tarczę. To wystarczyło, by Manswet wymierzył mocny cios w jego szyję, przecinając żyłę. Krew buchnęła strumieniem, Celadus opadł na kolana, chwiając się przez chwilę, wreszcie *sica* wysunęła mu się z ręki, a on padł na twarz.

Manswet ponuro obserwował ten upadek. Szybko odwrócił się twarzą do Sejana. Dostrzegłem wyraz ulgi, który przemknął przez twarz Flawii, gdy prostowała się na swoim miejscu.

Sejan nie czekał na znak od tłumu, lecz skierował kciuk w górę, okazując miłosierdzie powalonemu Celadusowi. Nikogo to nie zdziwiło. Pozostawało tylko pytanie, czy ta łaska coś pomoże.

Zgodnie ze zwyczajem Manswet skierował się teraz do łoża cesarskiej. Sejanus pogratulował mu, ozdobił głowę gladiatora zwycięskim wieńcem i zawiesił mu na szyi złoty medalion. Widzowie zarzucili arenę deszczem sestercji, które Manswet zbierał garściami. Tymczasem Celadusem zajął się lekarz. Badał, czy można go uratować, założyć szwy i postawić na nogi, by gladiator był gotów do kolejnej walki za pół roku.

Tłum, który zaczynał się już uspokajać, znów został zaskoczony. A razem z nim również Manswet.

Gal – co zdawało się niemal cudem – odzyskał siły na tyle, by chwycić przeciwnika za kostkę i szarpnąć go do tyłu. Zabrakło mi tchu, gdy patrzyłem, jak Manswet pada na ziemię. Gal przykląkł na jedno kolano i uderzył krótkim mieczem, o włos chybiając przeciwnika. Ten szybko przetoczył się na prawo i skoczył na równe nogi. Chwycił broń, którą wypuścił z rąk chwilę przedtem. Gdy Celadus z wysiłkiem dźwigał się na nogi, Manswet natarł z mieczem, wbijając go w bok Gala, a ten runął twarzą na ziemię.

Tłum ryknął ponownie – więcej krwi! – a Manswet tym razem nie czekał na znak od Sejana i dokończył dzieła. Chwycił miecz oburącz i z całej siły pchnął nim Gala między łopatki, przygważdżając go do ziemi.

Taki finał, po raz pierwszy tego dnia, jakby przygasił butę tłumu. Nad areną na długą chwilę zaległa niepokojąca cisza. Celadus leżał bez ruchu w kałuży własnej krwi. Zmęczony Manswet pochylił się do przodu, opierając ręce na kolanach.

Spostrzegłem, że Flawia odwróciła wzrok od tej sceny. Tylko Sejan zdawał się być pod wrażeniem. Po raz pierwszy tego dnia ujrzałem go uśmiechniętego.

Kilka chwil później stało się coś, czego obraz wyraźnie utkwiał mi w pamięci. Manswet pokuśtykał do łoża cesarskiej, a Sejan zszedł do gladiatora na arenę. Zwycięzca uklęknął przed zastępcą cesarza, który uhonorował go wieńcem lauro-

wym. Rozległy się grzeczne oklaski, lecz brak było tych zapalczywych owacji, które wcześniej wypełniały widownię.

Spojrzałem na Gala, gdy ściągnano go z areny. W plecach gladiatora wciąż tkwił jego własny miecz. Ciało odważnego człowieka, który walczył tak dzielnie, zostanie wywleczone na spalenie razem ze śmieciami.

Grecja była kolebką cywilizacji, pomyślałem, a teraz Rzym stanie się jej grobem.

Tej nocy nie spałem dobrze. W głowie utkwiły mi makabryczne obrazy – przecięte gardło, miecz w plecach Gała, tłum gromko domagający się krwi. Najbardziej męczyły mnie wspomnienia egzekucji dokonanych w południe. Ludzie wiszący na krzyżach lub rozdierani przez dzikie zwierzęta przy wtórze pogwarek tłum, czekającego na główną atrakcję dnia. Poznałem na własnej skórze, co znaczy być ukrzyżowanym, i nawet jeśli trwało to tylko parę godzin, nie byłem w stanie patrzeć na ukrzyżowanych ludzi, nie dzieląc przy tym częściowo ich bólu.

Nie mogłem też przestać myśleć o Flawii. Sceny z cyrku wciąż przesuwały mi się przed oczyma. Ona i inne westalki wkraczające w pochodzie do łoża cesarskiej. Jej promieniejące w blasku słońca piękno. Jej nieporuszona mina wśród rozgrywających się wydarzeń. Zdziwiający gest opuszczenia kciuka po pierwszym pojedynku. I to, jak jej spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Mansweta.

Przemyślawszy wypadki minionego dnia, doszedłem do wniosku, że Flawia zwróciła kciuk w dół przy pierwszych walkach po to, by potem brano bardziej poważnie jej głos, jeśli musiałaby nakłaniać Sejana, aby okazał litość Manswetowi. Widziałem, jak wychylała się z miejsca w czasie walki Mansweta. I niemal panikę w jej oczach, gdy został ranny. Pomyślałem, że gdyby było trzeba, przeskoczyłaby mur odgradzający cesarską łożę, byle uratować Mansweta od śmierci.

Następnego ranka obudziłem się wykończony. Ogoliłem się, narzuciłem na siebie lnianą tunikę i wełnianą togę, przycesałem falujące włosy. Miałem spędzić ten dzień z Seneką, a dla niego wygląd zawsze był istotny.

Przed wyjściem zjadłem śniadanie złożone z chleba, daktyli, miodu, mleka i garści oliwek. Wziąłem ze sobą pergamin i przybory do pisania i podążyłem wąskimi uliczkami do domu Seneki, na Wzgórze Kapitolińskie. Przestronny frontowy korytarz jego domostwa był jak zwykle zatłoczony ludźmi, szukającymi u niego wstawiennictwa. Niewolnicy zamiatali i polerowali marmurową posadzkę, a jeden z wielką pompą obwieścił moje przybycie. Ponieważ przybyłem z pilną misją, zostałem przyjęty przed innymi „klientami”.

Ci, którzy czekali dłużej, patrzyli z żalem, jak Seneka wychodzi i wita mnie ciepło, po czym prowadzi do pokoju, w którym zwykł pracować. Porozmawialiśmy o igrzyskach i o niepokojącym finale ostatniej walki, który najwyraźniej rozdrażnił tłum. Seneka uznał, że tym samym los się do nas uśmiechnął, powinniśmy więc natychmiast wysłać list do Tyberiusza.

Przez następne dwie godziny Seneka układał list, ja zaś pełniłem funkcję sekretarza i zapisywałem jego słowa. Uśmiechnął się do mnie krzywo, gdy rozpoczęliśmy pracę, i powiedział, że w pierwszej części pisma powinienem trochę spuścić z tonu.

– Każdy, kto pisze do wielkiego Tyberiusza, musi uciec się do pochlebstwa – wyjaśnił. – Pewnie ledwie przebiegnie po nim wzrokiem, ale ono i tak musi się tam znaleźć.

Spisując list, podziwiałem stylistyczny kunszt Seneki i wątpiłem, by Tyberiusz opuścił choć jedno słowo. Znając cesarza, można było przypuszczać, że każde te pochwały wyryć na marmurach swego pałacu.

W końcu Seneka powiadomił cesarza, że gryzie go pewne zmartwienie, i zaczął opisywać, czego był świadkiem.

Igrzyska, najdostojniejszy Tyberiuszu, zmieniły się w zwykłą jatkę. Ludzie wciąż krzykiem domagają się więcej krwi. „Zabić go! Ubiczować! Spalić żywcem!” Żądza krwi demoralizuje, a męstwo gladiatorów przepada niezauważone. „Dlaczego jest takim tchórzem? Dlaczego tak niechętnie umiera? Dlaczego nie pędzi na spotkanie stali?”

Uliczni chłopcy marzą już nie o tym, by zostać senatorami czy wodzami, ale by być gladiatorami. Ci, których największą dumą była niegdyś służba w legionach, teraz pragną jedynie wyzionąć ducha na arenie.

Na czym został zbudowany Rzym, na żądzy krwi czy też na czymś szlachetniejszym? Wielki Tyberiuszu, o kulturze świadczą jej bohaterowie oraz to, jak się ich traktuje. Co nam to mówi o impulsach widzów, domagających się krwi tych samych ludzi, których zdają się czcić? I co to mówi o naszym kraju, w którym największymi bohaterami stają się niewolnicy, a osiągają to dzięki sztuce wybebeszenia kogoś mieczem?

Sumiennie zapisywałem te słowa, dostrzegając w nich subtelne i inteligentne odwołanie się do paranoi cesarza. Skoro tłumy czciły gladiatorów, a mimo to pragnęły ich śmierci, to jak to świadczyło o ich zamiarach względem imperatora? I po co karmić takie impulsy?

Naszymi bohaterami nie powinni być najsilniejsi niewolnicy, jakich zdobyliśmy w wojnach. Naszymi bohaterami powinni być mężni wodzowie, którzy strzegą bezpieczeństwa imperium. Zaś największym naszym bohaterem powinien być największy obywatel, princeps, syn boskiego Augusta. Proszę cię, imperatorze, w imieniu Rzymu i jego przyszłych pokoleń, byś rozważył, czy igrzyska powinny się odbywać tak często, i abyś zdecydował, czy są warte patronatu tak znakomitego władcy.

Zaimponowała mi śmiałość tego listu. Gdy Seneka skończył dyktować, spojrziałem na niego, bliski niedowierzania. Czy naprawdę zamierzał to wysłać?

Na jego wargach po raz drugi tego ranka zagościł kpiarski uśmieszek.

– Chyba nie myślisz, że jestem takim głupcem, by wysłać ten list, nie zbadawszy wcześniej gruntu? – zapytał.

– Wydaje się raczej zuchwały.

– Zuchwałe czasy wymagają zuchwałych czynów – zawyrokował Seneka i

roześmiał się porozumiewawczo. – Niemniej musimy sięgnąć do bliskich cesarzo-
wi źródeł, by poznać jego poglądy na temat igrzysk i sprawdzić, skąd wiatr wieje.
Wręczymy list tylko wtedy, gdy będzie nam sprzyjał.

Podziwiałem zarówno spryt Seneki, jak i fakt, że ma swoje źródła na Capri.
Jakie to szczęście, że miałem go za protektora!

– A tymczasem – dodał – sporządź kopię listu. Pokażę ją Flawii.

Wykonałem polecenie. Seneka przypieczętował obie kopie swoim sygnetem.
Miałem nadzieję, że będę mógł osobiście doręczyć list, lecz Seneka pchnął posłań-
ca. Zanim wyszedłem, dawny nauczyciel zaskoczył mnie jeszcze jedną niespo-
dzianką.

– Masz dwa dni na spakowanie się – oznajmił. – Bo właśnie za dwa dni
otrzymasz nominację na asesora prowincji judejskiej od naszego dobrego przyja-
ciela Sejana.

„Zuchwałe czasy wymagają zuchwałych czynów” – słowa Seneki rozbrzmiewały mi w głowie, gdy przygotowywałem się do wyjazdu z Rzymu i spędzenia trzech lat w Judei. Seneka wypowiedział te słowa, myśląc o liście do cesarza, lecz ja rozważyłem je, myśląc o Flawii. Czy powinienem napisać do niej list? Ale co miałbym w nim przekazać? Ekwita o mojej pozycji i w moim wieku nie powinien korespondować z westalką.

Ale byłem nią zauroczony. Jak mógłbym tak po prostu zniknąć, nie dając jej znać, dokąd się wybieram, i nie powiadamiając jej, że pomogłem Senece pisać ten list?

Ostatecznie zdecydowałem, że nic nie napiszę. Niepohamowanej odwadze czasami bliżej do samobójstwa niż do prawdziwego męstwa. Jeśli Parki tak przeznaczyły, że ścieżki moje i Flawii jeszcze się skrzyżują, to tak się stanie. Choć szanse na to były małe. Nakazałem sobie o niej zapomnieć, lecz serce mnie nie słuchało.

Nie chodziło o to, że pragnąłem dodatkowych bodźców. Moja przyszłość, zarówno ta bliska, jak i ta odległa, niosła ze sobą tyle zagrożeń, że miałem o czym myśleć. Wybierałem się do targanej konfliktami prowincji, rządzonej przez równie konfliktowego namiestnika. Piłat wyrobił sobie reputację człowieka humorzastego i wybuchowego – kolejny ekwita próbujący wspinać się po drabinie prowincjonalnych stanowisk. Według moich źródeł czuł się niepewnie i nie był zadowolony, że przyszło mu zarządzać Judeą.

Piłat służył pod Sejanem jako członek gwardii pretoriańskiej w czasach, gdy Tyberiusz jeszcze przebywał w Rzymie. Choć Sejan był człowiekiem szorstkim i wymagającym, znał każdego ze swych podwładnych po imieniu i pilnował, by z czasem każdy miał szansę wyjść na ludzi. Dlatego też cztery lata temu z okładem, kiedy Tyberiusz odsunął się na Capri, a Sejan przejął wiele z obowiązków cesarza, Piłat objął w Judei funkcję prefekta. Miał tam osobiście reprezentować wielkiego Tyberiusza, z surowym zaleceniem, by strzegł pokoju i gasił bunty.

To nie było łatwe zadanie. Piłat, człowiek o niezmiernej brawurze i ograniczonej cierpliwości, na początku prefektury popełnił dwa poważne błędy. Pierwszy miał miejsce niedługo po jego przybyciu do Judei. Piłat rozkazał wówczas oddziałom stacjonującym w Jerozolimie, by wywiesiły znaki legionowe armii rzymskiej, między innymi z wizerunkiem cesarza Augusta, na murach twierdzy Antonia, naprzeciwko żydowskiej Świątyni. Znaki zawieszono nocą, pod osłoną ciemności, tak że pobożni Żydzi odkryli je dopiero nazajutrz rano.

Poprzednik Piłata, świadom drażliwości Żydów na punkcie umieszczenia wizerunków ludzi i bogów w świętym mieście, zawsze pozostawiał znaki bojowe ar-

mii w Cezarei. Piłat z kolei uznał, że skoro wizerunek cesarza rozwiesza się w całym imperium, to dlaczego nie w Judei? Dlaczego podobizna cesarza nie ma spoglądać na Żydów modlących się w Świątyni – ot, jeden bóg ma oko na wyznawców drugiego?

Choć był środek zimy, nie powstrzymało to tysięcy Żydów od przejścia siedemdziesięciu mil z Jerozolimy do Cezarei, do Piłata, by wnieść protest. Przez całe dni wystawali przed jego pałacem, prosząc, by zdjął znaki z murów. Piłat odmawiał. To byłaby obraza dla imperatora.

Po pięciu dniach impasu Piłat zgodził się spotkać z przywódcami Żydów w wielkim amfiteatrze w Cezarei. Spierał się z nimi, aż w końcu stracił cierpliwość. Żadna ze stron nie zamierzała pójść na kompromis. Piłat, rozdrażniony, rozkazał swoim żołnierzom otoczyć grupę Żydów i wydobyć miecze. Żydzi obnażyli szyje i zachęcali żołnierzy, by ośmielili się zadać cios.

Zdumiony Piłat ustąpił i rozkazał usunąć znaki z Jerozolimy. Pierwszą rundę wygrali wyznawcy Jahwe.

W drugiej już nie mieli tyle szczęścia. Do konfrontacji doszło, gdy Piłat zbudował ogromny akwedukt, biegnący przez Pustynię Judejską, który miał doprowadzać źródlaną wodę do cystern w Jerozolimie. Akwedukt był długi na ponad czterdzieści mil – piękne, nowe rury, zaopatrujące miasto w czystą, chłodną wodę.

Żydzi jednak znów zaprotestowali, gdyż Piłat opłacił budowę pieniędzmi świątynnymi – świętą dziesięciną ze skarbcza. Tym razem sprzeciw Żydów sprawił namiestnika w osłupienie. Rzymianie sławili takie konstrukcyjne wyczyny, obsypywali zaszczytami rządzących, którzy ich nimi obdarzyli. Tymczasem Żydzi narzekali! Czy nic ich nie zadowoli?

Przy okazji kolejnej wizyty w Jerozolimie Piłat zasiadł na swoim fotelu sędziowskim i przyjął malkontentów. Kwestia pieniędzy rozwścieczyła ich jeszcze bardziej niż sprawa znaków. Podeszli blisko, otoczyli Piłata ciasnym kręgiem i obrzucili obelgami za to, jak użył pieniędzy należących do Boga. Piłat zachował spokój, lecz stanowczo odmówił przeprosin – w końcu wybudował ten akwedukt dla nich.

Żydzi jednak obstawali przy swoim. Dlaczego wziął świątynne pieniądze? To świętokradztwo!

Wydawało się, że Piłat sam odważnie stawiał czoła tłumowi, ale to był tylko pozór. W zbiegowisko wmieszali się rzymscy żołnierze, przebrani za Żydów, ze sztyletami ukrytymi w szatach. Kiedy prefekt dość się już nasłuchał i poczuł się zagrożony wzbierającą wrogością Żydów, uniósł prawą rękę i wykonał gest naśladowy przecinanie gardła. Żołnierze natarli, torując sobie drogę przez tłum pałkami. Zabili setki ludzi, nie tylko przed trybunałem, ale i na ulicach Jerozolimy, nawet gdy Żydzi rzucili się do ucieczki, tratując się wzajemnie w przypiływie paniki.

I pod tym człowiekiem miałem teraz służyć. Miałem być jego głównym do-

radcą prawnym, asesorem, w prowincji, której hardzi mieszkańcy nienawidzili go z ledwie powstrzymywaną zaciekłością. W Judei wrzało, a mnie wrzucano w sam środek tej kipieli.

Spakowałem kilka białych tog, tuniki z dwoma wąskimi pasami, płaszcz i sandały, różne drobiazgi potrzebne w domu oraz ulubione książki. Wiele z tych książek towarzyszyło mi w podróży z Grecji do Rzymu, więc zwoje były już podniszczone, wyblakłe i spękane. Leżały w starannie opieczetowanych pudłach, które miały je chronić przed morską podróżą. Zapakowałem też tabliczki woskowe i metalowe rylce. Pożegnałem się z przyjaciółmi, złożyłem ofiarę w świątyni Marsa i powędrowałem na nabrzeże.

Nasz statek miał żeglować przez Aleksandrię, w stronę wschodzącego słońca. Gdy wypłynęliśmy z portu, stanąłem na rufie i patrzyłem na zanikający w dali brzeg. Miną trzy lata, zanim znów zobaczę Rzym. Już tęskniłem za tym miastem. Mimo wszystkich swoich wad było jednak centrum cywilizowanego świata, największym miastem na ziemi. Kuchnia, architektura, tętniące życiem Forum, konsolidacja władzy w tym miejscu – niczego podobnego nie znajdę w Judei.

Znalazłem sobie spokojne miejsce na wielkim statku. Na twarzy czułem podmuchy wiatru, słyszałem pieśni niewolników, których wiosła cięły fale. Wyjąłem mój ulubiony zwój i po raz kolejny czytałem jego słowa. Było to dziełko Seneki. Z tych elokwentnych zdań płynęło przesłanie, które przyjąłem jako motto nie tylko mojej misji w Judei, ale i całego życia:

Ale którędy – spytasz – można dojść do najwyższego dobra? Pieniądze nie uczynią cię równym Bogu: Bóg obchodzi się bez niczego. Nie dokaże tego również obszyta szlakiem purpurowym szata: Bóg nie jest ubrany w żadne szaty. Nie sprawi tego ani sława, ani zwracanie na siebie uwagi, ani rozprzestrzeniony pośród ludów rozgłos twego imienia: Boga nikt nie zna, przy czym wielu sądzi o Nim źle i w dodatku czyni to bezkarnie. Nie pomoże ci też tłum niewolników, obnoszących lekturę twoją po ulicach oraz gościńcach: ów najwyższy i przepotężny Bóg sam dźwiga wszystko. Nawet uroda i siła nie zdoła cię uszczęśliwić: niszczej ją one na starość.

*Trzeba więc szukać czegoś takiego, co nie trwa tylko do pewnej chwili, w której nie może już się ostać. A cóż to jest? Duch, lecz duch prawy, szlachetny i wzniosły. Jak nazwiesz go inaczej niżli Bogiem goszczącym w ciele ludzkim? Taki duch zaś może przypaść w udziale zarówno rycerzowi rzymskiemu, jak wyzwoleni-
cowi, jak i niewolnikowi. Czymże jest bowiem rycerz rzymski, wyzwoleniec albo niewolnik? Są to tylko czcze nazwy zrodzone z chciwości zaszczytów lub z krzywdy. Można także z jakiegoś zakątka trafić do nieba. Dźwignij się tylko i siebie samego uczynić godnym boskości.*

NAZAREJCZYK

III II I I II III IV V VI VII VIII IX

Namiestnik prowincji ma strzyc owce, a nie obdzierać je ze skóry. To słowa Tyberiusza.

Prefekt, jeśli to konieczne, mógł użyć brutalnej siły, by zachować pokój, lecz powinien być dobrym pasterzem.

To zdanie nijak nie przystawało do Poncjusza Piłata.

Nawet nie wyglądał jak namiestnik prowincji. Nadał widać po nim było pretorianina. Był krępy i muskularny, przestrzegał zasady, by przed wieczornym posiłkiem ćwiczyć w cezarejskiej łaźni. Miał łysinę, owalną, ogorzałą twarz, pobrużdżone czoło, małe, blisko osadzone oczy i przyklejony do twarzy szyderczy uśmiezek. Od długich, czerwonych szat urzędnika wolałby złoty napierśnik i szkarłatny pancerz z dawnych dni.

Jego usposobienie też nie szło w parze z urzędniczym mozołem kierowania prowincją. Wcześniej odkryłem, że potrafi być uparty, mało elastyczny, małostkowy. Był Rzymianinem do szpiku kości; nigdy nie zrozumiał ani nawet nie próbował zrozumieć żydowskiej kultury. Przyświecał mu jeden cel: odsłużyć swoje w Judei i w ten sposób zapewnić sobie awans, jakieś stanowisko w Rzymie. A do tego celu nic nie przybliżało skuteczniej niż przypochlebianie się cesarzowi.

Jak na ironię, jego pragnienie, by wkraść się w łaski cesarza, sprawiło, że stałem się jednym z najbliższych powierników Piłata.

Zadaniem Piłata, jako osobistego reprezentanta imperatora, było gromadzenie szczegółowych danych o wszystkim, co dzieje się w prowincji. Każdego dnia musiał on uzupełniać swoje *commentarii* i wysyłać ich kopie do archiwów prowincji w Rzymie, a wybrane fragmenty do Tyberiusza na Capri. Na tym go zastałem, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Piłat dyktował, a jego prywatny sekretarz odręcznie spisywał *commentarii*. Te oficjalne raporty opierały się na mniej formalnych notkach, które doradcy Piłata sporządzali w ciągu dnia na woskowych tabliczkach.

Piłat przeglądał te raporty i dane, sporządzał z nich wyciąg i dyktował go sekretarzowi, a potem ulepszał słownictwo i zaczynał od początku. Nie był biegły w pisaniu. Nigdy nie był do końca zadowolony z ostatecznej wersji raportu, który miał dotrzeć do Tyberiusza, lecz mimo to polecał go przepisać, pieczętował obie kopie sygnetem i wysyłał przez dwóch posłańców na Capri.

Ta procedura uległa zmianie, gdy Piłat odkrył, że dobrze sobie radzę ze słowami. Początkowo towarzyszyłem mu tylko w trakcie dyktowania. Patrzyłem, jak przemierza salę, splótłszy ręce za plecami, i z trudem dobiera odpowiednie sformułowania. Sugerowałem wtedy jakieś słowo.

– Tak! Tak! – wykrzykiwał Piłat. – Dokładnie tak. Powtórz, Teofilu. – Pod-

chodził do sekretarza, zerkał mu przez ramię i upewniał się, że ten dobrze zrozumiał jego słowa.

Nie minęło wiele czasu, a Piłat tylko przedstawiał treść w zarysie, natomiast ja dyktowałem cały list. Prefekt później go czytał i czasami wprowadzał jakies zmiany, choć ja niemal się kulilem przy ich lekturze.

Tyberiusz niekiedy odpowiadał na *commentarii*, zapewne po to, by pokazać, że w ogóle je czyta. W takim przypadku przeważnie miał pytania jedynie do fragmentów autorstwa Piłata. Skutek był taki, że namiestnik zaczął przerzucać na mnie coraz więcej obowiązków pisarskich.

Mniej więcej po roku Piłat wymógł, bym towarzyszył mu przy porannym goleniu. Było to zajęcie długie i żmudne, a prefekt, jako ranny ptaszek, nie chciał tracić czasu. Każdy wojskowy słyszał o tym, że Juliusz Cezar czytał raporty rankiem przy goleniu, by wykorzystać każdą chwilę. Od urzędników oczekiwano podobnego postępowania.

Siadaliśmy obok siebie, a cyrulicy zabierali się do pracy. Przystrzygali mi włosy, a prefektowi golili głowę, potem zaś spryskiwali nam zimną wodą policzki i karki i chwyтали za brzytwy. Po każdym ruchu golibroda ostrzył narzędzie, przeciągając je po skórzanym pasku. Tymczasem Piłat i ja mogliśmy porozmawiać o wyzwaniach dnia. Rozmowę od czasu do czasu przerywało przekleństwo, gdy cyrulik źle pociągnął brzytwą.

Niestety, łatwiej jest pisać o prowincji niż nią rządzić. Choćbym nie wiem jak cyzelował styl i kunsztownie spletał zdania, nie zmieniało to faktu, że sprawy w Palestynie nie szły gładko. Piłat trzymał się decyzji, by sprawować rządu z Cezarei, olśniewającego nadmorskiego miasta. Cezarea została rozbudowana przez Heroda Wielkiego, marionetkowego króla panującego w Judei przez trzydzieści lat, jeszcze przed przyjazdem Piłata. Cezarea szczyciła się wspaniałą architekturą i różnorodnością mieszkańców. Zdaniem Piłata było to miejsce wygodne, a zarazem odpowiednie dla człowieka na jego stanowisku. Opuszczał je tylko w razie absolutnej konieczności.

Dekowanie się w Cezarei nie było jedyną słabością prefekta. Nie czynił on żadnych starań, by zrozumieć naród żydowski. Zdaniem Piłata byli to ludzie ekscentryczni, nieskłonni do kompromisów, niezrozumiali. Judea była jedyną prowincją, której Rzym nie zdołał narzucić swojej religii i kultury. Stąd też pozwolono jej mieszkańcom nadal wyznawać judaizm i nie zmuszano ich do przyjęcia państwowej religii Rzymu, łączącej ofiary dla uświęconych tradycją bóstw z rzymskiego panteonu z czcią wobec imperatora. Ta ugoda była koniecznością. Piłat nigdy nie rozumiał, dlaczego przywódcy żydowscy nie okazywali więcej wdzięczności.

Wiedziałem, że to słaby punkt namiestnika, uznałem więc za swoją misję zbadanie religii żydowskiej i dialog z przywódcami tego narodu. Niejednokrotnie udawałem się na dziedziniec Świątyni, by posłuchać nauk wielkiego żydowskiego

rabbiego Gamaliela. Okazywałem przyjaźń członkom Sanhedrynu i bardzo się zbliżyłem do zamożnych żydowskich dostojników, takich jak Józef z Arymatei i Nikodem. Mimo to obyczaje żydowskie wciąż wydawały mi się dziwaczne, przestarzałe i zbyt sztywne. W Rzymie wykorzystywaliśmy religię do osobistych celów i korzyści, a w razie konieczności naginaliśmy zasady, by realizować swoje plany. Żydzi przyjęli zupełnie inny punkt widzenia. Prędzej by zginęli, niż przekroczyli któreś z tysiąca drobiazgowych praw i obyczajów wymaganych przez ich Boga.

Przez pierwsze dwa lata, które spędziłem w tej prowincji, napięcia wrzały tuż pod powierzchnią. Żołnierze Piłata tylko czekali na jakiś pretekst, by zaatakować. Żydzi z kolei czekali na Mesjasza, który rozerwie jarzmo rzymskiej dominacji. Piłat kipiał ze wściekłości i dąsał się, smażąc nieustannie swoje raporty do cesarza, czekając na właściwy moment, utrzymując ciało w formie i planując kolejne igrzyska w amfiteatrze w Cezarei. Co do mnie, czułem się w tym wszystkim jak w potrzasku i dokładałem starań, by przestrzegać rzymskiego prawa, a zarazem nie naruszać religijnych uczuć Żydów.

Przez te dwa długie lata udawało nam się utrzymywać wszystko w ryzach, ale mimo to każdego ranka budziłem się pełen złych przeczuć, pewien, że wkrótce ten kruchy porządek zacznie się sypać.

A pierwsza rysa pojawiła się na posiedzeniu senatu w Rzymie...

Byłem przy Piłacie, gdy odebrał list od przyjaciela z Rzymu. Przebiegł wzrokiem pierwsze parę zdań i twarz mu poszarzała. Ze zmarszczonym czołem przeczytał resztę listu, po czym wręczył mi go bez słowa.

Przyjaciel Piłata informował, że Tyberiusz wysłał do senatu oficjalny list, który miał być odczytany w obecności Sejana. List rozpoczynał się pochwałami pod adresem Sejana, co mogło oznaczać, że siedemdziesięcioletni Tyberiusz szykował się do wyznaczenia go na swego następcę.

Wtedy jednak rozwlekła epistoła dziwnie zmieniła ton. Tyberiusz bez wyjaśnienia wysunął kilka oskarżeń przeciw Sejanowi, między innymi o spiskowanie przeciw samemu cesarzowi. W długim liście, który trzeba było czytać niemal godzinę, imperator pozbawił Sejana przywództwa nad gwardią pretoriańską i wyznaczył na jego następcę człowieka imieniem Makron. Już w trakcie czytania listu przed senatem Makron i jego żołnierze zebrali się przed bramą budynku.

Tyberiusz kończył list prośbą, by senat wniósł oskarżenie przeciw Sejanowi i przeprowadził rozprawę w celu ustalenia, czy jest on winien zdrady.

Od tych nowin zaparło mi dech w piersi, zwłaszcza gdy przeczytałem, co stało się potem. Senat nakazał aresztować Sejana. Przewieziono go do więzienia Tullianum[05], okrytego złą sławą lochu, gdzie rzymscy wodzowie, zgodnie z tradycją, przetrzymywali pojmanych królów lub sławnych dostojników przed egzekucją. Tej samej nocy Sejan został skazany podczas procesu – raczej jego parodii – który odbył się w portyku świątyni Zgody. Forum było nabite obywatelami, stłoczonymi ramię przy ramieniu. Witali owacjami każde oskarżenie wysunięte przeciw Sejanowi i zagłuszali każdą próbę jego obrony.

Zaraz po tym, jak senatorzy stwierdzili winę Sejana, został on stracony przez uduszenie. Dwaj żołnierze ciągnęli za sznury owinięte wokół jego szyi, póki nie skonał w agonii. Ciało porzucono na Schodach Gemońskich, prowadzących do świątyni. I choć zwyczaj nakazywał, by ciało pozostało tam aż do rozkładu, tym razem tłum rzucił się, by rozerwać trupa na kawałki.

Wywiązały się zamieszki, posągi Sejana zwalono i rozbito w drobny mak. Żonę i dzieci aresztowano, by w więzieniu czekały na proces. Przyjaciele uciekli z Rzymu na wieś.

Skończyłem czytać list, a wyobraźnię wypełniły mi obrazy straconego dostojnika. Naszły mnie żywe wspomnienia z igrzysk – wyniosłość Sejana, jego niewzruszony spokój. Nosił się jak wytrawny dowódca rzymskich legionów i straży pretoriańskiej. Ludzie płaszczyli się, byle zasłużyć na jego patronat, czy to wyzwoleńcy, czy senatorowie. Tak jak wielu innych, również i ja pierwsze stanowisko otrzymałem od Sejana.

– Przeczuwałeś, że czeka nas coś takiego? – spytałem Piłata.

Pokręcił przecząco głową, pogrążony w myślach.

Piłat służył pod Sejanem. Niejednokrotnie raczył mnie opowieściami o tych latach, o dziwnej mieszance miłości i nienawiści, jaką darzyły Sejana jego oddziały. Te historie były interesujące same w sobie, lecz widziałem, że Piłatowi dodawały pewności siebie. Sejan stanowił bufor pomiędzy gubernatorem a Tyberiuszem. Dopóki żył, Piłat nigdy nie odczuł na sobie pełnej siły cesarskiego gniewu.

A teraz ten bufor zniknął.

– Rzym i ja straciliśmy przyjaciela – stwierdził Piłat.

Być może. Nie dostrzegłem jednak, by prefekt uronił choćby jedną łzę.

W ciągu następnych tygodni Piłat obmyślił pewien plan. Od razu wiedziałem, że ten projekt nie skończy się dobrze. Próbowałem mu go wyperswadować, a silnego sprzymierzeńca znalazłem w żonie Piłata, Prokuli, która była niezwykle kobietą. O dziesięć lat młodsza od męża, wiekiem lokująca się gdzieś pomiędzy prefektem a mną, była Piłatowi bezgranicznie oddana. Miała urodziwą twarz, pełną figurę, nieznacznie się rysujący podwójny podbródek i gładką skórę arystokratki, choć tak jak ja wywodziła się z rodziny ekwitów. Uwagę najbardziej przyciągały jej oczy – wąskie i lekko skośne, badawcze i pełne blasku. Dokładała starań, by je podkreślać makijażem, zawsze też malowała brwi. Te oczy przyciągały i urzekały, a Prokula była na tyle bystra, by zdawać sobie z tego sprawę.

Piłat nie krył się ze swymi uczuciami do żony, co stanowiło wyjątek w jego na ogół szorstkim sposobie bycia. Prokula łatwo zdobywała serca. Była ulubienicą wszystkich podwładnych – pełna optymizmu i energii, intelektem dorównywała każdemu mężczyźnie w Cezarei.

Jednak nawet ona nie potrafiła wybić Piłatowi tego pomysłu z głowy.

– To moja prywatna rezydencja! – grzmiał. – Żaden Żyd nie będzie mi rozkazywał, jak mam urządzić swoją rezydencję!

Mówił, a raczej krzyczał. Poszło o tarcze. Gdy skończyła się żałoba po śmierci Sejana, Piłat zgromadził pięćdziesiąt tarcz, pokrył je złotem i poświęcił Tyberiuszowi. Kazał je zawiesić w swoim prywatnym pałacu w Jerozolimie, ekstrawaganckiej i nieco jarmarcznej budowli o ogromnych salach, wysokich sufitach i tarasach z widokiem na miasto. Przypomniałem mu, że Jerozolima to święte miasto.

– Zawieś je w Cezarei – nalegałem. – Ostatecznie to tutaj jest stolica.

Piłat nie słuchał tych rad. Podobne tarcze rozwieszało się w imperium powszechnie – w budynkach publicznych, w świątyniach, nawet w prywatnych domach bogaczy. Inskrypcja na tarczach nie powinna stać się zarzewiem sporu. Cóż Żydzi znajdą w tym obraźliwego? *Tyberiuszowi – Piłat*. Przynajmniej w ten spo-

sób mógł uhonorować imperatora w prowincji, w której dzięki dobroci tegoż imperatora lud mógł czcić własnego Boga i był zwolniony ze służby wojskowej.

– Komuż mogłoby to przeszkadzać? – spytał Piłat.

To było pytanie retoryczne i pozostawiłem je bez odpowiedzi. Spojrzałem tylko na Prokulę. Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

Przekonywanie Piłata, gdy był w takim nastroju, nie miało najmniejszego sensu.

[05] Tullianum – starożytne rzymskie więzienie, od średniowiecza zwane też Więzieniem Mamertyńskim.

Jako asesor stałem za fotelem Piłata, kiedy Herod Antypas, władca sąsiedniej prowincji Galilei, przybył z petycją w towarzystwie brata i dwóch żydowskich dostojników. Długie brody mieli starannie przystrzyżone, powłóczyste szaty pieczołowicie wyprasowane. Przeprowadzili ze sobą więcej sług, niż to było konieczne. Ten królewski przepych miał przypomnieć Piłatowi, że przodek Antypasa, Herod Wielki, zbudował pałac, w którym Piłat sprawował teraz sądy. Herod Wielki był prawdziwym przyjacielem cesarza, przypomnieli prefektowi. A ten nigdy by nie zbeczczył świętego miasta.

– Nie podburzaj do buntu. Nie naruszaj pokoju – prosili. – Nie uczcisz imperatora, hańbiąc starożytne prawa. Tyberiusz nie chce naruszać naszych zwyczajów. Jeśli twierdzisz, że jest przeciwnie, to napisz list, a my zamiast zadręczać prośbami ciebie, zwrócimy się do niego.

Piłat nic nie odpowiedział, ale widziałem, że aż kipi ze złości. Wpatrywał się w podłogę, odmawiając Herodowi nawet tej podstawowej grzeczności, jaką jest kontakt wzrokowy. Kark mu poczerwieniał, a ja już szykowałem się na kolejny wybuch, przejaw osławionej porywczowości prefekta.

Jednak gdy Herod skończył mówić, Piłat nie okazał żadnych emocji.

– Skończyłeś? – zapytał, po raz pierwszy spoglądając na władcę.

– Jeśli nie napiszesz listu, sami odwołamy się do cesarza – zagroził Herod.

– Zróbcie, co musicie – odparł Piłat. Wstał gwałtownie i odwrócił się do delegacji plecami. Pomaszerował do pałacu, a ja podążyłem za nim. Żydzi pozostali przed fotelem, wpatrzeni w pustą przestrzeń.

Piłat, mimo swej buty, nie zlekceważył groźby. Przez cały wieczór pracowaliśmy nad szkicem raportu, by dotarł do cesarza przed listem Heroda. Wahaliśmy się, czy zaprezentować incydent jako drobne nieporozumienie, czy też podsunąć myśl, że to obraza dla samego Tyberiusza. Być może, sugerował Piłat, jeśli odpowiednio rozegramy sprawę, Tyberiusz nagrodzi wiernego prefekta, dołączając do podlegającej mu Judei sąsiadujące z nią terytorium Heroda Antypasa.

Ostatecznie postanowiliśmy zbagatelizować wypadek. Tyberiuszowi nie przypadłby do gustu namiestnik, który nie radzi sobie z własną prowincją. A tym razem brakło już ubezpieczenia w postaci Sejana.

Tarcz nie zdjęto. Piłat chciał dać Tyberiuszowi do zrozumienia, że owszem, po raz kolejny uraził wrażliwe religijne uczucia poddanych, lecz Tyberiusz jest przecież synem boskiego Augusta, nic więc nie powstrzyma prefekta przed uhonorowaniem imperatora we własnej siedzibie.

Piłat przypieczętował list, potem długo się weń wpatrywał i wreszcie wysłał.

Nawet wojskowemu takiemu jak Piłat – nie, zwłaszcza wojskowemu takiemu jak Piłat – niełatwo znieść żądło ostrej nagany. Taka zaś nagana, przypieczęta sygnetem samego Tyberiusza, rani szczególnie głęboko, wprawiając w zniechęcenie, które u Piłata wywołało niemalże nastroje samobójcze.

W liście od cesarza zabrakło zwykłych formalności czy zdawkowych pochlebstw. Tyberiusz do razu przeszedł do sedna. Przeczytał raport Piłata, otrzymał też list od żydowskiej delegacji. Nie był zadowolony. Zadaniem Piłata, przypominał imperator, było zarządzać Judeą, a nie wszczynać w prowincji wojnę.

Wszyscy twoi poprzednicy byli dość mądrzy, by szanować osobliwe zwyczaje i praktyki ludu żydowskiego, a zarazem stanowczo egzekwowali rzymskie prawo. Mówiono mi, że nieobce ci mądrość i odwaga, by podążać ich śladem. Może otrzymałem mylne informacje.

Tyberiusz kończył list rozkazem, który nie pozostawiał miejsca dla domysłów.

Zdejmij tarcze. Wyślij je do świątyni Augusta w Cezarei.

Piłat tego dnia prawie się nie odzywał. Nawet Prokula nie zdołała go pocieszyć.

Wieczorem pojawił się w łaźni o zwykłej porze. W milczeniu podnosiliśmy ciężary, a łaźiebni odzywali się ściszym głosem.

– Nałóż rękawice – rozkazał Piłat w połowie ćwiczeń.

Ta prośba nie była niczym niezwykłym. Boks w greckim stylu, w którym dłonie chroniły rękawice z miękko podbitej skóry, uprawialiśmy dość często. Piłat był silny jak byk, ale nie miał dobrej techniki. Umiałem sprostać jego ciosom dzięki szybkości, wytrzymałości i niewielkiej przewadze wzrostu.

Zwykle rozpoczynaliśmy powoli, mierząc siły przeciwnika, aż wreszcie Piłat nieodmiennie rzucał się naprzód. Tym razem jednak nie czekał. Zaatakował mnie z brutalnością, której nigdy u niego nie widziałem. Cofnąłem się i uderzyłem prostym, ale on parł naprzód, postępując przy każdym ciosie, a pot pryskał z jego ciała. Prawą pięścią zahaczył o mój nos. Trysnęła krew. Lewa zdawała się łamać mi żebra. Uniosłem ręce i rzuciłem mu zdziwione spojrzenie, lecz byk znów zaatakował.

Zablokowałem parę ciosów, Piłatowi zaczynało brakować tchu. Krew spływała mi po twarzy.

– Jestem o dwadzieścia lat starszy, Teofilu – wydyszał Piłat. – Myślałem, że umiesz walczyć.

Gdy znów się zwarliśmy, postanowiłem już nie traktować go jak prefekta. Trafiłem go pięścią nad lewym okiem, rozcinając mu skórę. Ludzie w łaźni przezwali swoje ćwiczenia i zgromadzili się wokół nas, by popatrzeć na walkę. Przez długie chwile dawaliśmy widowisko godne niemalże areny. Wściekle nacieraliśmy

na siebie, krzywiąc twarze i obrzucając się przekleństwami, obaj złani potem i krwią.

W końcu Piłat tak się zmęczył, że nie miał siły podnieść rąk do kolejnego ciosu. Zrobił kilka kroków do tyłu. Krew ciekła mu po twarzy i kapłała z podbródka na marmurową posadzkę. Pochylił się, pierś unosiła mu się ciężko. Ja trzymałem się za nos, próbując zatamować krwawienie.

Stojący nieopodal zaczęli klaskać, początkowo tylko z grzeczności, a potem głośniej. Ściągnąłem ochraniacze z rąk i sam przyłączyłem się do oklasków.

Piłat złapał oddech, wyprostował się i również zdjął rękawice. Szorstko skinął głową klaszczącym i minął mnie szybkim krokiem.

– Chodź – rzucił. – Krwawisz jak świnia.

Kiedy niewolnicy już opatrzyli nasze rany i zatamowali krwawienie, przyszła kolej na chłodną kąpiel, potem na saunę i wreszcie na gorącą kąpiel w marmurowej wannie. Później słudzy wytarli nam ciała, by zamknąć pory skóry, zanim potraktują ją skrobaczkami z brązu.

– Już lepiej? – zapytałem.

Piłat przez moment zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Za każdym razem, gdy spojrzę na te przeklęte tarcze w świątyni, za każdym razem, gdy będę tam palił kadzidło albo składał ofiary dla cesarza, w uszach będą mi brzmieć jego słowa potępienia.

Nie drażyłem tematu ani nie ośmieliłem się przypomnieć, że odradzałem Piłatowi pomysł z tarczami. Jeśli tym razem niczego się nie nauczył, pomyślałem, to już nigdy się nie nauczy.

Eskulap, po grecku Asklepios, był bogiem medycyny i uzdrawiania, synem Apollina i Koronis. Kiedy Koronis była z nim w ciąży, zakochała się w innym mężczyźnie i za niewierność została skazana na spalenie. Tuż przed jej śmiercią Apollo ocalił syna, wydobywając go z rozciętego brzucha matki. To Apollo nadał mu imię Asklepios, co dosłownie znaczy „wydobyty z wnętrza”.

Chcąc wynagrodzić synowi brak matki, Apollo obdarzył go mocą uzdrawiania. Eskulap wyrósł na znanego lekarza. Swoje uzdrowicielskie zdolności rozwinął do tego stopnia, że potrafił nawet wskrzeszać ludzi z martwych. Położył temu kres zazdrosny Jowisz, nie chcąc dzielić się z ludźmi przywilejem nieśmiertelności. Uśmiercił Eskulapa uderzeniem pioruna.

Boskie moce nie opuściły słynnego lekarza nawet po śmierci. Eskulap uzdrowił setki, a może i tysiące ludzi swoim dotknięciem. Nadal wskrzeszał z martwych kobiety i mężczyzn. Stał się ulubionym bogiem Greków i Rzymian. Władcy wznosili świątynie ku jego czci, tłumy wiernych modliły się do niego o uzdrowienie.

Dlatego też Prokula, ukochana żona Piłata i matka trojga dzieci, desperacko łaknąc uzdrowienia, zwróciła się o pomoc właśnie do Eskulapa. Opowiedziała mi o tym podczas długiej przechadzki nad morzem, kilka tygodni po swoim powrocie do zdrowia po niemal śmiertelnej chorobie. Wiedziałem, że spędziła całą noc w świątyni. Wiedziałem, że cudem odzyskała zdrowie. Opowiadając mi tę historię, zwierzyła się też z otrzymanej wówczas wizji, którą zachowała w tajemnicy przed wszystkimi z wyjątkiem Piłata.

Prokulę przez cztery dni trawiła wysoka gorączka, która nie chciała opaść. Piłat złożył ofiary przed całym panteonem bogów, siedział przy jej łóżu i czule chłodził jej czoło wilgotną szmatką, sprowadził greckich lekarzy, którzy przepisali ziołowe leki i upuścili Prokuli krwi. Brała zimne kąpiele, przeplatając je wizytami w saunie, aby się wypocić i odgonić gorączkę. Nic jednak nie pomagało i Piłat był bliski paniki.

– Nie opuszczaj mnie – błagał żonę.

Uśmiechnęła się blado i z wysiłkiem i wzięła go za rękę.

– Nigdzie się nie wybieram – zapewniła.

Oboje wiedzieli, że nadrabia miną. Przez pierwsze dwa dni choroby męczyły ją wymioty i było jej zimno, choć czoło rozpaliała gorączka.

Na trzeci dzień bardzo osłabła i widać było, że gaśnie. Jedyne, czego pragnęła, to skulić się na posłaniu i otulić kocami. Lekarze jednak wciąż upuszczali jej krwi i zmuszali ją do znoszenia zimnych kąpiei i gorącej sauny. Sen miała niespo-

kojny, budziła się z krzykiem, nękana koszmarami.

Czwartego dnia lekarze zaaplikowali jej nasiona maku, by uśmierzyć ból. Wtedy zaczęły się halucynacje. Wieczorem, gdy gorączka znów wzrosła, wszyscy zrozumieli, że chora musi spędzić noc przy ołtarzu Eskulapa.

Prokula zebrała wszystkie siły, wzięła kąpiel i ubrała się w prostą, lnianą suknię. O zmierzchu Piłat wraz ze sługami odprowadził ją do świątyni. Słudzy podtrzymywali ją z obu stron, ale do wnętrza świątyni wejść nie mogli. Prefekt pożegnał żonę pocałunkiem i Prokula sama weszła do sanktuarium.

Uklękła u ołtarza, przed marmurowym posągami Eskulapa.

– Uzdrów mnie, boże wiecznego życia.

W worku z grubego płótna przyniosła ze sobą niejadowitego węża. Te stworzenia budziły w niej odrazę, ale były lepsze niż choroba. Zrobiłaby wszystko, byle się pozbyć gorączki, przerwać omamy, poczuć się znów sobą.

Wężę były świętymi zwierzętami Eskulapa. Bóg nie tylko uzdrowił wielu ludzi od ich ukąszeń, lecz też swoim głosem zmuszał wężę do posłuszeństwa, na jego rozkaz owijały się wokół jego laski. Prokula rozwiązała worek i sięgnęła do środka, by chwycić węża powyżej głowy. Świat zawirował jej przed oczami. Bała się, że zaraz osunie się zemdlna na posadzkę.

Wąż, którego przyniosła, długi, zielony i łuskowaty w dotyku, zdawał się nie ulegać mocy Eskulapa. Gdy Prokula położyła go na ołtarzu, zsunął się stamtąd i pełzł pod posąg boga.

Słudzy zaopatrzyli też Prokulę w miodowe ciastka, więc wyjęła je z sakwy i również położyła na ołtarzu. Opróżniwszy torby, podeszła pod boczną ścianę i usiadła na podłodze. Oparła się głową o ścianę i cierpliwie powtarzała:

– Uzdrów mnie, boże wiecznego życia.

Chciała zasnąć, ale było jej zbyt zimno. Wiedziała, że tych, którzy zasną w świątyni Eskulapa, nawiedzają sny podpowiadające, jak wyleczyć chorobę. To była jej jedyna nadzieja. Musiała zasnąć. Musiała.

– Uzdrów mnie, boże wiecznego życia. – Drżała, oparta o kamienną ścianę. Przejmowało ją zimno, miała dreszcze. Na zewnątrz było ciemno, jedyne źródło światła w świątyni stanowiły lampki oliwne na ołtarzu. Przyglądała się, jak wąż bada kąty i szczeliny kamiennego sanktuarium.

W pewnej chwili wąż podpełzł ku niej. Dech zamarł jej w piersi. Gad zatrzymał się o kilka stóp od niej i wpatrywał się w nią z ciekawością. Nie mogła zrobić mu krzywdy, bo teraz był już uświęconym stworzeniem.

Zamarła z przerażenia, gdy wąż podpełzł jeszcze bliżej. Napięła wszystkie mięśnie i zamknęła oczy, przeszedł ją dreszcz lęku. Czuła, że gad wpełza na jej lewą łydkę, i omal nie wrzasnęła, gdy zobaczyła go na swojej nodze. Zatrzymał się tam na krótką chwilę, a Prokula wstrzymała dech, serce przestało jej bić. Potem wąż ześlizgnął się na podłogę.

Myślała, że oszaleje.

– Uzdrów mnie, boże wiecznego życia.

Trochę później, wciąż drząc z zimna, skuliła się na prawym boku, w pozycji płodowej. W świątyni panowała cisza. Posadzka była twarda i zimna. Woniało stęchlizną. Prokula nie mogła się opędzić od myśli o wężu. A jeśli wróci i wpełźnie jej na twarz?

– Uzdrów mnie, boże wiecznego życia.

To były ostatnie słowa, jakie wymamrotała, zanim zapadła w niespokojny sen. Ostatnie słowa poprzedzające wizję.

Twarz mężczyzny była piękna, lecz zakrwawiona. Lewe, półprzymknięte oko zakrywała fioletowa opuchlizna. Broda i rysy wskazywały, że jest Żydem. Odziany był w królewską purpurę. Ktoś nałożył mu na czoło koronę uwitą z cierni – kolce rozorały skórę, krew z ran spływała strumieniami po twarzy, mierzwiąc mu brodę.

Mimo to z jego twarzy biła siła, a w oczach widać było współczucie. Wyciągnął rękę i dotknął Prokuli. Mruczał coś – jakąś modlitwę po aramejsku, której Prokula nie rozumiała. Odmawiając ją, położył dłoń na czole chorej. Gdy skończył, delikatnie musnął jej włosy za uchem i uśmiechnął się.

Chciała mu podziękować, jakoś mu pomóc. Usiłowała sięgnąć dłonią, by uwolnić jego głowę od kolców, otrzeć mu krew z twarzy. Czuła się jednak bezsilna, jakby sparaliżowana. Nie była w stanie nawet przemówić. Mężczyzna uklęknął na chwilę, potem wstał i zniknął.

Piłat przybył o świcie, by obudzić żonę. Delikatnie dotknął jej ramienia i szepnął jej do ucha, okrywając ją kocami:

– Jak się czujesz?

Przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć. Wciąż było jej zimno i czuła się słaba, ale miała wrażenie, że siły wracają. Nie kręciło jej się już w głowie i po raz pierwszy od wielu dni mogła skupić uwagę na mężu.

– Chyba lepiej.

Podeszli razem do ołtarza. Piłat przyniósł koguta, z dziobem i skrzydłami obwiązanymi rzemykiem. Położył go na ołtarzu i wręczył Prokuli nóż. Zebrała wszystkie siły; potrzebowała ich, by sprostać kotłowaninie i chaosowi, które zaraz nastąpią. Lewą dłonią chwyciła nogi ptaka i ścisnęła je mocno. Piłat pomógł jej przytrzymać koguta na miejscu, a Prokula rozcięła rzemyki wokół dzioba. Kogut zaczął głośno protestować. Prokula szybko rozcięła też rzemień oplątujący grzbiet ptaka i kogut zatrzepotał skrzydłami. Ścisnęła go mocniej za nogi, przytrzymała, czując napływającą do żył adrenalinę, i wreszcie poderżnęła ptakowi gardło.

Kolejny trzepot skrzydeł, ciepły strumień krwi spływający na rękę, a potem znów zapanowała cisza.

Prokula oddała nóż mężowi i razem wyszli ze świątyni. Piłat przytulił poli-

czek do jej czoła i stwierdził, że gorączka chyba opadła. Prokula dopiero teraz zdała sobie sprawę, że całe ciało ma mokre od potu.

Przed świątynią czekała lektyka. Piłat pomógł żonie wsiąść. Musieli przejechać się przez tłum do pałacu. Prokula przymknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć twarz człowieka, który przyszedł ją uzdrowić. Czy naprawdę została uleczone, czy też jeszcze musi coś zrobić?

Odpowiedź na to pytanie poznała dwa dni później. Gorączka opadła. Wróciły siły. Na trzeci dzień Prokula wróciła do świątyni z miodowymi ciastkami, by odmówić dziękczynne modły. Wpatrywała się w twarz posągu. Próbowała sobie wyobrazić, że statua ożywa, staje się pobitym i posiniaczonym człowiekiem, z koroną cierniową na głowie. Jednak jej wysiłki były próżne; twarz posągu w ogóle nie przypominała tej, którą widziała we śnie.

Mimo to odmówiła dziękczynną modlitwę i wyszła.

Skończywszy opowiadać, Prokula spojrzała na mnie badawczo.

– Co o tym sądzisz?

Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co o tym myśleć.

– Cieszę się, że dobrze się miewasz – odparłem.

W samą porę. Za siedem dni wybieraliśmy się do Jerozolimy. Nadchodziło wielkie żydowskie święto Paschy. Prokula będzie musiała temperować męża. Wciąż wrzał ze wściekłości po sprawie z tarczami.

Spacerowaliśmy w milczeniu, a ja rozmyślałem o uzdrawiającej mocy Eskulapa.

– Nie dziwię się, że Jowisz pragnął jego śmierci – stwierdziłem – skoro ma taką moc.

– Nawet Jowisz nie potrafił unicestwić boga, który posiadał dar wiecznego życia – zauważyła Prokula.

Poszliśmy w tych dywagacjach chyba za daleko, więc postanowiłem to przerwać. Nie byłem pewien, czy wierzę w tę historię, choć tak jak wszyscy byłem świadkiem uzdrowienia Prokuli.

Któż pojmie drogi bogów?

Po dwudniowej podróży dotarliśmy do Jerozolimy. Była niedziela, późne popołudnie, na pięć dni przed obchodami żydowskiej Paschy. Wkroczyliśmy do miasta w wielkim stylu, jak zawsze. Pierwszy jechał Piłat – na grzbiecie wielkiego białego ogiera w uprzęży zdobnej srebrem i złotem. Prefekt odziany był w białą tunikę z rdzawoczerwonymi rękawami, miał też na sobie ciemnozielony pancerz legionisty. U jego boku błyszczał miecz. Piłat przekonał się, że przy takich okazjach zbroja budzi większy respekt niż toga.

Przemarsz naszego orszaku miał zrobić na Żydach wrażenie i onieśmielić ich. Obok Piłata jechał dowódca oddziałów wojskowych prowincji, krzepki weteran wojen w Germanii. Za nimi, wzbijając sandałami tumany kurzu, maszerowało drogą trzy tysiące żołnierzy, po sześciu w szeregu, z wypolerowanymi na błysk tarczami i orężem.

Za wojskiem, dusząc się od kurzu, podążaliśmy ja, Prokula i słudzy oraz wozy wyładowane zapasami. Kilkuset niewolników zamykało tyły. Przeniesienie stolicy Judei na siedem dni nie należało do błahostek.

Przez całą tę siedemdziesięciomilową podróż mijaliśmy potok żydowskich pielgrzymów, zdążających do świętego miasta. Wędrowali w rodzinnych grupach. Ojcowie i dzieci zmierzali do Jerozolimy piechotą, matki czasami jechały na mulach lub na osłach. Wszyscy szli wolno, dźwigając klatki z gołębiami, prowadząc owce lub kozły. Gdy przejeżdżaliśmy, schodzili z drogi i przystawali na poboczu, gapiąc się na nas. Czasami odwracali wzrok, gdy na nich patrzyłem. Dzieci niekiedy nam machały, a my z Prokulą odwzajemnialiśmy ich pozdrowienie.

Na ulicach miasta tłoczyli się pielgrzymi. Jerozolima miała siedemdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców. Podczas tygodnia Paschy, według naszych najlepszych obliczeń, liczba ta wzrastała do prawie dwustu tysięcy. Dodajmy paręset tysięcy zwierząt i łatwo będzie zrozumieć, dlaczego okres Paschy, z towarzyszącą mu gorączką zarzynania zwierząt ofiarnych, z nieprzebranymi tłumami, rozpalonymi patriotyczną i religijną żarliwością, był tym tygodniem w roku, którego Piłat nie lubił najbardziej.

Tłumy rozstępowały się przed nami, gdy maszerowaliśmy w stronę centrum. Byłem świadom spojrzeń, jakimi obrzucali nas Żydzi, ich szeptów, kiedy szemrali między sobą. Pochód zakończyliśmy przy pretorium, ufortyfikowanym pałacu, który Herod Wielki zbudował na zachodnim krańcu wyższej części miasta. Od zachodu Jerozolima otoczona była podwójnym murem – zewnętrznym oraz wewnętrznym, wysokim na jakieś czterdzieści pięć stóp, najeżonym wieżami i blankami. Na północy wznosiły się białe wieże z marmurowych bloków, zwieńczone blankami. Pretorium górowało nad miastem i było, jak mówiono, twierdzą nie do zdobycia.

Pałac mieścił ponad setkę pokoi gościnnych oraz tuziny sal biesiadnych, wzniesionych z rzadko spotykanych kamieni oraz cedru z gór Libanu. Zdołyły je eleganckie meble i artystyczne wyroby ze złota. Posągi z brązu, kolumny w stylu korynckim i mozaikowe posadzki z marmuru dodawały świetności wielkim korytarzom. Zielone pałacowe ogrody porośnięte bujną roślinnością pyszniły się sadzawkami, tarasami, zagajnikami oraz fontannami tryskającymi u stóp marmurowych posągów.

Piłat nienawidził tego pałacu. Nie mógł znieść odoru miasta – smrodu padłych zwierząt, spoconych ludzkich mas, mięsa spalanego w ofierze, swądu tłuszczu z dziesiątków tysięcy rozpalonych ognisk. Jak dzień długi, w pałacu palono kadzidła, by zatuszować te niemiłe wonie. Mieliśmy zostać tam tylko do Paschy i ani chwili dłużej.

Same obchody miały w sobie złowieszczą nutę. Pascha była największym świętem Żydów, pamiątką wyprowadzenia ludu z niewoli egipskiej ponad tysiąc lat wcześniej. Ostatniego wieczora przed tą ucieczką anioł Pański nakazał Mojżeszowi, by cały lud złożył w ofierze baranki – czyste i bez skazy – i by ich krwią pomazał odrzwia domów. Zgodnie z żydowskimi podaniami, anioł śmierci zabił później wszystkich pierworodnych synów Egipcjan, lecz minął domy Izraelitów, które chronił znak krwi. Następnego dnia w całym Egipcie zapanował żałobny lament, a Izraelici odeszli wolni.

Według mnie cała ta historia była zwykłym mitem, rodziła jednak realne konsekwencje. Żydzi świętowali Boże zwycięstwo nad ich ciemiężcami. W całej Judei zawsze szeptano o wolności i rewolucji, lecz w tym tygodniu głoszono to otwarcie.

Paschalne rytuały wiązały się z symboliką przelanej krwi, ofiary i buntu. Pod koniec świątecznego posiłku mali chłopcy podbiegali do drzwi domów, by wyczekać proroka Eliasza, zwiastuna żydowskiego Mesjasza. Mesjasz, długo oczekiwany wybawca, miał rozprawić się z Rzymianami tak, jak Mojżesz rozprawił się z Egipcjanami. Miał wprowadzić Izraela w nowy złoty wiek, w którym sprawiedliwość rozlewałaby się jak rzeka, a prawość jak strumień, który nigdy nie wysycha.

Całym sercem pragnąłem prawości i poświęciłem sprawiedliwości całe swoje życie, lecz z oczywistych powodów nie zachwycali mnie starożytne prorocтва Izraela, głoszące obalenie ciemiężców narodu żydowskiego.

– W innych narodach zawsze istnieli ludzie bojący się Boga, przyjaciele Izraela – powiedział mi kiedyś Józef z Arymatei. Nieustannie próbował mnie przekonać do tego, bym czcił żydowskiego Boga. – W czasach Daniela naszemu Bogu oddawali cześć nawet niektórzy wielcy przywódcy Persji.

– Owszem, na cześć mógłbym przystać – zażartowałem. – Tyle że to obrzezanie mnie peszy.

Józef nie uśmiechnął się. Traktował swoją religię bardzo poważnie.

Tego roku, zanim przybyliśmy do pretorium, dotarły tam pewne pogłoski. Podobno przed nami do Jerozolimy dotarł inny pochód. Prowadził go człowiek imieniem Jezus, cudotwórca. Wjechał na osiołku, stopami dotykając ziemi. Witały go nieprzebrane tłumy, ścieląc drogę przed nim płaszczami i gałązkami palm.

Żydowski informatorzy Piłata opowiadali o tych wydarzeniach jednym tchem.

– Ludzie napierali i krzyczeli: „Hosanna! Błogosławiony, który przybywa w imię Pańskie!”. Kobiety płakały. Podawały mu dzieci, prosząc o błogosławieństwo.

– Był uzbrojony? – spytał Piłat.

– Nie, wasza czcigodność.

– Głosił mowy i wzniecał nienawiść przeciw Rzymianom?

– To nie jest przywódca tego rodzaju.

Piłat uśmiechnął się znacząco. Może wyobrażał sobie opisaną scenę.

– I jechał na młodym osle?

– Tak.

Prefekt odprawił rozmówców i pokręcił głową.

– Osioł – mruknął, jakby nie mógł w to uwierzyć. Walczył w prawdziwych bitwach z bezlitosnymi barbarzyńcami, a teraz miał chronić Rzym przed wodzem wjeżdżającym do miasta na osłęciu.

– Chodźmy do łaźni – rzekł.

Uznałem to za dobry pomysł.

W Jerozolimie przepych pałacu Heroda przewyższała swoją wspaniałością jedynie Świątynia. Nawet komuś takiemu jak ja, kto wyrósł w olśniewającej stolicy imperium, ten widok zapierał dech w piersiach. Kompleks świątynny stanowił centrum żydowskiego świata, to tutaj cała ich kultura i religia znajdowała swój ostateczny wyraz. Jeśli pretorium Heroda było Księżycem, to Świątynię trzeba by nazwać Słońcem. Pierwsza z tych budowli była siedzibą egocentrycznego namiestnika prowincji, druga – siedzibą samego Boga.

Herod w czasie swego panowania dokończył przebudowę Świątyni, zaprzęgał do pracy dziesięć tysięcy robotników i ponad tysiąc kapłanów. Budowla, wielka biała konstrukcja otoczona granitowymi dziedzińcami, zajmująca pięć i pół *iugera*[06], była widoczna w promieniu wielu mil. Otaczały ją ogromne portyki z dwoma rzędami potężnych marmurowych kolumn, wysokich na trzydzieści osiem stóp, podtrzymujących cedrowe dźwigary i strop z czerwonych płytek. Do wzniesienia Świątyni użyto tylko kamienia nieskazitelnie białego, dzięki czemu budowla i dziedziniec sprawiały niezwykle wrażenie. Zobaczyć Świątynię, powiadali Żydzi, to ujrzeć odblask chwały Boga.

Pośrodku ogromnego zewnętrznego dziedzińca, powszechnie nazywanego dziedzińcem pogan, wznosiły się najbardziej uświęcone budynki, samo serce Świątyni. Od dziedzińca pogan oddzielał je kamienny mur wysoki na jakieś cztery stopy, z bramą opatrzoną napisami w grece i łacinie, ostrzegającymi ludzi takich jak ja, by nie ważyli się przejść dalej, pod groźbą kary śmierci.

Żydzi najniższego stanu, wieśniacy z choćby najmniejszej grani w Galilei mogli przekroczyć tę bramę, ale Piłatowi i mnie nie było wolno tam wejść. Rzym mógł sobie rządzić całym światem śródziemnomorskim, jednak Rzymianom nie było wolno postawić stopy na tym niewielkim spłachetku ziemi – w Świątyni zbudowanej przez Heroda.

Za kamiennym murem funkcjonowały jeszcze inne bariery, odsiewające wiernych – dziedziniec kobiet i dziedziniec kapłanów. Sama Świątynia, z białego wypolerowanego granitu, ze złotą fasadą lśniącą w słońcu, stanowiła ściśle centrum. Nakryta była płaskim dachem, najeżonym złotymi iglicami, chroniącymi go przed ptactwem. Wewnątrz Świątyni, za ogromną podwójną zasłoną, znajdowało się miejsce nazywane przez Izraelitów Świętym Świętych – tak uświęcone, że mógł tam wejść jedynie arcykapłan, i to tylko raz w roku, na Jom Kippur, dokonawszy wcześniej rytualnego oczyszczenia i złożonywszy należne ofiary. Według Żydów w tym właśnie miejscu zamieszkiwał sam Jahwe, ich Bóg. Wkroczenie do Świętego Świętych było tak niebezpieczne, że kapłanowi przywiązywano sznur do kostki na wypadek, gdyby zmarł podczas wykonywania obrzędów w tym miejscu i trzeba by

go stamtąd wyciągać.

Fascynowała mnie przemiana Świątyni, jaka dokonywała się podczas Paschy. Dziedziniec pogan, pełen zakurzonych pielgrzymów i brudnych zwierząt, przypominał teraz jakieś wiejskie podwórze. Przez całe siedem dni powietrze przesycone było wonią krwi i kadzidła, zmieszaną z tym szczególnym zapachem zarabiania wielkich pieniędzy.

Gdy po raz pierwszy przechadzałem się po dziedzińcu pogan podczas Paschy, uświadomiłem sobie, że w kwestii podatków Rzymianie mogliby się od Żydów niejednego nauczyć. Po pierwsze, podatek świątynny można było opłacić jedynie w półsyklach z Tyru, czyli dwudrachmach, a to oznaczało, że dziedziniec zastawiony był stołami bankierów, gdzie wymieniano zwykle monety na dwudrachmy. Wszystko oczywiście za odpowiednią dopłatą. A to był dopiero początek.

Pielgrzymujący na święto Paschy musieli przyprowadzić na ofiarę zwierzęta, godne tego świętego celu. Od najbiedniejszych Żydów wymagano przynajmniej gołębia. Ale i w tym był pewien kruczek. Ptak musiał być czysty i bez skazy, bez żadnych ranek czy innych niedoskonałości – skutków przebytej podróży. Obserwowałem, jak kapłani poddawali ptaka dokładnym oględzinom, a potem ze smutkiem kręcili głowami. Nie dość dobry. Na szczęście dla pielgrzymów kapłani mieli na podorędziu całą klatkę gołębi, już wcześniej uznanych za nieskazitelne. Pielgrzym wymieniał swojego nieodpowiedniego ptaka na zatwierdzonego, znów za wygórowaną dopłatą. Kiedy niezadowolony pątnik się oddalił, kapłan brał odrzuconego wcześniej ptaka, znów starannie go oglądał i odkrywał, że gołąb jest całkiem do rzeczy, a nawet więcej – czysty i bez skazy. Ptak wędrował do klatki, by można go było sprzedać następnemu znużonemu drogą pielgrzymowi.

Drugiego dnia naszego pobytu w Jerozolimie stałem na balkonie twierdzy Antonia, ufortyfikowanej wieży górującej nad północno-wschodnim rogiem dziedzińca pogan. Patrzyłem, jak żołnierze grają w kości, w grę zwaną *basilinda*. Nazwa ta wywodziła się od greckiego słowa „król”. Wydarzenia na dziedzińcu rozegrały się tak szybko, że prawie za nimi nie nadążałem.

Usłyszałem krzyki, ludzie wskazywali na coś palcami. Pod portykami na północnym krańcu dziedzińca zapanował jakiś rozgardiasz. Wywołał go jeden człowiek, wzburzony Żyd; siał wokół siebie zniszczenie, przewracając stoły bankierów i wypuszczając gołębie z klatek.

Dostrzegli to żołnierze i natychmiast zaczęli dopinać zbroje. Ruchem ręki powstrzymałem ich dowódcę. Świątynia ma własnych strażników; niech oni się tym zajmą.

Żyd krzyczał coś, jego biała szata powiewała. Był szczupły i muskularny,

wyglądał na robotnika. Wyrzucał stoły w powietrze z ogromną siłą. Tłum postępował jego śladem, a świątynni przekupnie szamotali się wokół, zbierając na klęczkach monety rozsypane na marmurowej posadzce. Inni szybko zabierali swe stoły i schodzili z drogi, zanim wicherzyciel do nich dotarł.

Tłum za nim zaczął wznosić radosne okrzyki, a ja odkryłem, że cieszę się z tego spontanicznego buntu przeciw bankierom.

– Najwyższy czas – mruknąłem do siebie.

Mężczyzna nie miał przy sobie żadnej broni. Strażnicy świątynni zaczęli go otaczać. Rzymscy żołnierze również ruszyli do akcji i popędzili w kierunku schodów wiodących na dziedziniec świątynny, mimo że próbowałem ich powstrzymać. Męczyła ich nuda. Rwali się do działania.

Ów śmiałek ustał równie nagle, jak rozpoczął. Odzyskał dech i ruszył w swoją stronę, jakby rzucając wszystkim wyzwanie, by ośmielili się go zatrzymać. Tłum cofnął się przed nim; kapłani i strażnicy trzymali się z dala od niego.

– Mój dom nazwano domem modlitwy dla wszystkich narodów! – grzmiał do kapłanów. – A wy zrobiliście z niego jaskinię zbójców!

Na moment zapadła cisza, i wydawało się, że cały tłum wstrzymuje dech, czekając na odpowiedź religijnych przywódców. Kapłani jednak tylko uśmiechnęli się szyderczo i oddalili się. Strażnicy świątynni włożyli miecze do pochew. Jeden czy dwóch z nich stało z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Ktoś z zebranych zawołał „Hosanna!”, a inni zawtórowali radosnymi okrzykami. Ludzie z całego dziedzińca zaczęli napierać na sprawcę zamieszania. Było ich tysiące, a wszyscy próbowali zbliżyć się do tego człowieka i dotknąć go. Rozmawiał z nimi z uśmiechem, wyciągał dłoń, by położyć ją na głowie jakiegoś żebraka, przystawał, by pomodlić się za człowieka, który był chyba ślepy.

Stojąc na balkonie, stałem się świadkiem dziwnego zjawiska. Wewnętrzne dziedzińce i sama Świątynia, wraz ze wszystkimi polerowanymi marmurami i błyszczącym złotem, raczej nie przyciągały uwagi. Ośrodkiem ciężkości był bowiem ten człowiek przewracający stoły, nieulekły zapaleniec, który zdawał się żywić do religijnej elity jakąś urazę. Zyskał tyle, że był teraz ludowym bohaterem.

A może nawet kimś więcej. Tłum zgromadził się ciasno wokół niego i słuchał go w zapadłej nagle ciszy, chłonąc każde jego słowo. Ta cisza stopniowo się rozprzestrzeniała. Ów człowiek musiał w pewnym momencie zawołać do siebie dzieci, bo teraz wdrapywały mu się na kolana.

Czy stanowił zagrożenie dla Rzymu? Według mnie nie. Czy był reformatorem Świątyni? Może. Kapłani i świątynni strażnicy wyraźnie zachowywali względem niego dystans; skupili się w małe grupki i rzucali mu gniewne spojrzenia.

Nasi żołnierze przystanęli na obrzeżu tłumu, by każdy mógł dostrzec, że rzymscy legioniści są na miejscu i pilnują spokoju. Lecz człowiek, który wszczął całe to zamieszanie, zdawał się nie zwracać na nich uwagi ani o nich nie dbać. Wy-

glądało na to, że cieszy się tą chwilą jak jakiś trybun ludowy.

Pragnąłem dowiedzieć się o nim więcej. Potrzebowałem informacji. Oraz porządnego pucharu wina. Kiedy słońce zachodziło i prawie całe miasto układało się do snu, wiedziałem już, gdzie znajdę jedno i drugie.

[06] *Iugerum* – najpospolitsza rzymska miara powierzchni, 2520,6 m².

To było życie. Ogromna posiadłość mego przyjaciela rozciągała się przede mną na rozległym zboczu wzgórza, kilka mil za miastem. Wszędzie jak okiem sięgnąć widać było łąny zboża i zielone winnice. Powietrze było tu chłodniejsze i bardziej rześkie, miła odmiana po ciężkiej aurze wiszącej nad Jerozolimą.

Sączyłem ze srebrnego pucharu wino, najlepsze w całej Judei. Staliśmy na marmurowym tarasie, wsparci o rzeźbioną kamienną balustradę, wpatrzeni bez jednej myśli w tysiące oliwnych lamp, rozświetlających miasto.

Byłem zaskoczony, słysząc od Nikodema, że ów porywczy rabbi ze Świątyni, Jezus z Nazaretu, stał wcześniej na tym samym tarasie. Prawie rok temu on również przybył tu nocą, na prośbę gospodarza, i pił wino w towarzystwie jednego z najbogatszych dostojników Izraela.

– Zostałem jego uczniem – wyjaśnił Nikodem. – Chociaż tego nie rozgłaszałem.

– Twój rabbi z pewnością ma skłonność do dramatyzmu.

– Może i tak.

Zaczerpnąłem głęboki haust nocnego powietrza i poczułem, że moje ciało się rozluźnia. Już dużo wcześniej odkryłem, że Nikodem dorównuje mi intelektem. Żaden z nas nie czuł potrzeby, by robić wrażenie na drugim. Przyjaźń między nami umacniała się, przekraczając różnice kulturowe.

– O czym rozmawialiście, gdy tu był?

– To rabbi, Teofilu. Rozmawialiśmy o religii.

– Czy on stanowi zagrożenie dla Rzymu? – przeszedłem do sedna sprawy.

Nikodem rozmyślał przez chwilę nad odpowiedzią. Gdy w końcu się odezwał, wydawał się ważyć słowa:

– Słyszałeś może, jak uzdrowił sługę setnika?

– Nie. Moje żydowskie źródła chyba zawodzą.

Nikodem zignorował ten drobny przytyk i opowiedział mi historię o tym, jak Jezus rzekomo uzdrowił sługę rzymskiego setnika.

– Nawet nie musiał pójść go zobaczyć, Teofilu. Wyrzekł tylko słowo, a ten człowiek został uzdrowiony.

– Brzmi imponująco – przyznałem. – Jeśli to prawda.

– Jak zawsze sceptyczny – zaśmiał się Nikodem.

– Jestem Rzymianinem. Mam to we krwi.

– Rzecz w tym, przyjacielu, że nawet po tym uzdrowieniu Jezus wcale nie próbował namówić setnika, by porzucił służbę Rzymowi. Powiedział za to, że nigdy nie spotkał takiej wiary w Izraelu. Czy tak postępuje ten, kto zamierza obalić Rzym?

Rozkoszowałem się kolejnym łykiem wina, jeszcze bardziej odprężony. Może to był wpływ alkoholu, a może po prostu odczułem ulgę, uświadamiając sobie, że nie grozi nam żaden większy problem.

– Dlaczego ktoś taki jak ty, szanowany w Izraelu rabbi, został uczniem innego rabbiego? – zapytałem.

– Ach. – Nikodem rzucił to słowo takim tonem, jakbym wreszcie wpadł w jego pułapkę. Spojrzał na wzgórza i zaczął opowiadać mi o Jezusie: o pogłoskach, jakie słyszał, zanim zaprosił go do swej posiadłości. Otóż ów mężczyzna potrafił wyrzucać demony, uzdrawiać chorych, przywracać wzrok ślepcom, uciszać swoich krytyków, rozmnażać jedzenie. – Niektórzy mówią, że chodził po wodzie – powiedział i odwrócił się ku mnie, w samą porę, by dostrzec mój kpiący uśmiešek. – Wiem – dodał szybko. – Ja też z początku w to nie wierzyłem.

Przybliżył mi, o czym rozmawiali. Przekazał dziwną odpowiedź rabbiego na pytanie o te wszystkie cudowne znaki, jakich dokonywał:

– Dopóki człowiek nie narodzi się powtórnie, nie może wejść do królestwa Bożego.

Nikodem zamilkł, jakby w tym stwierdzeniu rabbiego kryła się niewiarygodna głębia.

Wzruszyłem ramionami. Co to w ogóle znaczyło? Z oczywistych powodów nie interesowała mnie wzmianka o królestwie, ale wiara w reinkarnację nie była niczym niezwykłym. Na tym zasadzała się istota wschodnich religii i byłem zdziwiony, że Nikodema tak to porwało.

– Nie rozumiem – odparłem.

– Tak też było ze mną – przyznał Nikodem. – Gdy poprosiłem go o wyjaśnienie, odrzekł, że dopóki ktoś się nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego. Powiedział, że to, co się z ciała narodziło, jest ciałem, a to, co z Ducha, jest duchem.

Znów przerwał, jakby oceniając moją reakcję. Przypuszczałem, że mówi o odrębności duszy i ciała, koncepcji, która nie była mi obca. To dlatego w Rzymie poddawaliśmy naszych zmarłych kremacji. Dusza wędrowała dalej, natomiast ciało nie. Dusza, uwolniona od ciała, ulatywała do nieba lub zstępowała w świat podziemny, jeśli jej życie nie sprostało wymaganiom bogów.

Rozmawialiśmy prawie godzinę. Wieczne życie. Nieśmiertelność. Czyż nie wszyscy do tego dążyliśmy? Oktawian August dzięki swemu życiu osiągnął nieśmiertelność. Ja zaś podczas pobytu w Grecji wyczuwałem, że duch Cyncerona krąży w moich żyłach – dzięki słowom i czynom tego człowieka, które go przeżyły. To dlatego przygotowywałem się do profesji adwokata, starałem się wyrobić sobie siłę charakteru, wieść moralne życie. Jednak do nieśmiertelności wiodła urwista ścieżka, dostępna tylko dla ludzi o odważnym sercu. Zgodnie z moim przekonaniem, była to droga jedynie dla nielicznych wybrańców – tych, w których żyłach

płynęła krew zacnych przodków i którzy sprawdzili się w niespokojnych czasach. Zwykłych ludzi to przerastało.

Nikodem odmówił mi racji, z szacunkiem, lecz też z entuzjazmem. Nawet w ciemności dostrzegałem, że błyszczą mu oczy. Stwierdził, że Jezus jest Synem Bożym. I że każdy, kto w niego wierzy, ma życie wieczne. Nawet pośledni wieśniacy.

Zakołysałem pucharem z winem, pozwalając, by słodki zapach winogron wypełnił moje nozdrza. Przypomniałem przyjacielowi, że tytuł „syna bożego” już do kogoś przynależy. Do wielkiego Tyberiusza, syna boskiego Augusta.

Nikodem powiedział, że powinienem posłuchać owego rabiego, kiedy naucza.

– Przywódcy Sanhedrynu planują zastawić na niego pułapkę, jutro, na dziedzińcu Świątyni – wyjaśnił. – Zamierzają go spytać, czy powinni płacić podatek cesarzowi.

Podatek dla cesarza, płacony tylko przez tych, którzy mieszkali w prowincjach i nie byli rzymskimi obywatelami, stanowił podstawę ekonomii Rzymu. Pułapka była oczywista, choć niezbyt sprytna, bo łatwa do przejrzenia. Odpowie „tak” i straci poparcie ludu – czy Mesjasz popierałby podatek dla cesarza? Odpowie „nie” i straci życie. Jaki rzymski władca pozwoliłby na takie podburzanie tłumu?

Ten dylemat przykuł moją uwagę.

– Jak myślisz, co odpowie?

– Dlaczego sam się nie przekonasz? – zapytał Nikodem.

Przyznałem, że mógłbym się tam wybrać. Dopilem swój puchar wina i podziękowałem Nikodemowi za gościnę. Kiedy się zegnaliśmy, położył mi rękę na ramieniu i spojrzał na mnie z powagą.

– Jesteś dobrym przyjacielem, Teofilu. Wysoko sobie cenię naszą przyjaźń. Nie mogę jednak jej stawiać ponad słowa proroków. Jeśli ten człowiek jest Mesjaszem, a wierzę, że jest, to Rzym nie będzie w stanie go powstrzymać. On nie stanowi zagrożenia dla państwa. Przynajmniej nie takie, o jakie go posądzacie. Nie podniesie ręki przeciw Rzymowi. Lecz proroctwa są jasne. Wszyscy władcy świata ostatecznie oddadzą pokłon żydowskiemu Mesjaszowi. Nie chcę, byś znalazł się po niewłaściwej stronie przeznaczenia.

Te słowa można by uznać niemal za zdradę, ale pomyślałem, że mój przyjaciel po prostu wypił o jeden puchar wina za dużo. Jasne było, że Nikodem pójdzie za tym nowym Mesjaszem wszędzie. Teraz jednak wydawało mi się, że najbardziej zajmuje go mój los.

Postanowiłem nie traktować jego słów zbyt poważnie.

– Jesteśmy Rzymianami, Nikodemie. Sami kształtujemy swoje przeznaczenie.

We wtorek dziedziniec świątynny wyglądał znów zwyczajnie, zupełnie jakby Nazarejczyka wcale tu nie było, jakby nie wzbudził lęku, urazy i nie doprowadził do szamotaniny o rozsypane monety.

Zaszło jednak parę zmian. Przybyło strażników świątynnych, a bankierzy mieli się na baczości i od czasu do czasu rozglądali się dokoła, jakby sprawdzając, czy ten zapalczywiec znów się na nich nie rzuci. Kapłani jednak nadal oglądali ja-gnięta, kozły, synogarlice i gołębie, marszcząc czoła i kręcąc głowami, a piel-grzymi nadal grzebali w sakiewkach, by zakupić odpowiednie zwierzę.

Powrócił zapach wielkich pieniędzy.

Kręciłem się po dziedzińcu w południowym skwarze, odziany w białą rzym-ską togę i zlany potem, potrącany przez zaaferowanych przechodniów. W pewnej chwili pomogłem małemu dziecku, pięcio-, może sześćioletniemu, które stało przy jednej z korynckich kolumn ze łzami w oczach. Przeczesywaliśmy tłum i nie usta-waliśmy w poszukiwaniach, dopóki nie znaleźliśmy rodziców chłopca po drugiej stronie dziedzińca. Matka podziękowała mi wylewnie i chciała zapłacić za przy-sługę. Odmówiłem z grzecznym uśmiechem. Chłopiec dostał burę od ojca i uści-snął mnie, zanim rodzina poszła w swoją stronę.

Seneka byłby ze mnie dumny.

Chwilę później ruszyłem śladem tłumy na miejsce, gdzie nauczał Jezus. Wszyscy byli tak zafascynowani słowami rabiego, że w zasadzie nie zwracali na mnie uwagi.

Znalazłem miejsce na uboczu i słuchałem. Jako tako znałem aramejski – na pewno o wiele lepiej niż Piłat – przynajmniej na tyle, by zrozumieć sens słów rab-biego.

Jezus opowiadał różne historie.

– Pewien człowiek miał dwóch synów... Pewien człowiek założył winnicę... Pewien król wyprawił ucztę weselną...

Nie przepadał za szczęśliwymi zakończeniami. Syn okazał ojcu niepo-słuszeństwo. Rolnicy obili sługi pana winnicy, a na koniec nawet zabili jego syna. Na wesele nikt nie przyszedł, a ten, który przybył, nie miał odpowiedniej szaty, więc król kazał go związać i wyrzucić z domu.

– Wielu jest powołanych, ale mało wybranych – rzekł Jezus.

Intrygowała mnie jego osobowość, autorytet, z jakim nauczał. Spacerował wokół i utrzymywał uwagę słuchaczy; miał brązowe oczy i przenikliwe spojrzenie. Korzystał z pełnego arsenału sztuki przekonywania, jaki poznałem w Grecji – mo-dulacja głosu, wyraz twarzy, płynne ruchy stwardniałych dłoni, uśmiech do matki trzymającej dziecko na ręku, twarde spojrzenie, gdy krytykował religijnych przy-

wódców. Musiałem się tego uczyć przez całe lata, a ten człowiek – ponoć syn cieśli – najwyraźniej był urodzonym mówcą. Zebrani słuchali nachyleni, uciszając każdego, kto ważył się odezwać.

Spojrzenie Jezusa spoczęło na moment również na mnie, stojącym na tyłach zbiegowiska, a przynajmniej tak mi się wydawało. Odniosłem wrażenie, jakby skądś mnie znał.

– Strzeżcie się uczonych w Prawie – powiedział, podnosząc głos. Najeżyłem się. Pewnie myślał, że nie rozumiem po aramejsku. Pewnie nie wiedział, że jestem asesorem Piłata. Mogłem go zniszczyć jednym słowem.

– Z upodobaniem chodzą w powłóczystych szatach – ciągnął, znów wędrując wzrokiem po tłumie. – Lubią pozdrowienia na rynku i pierwsze krzesła w synagogach.

Zrozumiałem, że te słowa nie są wymierzone we mnie, i poczułem się trochę głupio, że przez chwilę sądziłem inaczej. Kierował te zarzuty do faryzeuszy – nauczycieli żydowskiego Prawa – stojących w pobliżu, po jego prawej stronie. Oni też doskonale pojęli, do kogo adresowana jest ta przygana, i odpowiedzieli mu gniewnymi spojrzeniami; wydłużone miny i uniesione brody świadczyły o ich dezaprobowaniu. Nosili długie czarne szaty, jak zauważył to Jezus, chusty modlitewne z długimi frędzlami, a na czołach filakterie z wersetami z Tory.

Rabbi oskarżał ich, że objadają domy wdów, i zapowiedział, że zostaną surowo ukarani przez Boga. Przez tłum przebiegł pomruk potakiwań. Spostrzegłem, że ludzi jeszcze przybyło. Już nie stałem w tyle, w bezpiecznym oddaleniu.

– Nauczycielu! – zawołał jakiś młody człowiek, stojący pośrodku zbiegowiska, niedaleko mnie. – Mamy pytanie.

Nazarejczyk podszedł ku niemu i kilku jego towarzyszom. Tłum rozstąpił się, by dać mu przejście, a potem znów zwarł się za nim, otaczając kręgiem nauczyciela i owego młodzieńca, który chciał zadać pytanie. Wyczułem rosnące napięcie, jakby burzowe chmury nad morzem, napływające w kierunku lądu. Wiedziałem, że owa grupka mężczyzn to ci, o których mówił Nikodem. Szykowali się, by zadać pytanie, które miało przywieść Jezusa do upadku.

Próbowałem przyciągnąć do siebie spojrzenie Nikodema, stojącego w pewnym oddaleniu ode mnie, lecz on był zbyt pochłonięty sytuacją, by mnie zauważyć.

– Nauczycielu, wiemy, że słusznie mówisz i uczysz i że drogi Bożej w prawdzie nauczasz – zaczął młodzieniec, przemawiając w imieniu grupki młodych faryzeuszy. – Nie masz też względu na osobę. – Przerwał, i choć Jezus stał tuż przed nim, przemówił głośnie, by usłyszał go cały tłum. – Powiedz nam zatem, co sądzisz? Czy wolno nam płacić podatek cesarzowi, czy też nie?

Jezus pokręcił głową.

– Dlaczego, obłudnicy, wystawiacie mnie na próbę? – spytał. – Pokażcie mi denara.

Jeden z grupki sięgnął do sakiewki, wydobył monetę i podał ją Jezusowi. Rabbi uniósł pieniążek nad głową, ku słońcu, i obrócił go w dłoni.

– Czyj nosi obraz i napis? – zapytał.

Kilku ludzi obok mnie mruknęło. Zrozumieli, w czym rzecz.

Ci, którzy zadali pytanie, próbowali zachować stoicki spokój, choć w ich oczach błysła panika. Na denarze, srebrnej monecie bitej w prywatnej mennicy Tyberiusza, widniał z jednej strony profil imperatora wraz z inskrypcją: *Tyberiusz Cezar, czcigodny syn boga Augusta*. Z drugiej zaś wybito podobiznę rzymskiej bogini pokoju oraz słowa: *Pontifex Maximus* – czyli najwyższy kapłan, najważniejszy budowniczy mostów między ludźmi a Bogiem.

„Czyj obraz”! Dobre pytanie! Jezus trzymał monetę, pokazując ją tłumowi, który jakby zobaczył denara po raz pierwszy. Pytający zdawali się odsuwać od pieniążka, jakby nagle objawiła się w nim trucizna. *Nie możecie znieść tarcz w prywatnej rezydencji Pilata, ale nic nie macie przeciw wnoszeniu wyrytego wizerunku cesarza na dziedziniec świątynny?*, pomyślałem. Z wyrazu twarzy zgromadzonych poznałem, że nie ja jeden tak myślę.

– Czyj obraz? Czyj napis? – powtórzył Jezus.

– Cesarza – odrzekł młody człowiek.

Jezus uśmiechnął się i oddał mu pieniążek.

– Oddajcie więc cesarzowi to, co należy do cesarza, a Bogu to, co należy do Boga.

Dopiero gdy tłum się już rozproszył i mogłem spokojnie przejść się w towarzystwie Nikodema, w pełni dotarło do mnie, co się właśnie wydarzyło.

– Nasi rabbi mają swoisty styl nauczania – wyjaśnił Nikodem. – Na pytanie odpowiadają innym pytaniem, opartym na Torze, wykazując słabość rozumowania uczniów. W ten sposób wskazują odpowiedź. Doskonale wiesz, że według naszych przykazań nie wolno nam mieć innych bogów niż Bóg Izraela i że nie wolno nam tworzyć wizerunków żadnego bóstwa. Gdy Jezus spytał o ten obraz, słuchacze od razu sobie przypomnieli o tym przykazaniu i o zakazie tworzenia wizerunków.

Skinąłem głową. Tyle zrozumiałem.

– Jezus zapytał też o napis – ciągnął Nikodem. – To przywołało przykazanie Tory, byśmy wypisali imię Jahwe na naszych rękach i czołach, na odrzwiach, na bramach miast. Najważniejsze zdanie, jakie trzeba wypisać, to *Szema*: „Słuchaj, Izraelu! Wiekuisty jest naszym Bogiem, Wiekuisty jest jedyny! A będziesz miłował Wiekuistego, Boga twojego całym sercem twoim i całą duszą twoją, i całą mocą twoją”.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, ale nie znalazłem odpowiedzi na moje podstawowe pytanie.

– Dlaczego tłum nie szemrał, gdy Jezus potwierdził słuszność podatku dla cesarza?

Nikodem ominął mnie wzrokiem i spojrzał na pełen ożywienia dziedziniec, jakby ważył w myślach, czy w ogóle powinien mi odpowiadać. W końcu odwrócił się ku mnie. Wyczułem, że w tej chwili podejmuje wielkie ryzyko.

– Czy wiesz, co według naszej religii należy do Boga? – spytał.

– Przede wszystkim mnóstwo gołębi, synogarlic i baranków.

– Nie mówię o ofiarach – odrzekł. Jak zwykle nie dosłyszał sarkazmu. – Do Pana należy cała ziemia i wszystko, co ją napełnia.

– Znów Tora?

– Psalm króla Dawida.

– Wszystko, co ją napełnia... – To dlatego tak trudno było rządzić żydowskim narodem. – A więc powiadasz, że Jezus tak naprawdę nie nakazał Żydom płacić tego podatku? – Zapytałem. Trochę kręciło mi się od tego wszystkiego w głowie.

– Nigdy tak nie twierdziłem – zaproponował Nikodem. – Jezus również nie.

Może. Odtąd jednak nie miałem co do tego pewności. I może w tym tkwiło sedno wypowiedzi Jezusa, którą tak zgrabnie ominął pułapkę. Wiedziałem jedno – ten człowiek jest zręcznym mówcą.

I możliwe, że również niebezpiecznym.

Nad ranem, dwa dni później, obudziło mnie pianie koguta. Zsunąłem się z posłania i postawiłem stopy na zimnym marmurze.

Otworzyłem okiennice i spojrzałem na księżyc, którego blask jeszcze rzucał cienie między konarami drzew. Ciemność zmagala się z pierwszymi zwiastunami świtu.

Umyłem się. Przyszedł sługa i rozpałił ogień. Jerozolima z okien mojej sypialni przedstawiała piękny widok, tak spokojna w pierwszych białych promieniach słońca. Pod osłoną szarawego nieba znikala brzydota krytych strzechą lepianek, otaczających wspaniałość Świątyni. Widać było jedynie fascynujące kontury miasta – iglice na dachu Świątyni, ogromne, podtrzymujące go kolumny, portyki wokół dziedzińców, wijący się na horyzoncie potężny mur okalający miasto.

Wciąż można było dostrzec tłące się ogniska, rozpalone poprzedniego dnia. Jutro Pascha. Dziś późniejszą porą składanie ofiar będzie trwało w najlepsze. Podrzynanie gardeł jałówek, patroszenie jagniąt, zakluwanie synogarlic i gołębi. Wszędzie będzie unosił się smród, tak gryzący, że niemal da się wyczuć jego smak w suchym, pustynnym powietrzu – odór śmierci, swąd palonego mięsa. Wewnętrzny dziedziniec Świątyni przetną szkarłatne strugi krwi.

Rzymianie urządzali rzezie dla sportu. Żydzi je uświęcili, nazywając to prześlaniem.

Ziewnąłem. Położyłem się późno, a w Jerozolimie spało mi się gorzej niż w Cezarei. Wczoraj, na szczęście, w Świątyni panował względny spokój. Nigdzie nie było widać Nazarejczyka i jego wyznawców.

Słońce wyjrzało zza horyzontu, promienie nadziei na nowy dzień obudziły miasto ze snu. Piłat już pewnie był na nogach. Za chwilę spotkam się z nim na porannym goleniu. Trzeba będzie pisać raporty, rozstrzygać spory, badać pogłoski.

Włożyłem togę, wzięłem sandały, chwyciłem oliwną lampkę i ruszyłem na spotkanie z golibrodą.

Znów to usłyszałem, tym razem dźwięk był cichszy, niemniej nie do pomylecia z niczym innym.

Kogut zapiał po raz drugi. Zaczął się nowy dzień.

Nieco później nasze poranne golenie przerwali słudzy. Rozważaliśmy z Piłatem, czy powinniśmy dać znać Tyberiuszowi o najnowszym żydowskim Mesjaszu, dosiadającym osiołków człowieku z Nazaretu, który w pojedynkę oczyścił Świątynię z przekupniów. Delikatna równowaga wymagała, by cesarzowi nie powiedzieć zbyt wiele, ani też zbyt mało. Powiesz za dużo i imperator uzna, że prowincja wy-

mknęła ci się spod kontroli. Powiesz za mało, a usłyszysz o zamieszkach z innych źródeł i pomyśli, że Piłat coś przed nim ukrywa. Postanowiliśmy, że wspomnimy o niedawnym rozdzwieku wśród żydowskich przywódców religijnych, a zarazem zapewnimy Tyberiusza, że nad wszystkim panujemy.

Nie było nam jednak dane rozpocząć pisania.

– Sanhedryn zebrał się w środku nocy – doniósł bez tchu jeden ze sług. – Skazali człowieka, który stoi na czele rebelii, i chcą przyprowadzić go do ciebie.

Golibroda przejechał zimnym ostrzem po moim policzku i wytarł je. Spojrzałem na Piłata. Na jego twarzy malowało się rozdrażnienie.

– Powiedz im, że się gołę – polecił, odsyłając sługę machnięciem ręki.

Ten jednak pozostał na miejscu. Arcykapłan uparcie domagał się posłuchania. Przywłókł za sobą większość Sanhedrynu, wraz z dużą grupą strażników świątynnych. Wokół gromadził się już tłum.

– Z całym szacunkiem – odparł sługa – ale chyba najlepiej będzie szybko się tym zająć.

Piłat spojrzał na mnie. Wzruszyłem ramionami. To w tym celu przyjechaliśmy do Jerozolimy na Paschę. Sprawy tylko się pogorszą, jeśli pozwolimy im się zaognić.

– Sądzi go w nocy? – zapytałem. Żydowskie Prawo zakazywało nocnych procesów.

– Najwidoczniej tak.

– Czy wysłali do nas ze Świątyni zawiadomienie o oskarżeniach?

Posłaniec potrząsnął głową.

– Nie wiem, panie. Wiem tylko, że już uznali go za winnego i wyznaczyli karę.

Znów wymieniliśmy spojrzenia z Piłatem. Znał moje oddanie wobec prawa, obsesję na punkcie prawidłowych procedur. To rzymska sprawiedliwość, a nie nasze budowle czy wojenne wyczyny, odróżniała nas od barbarzyńców, mężów chodzących w togach od dzikusów odzianych jedynie w biodrową przepaskę.

– Przyprowadźcie go przed trybunał – polecił Piłat.

Sługa spuścił wzrok i zaszurał nogami.

– O co chodzi? – zapytał ostro Piłat, nie starając się nawet ukryć swego rozdrażnienia.

– Jutro ich Wielki Szabat – wyjaśnił potulnie sługa. – Nie chcą wchodzić do środka.

Piłat odchrząknął. Żydzi nie chcieli się splamić, wstępując w progi domostwa nieczystego Rzymianina. To była ciągła zniewaga i uważałem, że Piłat traktuje ją zbyt lekko.

– Ustaw fotel sędziowski na Litostrotos – nakazał prefekt. Sięgnął po miskę z wodą i zaczął obmywać sobie twarz. – Wróć niedługo – rzucił w stronę cyrulika.

Litostrotos, wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec, był z trzech stron otoczony murami pałacu i rzędami ogromnych kolumn korynckich. Rzymscy żołnierze trzymali straż zarówno na samym dziedzińcu, jak i na murach pałacu, stali na baczność, każdy z prostokątną, czerwono-żółtą tarczą w lewej dłoni i znakiem batalionu w prawej. Byli w pełnym rynsztunku bojowym, który lśnił w porannym słońcu, okryci czerwonymi pelerynami. Ich liczba szła w setki, a ponadto parę tysięcy żołnierzy czekało w gotowości, by w razie potrzeby wtargnąć na dziedziniec. Imponujący pokaz rzymskiej potęgi.

Piłat stanął w marmurowym portyku u szczytu wielkich schodów, dwadzieścia stóp ponad dziedzińcem. Zająłem miejsce po jego prawicy. Setnik, wysoki Samnita imieniem Longinus, stanął po lewej stronie prefekta. Piłat wystąpił w paradnym rynsztunku bojowym – w zbroi i czerwonej pelerynie – by przypomnieć Żydom, że nieobce mu pola bitewne i że nie wzdraga się przed przelaniem krwi.

Potężne drewniane bramy po przeciwnej stronie dziedzińca otwarły się na oścież i do środka weszli żydowscy przywódcy, wystrojeni w ceremonialne szaty. Miny mieli ponure i zacięte. Za nimi postępowali członkowie straży świątynnej, wlokąc więźnia niczym psa, za łańcuch przymocowany do metalowej obroży, szarpiąc go i ciągnąc w kierunku portyku. Za nimi podążały setki Żydów, którzy rozpierzchli się po dziedzińcu wyłożonym wielkimi kamieniami i wypełnili go szczelnie, a i tak wielu zostało za bramami.

Strażnicy szarpnęli więźnia do podnóża schodów i wypchnęli go przed siebie. Miał typową dla Żydów oliwkową karnację i muskularną sylwetkę robotnika. Ręce związane mu za plecami, a jego szata z jednej strony była rozdarta, tak że niezgrabnie zwisała, odsłaniając ślady po uderzeniach i sińce na ramieniu. Usta i nos miał opuchnięte, na jego czole i policzkach widniały rany, a długie, czarne włosy były zlepione krwią i potem. Pod jednym okiem wystąpił mu ciemny siniec, a na brodzie widać było zakrzepłą krew i plwociny.

Strażnik szarpnął za łańcuch i pociągnął jeńca. Ten złapał równowagę, mocno oparł się na obu nogach i spojrzał w górę, na Piłata, przenikliwymi, brązowymi oczyma.

To był Jezus. Ten, który wypędził przekupniów ze Świątyni i przewracał stoły bankierów. Ten, który uzdrawiał chorych i podobno chodził po wodzie. Stał tam, pełen cichej godności, i choć obrzucano go wyzwiskami, na jego twarzy malował się spokój.

– Jaką skargę wnosicie przeciw temu człowiekowi? – zapytał Piłat. Zdanie to wypowiedział po grecku, w języku urzędowym rzymskiego porządku prawnego.

Kajfasz, arcykapłan o krzepkiej posturze, zrobił krok do przodu. Oczy płonęły mu pogardą.

– Gdyby to nie był złoczyńca, nie wydalibyśmy go tobie.

Tłum zaszemrał z aprobatą i zdawał się napierać na schody, wezbrana ludzka tłuszcza.

Piłat przechodził już gorsze rzeczy.

– Weźcie go i osądźcie według swego prawa – powiedział, odprowadzając Żydów lekceważącym skinieniem dłoni. Zasiadł w fotelu sędziowskim, dając tym samym znak, że rozprawa dobiegła końca.

Tłum zareagował na to gniewem, a wszyscy przywódcy zaczęli mówić jednocześnie. Uspokoił się, gdy Annasz, były arcykapłan i chyba najbardziej wpływowy człowiek w całej Jerozolimie, podniesionym głosem nakazał ciszę.

– Nam nie wolno nikogo zabić – powiedział z grymasem gniewu na twarzy. Stojący wokół niego Żydzi pokrzykiwali z aprobatą.

Dziwiłem się, jak szybko odwróciła się sytuacja. Zaledwie parę dni temu Jezus spustoszył dziedziniec świątynny, a nikt nie ośmielił się mu przeciwstawić. Teraz, o ile widziałem, nie miał w tłumie ani jednego sprzymierzeńca.

Piłat wstał i uniósł rękę, uciszając zebranych. Rzymscy żołnierze, zaznaczając swoją obecność na obrzeżach zbiegowiska, oparli znaki bojowe o mury i położyli dłonie na mieczach. Co poniektórzy Żydzi rzucali w ich kierunku nerwowe spojrzenia. Masakra, do jakiej doszło po sporze o akwedukty, nie poszła w zapomnienie. Piłat podszedł do skraju schodów i spojrzał w oczy rabbiemu. Potem zwrócił spojrzenie na Annasza.

– Czy to nie ten sam człowiek, którego twój lud hucznie witał w mieście zaledwie pięć dni temu? A teraz chcecie jego śmierci?

Annasz zeszywniał.

– Dostojny Piłacie, ten człowiek podburza nasz naród i podaje się za obiecane go Żydom Mesjasza, króla. – Annasz rozejrzał się wokół, jakby zastanawiając się, jak daleko może się posunąć. W końcu zrobił krok do przodu i zniżył głos. – Nie mamy króla prócz cesarza.

Te słowa zawisły na moment w powietrzu, przygniatając wszystkich swymi wielorakimi implikacjami. Tak jak nikt nie zapomniał o rzezi Żydów, nikomu też nie trzeba było przypominać o incydencie z tarczami. Nie mamy króla prócz cesarza. W tych słowach kryła się między innymi zawołana groźba, że żydowscy przywódcy znów nadużyją swoich wpływów przeciw Piłatowi – i zaapelują bezpośrednio do imperatora, jeśli sprawa nie pójdzie po ich myśli.

Dostrzegłem, po raz pierwszy tego ranka, że Piłat się waha. Ramiona wciąż miał wyprostowane na znak sprzeciwu. Zamilkł jednak, spojrzał znów na więźnia, a potem, oschle skinąwszy głową, krótko rozkazał żołnierzom:

– Zabierzcie go.

Obrócił się i wszedł do wielkiej sali sądowej pretorium, a czerwona szata powiewała za nim. Rzymscy żołnierze wystąpili do przodu, przejęli więźnia i powle-

kli go ku schodom. Patrzyłem na to przez chwilę, a potem odwróciłem się i podążyłem za Piłatem.

Zapowiadał się długi poranek.

24

Żołnierze przywlekli Jezusa do sali, ciągnąc za łańcuch przymocowany do obręczy wokół jego szyi. Piłat odesłał wszystkich z wyjątkiem mnie i centuriona Longina, który stanął przy drzwiach.

Namiestnik chodził wokół więźnia, przyglądając mu się uważnie. Jezus patrzył wprost przed siebie.

– Czy ty jesteś królem żydowskim? – zapytał prefekt. W tym pytaniu kryła się pogarda, zważywszy na to, jak teraz wyglądał więzień.

– Czy mówisz to od siebie, czy też inni powiedzieli ci o mnie?

Musiałem powstrzymać uśmiech. To był ten sam rabbi, który parę dni wcześniej na dziedzińcu świątynnym zbulwersował religijnych przywódców. Teraz grał w kotka i myszkę z samym Piłatem. Czy mówisz to od siebie... Na czym opierały się działania Piłata – na pogłoskach? Czy on sam widział cokolwiek, co świadczyłoby, że Jezus ustanawia królestwo? Nie.

Twarz namiestnika pociemniała. Stanął przed Nazarejczykiem. Nie lubił, gdy podważano jego słowa.

– Czy ja jestem Żydem? – spytał. Tym razem przemówił tonem bardziej zjadliwym niż pytającym. – Twój lud i kapłani wydali mi ciebie. Co zrobiłeś?

– Królestwo moje nie jest z tego świata – rzekł Jezus wolno, z namysłem, jakby wyjaśniał coś dziecku. – Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd.

– A więc jesteś królem?

Jezus pomilczał chwilę, jakby miał dla siebie cały czas świata.

– Tyś to powiedział. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu.

Piłat znów zmierzył Jezusa wzrokiem od stóp do głów, jakby chciał oszacować przybysza z innego świata. Jezus mówił o religii, lecz prefekt był człowiekiem nad wyraz praktycznym. Wydawał się rozdarty między podziwem wobec pewności siebie, jaką okazywał więzień, a irytacją z powodu jego bezczelności.

– Cóż to jest prawda? – zapytał w końcu z prychnięciem, a ja pomyślałem o naukach, jakie wpajał mi Seneka. To było właściwe pytanie, choć Piłat rzucił je nonszalancko, nie oczekując odpowiedzi.

Jezus wyczuł jego intencje i nic nie odrzekł.

Piłat skinął głową na Longina, by wezwał strażników i odprowadził więźnia.

Gdy potężne drewniane odrzwia zamknęły się za nimi, Piłat z irytacją potrząsnął głową.

– Ten człowiek jest arogancki – stwierdził.

– Ale jest też niewinny.

– Twierdzi, że jest królem.

– Może to i wizjoner, ale nie stanowi zagrożenia.

Piłat spochmurniał, głębokie bruzdy przecięły jego czoło.

– Może on nie, ale ludzie, którzy go nienawidzą, tak.

Podszedł do okna i przez długą chwilę patrzył na miasto. Kiedy w końcu odwrócił się ku mnie, na jego twarzy dostrzegłem napięcie.

– To tylko jeden człowiek – powiedział. – A prawda jest taka, że muszę mieć na uwadze całą prowincję. – Z tymi słowami skierował się w stronę portyku. Posłusznie podążyłem za nim.

– Cóż to jest prawda? – mruknąłem do siebie.

Tym razem Jezus stał na szczycie schodów portyku, zwrócony twarzą ku tłumowi. Piłat i ja stanęliśmy za nim.

– Nie znajduję w nim żadnej winy – zauważyłem.

Piłat przytaknął, ale w jego oczach widziałem niepewność.

– Czy oni myślą, że jestem ich niewolnikiem? – spytał. – Że mogą mi rozkazywać, kiedy uderzyć mieczem rzymskiego prawa?

Podszedł na skraj portyku, a tłum przycichł.

– Nie znajduję żadnej winy w tym człowieku – oznajmił prefekt.

Zebrani powitali te słowa krzykami i drwinami. Tłuszcza, która pod naszą nieobecność chyba jeszcze się zagęściła, napierała ku schodom. Żołnierze wartujący w portyku zeszli o kilka stopni, a ci stojący na okalających dziedzińiec murach wyprostowali się nieco i utkwili spojrzenia w namiestniku, czekając na sygnał do ataku.

Piłat poczekał, aż wrzawa przycichnie. Wciąż stał, co oznaczało, że jeszcze nie wydał ostatecznego wyroku.

– Niech usłyszę wasze zeznania – rozkazał.

Oskarżyciele Jezusa przyzywali coraz to nowych świadków. Jezus zagroził, że zburzy Świątynię i w trzy dni ją odbuduje. Nie okazywał szacunku faryzeuszom, nazwał ich grobami pobielanymi i żmijami. Nakazał Żydom, by nie płacili podatku – to oskarżenie, jak wiedziałem, nie miało żadnych podstaw. Zeznania były chaotyczne, lecz Jezus wciąż stał nieporuszony niczym posąg, nie wdając się w spory z oskarżycielami.

Towarzyszyłem Piłatowi w setkach procesów. Obaj byliśmy świadkami, jak dorośli mężczyźni błagali, kłócili się i przeklinali. Widzieliśmy, jak rzucają się na

swoich oskarżycieli. Pewien mężczyzna chwycił się za pierś i umarł na miejscu. Nigdy jednak nie byłem świadkiem takiego stoicyzmu wobec równie jadowitych zarzutów.

– Nic nie odpowiadasz? – spytał Piłat w pewnym momencie. – Zważ, o jakie rzeczy cię oskarżają.

Jezus jednak nawet nie spojrzął na prefekta. Stał i patrzył na to zbiegowisko, a na jego twarzy nie malowały się żadne emocje, jakby był w jakimś transie.

Czułem, że rośnie we mnie sympatia do tego Nazarejczyka. Z podziwem obserwowałem go już kiedyś na dziedzińcu świątynnym, poza tym byłem pod wrażeniem jego oratorskich umiejętności. Był to z mojej strony zawodowy szacunek jednego oratora wobec drugiego, podobnie jak wspaniały gladiator może odczuwać niechętnie uznanie wobec walecznego wroga. Zaintrygowało mnie też to, co ponoć powiedział Nikodemowi. Jednak dopiero tutaj, w portyku przylegającym do Litostrotos, ujrzałem taki rodzaj stoicyzmu, o jakim rozprawiał Seneka, gdy byłem jeszcze chłopcem.

Tylko jednym uchem słuchałem świadków, którzy występowali naprzód, jeden po drugim. W myślach rozbrzmiewały mi słowa Seneki:

Widząc człowieka nieulętkłego wobec niebezpieczeństwa, nieczulego na pragnienia, szczęśliwego pośród przeciwności, opanowanego pośród wrzawy i lekceważącego to wszystko, czego ludzie zazwyczaj się boją lub czego pożądamy, wszyscy muszą przyznać, że na tegoż człowieka nie zstąpiło nic innego, jak sama boska moc.

Byłem świadkiem tej boskiej mocy w tych kilku krótkich spotkaniach z Jezusem. I nie miałem pojęcia, co z tym zrobić.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie pewien szczególnie stanowczy świadek, który gwałtownie gestykułując, opowiadał, ile kłopotów przysporzył dotąd ten człowiek.

– Podburza lud – wołał – szerząc swą naukę po całej Judei, od Galilei, skąd rozpoczął, aż dotąd!

Nagle coś mnie olśniło, niczym błyskawica zesłana przez Jowisza. *Powiedział: od Galilei?*

– Prefekcie – odezwałem się.

Piłat uniósł dłoń, na znak, że przerywa zeznania, a ja podszedłem do niego, by odbyć krótką naradę. W procesach karnych więźnia należało przekazać z *forum apprehensions*, miejsca, gdzie go aresztowano, do *forum originis*, miejsca, skąd pochodził. Piłat widocznie nie zwrócił uwagi na wzmiankę o Galilei, lecz ja tak. Teraz, w tej krótkiej chwili, czułem się rozdarty między zobowiązaniami wobec prawa a pragnieniem, by pomóc więźniowi. Galilea znajdowała się pod jurysdykcją Heroda Antypasa, ekscentrycznego syna Heroda Wielkiego. Mogliśmy posłać Jezusa do niego – co więcej, powinniśmy to zrobić. Nie można było jednak przewidzieć, jakie to przyniesie skutki.

– Ten człowiek wspomniał o Galilei – szepnąłem do Piłata. – Twierdził, że więzień stamtąd pochodzi.

Piłatowi zaświeciły się oczy. Nie musiałem mu nic wyjaśniać.

Odwrócił się i spojrzał na świadka.

– Powtórz, co powiedziałeś – nakazał.

Zapał mężczyzny zdawał się przygasać.

– Chyba mówiłem, że on siał wielki zamęt, ekhm, właściwie wszędzie.

– Dalej. Co jeszcze mówiłeś? – drążył namiestnik.

– Od Galilei po całą Judeę... – powiedział świadek ledwie słyszalnym głosem.

– Ten człowiek jest Galilejczykiem! – wykrzyknął Piłat. – Zabierzcie go do Heroda!

Dwie godziny później Jezus stanął znów przed nami. Wyglądał jeszcze gorzej niż rankiem. Uderzył mnie kontrast między jego posiniaczoną twarzą a elegancką purpurową szatą, jaką słudzy Heroda zarzucili mu na ramiona. Któryś ze strażników powiedział mi, że Herod wyszydził Jezusa, pogardliwie nazywając go „królem żydowskim”. Nie znalazł w nim jednak żadnej winy, więc odesłał go z powrotem do Piłata. Herod właściwie mógł uwolnić Jezusa, lecz ten od początku stanowił nasz problem. Ostateczna decyzja należała teraz do Piłata.

Tłum jeszcze szczelniej zapełnił dziedziniec pretorium, było tu już niemal tysiąc osób. Dało się w nich wyczuć desperację. Żołnierze sprowadzili Jezusa na sam dół schodów i otoczyli go klinem, wznosząc tarcze, by nie dopuścić tłumowi bliżej. Żydzi napierali na oddziały wartujące na obrzeżach dziedzińca. Widziałem, jak w oczach żołnierzy, popychanych przez zbiegowisko, rozbłyska nienawiść. Z irytacją spoglądali na Piłata i Longina. *Ile jeszcze mamy czekać na rozkaz do ataku?*

Wielu z tych żołnierzy brało udział w rzezi Żydów po fiasku sprawy z akweduktem. Nie było mnie przy tym, ale pomyślałem, że początek rozruchów musiał być podobny. Napięcie wzbierało, aż w końcu Piłat wpadał w takie wzburzenie, że wydał rozkaz, którego później żałował. Kiedy już krew popłynęła, żołnierzy nie dało się zatrzymać.

Piłat stał bez ruchu, zbierając się w sobie. Za chwilę zwróci się do tłumy, ogłosi ostateczny wyrok i zasiądzie na fotelu sędziowskim. Mimo że byłem jego najbliższym doradcą, nie miałem pojęcia, co powie.

Kiedy Herod przesłuchiwał Jezusa, Piłat był niemal przybity i niskim, szorstkim tonem zastanawiał się, jaki ma wybór. Był przekonany, że cały proces to pułapka zastawiona przez Kajfasza i Annasza, podstęp, który pozwoli im napisać kolejny list do Tyberiusza i zakończyć rządy Piłata.

Na dodatek do sprawy wtrąciła się Prokula, co nie ułatwiało Piłatowi zadania. Obserwowała wypadki z okna na drugim piętrze i, co zadziwiające, bez cienia wątpliwości rozpoznała twarz więźnia. Powiedziała mężowi, że tę właśnie twarz widziała w świątyni Eskulapa tamtej nocy, gdy została uzdrowiona. Ten Nazarejczyk był niewinny! Błagała męża, by nie skazywał go na śmierć.

– Nie miej nic do czynienia z tym niewinnym człowiekiem – prosiła. – Jak możesz skazać kogoś, kto mnie uzdrowił?

Piłat spojrzał wtedy na mnie.

– Ma słuszość – przyznałem. – Ten człowiek jest niewinny.

Jednak teraz decyzja należała do samego Piłata i tylko do niego.

Przez dłuższy czas omiatał wzrokiem dziedziniec, świadom, że słowa, które teraz wypowie, mogą zapoczątkować rzeź. Trzymał głowę wysoko, władczo, czego

tak dobrze nauczył się w Rzymie, podbródek wysunął do przodu.

– Przywiedliście mi tego człowieka pod zarzutem, że podburza lud. Otóż ja przesłuchałem go wobec was i nie znalazłem w nim żadnej winy w sprawach, o które go oskarżacie. Ani też Herod, bo odesłał go do nas.

Przez tłum przebiegł złowieszczy pomruk. Twarze przywódców pociemniały z wściekłości. Pomyślałem, że zaraz rzucą się ku portykowi.

Piłat rzucił okiem ku oknu na drugim piętrze, po zachodniej stronie dziedzińca. Dostrzegłem w tym oknie cień Prokuli. Namiestnik jakby zaczerpnął od niej sił, bo mówił dalej, coraz głośniej:

– On nie popełnił nic zasługującego na karę śmierci. Każę go więc wychłostać i uwolnić.

Piłat zajął miejsce w fotelu, dając znak, że zakończył sprawę, lecz tłum nie godził się na to. Ktoś z tyłu wrzasnął:

– Ukrzyżuj go!

Inni podjęli okrzyk. Tłum odnalazł rytm i skandował wciąż od nowa:

– Ukrzyżuj go!

Wołanie płynęło z jednego krańca dziedzińca na drugi. Któryś z żołnierzy na obrzeżach tłumu wdał się w przepychankę z jakimś Żydem i przewrócił kobietę, która stała tuż obok. Pozostali gwardziści, popychani przez tłum, zbierali szyderstwa i zaczepki.

Zadecydowałem, że nadszedł właściwy moment na ostateczną radę. Przez cały czas, gdy Jezus był u Heroda, rozważałem to rozwiązanie jako alternatywną strategię. Nie chciałem go jednak sugerować, póki nie wypróbowano wszystkich innych możliwości.

– Dostojny Piłacie! – zawołałem.

Wstał, by znów się ze mną poradzić.

Spojrzałem w dół, na zachowującego stoicki spokój więźnia, przyczynę tak wielkiej wrzawy. Miał zostać ubiczowany, jego plecy spłyną krwią. Jednak gdy oczy Jezusa napotkały moje, wyczułem, że spokojnie czeka na swe przeznaczenie. Gdyby tylko wiedział, że miałem zamiar igrać z jego życiem.

– Był taki stary zwyczaj, Piłacie – powiedziałem. – Może pora go przywrócić.

– Mów.

– Twoi poprzednicy zwykli uwalniać co roku na Paschę jednego z więźniów. Było to symboliczne ustępstwo z okazji żydowskiego święta. Sugeruję, byśmy to teraz przywrócili i dali im wybór: Jezus albo Barabasz.

– Barabasz? – spytał Piłat pogardliwie. Mówił ściszym głosem, nie spuszczać z oka tłumu. Barabasz zabił świątynnego strażnika i próbował wzniecić rewoltę przeciwko Rzymowi. Piłat nie mógł się wręcz doczekać, kiedy wyśle go na krzyż. Co ważniejsze, żydowscy przywódcy również go nienawidzili.

– Ułatwimy sobie sprawę – dodałem.

Piłat zerknął na wiadome okno, lecz Prokula już odeszła. Oddalił się ode mnie i uniósł rękę. Tłum przez długi czas wyzywająco wrzeszczał swoje, nie zwracając uwagi na prefekta. W końcu sami przywódcy nakłonili tłuszcę do ciszy, chcąc wysłuchać wyroku.

– Przyrowadź Barabasza! – rozkazał namiestnik Longinowi.

Parę chwil później żołnierze przywlekli tego draba do podnóża schodów. Miał potargane włosy i szaleństwo w oczach. Stał obok Jezusa i jak na zawołanie zaczął przeklinać i rzucać się ku pilnującym go strażnikom. Ci pięściami zmusili go do posłuszeństwa, powalając na ziemię.

– Jest taki stary zwyczaj – zawołał Piłat – że na Paschę uwalniamy jednego z więźniów. Kogo chcecie, bym uwolnił, Jezusa czy Barabasza?

Jeszcze nie skończył mówić, a tłum zaczął wykrzykiwać imię Barabasza. Wypatrywałem w zbiegowisku moich żydowskich przyjaciół – Józefa z Arymatei, Nikodema lub kogoś z tuzina innych dostojników, z którymi wiązała mnie pewna zażyłość. Kilku z nich zauważyłem na obrzeżach tłumu. Na ich twarzach malował się strach. Żaden nie wykrzykiwał imienia Jezusa.

Piłat osłupiał, podobnie jak ja. Rzucił mi znaczące spojrzenie. Wiedziałem, że to z mojej winy ponieśliśmy klęskę. Longinus zaczynał się denerwować, przestępował z nogi na nogę, jakby już nie był w stanie dłużej powstrzymać oddziałów.

– Uwolnijcie Barabasza – rozkazał Piłat. Rozległy się radosne okrzyki i żołnierze rozkuli więźnia. Stał przez chwilę, prawie nagi, owłosiony, odziany jedynie w przepaskę na biodra. Potarł przeguby w miejscu, gdzie przed chwilą nosił kajdany. Zmrużył oczy od słońca. Spojrzał na Piłata, potem na Longina. Zaśmiał się, cofnął o parę kroków, potem odwrócił się i zaczął sobie torować drogę przez tłum.

– Co powinienem zrobić z Jezusem? – zapytał Piłat.

Na dziedzińcu znów rozległ się krzyk:

– Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!

Wpatrywałem się z nienawiścią w arcykapłana i jego gromadę, widziałem aroganckie uśmiešky na twarzach tych ludzi. Czuję ucisk w brzuchu. Zdałem sobie sprawę, że przez moją desperacką grę niewinny człowiek może stracić życie.

Piłat wyprostował się.

– Każę go ubiczować, a potem uwolnię – oznajmił po raz drugi. Większość zebranych nawet go nie słuchała, słowa prefekta utonęły w skandowanych okrzykach. Usłyszeli je jednak żołnierze, stojący u podnóża schodów.

Siłą odsunęli tłum, aby przy schodach, gdzie miało się odbyć biczowanie, zrobić trochę wolnej przestrzeni. W tym miejscu w bruku widniała dziura. Dwaj żołnierze przynieśli pal do biczowania i wsunęli go w tę dziurę, mocując go łańcuchami do dwóch żelaznych pierścieni, osadzonych w bruku. Tłum przez cały czas

krzyczał swoje.

Piłat zajął miejsce na fotelu sędziowskim, a syryjski strażnik, który miał dokonać chłosty, rozwinął bicz. W końcu rzemieni wplecione były ostre kawałki metalu. Tłum naparł bliżej, ci z tyłu stawali na palcach. Skandowanie przycichło, gdy strażnicy przywiązali ręce Jezusa do pała.

Syryjczyk uniósł wzrok na Piłata, a ten skinął głową. Zgodnie z prawem rzymskim jedynie prefekt mógł nakazać rozlew krwi. Do niego należało prawo miecza, odpowiedzialność za to, by wymierzono odpowiednią liczbę uderzeń. Piłat miał je liczyć, dopóki szkarłatna krew nie spryska kamiennego bruku. Tylko on mógł przerwać biczowanie.

A ja miałem stać za namiestnikiem i nie odrywać oczu od tego budzącego li-tość widoku – od więźnia, którego ciało rozrywano na strzępy – nie wzdrygając się przy tym. Miałem patrzeć na karę, skutek mojej lekkomyślnej gry.

Nigdy dotąd nie wstydzilem się tak bardzo tego, że jestem Rzymianinem.

Raz.

Piłat siedział z kamienną twarzą, gdy bicz ze świstem przeciął powietrze i zatrzymał się na plecach więźnia.

Jezus wzdrygnął się i krzyknął cicho, metalowe haczyki wcięły się w skórę, odrywając strzępy ciała.

Dwa.

Syryjski żołnierz zapamiętał się w tym, co robił, i zdawał się znajdować w tym upodobanie. Bicz owinał się wokół torsu Jezusa, ostre końce rzemieni rozorywały jego ciało, raniąc do krwi plecy, piersi i bok. Krzywiąc się na ten widok, zastanawiałem się, jak długo jeszcze więzień ustoi. Patrzył prosto przed siebie, ręce miał przywiązane mocno do pala, nogi i górną część ciała obnażone.

Trzy.

Teraz łatwo mi było wypatrzeć w tłumie zwolenników więźnia. Kilka zalanych łzami kobiet, stojących w jednym z pierwszych rzędów gapiów. Najstarsza z nich trzymała się rękoma za głowę i szlochała. *Czyżby jego matka?*

Cztery.

Mężczyzna stojący obok starszej niewiasty pokręcił głową i otoczył kobietę ramieniem. Zasłonił jej oczy dłonią, a ona ukryła twarz w jego ramieniu.

Pięć.

Nawet niektórzy z żydowskich przywódców, co to jeszcze przed chwilą krzyczeli, by ukrzyżować Jezusa, nie byli w stanie dłużej patrzeć na wymierzaną karę. Wbili wzrok w ziemię albo wpatrywali się w Piłata, jakby czekali, aż przerwie tę mękę.

Sześć.

Plecy Jezusa były już mocno naznaczone poszarpanymi, krwawymi pręgami, rozdarta skóra odsłaniała mięśnie.

Siedem.

I tak to trwało. W sumie trzydzieści dziewięć uderzeń. Trzydzieści dziewięć razy bicz przeciął powietrze i opadł, rozdierając skórę i mięśnie. Przy ostatnich kilku uderzeniach Syryjczyk ociągał się z zadaniem ciosu i zerkał na Piłata, oczekując, że ten przerwie biczowanie. Namiestnik w końcu uniósł rękę, a ja poczułem, że dławi mnie w gardle. Więzień zdołał jakoś utrzymać się na nogach – mimo trzydziestu dziewięciu uderzeń. Jego plecy stanowiły jedną wielką, krwawą ranę, ze strzępami mięśni i skóry. Czy po tym wszystkim będą go jeszcze chcieli ukrzyżować?

Gdy Jezusowi rozwiązano ręce, spojrział w górę, na Piłata. Próbował się wyprostować, lecz wydawał się zbyt oszołomiony i opadł na jedno kolano. Żołnierze

stojący po obu jego stronach chwycili go pod łokcie i poderwali na nogi. Pojawił się inny żołnierz z wieńcem splecionym z cierni; podszedł do Jezusa i wcisnął mu go na głowę niczym koronę. Trzeci podniósł purpurową szatę, tę od Heroda, i zarzucił ją więźniowi na ramiona, po czym przycisnął ją do jego otwartych ran. Żołnierze zaśmiali się, skłonili się do pasa i opuścili ręce w geście, jakim pozdrawia się wielkiego króla.

Niektórzy z tłumu zachęcali ich do tych drwin. Inni milczeli. Wystarczyło im to, co już widzieli.

– Witaj, królu żydowski! – zawołał jeden z żołnierzy.

– Dosyć! – warknął Piłat. – Przyprawdźcie go tutaj.

Zaciągnęli Jezusa na szczyt schodów. Idąc, zostawiał za sobą krwawy ślad. Gdy więzień dotarł na górę, Piłat kazał obrócić go twarzą do tłumu. Sam stanął obok i przesunął wzrokiem po zebranych. Ci już nic nie krzyczeli. Wydawało się, że po tym biczowaniu część oskarżycieli straciła cały zapał.

– Oto człowiek! – powiedział Piłat, wskazując na Jezusa. Krew ściekała po twarzy rabiego i zbierała się wokół jego zapuchniętych oczu i ust. Brodę miał zmierzwioną. Z trudem rozpoznawałem człowieka, którego po raz pierwszy ujrzałem zaledwie kilka dni wcześniej.

Czego jeszcze od nas chcecie?

Tym razem tłum się zawahał. Jednak najwyższy kapłan i urzędnicy Sanhedrynu zaczęli znów nieustępliwie skandować:

– Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!

Piłat pokręcił głową, zdegustowany i posmutniały.

– Nie mamy króla prócz cesarza! – krzyknął Annasz.

– Muszę znów z nim porozmawiać – oznajmił namiestnik. Po raz kolejny odwrócił się i wszedł do środka.

Chwilę później, po raz drugi tego dnia, znalazłem się w pretorium wraz z Piłatem i Nazarejczykiem.

Prefekt był zdesperowany.

– Skąd ty jesteś? – spytał ostrym głosem.

Więzień patrzył w ziemię, podobnie jak czynili to rzymscy gubernatorzy, kiedy nie chcieli okazać emocji.

– Skąd ty jesteś? – Piłat podszedł o krok bliżej. – Mów!

Lecz przyodziany w purpurę więzień milczał.

– Nie wiesz, jaką mam władzę? Nie rozumiesz, że mam władzę cię uwolnić? Ułatw mi to.

Jezus uniósł wzrok. Twarz miał pokrytą smugami krwi i potu. Odetchnął i odezwał się cicho, lecz na tyle wyraźnie, że usłyszałem go i ja, choć stałem trochę dalej.

– Nie miałbyś żadnej władzy nade mną, gdyby ci nie była dana z góry. Dla-

tego większy grzech ma ten, który mnie wydał tobie.

Piłat zdawał się być zaskoczony tą odpowiedzią. Temu człowiekowi groziła śmierć, a mimo to osądzał prefekta całej Judei? I mówił Piłatowi, jak wielki grzech na nim ciąży z powodu roli, jaką odegrał w tych wypadkach?

– Wyprowadźcie go – rozkazał namiestnik.

Strażnicy i Jezus wyszli, zostaliśmy sami. Przez otwarte drzwi słyszeliśmy, jak zareagował tłum, gdy Jezus pojawił się ponownie. W zebranych na nowo wzięła żądza krwi, na widok więźnia zaczęli wykrzykiwać obelgi. Szyderstwa i gniewne okrzyki szybko przeszły w skandowanie:

– Nie mamy króla prócz cesarza!

Piłat wyglądał na znerwanego, twarz mu poszarzała z niepokoju. Obawiałem się, że jeszcze zanim wrócimy na dziedziniec, dojdzie tam do zamieszek. Tłum naprze zbyt mocno, a żołnierze ruszą w jego stronę i zacznie się masakra. Jakąkolwiek mieliśmy podjąć decyzję, musiała ona zapaść szybko.

Piłat podszedł do gładkiej ściany z marmuru, a ja podążyłem za nim. Dotknął otworów w spoiwie, które łączyło ogromne bloki.

– Wiesz, co to jest? – zapytał.

– Nie, dostojny Piłacie.

– To tutaj zawiesiłem tarcze – wyjaśnił. – Za każdym razem, gdy przechodzę przez tę salę, myślę o liście od Tyberiusza.

Tłum na zewnątrz złapał wspólny rytm, skandowanie stało się głośniejsze.

– Nie mamy króla prócz cesarza!

– Nie jesteś przyjacielem cesarza!

– Jak mu to wyjaśnię? – spytał Piłat. – Jeśli uwolnię tego człowieka, jeśli tłum się sprzeciwi i będziemy musieli wybić połowę, jak mu to wytłumaczę?

– To niewinny człowiek, dostojny Piłacie. Powiedz cesarzowi, że staliśmy na straży chwalebnej rzymskiej prawa. Powiedz, że nie pozwoliliśmy, by tłum coś na nas wymusił, że zrobiliśmy to, co słuszne.

Piłat prychnął na te słowa. Nietrudno było zgadnąć, co myśli. *A niby co jest słuszne? Cóż to jest prawda? Nie praw mi frazesów, Teofilu; daj mi rozwiązanie.*

Skandowanie przybrało na sile, jakby ktoś podjudził tłum na nowo. Okrzyki rozbrzmiewały tak blisko, że zacząłem się zastanawiać, czy Żydom nie udało się jakoś przedostać aż pod drzwi.

– Nie mamy króla prócz cesarza!

– Nie jesteś przyjacielem cesarza!

Hałas zmienił bieg mych myśli. Powinniśmy wrócić na nasze miejsce u szczytu schodów. Nie można było ufać, że Longinus sam opanuje żołnierzy albo tłum.

– Pomyśl, Teofilu – rzekł do mnie Piłat – co się stanie, jeśli się nie ugnę?

– Zamkniemy więźnia w areszcie. Tłum w końcu się rozejdzie.

– Albo i nie. Ktoś wpadnie w panikę. Ktoś wyciągnie broń – zaproponował prefekt. – Nasi strażnicy nie pozostaną dłużni, wyróżną setki ludzi. Annasz napisze do Tyberiusza i przekona go, że chronię człowieka, który uważa się za króla.

Nie odezwałem się, gdyż nie wiedziałem, co powiedzieć. Piłat miał rację, nie było żadnego honorowego wyjścia.

– Odezwij się! – zażądał przez zaciśnięte zęby. – Powiedz mi, że się mylę.

Milczałem, podobnie jak przedtem milczał więzień. Piłat miał rację. Jeśli mu jej odmówię, wybuchnie gniewem. Uwolnienie rabiego mogłoby nas wiele kosztować, a nawet zniszczyć. Namiestnik powziął już decyzję. Czytałem to w jego oczach.

– Czasami – powiedział nadspodziewanie spokojnym głosem – jeden człowiek musi umrzeć dla dobra narodu.

Miałem ochotę się z tym spierać, wyjaśnić Piłatowi, że prawo wymaga, by niewinnego człowieka uwolnić bez względu na cenę. Jednak więzień nic nie mówił we własnej obronie. Zupełnie jakby sam chciał umrzeć. Skoro Jezus się nie bronił, dlaczego ja miałbym nadstawiać karku i wstawiać się za nim?

– Znowu jest jak z tymi tarczami, prawda? – spytał Piłat.

Skandowanie rozbrzmiewało nadal, a ja zastanawiałem się, co odpowiedzieć. Żydowscy przywódcy byli gotowi oddać życie w proteście przeciw świętokradczym dla nich tarczom – nieszkodliwemu symbolowi czci dla cesarza, który zawisł w pałacu Piłata. O ileż bardziej byłiby skłonni poświęcić życie w tej sprawie – by ukarać człowieka, który ich wyśmiał i spustoszył Świątynię? I jak zareagowałby Tyberiusz, gdyby się dowiedział, że Piłat nie chciał skazać kogoś, kto mienił się królem?

– Tak, wasza czcigodność – odpowiedziałem. – Tarcze wróciły.

Piłat jakby tylko czekał na tę odpowiedź. Zebrał się w sobie i ruszył w kierunku wyjścia.

– Chodźmy – rzucił.

Piłat odgarnął pelerynę i po raz ostatni zajął miejsce na fotelu sędziowskim. Odczekał, aż wyzywające skandowanie ustanie, choć nawet potem tu i tam rozlegały się okrzyki, domagające się ukrzyżowania Jezusa.

Namiestnik rozkazał, by na szczyt schodów przyniesiono misę z wodą. Była to niezwykła prośba jak na środek procesu, dlatego słudzy przynieśli naczynie dopiero po dłuższej chwili. Tłum czekał, słyhać było szmer rozmów. Ludzie zastanawiali się, co mogła znaczyć ta prośba.

Srebrną misę ustawiono na cokole, kilka stóp od sędziowskiego fotela. Piłat wstał, z oczami utkwionymi w tłuszczy, i stanął za misą.

– Nie jestem winny krwi tego człowieka – obwieścił głośno. Zanurzył dłonie w wodzie i obmył je. Strząsnął krople, a sługa podał mu ręcznik.

– Krew jego na nas i na synów naszych! – krzyknął ktoś z tłumu. Inni szybko podjęli ten okrzyk. Piłat nic nie odpowiedział. Wytrzeł dłonie i oddał ręcznik słudze.

Ten człowiek uwielbiał ceremonie, lecz słowa Cycerona potwierdzały to, co czułem w sercu: *Duchowa skaza nie zniknie z upływem lat; takiej plamy potok nie zmyje*. Tym bardziej, mógłby dodać, nie pomoże tu mała misa z wodą. Wiedziałem z całą pewnością, że Cyceron się nie mylił, byłem też pewien innej rzeczy. Nie tylko duch Piłata został splamiony. Poparłem namiestnika, nie chciałem trwać przy swoim, by obronić niewinnego człowieka, tylko się ugiąłem.

Piłat wrócił na fotel i poprosił o tabliczkę *titulus*, prostokątny kawałek drewna o długości jakichś dwóch stóp, powleczony białym gipsem. Podał mi ją, a ja również usiadłem. Sługa wręczył mi trzcinę, którą zanurzyłem w czarnym atramencie.

– W trzech językach – polecił Piłat. – Jezus z Nazaretu, król żydowski.

Wpierw zacząłem pisać po grecku. Potem miałem zrobić napis łaciński. Na końcu hebrajski.

Annasz postawił stopę na najniższym stopniu. Strażnik ruszył w jego stronę. Dawny arcykapłan zmrużył oczy.

– Powinno się napisać: „Twierdził, że jest królem żydowskim” – nalegał. Kilku innych przywódców go poparło, lecz ja pisałem dalej, kończąc wersję grecką.

– Com napisał, napisałem – skwitował to Piłat.

Kiedy *titulus* był już gotów, powieszono go na sznurze na szyi Jezusa, co tłum powitał szyderstwami. Teraz jednak okrzyki były mniej natarczywe. *Titulus* jasno stwierdzał, że więzień został skazany i że wkrótce czeka go egzekucja.

Piłat pozostał na swoim miejscu, a ja poczułem, jak scena, którą mam przed oczyma, odciska się w mej pamięci. Skrwawiony rabbi, stojący na szczycie scho-

dów, z drewnianą tabliczką u szyi. Arcykapłan na czele tłumu, z nachmurzoną miną. Piłat, siedzący ponad wzburzonym tłumem, udający, że ma władzę, choć wszyscy wiedzieli, że pozbawiono go wszelkiej sprawczości. Puste okno na drugim piętrze, gdzie wcześniej stała Prokula, było znakiem, że nawet sen zesłany przez bogów nic nie pomógł.

– Został skazany – oznajmił Piłat. – Niech go ukrzyżują.

Tłum ryknął, a żołnierze, nie tracąc czasu, podeszli do skazańca i powlekli go schodami w dół. W ciągu paru chwil tłum jakby wręcz pochłonął Jezusa, mimo że otaczało go kilkunastu strażników.

Patrzyłem na to, czując, że serce podchodzi mi do gardła. Zgraja żołnierzy i tłuszcza Żydów pchała Jezusa przez dziedziniec ku bramie, a potem na zewnątrz. Wiedziałem, że kierują się w stronę miejsca, które Żydzi nazywali Golgota, czyli „czaszka”, a tam żołnierze czym prędzej przybiją skazanego do krzyża. Egzekucję wyznaczono też dwóm innym skazańcom – złoczyńcom, których planowano ukrzyżować razem z osławionym Barabaszem. Teraz jednak mieli zawisnąć obok Jezusa.

Nie odwróciłem wzroku, dopóki ostatnia osoba nie opuściła dziedzińca, a żołnierze nie zamknęli ogromnych bram, zabezpieczając je wielką żelazną zasuwą.

Zapadła niepokojąca cisza. Słońce wyprażyło szkarłatny ślad, szlak, którym przeszedł dziś więzień – w górę i w dół schodów, do pretorium, przez dziedziniec. Na kamieniach u podnóża pala do biczowania widniała wielka kałuża krwi. Słudzy już krzątali się wokół, zabierając się do szorowania kamiennych płyt i schodów dziedzińca. Inni wyjmowali słup do biczowania z otworu, by go schować, póki znów nie będzie potrzebny.

W tej ciszy naszała mnie chwila refleksji. Przymknąłem oczy, ale wciąż go widziałem – skrwawioną, posiniaczoną, opuchniętą twarz, koronę z cierni nasuniętą nisko na czoło, ten szydery purpurowy płaszcz zwisający z jego ramion, którego tkanina przywarła do ran. Wciąż słyszałem jego głos i czułem, jak jego spojrzenie przeszywa moją duszę. „Ja się na to narodziłem – powiedział – i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie”.

Wiedział, jaki jest jego cel, co przyprawiało mnie o tym większy wstyd.

Ja też kiedyś miałem poczucie celu. Albo przynajmniej tak mi się wydawało. Urodziłem się po to, by jako adwokat bronić prawdy, by walczyć o sprawiedliwość, by przemawiać w imieniu bezsilnych. Lecz gdy przyszedł najważniejszy sprawdzian, sromotnie zawiodłem. Straciłem nerwy i w krytycznym momencie porzuciłem swoje zasady.

A teraz rabbi zapłaci za to swym życiem.

Cóż to jest prawda?

Piłat też nie pokazał się z najlepszej strony. On jednak uciekał przed kolejnym incydentem, który mógłby się stać punktem zapalnym, i zdawał się nie przeje-

mować życiem jednego człowieka. Prawda o Piłacie była taka: osaczyły go dawne występki. Nie potrafił już podążać za tym, co słuszne.

Jak się wydawało, był zdecydowany zlekceważyć całe to wydarzenie. Wstał z fotela sędziowskiego i zdjął swą czerwoną pelerynę, po czym podał ją słudze. Odprawił pozostałych strażników i rzucił ostatnie spojrzenie na okno, w którym wcześniej stała Prokula.

– Jestem głodny – powiedział. – I muszę dokończyć golenie.

Cieszyłem się, że nie poprosił, bym mu towarzyszył. Ruszyłem prosto do swego pokoju, myśląc o swoim udziale w śmierci Jezusa. Przypominałem sobie biczowanie, więźnia, który stoicko przyjmował każde uderzenie, odliczane przez Piłata. Wiedziałem, że cała ta sprawa mogłaby potoczyć się inaczej, gdyby nie mój manewr z Barabaszem.

Ta myśl była nie do zniesienia. Sięgnąłem po misę do mycia, pochyliłem się nad nią i zwymiotowałem.

Nie mogłem trzymać się z boku.

W piątej godzinie dnia, kiedy słońce stało prawie w zenicie, udałem się na Golgotę – skalisty występ na północ od Bramy Damasceńskiej, tuż za granicami miasta. Było to ulubione miejsce egzekucji, ponieważ każdy wjeżdżający do miasta musiał widzieć przestępców, a poza tym w pobliżu znajdował się cmentarz. Dwie niewielkie jaskinie na stromym skalnym zboczu przypominały oczodoły czaszki.

Wspiąłem się wąską bitą drogą, prowadzącą na szczyt Golgoty. Tłum już zrzędł, ale nadal plątało się tu kilka setek ludzi, przyglądających się cierpieniom przestępców. Jezus wisiał w środku, a po jego obu stronach zawisli złoczyńcy.

Trzymałem się obrzeża tłumu, usiłując nie przyciągać niczyjej uwagi. Spostrzegłem jednak jeden z żołnierzy grających w kości u stóp krzyża. Spojrzał w moją stronę, na jego twarzy malowało się pytanie. Skinąłem uspokajająco głową i wrócił do gry. Nigdy wcześniej nie pokazywałem się na egzekucjach, ale nie miałem mocy powstrzymać żadnej z nich, chyba że działałbym na rozkaz Piłata.

Znałem dowodzącego centuriona, Rzymianina imieniem Kwintus, który przybył tu razem z nami z Cezarei. Należał do legionu italskiego, był odznaczonym, lojalnym żołnierzem. Widział śmierć wielu ludzi, ale w przeciwieństwie do innych dowódców Piłata nie pożył takich widoków.

On i jego ludzie przebili długimi gwoździami nadgarstki Jezusa, tuż poniżej dłoni, między dwiema kośćmi przedramienia. Widziałem, jak podobnie postępowano z innymi więźniami na arenie. Widziałem tryskającą krew. Nawet teraz, kiedy Jezus tam wisiał, krew spływała na ziemię.

Trójkątny drewniany klocek został przymocowany do krzyża jako podpórka dla stóp; stopy Jezusa ustawiono jedną na drugiej, a następnie przybito do tego klocka. Przez większość czasu wisiał z głową opuszczoną. Czasem unosił się, ocierając pokrwawione plecy o szorstkie drewno krzyża. Chwytał powietrze i krzywił się, kiedy gwoździe naciskały na nerwy w jego nadgarstkach i rozrywały ścięgna w stopach. Przyłapałem się na tym, że łapię powietrze razem z nim – na wspomnienie bólu i upokorzenia, jakich doznałem jako chłopiec, gdy wisiałem na krzyżu, usiłując oddychać, przepełniony wstydem.

Znałem sytuację, w jakiej się znalazł, ale teraz to nie był głupi żart. Tu nie było przyjaciół, którzy mogliby go uratować, nie było ulaskawienia ani ulgi. Będzie tam wisiał, dopóki wystarczy mu siła na kolejny oddech. Albo do czasu, aż strażnicy okażą litość i połamią mu nogi metalowym prętem, uwalniając go od cierpienia.

Musiałem odwrócić wzrok.

Tłum w większości był zdecydowanie mniej współczujący.

– Ratował innych, a nie potrafi ocalić samego siebie! – powiedział jeden z przywódców Sanhedrynu.

Drugi mu przytaknął:

– Jest królem Izraela! Niech zejdzie z krzyża, wtedy mu uwierzemy. To on mienił się Synem Boga!

Przecisnąłem się ku grupie kobiet stojących z samotnym mężczyzną. Wszyscy płakali, chociaż ów brodaty żydowski mężczyzna usiłował powstrzymać łzy. Rozpoznałem jedną z kobiet z Litostrotos – tę, która, jak podejrzewałem, była matką rabbiego.

– Co to znaczy – zapytałem kobiet – że ratował innych?

Najbliżej mnie stała piękna młoda kobieta o związanych ciasno ciemnych włosach, gładkiej skórze i oczach w kształcie migdałów. Nie była umalowana jak rzymskie kobiety, ale nawet w swoim nieszczęściu odznaczała się naturalnym pięknem, rzadko widywanym w Cezarei czy nawet w wielkiej stolicy, Rzymie. Oczy miała zaczerwienione i zapuchnięte. Po policzkach spływały jej łzy.

Spojrzała na mnie, a ja nie byłem w stanie ocenić, czy zapamiętała mnie z Litostrotos, czy nie.

– Ocalił mnie – powiedziała. W jej głosie nie było słyhać urazy ani tonu obronnego. Tylko smutek.

– Jak cię ocalił?

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na pozostałe kobiety, jakby prosiła je o zgodę na udzielenie odpowiedzi.

– Zostałam przyłapaną na akcie cudzołóstwa przez tamtych mężczyzn – wyjaśniła, wskazując na dostojników stojących u stóp krzyża. – Zaciągnęli mnie przed Jezusa i powiedzieli, że wedle prawa Mojżeszowego powinnam zostać ukamienowana. Zapytali go, co o tym sądzi.

Czekałem, przesuwając stopą niewielki kamyczek. Moje milczenie zachęciło ją do mówienia.

– Odpowiedział im, że ten, kto nigdy nie zgrzeszył, powinien rzucić kamień jako pierwszy – powiedziała. – To też nauka z prawa Mojżeszowego.

– I to ich powstrzymało?

– Zapewne by nie powstrzymało, ale on potem ukląkł i zaczął pisać na piasku.

Urwała, wpatrzona w rabbiego, jakby zapomniała o naszej rozmowie.

– Co napisał? – zapytałem.

Odwróciła się do mnie. Nie uśmiechnęła się, ale kąciki jej warg lekko się uniosły, kiedy wspomniała tamtą chwilę.

– Imiona kobiet, z którymi przespali się ci ludzie. Jezus pisał je bardzo starannie, jedno za drugim, zaczynając od miłostek najstarszego z nich. Upuścili trzymane w ręku kamienie i odeszli.

„Ratował innych, a nie potrafi ocalić samego siebie”. Miałem ochotę powiedzieć tej młodej kobiecie, że rabbi wyglądał mi na dobrego człowieka, ale wiedziałem, że te słowa zabrzmiały pusto i nieszczerze. Chciałem jej powiedzieć, że mi przykro, ale na to również nie mogłem się zdobyć. Staliśmy więc tam w milczeniu, a Jezus napiął mięśnie i uniósł się do kolejnego wysiłonego oddechu.

– Kiedy oskarżyciele odeszli, Jezus powiedział, że on też mnie nie potępia – dodała kobieta. – Powiedział, że mam iść i nie grzeszyć więcej.

– To brzmi jak słowa niezwykłego człowieka.

– On jest niezwykły. – Urwała na dłuższą chwilę. – A przynajmniej był.

Odwróciła się w kierunku krzyża, a ja uznałem to za znak, że rozmowa skończona. Odszedłem kilka kroków i znów przyglądałem się trzem ukrzyżowanym wiszącym przede mną, walczącym o oddech. Co parę chwil kolejni gapie odrywali się od tłumu i schodzili ze wzgórza. Wędrowcy na drodze przystawali niekiedy i spoglądali na smutny obraz, ale niewielu wspinało się na szczyt.

Wiedziano, że ludziom zdarzało się wisieć na krzyżach przez kilka dni, zanim umarli. Ale nadchodził szabat. Żydzi musieli przed wieczorem skończyć wszelką pracę.

Odchodzili z początku powoli, małymi grupkami. Do południa tłum przerzedził się tak, że zostało mniej niż sto osób.

Z jakiegoś powodu nie byłem w stanie odejść. Tabliczka, którą własnoręcznie zapisałem, została przybita nad głową skazańca: *Jezus z Nazaretu, król żydowski*. Jego twarz była brudna, posiniaczona, wykrzywiona w bólu. Niezgrabnie przesuwając się w górę i w dół po drewnie, napinając wszystkie mięśnie, żeby złapać oddech. Pragnąłem wydać żołnierzom rozkaz, by skrócili cierpienia tego człowieka.

– A zatem jesteś Mesjaszem – powiedział jeden ze złoczyńców, unosząc się, żeby odetchnąć. – Udowodnij to, ratując siebie... i nas też przy okazji!

Jezus spojrział na niego smutnym wzrokiem. Nie bronił się jednak.

– Co ty, Boga się nie boisz? – zapytał drugi z jękiem. – My zasłużyliśmy na to, ale ten człowiek nie zrobił nic... – urwał, żeby złapać oddech – nic złego.

Ich spór przyciągnął moją uwagę. Byłem obecny podczas procesu drugiego z łotrów. Był krzywoprzysięzcą i usiłował zastraszyć świadków. Nie wykazywał skruchy. A teraz odnalazł w sobie pokorę?

Skazaniec ściszył głos, ale ja nadal słyszałem jego słowa.

– Jezusie, pamiętaj o mnie, kiedy wejdiesz do swego królestwa.

Jezus spojrział na niego z wielkim współczuciem. Mógłbym przysiąc, że usiłował się uśmiechnąć.

Uniósł się, wciągnął powietrze do płuc i powiedział ze spokojną pewnością:

– Dziś będziesz ze mną w raju.

To było wszystko, co powiedział, ale wydawało się wystarczająco. Złoczyńca opuścił głowę na pierś i mamrotał coś, co brzmiało jak modlitwa.

A potem, bez ostrzeżenia, niebo pociemniało.

Byłem już wcześniej świadkiem zaćmienia, wiedziałem więc, że w tym zjawisku nie ma nic niezwykłego. Księżyc zakrył słońce i nad ziemią na kilka godzin zapadły ciemności. Wszystko dało się racjonalnie wytłumaczyć.

Każdy Rzymian, w tym ja, wierzył jednak, że zaćmienie może również mieć nadprzyrodzone przyczyny. Kiedy zmarł August, zaćmienie słońca – większe niż wszystkie znane wcześniej – uczyniło niebo tak ciemnym, że gwiazdy pojawiły się na nim o godzinie szóstej. Ciało Augusta uniosło się ze stosu pogrzebowego, aby stać się jedną z nich.

Syn boży wstępował do nieba.

A teraz, kiedy kolejny człowiek nazywający się Synem Bożym wisiał na krzyżu, niebo znów poczerniało. Czy to był jedynie zbieg okoliczności? Z pewnością. Ale mój niespokojny duch podpowiadał mi, że jest w tym coś więcej. Bogowie byli zagniewani. Może byli zagniewani na mnie.

Stałem tam razem z innymi, usiłując się pozbierać. Nikt nie był na to przygotowany. Żołnierze nie wzięli ze sobą pochodni, skoro egzekucja odbywała się w południe.

Przemknęło mi przez głowę, że kiedy słońce znów się pojawi, krzyż będzie pusty. Że ten rabbi dokona największego zniknięcia w historii, wymknie się pod osłoną mroku. Było to absurdalne, wiem, ale równie absurdalna jest ciemność w południe. Wyobraźnia, zdezorientowana z powodu mroku, zrywa się z łańcucha.

Instynktownie przesunąłem się w stronę krzyża, w poblizsze miejsca, gdzie trzymali straż rzymscy żołnierze. Po drodze wpadłem na kilka osób. Nie przypuszczałem, by zwolennicy Jezusa byli dość liczni lub silni, by skorzystać z ciemności i ściągnąć rabiego z krzyża. A gdyby spróbowali, nie byłbym pewien, czy chciałbym im pomóc, czy też ich powstrzymać. W każdym razie chciałem być blisko – na wszelki wypadek.

Czekałem, ale nic się nie wydarzyło. W ciszy słychać było wytężone oddechy skazańców, którzy podciągali się na przygwożdżonych do drewna ramionach, usiłując napełnić płuca paroma łykami powietrza, jęczeli, po czym znów opadali. Był w tym pewien rytm, punktowany raz na jakiś czas przekleństwami butnego łotra.

Ciemność przedziwnie wpływała na tłum. Kilka osób rozmawiało o tym, że warto by wrócić do domu. Żołnierze nie grali już w kości. Kwintus wysłał dwóch ludzi po pochodnie.

Słyszałem szeptane rozmowy, dociekania, co może oznaczać ta ciemność. Żołnierze próbowali zbyć je wzruszeniem ramion – to nie pierwsze zaćmienie w dziejach, zapewne też nie ostatnie. Ale przywódcy religijni ucichli. Nikt już nie na-

śmiewał się z rabbiego.

W przeciągającej się ciszy podszedłem do Kwintusa.

– Widziałeś kiedyś coś podobnego? – zapytałem.

Kwintus był na polu bitwy, miał sporo różnych doświadczeń, a mimo to jego odpowiedź mnie nie zaskoczyła.

– Nigdy.

Pół godziny później wrócili żołnierze i na Golgocie zaczęły tańczyć ruchliwe cienie i blask płonących pochodni. Tłum w większości się już rozszedł, jeśli nie liczyć kilku członków żydowskiej starszyny religijnej, oddziału żołnierzy pod dowództwem Kwintusa oraz nielicznych przyjaciół rabbiego.

Czas płynął powoli.

Myślałem o mnóstwie rzeczy. Dziwne, ale przypomniała mi się usłyszana od Seneki opowieść o germańskim gladiatorze, który zabił się w łaźni – udusił się, wciskając sobie gąbkę do gardła. „Ten człowiek rzucił wyzwanie wszystkim, gdy sam wybrał sobie rodzaj śmierci!” – zawołał wówczas Seneka.

Rzymian fascynowała śmierć. Kto spojrzy jej odważnie w oczy, a kto będzie się wzdragał? Na jakie dziwaczne pomysły jeszcze wpadniemy, żeby przedłużyć agonię? I co najważniejsze, jak zauważył Seneka, kto potrafi sam wybrać rodzaj śmierci, jaką ma umrzeć?

Czułem, że ten rabbi, przybity do krzyża i powoli tracący oddech, w jakiś sposób nadal miał kontrolę nad swoim życiem.

Trzy godziny po tym, jak zapanowała ciemność, długo po tym, kiedy zaciemnienie powinno było się skończyć, Jezus uniósł się ostatni raz, a jego pełen udręki okrzyk rozdarł ciemność:

– Eloi, Eloi, lema sabachthani!

Mimo ograniczonej znajomości aramejskiego zrozumiałem jego słowa: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił”.

Wpatrywałem się w niego, czekając, aż powie coś jeszcze. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział od trzech godzin. Jeden z żołnierzy myślał, że Jezus woła o coś do picia, umoczył więc gąbkę w occie. Uniósł ją na trzciniowym kiju, żeby rabbi mógł ugasić pragnienie. Jezus skosztował, odwrócił głowę i wypluł.

Następnie zawołał wielkim głosem:

– Ojczy, w Twoje ręce oddaję ducha mego!

Poczułem dreszcz. Młoda kobieta krzyknęła. Ta, która wyglądała na matkę rabbiego, zakryła usta dłonią, łkając. Jezus opuścił głowę na pierś i powiedział ledwie słyszalnym głosem:

– Wykonało się.

I przestał oddychać.

Wstrzymałem oddech, obserwując jego pierś, i uświadomiłem sobie, że ten człowiek wreszcie odnalazł spokój. Ciszę przerywały jedynie łkania jego matki

i innych kobiet, które towarzyszyły mu w drodze na Golgotę.

I wtedy się zaczęło. Najpierw mały grzmot, po którym nastąpił niski pomruk. Ziemia zatrzęsała się pod naszymi stopami, jakby całe wzgórze, na którym staliśmy, miało zostać pochłonięte przez jej wnętrzości. Usiłowałem utrzymać równowagę i nie spuszczać oka z rozedrganych krzyży, z których tryskała na ludzi krew skazańców. Ludzie wokół mnie jęczeli i błagali o litość. Kwintus upadł na kolana, a pozostali żołnierze przykucnęli w gotowości, jakby przygotowywali się do walki z samymi bogami.

Trzęsienie ziemi skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Grunt znów był stabilny, a ludzie usiłowali odzyskać oddech.

– Istotnie, ten człowiek był Synem Bożym! – wykrzyknął Kwintus.

Nie spuszczałem z oczu Jezusa, jakbym się spodziewał, że uniesie się w niebo niczym odwrócona kometa, jak niegdyś August. Ale on nadal wisiał nieruchomo; jego walka wreszcie się skończyła. Ziemia też była nieruchoma, jakby toczyła tę walkę razem z nim i razem z nim odzyskała spokój.

Światło powracało stopniowo, ale nieodwołalnie. Żołnierze odzyskali opanowanie, a Kwintus spoglądał na mnie z niepokojem w oczach, jakbym mógł donieść Piłatowi, że przyznał tytuł Augusta temu udręczonemu żydowskiemu rabiemu.

W świetle słońca zauważyłem, że również moja toga została splamiona kilkoma kroplami krwi rabiego. Przywiodło mi to na myśl obraz Flawii podczas Forcidiów, spryskanej krwią cielnej krowy. Przypomniałem też sobie, że osobom cierpiącym na chorobę parlamentarną lekarze podają do picia krew zabitych gladiatorów. Rzymianie wiedzieli jedno: krew ma w sobie moc, zwłaszcza krew ofiarna.

Wracałem do pretorium sam. Po drodze ledwie zauważałem zniszczenia spowodowane przez trzęsienie ziemi.

Dopiero następnego dnia usłyszałem wieści. Trzęsienie ziemi zniszczyło gęsto tkaną, potężną zasłonę, która oddzielała żydowskie Miejsce Święte od Najświętszego – miejsca, do którego może wchodzić jedynie najwyższy kapłan, i to raz w roku. Zasłona ta rozdarła się na pół. Trzęsienie ziemi musiało naruszyć podtrzymującą ją konstrukcję.

Mówiono, że rozdarła się od góry do dołu.

Po ukrzyżowaniu Jezusa z Nazaretu zapanował spokój. Żydzi obchodzili Paschę piętnastego dnia ich miesiąca Nisan bez dalszych incydentów. My wykorzystaliśmy ten dzień na przygotowania do długiej drogi powrotnej do Cezarei.

W dzień Słońca[07] wyruszyliśmy o świcie. Podobnie jak wcześniej, maszerowaliśmy w imponującym orszaku kilku tysięcy uzbrojonych żołnierzy. Ich tarcze i broje odbijały promienie słońca. Każdy, kto się temu przyglądał, mógł pomyśleć, że Piłat nadal tu rządzi. Ci z nas, którzy byli świadkami procesu Jezusa, wiedzieli swoje.

Dwa dni zajęło Piłatowi i mnie cyzelowanie listu, który wysłaliśmy do Tyberiusza, opisując całe zajście. Piłat, jak zwykle, poprosił mnie o przygotowanie szkicu. Kiedy jednak go przeczytał, zarzucił mi, że za wiele w nim detali, a poza tym ukazuje skazańca jako niewinnego.

– Twierdził, że jest królem. To jest sedno sprawy – stwierdził.

Po czym sam opracował nowy szkic listu. Proces Jezusa zajął w nim zaledwie dwa akapity. Nazarejczyk nazywał siebie królem. Miał wielu zwolenników. Pamiętając o wcześniejszym zaleceniu wielkiego Tyberiusza, by w Judei panował spokój, Piłat dał Jezusowi wszelkie możliwości odwołania swoich przekonań.

Usłyszawszy, że ów człowiek jest Galilejczykiem, odesłał go do Heroda. Ten jednak wyśmiał go i posłał z powrotem do Piłata. W końcu Piłat rozkazał ukrzyżować tego człowieka, aby pokazać Żydom, że wielki Tyberiusz nie ma żadnych rywali.

Nie było wzmianki o Barabaszu. Ani o tym, że Piłat kilkakrotnie uznał tego człowieka za niewinnego. Nie było też wzmianki o tym, że więzień ze stoickim spokojem upierał się, że jakkolwiek jest królem, to jego królestwo nie jest z tego świata.

Nie zaskoczyło mnie, że Piłat nie wspomniał również o zaćmieniu słońca i trzęsieniu ziemi.

Poniosłem moje poczucie winy z powrotem do Cezarei. Mój niepokój w związku z rolą, jaką odegrałem w procesie, wzrósł, kiedy patrzyłem, jak dzielny rabbi umiera. Nawet bogom nie podobała się niesprawiedliwość całej tej sprawy.

Cycero napisał, że przestępców dręczą i ścigają Furie. Nie trzeba im zapalonych pochodni, jak czytamy w tragediach; najgorszą męką są wyrzuty sumienia i świadomość popełnionej zbrodni.

Cycero nie mógł mieć więcej racji. Odzyskałem apetyt dopiero po jakimś miesiącu. Nocami rzucałem się na łóżku. Kiedy zasypiałem, prześladowały mnie sceny z procesu i ukrzyżowania Jezusa. Przeżywałem wciąż na nowo i odtwarzałem w pamięci swoje tchórzostwo. Co by było, gdybym stanął twardo po stronie Pi-

łata, kiedy ten po raz pierwszy postanowił uznać tego człowieka za niewinnego? Gdybym nie należał na prawniczą sztuczkę, nie proponował uwolnienia Barabasa? Gdybym postawił się Piłatowi, kiedy w końcu uległ i uznał własny interes za najważniejszy?

A gdyby to mnie sądono? Gdyby to moje życie zależało od tego, czy ktoś będzie miał dość odwagi, by bezstronnie zastosować prawo?

Piłat dał mi jasno do zrozumienia, że takie tematy są niepożądane podczas naszych rozmów. Podjąłem ten wątek tylko raz, i to nie bezpośrednio, wspominając, jak ów wyrok zmartwił Prokulę.

– Co zrobiłem, to zrobiłem – powiedział Piłat. – Bogowie osądzą, czy dobrze odegrałem swoją rolę.

– Czy ty kiedykolwiek zastanawiasz się nad sobą? – zapytałem.

Spojrzeniem dał mi do zrozumienia, że w tej kwestii zapędziłem się za daleko.

– Co zrobiłem, to zrobiłem.

Wtedy po raz ostatni wspomniałem przy nim o całym zajściu.

Nie mógł jednak powstrzymać od rozmawiania na ten temat ludzi spoza pałacu w Cezarei. Miesiąc po naszym powrocie do tego miasta pogłoski nadal unosiły się w powietrzu jak liście na wietrze, podburzając Żydów zamieszkałych w naszym mieście. Zwolennicy Jezusa twierdzili, że nie umarł naprawdę. Widziano go żywego w Jerozolimie już po ukrzyżowaniu, a pewnego dnia na wzgórzach w pobliżu miasta nauczał tłum liczący pięćset osób.

Nie dawałem wiary pogłoskom. Patrzyłem na śmierć tego człowieka, widziałem na własne oczy, jak wyzionął ducha. Może i był, jak wykrzyknął wtedy Kwintus, Synem Boga. Jego dusza mogła być nieśmiertelna i ubiegać się teraz o miejsce w panteonie między innymi bogami. Ale martwi ludzie nie wracają do życia. A już na pewno nie tak, jak według relacji Żydów miał wrócić Jezus. Podobno wyglądał tak samo jak za życia, jeśli nie liczyć ran po gwoździach na rękach i stopach, a także rany w boku, który przebił mu żołnierz, żeby się upewnić, że skazaniec nie żyje.

Ze względów politycznych niepokoiłem się nieco, że ten ruch nie umarł razem z rzekomym Mesjaszem. Ale takie rzeczy zdarzały się nie po raz pierwszy. Być może uczniowie wykradli ciało z grobu, jak twierdzili niektórzy żydowscy przywódcy religijni. Piłat postawił strażników przy grobie, ale wiedziałem, że rzymscy żołnierze nie są niezawodni ani niepodatni na przekupstwo. W każdym razie nadal mieliśmy zarządzać prowincją.

Nigdy nie miałem okazji wrócić do Jerozolimy. Trzy miesiące po procesie Jezusa i sześć miesięcy przed terminem zostałem zastąpiony przez innego asesora i odesłany do Rzymu, by rozpocząć karierę adwokata. Wiedziałem, że za tym manewrem stał Seneka. Teraz, po śmierci Sejana, sojusze się pozmieniały i gwiazda Seneki znów wschodziła. Rodzina Agrypiny nie stanowiła już takiego zagrożenia

jak niegdyś. Nadszedł czas sojuszników i przyjaciół Seneki, czas, by zauważalnie wpływać na życie stolicy.

Wiedziałem, że jestem jedynie pomniejszym aktorem w dramacie rozgrywającym się w Rzymie. Niemniej cieszyłem się na powrót w czasie tak wielkich niepokojów, ponieważ niepokoję rodzą możliwości. Tyberiusz wkrótce miał odejść, a walka o tron już się rozpoczęła. Mogłem o tym czytać z daleka albo znaleźć się wśród tych, którzy wywołają ruch w samym centrum cywilizowanego świata.

Byłem zmęczony pisaniem sztampowych listów do Tyberiusza i pomaganiem Piłatowi w nieustannym rozsądzaniu takich samych spraw. Prawo stanowiono w Rzymie. Tam mógłbym dać się zauważyć jako adwokat, a nie tylko służyć radą porywczemu i nieprzewidywalnemu prefektowi.

Pozostaliśmy z Piłatem w dobrych stosunkach, aczkolwiek po tamtym procesie w Jerozolimie nigdy już nie były one takie same jak wcześniej. Piłat życzył mi wszystkiego najlepszego i powiedział, że służyłem mu dobrze. Napisał list wyliczający moje talenty, a ja schowałem go w bezpiecznym miejscu pomiędzy książkami, które trzymałem w skrzyniach impregnowanych olejkiem cedrowym. Moje zwoje były zniszczone i popękane, ponieważ bez przerwy rozwijałem je i czytałem, zanim zwinąłem je ponownie i odłożyłem do skrzyni.

Swojego ulubionego listu nie czytałem jednak od trzech miesięcy. Rozwinąłem go raz, z wielką niechęcią, podczas drogi do domu. Słowa, które zainspirowały mnie do podróży do Cezarei, napełniały mnie teraz smutkiem i żalem.

Trzeba więc szukać czegoś takiego, co nie trwa tylko do pewnej chwili, w której nie może już się ostać. A cóż to jest? Duch, lecz duch prawy, szlachetny i wzniosły. Jak nazwiesz go inaczej niżli Bogiem goszczącym w ciele ludzkim? Taki duch zaś może przypaść w udziale zarówno rycerzowi rzymskiemu, jak wyzwolencowi, jak i niewolnikowi. Czymże jest bowiem rycerz rzymski, wyzwolenc albo niewolnik? Są to tylko czcze nazwy zrodzone z chciwości zaszczytów lub z krzywdy. Można także z jakiegoś zakątka trafić do nieba. Dźwignij się tylko i siebie samego uczyni godnym boskości.

Wichry szarpały naszym statkiem, wydłużając drogę do domu, a ja bez końca rozmyślałem o czasie spędzonym w Cezarei. Wykazałem się wielkim talentem pisarskim i poznałem zawiloci rzymskiego prawa dotyczącego prowincji. Jednak w kwestii najważniejszej nie spisałem się jak należy. Nie stanąłem na wysokości zadania, wbrew zaleceniom Seneki. Z powodu tego tchórzostwa i porażki, jaką poniosłem, moja dusza czuła się bardzo daleka od pokrewieństwa z Bogiem.

[07] Dzień Słońca, *dies Solis* (łac.) – rzymska nazwa niedzieli.

SENATOR

III III I I III III **IV** V VI VII VIII

W dwudziestym roku panowania Tyberiusza Juliusza Cezara Augusta

Powróciwszy do Rzymu, zastałem miasto inne niż to, które opuściłem. Architektura czy ekonomia nie zmieniły się znacząco, niemniej panowało tu jakieś szczególne napięcie, niemal czuć było jego smak. Po upadku Sejana czołowi senatorowie wytaczali jedni drugim liczne procesy o *crimen laesae maiestatis*, czyli oskarżali się nawzajem o zdradę stanu; zarzut ten obejmował wszelkie zachowania obraźliwe bądź wrogie wobec majestatu państwa lub osoby samego imperatora.

Ze swej odległej siedziby na Capri Tyberiusz rozsiewał atmosferę nieufności, skutkiem czego procesów przybywało. Przeprowadzano je w sali obrad senatu. Mówiono, że dowódca straży pretoriańskiej, Kwintus Sutoriusz Makron, uczestniczył w tych rozprawach – i gdy przedstawiano dowody, przypatrywał się twarzom senatorów. Już sam wyraz twarzy, sugerujący współczucie wobec oskarżanego o zdradę stanu, mógł stać się podstawą podejrzeń i późniejszych zarzutów.

Procesy dały początek nowej klasie pasożytów, która karmiła się lękami Tyberiusza i cudzym bogactwem. Zgodnie z *lex maiestatis* oskarżyciel, który wygrał proces, przejmował majątek i polityczne urzędy oskarżonego. Takich ludzi nazywano *delatores*. Powoli zdobywali oni władzę, ścigając sędownie innych za ich rzekome złe zamiary wobec rzymskiego ludu lub cesarza. Gardził nimi cały Rzym, a najbardziej znienawidzonym delatorem ze wszystkich był człowiek imieniem Cypion Kryspinus. Wygrawszy kilka spraw w sądzie, został członkiem senatu i tu mógł wynajdywać sobie kolejne ofiary.

Trzymałem się w cieniu, co zapewniało mi bezpieczeństwo. Rozpocząłem praktykę prawniczą i z pomocą Seneki zdobyłem spore grono klientów. Czas upływał mi na bronieniu oskarżonych. W bazylice julijskiej toczyło się po siedem procesów równocześnie. Każdego dnia kręciło się tam tylu adwokatów i przedstawicieli procesujących się stron, że przez ten tłum ledwie można było się przecisnąć. Przez cały dzień widzowie, tłumnie tu zgromadzeni, obserwowali to jedną rozprawę, to inną, w zależności od statusu spierających się stron i przypadku, jaki rozsądzano. Rozprawy, w których brałem udział, rzadko przyciągały gapiów. Reprezentowałem przede wszystkim pożyczkobiorców, od których wierzyciele żądali prowizji wyższej niż dozwolone pięć procent albo wobec których próbowali innych niezgodnych z prawem rozwiązań.

W tej raczkującej praktyce nękały mnie dwa problemy. Po pierwsze, rzadko otrzymywałem wynagrodzenie. Klienci, którzy muszą pożyczać pieniądze na lichwiarski procent, zwykle nie miewają środków na opłacenie prawnika. Wolą transakcje wymienne. W rezultacie obiecano mi więcej kóz, świń i garnców zboża,

niż zdołałbym przejeść przez następne dziesięć lat.

Po drugie, parając się tym, zdobywałem sobie niezbyt wpływowych przyjaciół i naprawdę wpływowych wrogów. Zrażałem do siebie najmoźniejszych rzymskich obywateli, co ani trochę nie sprzyjało moim dalekosiędnym ambicjom zdobycia trwałych wpływów w Rzymie.

Wszystko to zmieniło się w pewien zimny lutowy poranek, kiedy Seneka wezwał mnie do swego domu w porze *salutatio*[08]. Podobnie jak parę lat wcześniej, sługa Seneki wywołał mnie jako pierwszego, ominąłem więc kolejkę prawie sześćdziesięciu klientów, którzy przybyli tego ranka. Przeszliśmy do gabinetu Seneki, gdzie na palenisku zaczynał właśnie trzaskać ogień.

Nauczyciel nalał mi wina, roztarł dłonie nad ogniem i zapoznał mnie z najświeższymi plotkami z Judei. Piłat gonił resztkami sił. Brutalnie stłumił kolejny bunt religijny, tym razem w Samarii, a Samarytanie poskarżyli się rzymskiemu prefektowi w Syrii.

– Piłatowi nakazano stawić się w Rzymie, ma odpowiedzieć na zarzuty Żydów i Samarytan – powiedział Seneka.

Wiadomość wstrząsnęła mną. Czyniłem postępy w moim nowym, spokojnym przedsięwzięciu, jakim były procesy cywilne, ale ta nowina niosła ze sobą pierwiastek grozy i niepewności. Czy Piłata spotkają jakieś sankcje za liczne uchybienia, których dopuszczał się w Judei? Czy rola, jaką przy nim odegrałem, zostanie podczas przesłuchań przed senatem postawiona w złym świetle? W tych czasach każde wykroczenie mogło zostać potraktowane jako obraza cesarskiego majestatu. Czy to właśnie czeka Piłata? A jeśli tak, to czy zostanę z nim powiązany i – skutkiem tego – oskarżony?

– Stracił kontrolę nad prowincją – stwierdził Seneka takim tonem, jakby ten temat nie podlegał dyskusji. Dorzucił parę drew do ognia i usiadł. – Nowa religia szerzy się na prowincji jak pożar. Dowódca oddziałów italskich, człowiek podlegający bezpośrednio Piłatowi, jest teraz jej wyznawcą. Stara się nawracać oddziały służące w tej prowincji.

– Korneliusz? – spytałem.

– Nie znam jego imienia. Ale nie wygląda to dobrze, nie dla Piłata.

Znałem człowieka, o którym mówił Seneka. Korneliusz był szanowanym żołnierzem i miał spore wpływy w prowincji.

Słyszałem już, że przybywa Żydów, którzy uwierzyli w nauki Nazarejczyka, ale nie miałem pojęcia, że ten ruch – jeśli tak można to było nazwać – zaraził już nawet wojska Piłata. Z jakiejś przyczyny na myśl o tym poczułem isierkę radości. Nazarejczyk i jego wyznawcy zasługiwali na coś lepszego niż to, co zdarzyło się owego dnia przed żydowskim świętem Paschy.

Seneka upił łyk wina i zmienił temat. Pochylił się ku mnie i ściszył głos. Pod oczami wystąpiły mu ciemne, napuchnięte kręgi. Twarz miał zapadniętą, na skórze

pojawiły się już starcze znamiona. Ciężkie czasy odcisnęły na moim nauczycielu swoje znamię.

– Ludzi już mdli od tych procesów o zdradę – powiedział. – Senat zmienił się w kłębowski zmij. Rzucają się jedni na drugich, skazują na śmierć, kradną sobie rodziny i majątki. – Seneka pokręcił głową i spochmurniał. Obwisłe policzki dodawały mu z dziesięć lat. – Tyberiusz ma siedemdziesiąt pięć lat i słabe zdrowie. Los się wkrótce odwróci. Pozostaje tylko pytanie, czy ktoś z nas dożyje tej zmiany.

Ponownie uniósł puchar do ust. Napił się wina i odstawił naczynie powoli i z namysłem, jakby to była jedna z niewielu przyjemności, jakie mu jeszcze pozostały.

– Panuje przekonanie, że najlepiej trzymać się w cieniu i uważać nawet na to, co się opowiada przyjaciołom – ciągnął. – Słyszałeś może o Plaucjuszu?

Skinąłem głową.

– Każdy o nim słyszał.

Przykład tego biednego człowieka pokazywał, do jakich dziwacznych absurdów prowadzi *lex maiestatis*. Plaucjusz popełnił błąd, wnosząc do toalety monety z wizerunkiem Tyberiusza. Okazało się to fatalne w skutkach, gdyż sąd uznał, że obrażono imperatora. Plaucjusza skazano na śmierć, choć potem złagodzono karę i Plaucjusz został wygnany.

– Ostatnia ofiara to Lucjusz Aproniusz – dodał Seneka. – Zdaje się, że był przyjacielem twego ojca.

Rzeczywiście. Aproniusz miał posiadłość poza Rzymem, w sąsiedztwie gruntów rolnych mojej rodziny. Słynął ze swej hojności i dobroci, choć w sprawach zasadniczych był nieprzejednany.

– Sprawę wytoczył mu Kryspinus. – Seneka wręcz wypluł to imię, jakby było przekleństwem. – Aproniusz, z oczywistych powodów, ma trudności ze znalezieniem kompetentnego adwokata, który by go bronił.

Natychmiast zrozumiałem, do czego zmierza ta rozmowa, a Seneka musiał to wyczytać z mojego niespokojnego spojrzenia.

– Wiem, o czym myślisz – rzekł z cierpkim uśmieszkiem. – Musisz mi jednak zaufać w tej sprawie. Możesz spędzić resztę życia, reprezentując drobnych czynszowników w sprawach cywilnych, albo stanąć na wysokości zadania i wystąpić przed senatem. Zanim mi odpowiesz, Teofilu, musisz wpierw zrozumieć dwie rzeczy. Po pierwsze, nie ma wątpliwości, że Aproniusz jest winny zarzucanego mu czynu. Uważa, że Tyberiusz uzurpuje sobie tę część władzy, która przynależy senatowi, i że najwyższy czas, by ten starzec wreszcie ustąpił. Nikt cię więc nie prosi, byś wygrał tę sprawę. Jeśli jednak rozegrasz dobrą potyczkę, ludzie to zauważą. Zauważą to też senatorowie. Dowiedzą się tego, co ja już wiem: że spośród twoich rówieśników najlepszym adwokatem w całym Rzymie jesteś ty.

Pochlebstwo osiągnęło zamierzony cel. Powinienem odmówić, zanim mój

nauczyciel weźmie oddech. Zamiast tego spytałem:

– A druga rzecz?

– Masz okazję stanąć po właściwej stronie historii – odparł Seneka. – Obaj mamy okazję.

Zawahał się na moment. Wyczułem, że zmagał się z tą kwestią od dłuższego czasu.

– Jeśli się nie mylę, po śmierci Tyberiusza nastąpi ostra reakcja przeciw jego spuściźnie oraz przeciw *delatores* takim jak Kryspinus. Wówczas ci, którzy dziś opowiadają się przeciw rządowi terroru, staną się bohaterami, ich imiona będą na ustach wszystkich. Mógłbyś być jednym z nich, Teofilu. Ja również.

– A jeśli się mylisz? Jeśli Tyberiusz będzie dzierżył władzę jeszcze przez pięć lat i aresztują mnie, bo ośmieliłem się reprezentować kogoś, kto go skrytykował?

Seneka uśmiechnął się. Uniósł puchar w geście toastu, najwidoczniej za mnie.

– Wtedy zaprzeczę, jakobym kiedykolwiek toczył tę rozmowę.

Nie odwzajemniłem uśmiechu i nauczyciel znów spoważniał.

– Jedyne, o co cię proszę, to byś choć raz spotkał się z Lucjuszem Aproniuszem. Sądzę, że odkryjesz w nim człowieka honoru. Jeśli wówczas mu odmówisz, z czystym sumieniem, uszanuję tę decyzję.

Zgodziłem się na spotkanie, w końcu Seneka to mój dobry przyjaciel i dobroczyńca. Poza tym byłem zaintrygowany. Moi dotychczasowi klienci też stali po przegranej stronie. Im jednak nie groziła utrata życia.

Byłem gotów na to wyzwanie. Chyba nadszedł wreszcie mój czas.

[08] *Salutatio matutina* (pozdrowienie poranne) – oficjalna wizyta poranna, jaką klient (*cliens*) miał obowiązek składać swemu patronowi, okazując mu w ten sposób szacunek i swoją wierność. *Cliens* to wolny człowiek, który powierzał siebie innemu, zwanemu *patronus*, oczekując w zamian protekcji. Funkcja ta często stawała się dziedziczna. Klienci zbierali się w atrium już o świcie i czekali na specjalnych ławach. Najpierw zaszczytu powitania pana domu mogli dostąpić przyjaciele i najwybitniejsi obywatele, pojedynczo lub w małych grupach. Każdego gościa zapowiadał specjalny niewolnik, *nomenculator*. Każdego poranka na *salutatio* poświęcano aż dwie godziny. Po ceremonii *patronus* w asyście *clientes* udawał się na Forum, by zasiąść w senacie czy sądzie, albo żeby się tylko pokazać. Parada klientów stanowiła publiczną manifestację pozycji społecznej patrona.

Wiatr podwiewał mi płaszcz, gdy zmierzałem do posiadłości Lucjusza Aproniusza, by spożyć z nim wieczerzę. Mieszkał cztery mile poza miastem, nieopodal domu, w którym spędziłem dzieciństwo.

Domostwo miał ciepłe i wygodne, jedzenie okazało się pyszne i wykwintnie podane. Aproniusz był uprzejmym gospodarzem, więc nalegał, by o czekającej go rozprawie rozmawiać dopiero po posiłku. Z wyglądu przypominał znane mi posągi Cyserona – rzednące siwe włosy, oczy głęboko osadzone pod siwymi, krzaczastymi brwiami i ściągnięte usta. Spytał mnie o rodzinę, o mój pobyt w Grecji i Judei.

Uderzyły mnie wrodzone dobre maniery tego człowieka. Służbę traktował z szacunkiem, rzadko spotykanym w Rzymie. Patrzył sługom prosto w oczy i zwracał się do nich po imieniu. W pewnej chwili do sali, w której jedliśmy, wbiegły wnuki Aproniusza i przerwały nam rozmowę, co stanowiło poważne naruszenie etykiety. Przeprosił mnie, lecz nie wydawał się zakłopotany. Przedstawił mi swoją żonę, która weszła za wnukami, i przez następną chwilę prowadziłem całkiem przyjemną rozmowę z dziećmi. Zastanawiałem się, co by się z nimi stało, gdyby Aproniusza skazano na śmierć.

Po wieczerzy gospodarz zaproponował przechadzkę po oświetlonych pochodniami ogrodach.

– Rzeńskie powietrze nas otrzeźwi.

Rzeńskie? Takie bywa w październiku; w lutym jest przesywające! Narzuciliśmy płaszcze i Lucjusz oprowadził mnie po ogrodach. Szedł obok mnie z rękoma założonymi za siebie. Spojrzał w górę, na gwiazdy, mimowolnie przyjął filozoficzny ton.

– Teofilu, nie żyjemy już w Rzymie, jaki znam z dzieciństwa. August deklarował, że popiera republikę, a zarazem powoli odzierał senat z wszelkiej władzy prócz ceremonialnej. Tyberiusz poszedł o krok dalej, sprowadzając to niegdyś dostojne grono do bandy głupców, pragnących przypochlebić się cesarzowi, który od dziesięciu lat nie postawił stopy w tym mieście. Wiesz, co rozczarowuje mnie najbardziej?

Nie byłem pewien, czy chcę wiedzieć. Już i tak czułem się niezbyt swobodnie w obecności klienta, który tak otwarcie wyznawał swoją pogardę dla cesarza. Skoro krytykował imperatora w obecności młodego adwokata, którego ledwie znał, to co powie przed swymi przyjaciółmi senatorami?

Z drugiej strony podziwiałem jego szczerość, cechę charakteru, której w Rzymie niestety brakowało.

– Najbardziej rozczarowują mnie moi koledzy senatorowie. Prześcigamy się,

by wydać uchwały, które mają zrobić wrażenie na cesarzu. Płaszczymy się przed Makronem, dowódcą straży pretoriańskiej. Zwracamy się jedni przeciw drugim i oskarżamy się wzajemnie o złe zamiary wobec potężnego Tyberiusza. Gdzie się podziała godność senatorska?

– Nie wiem – odrzekłem nieporadnie.

Zatrzymał się i odwrócił. Przez dłuższą chwilę patrzył na swój dom. Być może myślał o żonie, dzieciach i wnukach. Ten człowiek miał wiele do stracenia.

– Jeśli uznasz, że nie chcesz mnie bronić, nie będę cię winił – powiedział. – Staję przeciw Cepionowi Kryspinusowi, a on nie przegrał jeszcze żadnego procesu o zdradę, obrazę cesarskiego majestatu. I nie mam zamiaru kłamać w sądzie.

Seneka zapoznał mnie już ze sprawą. Aproniusz został zaproszony na wystawną ucztę przez jednego ze swych najbliższych przyjaciół z senatu, Papiusza Mutilusa. Wino płynęło strumieniami, a jako że byli tylko we dwojkę, Mutilus zaczął się gorzko skarżyć na Tyberiusza. Imperator jest w gorącej wodzie kąpany. Nie ma dość rozumu, jak na władcę. Daleko mu do Oktawiana Augusta. Nie podbija nowych ziem. I co on w ogóle zbudował?

Aproniusz podjął temat, recytując własną litanię skarg. Zasugerował, że senat powinien podjąć jakieś działania. Byłoby to z korzyścią dla Rzymu, gdyby Tyberiusz już dłużej nie sprawował władzy. A jeszcze lepiej byłoby przywrócić republikę.

Następnego dnia do Aproniusza podszedł inny senator i wyraził swoje rozczarowanie Tyberiuszem. Senator ten, człowiek imieniem Juniusz Otho, był preto-rem w sądach, gdzie ja prowadziłem praktykę. Twierdził, że Tyberiusz przekroczył swoje kompetencje, a jego paranoja rujnuje kraj.

Sądząc, że znalazł kolejnego sprzymierzeńca, Aproniusz zasugerował, by spotkali się we trójkę z Mutilusem i zastanowili nad działaniami, jakie powinni podjąć senatorowie.

Niestety, wszystko to było pułapką. Zarówno Mutilus, jak i Otho donieśli o tych rozmowach Cepionowi Kryspinusowi. Obaj twierdzili, że szanują Tyberiusza i że ich celem było jedynie wypróbowanie lojalności Aproniusza. Wniesiono oskarżenia, a wynik sprawy zdawał się być przesadzony. Krążyły pogłoski, że trzech oskarżycieli Aproniusza już się dogadali, jak podzielić majątek po nim.

– Spośród wszystkiego, co powiedziałaś o Tyberiuszu, które słowa były najgorsze? – zapytałem. Drżałem, po części z zimna, po części ze strachu; niepokoiła mnie perspektywa reprezentowania człowieka, który jawnie znieważał cesarza.

Aproniusz uśmiechnął się chytrze, jakby bawiło go własne zuchwalstwo.

– Chyba wspomniałem coś o sprawie Plaucjusza i monet, które zabrał do wygódki – przypomniał sobie. – Powiedziałem, zdaje się, że ja kazałem ozdobić wizerunkiem Tyberiusza gąbki, których używamy w ubikacji, gdy już zrobimy, co mamy zrobić.

To wyznanie i mnie skłoniło do uśmiechu.

– Powiedziałaś to senatorom?

– Może użyłem trochę mocniejszych słów. Niemniej sens był właśnie taki.

Istniało mnóstwo powodów, dla których powinienem trzymać się z dala od obrony Aproniusza. Sprawa była nie do wygrania. Nie chciałem iść za radą Seneki i zajmować się nią jedynie dla rozgłosu. Znałem siebie aż nadto dobrze. Jeśli się zaangażuję, nie zawaham się przed niczym, by zwyciężyć. Jako adwokat Aproniusza stanę po stronie przeciwników cesarza. Być może Seneka miał rację i losy się odwrócą, jeśli jednak nie nastąpi to dość szybko, wkrótce pewnie i mnie oskarżą o zdradę i popłynę do morza razem z resztą zdrajców.

Rok temu Tyberiusz wydał rozkaz, by wszystkich uwięzionych za zdradę zgromadzić na ulicy i zabić jednocześnie. Świadkowie tych wydarzeń opowiadali o przedśmiertnych krzykach więźniów, których pretorianie zadźgali włóczniami. Zwłoki zostawiono tam na siedem dni, by gnily, a potem zaciągnięto hakami do Tybru i wrzucono do rzeki. Krewnym i bliskim nie pozwolono zabrać ciał zabitych i godnie pochować.

Kolana niemal uginały się pod mną na samą myśl o tym.

Ale to nie strach motywuje najbardziej.

Odwaga Aproniusza dziwnie przypominała mi odwagę Nazarejczyka. Obaj bez chwili wahania stawiali czoła potężnym i skorumpowanym oskarżycielom. Obu zdradzono. Obaj zdawali się być wierni jakiemuś wyższemu powołaniu.

Już raz odwróciłem się plecami do niewinnego człowieka. Od dwóch lat nie odstępowało mnie poczucie winy z tego powodu. Stałem już oko w oko z moim tchórzostwem i odczuwałem silne pragnienie, by podczas kolejnej próby okazać męstwo. Może to dlatego tak bardzo podziwiałem odważnych ludzi – bo samemu trudno mi było wykrzesać z siebie tę cnotę.

Opuściłem dom Aproniusza późną nocą i wracałem do Rzymu w świetle księżyca. Kieszę miałem pełną pieniędzy – najwyższe honorarium, jakie kiedykolwiek otrzymałem od klienta. Trzymałem głowę wysoko, bo wiedziałem, że postępuję właściwie.

W dołku ścisnęło mnie też jednak straszne uczucie. Pomiedzy gniewem cesarza a uporem nowego klienta nie pozostawało wiele miejsca na błędy.

Niemal natychmiast pożałowałem swojej decyzji. W plotkarskim Rzymie pogłoska niosła się szybko i wkrótce okryłem się wątpliwą sławą – bohater wyzwoleńców, lecz wyklęty wśród senatorów. Szczegóły dotyczące uwag na temat Tyberiusza, na jakie pozwolił sobie Aproniusz, już stały się powszechnie wiadome. Obywatele rzymscy pokątnie nazywali tę sprawę „procesem gąbkowym”.

Nikt w Rzymie nie wierzył, by Aproniusza uniewinniono. Prości ludzie wielbili jego odwagę, lecz wiedzieli też, że nie bez powodu taka odwaga w Rzymie była rzadkością. Większość tych, którzy ją mieli, już nie żyła.

Gdy wchodziłem do łaźni, patrycjusze stronili ode mnie, jak stroni się od człowieka roznoszącego jakąś zakaźną chorobę. Może i Seneka miał rację, obywatele Rzymu mdliło od procesów o zdradę. I może czas pokaże, że mieliśmy słuszność. W tym jednak momencie żaden z patrycjuszy nie miał ochoty przyjmować tego zakładu.

Wątpliwa sława, jaką wówczas zdobyłem, przyniosła mi jedną drobną korzyść. Miałem poślubić kobietę z szanowanej rodziny ekwitów, zrównoważoną i obdarzoną ciekawością intelektualną podobną mojej. W naszej relacji brakowało jednak żaru. Kiedy stało się powszechnie wiadome, że będę reprezentował Aproniusza, kobieta ta oraz jej rodzina uznali, że nie jestem dobrą partią. Zamiast się tym zamartwiać, poczułem ulgę. Poślubienie owej kobiety byłoby piramidalną pomyłką.

Do procesu zostały jeszcze trzy tygodnie. Może i wycofałbym się z tej sprawy, gdybym naprawdę wierzył, że to podratuje moją nadszarpniętą reputację. Jednak w chwili współczucia i odwagi podjąłem decyzję, że nie mogę już zrezygnować. Teraz pozostawało jedynie wybrać, czy postąpię tak, jak podpowiadał Seneka – czyli będę reprezentował Aproniusza bez zaangażowania, nie licząc na zwycięstwo – czy też zrobię wszystko, co w mojej mocy, by tę sprawę wygrać.

Traf chciał, że na pięć dni przed procesem Aproniusza spożywałem posiłek na Awentynie, w towarzystwie Poncjusza Piłata i Prokuli. Wprawdzie nie mogłem sobie pozwolić na stratę wieczoru, gdyż proces był blisko, ale nie potrafiłem odmówić byłemu prefektowi Judei. Piłat, odkąd powrócił z Jerozolimy obciążony zarzutem o nadużywanie władzy, w rzymskich wyższych sferach był właściwie traktowany jak wyrzutek. W takiej chwili bardziej niż kiedykolwiek potrzebował przyjaciela.

Namiestnik był cieniem człowieka, jakiego poznałem dwa lata wcześniej. Wyglądał tak samo – łysa głowa, owalna twarz, ogorzała cera, blisko osadzone

oczy, czoło, które tak chętnie marszczył w wyrazie niezadowolenia. Ciało wciąż utrzymywał w świetnej kondycji, jak wcześniej w Cezarei. Jednak spędziwszy z nim parę godzin, przekonałem się, że pod względem emocjonalnym był zupełnie innym człowiekiem.

Całe jego zadowolenie i pewność siebie gdzieś zniknęły. Podczas kolacji wydawał się przybity, pomimo że wraz z Prokulą staraliśmy się go rozweselić. Próbowaliśmy wspominać dawne czasy w Judei, ale prawda była taka, że zarówno Piłat, jak i ja chcieliśmy zapomnieć o tych chwilach.

Najwyraźniej popijał przed moim przybyciem, a podczas kolacji też przez cały czas dolewał sobie wina. Im więcej pił, tym bardziej zamykał się w sobie, chociaż zadawał mi mnóstwo pytań dotyczących procesu Aproniusza. Może widział w tym zapowiedź własnej rozprawy, która czekała go za kilka tygodni.

Gdy doszliśmy do ostatniego dania, Piłat już bełkotał. Zasnął przy stole, zanim posiłek dobiegł końca. Prokula przeproszała za męża i zaproponowała, że mnie odprowadzi.

Staliśmy we frontowym portyku, gdy zadała mi pytanie, które, jak wy czułem, nękało ją przez cały wieczór.

– Słyszałeś o Korneliuszu?

– To ten, który został wyznawcą Nazarejczyka?

– Tak. – Na chwilę spuściła wzrok, jakby zastanawiała się, jak daleko może się posunąć. – Słyszałeś może, jak do tego doszło?

– Nie znam szczegółów.

– Ciekawi cię to?

– Oczywiście.

Opowiedziała mi jego historię, z pewną obawą w głosie. Zaczęło się od tego, że Korneliusz miał wizję. To doprowadziło go do spotkania z Żydem imieniem Piotr, który opowiedział Korneliuszowi o Jezusie i jego cudach. Piotr mówił o ukrzyżowaniu Jezusa. Rabbi podobno wrócił do życia trzeciego dnia, co widziało wielu świadków.

– Korneliusz sam mi o tym opowiedział – dodała Prokula. – Piotr ochrzcił jego samego oraz paru jego żołnierzy, wszyscy oni zostali wyznawcami Drogi.

– Słyszałem pogłoski o zmartwychwstaniu Jezusa, jeszcze zanim wyjechałem z Cezarei – przyznałem. – Uznałem to wówczas za kolejny żydowski mit. Wciąż tak uważam.

Prokula zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Wszystko, co wiem, to że twarz Jezusa jest właśnie tą twarzą, którą widziałam w świątyni Eskulapa, gdy zostałam uzdrowiona. Jezus był niewinny, oskarżano go niesłusznie. Ostrzegałam Piłata, by go nie wydawał na ukrzyżowanie. Nie usłuchał i od tego czasu nasze problemy się mnożą.

– Ja też żałowałam tej decyzji – przyznałem. – To jedna z wielu spraw, które

rozwiązałbym inaczej, gdybym otrzymał drugą szansę.

Wyglądało na to, że wyczerpaliśmy temat, pożegnałem więc Prokulę. Byłem w połowie schodów, gdy mnie zatrzymała.

– Teofilu!

Odwrociłem się i spojrzałem na nią.

– Mój mąż naprawdę potrzebuje pomocy – wyznała łamiącym się głosem. – Nie poradzi sobie na tym procesie, jeśli nie będzie miał adwokata, który wie, co robi. Zwrócił się wprawdzie do kilku, ale wszyscy mieli jakieś wymówki... – urwała niepewnie.

Wyczułem, do czego zmierza. Była to ostatnia rzecz na świecie, jakiej potrzebowałem. Kolejna rozprawa nie do wygrania, i to przed senatem. Miałbym w rękach życie kolejnego upartego człowieka.

– Wezmiesz tę sprawę, Teofilu? – spytała Prokula.

Zawahałem się.

– Czy on w ogóle chce, bym go reprezentował? – Z tego, co słyszałem, Piłat zamierzał bronić się sam. Zachowywał się tak, jakby ten problem wcale go nie martwił. Twierdził, że potrafi uzasadnić każdy swój czyn. Dumnie wytłumaczy wszystko przed całym senatem i przyjmie każdy wyrok, jaki zapadnie.

Prokula westchnęła, wzrok wbiła w posadzkę.

– Rozmawialiśmy o tym kilka dni temu. Powiedział, że nigdy cię o to nie poprosi, nie chce cię w to wciągać. Nie chce, by mu zarzucano, że cię tym obciąża.

Nie umiałem zgadnąć, czy Prokula to sobie wymyśliła, czy też nie. Prawdę mówiąc, te słowa jakoś nie pasowały do Piłata, przynajmniej nie do takiego Piłata, jakiego znałem. Nigdy nie troszczył się o nikogo prócz siebie. Może jednak zmienił się w obliczu takich oskarżeń.

– Powiedz mu, że spotkam się z nim po procesie Aproniusza – powiedziałem. – Jeśli jednak chce, bym go bronił, niech sam mi to powie, Prokulo.

– Przekażę mu – obiecała. – Ale pamiętaj, że niektórym bardzo trudno jest prosić innych o pomoc.

Obmyślając obronę Aproniusza, przede wszystkim starałem się wykorzystać swoją dogłębną znajomość Cyncerona. Ten człowiek był najwspanialszym retorem rzymskim i niewzruszenie stawiał czoła największym przeciwnościom. Tym razem jednak to nie w jego pismach znalazłem inspirację.

Kolacja u Piłata przywołała mi na myśl Nazarejczyka. W jakiś sposób poruszyło mnie jego poddanie się losowi. I to, co mówił o przeznaczeniu. „Powiedziałeś, że jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie”. Jezus nie ugiął się przed Piłatem, pomimo że namiestnik miał prawo skazać go na śmierć. Jak on to powiedział? „Nie miałbyś żadnej władzy nade mną, gdyby ci jej nie dano z góry”.

Rozważałem to przez chwilę, podziwiając nie tyle niezwykłą pewnością siebie Jezusa, ile jego przekonanie, że Piłat nie ma nad nim władzy.

I wtedy mnie olśniło. Znalazłem sposób obrony Aproniusza, który mógł po skutkować!

Nie marnowałem czasu i zaraz przystąpiłem do pracy nad nowym pomysłem. Trudziłem się mozolnie do późnej nocy. Nazajutrz poprosiłem Aproniusza, by zdobył dla mnie akta z poprzednich procesów o zdradę. Zacząłem urządzać sobie długie przechadzki po siedmiu wzgórzach Rzymu i, drżąc z zimna, ćwiczyłem argumentację. Przechodnie musieli chyba myśleć, że nieco postradałem zmysły, gdy tak snułem się, mówiąc do siebie, zapomniawszy nawet o goleniu.

Na dwa dni przed rozprawą przedstawiłem swoją linię obrony Senece. Kiedy skończyłem, mój dawny nauczyciel odchylił się, skrzyżował nogi i potarł podbródek. Widziałem, że pogrążył się w myślach. Patrzył gdzieś poza mnie, jakby oglądał scenę rozgrywającą się w jego wyobraźni.

– Znakomite – pochwalił. – To może zadziałać.

Skorygował parę drobiazgow. Modulację głosu. Sposób trzymania rąk. Dodał jakąś pauzę, zmienił słownictwo w paru zdaniach. Jednak do samej treści mowy nie miał zastrzeżeń.

Zanim wyszedłem, chwycił mnie za ramiona i powiedział, że jest ze mnie dumny.

– Zawsze wiedziałem, że masz to w sobie – rzekł. – Przemawiając przed tymi senatorami, pamiętaj, że to zwykli ludzie, tacy sami jak my. I może dzięki tobie wzniosą się ponad małostkowe zawiści, które ostatnio zżerały ich grono. A nawet jeśli nie, to i tak wprawileś w dumę swego nauczyciela.

Fala optymizmu, która zalała mnie tego wieczoru, całkiem zniknęła rankiem

w dzień procesu. Togę miałem świeżo upraną, ale była to toga ekwity. W małym pudełku zgromadziłem notatki do końcowych argumentów mojej mowy obrończej oraz kilka rekwizytów, którymi zamierzałem się posłużyć. Nieco później poszedłem samotnie do budynku senatu, odesławszy nawet sługę.

Inni przybędą w bardziej paradnym stylu. Kryspinusa przyniosą w lektyce, w otoczeniu wielkiego orszaku sług i sympatyków. Samym przejściem wywoła poruszenie na ulicach Rzymu. Senatorzy powitają go na miejscu z pochlebczą przychylnością, ukrywając swoją niechęć do niego pod nerwowymi uśmiechami. Juniusza Othona, pretora zeznającego przeciw memu klientowi, poprzedzą liktorzy, którzy zawiadomią o jego przybyciu. Podobnie będzie z Mutilusem.

Myśląc o tym, straciłem apetyt. Tak mnie ścisnęło w dołku, że zrezygnowałem ze śniadania i udałem się prosto do senatu. Nerwy miałem napięte do granic możliwości, co raczej nie sprzyjało powtarzaniu w myśli przygotowanych argumentów.

Kiedy jednak nałożyłem już płaszcz, przybyła pomoc, objawiając się głośnym i natarczywym pukaniem.

Otworzyłem drzwi i go zobaczyłem. Stał i szczerzył zęby w uśmiechu. Był teraz wyższy – już nie spoglądałem na niego z góry. Zdawało się jednak, że od dzieciństwa nie przytył ani trochę. Nadal był chudy, sama skóra i kości, same łokcie i kolana, a płaszcz wisiał na nim jak na drągu. Koścista twarz zachowała jednak wyraz pewnej dziecinnej niewinności.

– Marek!

– Pomyślałem, że przyda ci się ktoś do niesienia sakwy – powiedział.

Objęliśmy się, klepiąc jeden drugiego po plecach. Marek wyjaśnił, że jest teraz lekarzem i praktykuje na Sycylii. Kiedy jednak przyjaciel potrzebuje pomocy, powiedział, trzeba wszystko rzucić i jechać do niego.

– Nie wierzę, że cię widzę – wyznałem.

– A ty, jak zawsze, w kłopotach.

Wyszliśmy parę chwil później i maszerowaliśmy ramię w ramię ulicami Rzymu, mijając zatłoczone sklepiki, gdzie ludzie zajmowali się swymi codziennymi sprawami. Paru przechodniów mnie rozpoznało i po cichu życzyło mi szczęścia. Inni przypatrywali się z drugiej strony ulicy.

Umówiłem się z Aproniuszem na niżej położonym krańcu Forum, abyśmy mogli omówić ostatnie szczegóły. Odniosłem wrażenie, że jest w dobrym nastroju.

Przedstawiłem go Markowi i naradzaliśmy się, stojąc na zimnie. Zaczął padać rzadki śnieg. Słudzy Aproniusza z szacunku trzymali się nieco z dala. Paru przechodniów przystanęło, by na nas popatrzeć.

Skończywszy naradę, ruszyliśmy przez podłużny plac Forum w kierunku senatu.

Kiedy się tam zbliżyliśmy, zobaczyłem, że mimo chłodu zebrał się wielki

tłum. Widocznie Rzymianie chcieli okazać swoje poparcie senatorowi, który ośmielił się wystąpić przeciw Tyberiuszowi. Gdy podeszliśmy bliżej, powitały nas oklaski. Aproniusz przystawał i ścisnął ręce ludzi, witając niektórych po imieniu, innych obejmując.

Plac przed drzwiami senatu pełen był mężczyzn, kobiet i dzieci, okutanych, jakby mieli zamiar stać tu cały dzień. Byli to wyzwolenci – niektórym z nich Aproniusz pomagał finansowo, inni znali jego rodzinę, jeszcze inni być może dla niego pracowali. To byli nasi ludzie. Wiedziałem, że dziś, tak jak zawsze, gdy w senacie debatowano nad jakąś ważną sprawą, wielkie odrzwia pozostaną otwarte, by obywatele stojący na ulicy mogli usłyszeć przebieg obrad.

Za tymi drzwiami może i byłem *persona non grata*, jednak tutaj, na zewnątrz, szybko stałem się bohaterem.

Wraz z Aproniuszem wmieszałem się w tłum, ścisnąłem ręce, dziękowałem ludziom za przybycie. Paru przytrzymało moją dłoń dłużej, niż to konieczne, przykuwając tym moją uwagę.

– To dobry człowiek – mówili. – Liczymy na ciebie.

Gdy mieliśmy już wejść do senatu, cieszyłem się, że zignorowałem początkową radę Seneki. Nie doбираłem argumentów tak, by zaprezentować swoje oratorskie umiejętności. Moim celem było wygrać rozprawę.

Marek, jako ekwita, musiał poczekać na zewnątrz wraz z resztą tłumu. Na odchodnym, gdy już stałem w progu, klepnął mnie w ramię.

– Niech bogowie będą z tobą.

– Bo ludzie chyba już są – odpowiedziałem.

Kiwnął głową.

– To widać.

Spojrzałem za niego, na twarze zebranych. Niektóre były brudne, okopcone od sadzy, okryte porwanymi kapturami. Inne należały do znaczniejszych mężczyzn i kobiet, takich jak Marek. Wszyscy byli Rzymianami i opowiadali się za sprawiedliwością.

– Oto Rzym taki, o jakim marzyłem jako chłopiec – powiedziałem do Marka, skinieniem głowy wskazując na tłum. – Dlatego właśnie zostałem adwokatem.

Marek jednak patrzył w przeciwnym kierunku. Za mną kłębili się gniewni senatorowie, którzy mieli zdecydować o losie mego klienta.

– A ja... – odparł Marek, wskazując na mężczyzn, którzy stanowili rzymski senat, najznakomitszy organ prawodawczy w historii świata – dlatego właśnie zostałem lekarzem.

Sala senatu utrzymana była w chłodnym, urzędowym i wystawnym stylu. Strop, znajdujący się prawie sześćdziesiąt stóp nad głową, podtrzymywały korynckie kolumny. Posadzkę wykonano z różnokolorowego marmuru, przywiezionego tu z całego świata, ułożonego w proste, geometryczne wzory. Pomieszczenie ogrzewane było od dołu; niewidoczni słudzy podsycali ogień na paleniskach ukrytych pod podłogą, a ciepłe powietrze rozchodziło się specjalnymi kanałami. Mimo to od drzwi otwartych na Forum wiało chłodem.

Naprzeciw wejścia wznosiło się podium z miejscami dla konsulów, którzy nadzorowali porządek obrad. Przed podium stało kilku członków gwardii pretoriańskiej, by mieć oko na senatorów.

Senatorowie, których było niemal sześciuset, zasiadali na eleganckich drewnianych siedziskach z okrągłymi oparciami, ustawionych w półkręgu. Pierwsze rzędy zarezerwowane były dla adwokatów, ich klientów oraz starszych senatorów. W dni, kiedy panował tłok, młodszy senatorowie musieli stać za ostatnimi rzędami siedzisk. Dziś, co nie było niespodzianką, pozostały tylko miejsca stojące.

Senatorów i konsulów oddzielał szmat pustej przestrzeni. To tutaj, niby na jakiejś scenie, Kryspinus i ja mieliśmy przepytывать świadków oraz wygłaszać swoje mowy. Mogliśmy tu spacerować i gestykulować; zwracać się raz w jedną, raz w drugą stronę. Dzięki temu rozprawa zmieniała się we wspaniałe widowisko. Nie dorównywała wprawdzie arenie, ale i tak był to kawałek barwnego dramatu.

Paru senatorów skinęło głową Aproniuszowi, gdy obaj zajęliśmy miejsca w pierwszym rzędzie. Następnie przewodniczący obradom konsul, senator imieniem Porcjusz Katon, ogłosił porządek obrad.

Katon był zwały jak niedźwiedź, ważył niemal trzysta dwadzieścia pięć lib, a jego postać zdawała się składać z kilku potężnych brył, nałożonych jedna na drugą. Miał owalną twarz, pulchne, obwisłe policzki, pełne wargi i wyłupiaste, podkrążone oczy. W Rzymie powiadano, że lepiej być skazańcem na arenie niż niewolnikiem, który dźwiga lektykę Katona.

Sprawa Aproniusza nie była jedyną, jaką miał się dziś zająć senat. Wpierw Katon przewodniczył przez ponad godzinę nużącym dyskusjom o sprawach administracyjnych.

Rozglądałem się, próbując odgadnąć mowę ciała senatorów. Moja strategia była uzależniona od odwagi kilku liczących się członków senatu, toteż na nich właśnie skupiłem uwagę. Niestety, na żadnej twarzy nie wypatrzyłem ponurej determinacji, jaką miałem nadzieję znaleźć u ludzi gotowych przeciwstawić się mentalności stada, która rządziła w tym miejscu. Marek Lepidus, na przykład, szeptał coś uprzejmie do senatora siedzącego obok, jakby świat w ogóle go nie obchodził.

Gdy przyszła pora na nas, Katon odczytał oskarżenie przeciw Aproniuszowi i wezwał Cepiona Kryspinusa, by przedstawił swoje racje.

Kryspinus wstał i powitał senatorów skinieniem głowy. Wyszedł na środek i zaczął opowiadać o rzekomej zdradzie mego klienta. Prezentował się imponująco z tą swoją gładką skórą, ze starannie ułożonymi siwymi włosami, pięknie udrapowaną togą. Mówił z elokwencją godną Cyserona, wplatając humor, gniew i przekonanie o swej nieomyślności w nieskazitelną materię oracji, która spowijała mego klienta płaszczem winy.

– Aproniusz wypracował sobie reputację jednego z najwybitniejszych senatorów Rzymu – przyznał Kryspinus – ale nienawiść do Tyberiusza przytłumiła jego zdrowy rozsądek. Ten człowiek stanowi teraz poważne niebezpieczeństwo dla państwa i dla samego cesarza.

Kryspinus, niczym wyszkolony aktor, umiał w jednej chwili zmienić ton i przejść od oskarżenia do smutku.

– Przyjaciele Aproniusza zaczęli się niepokoić – powiedział z żalem – przygotowali więc, choć niechętnie, pewien plan, by upewnić się co do prawdziwych intencji przyjaciela. Papiusz Mutilus zaprosił Aproniusza na ucztę. Owszem, Mutilus wypowiadał lekceważące uwagi pod adresem imperatora, ale jak wie każdy senator, cesarz w nikim nie znajdzie większego zwolennika niż w Papiuszu. Ten praworządny człowiek wyrażał się źle o cesarzu jedynie po to, by sprawdzić, czy Lucjusz Aproniusz uczyni to samo. Tak też się stało. Aproniusz twierdził, że cesarz uzurpuje sobie władzę senatu, co było oczywiście nieprawdą.

Słuchając tej przemowy, spojrzałem na senatorów. Wszyscy wiedzieli, że mój klient nie mylił się co do cesarza, ale Tyberiusz tak ich zastraszył – i do tego stopnia przejął władzę przynależną senatowi – że teraz ogarniało ich przerażenie, iż jeden z nich ośmielił się głosić takie rzeczy. Nie tylko ja się im przyglądałem. Kwintus Sutoriusz Makron, dowódca straży pretoriańskiej, stał obok podium konsula z rękoma skrzyżowanymi na piersi i wypatrywał na twarzach senatorów choćby cienia przychylności dla oskarżonego.

Kryspinus przez niemal godzinę pomstował na zdradzieckie uwagi mego klienta. W rozmowie z pretorem Juniuszem Othonem Aproniusz po prostu wydrwił imperatora. Wspomniał też Plaucjusza, skazanego za to, że wniósł monety z wizerunkiem cesarza do ubikacji. Tutaj Kryspinus przerwał i omiół wzrokiem salę.

– I wtedy ten człowiek – rzekł, wskazując na Aproniusza – powiedział, że tak nie znosi imperatora, iż kazał ozdobić swoje gąbki w toalecie wizerunkiem cesarza.

Gdyby to oskarżenie nie było tak absurdalne i gdyby mój klient nie przyznał, że to właśnie powiedział, słowo w słowo, uznalibyśmy całą rzecz za zabawną. Jednak żaden z senatorów się nie zaśmiał. Słowa Aproniusza wciąż powtarzano na ulicach Rzymu. Gdyby senat pozostawił tę sprawę bez kary, obywatele poczuliby, że mogą

swobodnie szkalować Tyberiusza, tak jak satyrycy używali sobie na tyłu jego poprzedników, szydząc z najbardziej czczonych przywódców Rzymu. Senatorowie nie chcieli, by tamte czasy wróciły, a jeżeli nawet chcieli, to byli dość mądrzy, by się do tego nie przyznać.

Skończywszy przemowę wstępną, Kryspinus wezwał na świadków Papiusza Mutilusa oraz Juniusza Othona. Obaj przemawiali uroczystym tonem, udając rozczarowanie i oburzenie słowami Aproniusza. Kryspinus skłonił ich do przejaskrawienia sprawy, toteż wychwalali Tyberiusza pod niebiosa za to, jak wspaniale zarządza cesarstwem, sławili jego szczodroblivość dla senatu, któremu pozwalał nadal pełnić dawną rolę. Czyż sama *lex maiestatis* nie dowodzi, że Tyberiusz ufa senatowi, skoro to właśnie senat rozstrzyga w procesach mających decydujące znaczenie dla przyszłości Rzymu?

Kiedy przyszła moja kolej na zadawanie pytań znamienitym świadkom, ograniczyłem się do zaledwie kilku.

- Czy naprawdę zamierzaliście zawiązać spisek dla obalenia imperatora?
- Ależ skąd.
- Czy zauważyliście, by Aproniusz podjął jakieś przemyślane kroki w celu obalenia cesarza, czy też poprzestał na samych słowach?
- Jak na razie poprzestał na słowach, ale wydawało się, że gotów jest podjąć działania, jeśli znajdzie popleczników.

W czasie zeznań senatorów spostrzegłem, że tłum stojący za drzwiami napięrał mocniej, gdy to ja zadawałem pytania. Wyczułem ich rozczarowanie, że bardziej się nie postarałem, by wykazać, że Mutilus i Otho są kłamcami.

Cierpliwości, pomyślałem. Wszystko idzie zgodnie z planem.

36

Kiedy przyszła pora na świadectwo Aproniusza, oskarżony wstał z miejsca i zbliżył się do podium z miną ponurą i zdecydowaną. Presja, pod jaką toczyły się procesy o zdradę, popychała niekiedy senatorów do samobójstwa. Inni płaszczyli się przed radą, mamrocząc służalcze przeprosiny, łzawe i pełne dramatyzmu. Aproniusz jednak stał wyprostowany. Uniósł prawą rękę, by wypowiedzieć słowa przysięgi.

Katon zaprzysiągł go, a Aproniusz przyrzekł „na imię Tyberiusza”, że będzie mówił prawdę. Jeśli zeznałby fałszywie, ogłosił, niech będzie przeklęty i niech jego ciało, duszę, życie, dzieci i potomków spotka „zagłada i całkowite unicestwienie”.

Aproniusz stał przed podium. Kryspinus zaczął przemierzać długimi krokami przestrzeń dzielącą oskarżonego od senatorów, zasypując go pytaniami.

- Czyś powiedział Papiuszowi Mutilusowi, że cesarz Tyberiusz nie jest wart swego tytułu?

– Tak, mówiłem coś podobnego.

– Czy krytykowałś cesarza Tyberiusza, syna boskiego Augusta, za to, że nie zdołał podtrzymać planów rozbudowy, przygotowanych przez Augusta?

Aproniusz nawet nie mrugnął.

– Zasadniczo tak.

– Czy potwierdzasz dziś te oskarżenia? – spytał Kryspinus tonem pełnym niedowierzania. Sądził niewątpliwie, że mój klient zaprzeczy swoim wcześniejszym słowom. Osiągnęliśmy choć tyle, że nasza strategia go zaskoczyła.

– Potwierdzam, że powiedziałem to w obecności Papiusza Mutilusa – powiedział spokojnie Aproniusz. – Dziś przyznaję, że moje słowa były pochopne i nierozsądne. Cesarz Tyberiusz jest sprawiedliwym i czcigodnym władcą, który chętnie przyjmuje szczerą krytykę swojej polityki.

Słyszając to, Kryspinus ruszył w kierunku świadków, z nachmurzoną, gniewną miną.

– Czyż nie twierdziłś, że porzucił cesarstwo? Czy nie mówiłś, że ten człowiek cierpi na paranoję, że ma urojenia?

Owszem, Aproniusz powiedział to i jeszcze więcej. Przygotowując się do dzisiejszego procesu, w jednej sprawie pozostał niewzruszony – będzie mówił prawdę, nie bacząc na konsekwencje. Łatwiej jednak byłoby ją wyznawać, gdyby sali nie wypełniali krytycznie nastawieni senatorowie, przeszywający człowieka takim wzrokiem, jakby chcieli mu zajrzeć w głąb duszy. Pewnie zastanawiali się, jak ktoś tak zrównoważony mógł okazać się na tyle lekkomyślny, by wypowiadać się w ten sposób o imperatorze.

Aproniusz z trudem przełknął ślinę.

– Senatorowie czekają – zadrwił Kryspinus. – Zdaje się, że twoja legendarna pamięć zawiodła. Czy nazwałś boskiego Tyberiusza paranoikiem, człowiekiem, który ma urojenia, czy też nie?

– Nazwałem.

I tak to szło przez dłuższy czas. Wydobywano na jaw kolejne stwierdzenia mego klienta, a ja nie miałem prawa przerywać. Czasami Aproniusz zaczynał odpowiadać, a Kryspinus wchodził mu w słowo z kolejnym pytaniem. Tymczasem Makron lustrował senatorów, od czasu do czasu zerkając w moim kierunku. Wiedziałem, że wybiera sobie kolejne ofiary.

Tak jak się spodziewaliśmy z Aproniuszem, Kryspinus zakończył przesłuchanie sprawą gąbek z toalety.

– Senatorze Aproniuszu, powiedz zebrany tu mężom, czy powiedziałeś, żeś kazał ozdobić gąbki w ubikacji wizerunkiem cesarza Tyberiusza?

Aproniusz po raz pierwszy spuścił wzrok, głos mu nieco zachrypiał.

– Nie powinienem był tego mówić. Lecz tak, powiedziałem.

– Przepraszam – odezwał się głośno Kryspinus – ale nie jestem pewien, czy

wszyscy senatorowie słyszeli. Czy rzeczywiście powiedziałeś coś takiego?

– Powiedziałem, że żałuję tych słów, ale przyznaję, że są moje.

Kryspinus potrząsnął głową z wyniosłą odrazą. Ze swojego powrotu na miejsce uczynił małe przedstawienie. Przez salę przetoczył się cichy pomruk nieszczerzego niedowierzania. Wszyscy senatorowie wiedzieli, że Aproniusz poczynił wspomniane tu uwagi. Dlaczego więc prowadzili te śmieszne gierki i udawali absolutnie zaskoczonych?

Katon kręcił się na swoim krześle, daremnie próbując ułożyć w nim wygodnie swoje wielkie cielsko, po czym wezwał mnie.

– Jakies pytania do oskarżonego?

Owszem, miałem pytania, ale nagle zacząłem mieć wątpliwości co do pierwszych kilku, jakie zaplanowałem. Przygotowując się do procesu, wyjaśniałem Aproniuszowi filozofię Cycerona: wykorzystaj humor, by zmniejszyć ich czujność, logikę, by zaangażować ich umysły, i emocje, by zdobyć ich serca. Dlatego też pierwsze pytania miały wzbudzić śmiech i zarazem pokazać, jak absurdalne i śmieszne były poczynione oskarżenia.

Wyszedłem na środek sali, przed Aproniusza, z małym pudełkiem w ręku. Spoczywały w nim gąbki łazienkowe. Według planu miałem je pokazać Aproniuszowi, spytać, czy mają na sobie jakieś wizerunki cesarza, i uznać je za dowód rzeczowy. W ten sposób chciałem zademonstrować to, co wiedzieli wszyscy – że słowa Aproniusza były tylko żartem. Miałem też nadzieję, że tym popisem zadziorności dodam senatorom odwagi.

Źle jednak oceniłem nastroje w senacie. W powietrzu nie dało się wyczuć ani krzyzny humoru. Lęk, owszem. Odrazę pewnie też. Oraz sporą dawkę zaskoczenia, że Aproniusz nawet nie próbował zaprzeczyć oskarżeniom. Obawiałem się, że gdybym teraz pokazał moje dowody, uznano by to za zwykłą kpinę.

Aproniusz, trzeba to przyznać, czuł podobnie. Rzucił okiem na pudełko i szybko pokręcił głową.

– Mam tylko kilka pytań do senatora Aproniusza – zacząłem. – Pierwsze z nich brzmi: Czy uczyniłeś cokolwiek, co przyniosłoby szkodę państwu lub cesarzowi? Przykładowo, czy podjąłeś jakiegokolwiek działania spiskowe przeciw władzy cesarza Tyberiusza?

– Nie, żadnych.

– Powiedziałeś, że rzymski senat powinien coś zrobić, by poprawić stan rzeczy w Rzymie. Czy chodziło ci o wsparcie jakichś nielegalnych działań?

– Nie, miałem na myśli tylko to, że jako senatorowie powinniśmy podejmować decyzje w sprawach, które podlegają naszej jurysdykcji; w sprawach, które podlegają nam mocą prawa rzymskiego, potwierdzoną przez cesarza.

– Czy żałujesz, że krytykowałeś Tyberiusza?

Zaplanowaliśmy to pytanie i powtarzaliśmy je dziesiątki razy. Dlatego zdzi-

wiłem się, że Aproniusz długo zwlekał z odpowiedzią. Miał teraz wygłosić obszerny i gorące przeprosiny. W tej jednak chwili nie miałem pewności, czy się na nie zdobędzie.

– Żałuję przesady i sarkazmu, z jakimi wyrażałem swoje uczucia. Uważam jednak, że moim obowiązkiem wobec Rzymu i wobec samego imperatora jest wyrażać troskę o pomyślność naszego cesarstwa.

Ta odpowiedź, choć niezgodna ze scenariuszem, została wypowiedziana z takim przekonaniem i pewnością, iż poczułem się dumny, mając Aproniusza za swego klienta. Za mną, na galerii zewnętrznej, rozległy się radosne okrzyki. Katon zmarszczył brwi i zwrócił się do strażników:

– Uspokójcie ich albo każę zamknąć drzwi.

Aproniusz stał nieruchomo z zaciśniętymi zębami i patrzył wprost przed siebie.

Widziałem już ten rodzaj odwagi na twarzy Nazarejczyka. Widziałem ją u najlepszych gladiatorów. Czytałem o niej w annałach rzymskiej historii. Dziś jednak byłem świadkiem wydarzenia o prawdziwie historycznym znaczeniu – rzymski polityk nie bał się śmierci.

– Nie mam już więcej pytań do pozwanego – zwróciłem się do Katona.

Gdy nadeszła pora na nasze końcowe oracje, Kryspinus dumnie podszedł do mojego miejsca. Nie powstrzymał się przed niczym. Wyśmiewając Aproniusza jako zdrajcę, dźgnął go palcem, a w kącikach ust wystąpiła mu piana, przez co przypominał wściekłego psa. Odwracał się, przechadzał, gestykulował, jego toga powiewała na wszystkie strony. Był to klasyczny przykład azjatyckiej szkoły retoryki, której mówców obraźliwie nazywaliśmy w szkole Molona „tańczącymi mistrzami”. Niestety, to wystąpienie zdawało się osiągać zamierzony skutek.

Wielu senatorów, pomnych na świdrujące oczy Makrona, ostentacyjnie okazywało swoją aprobatę dla słów Kryspinusa. Pomrukiwali potakująco, kiwali głowami i od czasu do czasu przerywali mówiącemu oklaskami. Ten zaś rozkwitał, pewien udzielanego mu wsparcia; przybierał pompatyczny ton, przesadzał z teatralnymi gestami. Słyszałem, że tłum przed drzwiami senatu zaczyna się niepokoić, rozległo się parę pełnych odrazy okrzyków. Instynkt nie zawiódł Seneki. Prości obywatele Rzymu mieli już dość procesów o zdradę, zwłaszcza jeśli wytaczano je komuś tak szanowanemu jak Aproniusz.

Kryspinus zakończył mocnym akcentem, twierdząc, że honor cesarza został narażony na szwank. Głosowanie w tej sprawie będzie zarazem odpowiedzią na inne pytanie: czy możemy pozwalać na wypowiedanie wszelkiego rodzaju plugastw i skandalicznych słów przeciw Tyberiuszowi.

– Czyż nie jesteśmy winni cesarzowi większego szacunku? Czy możemy pozwolić, by ludzie potajemnie rzucali pod jego adresem plugawe oskarżenia? To imperator, który walczył w Armenii i odbił Partom rzymskie sztandary. To władca, który z początku nie chciał przyjąć tytułów imperatora i Augusta, człowiek tak skromny, że odmówił noszenia *corona civica* i wieńca laurowego[09]. To człowiek, który nappełnił rzymski skarbiec tak obficie, jak nikt przed nim w czcigodnej historii naszego państwa, człowiek, który dba, by prowincjami zarządzano dobrze i sprawiedliwie. Czy mamy pozwolić zdrajcom, którzy czają się dookoła, by kalali jego imię? Powinniśmy ochotnie ukarać jednego z nas, który wdał się w tak zdraдлиwe poczynania. Ze względu na Rzym, ze względu na cesarza, ze względu na tę instytucję.

Oklaski, jak zauważyłem, nie rozległy się od razu. Prawdę mówiąc, wydawało się, że wielki Kryspinus trochę sknocił końcówkę mowy. Próbował porwać senatorów, skłonić ich do powstania, lecz nie odniosło to pożądanego skutku. Gdy zakończył orację, Mutilus wstał i zaczął klaskać; szybko zawtórował mu Otho. Potem dołączyło paru innych senatorów, następnie jeszcze kilku, aż w końcu w całym senacie rozległa się owacja na stojąco. Wiedziałem, że senator, który nie wstałby z miejsca, ściągnąłby na siebie gniew Makrona.

Pozwoliłem, by oklaski wybrzmiały i by senatorowie z powrotem usiedli. Następnie wstałem i spojrzałem ku drzwiom wejściowym, gdzie stał Seneka.

Jesteś gotów, zachęcił mnie bezgłośnie.

Poczułem dziwny spokój, stając tak przed konsulami. Nie do wiary, ale moją uwagę przykuł gołąb, który przeleciał nad nami i przysiadł na krokwi. Wydawało się, że w tym momencie cała przyroda interesowała się tym, co mam do powiedzenia.

Katon skinął ku mnie głową i zacząłem mówić – powoli, z wahaniem, jakbym starał się przyzwyczać do tych wszystkich senatorskich spojrzeń.

– Skąd możemy być pewni, co powiedziałby sam Tyberiusz, gdyby zasiadał na waszym miejscu? – spytałem. – To bardzo trudne, odczytać myśli cesarza. Ten organ powinien opierać się na własnych przekonaniach, a nie na tym, czego, jak podejrzewacie, mógłby chcieć od was cesarz.

Z wyrazu twarzy senatorów odgadłem, że nie dali się przekonać. Mając do czynienia z kimś tak wybuchowym jak Tyberiusz, lepiej nawet przesadzić z ochroną jego reputacji.

– Jeśli jednak upieracie się, by głosować tak, jak waszym zdaniem oczekuje Tyberiusz, to chyba powinniście uniewinnić mojego klienta.

Na te słowa paru senatorów zarechotało. Jeden czy dwóch uśmiechnęło się drwiąco, słysząc tak szaleńczą konstatację. Wskazałem na jednego z nich.

– Wątpisz w to? – spytałem. Nie dałem mu jednak szansy na odpowiedź. – W tej sprawie jest jedna rzecz, co do której wszyscy świadkowie są zgodni. Mój klient nigdy nie podjął żadnych działań przeciw cesarzowi, wypowiadał tylko lekceważące uwagi. Pozostaje więc pytanie: Czy to wystarczy? Czy na tym polega *lex maiestatis*? Pozwala skazywać za same tylko słowa?

Pozwoliłem, by ta myśl przez chwilę wybrzmiała na sali. Zżerały mnie nerwy i trudno mi było powstrzymać się od ciągłego mówienia, od zapełniania ciszy. Przeważało jednak wyszkolenie retoryczne. Senatorowie już mnie nie onieśmielali. Patrzyłem teraz na nich jak na kolegów ze szkoły Molona.

– Czyżbyście tak szybko zapomnieli o sprawie Gajusza Lutoriusza Priskusa?

Wiedziałem, że o tym człowieku nie zapomniał nikt. Był to popularny poeta i satyryk, który napisał prześmiewczy poemat o synu Tyberiusza, Druzusie, tuż przed jego śmiercią. Priskus odczytał swój poemat kilku prominentnym kobietom na hucznej uczcie. Senat oskarżył go o zdradę i skazał, opierając się na sprzecznych zeznaniach. Jeden z senatorów, Marek Lepidus, uparcie dowodził, że to zbyt surowa kara. Mimo to senat nakazał, by poetę niezwłocznie stracono.

Kiedy usłyszał o tym Tyberiusz, ubolewał, że senatorowie tak pochopnie ukarali Priskusa, Lepidusa natomiast pochwalił. Wydał też edykt – i od tej pory senat, wydawszy wyrok śmierci, musiał z egzekucją czekać dziewięć dni.

– Ty, Marku Lepidusie – zacząłem, wskazując na senatora – żarliwie broni-

łeś Priskusa. Zaś uwagi senatora Aproniusza wydają się całkiem niewinne w porównaniu z satyrą owego poety. – Lepidus wpatrywał się we mnie beznamiętnie, nie dając nic po sobie poznać. – Wtedy miałeś odwagę, by wystąpić przeciwko całemu senatowi. Kiedy zaś Tyberiusz usłyszał o tym, pochwalił cię. Czy pamiętasz, co powiedział?

Lepidus nieznacznie skinął głową, a ja mówiłem dalej, wiedząc, że już go zdobyłem.

– Skarżył się, że senat zbyt pochopnie skazał Priskusa za zwykłe słowa i że tylko ty jeden okazałeś chwalebłą powściągliwość.

Odwróciłem się od Lepidusa i podniosłem głos, by wszyscy senatorowie dobrze mnie słyszeli.

– Zwykłe słowa – powtórzyłem. – Tak właśnie Tyberiusz nazwał tę jadovitą satyrę. Zwykłe słowa. Czy sądzicie, że Tyberiusz jest tak słaby, by godność jego urzędu i szlachetność osoby nie mogły znieść ataku w postaci zwykłych słów? Czyżby jego dokonania były tak mizerne, a polityka tak chybiona, że nie wytrzymują szczypty krytyki? Czyżby cesarz potrzebował was, byście nadzorowali każde wypowiedziane słowo, bo bez tego jego reputacja ległaby w gruzach?

Zauważyłem, że w sali zapanowała cisza. Może brak odwagi senatorów obróci się na naszą korzyść. Próbowałem ich bardziej przycisnąć.

– Prawo do przeprowadzania procesów o zdradę senat zawdzięcza samemu cesarzowi. Niemniej owo prawo ma pewne bardzo istotne ograniczenia. Podstawą oskarżenia nie mogą być zwykłe słowa. Kto temu zaprzecza, ten twierdzi, że wielki Tyberiusz mógłby odnieść szkodę tylko dlatego, że ktoś coś powiedział; że jego urząd i cześć są tak kruche, iż jedna niefortunna drwina z ust senatora mogłaby zachwiać władzą imperatora. Uznając Aproniusza winnym, pokażecie, że uważacie Tyberiusza za słabego władcę. Natomiast ogłaszając jego niewinność, dowiedziecie, że zwykłe słowa, nieszkodliwe obłoczki powietrza z ludzkich ust, nie potrafią zniszczyć niewzruszonego domu cesarza. Zwykłe słowa – powtórzyłem. – Czyż żaden z was nigdy nie wypowiedział żadnej krytycznej uwagi pod adresem imperatora?

Pozwoliłem, by to pytanie zawisło w powietrzu, i śmiało wróciłem na swoje miejsce. Nikt nie zaklaskał. Co gorsza, ścigały mnie potępiające spojrzenia. Być może właśnie utrudniłem senatorom – dotąd łatwą – decyzję.

Za to wyzwoleńcy stojący na zewnątrz nagrodzili mnie wiwatami.

[09] *Corona civica* – wieniec z liści dębowych, jedno z najwyższych odznaczeń starożytnego Rzymu, przyznawane temu, kto ocalił życie innemu Rzymianinowi. Wieniec laurowy był natomiast symbolem zwycięstwa, stąd jego łacińska nazwa: *corona triumphalis*.

Senat nie potrzebował dużo czasu, by zniweczyć moje nadzieje. W trakcie godzinnej debaty jedynie Marek Lepidus opowiedział się za uniewinnieniem Aproniusza. Kiedy usiadł, senatorowie jeden po drugim wstawali z miejsc, by podważać jego argumenty. Każdy chciał wydać się lepszy od poprzedniego, okazać większe oburzenie. Duch we mnie podupadł, gdy słuchałem tych ludzi, którzy mieli przecież przewodzić Rzymowi. Aproniusz przyjmował to stoicko, poddawszy się losowi. Trzymał głowę wysoko i obracał się na krześle, beznamiętnie patrząc na kolejnych przemawiających senatorów.

Debatę zakończył Katon, wzywając wszystkich do głosowania. Senatorowie uznający winę oskarżonego mieli przejść do prawego końca wielkiej sali, zaś ci, którzy uznali go za niewinnego, do lewego. Wszyscy powstali i ruszyli na prawo. Jedynie Lepidus i Aproniusz ruszyli w drugą stronę i stanęli pośród pustych siedzisk.

– Niech wystąpi oskarżony – polecił Katon.

Aproniusz wyszedł na przód i patrzył wprost na Katona, z uniesioną wysoko głową. Stałem obok niego.

– Cały senat, wysłuchawszy oskarżeń przeciwko tobie, uznaje cię za winnego zdrady i skazuje cię na śmierć przez uduszenie, co nastąpi za dziewięć dni. Cały twój majątek i tytuły zostaną rozdzielone po równo między tych, którzy wnieśli oskarżenia i przeprowadzili rozprawę.

Przed salą rozległy się okrzyki protestu. Strażnicy szybko ruszyli ku oskarżonemu. Nałożyli mu kajdany na kostki i przeguby i odprowadzili do drzwi. Aproniusz przystanął na chwilę i wbił wzrok w dawnych przyjaciół, Papiusza Mutilusa i Juniusza Othona. To spojrzenie mroziło krew w żyłach. Obiecywał im wzrokiem, że bestia, którą uwolnili, pewnego dnia wróci i pożre także ich samych. Strażnik szarpnął za łańcuch i pociągnął Aproniusza za sobą. Pozostali strażnicy otoczyli oskarżonego, by przeprowadzić go przez tłum i Forum. Ostatnie dziewięć dni życia Aproniusz miał spędzić w Tullianum.

Zanim wyszedł, odwrócił się i spojrzał na mnie.

Jeśli dobrze odczytałem ruch jego warg, powiedział: „Dziękuję”. Za chwilę już go nie było.

Ta scena przypomniała mi dzień, w którym Nazarejczyka odprowadzono z Litostrotos. Czulem teraz takie samo przygnębienie, jakie wówczas musiało stać się udziałem wyznawców tego rabiego – niewinny człowiek został skazany z przyczyn politycznych. Poczucie winy znów dźgnęło załataną już tkaninę mego ducha. W Jerozolimie okazałem się tchórzem. Dziś zbierałem to, co zasiałem, należną tchórzowi odpłatę.

Tych paru senatorów, o których sądziliśmy z Aproniuszem, że będą głosować za uniewinnieniem, mocno pobladło na twarzy. Pewnie zastanawiali się, kto będzie następny. Tym razem nikt nie przystawał, by porozmawiać ze znajomymi.

Przyglądałem się tej melancholijnej scenie, kręcąc głową. Czymże stał się Rzym? W całej sali uśmiechał się tylko jeden senator, nikczemny Cepion Kryspinus. Zapewne w myślach przeliczał już pieniądze.

Tego wieczoru spożywaliśmy z Markiem wieczerzę w moim mieszkaniu. Byłem niemal niepokieszony. Przez całe życie marzyłem o takiej chwili, gdy będę musiał wykrzesać z siebie całą umiejętność przekonywania i bronić słusznej sprawy. Stałem w sali senatu i dobrze się spisałem. Wyrazy uznania ze strony przyjaciół i sprzymierzeńców Aproniusza dowodziły jasno, że zdobyłem ich uznanie. To jednak było bez znaczenia.

Za dziewięć dni ten dobry człowiek poniesie śmierć. Senat zamienił majestat rzymskiego prawa w pośmiewisko, bagno małostkowych zawiści i oportunistów.

Trzeba przyznać Markowi, że był dobrym słuchaczem. Przy pierwszym pucharze wina robił, co mógł, by mnie pocieszyć. Przy drugim i trzecim pucharze rozwiązał mi się język i zniknęły zahamowania. Byłem wściekły, pomstowałem na tchórzów z senatu i na chciwość ludzi takich jak Kryspinus.

Marek zaproponował przechadzkę. Popęliłem ten błąd, że wziąłem ze sobą bukłak wina.

Na zewnątrz było ciemno i zanosilo się na śnieg. Szliśmy przed siebie wąskimi uliczkami Rzymu. Od czasu do czasu zatrzymywali nas ludzie, którzy mnie rozpoznali, i wyrażali swoje ubolewanie z powodu dzisiejszych wydarzeń. Dwa razy dostrześliśmy pretorianów patrolujących ulice. By zejść im z oczu, przechodziliśmy na drugą stronę ulicy.

Gdy dotarliśmy na Forum, była już prawie północ, a wino niemal się skończyło. Większość szanowanych rzymskich obywateli nie spacerowała o tej porze po centrum miasta, pomiędzy świątyniami, budynkami skarbcza i senatu. Na ulice wyległy za to nocne marki. Prostytutki, żebracy, oszuści i pijacy.

Pijacy tacy jak ja, pomyślałem, choć wino już dawno zaćmiło mi umysł.

Tylko częściowo do mnie docierało, że potykam się o bruk, który mam pod stopami, i że z trudem coś bełkoczę. Marek kilkakrotnie próbował mi odebrać bukłak, ale go nie puszczałem. Od czasu do czasu chwycił mnie za ramię, żebym się nie poślizgnął. Gdy mijaliśmy budynek senatu, wzburzenie we mnie narosło i dopiełem ostatnie łyki wina z bukłaka. Musiałem podnieść głos, bo Marek wciąż starał się mnie uciszyć.

– Tłusty, tłusty Katon – wychrypiałem, powoli i z wysiłkiem wypowiadając słowa. – Tchórzliwy, tchórzliwy Katon.

Gdy Marek odciągał mnie w inną stronę, wpadł mi do głowy nowy pomysł. Niezdarnie wdrapałem się po schodach na rostrę. Stałem tak na mównicy, przypatrując się niewyraźnym postaciom nocnych bywalców Rzymu, snującym się w mroku. Podniosłem głos, by mogli mnie usłyszeć.

– Rzymianie, obywatele, posłuchajcie mnie! – zawołałem.

Marek przewrócił oczami.

– Nie zwracajcie na niego uwagi! – powiedział głośno.

– Jeśli tak, to tylko na własne ryzyko – wypaliłem. Mimo woli postąpiłem krok w bok. – Zło, które czynią ludzie, żyje dłużej niż oni sami – wrzasnąłem. – A senat dziś... – zamaszystym, szerokim gestem wskazałem mniej więcej w kierunku budynku senatu – dokonał zła na skalę epicką.

Podobało mi się brzmienie tych słów. Na skalę epicką. Znakomite. Byłem naprawdę dobry.

Marek chwycił mnie za ramię i ciągnął w bok, lecz ja się zaparłem.

– Dzisiejszy dzień to dzień wielkich zdrajców, ludzi, którzy zawstydzają Brutusa, ludzi, którzy teraz będą sobie rościć prawo do majątku... – Imię na chwilę umknęło mi z pamięci. Spojrzałem na Marka. – Jakże on ma na imię?

Marek tylko pokręcił głową.

– Aproniusza! – zawołałem. Pamięć nagle mi wróciła. – Aproniusz to najlepszy z senatorów, ale teraz czeka go śmierć.

Ludzie zgromadzili się u podnóża rostry. Wydawało się, że falują w nocnym powietrzu. Widziałem, że żołnierze słuchają każdego mego słowa. Świetnie! Teraz już przyciągnąłem uwagę wszystkich i mogłem dokończyć mowę obrończą. Mogłem wygłosić to, co chciałem wcześniej powiedzieć w senacie.

– A co do Tyberiusza, pozwólcie, że zdradzę wam tajemnicę – rzekłem, ścisząc głos dla lepszego efektu. Może jednak mógłbym być jednym z tych azjatyckich oratorów. – Nie naśmiewajcie się z cesarza – ostrzegłem szorstkim, ściszonego tonem. Pokręciłem głową, pogroziłem palcem, paru ludzi się zaśmiało. – Chcecie wiedzieć dlaczego?

– Tak, powiedz nam! – zakrzyknął ktoś.

Uniosłem prawą rękę, przyjmując pozę retora.

– Owszem, powiem wam – wybełkotałem.

– Zamknij się – mruknął Marek pod nosem. – Po prostu się zamknij.

Nie miałem jednak takiego zamiaru. Ponościło mnie. Wino rozwiązało mi język, pozwalało powiedzieć wszystko, co dusiłem w sobie przez cały dzień.

– Ponieważ cesarz jest...

Dostrzegłem z boku jakiś szybki ruch i poczułem ból przeszywający mi szczękę, zarazem ostry i odległy, a potem świat pociemniał. Nie miałem czasu, by protestować, by zapytać Marka, dlaczego mnie bije, skoro uważa się za mojego przyjaciela.

Zresztą już o to nie dbałem, aż do następnego dnia.

Nazajutrz po procesie obudziłem się z piekielnym bólem głowy i z obolałą szczęką. W ustach czułem suchość, a mój żołądek zbuntował się na dobre. Czułem się tak, jakbym głowę miał opuchniętą i napiętą; głośne dźwięki odbierałem jak uderzenie młotem w czaszkę.

Pozbierałem się na tyle, by złożyć ofiary w świątyniach, z nadzieją, że Tyberiusz zainterweniuje i oszczędzi Aproniusza.

Tymczasem Seneka dowiedział się o mojej pijackiej mowie i wezwał mnie do siebie. Może i byliśmy teraz przyjaciółmi, lecz on wciąż pozostawał nauczycielem, a ja wciąż byłem jego krnąbrnym uczniem. Gotował się ze złości i prawił mi kazanie dłuższe niż kiedykolwiek. Powiedział, że nie tego mnie uczył.

– Chcesz stracić życie? Bo jeśli tak, to jesteś na najlepszej drodze.

Dobry adwokat wie, kiedy należy się bronić, a kiedy trzeba po prostu się unizić i błagać o wybaczenie. Gdy już z dziesięć razy powtórzyłem swoje przeprosiny, gniew Seneki w końcu zelżał. Nauczyciel zniżył głos, a łupanie w mojej głowie nieco osłabło.

Jednak Seneka to najmniejszy problem. Kto jeszcze oprócz niego dowiedział się o moich pijackich wybrykach? Martwiłem się, że wieść o tym mogła dotrzeć do Makrona lub Katona.

Informatorzy Seneki na Capri chyba stracili już przychylność imperatora; mój nauczyciel nie wiedział, czy Tyberiusz zładodzi wyrok Aproniusza, czy nie.

– Z pewnych względów byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobił – przyznał. – Widziałeś, jak ludzie kochają Aproniusza. Jego egzekucja tylko doleje oliwy do ognia i wzmocni ich niechęć do imperatora.

Ta uwaga wydała mi się bezduszna. Aproniusz był przyzwoitym człowiekiem, uczciwym i odważnym. W jaki sposób jego egzekucja miałaby być dobra dla Rzymu? Nie mogłem jednak sprzeciwić się Senece. Prawdę mówiąc, w głowie miałem taki mętlik, że nie byłem zdolny sprzeciwić się komukolwiek.

Seneka, nim mnie odprawił, powiedział, że obmyśla pewien nowy plan, by ocalić Aproniusza. Na koniec, karząc mnie w ten sposób za moje wczorajsze wyskoki, oznajmił, że nie może zdradzić mi szczegółów.

– Chłapanie jęzorem ściągnęłoby zgubę na nas wszystkich – stwierdził.

Z wszystkiego, co dziś powiedział, ta ostatnia uwaga zraniła mnie najbardziej. Nie ufał mi już na tyle, by powierzyć mi taką informację. Miałem za swoje. Zraziłem do siebie większość senatu, a mój klient miał umrzeć za osiem dni. Teraz na dodatek musiałem odzyskać zaufanie jedyne go człowieka, który wierzył we mnie wtedy, kiedy nie wierzył we mnie nikt inny.

Tego wieczoru spotkałem się z Poncjuszem Piłatem w jego posiadłości i na jego prośbę zgodziłem się reprezentować go w zbliżającym się procesie o wykroczenia urzędowe, jakich się dopuścił. Rozmawialiśmy o wysuniętych przeciw niemu oskarżeniach – że wykorzystał świętą dziesięcinę z żydowskiej świątyni do wybudowania akweduktu, że jego żołnierze z pałkami ukrytymi w szatach dokonali rzezi na Żydach, że bezczelnie kazał wywiesić tarcze w pretorium oraz że zabił Samarytan, kiedy chcieli oddawać cześć Bogu. Zarzucono mu też, że uwolnił osławionego Barabasa i nie zameldował o tym cesarzowi. Czułem się osobiście odpowiedzialny za ten ostatni postępek, choć Piłat okazał się na tyle uprzejmy, że nie wspomniał, czyj to był pomysł.

Jak na ironię, wśród oskarżeń przeciw Piłatowi zabrakło sprawy, która budziła mój największy żal, czyli procesu, w którym skazaliśmy na śmierć Jezusa z Nazaretu. Podobnie jak Prokula, nie mogłem opędzić się od myśli, że wszystkie nieszczęścia, jakie na nas spadły, mają związek z tym wydarzeniem.

– Jesteśmy bez szans, prawda? – spytał Piłat. Ciężyła nam sprawa Aproniusza. Skoro senatorowie tak szybko skazali jednego ze swoich, to jak postąpią z człowiekiem spoza swego grona, takim jak Piłat?

Dane, jakie zebrałem do sprawy, bynajmniej nie dodawały otuchy. Pewien człowiek imieniem Gajusz Juniusz Syłan, prefekt w Azji, został osądzony na podstawie bardzo podobnych zarzutów. Zdzierstwo. Brutalność. Obraza boskiego majestatu cesarza.

Opisałem Piłatowi proces Syłana. Jego prawnik zaprezentował zwoje świadczące o dochodach oraz księgi rachunkowe, by bronić go przed oskarżeniami o wyzysk. Pozostałe zarzuty były jednak mętne i dopuszczały rozmaite interpretacje. Ludzie, którzy dawniej pracowali dla Syłana, w procesie świadczyli przeciwko niemu. Jego niewolników poddano torturom, póki nie potwierdzili zarzutów. Ten proces przeprowadzono, zanim Tyberiusz wycofał się na Capri, toteż on sam przewodniczył rozprawie. Syłana uznano za winnego.

Piłat wysłuchał mnie uważnie i pociągnął kolejny łyk z kielicha, którego nie wypuszczał z dłoni.

– Co się stanie, jeśli przegram? – zapytał.

Wyjaśniłem mu, jakie będą konsekwencje, w ów szczerzy i bezpośredni sposób, który Piłat zawsze doceniał. Zapewne zostanie skazany na wygnanie. Jego testament zostanie uchylony. Wszystkie dobra i cały majątek będą skonfiskowane i rozdzielone pomiędzy tych, którzy go oskarżyli.

– Przez całe życie starałem się ugłaskiwać cesarza – mruknął Piłat. – I spójrz, do czego mnie to doprowadziło.

Przez kilka godzin obmyślaliśmy obronę – jakich świadków przedstawimy, które dokonania Piłata mogłyby zrównoważyć część oskarżeń, na których senato-

rów możemy liczyć. Widziałem jednak, że Piłat nie ma do tego serca.

Tego wieczoru ujrzałem, jak diametralnie odwróciły się losy. Teraz to prefekt był podsądnym i musiał stawić czoła niesprawiedliwemu trybunałowi. Zarzuty przeciw niemu były równie niejednoznaczne i miały równie polityczne podłoże jak te, które sam niegdyś wysuwał przeciw kilku oskarżonym Żydom; skazał ich wówczas na śmierć. Miałem nadzieję, że mój przyjaciel będzie umiał wykrzesać z siebie choć połowę tej odwagi, jaką okazał Jezus z Nazaretu.

Piłat wkrótce będzie sądzony przez sześciuset senatorów, z których większość nie zechce nadstawić karku za jakiegoś niewinnego człowieka. Pamięć mimowolnie wywołała wspomnienie chwili, w której to Piłat umył ręce podczas procesu Jezusa. Dokładnie to samo, choć symbolicznie, uczynili senatorowie podczas procesu Aproniusza – z jednym wyjątkiem, którym był Marek Lepidus. Za kilka tygodni zapewne sytuacja się powtórzy, obaj o tym wiedzieliśmy. Jedyne, czego zabraknie na procesie Poncjusza Piłata, to misa z wodą.

Wiadomość, która dotarła do mnie nazajutrz, przyjąłem z bólem. Próbowałem sobie przypomnieć wieczorną rozmowę z Piłatem, odtworzyć wszystko, co mu powiedziałem; byłem zły na siebie, że nie wlałem mu w serce więcej nadziei. Przygnębienie po przegranej procesie Aproniusza wpłynęło na to, jak postrzegałem szanse Piłata. Rozpaczliwie pragnąłem porozmawiać z nim jeszcze raz i przedstawić mu sprawę w lepszym świetle. Obiecałbym mu zwycięstwo. Powiedziałbym mu, że nie wolno nam rezygnować z walki. Przypomniałbym, że prawdziwi Rzymianie stawiają czoła swym oskarżycielom z odwagą Aproniusza. Rzymianie nie boją się umierać za prawdę.

Nigdy już nie będę miał szansy mu tego powiedzieć. Po naszym spotkaniu Piłat przywdział zbroję z czasów, gdy był pretorianinem. Wypolerował napierśnik i miecz. Nałożył hełm, sandały i pas.

Spisał na nowo swą ostatnią wolę, ofiarowując Tyberiuszowi na tyle dużo, by testamentu nie obalono. Całą resztę majątku zostawił Prokuli. Zakończył dokument oświadczeniem o swojej wiernej służbie jako prefekta Judei oraz deklaracją miłości do żony i dzieci.

Zapieczetował testament, zostawił go na stole i pomaszerował do swoich ogrodów. Tam, jak przystało na dobrego żołnierza, zdjął napierśnik i położył go na ziemi. Wyciągnął miecz, ujął go za rękojeść i przyłożył sobie poniżej żeber, by pchnięcie trafiło prosto w serce.

Dowiedziałem się wszystkiego od Prokuli, która tonęła w żalu. Znalazła leżące bez życia ciało męża, z mieczem wbitym w pierś, w kałuży krwi. Szlochała, opowiadając mi o tym, głos łamał jej się z bólu. Nijak nie potrafiłem jej pocieszyć.

Dzień, na który wyznaczono egzekucję Aproniusza, rozpoczął się ulewnym deszczem, któremu towarzyszył zimny, przenikliwy wiatr. Gdyby było trochę zimniej, Rzym zasypałby śnieg. Nawet gdy deszcz ustał, chmury wciąż wisiały nisko, spowijając siedem wzgórz miasta. Wiedziony desperacją, poprzedniego dnia poszedłem do wróżbitki, by wyczytała przyszłość z wnętrzości kozła. Wieści nie były dobre. Ciemne chmury zawisły nad całym cesarstwem, a egzekucja Aproniusza to dopiero początek.

Rozłożyła wnętrzości na stole przed sobą, ścisnęła jelita, badała wątrobę, wodziła palcem wskazującym wzdłuż żołądka. Nachyliła się, by lepiej się przyjrzeć, wdychając wstrętny smród zwierzęcych bebechów. W końcu wyprostowała się i zmarszczyła brwi.

– Widzę w oddali szlachetnego księcia, który zapanuje nad złem cesarstwa – powiedziała.

Przypuszczałem, że mówi o Kaliguli, który teraz mieszkał w pałacu imperatora. Szeptano, że zostanie jego następcą, choć matka Kaliguli zmarła na wygnaniu. Ja raczej nie nazwałbym go „szlachetnym księciem”.

– Najpierw jednak trzeba będzie przelać mnóstwo krwi.

Wypowiedziała te słowa dramatycznym tonem, jakby było to coś nowego i niespotykanego w cesarstwie rzymskim. Pomyślałem, że nie trzeba badać wnętrzości kozła, by zgadnąć, że wstąpieniu nowego władcy na tron towarzyszyć będzie rozlew krwi.

Kobieta nie była pewna, czy poleje się też moja krew. Jak by na to nie spojrzeć, niezbyt wierzyłem jej przepowiedniom. Gdy od niej wyszedłem, nie miałem pojęcia, co mnie opętało, by pójść do wróżbitki. Uważano ją za jedną z najlepszych, a ja za tę przepowiednię zapłaciłem swój cały dzienny dochód. Dowiedziałem się zaś tylko tyle, że Aproniusz nie powinien liczyć na ułaskawienie.

Przybyłem na Forum na godzinę przed egzekucją, która miała się rozpocząć o czwartej godzinie dnia. Słońce zaczęło przeświecać przez chmury, a w jego promieniach wszystko rzucało cienie. Gwardia pretoriańska była już na miejscu, również rzymskie siły porządkowe stały się licznie. Ja sam utknąłem w środku tłumu, popychany ze wszystkich stron, gdy ludzie cisnęli się, by mieć lepszy widok.

O wyznaczonym czasie Aproniusza wyprowadzono z Tullianum i przedefilowano razem z nim przez Forum do świątyni Augusta. Tam miał być odczytany wyrok. Potem eskorta odprowadzi skazanego na Schody Gemońskie, gdzie nastąpi uduszenie. Jego ciało, zgodnie z dekretem, zostanie porzucone na miejscu śmierci, by rozprawiły się z nim ptaki i psy. Następnego dnia, a może później, zwłoki zosta-

na zaciągnięte do Tybru i wrzucone w nurt rzeki.

Kiedy wreszcie więzień ukazał się na szczycie Schodów Gemońskich, z ust ludzi wokół mnie wydobyły się stłumione okrzyki. Ostatnio widziałem Aproniusza odzianego w togę, gdy opuszczał senat, wpatrując się gniewnie w tych, którzy go skazali. Teraz, dziewięć dni później, trudno było go rozpoznać.

Jego siwe włosy były potargane, pomimo zimna Aproniusz miał na sobie tylko przepaskę na biodra. Kościste ciało starego człowieka, który pewnie nie jadł nic od dnia wyroku, wystawione było na widok publiczny. Mógłbym policzyć jego żebra, które unosiły się przy każdym oddechu, kiedy dygocząc z zimna i powłócząc nogami, schodził po schodach, prowadzony przez pretorianów. Był nieogolony, a niechlujna siwa broda dodawała mu jakieś dziesięć lat. Salę senatu opuszczał jako dumny senator, teraz zaś szedł ze spuszczonego wzrokiem.

Strażnicy utworzyli dla niego przejście i otoczyli go ciasno, gdy zdążył przez Forum w kierunku świątyni Augusta. Ten śmiertelny pochód prowadził Makron. Jego zbroja lśniła, mięśnie się prężyły, zapadnięte oczy strzelały spojrzeniami, by wykryć w tłumie ewentualnych sympatyków skazańca.

Świątynia Augusta została wzniesiona z marmuru karraryjskiego, osiem wielkich kolumn wspierało jej portyk, podobna ich liczba stała wzdłuż bocznych ścian. Na każdej bogato zdobionej kolumnie widniała wycięta w marmurze płasko-rzeźba Marsa, boga wojny, wspartego na włóczni. Na cokołach wokół świątyni pyszniły się liczne posągi, między innymi statua samego Augusta, powożącego triumfalnie rydwanem. Mimo że widziałem to miejsce z tysiąc razy, jego wspaniałość wciąż nieco mnie przytłaczała.

Katon, pełniąc swą rolę konsula, stał na szczycie schodów i czekał, aż skompromitowany senator podejdzie do niego, by mógł odczytać wyrok.

Aproniusz powoli wspinał się po schodach. Gdy dotarł na ich szczyt, odwrócił się twarzą do tłumu, kuląc się z zimna, a jego poniżenie mógł zobaczyć każdy mieszkaniec Rzymu.

Katon odczytał oficjalny wyrok: winien zdrady; i dodał, że cesarz nie uznał za stosowne, by karę złagodzić.

Wyczułem niepokój buzujący w tłumie, przypominającym kocioł, w którym zaraz zacznie wrzeć, jednak wszędzie dookoła stali żołnierze. Ludzie wokół mnie ściszonymi głosami pomstowali na senat, a kilka kobiet ocierało łzy.

Aproniusza sprowadzono ze schodów i ponownie pokierowano go przez Forum. Skazany i eskorta przechodzili przed bazyliką Emiliusza, przed kurią i bazyliką julijską, gdzie spędziłem tyle czasu, prowadząc sprawy cywilne. Stałem zupełnie z tyłu, więc teraz nie widziałem skazanego. Gdy następnym razem spocznie na nim mój wzrok, będą go prowadzić po Schodach Gemońskich na egzekucję.

Gdy skazaniec mijał świątynię Westy, na przedzie tłumu wybuchło jakieś zamieszanie. Rozległy się okrzyki, strażnicy popędzili naprzód, otoczyli Aproniusza i

naparli na tłum, zmuszając go do wycofania się. Stałem na palcach, ale nie wiedziałem, co się stało. Słyszałem dalsze sprzeczki i okrzyki, a potem wszyscy musieliśmy się cofnąć. Ludzie wokół mnie pytali jedni drugich, czy ktoś coś widział. Zaczęły krążyć różne plotki.

Nie zauważyłem obecności westalki, dopóki ktoś nie wskazał na najwyższe stopnie świątyni Westy. Dostrzegłem tylko w przelocie jej plecy, gdy wchodziła do świątyni. Kilku liktorów o obnażonych torsach stanęło w półkręgu wokół drzwi, strzegąc ich przed każdym, kto próbowałby pobiec za kapłanką.

Dopiero później dowiedziałem się, że to była Flawia.

Zamieszanie przerodziło się w chaos, gdy straż pretoriańska zaczęła wyrzucać ludzi z Forum. Za pomocą tarcz, a niekiedy i biczów pędzili ludzi w wąskie uliczki odchodzące od głównego placu stolicy. Próbowałem torować sobie drogę pod prąd potoku ludzi, ale strażnicy nie pozwolili nikomu pozostać na rynku.

– Czy to prawda? – pytali ludzie. – Czy cień westalki uwolnił Aproniusza?

– Tak powiadają.

Strażnicy trzymali języki za zębami, lecz stało się jasne, że egzekucji dziś nie będzie. Nowiny rozniosły się po ulicach Rzymu, nad tłumem przetoczyła się fala uniesienia. Rzymianie uśmiechali się, ściskali i wznosili okrzyki ulgi.

I stało się, że w przeddzień kalend marcowych[10] w dwudziestym trzecim roku panowania Tyberiusza Juliusza Cezara Augusta cień westalskiej dziewicy uwolnił skazańca. Oczywiście, prawo wymagało, by stało się to przypadkiem. Lecz któż podważyłby słowa wielkiej kapłanki Rzymu?

Tego wieczoru świętowałem, udając się do łaźni publicznej. Mówiono tam tylko o dzisiejszych wypadkach. Imię Flawii było na ustach wszystkich Rzymian. Niektórzy moi przyjaciele twierdzili, że była poruszona, gdy usłyszała o mojej porywającej mowie przed senatem. Uśmiechnąłem się na tę myśl, chociaż w to nie wierzyłem.

Ćwiczyłem ciężko, a potem przeszedłem do *calidarium*. Ogromna sala z wysokim sklepieniem, pokrytym kolorowym stiukiem i malowidłami przedstawiającymi sceny z mitów, była przesycona parą, co stwarzało nastrój jak ze snu. Pod podłogą *calidarium* mieściły się wielkie paleniska, podsycane przez setki niewolników, wytwarzające gorące powietrze i parę, które płynęły w górę specjalnymi kanalikami. Paleniska podgrzewały też wodę, wypełniającą ogromne baseny *calidarium*.

Dostarczające światła pochodnie osłonięte były szkłem w barwach czerwieni, błękitu, żółci i zieleni. W tym miejscu nie można się było nie odprężyć. Znalazłem basen z gorącą wodą, w którym nie było nikogo, oparłem się wygodnie i pozwoliłem, by moje myśli odpłynęły od wydarzeń ostatnich dziesięciu dni.

Ponieważ salę zbudowano z marmuru, głosy niosły się po niej echem i rozbrzmiewały wokół, mieszając się z nieustannym szmerem wody pluskającej w dziesiątkach fontann, zdobiących to miejsce. Odgłosy w tle, para, rozluźniająca mięśnie gorąca woda – wszystko to niemal ukołysało mnie do snu. Zamknąłem oczy i delektowałem się chwilą.

– Baw się, póki możesz – powiedział ktoś, wytrącając mnie z tej półdrzemki.

Otworzyłem oczy. Dołączyła do mnie ostatnia osoba w Rzymie, którą chciałem zobaczyć. Uderzające, jak nijako wyglądał bez togi... Miał bladą skórę, niemal zapadniętą klatkę piersiową, chude ramiona i nieco wystający brzuch. Ten człowiek z pewnością nie zarabiał na życie pracą fizyczną.

– Dziś był dobry dzień dla Rzymu – powiedziałem, przymykając znów oczy.

– Znajdą się inni oskarżeni – rzucił Kryspinus beztrąsko. – Westalki nie zdołają ocalić wszystkich. Podjęliśmy już stosowne środki ostrożności, by w przyszłości nie dochodziło do takich przypadkowych spotkań.

– Nie wątpię, że to zrobiliście.

Kryspinus usiadł koło mnie w gorącej kąpieli. Otworzyłem oczy, westchnąłem i oparłem się chęci, by się odsunąć i zachować dystans.

– Ludziom takim jak ty, bez znaczenia i bez majątku, raczej nie wytacza się procesów o zdradę stanu – stwierdził Krypinus, głosem zachrypniętym i przepętlonym groźbą. Przysunął się nieco do mojego ucha. – Lecz dla ciebie Katon uczyni wyjątek. Pamiętasz Katona? Tłustego, tłustego Katona? Ten człowiek nie lubi, gdy się z niego drwi.

Ostatkiem sił zapanowałem nad sobą, aby nie okazać żadnych emocji. Może i w *calidarium* było gorąco, ale słysząc te słowa, poczułem dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Kryspinus wiedział o mojej tyradzie na rostrze. Tego człowieka nic nie powstrzyma przed zemstą.

– Większości z nas tak naprawdę nie obchodzi twoja osoba – podjął senator, odsuwając się ode mnie. – Wiemy, że to Seneka pociąga za sznurki. Ty jesteś tylko jego marionetką. Zeznaj przeciw Senece, a dostaniesz czwartą część jego majątku.

Przez króciutką chwilę siedziałem bez ruchu, pozwalając, by dotarła do mnie cała zuchwałość tej propozycji. Potem, bez ostrzeżenia, rozpryskując wodę, odwróciłem się do niego, chwyciłem go lewą ręką za gardło i ściskając za szyję, przyparłem go do krawędzi basenu. Oczy z przerażenia niemal wyszły mu z orbit.

– Spróbuj choćby drasnąć Senekę, a osobiście cię dopadnę i dopilnuję, by to była ostatnia rzecz, jaką uczyniłeś w życiu – ostrzegłem. Trzymałem go tak przez chwilę, przygwożdżonego do krawędzi basenu, a potem rozluźniłem uścisk.

Odetchnął, pomacał sobie gardło, rozmasował je, jakby sprawdzał, czy nie doznało szkody.

– Miałeś swoją szansę – powiedział uprzejmym tonem. Wstał, jego postać górowała teraz nade mną. – Pamiętaj jedno: nigdy nie zobaczysz noża, którego

ostrze utkwi między twymi łopatkami.

Odszedł, a ja go nie zatrzymywałem. Ten człowiek miał w senacie potężnych przyjaciół i pewnie będę żałował tego spotkania do końca życia. W tamtej jednak chwili byłem z siebie dumny.

Aproniusz został uwolniony. Nie pozwolę, by jego oprawca zepsuł mi ten wieczór. Rzymski system sprawiedliwości zadziałał. Być może przedwcześnie ogłosiłem jego koniec.

[10] Tj. w ostatnim dniu lutego.

Pomimo brawury, jaką okazałem w łaźni publicznej, przez dwa następne tygodnie targał mną niepokój. Nie mogłem spać, straciłem apetyt. Wniesiono kolejne oskarżenia o zdradę, tym razem przeciw kilku wysokim rangą pretorianom. Szeptano, że ja będę następny. Kryspinus i jego poplecznicy przygotowywali zarzuty zarówno przeciw Senece, jak i przeciw mnie, bałem się, że proces jest tylko kwestią czasu. Spotkałem się z Seneką w tej sprawie, lecz obaj wiedzieliśmy, że nie możemy nic zrobić.

– Pomoże nam, jeśli zadbasz o trzeźwość – przypomniał nauczyciel, jakbym sam nie pamiętał o swojej pijackiej tyradzie.

Moja praktyka sądowa znów kwitła, napędzana złą sławą, którą się okryłem. Zwrócił się do mnie nawet jeden z dowódców straży pretoriańskiej, oskarżony o *crimen laesae maiestatis*. Postanowiłem jednak na razie mu odmówić. I tak już narobiłem sobie tylu wrogów, że wystarczy ich na całe życie.

Desperacko pragnąłem podziękować Flawii za to, co zrobiła, lecz wyczuwałem, że mnie śledzą. Prawo nakazywało, by jej spotkanie z Aproniuszem było wynikiem przypadku. Spotykając się z nią, by jej podziękować, wzbudziłbym podejrzenia, że cała ta sprawa została zaaranżowana. Sądziłem, że to Seneka przekonał Flawię, by wkroczyła do akcji, lecz on nigdy się do tego przede mną nie przyznał. Zresztą któż by go za to winił, zważywszy na mój występ na rostrze?

W całym Rzymie wrzało, a wzburzenie jeszcze wzrosło wobec nowin, które rozniosły się po nonach marcowych[11]. Siedemdziesięcioośmioletni Tyberiusz wracał do stolicy!

Na siedemnaście dni przed kalendami kwietniowymi[12] uczestniczyłem w jednej z wielu spraw sądowych, toczących się w głównej sali bazyliki julijskiej, ogromnym atrium długim na dwieście siedemdziesiąt stóp, a na sześćdziesiąt stóp szerokim. Tak jak zwykle ze stropu zwisały wielkie zasłony, aby w centralnej nawie mogły odbywać się jednocześnie cztery procesy. W każdej części stały drewniane ławy dla dziesiątków widzów, a gdy rozprawa była ciekawa, za nimi też ustawiali się obserwatorzy. W Rzymie procesy były widowiskowym sportem dla tych, którzy odznaczałi się intelektualną ciekawością.

Przesłuchiwałem świadka, który wcześniej krył się na klatce schodowej bazyliki. Mężczyzna ów najwyraźniej zamierzał sprzedać swoje świadectwo temu, kto zapłaci najwięcej. Widzom podobało się, że starannie analizuję jego zeznania; przerywali oklaskami, gdy zadałem trafne pytania, lub gwizdami, gdy nie podobały im się odpowiedzi indagowanego.

W części sali, która znajdowała się za mną, zapanowało jakieś poruszenie, a potem dało się słyszeć szemranie zebranych, na tyle głośne, że urzędnik sądowy

przywołał ich do porządku. Odwróciłem się i ujrzałem ludzi wychodzących stamtąd w pośpiechu. W ciągu paru chwil w sądzie zrobiło się pusto. Jakiś sługa przebiegł przez nawę i stanął za mną, czekając, aż sędzia da mu znak, by podszedł. Szepnął coś do niego, a sędzia pobladł. Patrzył przez chwilę przed siebie, a potem wstał.

– Sąd zarządza przerwę na czas nieokreślony – ogłosił. Zamilkł, jakby nie mógł uwierzyć w to, co miał zaraz powiedzieć.

– Tyberiusz Juliusz Cezar August nie żyje.

Niemal natychmiast zaczęto świętować. Obywatele rzymscy wylegli na ulice – krzycząc, tańcząc, śpiewając. Wyglądało to tak, jakby w marcu obchodzono Saturnalia. W miarę jak mijał dzień, na budynkach publicznych pojawiły się girlandy; wydobyto instrumenty. Wino płynęło strumieniami, a tłum nieustannie gęstniał.

Usiadłem na schodach bazyliki julijskiej i patrzyłem, jak święto nabiera rumieńców. Rzym mógł znów oddychać i tłamszone dotąd namiętności, tak skrupulatnie hamowane podczas panowania Tyberiusza, ujawniły się w rozbuchanej zabawie. Tłum zaczął skandować: „Tyberiusz do Tybru!”, żądając, by imperatora spotkał ten sam los, który czekał każdego oskarżonego o spiskowanie przeciw niemu. Patrząc na to, zdumiewałem się trafnością przepowiedni Seneki. Mogłem niemal wyczuć zmianę nastrojów i wiedziałem, że kiedy wieczorne słońce zniknie za wzgórzami, władza w senacie przejdzie w inne ręce – teraz to ci, którzy byli lojalni wobec Tyberiusza, będą czuli się zagrożeni.

Mówiono o tym, jak umarł Tyberiusz, i choć relacje miały pochodzić z pewnych źródeł, były ze sobą sprzeczne. Według najbardziej wiarygodnej wersji ludzie z otoczenia Tyberiusza zauważyli, że umarł spokojnie we śnie. Później jednak, kiedy najbliżsi współpracownicy już mieli ogłosić Kaligulę jego następcą, starzec odzyskał świadomość, usiadł na łóżku i poprosił o jedzenie. Przekazano Makronowi, który stał z dala od łoża, że cesarz się ocknął, a on nakazał wszystkim opuścić komnatę sypialną. Zostali tylko on i Kaligula. Wtedy Makron udusił cesarza i zobowiązał straż pretoriańską do udzielenia wsparcia Kaliguli, adoptowanemu cioteczemu wnukowi cesarza.

Rzym świętował przez całą noc i jedno było oczywiste: Tyberiuszowe rządy terroru dobiegły końca. Kaligula, legendarny syn ukochanego rzymskiego wodza Germanika, został wybrany przez armię na nowego cesarza. Senatowi wystarczyły niecałe dwa dni, by się podporządkować i unieważnić testament Tyberiusza, dokument, w którym cesarz przekazywał połowę cesarstwa swojemu wnukowi Gemellusowi.

Kaligula wjechał do Rzymu dwa dni później, odziany w czarne, poszarpane szaty żałobne, a lud w uwielbieniu padał mu do stóp. Wzdłuż całej wiodącej do Rzymu drogi pobudowano ołtarze. Wznoszono okrzyki, nazywano cesarza „synem” i „gwiazdą”.

Patrzyłem z oddali, jak mój niegdysiejszy oprawca wjeżdża do miasta, wysławiany pod niebiosa przez tłumy. Nie widziałem go przez ponad dziesięć lat, ale niewiele się zmienił. Wciąż miał niesforne rude włosy i wyłupiaste oczy, a jego głowa nadal wydawała się za duża w stosunku do ciała. Wciąż był wysoki i tyczkowaty. Miał gładką skórę szesnastolatka. Dziwiłem się, że cały ten czas spędzony z Tyberiuszem – człowiekiem, który zabił mu brata i matkę – nie dodał mu lat.

Gdy nowy władca powoli posuwał się w stronę Forum, widziałem, że z trudem się hamuje, by nie okazać radości. Panował nad mimiką, by nie rozpromienić się w uśmiechu, choć z pewnością czuł go w głębi serca.

Rzymianie, powodowani pogardą do Tyberiusza i miłością do Germanika, ofiarowywali Kaliguli władzę absolutną. Nawet sam August nie został ubóstwiony za życia. Patrząc jednak na rozgorączkowane twarze tych, którzy wielbili swego nowego „syna” – na łzy płynące po policzkach kobiet, na matki podnoszące dzieci, by otrzymały błogosławieństwo od cesarza, na mężczyzn gromko wiwatujących na cześć nowego zbawcy Rzymu – wiedziałem, że wystarczy, iż Kaligula powie tylko słowo, a stanie się bogiem.

Ja jednak znałem go lepiej niż inni. Przerażała mnie jego triumfalna mina, satysfakcja malująca się na jego twarzy, gdy machał do tłumów. Jeśli to był nowy zbawca Rzymu, to niech bogowie mają nas w swej opiece.

[11] Czyli w drugim tygodniu marca.

[12] Czyli 16 marca.

42

Na inauguracyjną mowę Kaliguli zaproszono do senatu przedstawicieli ekwitów oraz zwykłych obywateli, co było bezprecedensowym posunięciem. Dzięki roli, jaką odegrałem w procesie Aproniusza, ja również znalazłem się wśród wybrańców, którzy otrzymali zaproszenie.

Przybyłem do senatu wcześniej i znalazłem sobie miejsce z tyłu, pod ścianą, w ścisiku, bo poza mną tłoczyło się tam ponad sto osób. Z tego miejsca mogłem dobrze widzieć nadchodzących senatorów. Poklepywali się po plecach i kiwali głowami, krążąc bezładnie po sali w oczekiwaniu na przybycie Kaliguli. Atmosfera była znacznie lżejsza niż podczas mojego ostatniego pobytu tutaj.

Podszedł do mnie Aproniusz i ucieliśmy sobie pogawędkę. Marek Lepidus również mnie pozdrowił. Kryspinus, Mutilus i Otho rzucali mi pełne groźby spojżenia z drugiego końca sali, ale ja ich ignorowałem. Układ sił zmieniał się, przesu-

wał niczym piaski w *Mare Nostrum*[13]. Nikt do końca nie wiedział, jak to się wszystko ułoży, lecz panowało ogólne poczucie, że senatorowie tacy jak Kryspinus i jemu podobni zostaną odsunięci, zejdą na dalszy plan.

Katon w końcu przywołał zebranych do porządku i senatorowie zasiedli na swych miejscach. Oczy wszystkich zwróciły się ku wielkim drzwiom z brązu w głębi sali. Zabrzmiały fanfary, strażnicy się rozstąpili i Gajusz Juliusz Cezar August Germanikus wkroczył do sali.

Senatorowie powstali jak jeden mąż i powitali go entuzjastycznymi oklaskami. Kaligula kroczył główną nawą, pozdrawiając skinieniem głowy tych, których mijał. Przystanął na chwilę na wypolerowanej marmurowej posadzce, w miejscu, gdzie wygłaszałem mowę, broniąc Aproniusza. Rozejrzał się wokół i pozdrowił znanych sobie senatorów i ekwitów. Nie dostrzegł mnie, siedzącego z tyłu. A ja wcale tego nie oczekiwałem.

Zajął miejsce na podium między dwoma konsulami. Uderzył mnie jego widoczny spokój. Katon wykorzystał chwilę i powitał nowego cesarza kwiecistą oracją, po której każdy normalny człowiek by się zaczerwienił.

Kaligula wyglądał dość majestatycznie. Świeżo wyprasowaną białą togę spiął na ramieniu broszą, która lśniła teraz, odbijając promienie światła padające z wysokich okien sali. Kiedy wstał, by przemówić, znów zagrzmiały huczne oklaski. Przez chwilę się w nich plawił, po czym skinął na senatorów, by usiedli.

Mowę rozpoczął wyrazami uznania wobec senatorów oraz pochwałą powagi senatu. Jako mówca nie mogłem się oprzeć swej skłonności do oceniania jego oratorskiego stylu. Był przeciętny. Kaligula całe przemówienie wykuł na pamięć, brakowało mu spontaniczności. Strzelał oczyma to tu, to tam, zdradzając tym samym nerwowość. Wykonywał szybkie, gwałtowne gesty.

Obiecał, że w przeciwieństwie do Tyberiusza będzie dzielił władzę z senatem. Dwa razy nazwał się synem poprzedniego cesarza. Jego mowę, choć wygłoszoną niezbyt wprawnie, przerywano owacjami na stojąco. Nawet ci senatorowie, którzy początkowo wyglądali na sceptycznych, dali się porwać młodemu cesarzowi.

Kiedy wreszcie Kaligula się odprężył, jego głos zniżył się o pół oktawy, a on sam nabrał wigoru. Oświadczył z wielką pewnością siebie, że położy kres procesom o *crimen laesae maiestatis*. Rozbrzmiały oklaski, lecz on mówił dalej. Wszyscy, którzy zostali wygnani lub uwięzieni za panowania Tyberiusza, natychmiast odzyskają swoją pozycję i wolność. Wszystkie dokumenty związane z procesami zostaną zniszczone. Procesy te stanowiły haniebnny rozdział w historii Rzymu, a teraz pora ruszyć dalej.

Podczas tej części mowy aplauz rósł z każdym zdaniem. Kiedy Kaligula ogłosił, że ulaskawi wygnañców, senatorowie wstali. Kiedy zapowiedział, że pora ruszyć dalej, jego słowa nagrodzono długą owacją na stojąco, której wtórowały

okrzyki ludzi stojących na ulicy. Nawet Kryspinus, Mutilus i Otho stali i klaskali, chociaż nie wyglądali na zadowolonych.

Kiedy aplauz przycichł i senatorowie usiedli, zacząłem już myśleć, że może Kaligula się zmienił, może nie jest już tamtym egocentrycznym, zepsutym czterna-stolatkiem, którego znałem. Bez względu na to, czy tak było w istocie, mogłem odetchnąć i nie przejmować się tak groźbami Kryspinusa, który zapowiedział mi swoją zemstę.

Później młody cesarz odniósł się do ostatniej woli Tyberiusza. Wprawdzie senat ją unieważnił, Kaligula postanowił jednak uhonorować decyzję Tyberiusza, by przyznać każdemu członkowi gwardii pretoriańskiej tysiąc sestercji. Zerknąłem na żołnierzy – wszyscy rozpływali się w uśmiechach. Kaligula obiecał, że ta premia, równa rocznemu żołdowi, zostanie wypłacona w ciągu tygodnia.

Nie poprzestał na tym. Każdy członek rzymskich sił porządkowych i każdy strażak otrzyma pięćset sestercji. Mało tego – każdy obywatel cesarstwa rzymskiego otrzyma ich trzysta.

Nie trzeba mówić, że to oświadczenie powitano owacją gromką jak nigdy, aż zadzwoniło mi w uszach. Ja również klaskałem, choć po cichu zastanawiałem się, ile pieniędzy zostawił Tyberiusz w skarbcu publicznym. Czy Rzym stać na taką hojność?

Kaligula następnie poprosił senat, by rozważył, czy nie obdarzyć Tyberiusza tymi samymi honorami, jakie przyznano po śmierci Augustowi, to znaczy uznać go za boga i wprowadzić do panteonu rzymskiego. Tym razem senatorowie powstrzymali się od oklasków.

Zastanawiałem się, czy Kaligula przewidział tę reakcję. Mało prawdopodobne, by darzył miłością człowieka, który zabił mu matkę i brata. Być może młody cesarz wystąpił z tą prośbą, wiedząc, że senatorowie jej nie zaakceptują. Może chciał, by poczuli, że już odzyskali część swojej władzy. Jednocześnie zaś mógł powiedzieć, że zrobił wszystko, co możliwe, by uhonorować Tyberiusza, lecz senat odrzucił jego propozycję.

To było sprytnie posunięcie i przypomniało mi, do jakich podstępów uciekał się Kaligula, kiedy obaj byliśmy uczniami Seneki.

Kiedy nowy imperator skończył przemowę, byłem chyba jedyną osobą w Rzymie, która darzyła go mieszanymi uczuciami. Ogłosił, że wyprawi Tyberiuszowi godny pogrzeb, po którym nastąpi sto dni wypełnionych wyścigami rydwanów, zabawami i walkami gladiatorów. Już poczynił przygotowania, by sprowadzić egzotyczne zwierzęta.

Kaligula opuścił senat, odprowadzany jeszcze donośniejszym, ogłuszającym aplauzem, a tuż za nim podążyli senatorowie, pławiąc się w blasku jego chwały. Nim wyszedłem z sali senatu, cesarz już zniknął w rozradowanym tłumie. Na niebie nie było nawet jednej chmurki, gdy powoli przemierzał zatłoczone Forum.

- Co myślisz o nowym imperatorze? – zapytał ktoś za mną. Nim odpowiedziałem, odwróciłem się i rozejrzałem, by sprawdzić, czy Seneka jest sam.
- Myślę, że wolałbym wrócić do Judei – odrzekłem.
- Tylko jeśli weźmiesz mnie ze sobą.

[13] *Mare Nostrum* – łacińska nazwa Morza Śródziemnego, używana w starożytności.

WESTALKA

III IV **V** VI VII VIII IX X XI]

Minęły lata, odkąd Flawia po raz ostatni widziała mężczyznę w domu westalek. Zgodnie z prawem, jedynym mężczyzną, któremu wolno było tu wejść, był duchowy rządca domostwa, *Pontifex Maximus*. Przez ostatnie jedenaście lat człowiek ten sprawował rządy z wyspy Capri. Tyberiusz na kilka lat praktycznie scedował te obowiązki na Sejana, ten jednak z rzadka tylko odwiedzał *Atrium Vestae*, dom westalek.

Nie minęły nawet trzy dni, a Kaligula złożył kapłankom wizytę.

Powiadomił o niej westalki z godzinnym wyprzedzeniem. Flawia nigdy jeszcze nie widziała swoich towarzyszek tak wytrąconych z równowagi.

Kalpurnia, przełożona westalek, wykrzykiwała polecenia, by zadbano o nieskazitelny porządek siedziby i by same dziewice były gotowe na spotkanie z imperatorem.

Samo ułożenie fryzury zajęło Flawii sporo czasu. Musiała to zrobić, na wypadek gdyby miała rzeczywiście ujrzeć młodego cesarza. Przez większość dni, kiedy nie pokazywała się publicznie, spinała włosy w niski kok opadający na kark albo wiązała je na czubku głowy. Dziś jednak kazała służebnej spleść ciasno włosy, na modłę westalek, oraz ozdobić powstałą w ten sposób koronę z warkoczy wstążkami, a kilka pukli puścić luźno wokół twarzy.

Zrobiła sobie makijaż i oceniła swój wygląd w zwierciadle. Podziękowała służebnej i skropiła się pachnidłami.

Kaligula przebywał w *Atrium Vestae* już od godziny, gdy do pokoju Flawii weszła służąca i poprosiła, by westalka stawiała się przed cesarzem. Kalpurnia wcześniej obiecała kapłankom, że spróbuje przedstawić je Kaliguli, toteż prośba służącej nie była dla Flawii zaskoczeniem. Mimo to dłonie spotniały jej od zdenerwowania.

Kiedy przybyła do głównej sali spotkań i zdała sobie sprawę, że jest jedyną wezwaną tu westalką, zaczęło jej brakować tchu.

Spojrzała w oczy młodemu imperatorowi i znów uderzyło ją, jak bardzo nie pasował do tego otoczenia. Trudno jej było go sobie wyobrazić jako najwyższego władcę. Był wysoki, miał patykowate nogi i chudą szyję, oczy okrągłe i nieco wylupiaсте, włosy rude i przycięte w ten sposób, że tworzyły na głowie jakby koronę. I wydawał się taki młody, szczególnie w porównaniu z Tyberiuszem. Twarz miał gładką jak u młodego chłopca, opaloną, ramiona i szyję również, co ujawniało piegi. Czy ktoś w jego wieku mógł być naprawdę przygotowany do władania cesarstwem?

Flawia skłoniła się, czekając, aż Kaligula wyciągnie dłoń, na której nosił pierścień.

– Bądź pozdrowiony, imperatorze.

– Proszę – rzekł, ujmując jej dłoń i unosząc ją. – Nie należę do osób, które lubią formalne pozdrowienia.

Flawia ukradkiem zerknęła na Kalpurnię, spojrzenie obu wyrażało to samo. *Co za miła odmiana.*

– Chciałem jedynie ujrzeć westalkę na tyle śmiałą, że interweniowała w sprawie Lucjusza Aproniusza – rzekł Kaligula.

Flawia mruknęła coś w odpowiedzi, nie do końca pewna, czy to miało jakiś sens. „Ja też nie mogłam się doczekać tego spotkania” czy coś w tym rodzaju.

Zapytał, czy mogliby przejść się po ogrodach, a Flawia poczuła gorąco na twarzy. Spojrzała na Kalpurnię, która skinęła przyzwalająco głową.

I tak Flawia znalazła się w ogrodach westalek na prywatnym spacerze z młodym władcą, wiedząc, że wszystkie kapłanki podglądają ich z okien.

Szybko nabrała sympatii do cesarza, który nalegał, by dała sobie spokój z formalnościami i nazywała go po prostu Kaligulą. Pochwaliła jego mowę przed senatem, a szczególnie zniesienie procesów o *crimen laesae maiestatis*. Zadał jej z tuzin pytań o życie w Rzymie, skupiając się głównie na klimacie politycznym i sympatiach poszczególnych senatorów. Wyglądał na zdenerwowanego i w związku z tym mówił szybko. Flawia była świadoma, że mężczyźni ulegają jej urokowi, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że znajdzie się wśród nich i cesarz.

Znaleźli wspólny temat, kiedy poruszyli kwestię kultury greckiej, zwłaszcza dramatów. To było niemal skandaliczne, usłyszeć, że człowiek o pozycji Kaliguli wyznaje swoją miłość do dramatów i pragnienie, by zostać aktorem.

– To jedyna rzecz, która utrzymywała mnie przy życiu na Capri – powiedział.

– Grecki dramat?

– Nie, moje zdolności aktorskie.

Usiedli pod marmurowym posągami jednej z najbardziej szanowanych dziewic westalskich z okresu republiki i Kaligula zaczął się zwierzać. W swej inauguracyjnej mowie nakłaniał senatorów, by nie naruszali dobrego imienia Tyberiusza, teraz zaś wyjawiał, jakie męczarnie cierpiał, mieszkając pod jednym dachem z człowiekiem, który nakazał zabić jego matkę i brata. Na wyspie kwitły intrygi, Tyberiusz zaś pilnował swego ciotecznego wnuka niczym sokół. Kaligula każdego dnia musiał sobie przypominać, że jest po prostu aktorem w sztuce. Najłżejsza oznaka smutku z powodu śmierci bliskich mogła i na niego ściągnąć wyrok śmierci.

Flawia wiedziała, że Kaligula tkwił na Capri z Tyberiuszem niczym w pułapce, lecz nigdy nie myślała o psychicznych katuszach, jakie musiał znosić ten młody człowiek. Tyberiusz bano się nawet wtedy, gdy był daleko, gdyż sływał z wybuchowego temperamentu i kar zasądzanych arbitralnie za wyimaginowane spiski. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak to jest, mieszkać z kimś takim na co dzień.

Flawia nigdy by się nie spodziewała, że spotka ją coś takiego. Że będzie siedzieć u stóp posągu i słuchać Kaliguli, opowiadającego o tym domu zgrozy na Capri głosem wypranym z emocji. Naprawdę żal jej było tego człowieka. Wydawało się, że potrzebuje przyjaciela. Był chyba przytłoczony nowymi obowiązkami i poraniony przez przeszłość. Zresztą któż by nie był na jego miejscu?

Ruszyli znów przez ogród, tym razem wolniej. Kaligula poprosił ją o radę.

– Dwa dni temu przemawiałem przed senatem – oznajmił. – Moi doradcy powiadomili mnie, że senat jest gotów wydać dekret *damnatio memoriae*, potępiający Tyberiusza i usuwający go z wszystkich publicznych dokumentów. Twierdzą też, że senat udzieli mi wszelkiej dodatkowej władzy, jeśli tylko o to poproszę. Że ludzie się zbuntują, jeśli senat wykaże w tym jakiś opór.

Przeszli kilka kroków w milczeniu.

– Czy tego właśnie chcesz? – spytała Flawia. – Takiej samej władzy, jaką dzierżył twój cioteczny dziad?

To pytanie najwyraźniej zaskoczyło Kaligulę. Patrzył przez chwilę na westalkę, a potem znów skupił wzrok na ścieżce przed nimi.

– W tym właśnie problem. Nie jestem do końca pewien, jak mam to potraktować.

Zwracasz się po radę do właściwej osoby, chciała powiedzieć Flawia. Miała swoje zdanie na temat tego, jak władać cesarstwem. Teraz zaś otrzymywała szansę, niemal podaną na złotym półmisku, by wpłynąć na najpotężniejszego człowieka na ziemi.

– Chciałbyś mojej rady?

– Oczywiście.

Coś w głębi duszy podpowiadało jej, by nie ufała temu człowiekowi, lecz zdecydowała się zaryzykować. A jeśli to bogowie zsyłają jej tę szansę, by pomogła mu naprawić sprawy państwowe?

– Dotrzymaj obietnicy i połóż kres procesom o zdradę – powiedziała. – Przez te procesy senatorowie zmienili się w kanibali, którzy żywcem zjadają jedni drugich, a majątki i władzę pożartych rozdzielają pomiędzy największych chciwców i zwodzicieli ze swego grona. Te procesy uczyniły z krzywoprzysięstwa i spiskowania formę sztuki.

Czekała na jego reakcję, lecz Kaligula szedł dalej w ciszy.

– Dobrze. Co jeszcze?

Flawia zerknęła nad jego ramieniem i zobaczyła, że ktoś wygląda przez okno. Zabawne! Wszystkie westalki będą później prosić, by powtórzyła im całą tę rozmowę, słowo w słowo.

Przez następną godzinę dyskutowali z nowym imperatorem o politykach i polityce. Kaligula najwyraźniej dużo rozmyślał nad tymi sprawami. Flawia była poruszona jego pragnieniem, by zapoczątkować w Rzymie nową erę.

Lecz gdy już traciła swoją rezerwę i czujność, Kaligula przystanął i wpatrywał się w nią przez chwilę, obrzucając dziwnym spojrzeniem od stóp do głów, jakby mierzył ją wzrokiem. Poczowała skrępowanie, choć szybko przypomniała sobie, że ten młody człowiek był poniekąd uwięziony na Capri i nie powinna się po nim spodziewać towarzyskiej ogłady.

– Na Capri nie było kobiet takich jak ty – rzekł w końcu.

Flawia spłonęła rumieńcem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Mężczyźni nie odzywali się w ten sposób do dziewczyc westalskich. Ale on był cesarzem. Kto wie, czym się kierował?

– Uznam to za komplement – stwierdziła.

– I słusznie. – Samo to stwierdzenie było dość niewinne, lecz jego ton budził złe przeczucia. Kiedy wreszcie Kaligula opuścił domostwo westalek, Flawia nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Z jednej strony, miała nadzieję, że cesarz posłucha jej rad i stanie się takim władcą, jakiego potrzebował Rzym. Z drugiej – myśl, że człowiek pokroju Kaliguli dzierży tak nieograniczoną władzę, niepokoiła ją.

Tego wieczoru na czystym niebie nad miastem świecił księżyc w pełni, widomy znak, że bogowie z uśmiechem błogosławią rządcom popularnego syna Germanika.

Flawia z przyjemnością korzystała z prywatnej łaźni westalek wraz z trzema innymi kapłankami. Adrianna wciąż mówiła, że nowy władca przyniósł wszystkim łyk świeżego powietrza. Nowy władca. Ulubieniec ludu.

Flawia zachowała swoje myśli dla siebie. Ona również miała nadzieję, że Kaligula choć w części przywróci dobre obyczaje i chwałę dawnego Rzymu. Wygłaszanie mów nie jest trudne. Wciąż jednak pozostawało mnóstwo do zrobienia.

Była już prawie północ, gdy Flawia dostrzegła jakąś postać wysoko na stromym skraju Palatynu, na terenach należących do cesarskiego pałacu; w miejscu, z którego można było obserwować *Atrium Vestae*. Dojrzała tam człowieka, który przykucnąwszy, spoglądał z góry w ich stronę.

– Nie oglądajcie się wszystkie naraz – zwróciła się do koleżanek – ale ktoś obserwuje nas z Palatynu.

Dwie westalki spojrzały ukradkiem w tamtą stronę i stwierdziły, że nikogo nie widzą. Kiedy Flawia znów spojrzała w górę, obserwatora już nie było.

– Wracam do środka – powiedziała.

Prywatności westalek strzegły surowe reguły. Przez całe panowanie Tyberiusza nie wpuszczano nikogo do tej części terenów pałacowych, skąd widać było prywatne łaźnie kapłanek. Teraz jednak, zaledwie kilka dni po tym, jak rządy objął Kaligula, ta zasada została złamana.

Może był to zwykły przypadek. Flawia miała taką nadzieję, choć instynkt i wrażenie, jakie zostało jej z wcześniejszej rozmowy z Kaligulą, podpowiadały co innego.

Tej nocy długo leżała bezsennie, wpatrując się w sufit. Czekala, aż w domu zapanuje całkowita cisza i czuwać będzie jedynie kapłanka pilnująca wiecznego ognia w świątyni Westy. Czekala, aż rzymskie łaźnie publiczne zostaną zamknięte na noc i miasto ułoży się do snu.

Do świtu musiały zostać jeszcze ze cztery godziny, gdy wstała z łóża i ubrała się po cichu. Wychodząc z domu, upewniła się, że nikt jej nie śledzi. Sandały trzymała w dłoni, by uniknąć hałasu. Przemierzając Forum i schodząc zboczem wzgórza, kryła się w cieniu. Zatrzymała się w jakiejś alejce i wsunęła stopy w sandały.

Spotkała go nad brzegiem Tybru. Padła w jego ramiona, jakby nie widziała go od lat.

– Chcesz wiedzieć, co zrobił dziś nowy cesarz? – zapytał Manswet.

Odpowiedziała mu gorącym pocałunkiem, przyciskając ciało do jego ciała. Gdy oboje rozchylili usta, całkiem zapomniała o jego pytaniu.

Kaligula miał własny styl, a Flawia nie była do końca pewna, co o nim myśleć. Nigdy nawet sobie nie wyobrażała, by cesarz mógł zyskać taką popularność wśród ludu rzymskiego. A zresztą – dlaczego nie? Rozdawał pieniądze. Zafundował Rzymianom sto dni nieprzerwanej rozrywki. Odbył podróż na Capri, odnalazł szczątki matki i brata i przywiózł je do Rzymu, gdzie zostały złożone w mauzoleum Augusta. Były oracje i wieńce laurowe, a bliscy cesarza zostali uhonorowani godnym pogrzebem.

Rzymscy patrycjusze krytykowali po cichu publiczne zachowanie młodego cesarza, lecz masy go uwielbiały. Kaligula zasiadał w pierwszym rzędzie teatru i głośno wyrażał swoje opinie. Pod koniec sztuki wstawał i klaskał lub wykrzykiwał obelgi pod adresem aktorów, jeśli nie podobał mu się ich występ. Inni widzowie wielokrotnie szli za jego przykładem, nawet jeśli się z nim nie zgadzali.

Ale to nie teatr Kaligula darzył największą miłością. Ta zarezerwowana była dla wyścigów rydwanów. Tyberiusz i Sejan w cyrku zasiadali jako bezstronni widzowie. Wszyscy uznaliby za poważne naruszenie etykiety, gdyby w łoży cesarskiej faworyzowano jakąś drużynę. Kaligula całkiem to zmienił. Nie tylko dopinował swą ulubioną drużynę, ale też nakazał powożącym zatrzymać się przed jego łożem, by mógł im udzielać wskazówek. Ciskał przekleństwami, gdy jego faworycy przegrywali, i twierdził, że trener nie zna się na swoim fachu. Kiedyś nawet zaraz po wyścigach udał się do stajni i dał wykład trenerowi.

Flawia, jako westalka, wielokrotnie miała okazję oglądać tę twarz imperatora, której nie znał ogół. Lubił wyśmiewać się ze swoich sług, zwłaszcza z młodego trybuna straży pretoriańskiej imieniem Cherea. Cherea, doświadczony żołnierz, był pękaty, miał jasną karnację i głos o oktawę wyższy, niż można by oczekiwać. Kaligula rozgłosił, że Cherea byłby świetną żoną. Ilekroć pretorianin znalazł się w osobistej obstawie cesarza, ten wymyślał żenujące hasła, których Cherea musiał używać, wydając rozkazy żołnierzom.

Co więcej, cesarz sypał jak z rękawa wulgarnymi historyjkami, które z uporem opowiadał w obecności westalek. Flawia ze wszystkich sił starała się je ignorować. Adrianna wybrała inne rozwiązanie, przypochlebiała się imperatorowi, śmiejąc się razem z nim.

Flawia, mimo że nie śmiała się z lubieżnych opowiastek Kaliguli, została jedną z jego faworytek. Zapraszał ją, by siedziała przy nim w teatrze, podczas wyścigów rydwanów i podczas walk gladiatorów, a ona niechętnie się na to godziła. Od czasu do czasu Kaligula zaglądał do domu westalek i prosił Flawię o wspólną przechadzkę. Szukał jej rady także w kwestiach politycznych wielkiej wagi; Tyberiuszowi czy Sejanowi coś takiego nawet się nie śniło. Dlatego też gdy sześć mie-

sięcy po rozpoczęciu rządów Kaliguli otrzymała od niego zaproszenie na ucztę, nie uznała tego za naruszenie obyczajów.

Przybyła do pałacu z wielką pompą, poprzedzana przez liktorów, niesiona w lektyce. Wystroiła się tak, jak dziewczynom westalskim nakazywała tradycja – nieskazitelnie biała szata, włosy zaplecione w warkocze, perfekcyjnie nałożony makijaż. Spodziewała się wystawnej uczt w głównej sali biesiadnej pałacu, w towarzystwie cesarza i setek znamienitych gości. Stało się jednak inaczej. Kaligula, w otoczeniu świty niewolników, poprowadził ją krętymi korytarzami pałacu i podziemnym tunelem do łoża cesarskiej w cyrku.

Wrześniowe wieczorne powietrze było chłodne i rześkie. Circus Maximus był pusty i cichy, tor konnych wyścigów oświetlały pochodnie, a łoża cesarska zmieniła się w luksusową salę biesiadną.

Rozstawiono tam dwa łoża, na których można było spocząć – jedno dla niej, drugie dla cesarza. Kaligula kazał przynieść z pałacu marmurowe posągi rzymskich bogów. Na stole ułożono srebrne sztuce, cesarz nalewał wina do bogato zdobionych kielichów, pochodzących z nowej wytwórni szkła, mieszczącej się w południowej części miasta. Mitologiczne wizerunki, którymi ozdobiono naczynia, przedstawiały Bachusa, boga wina, wraz z tańczącymi wokół niego menadami.

Dania były starannie zaplanowane. Podano bażanta, ostrygi, homary, sarninę oraz pawie. W tylnej części łoża stali muzycy, przygrywając na fletach. Tuż przed podaniem głównego dania cesarz wstał i zaczął recytować greckie wiersze.

Flawia całe to przedsięwzięcie odbierała jako dziwaczne i nieco przytłaczające. Słyszała o wystawnych ucztach Kaliguli, z których każda przyćmiewała poprzednią, ale nigdy nie śniła, że i ona znajdzie się na jednej z nich, i to sam na sam z imperatorem.

Ta uczta stanowiła pogwałcenie tradycji, dlatego Flawia czuła się tu nieswojo. Była w końcu dziewczyną westalską, wybraną, by służyć ludowi Rzymu. Owszem, wykradła się nad Tybr i spędzała tam noce z Manswetem, lecz przecież nikt o tym nie wiedział. Dziś wieczorem w obecności co najmniej tuzina sług spożywała prywatny posiłek z imperatorem Rzymu. To było całkowicie nie na miejscu. Wkrótce całe miasto będzie o tym mówić. Lecz komu mogła się poskarżyć?

Nikomu. Grzecznie słuchała, gdy Kaligula mówił o sobie, wpatrując się w nią nieustannie. Tak bardzo starał się zrobić na niej wrażenie, że odczuwała jego zachowanie jako boleśnie dziwaczne.

Gdy skończyli ostatnie danie i Flawia już pomyślała, że może uda jej się stąd umknąć, nie narażając swej godności na szwank, Kaligula przedstawił swój pomysł na wielki finał.

– Wiem, że kochasz wyścigi rydwanów równie mocno jak ja – stwierdził. –

Dziś wieczorem przygotowałem coś specjalnego.

Wymknął się z łoży tylnym wyjściem, zostawiając Flawię na dłuższą chwilę samą. W końcu jej uwagę przyciągnął przeciwległy kraniec owalnego toru, gdzie zapanowało jakieś poruszenie. Brama stajni stanęła otworem i wyłoniły się z niej dwa ogromne ogiery, ciągnące rydwan, ciężko i chwiejnie toczący się w jej kierunku. Początkowo trudno było dostrzec woźnicę w przyćmionym blasku pochodni, po chwili jednak Flawia rozpoznała go i aż otworzyła usta.

Kaligula przepasany był zieloną szarfą swojej ulubionej drużyny i kurczowo ścisnął lejce rydwanu. Wyglądał niepewnie i cudacznie, sztywny jak kołek, pozbawiony tej płynności ruchów, jaką widziała u prawdziwych woźniców rydwanów. Zdołał zatrzymać olbrzymie ogiery przed łożą. Badawczo spojrzął na Flawię, nie starając się nawet ukryć swojej dumy.

Uniósł dłoń.

– Wsiadaj – polecił.

Flawia wstała i podeszła do krawędzi łoży. Konie uderzały kopytami o ziemię, niespokojne i narowiste. Wyglądało na to, że Kaligula nie ma pojęcia o powożeniu.

– Pospiesz się! – przynaglił. – Nie utrzymam ich tu długo.

Wiedziała, że powinna odmówić, ale ta sytuacja była dla niej jak *terra incognita*. Jak powiedzieć imperatorowi Rzymu, że powątpiewa w jego umiejętności powożenia?

Zakasała szatę i zeszła po schodach na arenę. Kaligula niecierpliwie przywołał ją gestem, a ona nie spuszczała oka z koni. Skóra marszczyła się na ich wielkich zadach i mięśniach nóg. Z bliska wydawały się dwa razy większe niż z łoży. Gdy podeszła bliżej rydwanu, Kaligula nakazał jej, by stanęła za nim w rydwanie i objęła go ramionami w pasie.

– A może będę po prostu przyglądać się stąd?

– Zrobimy cztery okrążenia.

– Naprawdę wołałabym nie.

Twarz mu poczerwieniała.

– Jedno okrążenie – nalegał.

Zaczęła kręcić głową. Jeden z koni stanął dęba, niemal zrzucając cesarza z rydwanu. Ten pociągnął za lejce.

– Wsiadaj!

Flawia wzięła głęboki oddech i wspięła się za Kaligulę, po czym opasała go ramionami. Tuż przed twarzą miała jego kark, poza tym z trudem mogła ustać w ciasnym, małym rydwanie.

Kaligula nie tracił czasu. Zarzucił lejcami, a doskonale wytrenowane konie ruszyły z kopyta, szarpiąc rydwan do przodu. Flawia omal nie upadła na plecy.

– Trzymaj się!

Westalka od lat oglądała wyścigi rydwanów, ale nigdy dotąd nie stała w żadnym z nich. Arena posypana była gęsto ubitym piaskiem, który z łoży cesarskiej wydawał się gładkim podłożem, lecz w rzeczywistości pełen był kolein i wybojów. Rydwan podskakiwał i kołysał się, a Flawia desperacko trzymała się imperatora. Dlaczego w ogóle zgodziła się wsiąść?

Młody cesarz oczywiście musiał się popisywać. Przygotowując się do okrążenia obelisku i wejścia w ostry zakręt na drugim końcu toru, naprzeciwko miejsca, z którego wystartowali, znów klepnął konie lejcami, a one przyspieszyły. Flawia wiedziała, że nie wezmą tego zakrętu.

I rzeczywiście, kąt był zbyt ostry, a rumaki gnały na złamanie karku, kołysząc rydwanem. Zanim Flawia zdążyła cokolwiek pomyśleć, rydwan się wywrócił, a ona i Kaligula wylądowali beładnie na piasku.

Podobnie jak zawodowi woźnice, Kaligula owinął sobie lejce wokół pasa. Oplątywały go teraz, gdy konie gnały dalej, wlokąc za sobą cesarza i rydwan. Przebiegły jeszcze pół długości toru, wreszcie przystanęły.

Flawia podniosła się i podbiegła do leżącego Kaliguli. Dotarła do niego równocześnie z kilkoma niewolnikami. Przykucnęła przy nim, podczas gdy niewolnicy przecinali lejce i odganiaли konie.

Ramię, bark i kolano cesarza były podrapane i krwawiły. Wyglądał na oszłomionego i nieco zamroczonego.

– Jesteś ranny? – spytała Flawia, chwytając gwałtownie powietrze. Nie zwracała uwagi na własne okaleczenia, na ból w kolanie i barku.

Kaligula poruszył ramieniem i prawą nogą. Otrzeptał się z piasku i dźwignął na nogi z pomocą niewolników.

– Zwyciężyliśmy?

Flawia zaśmiała się, jej instynkt macierzyński wziął górę. Poleciała mu usiąść i poczekać, póki niewolnicy nie przybędą z wodą i ziołami do obmycia ran. Kiedy nadeszli, zabawiła się w lekarza i delikatnie zmyła piasek i brud z ran, choć cesarz krzywił się i skarżył na ból.

– Może powinieneś skupić się na rządzeniu – poradziła.

– Może powinnaś skupić się na religijnej służbie.

W końcu jakoś dotarli do łoża cesarskiej. Kaligula nalegał, by wychylili jeszcze jeden kielich wina. Gdy niewolnicy napełnili puchary, odesłał ich, po czym wznosił toast za siebie, najlepszego na świecie woźnicę rydwanów.

Flawia stuknęła się z nim swoim kielichem. Podobał jej się animusz tego mężczyzny, lecz czuła się nieswojo, gdy przyglądał się jej, jak pije.

Gdy odstawiła kielich, Kaligula wstał i wyciągnął do niej dłoń. Ujęła ją i stanęła przed nim. Patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek, a ona poczuła dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Położył jej dłoń na plecach i przyciągnął ją ku sobie, by złożyć pocałunek na jej ustach.

Pozwoliła mu na to przez króciutki moment, a potem gwałtownie odskoczyła.

– Co robisz? – zapytał. Ton jego głosu zmienił się z żartobliwego na pełen groźby, twarz mu pociemniała. Zrobił pół kroku do przodu.

Położyła dłonie na jego piersi, by go powstrzymać.

– To był cudowny wieczór – powiedziała twardym tonem. – Proszę, nie psujmy go.

Dostrzegła, że oczy błysnęły mu gniewem, odsunął jej ręce i przyciągnął ją znów do siebie, lecz ona wywinęła się z uścisku i cofnęła.

– Trzymaj ręce przy sobie.

Stał nieruchomo przez chwilę, patrząc na nią spode łba. Przez głowę przemknęła jej myśl, że cesarz może ją pochwycić i spróbować obezwładnić. Słyszała już takie historie.

I była gotowa walczyć.

On jednak tylko zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów, rozbierając ją oczami. Potem postąpił krok do tyłu i uniósł puchar z winem. Pociągnął łyk i odstaawił kielich ostrożnie na stół. Zanurzył w nim palec i przeciągnął nim po ustach Flawii, która zeszytywniała i rzuciła mu nieugięte spojrzenie.

– Wiesz, co uwielbiam? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Fordicidia – rzekł. – Święto. Ofiarę z cielnej jałówki. Klęczysz pod podium i czekasz, aż obleje cię ofiarna krew.

Mówiąc, sięgnął po kielich wina. Uniósł go nad jej głowę i powoli przechylił. Wino zmoczyło jej włosy i spłynęło na twarz. Miała ochotę rzucić się na Kaligulę i uderzyć go w twarz, lecz powstrzymała się. Dlaczego miałyby mu dawać satysfakcję, reagując na jego wybryk? Obtarła więc tylko oczy z wina i spojrzała na cesarza wyzywająco, z zaciśniętymi zębami. Jeśli jej dotknie, jeśli spróbuje ją zgwałcić, będzie z nim walczyć do ostatniego tchu.

Lecz Kaligula tylko się zaśmiał.

– To był długi dzień – rzekł. – Sądzę, że znasz drogę do domu.

Nazajutrz rano do Flawii dotarły plotki, przekazane przez jedną z westalek. Dwa najlepsze ogiery z drużyny Zielonych tej nocy straciły życie. Przypuszczano, że zostały otrute. Sam Kaligula nakazał, by przeprowadzić gruntowne śledztwo.

Zadrzała, słysząc te nowiny. Uniosła wzrok na Wzgórze Palatyńskie i próbowała sobie wmówić, że wczorajszy wieczór nigdy się nie wydarzył. Latami wznosiła modły do bogów, by wreszcie zakończyła się tyrania Tyberiusza. By ustały procesy o *crimen laesae maiestatis* i by miejsce dawnego cesarza zajął nowy władca, syn Germanika.

Teraz jednak, za ledwie po półroczu rządów Gajusza Juliusza Cezara Augusta Germanika, Flawia pragnęła, by wróciły czasy Tyberiusza.

Bogowie wysłuchali modlitw Flawii i wymierzili sprawiedliwość. Nie minął nawet miesiąc, a Kaligula zachorował. Do pałacu wezwano najlepszych lekarzy Rzymu. Dzień i noc składano bogom ofiary. Rzymianie co wieczór otaczali Palatyn w oczekiwaniu na nowiny i czuwali z powagą, w blasku niesionych lampionów.

W całym pałacu zdawała się obowiązywać kwarantanna. Nie podano szczegółów choroby Kaliguli. Niektórzy uważali, że cesarz już nie żyje. Flawia pilnie śledziła kolejne wydarzenia. Senatorowie spiskowali, a Makron postanowił wziąć sprawę we własne ręce.

Gemellus, drugi wnuk cesarza Tyberiusza, był oczywistym kandydatem na następcę Kaliguli. Makron dał do zrozumienia senatorom, że będzie go wspierał w przejęciu władzy.

Dzień później z Palatynu nadeszły nowe wieści, wywołując poruszenie wśród westalek. Kaligula na łożu śmierci wyznaczył swoją ukochaną siostrę Druzyllę na spadkobierczynię cesarskiego majątku oraz tronu. Gdy ludzie to usłyszeli, wsparli wolę umierającego imperatora. Lud pragnął tego samego, co on, cokolwiek by to było.

Flawia obserwowała z dystansu, jak senatorowie usiłowali odgadnąć, skąd wiatr wieje. Czy imperator wróci do zdrowia? Czy wystarczy im odwagi, by przeciwstawić się Makronowi i straży pretoriańskiej? W którą stronę powinni się zwrócić?

Flawia już podjęła decyzję. Co wieczór modliła się do Tellus, bogini ziemi, i do Apolla, boga chorób i uzdrowienia, prosząc o śmierć Kaliguli. Może Gemellus nie okaże się dobrym imperatorem, lecz każdy będzie lepszy niż Kaligula i jego arogancka siostra Druzylla.

Losy miały jednak potoczyć się inaczej. Któregoś wieczora Flawia usłyszała, jak Adrianna wpada do domu, z rozmachem otwierając drzwi i oznajmiając, że cesarz wyzdrowiał.

– Wyszedł na balkon i przemówił do ludu! – krzyknęła. – Rzucił monety i patrzył, jak ludzie się przepychają, by je łapać. Imperator powrócił!

Kaligula nie tracił czasu i zaczął porządkować sprawy. Wysłał na Capri trybuna wojskowego i zmusił Gemellusa do samobójstwa. Wyznaczył Makrona na prefekta Egiptu i wysłał go w drogę.

W tych dniach Flawia, biorąc udział w publicznych ceremoniach, dostrzegła w oczach cesarza szaleństwo. Jego działania stały się jeszcze bardziej impulsywne i obsesyjne.

Zakochał się w kobiecie imieniem Liwia Orestylla. Stał mu jednak na przeszkodzie mały problem. Liwia była już zaręczona z senatorem Gajuszem Kalpurniuszem Pizonem. To nie powstrzymało Kaliguli. Uprowadził ją z uroczystości weselnej i zmusił, by poślubiła go tego samego dnia. Niewiele później zażądał unieważnienia małżeństwa.

Gdy nieoczekiwanie zmarła siostra Kaliguli, Druzylla, cesarz wycofał się na wieś; na znak żałoby zapuścił brodę i nie strzygł włosów. Wymógł na senacie, by Druzyllę włączyć do panteonu bogów, tak że stała się równa Juliuszowi Cezarowi i Augustowi.

Po miesiącu żałoby Kaligula ogolił się, wrócił do Rzymu i wygłosił mowę w senacie. W swej długiej diatrybie skrytykował senatorów za to, jak potraktowali Tyberiusza po jego śmierci.

Gdy imperator udzielał tej reprimendy, w wielkiej sali senatu panowała cisza. Cesarz wydobyl dokumenty z procesów o zdradę stanu, *crimen laesae maiestatis* – dokumenty, które rzekomo zniszczył – i cytował z nich wypowiedzi senatorów. Przypomniat im, że głosowali za skazaniem tych, którzy wygłaszali obraźliwe uwagi pod adresem Tyberiusza, a potem zestawil to z wynikiem głosowania, w którym pośmiertnie potępil Tyberiusza. Powiedziat, że żaden imperator nie może im już zaufać i że procesy o zdradę zostaną niezwłocznie wznowione. Opuścił salę, pozostawiając wszystkich w osłupieniu, a przewodniczący obradom konsul ogłosił przerwę.

Następnego dnia senat zebrał się ponownie i wydał oświadczenia, w których nie szczędził pochwał Kaliguli jako szczeremu i pobożnemu władcy. Senatorowie uchwalili nowe coroczne ofiary, które mają być składane w rocznicę mowy cesarza. Zrobili dokładnie to, co zarzucał im Kaligula – przypochlebiali się człowiekowi, którego woleliby widzieć na marach.

Imperator nie poprzestał jednak na tym upokorzeniu. Wydał wielką ucztę i zaprosił wszystkich liczących się senatorów. Gdy skończyli posiłek, zapowiedziat, że chciałby im przedstawić honorowego gościa. Kazał stajennemu wprowadzić do sali swego ulubionego konia wyścigowego i wznioł toast za jego zdrowie. Oświadczył senatorom, że ma zamiar wyznaczyć tego rumaka na jednego z konsułów przewodniczących senatowi, i zapytał, czy mają co do tego jakieś zastrzeżenia.

W sali zapanowała cisza.

– Jakies zastrzeżenia? – powtórzył pytanie Kaligula.

Żaden z senatorów nie odpowiedział ani słowem.

Kaligula roześmiał się.

Parę miesięcy później cesarz zlikwidował loże w teatrze i na igrzyskach, zarezerwowane dotąd dla patrycjuszy – od tej pory musieli oni walczyć o wolne miejsca na ławach jak każdy inny widz. Kaligula zapraszał senatorów na wystawne ucztę tylko po to, by ich upokarzać. Zamiast, zgodnie z tradycją, witać się z nimi

pocałunkiem w oba policzki, kazał im całować się w stopę.

Ogłosił się bogiem i wybudował świątynię ku swej czci. Prawdziwe i wyimaginowane spiski przeciw cesarzowi surowo karano. Wznowiono procesy o *crimen laesae maiestas*, a senatorowie rzucali się jedni na drugich z zajadłością, jaką ostatni raz widziano u schyłku życia cesarza Tyberiusza.

W tym całym zamieszaniu Flawia trzymała się w cieniu, czekając na właściwy moment i schodząc imperatorowi z drogi. To nie było trudne. Kaligulę zajmowało wiele spraw. Bywały jednak sytuacje, w których nie mogła uniknąć bliskości cesarza – publiczne ceremonie, ofiary świąteczne oraz igrzyska, w trakcie których oboje siedzieli w łożu cesarskiej.

Co więcej, Kaligula jako *Pontifex Maximus* wciąż był przełożonym *Atrium Vestae* i miał prawo wybierać nowe dziewice westalskie. Na samą myśl o tym Flawię aż ścisnęło w dołku od pogardy.

W wyznaczony dzień Kaligula przybył do domu westalek i z chłodną obojętnością powitał Flawię oraz pozostałe kapłanki. Otaczały ich setki sług oraz patrycjuszowskie rodziny, które przyprowadziły tuzin małych dziewczynek, finalistek plebiscytu. Na dodatek Kaligula miał wyznaczyć nową przełożoną domu, wybierając ją spośród sześciu kobiet, które służyły jako westalki przez minione dwadzieścia lat, nie wyłączając Flawii. Dziś zostanie wyznaczony kurs, jaki *Atrium Vestae* obierze na następną dekadę.

Zważywszy na wszystko, co wydarzyło się podczas kolacji w cyrku, Flawia była pewna, że nie zostanie nową przełożoną.

Gdy obudziła się tego ranka, od razu wróciła myślą do chwili, kiedy dwadzieścia lat temu sama została wybrana przez cesarza Tyberiusza. Był to dla niej, wówczas dziewięciolatki, dzień pełen przytłaczających emocji. Duma z wybraństwa. Wstyd, bo ogolono jej głowę. Lęk i smutek, gdyż w tak młodym wieku rozdzielano ją z rodziną. Dziesięć lat później, kiedy wybierano nową grupę przyszłych westalek, Flawia współczuła tym małym dziewczynkom. Widziała strach w ich oczach, gdy Tyberiusz kładł im rękę na głowach i wybierał na kapłanki. Patrząc na tę scenę, ponownie przeżywała emocje, które sama czuła dekadę wcześniej.

Teraz, patrząc na tę grupę dziewczynek, wytwornie wystrojonych, z długimi włosami kunsztownie zaplecionymi w warkocze, chłonących otoczenie pełnymi lęku spojrzzeniami wielkich oczu, czuła, że znów narastają w niej emocje.

Zwróciła uwagę na dziewczynkę imieniem Rubria Corvus Sergia, która wyglądała na najmłodszą z kandydatek. Była chuda jak tyczka, miała długie, ciemne włosy i wielkie, brązowe oczy, które zdawały się wszystko zauważać. Rysy miała delikatne i drobne, a jej zęby zdawały się za duże w stosunku do ust. Była nieco niższa od pozostałych. Flawia przypuszczała, że dopiero co osiągnęła wiek uprawniający ją do udziału w konkursie.

Kiedy Rubria mówiła, jej słowa były pełne dramatyzmu. Flawia od razu poznała, że dziewczynka przypadnie do gustu Kaliguli. Każde wypowiedane przez nią zdanie cechowały radość i niewinność sześciolatki. Rozglądała się po domu westalek, zadawała pytania i słuchała z wielkim podziwem, gdy Flawia i inne kapłanki opowiadały o posągach, ogrodzie i wiecznym ogniu.

Sposób selekcji kandydatek przez cesarza nie był uregulowany jakimiś ścisłymi zasadami. Tyberiusz przeprowadzał ją prosto. Zadawał dziewczynkom mnóstwo pytań i dokonywał wyboru, biorąc pod uwagę urodę i inteligencję kandydatek. Flawia przypominała sobie to uczucie, jakiego doznawała, gdy imperator przechadzał się przed rzędkiem kandydatek, w którym stała, przyglądając się im uważnie. Pamiętała jego pytania i swoje nerwowe odpowiedzi. Najmocniej jednak utkwiał jej

w pamięci uśmiech, z jakim położył jej ręce na głowie i ramieniu, nazywając ją *amata*, ukochaną.

Nie było zaskoczeniem, że Kaligula obrał inną metodę. Ustawił w rzędku dwanaście finalistek, a rodzicom kazał stanąć za nimi. Wędrował wzdłuż szeregu, pochylając się i przyglądając twarzom dziewczynek. Oceniając je, przy okazji wygłaszał komentarze. Flawia rzuciła Kalpurnii wymowne spojrzenie, jakby przełożona westalek mogła jakoś utemperować cesarza i powiedzieć mu, że źle się zachowuje.

– Masz zbyt pękaty nos – rzekł Kaligula do drugiej w szeregu dziewczynki. W jej oczach pokazały się wielkie łzy.

– Masz za duże uszy. Może do nich dorośniesz – odezwał się do innej kandydatki.

Następna miała krzywe zęby. Kiedy jej to wytknął, reszta dziewczynek przestała się uśmiechać.

Flawia nie mogła już tego znieść. Patrzyła, jak dziewczynkom zwisają ramiona i drżą wargi.

– Czasami w tym domu przydaje się odrobina beztroski – rzekła na głos. Oczy wszystkich zwróciły się na nią, zebrani w sali wstrzymali oddech. – A poza tym nikt z nas nie jest doskonały.

Zwłaszcza ty, miała ochotę dorzucić.

Kaligula wpatrywał się w nią przez chwilę, żyły na szyi mu pulsowały.

– Może gdyby moi poprzednicy bardziej się starali, doskonałość nie byłaby tak odległym celem – odezwał się.

Policzki Flawii pokrył rumieniec. Gdyby nie była tak rozgniewana, pewnie rozśmieszyłaby ją ta odpowiedź. Oto ktoś o wychudłej szyi, blisko osadzonych, wylupiastych oczach i okrągłej, zbyt dużej twarzy krytykuje urodę innych! Flawia była w stanie wymyślić z tysiąc krytycznych uwag pod adresem imperatora. Gdyby chciała mu odpłacić pięknym za nadobne, mogłaby pokazać, kto ma ostrzejszy dowcip.

Ugryzła się jednak w język. Nie można upokarzać najpotężniejszego człowieka w Rzymie i pozostać przy życiu.

Kaligula, zadowolony, że to do niego należało ostatnie słowo, znów zaczął oceniać drżące, małe dziewczynki.

– Musisz więcej jeść – powiedział do Rubrii.

– Mój ojciec też tak mówi – odparowała natychmiast.

Była pierwszą dziewczynką, która mu odpowiedziała, i to chyba zaskoczyło Kaligulę. Ruszał już dalej, ale odwrócił głowę i uśmiechnął się.

– Więc powinnaś słuchać swego ojca.

Zakończywszy przegląd kandydatek, cesarz zaczął stawiać dziewczynkom pytania, sprawdzając ich wiedzę z zakresu polityki, dramatu, sztuki, historii i ję-

zyków. Następnie wszyscy udali się za nim do pałacu cesarskiego, na jego prywatny dziedziniec. Tam Kaligula wsadzał kandydatki na swego ulubionego konia, Incitatusa. Rumak był dobrze ułożony i nawet te spośród dziewczynek, które ogarniało skrajne przerażenie, ponieważ nigdy dotąd nie jeździły konno, utrzymały się na jego grzbiecie. Niektóre z dziewcząt, w tym Rubria, wyglądały, jakby urodziły się w siodle, i nawet przynagliły rumaka do krótkiego klusa. Wszystkie dziewczynki wydawały się niezwykle małe, gdy tak siedziały na ogromnym i wspaniałym zwierzęciu.

Kiedy Kaligula już przekonał się, jak dziewczynki jeżdżą konno, kazał rodzinom czekać w pałacu, a sam zabrał kandydatki i westalki do wypielęgowanego ogrodu pałacowego. Tam, ku zaskoczeniu Flawii, ujrzeni jagnięta. Były śnieżnobiałe, przypominały kłębki wełny z małutkimi pyszczkami i przyglądały się podejrzliwie intruzom. Jak się okazało, nie bez powodu.

Kaligula powiedział dziewczynkom, że ważną częścią zaszczytnej służby westalek jest sprawowanie ofiar w imieniu obywateli rzymskich.

– Czasami tą ofiarą będzie cielna jałówka. Czasem kozioł. Czasem jagnię. – Spojrzał na wstrząśnięte twarze dziewczynek. – Musicie się nauczyć, jak poderżnąć im gardło tak, by krew spłynęła na ołtarz. Jeśli nie potraficie tego zrobić, nic tu po was.

Kazał sługom przynieść długie noże i wręczyć po jednym każdej dziewczynce.

– Pokażę wam, jak to się robi – rzekł Kaligula. – Chcę, żeby potem każda z was wybrała któreś jagnię i udowodniła mi, że też potrafi to uczynić.

Flawia wystąpiła naprzód.

– Czy to konieczne?

Tym razem, zanim Kaligula zdążył odpowiedzieć, wsparła ją Kalpurnia.

– Dostojny imperatorze, mamy swoje metody nauczania. Z całym szacunkiem dla twojej roli w wybieraniu westalek, sztuka składania ofiar to coś, do czego trzeba się długo przygotowywać.

Kaligula zeszywniał, już drugi raz tego dnia.

– Ja też znam sprawdzoną metodę nauczania. Popatrzą, jak ja to robię, a potem zrobią to samo.

Mówiąc to, odwrócił się plecami do Kalpurnii i ruszył wolno ku jednemu z jagniąt. Pochylił się gwałtownie, pochwycił ów żywy kłębek wełny i unióś go. Podeszedł do dziewczynek z drżącym i pobekującym jagnięciem w ramionach. Położył je na ziemi, przytrzymał i kazał dziewczynkom patrzeć, jak podcina mu gardło.

Z krwią na rękach i martwym jagnięciem u stóp spojrział na kandydatki.

– Która pierwsza? – spytał.

Kilka dziewczynek płakało. Rubria odwróciła się i ukryła twarz w szacie

Flawii. Żadna z kandydatek nie zrobiła kroku naprzód.

Uczyniła to jednak rozwścieczona Kalpurnia.

– Jak już powiedziałam, mamy własne metody uczenia dziewczynek sztuki składania ofiar. Właśnie przedłużyłeś tę naukę o kilka lat.

Flawia miała ochotę zakłaskać. Wreszcie ktoś z charakterem, na tyle twardy, by przeciwstawić się imperatorowi!

Wzburzony Kaligula spojrział na zakrwawiony nóż, który trzymał w dłoni, a potem przeniósł spojrzenie na Kalpurnię. Zlustrował też wzrokiem wszystkie westalki oraz dwanaście wstrząśniętych kandydatek. Rzucił nóż, ostrze utkwiło w ziemi u jego stóp.

– Spotkajmy się w domu westalek – warknął.

Ceremonii wyboru kandydatek nadal towarzyszyło napięcie. Dwanaście dziewczynek stanęło w rzędzie, za nimi rodzice. Kaligula podchodził do każdej ze zwyciężczyń i wyciągał dłoń.

– Wybieram cię, *amata*, ukochana, na kapłankę Westy, byś sprawowała święte obrzędy w imieniu ludu rzymskiego.

Pierwsze dwie dziewczynki zaczęły szlochać po wyborze, wstrząśnięte wczesniejszym koszmarnym przeżyciem. Flawia nie była zaskoczona, że trzecią, do której zwrócił się Kaligula, była Rubria. To dziecko dobrze się spisało.

Rubria trzymała głowę wysoko i odważnie powstrzymywała łzy. Usiłowała zmusić się do uśmiechu. Gdy Kaligula skończył wygłaszać tradycyjną formułę, Flawia wyczuła, że Rubria miała ochotę obejrzeć się za siebie i uściskać po raz ostatni rodziców. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego robić. Kiedy więc cesarz skończył mówić, z determinacją przeszła na tę stronę sali, gdzie stały westalki, i zatrzymała się przed Flawią. Flawia delikatnie położyła dłonie na ramionach dziewczynki i szepnęła jej do ucha tak cicho, że tylko Rubria mogła ją usłyszeć:

– Wszystko będzie dobrze. Zaopiekuję się tobą.

Po skończonym wyborze Kaligula stanął przed westalkami i oszacował je wzrokiem, by wyłonić nową przełożoną domu. Na krótką chwilę zatrzymał spojrzenie na Flawii. W jego oczach tliła się satysfakcja, jakby sprawiało mu wielką przyjemność to, że ją odrzuca.

Flawia nie była zaskoczona, gdy przeniósł wzrok na Adriannę. Krążyły już pogłoski o jej nocnych eskapadach do pałacu. Adrianna uśmiechnęła się do imperatora, bez wątpienia doskonale wiedząc, co teraz nastąpi.

– Jako *Pontifex Maximus* wybieram cię na przełożoną westalek – powiedział Kaligula do Adrianny. Wyciągnęła do niego rękę, a on ujął ją w swoją dłoń i pocałował.

Flawii chciało się wymiotować.

Adrianna wystąpiła naprzód i stanęła przy Kaliguli, patrząc na westalki. Przez następne dziesięć lat będzie nimi rządzić. Aż promieniała na myśl o tym.

Jednak Kaligula na tym nie skończył.

– Chcę wygłosić jeszcze jedno oświadczenie – zapowiedział dumnie. – Oświadczenie, do którego mam prawo jako *Pontifex Maximus*.

Flawia poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Z wyrazu twarzy imperatora zgadła, że szykuje się coś niemiłego.

– Jesteście najpotężniejszymi kobietami w państwie – rzekł Kaligula. – I jedynymi z najpiękniejszych. Są jednak i inne kobiety, równie wysoko cenione, a ja nie chcę czynić podziałów wśród obywateli. Jedni wolą was. Inni wolą owe kobiety. Mając na uwadze jedność w państwie i dbając o to, by wszyscy Rzymianie darzyli pozycję kapłanek Westy najwyższym szacunkiem, przyznaję przywileje westalek mojej babce Antonii, córce Marka Antoniusza i wiernej przyjaciółce Tyberiusza. Obdarzam też tymi samymi przywilejami moje siostry, Agrypinę i Liwillę. Nie zamieszkają z wami, lecz będą cieszyć się tymi samymi względami co westalki.

To był cios w plecy. Każda westalka zdobywała swą pozycję w ten sam sposób. Wszystkie przeszły selekcję, podobnie jak teraz Rubria. Każda poświęcała swe życie wiernej służbie Rzymowi.

A teraz Kaligula jednym słowem przyznawał te same przywileje członkom swojej rodziny!

Flawia zrozumiała od razu, że protesty na nic się nie zdadzą. Imperator już zmusił senat do posłuchu, a Rzym spełni każdą jego zachciankę. Jednak dom westalek już nigdy nie będzie taki sam.

– Witamy je wśród nas jako równe nam kapłanki Westy – odparła Adrianna.

Mów za siebie, pomyślała Flawia.

Tego wieczora Rubria zakradła się do pokoju Flawii i wślizgnęła się do jej łóżka. Flawia przytuliła dziewczynkę i pogłaskała ją po plecach, uspokajając, że wszystko będzie dobrze. Rubrii ogolono głowę, Tęskniła też za rodziną. I gnębiło ją coś jeszcze.

Spojrzała na Flawię oczyma pełnymi łez.

– Dlaczego miałyśmy zabijać jagnięta? – spytała.

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi, nie dla sześciolatki.

– Porozmawiamy o tym jutro – odpowiedziała Flawia. – Spróbuj zasnąć. Rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

Dwa lata później w trzecim roku panowania Gajusza Juliusza Cezara Augusta Germanika

Igrzyska nie wyglądały już tak jak dawniej. Na widowni widać było puste miejsca, w tłumie panowało napięcie. Flawia mogła mieć jedynie nadzieję, że jeśli ten upadek będzie się pogłębiał, ludzie stracą zainteresowanie. Może pewnego dnia nadejdzie kres igrzysk. Może Rzym zacznie bardziej przypominać Grecję, a sport nie będzie się wiązał z przelewem krwi.

Wszystko rozbijało się o pieniądze. Igrzyska Kaliguli podupadały, gdyż cesarski skarbiec pustoszał. Egzotyczne zwierzęta były niemożliwie drogie, podobnie jak gladiatorzy. Kaligula przepuścił już ponad dwa miliardy sestercji, które Tyberiusz pozostawił w państwowych szkatułach. Ostatnio Kaligula desperacko starał się zwiększyć fundusze państwowe.

Podniósł podatki. Opodatkował nowe rodzaje działalności, w tym prostytucję. W jednym ze skrzydeł pałacu założył burdel. Wszystkie testamenty, w których zapisano coś Tyberiuszowi, interpretowano jako zapis na rzecz Kaliguli. Jeśli jakiś bogaty obywatel rzymski zmarł, nie zostawiając Kaliguli hojnego spadku, unieważniano jego ostatnią wolę jako nie dość szczodłą, a cały majątek zmarłego przejmowało państwo.

Mimo to dochody wciąż nie dorównywały beztroskiej rozrzutności cesarza, na czym ucierpiały igrzyska. Tego dnia tłum powitał szyderstwami poranne, niezbyt udane polowanie na zwierzęta. Widownia zaczęła się zapełniać dopiero po obiedzie, kiedy przyszła pora na pojedynki gladiatorów. W połowie walk hałaśliwie obwieszczono przybycie Kaliguli.

Flawia siedziała już w cesarskiej łoży, kiedy trąbki i flety zapowiedziały nadejście cesarza. Na widowni tu i tam rozległy się gwizdy, choć większość obecnych wstała i powitała imperatora oklaskami. Flawia doskonale pamiętała igrzyska sprzed sześciu miesięcy, część wyzwoleńców wygwizdała wówczas cesarza, co skończyło się natychmiastowymi aresztowaniami. Kaligula kazał im wyrwać języki. Następnego dnia cała widownia mogła patrzeć, jak rzucono ich na pożarcie dzikim zwierzętom. Od czasu tego wydarzenia cesarza witano aplauzem niemal jednomyślnym, choć zdawkowym.

Kaligula przybył na te igrzyska, poświęcone czci jego zmarłej siostry Druzylli, przystrojony jak bóg, za którego się uważał. Miał na sobie długą szatę z błękitnego jedwabiu, ozdobioną klejnotami. Na szyi zawiesił sobie złoty łańcuch z wielką muszlą, co miało przypominać Rzymianom, że rok wcześniej poprowadził armię na północ, do Brytanii, zatrzymując się dopiero u brzegów Galii, gdzie przed

powrotem do stolicy kazał żołnierzom zbierać muszle.

Na szatę cesarz włożył napierśnik Aleksandra Wielkiego, który zrabował z grobowca wodza i przywdziewał na specjalne okazje. Okrągła, gładkolica twarz cesarza zmieniła wyraz, teraz bowiem okalała ją sztuczna broda przybrana złotem. W prawej dłoni Kaligula trzymał trójzab, symbol swej boskości.

Niespiesznie przeszedł na przód łoża cesarskiej i stał tam przez dłuższą chwilę, napawając się owacją. Z pogardą posłał swoim poddanym łaskawy uśmiech wszechmocnego boga. W końcu, długo po tym, jak ludzie zmęczeni się oklaskami, cofnął się i wrócił na swoje miejsce.

Flawia usiadła z powrotem dwa rzędy za cesarzem. Już samo to, że przebywała tak blisko tego człowieka, przyprawiało ją o mdłości. Kpił ze wszystkiego, co było dla niej ważne. Nienawidziła tych, którzy posiadając jakąś władzę, pozwalali imperatorowi na tak prostackie zachowanie. Teraz jednak mniej zważała na cesarza, bardziej interesował ją pewien pojedynek gladiatorów.

Manswet, po sześciomiesięcznej przerwie, miał znów walczyć i we Flavii kłębiły się emocje. Przyjęło się, że gladiator danego typu stawał do walki przeciw wojownikowi innej kategorii. Manswet występował jako Trak, z małą tarczą i zakrzywionym mieczem *sica*. Jako że jego głównymi cechami były szybkość i zwinność, zestawiano go przeważnie z gladiatorem w ciężkiej zbroi, takim jak *hoplomachus*.

Jednak Kaligula uwielbiał naruszać zwyczaje, dlatego dzisiaj w roli przeciwnika Mansweta obsadził gladiatora takiego typu, z jakim Manswet nigdy dotąd nie walczył – był to *retiarius*. Właśnie ten rodzaj gladiatorów, najlżej uzbrojonych, cesarz lubił najbardziej. *Retiarius* do ochrony miał metalową osłonę na lewym barku i skórzaną na ramieniu, ale jego jedyną broń stanowiły wielka sieć oraz trójzab. Taktyka była prosta – oplątać przeciwnika siecią i przeszyć go trójzębem.

Flawia widziała to już wiele razy. Wystarczyło, by przeciwnik wykonał jeden fałszywy ruch, a *retiarius* zarzucał nań swą wielką sieć. Potem zaciągał ją, by powalić przeciwnika na ziemię, i dobijał go trójzębem.

Manswet powinien zwyciężyć, lecz walka mogła przybrać nieoczekiwany obrót. Flawia była pewna, że jeśli jej faworyt upadnie na ziemię, zaplątany w sieć, Kaligula zwróci kciuk w dół.

Kiedy wreszcie Manswet i jego przeciwnik wyszli na arenę, Flawia czuła, że lada chwila eksploduje z nerwów. Gdy zapowiedziano walkę, nie klaskała wraz z całym tłumem.

Chociaż Manswet, noszący zbroję starożytnego greckiego plemienia Traków, miał uosabiać wroga, był ulubieńcem tłumu ze względu na swe radosne usposobienie i jasne loki. Wyszedł na środek areny i pomachał do zgromadzonych, obracając się wokół, by każdy mógł go podziwiać. Zwyciężył trzynastą razę z rzędu. Wygrywając jeszcze trzy pojedynki, mógłby zdobyć wolność.

Rozmawiał o tym z Flawią zeszłej nocy nad Tybrem. Wiedziała, że Manswet uwielbiał arenę. Jak większość mistrzów, uważał się za niezwycięzonego. Zawsze powtarzał, że gdy odzyska wolność, będzie chciał nadal walczyć, że ma to we krwi, że bogowie będą go chronić. Ale ostatniej nocy w końcu powiedział to, co Flawia tak bardzo pragnęła usłyszeć.

– Kocham arenę, Flawio, ale rzucę ją dla ciebie. Walka, w której zdobędę wolność, będzie moją ostatnią.

Spędzili razem prawie całą noc, rozmawiając o przyszłości. Chciał trenować innych gladiatorów. Pobiorą się, kiedy Flawia zakończy swą służbę w świątyni Westy. Jeszcze trzy walki i to wszystko stanie się możliwe.

Manswet podszedł do łoża cesarskiej i rzucił aż nazbyt oczywiste spojrzenie Flawii. Zerknęła na niego spod oka, karcąc go wzrokiem. I tak już ryzykowali, wymykając się po nocach na spotkania. Nie musiał obwieszczać ich znajomości całemu światu.

On jednak był niepoprawny. Karcącym spojrzeniem Flawia wskórała tylko tyle, że uśmiechnął się jeszcze szerzej, patrząc jej prosto w oczy. Później, w nocy, powie mu parę słów do słuchu. Zakładając, oczywiście, że zwycięży.

Gladiator skłonił się przed Kaligulą ze zwykłą swadą.

– Idący na śmierć pozdrawia cię!

Flawia nigdy nie opowiedziała mu o tym wieczorze, kiedy to Kaligula pocałował ją i nagabywał. Wiedziała, że gdyby Manswet się o tym dowiedział, wzięłby sprawy we własne ręce. Nawet jeśli znalazłby jakiś sposób, by zabić imperatora, nie przeżyłby następstw tego czynu.

Nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego. Jeszcze osiem lat i zakończy służbę dla Rzymu. Marzyła o przyszłości z Manswetem, o wycofaniu się z publicznego życia. Mogliby założyć rodzinę. Wychowywać dzieci. Wieść szczęśliwe życie.

Jej myśli gwałtownie wróciły do rzeczywistości, gdy Kaligula wstał z miejsca. Odwrócił się, jego wzrok padł na Flawię. Udawała, że tego nie zauważa, utkwivszy spojrzenie w gladiatorach.

– Flawio, dlaczego do mnie nie dołączysz? – zapytał cesarz. Wskazał na miejsce koło siebie.

Wprawdzie rok wcześniej imperator z wielką pompą poślubił kobietę imieniem Cezonia, żona jednak rzadko towarzyszyła mu podczas igrzysk. Miejsce obok cesarza zwykle zajmowała Adrianna.

Flawia udąla zaskoczenie prośbą imperatora.

– Dostojny imperatorze, nawet nie śmiałabym marzyć o zajęciu miejsca Adrianny.

Jednak Kaligula nalegał. Upokorzył Adriannę, odsyłając ją na tyły cesarskiej łoży.

Flawia niechętnie usiadła obok cesarza. Gladiatorzy zajęli pozycje, czekając na znak do rozpoczęcia walki.

– Po czyjej jesteś stronie? – zapytał Kaligula, nachylając się ku Flawii.

– Mansweta.

– Wszyscy kochają Mansweta. Zastanawiam się dlaczego.

Ta uwaga zmroziła Flawię. Imperator coś wiedział. To było w jego stylu – przebiegłe, pokrętne udawanie głupiego.

– Może ludziom podobają się jego potężne bicepsy – zauważył cesarz.

Flawia nic nie odpowiedziała.

– A może ta cudowna blizna na lewym ramieniu albo te urocze, jasne loki – ciągnął Kaligula.

Flawia znów go zignorowała. Najlepszym sposobem postępowania z Kaligulą było traktowanie go jak rozpuszczonego dziecka. Jakby w ogóle nie istniał.

– A może te piękne, białe zęby, gdy się uśmiecha.

Czyżby to była zazdrość? Nie, to musiało być coś więcej. Kaligula po raz pierwszy od dwóch lat znów zwrócił uwagę na Flawię.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie się rozpraszał, zerkając tak często w twoją stronę – dodał cesarz.

Flawii stanęło serce.

Imperator uniósł dłoń i walka się rozpoczęła.

Tłum od razu zaczął okrzykami dopingować walczących, wielu widzów powstało z miejsc. Pojedyńki, w których występował *retiarius*, zazwyczaj trwały krótko. Manswet tańczył wokół, szukając sposobności do ciosu. Trójzab przeciwnika był długi na osiem stóp, więc należało zachować dystans. *Retiarius* kilka razy zamierzył się bronią, lecz Manswet z łatwością blokował ciosy tarczą. Dwa razy uchylił się przed spadającą nań siecią.

Serce Flawii cały czas łomotało ze strachu, jak zawsze, gdy jej ukochany wychodził na arenę. Bała się, że to może być jego ostatnia walka. Zasłoniła dłonią usta i z trudem zmuszała się do patrzenia na pojedynek.

– Jest tak blisko – rzekł Kaligula. – Nie sądzisz?

Flawii wydawało się, że Manswet zachowuje odpowiedni dystans względem przeciwnika.

– Nie sądzę.

– Ach. Myślałaś, że mówię o sieci – odparł cesarz.

– Słucham? – spytała, nie spuszczać oka z walczących.

Kolejne zarzucenie sieci, kolejny unik Mansweta. Tym razem rzucił się na przeciwnika, lecz ten się odsunął i ponownie zamachnął siecią. Oplotła ona kolano Mansweta, a *retiarius* pociągnął za jej koniec, zwalając wysokiego przeciwnika z nóg.

Flawia wydała zduszony okrzyk.

– Tak! – krzyknął Kaligula, zrywając się na równe nogi.

Manswet przeturlał się po arenie, gdy *retiarius* natarł trójzębem, wbijając go w ziemię tuż obok leżącego. Gladiator zerwał się na równe nogi, a Flawia wypuściła powietrze z płuc.

Mało brakowało. Każda taka chwila zabierała jej dziesięć lat z życia.

Manswet uśmiechnął się i otarł czoło przedramieniem, jakby on też czuł, że o włos uniknął zguby. Tłum wrzeszczał z aprobatą, a Manswet ukradkiem rzucił spojrzenie w kierunku Flawii.

Patrz na przeciwnika.

– Wracając do tego, co powiedziałem – odezwał się Kaligula, gdy gladiato-
rzy podjęli swój śmiertelny taniec. – Chodziło mi o to, że Manswet jest tak blisko
wywalczenia sobie wolności. Jeszcze trzy pojedynki, o ile się nie mylę.

Flawia wzruszyła ramionami, jakby pierwszy raz o tym słyszała.

– Wygląda na wspaniałego wojownika – zapewniła.

– Nie tylko wspaniałego. Niezwyciężonego. Szkoda by było, gdyby takiemu
człowiekowi nie było dane posmakować wolności i stać się obywatelem.

Flawia miała ochotę wyciągnąć ręce i udusić imperatora. O czym, na Jowi-
sza, on mówi?

– Nie rozumiem – odparła chłodno.

Manswet chyba zdudził się walką. Stanął w bezpiecznej odległości od prze-
ciwnika, zniżył miecz i tarczę, jakby wręcz błagał, aby tamten ruszył i zwał się z
nim w bezpośrednim pojedynku. Jednak *retiarius* ani myślał tak postąpić. Nadal
krążył wokół Mansweta z siecią, potrząsając trójzębem. Widownia zaczęła się nie-
cierpliwieć, ten i ów krzyknął coś z niezadowoleniem.

– Jeśli dziś zwycięży, to pewnie spotkasz się z nim wieczorem nad Tybrem,
by to uczcić? – zapytał Kaligula.

Powiedział to przekornym tonem, lecz ta uwaga wprawiła Flawię w osłupie-
nie. Odwróciła się i spojrzała na niego, lecz imperator patrzył na walczących. Z
trudem oddychała, nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Myśli wirowały jej w gło-
wie. Skąd wiedział?

– Co masz na myśli?

– Dobrze wiesz, co. Adrianna powiedziała mi, że wymykasz się nocami.
Moim zadaniem jest chronić godność westalek, więc cię śledziłem.

Kaligula, jak doskonały aktor, pozwolił, by te oskarżenia wybrzmiały w
chwili ciszy. Flawia czuła, że dławi ją w gardle, gdy przez myśl przebiegały jej
możliwe konsekwencje tych zarzutów. Westalki, które złamały przysięgę czystości,
grzebano żywcem. Ich kochanków chłostano na śmierć na Forum. Co najbardziej
zatrważające, o ich winie lub niewinności decydował *Pontifex Maximus*, człowiek,
który siedział po jej lewej stronie.

– Manswet wydaje się raczej silny – zaobserwował Kaligula. – Zastanawiam

się, ile razy by wytrzymał, zanim wyzionąłby ducha.

Niewiele brakowało, a ta sprawa nie miałaby już najmniejszego znaczenia. Manswet wpadł w beztroskę, zaczął pokpiwać z przeciwnika i uśmiechać się do tłumu. *Retiarius* wypatrywał odpowiedniej chwili, rozpraszając uwagę Mansweta niezdarnymi próbami zarzucenia nań sieci, a gdy Manswet już całkiem się rozluźnił, tamten uderzył trójzębem nisko i mocno, niczym włócznią. Środkowy ząb przeszył prawą stopę Mansweta. Gladiator krzyknął z bólu. Próbował się wycofać, by uciec przed szybko zarzuconą siecią. Potknął się jednak i *retiarius* zdążył go złapać.

Flawia krzyknęła, gdy *retiarius* wycofał się i uniósł ramię, zamierzając się trójzębem, by przeszyć ciało Mansweta.

Ten jednak chwycił sieć i pociągnął z całej siły, aż przeciwnik stracił równowagę. Szczepiwszy się, leżeli na ziemi i walczyli wręcz, nie mając teraz wiele pożytku z broni. Manswet przewyższał przeciwnika siłą i wygiął mu ciało tak, że spoczywało w nienaturalnej pozycji.

Flawia miała ochotę odwrócić wzrok, ale nie potrafiła się do tego zmusić.

Wszyscy widzowie wstali z miejsc, a Manswet napiął swe potężne mięśnie i z głośnym trzaskiem złamał przeciwnikowi kark.

Tłum ryknął, a Flawia usiadła, nieco zdezorientowana. To, co się stało, było makabryczne, ale pojedynek na arenie należał w tej chwili do jej najmniejszych zmartwień.

Manswet wstał i zrzucił z siebie sieć. Upajając się wiewatami tłumu, pokuścił przed lożę cesarską. Idąc, powłóczył prawą nogą, znacząc piasek smugą krwi.

Kaligula zszedł po schodach na arenę, do Mansweta, i nałożył mu na głowę wieniec laurowy, znak zwycięstwa. Tłum obsypał gladiatora deszczem pieniędzy i innych darów, dowodów uwielbienia. Manswet kuśtykał wokół, ze stoickim spokojem zbierając tyle, ile dał radę unieść. Flawia widziała jednak, że jej ukochany pobiladł. Martwiła się, że stracił zbyt dużo krwi.

Manswet jakoś wytrzymał i zdołał opuścić arenę na własnych nogach. Kaligula wrócił na swoje miejsce przy Flawii, pochylił się ku niej i wyszeptał jej do ucha swoje ultimatum:

– Spędź ze mną noc w pałacu, a twoje uchybienia nad Tybrem zostaną wybaczone – oznajmił. – Zakosztujesz miłości z bogiem. Spróbuj odmówić, a zapłacicie za to oboje, ty i Manswet.

GLADIATOR

III IV V **VI** VII VIII IX X XI X

Cztery miesiące później

W czwartym roku panowania Gajusza Juliusza Cezara Augusta Germanika

Tego październikowego wieczoru, gdy wezwano mnie do świątyni Westy, powietrze było zimne i wilgotne. Miałem trzydzieści lat, nie wykazywałem już młodzieńczego, naiwnego idealizmu, lecz wciąż czułem takie samo poruszenie jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkałem Flawię. Wiadomości, które przyniósł jej posłaniec, były skąpe. „Chce się z tobą zobaczyć pewna westalka. Prosi, byś zaszczylił ją swą obecnością w świątyni, o północy. Będzie pilnować świętego ognia”.

Tego dnia ogoliłem się dwa razy. Pierwszy raz rano, jak to miałem w zwyczaju. Drugi raz późnym wieczorem. Włożyłem wyprasowaną, czystą togę. Na to, jako dodatkową ochronę przed jesiennym chłodem, zarzuciłem płaszcz z kapturem, lecz bez rękawów, zwany *paenula*.

Gdy powiadomiłem świątynnych strażników, kim jestem, pozwolili mi przejść, mówiąc, że Flawia mnie oczekuje. Zdenerwowany wspiałem się po schodach świątyni i bez pukania wszedłem do wielkiego, okrągłego atrium, zrzucając po drodze kaptur. Pośrodku atrium płonął na palenisku święty ogień, centralny punkt tego pomieszczenia. Przez cały czas pilnowała go któraś z westalek. Gdyby ogień zgasł, czuwającą przy nim westalkę mogłaby spotkać kara śmierci. Raz w roku każda rodzina w Rzymie zapalała pochodnię od świętego ognia, by przenieść go do własnego paleniska. Dlatego westalki, symbolicznie, były matkami całego Rzymu. Nie istniał rytuał równie święty jak pilnowanie wiecznego ognia.

Flawia siedziała na stopniu blisko świętych płomieni, które rzucały na jej twarz ciepłą poświatę. Gdy do niej podszedłem, wstała i podziękowała mi za przybycie. Jej oczy wyrażały smutek, który tylko podkreślał urodę westalki. Twarz miała wydłużoną i mizerną, jej też dało się we znaki napięcie, jakie wywoływały rządy Kaliguli. Tak jak większość z nas, była świadkiem niepohamowanego zła.

– Dobrze wyglądasz, Teofilu – powiedziała. Było to tylko grzeczne powitanie, lecz od razu dodało mi skrzydeł.

– Ty również.

– Całe szczęście, że tu jest ciemno – powiedziała Flawia i uśmiechnęła się – bo zauważyłbyś swoją omyłkę.

Zaproponowała, bym przy niej usiadł. Zdjąłem płaszcz i czekałem, aż wyjaśni, dlaczego mnie wezwała. Przez myśl przebiegały mi rozmaite przypuszczenia.

Nie traciła czasu na formalności.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – zaczęła niepewnym i stłumionym głosem – ale jestem niemal pewna, że wkrótce zostanę oskarżona o złamanie przyrzeczeń,

jakie złożyłam jako westalka.

Przerwała, a ja chłonałem tę nowinę. Czy miała na myśli to, co przypuszczałem?

– Kaligula jest przekonany, że uprawiałam miłość z gladiatorem Manswetem – ciągnęła. Zaskoczyła mnie jej szczerłość. Ze wszystkich ludzi wybrała do rozmowy akurat mnie. Podejrzywałem, że się zaczerwieniła, choć ciemność nie pozwalała mi tego dostrzec.

– Pamiętam, czego dokonałeś na procesie Aproniusza – dorzuciła. – Był dobrym, odważnym człowiekiem. To dlatego podjęłam się jego uwolnienia. Aproniusz jednak mógł się również pochwalić doskonałym obrońcą, reprezentującym go przed senatem.

Serce rosło mi z dumy, a zarazem starałem się obojętnie przyjąć wyznanie, że Flawia z rozmysłem uwolniła Aproniusza. Inni również chwalili tamtą mowę obronną, lecz uznanie ze strony Flawii znaczyło dla mnie o wiele więcej.

– A jednak przegraliśmy – odparłem, starając się, by zabrzmiało to odpowiednio skromnie.

– Może jednak nie. Może pewną westalkę tak natchnęła twoja mowa, że zmusiło ją to do działania.

– Jeżeli tak, to zarówno Aproniusz, jak i ja jesteśmy jej winni dozgonną wdzięczność.

– Świetnie. A więc może rozważysz moją prośbę.

Odwróciła się i spojrzała na mnie, kładąc rękę na mojej dłoni. Wiedziałem, że nie będę w stanie jej odmówić.

– Czy przyjmiesz moją sprawę i będziesz mnie bronił przed imperatorem? Czy zostaniesz adwokatem moim i Mansweta, podobnie jak byłeś nim dla Aproniusza?

Gdybym myślał jasno, lepiej zdałbym sobie sprawę, o co prosiła ta kobieta. Czyż nie powiedziała właśnie, że oskarżenia wniósł Kaligula? A przecież jako *Pontifex Maximus* to on miał rozsądzić, czy oskarżenia są słuszne. Ja zaś zdążyłem się już przekonać, co spotyka tych, którzy próbują stawiać opór temu tyranowi.

To jednak nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie myślałem jasno. Flawia przyćmiłaby nawet Kleopatrę.

– To będzie dla mnie zaszczyt.

Uścisnęła moją dłoń, pochyliła się i delikatnie pocałowała mnie w policzek.

– Miałam skrupuły, by cię o to poprosić – przyznała. – Nie chciałabym narażać twego życia na niebezpieczeństwo.

Dzięki za przypomnienie. Miałem ochotę powiedzieć to głośno, nie był to jednak dobry czas na ironię.

– Zrobię, co w mojej mocy. Obiecuję.

– Wiem. Dlatego cię o to poprosiłam. Czuję, że jesteś jedynym adwokatem,

któremu mogę zaufać.

Przez dłuższą chwilę omawialiśmy tę sprawę. Skąd wiedziała, że zostanie oskarżona? Jak wyglądały szczegóły? Kto wystąpi jako świadek? Jakie relacje łączą ją z imperatorem?

Ostatnie pytanie poruszyło ją. Zesztywniała i nawet w ruchomych cieniach wywołanych przez płomienie dostrzegłem, że w jej oczach zabłyśły iskry gniewu.

– Odrzuciłam jego awanse. Wciąż mi się naprzykrzał, mimo ślubu z Cezonią. Po części jego oskarżenia są próbą zemsty.

Według Flawii chodziło o noc po igrzyskach ku czci Druzylli. Wysoki rangą dowódca straży pretoriańskiej, człowiek imieniem Lucjan Aureliusz – przyjaciel Kaliguli z czasów dzieciństwa – stanął na straży przed domem westalek, skąd nakazano mu śledzić Flawię, gdyby próbowała się wymknąć. Lucjan był gotów zaświadczyć, że szedł jej śladem aż do Tybru i że był świadkiem zakazanej bliskości z Manswetem. Znałem Lucjana z czasów, gdy obaj byliśmy uczniami Seneki.

– Czy to prawda? – spytałem. – Czy spotkałaś się tamtej nocy z Manswetem?

Zawahała się, a ja domyśliłem się odpowiedzi. Kiedy przemówiła, głos miała zachrypnięty, jakby przełykała łzy.

– To ja naprzykrzałam się Manswetowi. To szlachetny człowiek i nie powinien tracić życia tylko dlatego, że potrzebowałam uczucia.

Mówiła to ze spuszczonego wzrokiem, lecz potem spojrzała na mnie. Dostrzegłem, że oczy ma mokre od łez.

– Ale czy to prawda? – powtórzyłem pytanie.

– Nie tamtej nocy, Teofilu. I to wszystko, co musisz wiedzieć.

49

Następnego dnia po moim spotkaniu z Flawią jej przypuszczenia się sprawdziły. Ona i Manswet zostali aresztowani i oskarżeni o przestępstwo podlegające karze śmierci, czyli o pogwałcenie przyrzeczeń kapłanki Westy. Flawia, jeśliby udowodniono jej winę, zostałaby zamurowana żywcem w grobowcu na Polu Nikczemników, z zapasami jedzenia i wody wystarczającymi na kilka dni. Manswet zostałby zachłostany na śmierć na Forum.

Słyszałem z wiarygodnych źródeł, że Manswet nie poddał się bez walki. Musiało go ująć aż sześciu pretorianów. Dwóch odniosło poważne rany.

Te same źródła donosiły, że Flawię wyrwali ze snu Lucjan oraz z tuzin innych pretorianów. Odczytali oskarżenia przeciwko niej, związali jej ręce i odprawdzili do lochu znajdującego się przy Schodach Gemońskich.

Nie pozwolono mi się zobaczyć z klientami, ale doszły mnie słuchy, że Flawii obcięto włosy – a właściwie nieudolnie oderżnięto je tuż przy głowie, tak że zo-

stały jedynie krótkie, nierówno sterczące kosmyki. Ubrano ją w długą, czarną tunikę i pozbawiono biżuterii. Nie pozwolono mi na spotkanie ani z nią, ani z Manswetem, mogłem ich zobaczyć dopiero za sześć dni, w przeddzień procesu.

Szybko rozniosła się wieść, że będę bronił zarówno gladiatora, jak i westalki, i nagle zyskałem niebywałą popularność. Poszedłem na targ kupić kilka rzeczy i posłuchać plotek. Kupcy nie pozwolili mi zapłacić za towar.

– Stocz dobrą walkę – zachęcali mnie cicho.

Przez następne kilka dni zaniedbywałem innych klientów, poświęcając każdą chwilę sprawie Flawii. Wiezorami chodziłem do łaźni, by rozładować frustracje w gimnazjonie, a potem przedyskutować strategię z Seneką w rogu *laconicum*. Omawialiśmy taktykę obrony, napelniając jednocześnie płuca parą.

Jako główny świadek miał wystąpić Lucjan Aureliusz. Twierdził, że śledził Flawię wspomnianej nocy i widział, jak uprawia miłość z Manswetem nad brzegiem Tybru. Kaligula wyznaczył oskarżyciela – moją dawną nemezis, Cypiona Kryspinusa. Ten przechwalał się po całym mieście, że dowody, które przedstawi, są nie do obalenia.

Nawet gdyby moi klienci zaprzeczyli oskarżeniom, a obaj z Seneką podejrzewaliśmy, że tak postąpią, ich głosowi przeciwstawiony zostanie głos Lucjana.

– Wiesz, czyje słowa Kaligula uzna za prawdziwe? – spytał Seneka.

– Lucjana, rzecz jasna. Będzie twierdził, że moi klienci kłamią, by ujść z życiem. – Wzruszyłem ramionami.

– Nie, jest na to za sprytny – odrzekł mój mistrz. – Istnieje taka legenda o westalce imieniem Tuccia, którą również oskarżono o złamanie przysięgi czystości. To się musiało wydarzyć setki lat temu. Świadczenia były niejasne, kazano jej więc udowodnić dziewictwo. Miała nosić do Tybru wodę w sianie. Woda się nie wylała i Tuccię uniewinniono. Wiem z pewnego źródła, że Kaligula wykorzysta ten precedens i przeprowadzi taki sam sprawdzian, jeśli świadectwa będą sprzeczne.

– Dzięki, że dodałeś mi otuchy – skwitowałem te rewelacje.

Czwartego dnia od aresztowania moich klientów stało się oczywiste, że Kaligula nie docenił popularności Mansweta. Chociaż sam nie byłem tego świadkiem, słyszałem, że kiedy Kaligula i Cezonia przybyli tego dnia do cesarskiej łoży w cyrku, widzowie powitali ich chóralnymi szyderstwami i gwizdami. Imperator rozglądał się gniewnie wokół, próbując namierzyć miejsce, z którego dochodziły hałasy. Potem, jakby na dany znak, po całym wielkim cyrku rozniosły się niskie, grzmiące okrzyki: „Uwolnij Mansweta!”. Kaligula naurągał tłumowi, odwołał igrzyska, odwrócił się na pięcie i odmaszerował do pałacu.

Jednak tego wieczora w łaźni Seneka nie był dobrej myśli.

– Nie mamy do czynienia z rozsądnym człowiekiem – zauważył. – Będzie jeszcze bardziej zawzięty niż zwykle.

W dzień Merkurego[14], na dwa dni przed procesem, tak się denerwowałem,

że nie byłem w stanie nic przelknąć. Godzinami przesiadywałem w swoim gabinecie, usiłując obmyślić przekonującą obronę. Odbywałem długie przechadzki. Próbowałem wygłaszać argumenty, ale trudno było mi się skupić. Wciąż myślałem o wyrafinowanym okrucieństwie Kaliguli, o jego wymyślnych sposobach upokarzania i torturowania wrogów. W pamięci mignęła mi tamta noc, kiedy mnie ukrzyżował. W dołku ścisłało mnie straszne przeczucie, że nie wykonam swego zadania jak należy. Stanę się tylko kolejnym celem gniewu Kaliguli, podobnie jak Manswet i Flawia.

Gdyby chodziło o innego klienta, ten strach zupełnie by mnie sparaliżował. Ale to była Flawia. Troskę o własne bezpieczeństwo ostatecznie przewyciężyła nadzieja, że mogę ją uratować. To nie miało sensu, ledwie ją znałem. Lecz przez wszystkie te dni, dzielące mnie od największego wyzwania mego życia, byłem w stanie myśleć tylko o niej. Szalona miłość przepędza lęk, nawet jeśli nie ma nadziei na wzajemność.

Moja pierwsza szansa na zwycięstwo pojawiła się, gdy w dzień Merkurego późno wieczorem wracałem do domu z łaźni po kolejnej długiej rozmowie z Seneką. Usłyszałem za sobą kroki. Ktoś szedł za mną, a potem zaczął biec. Odwróciłem się szybko, nękający mnie paranoiczny strach wyzwolił najgorsze podejrzenia.

Moim prześladowcą okazała się chuda, drobna dziewczynka w długiej, czarnej szacie. Jej twarz niemal całkowicie ocieniał kaptur.

– Mogę się z tobą przejść? – zapytała wysokim, przestraszonym głosem.

Mogła mieć osiem czy dziewięć lat, nie więcej. Ulice Rzymu o tak późnej porze nie były bezpiecznym miejscem dla takiego dziecka.

– Czy ja cię znam? – zapytałem.

Dopasowała do mnie tempo i powędrowaliśmy dalej razem.

– Nie. Mam na imię Rubria. Jestem z domu westalek.

Przystanąłem i popatrzyłem na nią.

– Idźmy dalej – poradziła. – To wygląda bardziej naturalnie.

Postąpiłem zgodnie z jej radą, zdumiony dojrzałością tej małej dziewczynki. Skręciliśmy w boczną uliczkę. Zerknąłem za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś nas nie śledzi.

– Chcę z tobą porozmawiać o sprawie Flawii – wyjaśniła Rubria. – Nie zrobiła tego, o co ją oskarżają. Chcę świadczyć na jej korzyść.

W parę chwil opowiedziała mi swoją historię. Wędrowaliśmy wolno. Na moją prośbę przeszliśmy raz na drugą stronę ulicy, gdyż chciałem sprawdzić, czy nie śledzą nas dwaj idący za nami w oddali mężczyźni.

Rubria poinformowała mnie, że była owego dnia na igrzyskach ku czci Druzylli. Widziała, jak Manswet skręcił kark przeciwnikowi. Widziała ukrzyżowanych ludzi. Widziała mężczyzn – oraz dwie kobiety – rozszarpywanych przez dzikie zwierzęta. Tamtego wieczoru, tak jak każdego innego, przemknęła się przez ko-

rytarz i wślizgnęła do łóżka kobiety, która była dla niej jak matka.

Wstrzymałem oddech, czekając, aż wypowie jej imię. To było niesamowite. Młoda i niewinna westalka, która mogłaby stać się naszym głównym świadkiem.

– Flawia pomogła mi zasnąć – oznajmiła mała Rubria. – Głaskała mnie po plecach i śpiewała kołysanki. Tamtej nocy spałam w jej łóżku.

– Byłyście razem przez całą noc? – spytałem. – Skąd wiesz, że nie wychodziła?

– Mam lekki sen. Gdyby to zrobiła, wiedziałabym o tym. Była w łóżku, gdy się obudziłam rano.

Od razu zacząłem myśleć jak prawnik. Kryspinus pewnie i znajdzie parę słabych punktów w opowieści Rubrii, jeśli tylko się dowie, że ma świadczyć w naszej sprawie. Mogłem przyprzeć Lucjana do muru pytaniami o dokładny czas spotkania Mansweta i Flawii nad Tybrem, które podobno widział. Nie będzie wiedział, że Rubria wystąpi jako nasz świadek.

– Pytanie, które teraz postawię, ma wielkie znaczenie dla sprawy – oznajmiłem. – Chcę więc, żebyś starannie przemyślała odpowiedź. Kiedy dokładnie weszłaś do sypialni Flawii?

Rubria nie wahała się ani chwili.

– Byłam przy niej przez całą noc. Po obiedzie przysłała do mojego pokoju i została tam aż do pierwszej straży, czyli do trzeciej godziny nocy, gdyż wiedziała, że przeżyłam ciężki dzień. Pocałowała mnie w czoło i powiedziała, żebym spróbowała zasnąć. Nie mogłam, chwilę później poszłam więc do Flawii. Resztę nocy spędziłam w jej pokoju.

Doskonale! Krew zaczęła we mnie szybciej krążyć, przyspieszyłem kroku. W końcu zdarzyło się coś, co pomoże mi w zadaniu. Lecz ta mała, biedna dziewczynka nie wiedziała, co się szykuje. Narobi sobie potężnych wrogów. Wiedziałem w głębi duszy, że powinienem ją ostrzec. Nie chciałem jednak ryzykować tym, że ją spłoszę.

– Jesteś pewna, że chcesz być świadkiem na procesie Flawii?

– Oczywiście.

– Cepion Kryspinus zada ci mnóstwo pytań. Będzie się starał udowodnić ci kłamstwo.

– Wcale mnie to nie martwi.

Byłem z niej dumny. Miała więcej odwagi niż większość rzymskich polityków, mężczyzn na tyle wiekowych, że mogliby być jej dziadkami.

– Gdyby była tu Flawia, powiedziała ci, ile to dla niej znaczy – powiedziałem. – Być może uratujesz jej życie.

Młoda westalka nie odpowiadała przez dłuższą chwilę. W końcu odezwała się słabym, niemal niedosłyszalnym głosem:

– Bez niej bym nie przeżyła. Proszę, nie pozwól, by coś jej się stało.

[14] *Dies Mercuri* – środa.

W przeddzień procesu mogłem wreszcie zobaczyć się z klientami. Najpierw odwiedziłem Mansweta, uwięzionego w lochu na obrzeżach Rzymu. W ciasnej, wilgotnej celi cuchnęło ekskrementami.

– Patrz pod nogi – ostrzegł gladiator, gdy strażnicy zatrzasnęli za mną żelazne drzwi. Na kostkach i przegubach Manswet miał kajdany. Okowy na nogach połączone były krótkim łańcuchem, który pozwalał wykonywać jedynie bardzo małe kroki.

Nigdy nie przebywałem tak blisko tego człowieka. Robił niezwykle wrażenie. Był wyższy ode mnie, potężnie umięśniony, lecz mimo to wyglądał, jakby już pukał do drzwi śmierci.

Od sześciu dni się nie golił. Jego jasne włosy były długie i skołtunione. Oczy nabiegły mu krwią, a skórę miał pokrytą brudem, ranami i sadzą. Jego prawa stopa, ta, którą cztery miesiące temu przeszył trójząb, była zaczerwieniona i spuchnięta, z rany ciekła ropa. Kiedy się odzywał, głos miał burkliwy, jak człowiek, który walczy z poważną chorobą. Wiedziałem, że gdybyśmy odnieśli zwycięstwo, od razu skłoniłbym mego przyjaciela Marka, by zajął się nim jako lekarz.

– Karmią cię tutaj?

– Nie nazwałbym tego jedzeniem – parsknął. – Ale jem.

– Musimy porozmawiać o naszej sprawie – zagailem. Wyjąłem woskowane tabliczki i rylec, by poczynić notatki. Usiadłem przy jednej ze ścian. Po drugiej stronie celi zauważyłem kilka szczurów, a oczy zaczęły mi łzawić od smrodu.

Nie wiem, czego się spodziewałem, idąc do tego lochu, ale na pewno nie tego. Miejsce było tak odrażające, że złamało nawet odporne go ducha Mansweta. Nie uśmiechał się już zaczepnie w obliczu śmierci, nie miał tej niezachwianej pewności, że zwyciężymy w procesie. Nawet kiedy mu powiedziałem, że mam świadka, który będzie zeznawał, iż owej nocy Flawia w ogóle nie opuszczała domu westalek, prawie nie zareagował.

Widziałem, że drży. Od czasu do czasu obejmował się rękoma, daremnie próbując się ogrzać. Wolno mrugał oczami, jakby samo otwarcie powiek stanowiło dlań wysiłek.

Ten człowiek był chory. Zastanawiałem się, czy nie dodają mu trucizny do jedzenia.

Zaprzeczył, jakoby łączył go cielesny związek z Flawią. Jako adwokat namawiałem go, by wyznał mi prawdę. Przysięga zobowiązywała mnie do zachowania tajemnicy. Chciałem tylko poznać fakty, bo to pomogłoby mi w pracy.

– Taka jest prawda – upierał się.

Flawia sugerowała co innego. Zacząłem notować coś na tabliczce, mając na-

dzieję, że ta chwila ciszy skłoni go do udzielenia bardziej otwartej odpowiedzi. Nic z tego.

– Widziałeś się z Flawią? – zapytał.

– Jeszcze nie. Spotkam się z nią później, po południu.

Zmrużył oczy – z pewnym wysiłkiem, jakby próbował się skupić.

– Mam jej coś przekazać od ciebie? – spytałem.

Patrzyłem, jak rozmyśla nad tym przez chwilę. Widziałem przecież, jak na igrzyskach wymieniali spojrzenia. Teraz zaś, z wyrazu przekrwionych oczu tego mężczyzny zgadywałem, że desperacko pragnie zapewnić Flawię o swej miłości. Jednak życie nauczyło go aż za dobrze, że nie może ufać nikomu.

– Powiedz jej, że mam się świetnie – rzekł w końcu, ważąc każde słowo. – I mam nadzieję, że ona także miewa się dobrze.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, Manswet pytał o proces. Czy będzie zakuty w kajdany? Gdzie będzie stał? Czy będzie tam obecny Kaligula? Nie powiedział tego wprost, lecz wiedziałem, że marzy, by zacisnąć ręce wokół chudej szyi imperatora. Wiedziałem, że Manswet, choć chory, potrafiłby pozbawić Kaligulę życia w mgnieniu oka.

Wiedziałem też, że ten wspaniały gladiator nigdy nie otrzyma takiej szansy.

Pierwsze pytanie Flawii dotyczyło Mansweta.

– Widziałeś go?

– Tak. Kilka godzin temu.

– Jak się czuje?

Miałem ochotę skłamać i dodać Flawii otuchy. Jednak jutro miała sama go zobaczyć, a ja nie chciałem, by przeżyła wstrząs tuż przed procesem.

– Wygląda na chorego. Przetrwa proces, ale to było sześć długich dni.

– Torturują go?

– Nie wiem.

Tullianum, w którym trzymano Flawię, znajdowało się na jednym z krańców Forum, u szczytu Schodów Gemońskich. Więźniów wrzucano tam przez otwór w sklepieniu, mnie też spuszczone tą drogą, bym odbył prywatne spotkanie z klientką.

Mogłem ocenić stan Flawii tylko przez krótką chwilę, gdy do celi wpadało światło. Potem strażnicy zasunęli na otwór w sklepieniu wielki, ociosany głaz i w pomieszczeniu znów zapanowała grobowa ciemność. Krótkie włosy westalki sterczały na głowie w nierównych kosmykach. Oczy miała zaczerwienione i opuchnięte, jakby wciąż płakała. Twarz była jeszcze bardziej wydłużona niż sześć dni wcześniej. Uwydatniły się kości policzkowe, oczy miała zapadnięte, skórę pokrytą brudem, obojczyk i ramię całe w obrzękach. Ten obraz, widziany tylko przez chwi-

lę, wyrył się w mojej pamięci.

Gdy znów zapadła ciemność, Flawia dotknęła mojej dłoni i usiedliśmy oboje na zimnym kamieniu.

– Jadłaś tu coś w ogóle? – zapytałem.

– Nie. Uznałam, że mogą próbować mnie otruć.

– Co piłaś?

– Wodę. Nie miałam wielkiego wyboru.

Moje oczy próbowały dostosować się do ciemności, lecz mrok był czarny jak sadza, bez promyka światła. Takie było to miejsce. Żadnej nadziei. Żadnej drogi ucieczki. Tylko absolutna, mroczna czerń, w której więźniowie rozmyślali o nieuniknionej śmierci.

Było tam również zimno. Tego dnia nie potrzebowałem płaszcza, lecz w tym wilgotnym lochu bardzo by mi się przydał.

Wstałem i rozwinąłem togę.

– Musi ci być zimno – powiedziałem.

– Nic mi nie będzie.

Dotknąłem jej ramienia.

– Wstań na chwilę.

Gdy wstała, owinąłem ją togą. Wyczuwałem kości jej obojczyków, chłód skóry. Żołnierze będą się śmiać, gdy wyciągną mnie stąd w samej tunice, lecz było warto.

– Nie musisz tego robić – powiedziała.

– Wiem.

Usłyszałem jakiś hałas po przeciwległej stronie celi.

– Szczury – wyjaśniła.

Nie mogłem sobie wręcz wyobrazić, jakim cudem Flawia nie postradała tu zmysłów. Znów przysiedliśmy na zimnym kamieniu.

– Przynajmniej one się najedzą – dodała. – Wciąż żyją, więc widocznie w jedzeniu nie było zbyt dużo trucizny.

Zaczęliśmy rozmawiać o zbliżającym się procesie. Flawia położyła mi rękę na ramieniu.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała, przerywając mój wywód. Z jej głosu wyczułem, że była bliska łez. – Nie miałam pewności, czy się zjawisz.

Chciałem jej powiedzieć, że nic by mnie od tego nie powstrzymało. Chciałem, by się dowiedziała, co tak naprawdę do niej czuję. Nie potrafiłem się jednak przemóc. Ona i Manswet byli moimi klientami. Musiałem zachować swoje uczucia dla siebie, byłem im to winien.

Opowiedziałem Flawii, co może ją czekać nazajutrz. Wyznałem, że mam dobre wieści. Rubria była gotowa zeznawać, że Flawia tamtej feralnej nocy nie opuściła domu westalek. Starłem się, by moje słowa brzmiały przekonująco. Rubria

będzie bezstronnym świadkiem, takim, jakiego nam było trzeba.

Flawia nic nie odpowiedziała.

– W porządku? – zapytałem.

– Nie pozwól jej zeznawać – zaproponowała. – Tamtej nocy nie było mnie w domu westalek. Nie pozwól, by Rubria skłamała pod przysięgą. Jeśli to zrobi, ona również straci życie.

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, Flawia krzyknęła i chwyciła mnie za ramię.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – To jeden z tych szcurków.

– Wstańmy – zaproponowałem.

– To nic takiego – zbagatelizowała sprawę. – Można się do nich przyzwyczaić. Po prostu na chwilę o nich zapomniałam.

Mimo to wstałem.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie było cię w domu tamtej nocy?

Odetchnęła głęboko.

– Byłam z Kaligulą – przyznała. W jej głosie nie było żadnych emocji. – Powiedział mi, że jeśli spędzę z nim noc, zostawi w spokoju mnie i Mansweta.

To wyznanie wprowadziło mnie w osłupienie. Nie mogłem sobie wyobrazić, że Flawia dała się zaszantażować cesarzowi.

– Uwierzyłeś mu?

Milczała przez dłuższą chwilę, zanim zdobyła się na odpowiedź.

– Byłam głupia, Teofilu. Wiedziałam jednak, jak łatwo może nas zniszczyć. Już wcześniej kazał Lucjanowi nas śledzić. Wiedziałam, że nas oskarży, uzna za winnych i zmusi mnie, bym patrzyła na śmierć Mansweta. Potem pogrzebaliby mnie żywcem, chyba tak właśnie myślałam... – Głos jej się załamał.

Znów usiadłem obok niej.

– Sądziłam, że Kaligula dotrzyma słowa – dodała.

– Ale tego nie zrobił? – z góry wiedziałem, jaka będzie odpowiedź.

– Nie. Jeden raz mu nie wystarczył. – Głos miała teraz mocniejszy, wściekłość przewyciężyła wstyd. – Nieważne, ile razy bym przyszła, jemu zawsze byłoby za mało. Odmówiłam kolejnego spotkania. Parę dni temu przedstawił nowe ultimatum. Jeśli nie wrócę do pałacu w ciągu dwóch dni, oskarży mnie i Mansweta. To dlatego cię wezwałam.

– A więc Rubria chce dla ciebie skłamać?

– Jeszcze kilka innych westalek wie, że wychodziłam tamtej nocy. Wie o tym Adrianna, a ona świadczyłaby przeciwko mnie. Nie możesz pozwolić Rubrii, by się w to wplątała.

Nie byłem pewien, co powiedzieć. Właśnie rozpadła się najlepsza możliwa linia obrony.

– Pozwól, bym to ja była świadkiem, Teofilu. Wyznam całemu światu, że po

igrzyskach spędziłam noc z cesarzem. Uwolnią przynajmniej Mansweta.

– A Kaligula stwierdzi, że kłamiesz. Każe ci nosić wodę w sicie albo wymyśli inną sztuczkę, żeby podważyć twoje świadectwo.

– Jeśli powiem prawdę o tamtej nocy, może bogowie uśmiechną się do mnie, a woda nie wyleje się z sita. Wiesz, kiedyś już tak się stało.

Nie wierzyłem w tę legendę i byłem prawie pewien, że Flawia również nie. Teraz jednak potrzebowała promyka nadziei, nawet mało prawdopodobnej.

– Wiem – przytaknąłem.

Gdy czas widzenia się skończył, Flawia chciała mi oddać togę, lecz jej nie wziąłem. Jakoś zniosę te kilka ironicznych spojrzeń i drwiących uwag. Nie wiedziałem jednak, czy ona zniesie kolejną noc w tym zimnym, strasznym miejscu.

Strażnicy odsunęli kamień w sklepieniu i znów zobaczyłem twarz Flawii. Wstaliśmy oboje, a strażnicy rzucili mi linę.

– Nie mogę obiecać, że jutro wszystko skończy się dobrze – powiedziałem. – Obiecuję jednak, że będę walczył ze wszystkich sił.

Zrobiła krok naprzód, położyła mi ręce na ramionach i ucałowała mnie w oba policzki.

Owinałem sobie linę wokół pasa i strażnicy wyciągnęli mnie z lochu.

Świt zastał mnie przy pracy. Przez całą noc przy świetle lampek oliwnych gryzmołem swoje argumenty na papirusie, a potem odrzucałem zwoje precz. Jak zawsze, gdy brakowało mi inspiracji, sięgnąłem po Cyncerona. Przeczytałem kilka jego najsłynniejszych mów i argumentów, lecz nic to nie dało. Rano doszedłem do wniosku, że sprawa jest przegrana.

Lucjan będzie świadczył, że przyłapał kochanków *in flagranti*. Adrianna zezna, że Flawia przez całą feralną noc była poza domem. Kryspinus zaś pewnie przekupi gladiatorów, którzy mieszkali w tych samych koszarach co Manswet, by zaświadczyli, że tamtej nocy on również przebywał poza domem.

Prawdę mówiąc, pewnie i tak było. Zapewne czekał przez całą noc nad Tybrem na kobietę, która wówczas znajdowała się w komnacie sypialnej cesarza.

Spojrzałem przez okno. Flawia była gotowa umrzeć, wspaniałomyślnie świadcząc, że złamała ślub czystości z imperatorem, a nie z Manswetem. Myśląc o tej gotowości poświęcenia własnego życia za kogoś drugiego, wspomniałem Naza-rejczyka. Nawet na krzyżu myślał o innych.

To przywołało kolejne wspomnienie – kobiety, którą spotkałem u stóp krzyża. Jej opowieść o tym, jak rabbi obronił niewiastę przyłapaną na akcie cudzo-łóstwa. Osądził jej oskarżycieli. Znalazł sposób, by dać im do zrozumienia, że sąd nad nimi będzie dotkliwszy niż ten, który czekał oskarżoną kobietę. Upuścili ka-mienie i odeszli.

Umysł zaczął mi szybko pracować. Czy podobna strategia zadziałałaby i tutaj? Oskarżenie o spędzenie nocy z westalką nie postawi Kaliguli w kłopotliwej sytuacji. W jakiś perwersyjny sposób ten człowiek będzie pewnie z tego dumny. Poza tym to on był sędzią i mógł po prostu od razu odrzucić oskarżenie Flawii.

Była jednak pewna sprawa, która mogła go martwić. Sprawa, którą był zdecydowany trzymać w tajemnicy. Coś, co zupełnie nie pasowało do jego wizerunku boga. Gdybym zagroził, że to ujawnię...

Pisałem teraz szybciej, czas bowiem uciekał. Proces miał się odbyć w południe, a ja nagle miałem dużo do zrobienia. Nie pochylę się wprawdzie i nie będę pi-sał na piasku, lecz jeśli bogowie pozwolą, moja metoda obrony okaże się równie skuteczna.

Na początek postanowiłem, że wypełnię salę zwolennikami Mansweta. Wy-słałem sługę do jego szkoły gladiatorskiej z listem do *lanisty*, prosząc go, by po-mógł mi ściągnąć zwolenników oskarżonego na proces. Wstąpiłem do bazyliki julijskiej, gdzie brylowali pretorzy. Rozesłałem wieść wśród moich przyjaciół

prawników.

Nie będziesz chciał tego przegapić. Może poproszę o walkę między Manswetem a Lucjanem, która potwierdziłaby, kto z nich mówi prawdę. Może zasugeruję, by Flawia nosiła wodę w sicie. A może Mansweta przyłapano z jakąś inną westalką.

Wstąpiłem na targ i tam również napomknąłem, że zbieram widzów. Rozsiałem wszelkie możliwe plotki, podsycając zainteresowanie procesem, który i tak już postawił na nogi cały Rzym.

Na godzinę przed rozprawą wróciłem do domu, całkiem wykończony. Nawet bez moich skromnych wysiłków sala sądowa w pałacu cesarskim pewnie będzie wypełniona po brzegi. Miałem jednak nadzieję, że tłum zgromadzi się także za wielkimi drzwiami z brązu i na ulicy. Liczyłem na to, że tłum będzie stanowił przeciwwagę dla licznych gapiów, którzy czekali bez tchu przed senatem na pierwszą mowę Kaliguli. Imperator może i był szaleńcem, ale łaknął popularności. Dziś otrzyma swoją szansę.

Najkrótsza droga z mojego domu do pałacu cesarskiego na Palatynie nie wiodła przez Forum, wybrałem więc określną trasę. Był cudowny jesienny dzień. Panował rześki, lecz nie przejmujący chłód. Lśniaca zieleń liści ustąpiła miejsca rozmaitym odcieniom brązu i żółci. Przechodnie nie wzbijali kurzu, jak w lecie, północno-zachodni wietrzyk strącał ostatnie liście z drzew, a stada ptaków szybowały w jego powiewach.

Niespiesznie przemierzałem Forum, pozdrawiając znajomych szerokim uśmiechem, przypominając im, że nie powinni stracić tak wspaniałego widowiska, jakim będzie proces, który zaraz ma się rozpocząć. Namawiałem ich, by przyprowadzili przyjaciół. Gdy opuszczałem plac, towarzyszyło mi co najmniej pięćdziesiąt osób.

Wieść szybko się rozniosła, miałem też za sojusznika ludzką naturę. Rzymianie uwielbiali dobre widowiska! Kiedy zacząłem się piąć zboczem Palatynu, za mną ciągnęły już setki ludzi.

Mój wysiłek okazał się zbędny. Minąwszy zakręt, gdzieś w połowie brukowanej ścieżki ujrzałem czekający już tłum. Były tam tysiące ludzi. Wszyscy cisnęli się i przepychali, by znaleźć się jak najbliżej wejścia do wielkiej sali sądowej. W rześkim jesiennym powietrzu wyczuwało się napięcie. Próbowałem precyzyjnie się do drzwi, oznajmiając, że jestem adwokatem Mansweta i Flawii, lecz trwało to długo.

Byłem mniej więcej w połowie schodów, gdy drogę zatarasowali mi dwaj gigantyczni mężczyźni. Gdy dowiedzieli się, że jestem adwokatem Mansweta, chwycili mnie za przedramię i walnęli przyjaźnie w plecy. Przedstawili się jako

gladiatorzy ze szkoły Mansweta. Postanowili, że będą moją osobistą eskortą. Utorowali dla mnie ścieżkę w tłumie widzów, krzycząc na ludzi, by zeszli na bok, i spychając ich z drogi, jeśli nie rozstępowali się dość szybko. Zwykli obywatele klepali mnie po ramieniu i życzyli mi szczęścia. Niektórzy próbowali dotknąć gladiatorów, a ja byłem zaskoczony popularnością, jaką cieszyli się ci ludzie.

Sala sądowa była nabitą widzami, chociaż straż pretoriańska okazała na tyle rozsądku, że ograniczyła liczbę osób, którym wolno było wejść do środka. Jako adwokat nigdy jeszcze nie broniłem sprawy przed samym cesarzem.

Sala była przynajmniej pięć razy większa niż dziedziniec pretorium w Jerozolimie. Było to imponujące miejsce, zdobione marmurem, złotem, kunsztownie rzeźbionymi posągami oraz potężnymi kolumnami. Podium, na którym ustawiono fotel sędziowski, dzieliło od drzwi co najmniej czterysta stóp. Za Kaligulą będzie stało przynajmniej dziesięciu asesorów, gotowych pospieszyć z radą. Z przodu sali stał rząd wymownych posągów wielkich cesarzy rzymskich. Długi balkon wypełniony był trębaczami, którzy mieli obwieścić przybycie wielkiego cesarza. Podium, na którym stał fotel dla Kaliguli, było wysokie na trzydzieści stóp. Wszystko wokół obliczono na to, by oskarżony poczuł się mały i nic nieznaczący, a imperator wydawał się wszechpotężny.

Ja sam poczułem się naprawdę nieistotny.

Pretorianie dopilnowali, by przed trybunałem pozostało sporo pustej przestrzeni, a sami stanęli wokół w półokręgu, trzymając straż i odgradzając to miejsce od tłumu wielkimi, prostokątnymi tarczami. Pozwolono mi przekroczyć linię strażników i zająć miejsce naprzeciwko wielkiego podium, gdzie miał zasiąść Kaligula. Cepion Kryspinus, z gładko przyczesanymi siwymi włosami i szerokim uśmiechem na twarzy, zasiadł już po drugiej stronie. Zauważyłem, że nawet on wydawał się podenerwowany. Przeglądał przyniesione zwoje i rzucał niespokojne spojrzenia za siebie, na swoich świadków.

Podszedłem do niego, by się przywitać.

– Przyprowadziłem paru przyjaciół – powiedziałem.

– Przybędzie też jeden z moich – odpowiedział z uśmiechem. – I zasiądzie tam wysoko, na podium.

W południe doszło do pewnego zamieszania, gdy grupa mężczyzn sforsowała tłum stojący przy wielkich, otwartych drzwiach. Mansweta otaczało co najmniej dwudziestu pretorianów w pełnym rynsztunku. Kostki i przeguby miał skute kajdanami. Powłócząc nogami, wolno postępował na przód sali.

Za nim weszła Flawia, prowadzona przez dwóch żołnierzy. Ona również miała na sobie kajdany, lecz przynajmniej pozwolono jej włożyć białą, czystą szatę, choć ze swymi postrzępionymi włosami, poranioną skórą i wielkimi, migdałowymi oczyma sprawiała wrażenie szalonej.

Gdy tych dwoje stanęło z przodu, tłum zebrany w sali zaczął klaskać. Do

oklasków przyłączyli się ciekawscy stojący za drzwiami, na portyku i na wielkich trawnikach otaczających pałac, gdzie owacja przeszła w ogłuszający, nieprzerwany ryk. Gdy wrzawa zaczęła przycichać, nastąpiło skandowanie: „Man-swet!”, które rozbrzmiało w sali i odbiło się echem od jej kamiennych ścian.

Potężny mężczyzna, odziany tylko w tunikę, uniósł głowę i uśmiechnął się.

Strażnicy zmusili oboje oskarżonych, by stanęli pośrodku sali, przed wielkim podium, na którym miał zasiąść cesarz. Za nimi ustawili się szeregiem żołnierze, wyprostowani, w postawie na baczność. Flawia i Manswet mieli tu stać przez cały czas, aż do zakończenia procesu – mając za plecami tłum widzów, z których każdy mógł się im przyglądać, próbując odgadnąć ich reakcje.

Flawia zerknęła przez ramię i pochwyciła moje spojrzenie. Pozdrowiła mnie skinieniem głowy, a ja odpowiedziałem tym samym. Stała zaledwie o kilka stóp od swego ukochanego. Domyślałem się, że desperacko pragnie wyciągnąć rękę i chociaż go dotknąć.

Manswet nie wyglądał dobrze. Prawą stopę i kostkę miał napuchniętą i błądą. Nie trzeba było lekarza, by odgadnąć, że jeśli jakimś cudem zachowa życie, może stracić nogę.

Nie była to jednak pora na takie zmartwienia. Zabrzmiały fanfary, od ostrych dźwięków zadzwoniło mi w uszach. Trąbkom zawtórował przenikliwy pisk fletów. Na okrzyk liktora otworzyły się ogromne, pozłacane drzwi za fotelem sędziowskim, również pozłacanym.

Do sali wkroczył Kaligula, przyodziany w purpurową szatę, z wieńcem laurowym na głowie. Przeszedł na przód podium i omiótł wzrokiem zatłoczoną salę.

Tuż za nim stało kilku asesorów. Naszło mnie nagłe wspomnienie procesu Nazarejczyka. A więc tak czuje się człowiek stojący po przeciwnej stronie. Bałem się, że ugną się pode mną kolana.

– Odczytać oskarżenia! Niech rozpocznie się proces! – nakazał cesarz.

Liktor odczytał zarzuty, a Kaligula zajął swoje miejsce. Potężny cesarz nie musiał stać podczas rozprawy, w przeciwieństwie do prefektów prowincji.

Skinął głową na Kryspinusa.

– Najpierw wysłucham oskarżyciela.

Cepion Kryspinus powstał ze swego miejsca i spiorunował wzrokiem oskarżonych.

– Kobiety nie może spotkać większy honor niż zaszczytna funkcja westalki – zaczął śmiertelnie poważnym tonem. – To one pilnują wiecznego ognia w imieniu wszystkich Rzymian, są uświęconymi strażniczkami tego paleniska. W zamian składają świętą przysięgę.

Odwrócił się do Kaliguli.

– Najdostojniejszy imperatorze, ta kobieta przysięgła na imię boskiego cesarza, że pozostanie dziewicą, dopóki nie skończy się jej służba. Wiemy z historii, że westalki rozumieją, iż trzydzieści lat czystości to niewielka cena za wysoką pozycję w społeczeństwie, jaką otrzymują. Najlepsze miejsca na igrzyskach. Główna rola w sprawowaniu ofiar. To one przechowują najważniejsze dokumenty, w tym twój testament, najdostojniejszy. Poza tym, jak zademonstrowała ta oto kobieta, mogą decydować o życiu i śmierci obywateli.

Wygłaszając te argumenty, Kryspinus krążył wokół oskarżonych. To był jego żywioł. Dla tego narcyza sala sądowa była teatrem, a on, jako oskarżyciel, gwiazdą Rzymu. Nie pominął żadnej sposobności do teatralnych gestów. Dźgał powietrze wyciągniętym palcem, zamasyście i ekspresyjnie wymachiwał prawym ramieniem, w jednej chwili podnosił głos od szeptu do gromkiego krzyku.

– Kiedy Aproniusz miał ponieść karę śmierci za skandaliczne uwagi, jakie odważył się wygłaszać pod adresem twego dziadka, padł na niego cień Flawii i natychmiast go uwolniono. Pomyśleć, że ktoś może posiadać tak niebywałą władzę. – Widziałem, że w oczach Kryspinusa tli się zawiść. Swoim czynem Flawia sprzątnęła mu sprzed nosa cały majątek Aproniusza.

– W świetle tego, co wiemy dzisiaj, czy ktoś jeszcze wierzy, że spotkanie tej westalki ze skazanym Aproniuszem było dziełem przypadku? Ilu jeszcze zdrajców ułaskawi takim nieodpowiedzialnym wyskokiem, jeśli dziś ją uniewinnimy?

Zauważyłem, że większość jadu Kryspinusa skrupiła się na Flawii. Wyzwoleńcy podpierający tylne ściany już zaczęli szemrać. Zapewne wyczuli, podobnie jak ja, że te ataki osiągnęły zamierzony efekt. Kaligula siedział sztywny jak posąg, śledząc wzrokiem spacerującego Kryspinusa, i od czasu do czasu rzucał pogardliwe spojrzenie na więźniów.

– Dobrze wiesz, najdostojniejszy, że westalka jest poślubiona państwu, więc jej kontakty seksualne z którymś z obywateli równają się kazirodztwu. Takie zaś przestępstwo zawsze karano śmiercią. Słowo westalki uznaje się za święte – przyznał Kryspinus. – Lecz są od tego wyjątki. Gdy Flawia będzie świadczyć w swojej obronie, o ile w ogóle podejmie taką próbę, jej słowa należy traktować z największą

szą podejrzliwością. Zwłaszcza że usłyszemy też zaprzysiężone zeznanie innej kapłanki, przełożonej dziewic, która powie nam, że owej nocy Flawii nie było w domu westalek. Przebywała wtedy w towarzystwie tego człowieka, łamiąc swe śluby nad brzegiem Tybru.

Martwiłem się, widząc, że Manswet gotuje się z wściekłości. Muskuły napięły mu się za każdym razem, gdy Kryspinus podszedł bliżej. Mięśnie mu się prężyły, pięści się zaciskały, łydki sztywniały. Modliłem się, by nie zadał ciosu. Wiedziałem, że Kryspinus nie miałby nic przeciwko temu.

– Wiemy, wielki imperatorze, że wyczytałeś coś w oczach Mansweta na igrzyskach Druzylli, gdy gladiator zatrzymał wzrok na Flawii. Coś ci podpowiedziało, że w tym spojrzeniu kryje się więcej niż zwykły podziw dla urody westalki. Wtedy poprosiłeś Lucjana Aureliusza, dowódcę straży pretoriańskiej, by tej nocy czuwał pod domem westalek i śledził Flawię, jeśli się pokaże. Dowódca opisał nam pod przysięgą, co wtedy zobaczył... Manswet walczy na arenie z niewiarygodnym męstwem. Prawie cały Rzym go wielbi, i słusznie. Lecz tak jak każdy człowiek, również i on ma swoją słabość.

Oskarżyciel przerwał i podszedł do Flawii, zatrzymując się tuż przed nią. Zauważyłem, że stojący obok westalki Manswet uniósł skute dłonie na wysokość pasa, a kark nabiegł mu krwią.

– Ta kobieta bezwstydnie wykorzystała ową słabość. Obnosząc się ze swą urodą, skusiła Mansweta, zwabiła go w swoją sieć. Miała być matką Rzymu, a stała się jego nierządnicą!

Kryspinus jeszcze miał te słowa na ustach, gdy Manswet rzucił się na niego i powalił go na ziemię. Próbował opleść ramiona wokół głowy Cepiona, by udusić go łańcuchami przymocowanymi do nadgarstków, ale oskarżyciel zwinął się w kłębek, przyciskając głowę do piersi. W mgnieniu oka na Mansweta rzucił się z tuzin strażników, jakby Kryspinus już wcześniej zapowiedział im, że może do tego dojść.

Zerwałem się na równe nogi, by dołączyć do walki, lecz odepchnął mnie jeden ze strażników. Pozostali rozdzielili obu mężczyzn. Zauważyłem, że Kryspinus, padając na marmurową posadzkę, rozciął sobie czoło.

Tłum napierał, lecz powstrzymały go tarcze i włócznie straży pretoriańskiej.

W powstałym chaosie dał się słyszeć okrzyk Kaliguli, przywołującego zebranych do porządku.

Gdy wreszcie zapanował spokój, Mansweta otoczyło sześciu gwardzistów. Jeden z nich przyłożył nóż do szyi gladiatora. Pierś Mansweta wznosiła się w ciężkim oddechu, mięśnie miał napięte jak struny. Wzrok wbijał wciąż w Kryspinusa. Było to mordercze spojrzenie, od którego przeszły mnie ciarki.

– Przez resztę procesu więzień będzie klęczeć – nakazał Kaligula.

Manswet ani drgnął.

Kaligula skinął na strażnika stojącego na podium. Ten zszedł z wielką, drewnianą pałką w ręku.

– Na kolana – rozkazał imperator.

W tłumie rozległy się okrzyki protestu. Sądziłem już, że dojdzie do ruchów. Spojrzałem za siebie i zobaczyłem, że ludzie prą do przodu, unoszą pięści, gotowi runąć lawiną w obronie swego bohatera. Gdyby to zrobili, zginęliby z rąk gwardzistów.

Kiedy jednak strażnik zamierzył się pałką, Manswet padł na kolana i zwiesił głowę. Jeden z gwardzistów zarzucił mu sznur na szyję. Dwaj inni stanęli po bokach gladiatora, trochę dalej niż na wyciągnięcie ręki, trzymając za końce liny. Czwarty stanął za Manswetem, z obnażonym mieczem w ręku.

Dowódca wydał rozkaz:

– Jeśli spróbuje się ruszyć, zabijcie go.

Kryspinus wygładził togę, otarł czoło z krwi chustką, którą mu wręczono, i wrócił na swoje miejsce. Tłum zaczął skandować imię Mansweta, lecz Kaligula nakazał ciszę. Żołnierze poturbowali kilku widzów, którzy próbowali wznowić skandowanie, i wrzawa ucichła.

W końcu cesarz zwrócił się do mnie.

– Możesz rozpocząć mowę obronną.

– Miałem zamiar zaproponować, by o wyniku rozprawy zdecydował pojedynek na śmierć i życie między Manswetem a Cepionem Kryspinem – zacząłem – ale widzę, że ten punkt programu mamy już za sobą.

Kaligula nie uśmiechnął się, czego zresztą nie oczekiwałem. Chciałem tylko zademonstrować nieco zuchwałości na znak, że się nie boję. Prawda jednak była inna – ledwie trzymałem się na nogach.

Próbowałem sobie wyobrazić, że spaceruję brzegiem Morza Egejskiego. Wzięłem głęboki oddech, żeby mówić „z przepony”, czyli lepiej ustawionym głosem.

– Przypadek, z którym mamy dziś do czynienia, jest prosty – oznajmiłem. – Oskarżenia są fałszywe, a moi klienci niewinni. Lucjan Aureliusz się pomylił.

Ruszyłem naprzód, by zrównać się z Flawią i Manswetem. Nie miałem zamiaru zamieniać mego wystąpienia w teatr, tak jak wcześniej Kryspinus. Moje postępowanie miało być daleko subtelniejsze.

– Manswet zaświadczy, że nie łączył go z Flawią żaden niedozwolony związek. Z całym szacunkiem podpowiadam cesarzowi, że ten człowiek udowodnił już swoje męstwo i jego słowu należy ufać.

Obróciłem się i szerokim gestem wskazałem na tłum.

– Nie brakuje mu wielbicieli. Jestem pewien, że wiele niezamężnych kobiet z radością spędziłyby noc z Manswetem. Czy naprawdę wierzysz, dostojny imperatorze, że ktoś tak popularny musi uganiać się za westalką?

W tym pytaniu w gruncie rzeczy chodziło mi o cesarza, nie o Mansweta. Jednak Kaligula zdawał się nie dostrzegać mych aluzji.

– Cepion Kryspinus miał czelność nazwać tego człowieka kłamcą – powiedziałem z udawanym niedowierzaniem. – Człowieka, który zasłużył na szacunek całego Rzymu.

Manswet, wciąż klęcząc, podniósł głowę i spojrzał na cesarza. Kaligula pokazał już, że nie boi się wystąpić przeciwko popularnemu gladiatorowi. Liczyłem jednak na to, że zrozumie przynajmniej jedno: uwolnienie obojga więźniów przyda mu popularności.

– Nie będziemy dyskutować o zeznaniu Adrianny, jakoby Flawia spędziła pewną noc poza *Atrium Vestae*. Doskonale wiemy, że świadectwo westalki jest święte i że nie wolno go kwestionować... No, chyba że istnieją przekonujące dowody, by to uczynić. Prawda jest taka, że Flawia rzeczywiście była gdzieś tamtej nocy. Będę jednak prosił, dostojny imperatorze, byś nie wnioskował pochopnie, iż tej nieobecności przyświecał jakiś zakazany cel.

Przerwałem i zacząłem mówić wolniej. Nie chciałem, by Kaligula przegapił

moje aluzje.

– Pozwól, że zasugeruję inne wyjaśnienie, całkowicie zgodne z prawem, a nawet godne pochwały. A jeśli Flawia spotkała się z wybitnym obywatelem naszego miasta? A jeśli chciała mu udzielić pomocy, gdyż cierpiał właśnie na atak choroby parlamentarnej, która wymaga natychmiastowej interwencji lekarza?

Zaobserwowałem, że kiedy przedstawiałem ten scenariusz, oczy Kaliguli zwęziły się. Żyły nabrzmiały mu na skroniach. Miałem nadzieję, że do tej pory pamięta swój atak z dawnych lat oraz wysiłki rodziny, by to ukryć. Kiedy niespełna trzy lata temu usłyszałem, że Kaligula zaniemógł, od razu się domyśliłem, o jaką chorobę chodziło. Tym razem również okrył ją zasłoną tajemnicy, ze względu na piętno, jakim była obciążona. Kaligula uważał się za boga. Nie mógł pozwolić, by ktoś się domyślił, że cierpi na tak straszną przypadłość.

– A gdybyśmy zobaczyli tego człowieka, jak wije się po ziemi, cały sparaliżowany, z otwartymi ustami i wywróconymi oczami? A jeśli trzeba by mu przytrzymać język klinem wstawionym do ust, żeby go nie połknął? A jeśli westalka została u niego do późnej nocy, by się upewnić, że chory przeżyje do rana?

Kaligula zacisnął mocno usta, krew napłynęła mu do twarzy. Wszystko się w nim gotowało. Domyślałem się, że szaleńczo szuka w myśli jakichś wybiegów, które pozwolą mu skazać Flawię i nie narażać przy tym siebie na szwank.

– Jak wspomniałem wcześniej, słowo westalki ma wielką wagę. Chciałbym jednak potwierdzić jej świadectwo zeznaniami innych świadków, którzy widzieli tego człowieka złożonego niemocą. Może nie tego wieczoru, ale przy jakiejś innej okazji.

Nie pochyliłem się i nie zacząłem pisać imion na piasku, ale moja lista przyniosła ten sam skutek. Wymieniłem imię prywatnego lekarza imperatora i członków jego osobistej obstawy. Wspomniałem też Marka Serbiusza, mojego przyjaciela z dzieciństwa, który widział atak choroby parlamentarnej u cesarza, gdy ten miał czternaście lat. Oznajmiłem, że ów Marek, lekarz, zaświadczy, jak ta dolegliwość wpływa na cierpiących na nią, i potwierdzi, czy opis Flawii pasuje do tych symptomów. Dla większego efektu przywołałem też imię Seneki.

Kiedy skończyłem wyliczać imiona, w sali zapadła głucha cisza. Kaligula rzucił mi ostre spojrzenie, takie samo jak lata temu – w szparkach jego oczu żarzyło się pragnienie zemsty. Domyślałem się, że nie jest pewien, czy któryś z tych świadków rzeczywiście odważyłby się świadczyć o napadach choroby parlamentarnej u imperatora. Prawdę mówiąc, rozmawiałem o tej sprawie jedynie z Markiem.

Zresztą gdyby nawet Flawia zeznała, że tej nocy była u Kaliguli, on mógł odrzucić jej świadectwo, podobnie jak zeznania wszystkich przedstawionych przede mną osób dotyczące jego choroby. Ale wystarczyłoby jedno słowo na ten temat przed tak wielką rzeszą zebranych, a cesarz już nigdy nie zdołałby tego naprawić. Ludzie w końcu poznaliby prawdę. Kaligula byłby napiętnowany. Postawiłem

wszystko, w tym własne życie, na jedną kartę: miałem nadzieję, że Kaligula jest zbyt pyszny, by zarzucić mi użycie podstępów.

– Flawia doskonale rozumie wagę świętych przyrzeczeń, które złożyła jako dziewica westalska – ciągnąłem. – Te przysięgi nie są mniej święte niż te, które ty, dostojny imperatorze, złożyłeś jako *princeps*. Gorliwie spełniała swoje obowiązki kapłanki i z całym szacunkiem twierdzą, że swym przysięgom i swemu urzędowi była równie wierna jak najszlachetniejsi i najwyżsi rangą urzędnicy tego wielkiego cesarstwa. Obyś, dostojny imperatorze, wykazał się wielką mądrością, decydując o losie jednej z najbardziej szanowanych kapłanek Rzymu.

Przez moment patrzyłem na Kaligulę, a potem powróciłem na swoje miejsce. Za mną, blisko tylnej ściany, rozległy się oklaski, które potem rozprzestrzeniły się na całą salę, aż wreszcie poirytowany Kaligula zarządził ciszę.

Wstał i ogłosił przerwę.

– Przeprowadźcie do mnie obrońcę i oskarżyciela – rozkazał. Opuścił podium i zniknął za pozłacanymi drzwiami. Podeszli do mnie dwaj strażnicy, by zaprowadzić mnie do cesarza.

Stałem obok Cepiona Kryspinusa, patrząc wprost przed siebie, zaś Kaligula krążył po pokoju i nas gromił. Zamieniliśmy ten proces w farsę, powiedział. Kryspinus sprowokował więźnia i nastawił tłum przeciwko sobie. Mnie Kaligula oskarżył o nakłanianie ludzi do krzywoprzysięstwa. Powiedział, że powinno się mnie zachłostać na śmierć razem z Manswetem.

– Całe miasto wrze, bo wy, dwaj głupcy, nie znacie się na swojej robocie! – krzyknął. – Kopnął mały posążek, złote kielichy pospadały z półek. Byliśmy świadkami napadu niepowstrzymanej wściekłości. Lękałem się o swoje życie.

W pewnym momencie przystanął przede mną.

– Pamiętasz, co się stało z twoim bohaterem Cynceronem?

– Spotkał go los, na jaki zasłużył – odparłem, usiłując zachować spokojny ton głosu.

– Spotkał go dokładnie taki los, na jaki zasłużył – dopowiedział Kaligula. – A ja zastanawiam się, czy nie zrobić tego samego z tobą. Wystawimy twoją głowę i ręce na rostrze i sprawdzimy, czy wtedy też będziesz taki złotousty.

Był czerwony z wściekłości, a gdy mówił, z ust pryskała mu ślina.

– Mógłbym cię zabić nawet w tej chwili. – Wskazał na stojących wokół niego strażników. – Mam wielu świadków, którzy zeznają, że to ty rzuciłeś się na mnie pierwszy.

Omiąłem go wzrokiem i starałem się powstrzymać drżenie. Był na tyle inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że gdyby wrócił do sali sądowej, zabiwszy adwokata Mansweta, z miejsca wywołałby rozruchy. Przynajmniej miałem nadzieję,

że to rozumie.

Odwrócił się do Kryspinusa.

– No i ty. Daję ci proste zadanie do wykonania, a ty zamieniasz je w pośmiewisko.

Zmierzył nas obu wzrokiem od stóp do głów. Po raz pierwszy w życiu czułem pewną więź z Kryspinem. Nawet najlepsi prawnicy są bezsilni w obliczu tyranii szaleńca.

– Manswet i Flawia są winni. Powinienem nakazać egzekucję całej waszej czwórki. – Odwrócił się do nas plecami. – Wyprowadźcie ich stąd.

Strażnicy odprowadzili nas z powrotem do sali sądowej, gdzie tłum czekał w stanie gorączkowego wrzenia. Szemranie, niepokój, strażnicy rzucający nieufne spojrzenia na tłumy stojące za nimi. Jeśli Manswet zostanie skazany, nie obędzie się bez przelewu krwi.

Parę chwil później rozbrzmiały fanfary, liktor nakazał zebrany ciszę i na podium znów wkroczył Kaligula. Zajął swoje miejsce, a w ogromnej sali zapanała cisza. Imperator nadal miał nachmurzoną, gniewną twarz. Czułem, że lada moment wybuchnę z napięcia.

Imperator siedział przez chwilę w ciszy, jakby pogrążony w myślach, potem przesunął wzrokiem po tłumie i wstał. Spojrzał na dwoje uwięzionych – klęczącego Mansweta i Flawię stojącą obok niego. Niespiesznie odczekał, aż sytuacja nabierze dramatyzmu.

– Naradziłem się z adwokatami i nie widzę potrzeby składania świadectw – oznajmił w końcu. – Więzień Manswet udowodnił, że jest odważnym wojownikiem. Coś mi mówi, że więcej niż kilku obywateli z radością zobaczyłoby go znów w ferworze walki. – Imperator uśmiechnął się znacząco. – I może niekoniecznie w sali sądowej.

Ludzie zaśmiali się nerwowo, kilku zakrzyknęło potakująco.

– Podobnie jest i ze mną. W gruncie rzeczy zeznanie przeciw więźniowi złożył tylko jeden pretorianin, który uważa, że widział, jak oskarżony dopuszcza się niedozwolonej zażyłości z westalką. Tej nocy było jednak ciemno, a świadek obserwował wszystko z daleka. Temu świadectwu, jak donieśli mi adwokaci, przeczą słowa Mansweta, który przysiągł, że to nie był on.

Kaligula spojrzał w dół, na Mansweta.

– Czy tak brzmi twoje zeznanie?

Gładiator podniósł wzrok na cesarza.

– Tak.

– Bardzo dobrze. Gdyż jestem skłonny uwierzyć człowiekowi takiemu jak ty, człowiekowi, który wykazał się niezrównanym męstwem na arenie. Nie widzę

potrzeby, by składać oficjalne świadectwo. Ogłaszam, że Manswet nie jest winny oskarżeń wysuniętych przeciwko niemu.

Wybuchła wrzawa, a Kaligula nie starał się jej powstrzymać. Ryk tłumu rozniósł się echem po sali, podjęli go ludzie zebrani na zewnątrz. Przez kilka wspaniałych chwil cały Palatyn rozbrzmiewał radością tłumów, które właśnie były świadkiem cudu.

Manswet pochylił się do przodu, jakby przygniotły go emocje. Flawia położyła mu rękę na ramieniu.

Kaligula jednak nie poprzestał na tym. Gdy wrzawa ucichła, a zebrani przestali już padać sobie w objęcia i poklepywać jedni drugich po plecach, zwrócił się do Flawii:

– Przedłożone mi świadectwo, jakobyś spędziła ową noc u człowieka cierpiącego na chorobę parlamentarną, uznaję za niedorzeczne. Podejrzewam, że zła-małaś ślub dziewictwa z jakimś mężczyzną.

Przy tych słowach w rozradowanym tłumie znów dało się wyczuć napięcie. Ludziom najbardziej zależało na Manswecie, ale kochali też westalki. Wyczuwa-łem, że posmakowawszy zwycięstwa, nie zadowolą się połowiczną wygraną.

– Przekonałem się już jednak, że Manswet nie wdawał się w żadne zakazane miłości owej czerwcowej nocy. Ponieważ zaś dziś miałem rozpatrzyć tylko to jedno oskarżenie, muszę również odrzucić oskarżenia wniesione przeciwko tobie.

Flawia skłoniła głowę w podzięcie, a tłum raz jeszcze ryknął z radości, choć nie tak głośno jak wcześniej. Kaligula znów cierpliwie czekał, aż aplauz przycichnie.

– Za dziesięć dni, podczas igrzysk ku czci Augusta Cezara, będziemy święto-wać wszyscy razem, oglądając kolejną walkę Mansweta. Niech bogowie będą z wami.

Cesarz podniósł berło, a trębacze na balkonie unieśli instrumenty do ust.

– Puścić ich wolno! – rozkazał Kaligula, po czym odwrócił się na pięcie i skierował ku wyjściu.

Rozbrzmiały fanfary. Tak przynajmniej można by zakładać, gdyż w miejscu, gdzie stałem, trąbek nie było słychać. Zagłuszyła je najgłośniejsza owacja, jaką w życiu słyszałem.

Resztę dnia pamiętam jak przez mgłę. Gdy wyszliśmy we trójkę z pałacu cesarskiego, powitała nas gromka wrzawa. Posuwaliśmy się przez tłum, między szeregiem sympatyków. Manswet kulał i krzywił się przy każdym kroku.

Wieść o zwycięstwie dotarła na Forum przed nami i naszą małą świtą. Cały plac ogarnęła gorączka świętowania. Flawia wyglądała na półprzytomną i przy pierwszej sposobności zaczęła wraz ze swymi liktorami przedzierać się przez zbiegowisko w kierunku domu westalek. Mansweta ponieśli jego koledzy gladiatorzy, przy wtórze wiwatów i oklasków wielbicieli. Nie pozostało mi nic innego, jak wspiąć się na rostrę i przemówić do zgromadzonego tłumu.

Z trudem przełknąłem ślinę i pochwaliłem Kaligulę za wnikliwość. Mówiłem o decydującej roli westalek w społeczeństwie rzymskim i o tym, jak poważnie Flawia traktuje swoje obowiązki. Jednak to fragment poświęcony gladiatorom zyskał największy aplauz. Nauczyli nas, czym jest męstwo, czym jest odwaga, mówiłem. A także czym są determinacja i wytrwałość. Manswet zaś, największy z wszystkich gladiatorów, nauczył nas, że można się uśmiechać nawet w obliczu największych życiowych trudności i radosnym krokiem ruszać do walki ze śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Tłum szalał, ale nie umknęła mi ironia tej sytuacji. Kilka lat wcześniej próbowałem doprowadzić do zaniechania igrzysk. Teraz wychwalałem bohaterów, których te igrzyska zrodziły. Igrzyska i żądza mordy.

Tej nocy leżałem bezsennie w łóżu, nękany tymi samymi złymi przeczuciami, które gnębiły mnie szesnaście lat wcześniej. Rozwahałem, jakie skutki przyniesie ten dzień i mój w nim udział. Byłem wyczerpany wszystkim, co się wydarzyło, i na lekkim rauszu po winie, które wypiliśmy, świętując wygraną. Nie miałem złudzeń co do mego bezpieczeństwa. Tłum może i obwołał nasze zwycięstwo, ale rozwścieczyłem imperatora, nie wspominając o Cepionie Kryspinusie oraz innych wpływowych obywatelach. Szesnaście lat temu Kaligula nie zwlekał z odpłatą. Czyż teraz będzie inaczej?

Mógł się na mnie zemścić na tysiąc sposobów. Oskarżyć mnie o *crimen laesae maiestatis*. Zaaranżować jakąś niby przypadkową napaść na ulicach Rzymu. A może chce wymyślić coś bardziej spektakularnego, coś, co mnie upokorzy, a jemu pozwoli patrzeć na moje cierpienia. Jeżeli wybrał tę ostatnią możliwość, zyskam przynajmniej trochę czasu.

Tej nocy trzymałem sztylet pod ręką. Nie dlatego, że wyobrażałem sobie, bym mógł zwyciężyć ze zgrają żołnierzy nasłanych przez Kaligulę. Trzymałem go, by podciąć sobie przeguby, zanim gwardziści mnie dostaną.

Nazajutrz rano Seneka wezwał mnie do siebie na *salutatio*, formalną wizytę poranną. Pomiąłem golenie oraz śniadanie i dołączyłem do innych klientów Seneki, oczekujących w przestronnym korytarzu.

Tym razem, inaczej niż poprzednio, służący nie wezwał mnie do Seneki przed innymi oczekującymi. Patrzyłem, jak odprowadza jednego klienta po drugim na spotkanie z wielkim filozofem, podczas gdy ja czekałem na swoją kolej.

Choć wczoraj na Forum wyzwoleńcy witali mnie jak bohatera, patrycjusze oczekujący w korytarzu unikali mojego spojrzenia. Kilku pogratulowało mi z ociąganiem, ale miny mieli skwaszone.

Gwiazda Seneki od pewnego czasu zaczęła przygasać, na długo przed wczorajszym procesem. Krążyły pogłoski, że Agrypina Młodsza, podobnie jak jej matka, weszła w zatarg z Seneką i wpłynęła odpowiednio na Kaligulę. W rezultacie Seneka przestał otrzymywać zaproszenia na wystawne uczyty u imperatora, a najbliższy krąg Kaliguli nie dawał już posłuchu jego radom. Spostrzegłem, że dziś rano u filozofa czekało mniej ludzi i że nie dorównywali pozycją klientom, których widywałem tu wcześniej.

Gdy korytarz opustoszał, Seneka wyszedł mi na spotkanie. Odprawił niewolników i poczekał, aż się oddalą. Dopiero wtedy wyjawiał mi, co zaprzęta mu myśli.

– Przypuszczam, że należą ci się gratulacje po wczorajszym wspaniałym wystąpieniu – zagaił.

– Miałem dobrego nauczyciela – odpowiedziałem skromnie.

– Więc może powinieneś go słuchać – odparł Seneka ponuro. Powieki ciężko mu opadały, miał zboląłą minę. – Uczyłem cię, byś podążał za prawdą. Wczoraj oparłeś swoją obronę na kłamstwie.

– Uczyłeś mnie, bym walczył o sprawiedliwość. Kiedy sędzią jest tyran, zrobiej wszystko, co w mojej pracy, by ocalić klienta.

– Narazisz nawet na szwank życie swego nauczyciela?

– A więc o to ci chodzi?

– Nie udawaj głupca – zgromił mnie ostro Seneka i gniewnie zmarszczył brwi. – Wymieniłeś mnie jako świadka, nie uzgadniając tego wcześniej ze mną. Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem, skierowałeś gniew cesarza na mnie i mój dom. Kto dał ci prawo używać mnie jako karty przetargowej?

Jego uraza mnie zaskoczyła. Nie miałem jednak zamiaru przeproszać go za to, że broniłem swoich klientów.

– Co się z tobą stało? – spytałem. – Co się stało z człowiekiem, który szesnaście lat temu stanął po mojej stronie, sprzeciwiając się rodzinie obecnego cesarza?

– Rzym, oto co mi się stało – wykiął moje pytanie Seneka. – Czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, co musiałem robić tylko po to, by tu przetrwać? Myślisz, że można bezkarnie zagarniać bogactwa, jakie zdobyłem, i nigdy nie iść na kom-

promisy? Gdybyś kochał Rzym tak bardzo jak ja, rozumiałbyś, że jedyny sposób, by go ocalić, to lawirować wśród jego zrad i przeżyć szaleńców takich jak Kaligula. To ja zadecyduję, kiedy zechcę poświęcić życie dla zasad, w które wierzę! To ja wybiorę sposób, w jaki umrę! Nie potrzebuję, by robili to za mnie ludzie, którzy uważają się za moich przyjaciół.

Przypuszczałem, że Seneka będzie się denerwował, ale nie byłem przygotowany na tak ostrą i surową naganę. Odebrało mi mowę. Miałem wiele szacunku dla tego człowieka. Być może słuszność była po jego stronie. Na jakiej podstawie wymieniałem go jako świadka w śmiertelnie niebezpiecznej sprawie, nie pytając wcześniej o pozwolenie?

– Całymi wieczorami omawialiśmy strategię – ciągnął. – Już samo widywanie się z tobą w łaźni, na oczach wszystkich, narażało moje życie na szwank. Ani razu mnie nie ostrzegłeś, że zamierzasz poświęcić moje dobre imię dla swojej sprawy.

– To stało się dlatego, że nie znałem samego siebie aż do...

– Oszczędź mi tego – powstrzymał mnie Seneka. – Nie chcę twoich racjonalizacji ani wymówek. Co się stało, to się nie odstanie.

Obaj wzięliśmy głęboki oddech.

– Przepraszam – powiedziałem cicho. – Zrobię, co w mojej mocy, by to naprawić.

– Nie możesz uczynić nic, by „to naprawić”. Miałem już gotowy plan, Teofilu. – Pokręcił głową, irytacja widoczna w jego oczach ustąpiła miejsca rozczarowaniu. – Chciałem umieścić w pałacu odpowiedniego człowieka. We właściwym czasie, we właściwy sposób. Owszem, zamierzałem nadstawić karku dla Rzymu, ale pod warunkiem, że to miałyby coś zmienić. Teraz te plany runęły, dzięki tobie.

Nic nie odpowiedziałem; nie było już nic do powiedzenia. Skrzywdziłem człowieka, który przyczynił się do wszystkich dobrych rzeczy, które spotkały mnie w życiu. Oślepiło mnie uczucie do Flawii. Wykorzystałem Senekę. Postąpiłem źle.

– Przepraszam – powtórzyłem.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby próbując ocenić, czy te przeprosiny są szczere.

– To, co się wczoraj stało, to nie koniec – rzekł w końcu. – Rozdrażniłeś lwa. Strzeż się, Teofilu. Obaj jesteśmy teraz w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Wychodząc tego wieczoru z domu, ukryłem pod togą sztylet. Zdążyłem do gorszej części miasta. Przemierzałem wąską uliczkę. Stały przy niej *insulae*, wysokie, kilkupiętrowe budynki mieszkalne, które zdominowały to miasto. Policzone ostatnio, że w Rzymie wzniesiono co najmniej pięćdziesiąt tysięcy takich domów. Seneka powiedział mi kiedyś, że miasto jest nimi przepelnione. I gdyby wszystkie mieszkania w Rzymie położyć na parterze, metropolia rozciągałaby się na sto trzydzieści mil, aż do wybrzeża Adriatyku.

Gdy tak szedłem, nozdrza wypełniał mi gryzący smród ludzkich i zwierzęcych odchodów, oleju i tłuszczu oraz stęchłych resztek jedzenia. Przypomniało mi to, jakie mam szczęście, że stać mnie teraz na własny dom, oddalony od innych budynków, z małym ogrodem pośrodku. W obrębie murów miasta takich domów było mniej niż cztery tysiące, choć mój z pewnością należał do najmniejszych.

Znalazłem adres, którego szukałem, budynek wyróżniający się pewną elegancją. Zbudowany był z cegły, nie z drewna, a na wysokości jakichś pięciu stóp od ziemi ozdobił go dekoracyjny pas w kolorze zgaszonej czerwieni. Na wyższych piętrach widać było balkony z donicami pełnymi kwiatów, zwisających roślin i winnej latorośli, która oplatała balustrady i pięła się wokół okien.

Minąłem sklepy na parterze i wspiałem się po schodach na drugie piętro. Stałem przed dębowymi drzwiami ozdobionymi ryciną i zastukałem mosiężną kołatką w kształcie pierścienia. Przez chwilę czekałem, przestępując z nogi na nogę.

Otworzyła mi kobieta o wiele młodsza, niż się spodziewałem, chuda i żyłasta, z haczykowatym nosem i twarzą, która wyglądała, jakby ktoś wsadził ją w imadło i ścisnął, tak była pociągła. Kobieta miała wystającą szczękę i wylupiające oczy.

Przywitała mnie ciepło i poprowadziła do obszernej poczekalni.

Ściany pokryte były malowidłami w żywych kolorach – pomarańczach, fioletach, czerwieniach i żółciach. Stały pod nimi wazy z kwiatami. Głównym akcentem w pokoju był wielki marmurowy stół, na którym stał posąg jakiegoś mężczyzny, nie rozpoznałem kogo dokładnie. Nie było to mieszkanie osoby zamożnej, lecz właścicielka najwyraźniej dawała sobie radę w życiu. Wszystko wskazywało na to, że interesy szły dobrze.

Na imię miała Lokusta, a polecił mi ją pewien mój dawny klient.

Skinieniem wskazała mi krzesło i obiecała, że zachowa nasze spotkanie w tajemnicy.

– Skąd się o mnie dowiedziałeś? – spytała, zakładając nogę na nogę i poprawiając się na krześle. Widać było, że buzuje w niej energia.

– Wolalbym nie mówić.

– W porządku. Znasz moje warunki?

– Tak. – Wyjąłem sakiewkę z pieniędzmi i podałem.

Wzięła ją i wysypała monety na stół, a potem uważnie policzyła. Na koniec zgarnęła pieniądze z powrotem do sakiewki i spojrzała na mnie.

– Coś mi się wydaje, że chcesz towaru z najwyższej półki? – Uśmiechnęła się. Miała krzywe zęby.

Cała ta transakcja budziła we mnie niepokój. Spodziewałem się, że interesy z Lokustą załatwia się w mroku, szeptem, z twarzą ukrytą w cieniu. Tymczasem mieszkanie było dobrze oświetlone, nieźle umeblowane, a ona zachowywała się tak, jakby sprzedawała mi kosztowne dzieło sztuki.

– Ma być skuteczne. I nie chcę cierpieć.

– Tak, tak, wszyscy to mówią.

Zamilkła na chwilę, jakby usłyszała jakiś hałas albo jakby coś jej się przypomniało.

– Napijesz się czegoś? – zaproponowała.

– Nie, dzięki.

Znów odsłoniła krzywe zęby w uśmiechu.

– Z jakiegoś dziwnego powodu nikt dotąd nie miał na to ochoty.

Nie odpowiedziałem uśmiechem.

– Zaraz, o czym to ja...? Ach, tak... Trafiłeś we właściwe miejsce. Inni sprzedają mikstury, które nie działają. Krew byka, ropuchy, salamandry, węże, pająki, skorpiony, rtęć, arsenik – równie dobrze mógłbyś pić swój mocz. – Mówiąc to, strzepnęła dłonią, jakby odpędzając nedorównujących jej rywali.

Pochyliła się nieco do przodu i zmrużyła oczy.

– Najlepsze trucizny robi się z roślin. Mandragora, cykuta, opium. Chcesz, bym przyrządziła ją na bazie miodu czy wina?

Nie miałem pojęcia, że istnieje tak wiele odmian trucizn.

– Chcę, żeby mieściła się w jak najmniejszym pojemniczku – odparłem.

– A więc zrezygnujemy z miodu, bo zajmuje dużo miejsca.

– Brzmi rozsądnie – oceniłem, choć naszej rozmowy nie nazwałbym rozsądną. – Jak będzie działać?

– Najpierw uderzenie opium. Otępia zmysły. Wprawia w błogi nastrój. Pozostałe trucizny działają mniej więcej podobnie: serce przestaje bić, człowiek się dusi, dostaje się skrętu kiszek. Dobra wiadomość jest taka, że dzięki opium nie poczujesz bólu.

Znów przerwała i rzuciła mi zagadkowe spojrzenie.

– To dla ciebie, tak?

– Owszem.

– Dobrze. Gdyby była dla wroga, nie dodałabym opium.

Powiedziano mi, że Lokusta przyrządza najlepsze trucizny w całym Rzymie. Znana była z mikstur z grzybów. Wydawało mi się jednak, że powinna podchodzić

do swojej pracy z mniejszym entuzjazmem.

– Trochę się spieszę – powiedziałem, jakby czekało mnie jakieś ważne spotkanie w środku nocy. – Czy mógłbym po prostu dostać to, po co przyszedłem, i sobie pójść?

– Oczywiście, już – odrzekła wstając. – Zaraz wrócę.

Zniknęła na chwilę w pokoju w głębi mieszkania, po czym wyszła stamtąd z dwoma flakonikami z jakimś płynem.

– Wlej to komuś do wina, a nawet się nie zorientuje, co się stało. – Wręczyła mi jeden z flakoników.

– Mogę to wypić bez wina, jeśli nie da się inaczej?

– Oczywiście. Postaraj się tylko szybko przełknąć.

Skinąłem głową.

– Chcesz wiedzieć, po co daję ci dwa flakoniki?

– Raczej nie.

– Większość moich klientów woli się upewnić, czy specyfik działa. Możemy wyjść razem na ulicę, znaleźć jakiegoś zbłąkanego psa i zobaczyć, jak mikstura zabija go w kilka chwil.

Pomysł wydawał się wręcz okropny.

– Nie, dzięki. Ufam ci.

Ryknęła śmiechem.

– Wielu ludzi popełniło ten błąd – powiedziała, odzyskawszy panowanie nad sobą. Zachichotała znowu na samą myśl o tym.

– Bardzo ci dziękuję – powiedziałem, wstając, i skierowałem się do drzwi. Gdy kładłem dłoń na gałce, Lokusta znów się odezwała, choć tym razem w jej głosie nie było rozbawienia.

– Cały Rzym mówi o twoim zwycięstwie. Ale kto zawstydza imperatora, ten nie pożyje długo.

Otworzyłem drzwi i odwróciłem się, by na nią spojrzeć. Jej twarz straciła miły wyraz, teraz była zatroskana. Podeszła do mnie, wręczyła mi drugi flakonik i zacisnęła wokół niego moją dłoń.

– Ten jest za darmo – powiedziała, przewiercając mnie na wskroś spojrzeniem wylupiastych oczu. – Imperator lubi mocne wina. Gdyby chodziło o mnie i gdybym miała do czynienia z człowiekiem, który żywiłby do mnie tak zapiekłą urazę, pewnie wlałabym mu do kielicha oba te flakoniki.

Podziękowałem jej raz jeszcze i wycofałem się ku schodom.

Nie okłamałem tej kobiety. Miałem zamiar przez cały czas nosić ze sobą najpotężniejszą truciznę, jaką tylko uda mi się zdobyć. Wiedziałem już, jak pomysłowy potrafi być Kaligula, torturując ludzi. Nauki Seneki nie poszły w las – postanowiłem sam wybrać rodzaj i czas własnej śmierci. Chciałem zapewnić sobie taką możliwość na wypadek, gdyby aresztowała mnie gwardia pretoriańska. I w miarę

możliwości miało się to odbyć bez bólu.

Jednak schodząc po schodach rozważałem też ową drugą ewentualność. Jak wyglądałoby życie w Rzymie bez Kaliguli i pełnych terroru rządów tego szaleńca? Jego wuj Klaudiusz powszechnie uznawany był za idiotę, niezdolnego do rządzenia państwem. Ale czy mogło być coś gorszego od rządów szaleńca, który panował teraz?

Owszem, inni spiskowcy próbowali, lecz im się nie poszczęściło. Skąd więc pomysł, że zdołałbym na tyle zbliżyć się do Kaliguli, by dolać mu czegoś do wina? A nawet gdybym to zrobił, czy postąpiłbym słusznie?

Było jeszcze inne pytanie, które domagało się odpowiedzi, pytanie najistotniejsze ze wszystkich. Czy wystarczyłoby mi odwagi, by przez to przebrnąć? Zapewne tak, gdyby od tego zależało moje życie. Może zresztą nie miałem wyboru.

Trzy dni po procesie posłaniec przyniósł mi list, napisany na pergaminie. Charakter pisma był nieskazitelny.

Od Flawii, wdzięcznej kapłanki Westy, do czcigodnego Teofila.

Słowa nie potrafią wyrazić mej wdzięczności za to, co zrobiłeś. Swoją odwagą i inteligencją ocaliłeś mi życie. Każdy oddech przypomina mi o długu wobec ciebie, którego nigdy nie zdołam spłacić.

Jestem świadoma, że naraziłeś swe życie na wielkie niebezpieczeństwo po to, by uratować moje. Proszę, uważaj na siebie, Teofilu. Krążą plotki, że zemsta wisi w powietrzu. Codziennie modłę się i składam ofiary bogom greckim i rzymskim, błagając o twe bezpieczeństwo.

Boli mnie, że muszę poprosić cię o dodatkową przysługę, zważywszy na obecne okoliczności. Nie znam innego człowieka, który cieszyłby się takim szacunkiem i podziwem Mansweta jak ty. Jak wiesz, za siedem dni ma walczyć na igrzyskach. Nie ma na to siły. Odczytywałam jego przyszłość z wnętrzości ofiarnych zwierząt i wróżby nie są pomyślnie. Czy byłbyś tak dobry i porozmawiał z nim? Tak jak i ja, Manswet ma wobec ciebie dług nie do spłacenia. Może uznałbyś, że spłacił jego niewielką część, gdyby zdołał odłożyć walkę do czasu, aż w pełni odzyska zdrowie.

Czy uznasz za stosowne przychylić się do mej prośby, czy nie, wiem proszę, że masz moją dozonną wdzięczność i miłość.

Przeczytałem ten list trzy razy, chłonąc każde słowo. Kłębiły się we mnie emocje. Wyobraziłem sobie, jak Flawia składa za mnie ofiary, a poranne słońce oświetla jej twarz. Jak rozlewa krew na ołtarzu, z moim imieniem na ustach. Wylewa wino i błaga bogów, by zachowali mnie w zdrowiu. Nie był to początek relacji, o jakiej marzyłem od dziesięciu lat, lecz mimo to zapłonęła we mnie nadzieja.

Moi rodzice już trzy razy przedstawiali mi kandydatki na żonę, pierwszą jeszcze przed moim wyjazdem do Judei, dwie kolejne już po moim powrocie. Jak już wspominałem, jedna z nich zakończyła znajomość ze mną przed procesem Aproniusza. Żadna z nich nie mogła się mierzyć z moimi marzeniami o Flawii. Ona była boginią, znawczynią literatury greckiej, szanowaną przez cały Rzym, intelektem równą mężczyźnie. Żadna z kobiet, które znałem, nie dorównywała jej elegancją i odwagą. Na dodatek urodą przewyższała wszystkie niewiasty, które mogły przykuć moje spojrzenie.

Być może w grę wchodził mój nieokiełznany idealizm, a może, tak jak Kaligula, zawsze pragnąłem właśnie tego, co niedostępne, jednak już przed wyjazdem do Judei marzyłem, że w jakiś sposób zyskam sławę, a potem poczekam, aż Flawia dopełni swej służby w świątyni Westy. Że pobierzemy się i założymy rodzinę. Od-

twarzałem tę fantazję w myślach tyle razy, że już prawie uznałem ją za rzeczywistość.

Ale teraz, gdy te marzenia wydawały się bliższe spełnienia niż kiedykolwiek, poczułem też, że się oddalają. Tak, Flawia każdego ranka odmawiała za mnie modlitwy. Owszem, zasłużyłem na jej „dozgonną wdzięczność i miłość”, które to słowa odczytywałem wciąż na nowo. Jednak jej serce należało do Mansweta. Jeśli naprawdę zależało mi na Flawii, a z jakichś niewiadomych powodów tak właśnie było, to powinienem zrobić wszystko, co w mojej mocy, by Manswet wywalczył sobie wolność i dożył chwili, gdy będzie mógł zostać mężem westalki.

Tak jak w moich marzeniach, odbędzie się huczne wesele, a oblubienica będzie olśniewająco piękna. Jednak to Manswet otrzyma rękę Flawii, nie ja.

Nazajutrz wybrałem się do Mansweta w towarzystwie Marka. Mój przyjaciel nigdy nie oglądał gladiatorów podczas treningu, uznałem jednak, że dzięki swej wiedzy medycznej pomoże mi przekonać Mansweta, że nie jest jeszcze gotów stanąć do walki.

Obóz gladiatorów znajdował się jakąś milę poza miastem i zupełnie nie odpowiadał moim wyobrażeniom na ten temat. Lata wcześniej, kiedy pomagałem Senece pisać list do Tyberiusza, widziałem najlepsze *ludi* w Rzymie. W niektórych szkołach, jakie wówczas odwiedziłem, było nawet dwa tysiące gladiatorów. Mieli tam komfortowe warunki mieszkalne i wszelkie udogodnienia ułatwiające treningi. Największa i najważniejsza z tych szkół zwała się Ludus Magnus. Ostatnio zakupił ją sam Kaligula. Były jeszcze trzy wielkie szkoły, z których każda chlubiła się ponad tysiącem gladiatorów, zaś najwyższej klasy wyposażenie sponsorowali ich mecenasi.

Szkoła Mansweta była natomiast w opłakanym stanie. Niecała setka gladiatorów tłoczyła się w dwóch małych barakach. Mężczyźni spali na posłaniach rozłożonych na podłodze. Wiele tępych, drewnianych mieczy, jakich używano podczas treningów, było połamanych. Dowiedziałem się, że gladiatorzy muszą dzielić się bronią, kiedy przychodzi ich kolej na walkę na arenie. Z wyjątkiem Mansweta, jedynego liczącego się mistrza z tej szkoły, mężczyźni byli szczuplejsi i mniej umięśnieni niż gladiatorzy, których widywałem wcześniej.

Przybyliśmy na miejsce tuż przed południowym posiłkiem, gdy wojownicy właśnie kończyli poranne ćwiczenia. Manswet siedział z boku, z uniesioną nogą, wsparty na łokciach i pokrzykiwał na młodszych gladiatorów, z których żaden nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Teofil! – zawołał, gdy mnie zobaczył. Wstał z trudem, starając się nie opierać na chorej nodze. – Podejdz tu! – krzyknął.

Zbliżyłem się ku niemu. Chwycił mnie za prawe ramię i objął jak starego

przyjaciela. Przedstawiłem mu Marka.

– Zawdzięczam życie temu człowiekowi – powiedział do niego Manswet.

Dopiero po chwili rozmowy wspomniałem, że Marek jest lekarzem.

– Ta stopa źle wygląda – ocenił Marek.

Manswet twierdził, że opuchlizna i bladość wokół rany ustępują. Marek jednak pochylił się, przyjrzał się okaleczeniu i spochmurniał.

– Nie będziesz gotów do walki za sześć dni – zawyrokował, prostując się. – Nie opieraj się na tej stopie. Obmywaj ją co rano. Oszczędzaj ją.

Manswet zbył te rady uśmiechem.

– Nic mi nie będzie – stwierdził.

Chciałem porozmawiać z nim o liście od Flawii, ale podszedł do nas *lanista* i podziękował mi za uratowanie życia najważniejszemu z jego gladiatorów.

– Nie powinienem tego mówić przy nim, żeby nie uderzyło mu do głowy – dodał – ale jeśli stracimy Mansweta, będziemy musieli zamknąć szkołę. Przynosi pięćdziesiąt razy większy zysk niż pozostali gladiatorzy.

Potem *lanista* zwołał młodych mężczyzn, by przed posiłkiem wykonali jeszcze serię podciągnięć na drążku. Wielu z nich było na procesie i teraz dziękowali mi z uznaniem za to, co zrobiłem.

Patrzyłem, jak podciągają się z wysiłkiem.

– Czy to trudne? – spytałem któregoś zadyszanego młodzieńca, gdy skończył swoją serię.

– Tylko dla adwokatów – odparł.

Połknął haczyk. Ci mężczyźni byli zmęczeni jak woły, lecz widziałem, że każdy z nich wykonywał po dwie serie podciągnięć. Wykonywałem takie ćwiczenia każdego ranka w szkole Molona, a potem także – już sam dla siebie – w Judei i w Rzymie.

– Może powinieneś spróbować sił w drobnych zawodach z adwokatem – proponowałem.

Tak jak się spodziewałem, propozycja wywołała gwizdy i kpiny pozostałych mężczyzn. Podpuszczali młodego gladiatora, który miał na imię Kobius, by zaczął pierwszy. Ten chwycił drążek i unosił swe potężne ciało, a potem opuszczał, a jego towarzysze liczyli podciągnięcia. Zanotowałem w pamięci, że w poprzedniej serii podciągnął się tylko dwadzieścia razy. Teraz jednak, gdy podpuszczali go koledzy, doszedł prawie do trzydziestu.

Puścił w końcu drążek, zmęczony, ale zadowolony z siebie.

– Twoja kolej, ekwito. Tylko żebyś nie dorobił się odcisków na tych delikatnych rączkach.

Poprawiłem tunikę i splunąłem na dłoń. Odwróciłem się i mrugnąłem do Mansweta, po czym podskoczyłem do drążka i zacząłem się podciągać.

Przy pierwszej dziesiątce Kobius liczył równie głośno jak inni. Kiedy dosze-

dłem do dwudziestu, twarz mu poczerwieniała. Przy trzydziestce koledzy zaczęli go poszturchiwać i pokpiwać sobie z niego. Puściłem drążek po trzydziestym trzecim podciągnięciu.

Mężczyźni klepali mnie po plecach i nabijali się z Kobiusa. Młody gladiator spiorunował mnie wzrokiem.

– Zobaczmy, jak sobie radzi z mieczem i tarczą – rzucił.

Choć broń była drewniana, stało się jasne jak słońce, że z walki z tym młodzieńcem wyszedłbym poturbowany. Na szczęście *lanista* wybawił mnie z kłopotu.

– Nie chcemy narobić ci wstydu powtórnie – powiedział do Kobiusa.

Ten jednak nie dał za wygraną.

– Będę walczył bez tarczy – oznajmił. – Dajcie jakąś broń temu piękniśowi.

– Panowie! – zawołał za mną Manswet. Wszystkie głowy zwróciły się w jego kierunku. Manswet wstał i przykuśtykał do kolegów, stojących w kręgu wokół drążka.

– Ten człowiek naraził dla mnie swoje życie na innego rodzaju arenie – powiedział. Podeszedł do mnie, kulejąc, i objął mnie ramieniem. – Każdy, kto chce z nim walczyć, musi najpierw spróbować się ze mną.

To zakończyło sprawę. Młody gladiator zmierzył Mansweta wzrokiem, ale nie odezwał się słowem.

Lanista wkroczył w środek kręgu i przebiegł spojrzeniem po mężczyznach.

– Uspokójcie się – powiedział. Wszyscy gladiatorzy byli brudni i spoceni. Wielu kurowało widoczne rany. Włosy mieli potargane, brody nie przycięte, w ich oczach widziałem desperację. Zastanawiałem się, ile już czasu minęło, odkąd ktoś z tej szkoły wywalczył sobie wolność. Mansweta dzieliły od niej tylko trzy walki. Wiedziałem, jakie myśli kołatały w głowach jego towarzyszy. Jeśli jemu się uda, dla nich też jest nadzieja.

– Imperator poprosił, by czterech z was wzięło udział w igrzyskach ku czci Augusta – obwieścił *lanista*. Przez krąg mężczyzn przetoczył się jęk zawodu. Setka gladiatorów i tylko czterech ma walczyć!

– Zarządził, że igrzyska odbędą się na Forum, i właśnie stawia drewniane trybuny – ciągnął *lanista*. – Tam właśnie toczyły się walki za panowania Augusta. Widzowie będą bliżej areny, więc pojedynki będą się odbywać pojedynczo. Wystąpią głównie gladiatorzy z większych szkół.

Mężczyźni nie wszczęli o to sporu. Wiedzieli, że *lanista* zrobił dla nich wszystko, co mógł.

– Jak wiecie, imperator zaprosił już na arenę Mansweta. Po posiłku wybiore pozostała trójka.

Po tych słowach mężczyźni rozdzielili się na małe grupki. Posiłek spożyłem razem z Markiem i Manswetem w cieniu oliwnego drzewa. Widziałem już, co podają na stołach rzymskich *ludi*, obserwowałem, jak gladiatorzy wrzucają w siebie

ogromne ilości jęczmienia, gotowanej fasoli, owsianki i suszonych owoców. Tutaj jednak każdemu wydzielono talerz owsianki, a do tego kilka suszonych fig.

– Wszystko rozbija się o pieniądze – powiedział Manswet, pałaszując owsiankę. – Już przed procesem ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, a teraz imperator zaveźmie się i nie dopuści nas do walki.

Wykorzystałem sposobną chwilę i opowiedziałem Manswetowi o liście od Flawii. Za kilka miesięcy odbędą się kolejne igrzyska, zapewniłem. Doszedł już tak daleko. Jeszcze trzy walki i będzie wolny. Błagałem go, by poczekał, dopóki całkowicie nie wyzdrowieje. Jak cesarz może zmuszać go do walki, skoro on ledwie chodzi?

– Widzisz tych ludzi? – spytał Manswet. Przesunął wzrokiem po siedzących w grupach gladiatorach. – To moi bracia. Przetrzyliśmy razem więcej niż towarzysze broni z legionu. Razem cierpieliśmy, razem przelewaliśmy krew i zaglądaliśmy śmierci w oczy. Jeśli nie stanę do walki za sześć dni, żaden z nich nie przeżyje.

Powiedziałem mu, że może zdołałbym zebrać fundusze na jego szkołę, gdyby przełożył walkę, lecz ten pomysł go nie przekonał. Gladiatorzy mieli swój kodeks honorowy. Pieniądze na *ludus* zarabia się na arenie. Poza tym, jak zapewniał, podejmą odpowiednie środki ostrożności. Zamiast lekkiego uzbrojenia, w jakim zwykle występował, użyje innej broni – stanie do walki jako *murmillio*, z podłużną, prostokątną tarczą oraz długim mieczem zwanym *gladius*. Była to broń defensywna i nie wymagała od walczącego jakiegś nadzwyczajnej zwinności.

Kiedy zrozumiałem, że nie wyperswaduję mu udziału w igrzyskach, zaprzestałem prób. Rozmowę przejął Marek. Oczarowany słuchał o strategiach gladiatorów i o tym, co Manswet sądzi o rozmaitych przeciwnikach.

Manswet stwierdził, że jedynym człowiekiem, z którym naprawdę mógłby powalczyć, jest Flamma, doświadczony gladiator, który zwyciężył już w ponad trzydziestu potyczkach i któremu już cztery razy ofiarowywano *rudius*. Flamma za każdym razem odmawiał przyjęcia drewnianego miecza od cesarza. Gdyby to zrobił, natychmiast zostałby wyzwolencem, gdyż walczył z prawdziwym męstwem.

– Chcę się z nim zmierzyć w moim ostatnim pojedynku – powiedział Manswet. – Potem wycofam się z walk i będę szkolił gladiatorów. Nim jednak do tego dojdzie, muszę pokonać najlepszego z nich.

Zastanawiałem się, czy omawiał te plany z Flawią. Jakoś nie wyobrażałem sobie jej jako żony trenera gladiatorów. Z drugiej strony, teraz rozumiałem, dlaczego Manswet tak ją pociągał. Nie był tylko wojownikiem. Był człowiekiem o wielkim sercu, który troszczył się o swych towarzyszy bardziej niż o własne dobro.

Spędziwszy z nim dzień, nie potrafiłem już postrzegać go tylko jako rywala w staraniach o kobietę, którą kochałem. Zdobył mój szacunek. Zasłużył na kogoś takiego jak Flawia.

Zbierając się do odejścia, szczerze życzyłem mu szczęścia.

W drodze powrotnej Marek zakomunikował mi złe wieści. W ranę Mansweta wdało się poważne zakażenie. Gdyby gladiator był żołnierzem na polu bitwy, Marek amputowałby mu nogę poniżej kolana.

– W takim stanie nie nadaje się do walki – stwierdził.

Rzymianie znają się na budowaniu. Kilka tysięcy niewolników w niespełna dwa tygodnie zamieniło kamienny bruk Forum w arenę z trzydziestoma tysiącami miejsc. Po każdej stronie placu wzniesiono ogromne drewniane trybuny, które niemal dorównywały wysokością majestatycznym świątyniom otaczającym plac.

Niemal codziennie mijalem to miejsce. Niewolnicy pracowali jak mrówki, uwijali się po całym Forum, a odgłosy budowy zagłuszały przebieg rozpraw sądowych. Owalna arena pośród historycznych budowli Rzymu przedstawiała sobą dziwny widok – nad nią górowały świątynia Zgody, świątynia Saturna, bazylika julijska, dom westalek oraz świątynia Augusta. Architekt zręcznie wykorzystał w swym projekcie rostrę, czyniąc z niej podstawę łoża cesarskiej.

Decyzja Kaliguli, by miejscem igrzysk uczynić Forum, a nie zdolny pomieścić sto pięćdziesiąt tysięcy widzów Circus Maximus, wzbudziła sporo utyskiwań. Kaligula twierdził, że czyni to, by uczcić Augusta Cezara, który urządził igrzyska w tym właśnie miejscu. Obywatele Rzymu wiedzieli jednak, że tak naprawdę chodzi o finanse.

Kaligula roztrwonił masę pieniędzy. Na długo przed tym, zanim został imperatorem, pewien wróżbita powiedział, że syn Germanika prędzej przejedzie konno przez Zatokę Bajską, niż zostanie cesarzem. Gdy Kaligula wstąpił na tron, wspominał na tę przepowiednię i nakazał przerzucić przez ową dwumilową zatokę pływający prowizoryczny most, złożony ze statków. Imperator dumnie przemierzył ów most na swym wyścigowym rumaku, Incitatusie. Ten popis kosztował miliony sestercji, wydatek, na który państwa po prostu nie było stać.

Kaligula znalazł też inne twórcze metody trwonienia publicznych funduszy. Zbudował ogromny statek, który służył jako pływający pałac, z marmurowymi posadzkami i instalacją wodno-kanalizacyjną. Starając się zachować popularność, od czasu do czasu gromadził wyzwoleńców wokół pałacu cesarskiego i garściami rzucał z balkonu pieniądze. Często wydawał wystawne uczyty, jarmarczne w stylu i kosztowne.

Gdy on pozwalał sobie na te wszystkie wydatki, wielu obywateli rzymskich cierpiało głód. Ostatnie igrzyska nie poszły najlepiej. Egzotycznych zwierząt pojawiło się mniej niż dotąd i nie karmiono ich dobrze. Nawet niektórzy gladiatorzy byli źle odżywieni. Kiedy więc cesarz ogłosił, że igrzyska ku czci Augusta odbędą się na Forum i że w związku z tym nie będzie porannych walk z dzikimi zwierzętami, obywatele podeszli do tego pomysłu sceptycznie. Wzniesienie drewnianych trybun pochłonęło mniej pieniędzy niż zakup lwów, panter i strusi.

Instynkt podpowiadał mi, że powinienem trzymać się z dala od tych feralnych igrzysk. Nie mogłem jednak znieść myśli, że będę siedział w domu, czekając

na wiadomość, czy Manswet przeżył. Za bardzo szanowałem tego człowieka. Musiałem zobaczyć jego walkę na własne oczy.

Nad ranem w dniu igrzysk Flawia okazała się chyba jedyną osobą w Rzymie zadowoloną z pogody. Był środek listopada, zapowiadał się deszczowy i wietrzny dzień, mogła nawet przejść późnojesienna burza. Doskonały dzień na przebranie, jakie zaplanowała.

Wstała wcześniej i potajemnie spotkała się z Rubrią. Dostrzegła lęk w oczach swej podopiecznej. Musiała jeszcze raz przekonać dziewczynkę do swego planu.

– Mam wiele peruk. Mogę je nosić, zanim włosy odrosną – powiedziała. – Poza tym nie będę wyglądać gorzej niż teraz.

Rubrii drżały ręce, gdy wzięła nożyczki i zaczęła strzyc Flawię. Gdy skończyła, Flawia przesunęła dłonią po nierównych kosmykach. Sprawdziła w lustrze, jak teraz wygląda.

– Krócej. Obetnij jeszcze krócej.

Rubria niechętnie zabrała się znów do pracy. Tym razem cięła niemal przy samej skórze.

– Doskonale – pochwaliła Flawia.

Teraz zmieszała odrobinę podkładu z czarną sadzą z uprażonych daktyli i roztarła tę masę na dolnej części twarzy, co miało przypominać jednodniowy zarost. Zdrapała barwne ozdoby z paznokci na rękach i nogach. Włożyła obszarpany czarny płaszcz z wielkim kapturem.

– Jak wyglądam? – spytała.

Rubria zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– Jak mój ojciec – stwierdziła dumnie.

– Obiecuj, że zachowasz to w tajemnicy – upewniła się Flawia.

– Obiecuję.

Kilka godzin później, gdy rozpoczęły się igrzyska, Flawia wmieszała się między wyzwolęńców. Nie odzywając się do nikogo, wspięła się po schodach i zajęła miejsce w jednym z najwyższych sektorów, po tej stronie trybun, z której miała dobry widok na rostrę i prowizoryczną lożę cesarską. Prawie całą twarz ocieniał jej kaptur. Drżała z zimna. Wcześniej tego ranka już padało, więc piasek na arenie wyglądał na mokry i lepki. Flawia modliła się, by to jakoś pomogło Manswetowi w walce.

Kaligula zjawił się w loży w piątej godzinie dnia, tuż przed południem, powitany dźwiękami trąbek, fletów oraz powściągliwymi oklaskami ludu. Niebo akurat znów przesłoniły ciemne chmury i wraz z przybyciem imperatora spadło kilka kropel deszczu.

Cesarz stanął z przodu rostry i oznajmił, że otwiera igrzyska ku czci wielkie-

go boga Augusta Cezara. Z tej okazji Kaligula wystroił się w białe, powłóczyste szaty Jowisza, w których musiało mu być strasznie zimno. Na kręcone, rude włosy włożył wieniec laurowy, pulchne, blade ramiona miał obnażone. Przez trzy lata wystawnego życia wyhodował spory brzuch.

Deszcz się wzmógł, gdy przed Kaligulą przeprowadzono pochód przestępców; każdy miał na szyi tabliczkę informującą o popełnionych zbrodniach. Na arenę wyprowadzono wielkiego byka, ofiarę przebłagalną dla bogów. Kapłani tańczyli, bicie bębnów narastało, bykowi podcięto gardziel i zwierzę osunęło się na ziemię. Jakby w odpowiedzi nad miastem uderzył grom. Deszcz siekł z boku obfitymi falami.

Niech rozpoczną się igrzyska!

Egzekucje przeprowadzono w rekordowym tempie. Policzyłem, że w niepełną godzinę ukrzyżowano lub spalono co najmniej pięćdziesięciu ludzi. Żołnierze wbijali gwoździe w nadgarstki i stopy tak szybko, jak tylko zdołali. Równie pośpiesznie stawiali krzyże i podpalali stosy wokół skazańców – co nie było łatwe, zważywszy na lejący deszcz – lub łamali ukrzyżowanym nogi, by ci nie mogli już łapać oddechu.

Dwóch centurionów miało za jedyne zadanie stwierdzić śmierć ukrzyżowanych skazańców, których nie spalono. Pierwszy włócznią przebijał każdemu z nich bok. Drugi szedł za nim z rozżarzonym żelazem na długim drągu i przypalał ciała skazańców, by sprawdzić, czy się jeszcze poruszają.

Deszcz lał jak z cebra, a w tłumie narastał niepokój. Paru ludzi wyszło, zanim w ogóle rozpoczęły się walki gladiatorów. Kaligula krzyczał na swoich żołnierzy, rozkazując im, by szybciej ściągali martwe ciała z areny. Niebo przecięła błyskawica, a potem znów zagrzmiało. Wszyscy podskoczyli na swoich miejscach.

Gdy tylko żołnierze usunęli zwłoki z areny, przed Kaligulą przemaszerowali gladiatorzy. Imperator obwieszczał ich dotychczasowe zwycięstwa, a oni go pozdrawiali, choć słów nie było słyhać w szalejącym wietrze i deszczu.

Dostrzegłem, że do walki został też wyznaczony ów młody gladiator, z którym się podciągałem, mężczyzna imieniem Kobius. Uzbrojony był jak *murmillo*, słowo to po grecku określa pewien gatunek ryby, zaś jego imię, Kobius, znaczyło „płotka”. W szkole, gdzie trenował Manswet, dowiedziałem się jednej rzeczy: celowo nadawali tam gladiatorom niedorzeczne imiona, jakby całe to przedsięwzięcie było dobrym żartem.

Manswet również stał przed lożą imperatora, lecz pozdrawiając cesarza, nie błysnął jak zwykle uśmiechem. Z całą pewnością kulał, choć robił, co mógł, by to ukryć. Tak jak Kobius, trzymał wielką, podłużną tarczę i długi miecz, uzbrojenie *murmillo*, na które wymienił swój dotychczasowy rynsztunek Traka. Lewą nogę miał okrytą ochraniaczem, nosił też hełm z szerokim rondem oraz pojedynczym piórem, które nie zasłaniało twarzy. Prawe ramię, to, w którym trzymał miecz, pokrywał ochraniacz ze skóry i metalu. Dziś Manswet będzie poruszał się wolniej, walczył defensywnie. Modliłem się, by odniósł zwycięstwo.

Jako ostatniego przedstawiono gladiatora imieniem Flamma – tego właśnie, którego Manswet ocenił jako równego sobie w walce na arenie. Był młodszy niż Manswet, równie wysoki, lecz dużo potężniej zbudowany. Miał długie, czarne włosy i dzikie spojrzenie. Cały był owłosiony, a jego mięśnie wydawały się wyrzeźbione z trawertynu.

Flamma pozdrowił imperatora, ale nie zwracał uwagi na wiwatujący tłum.

Włożył hełm i zasłonił twarz metalową, kratowaną przyłbicą. Wiedziałem, że Manswet pragnął walczyć z Flammą, zanim odejdzie z areny. Cieszyłem się, że nie dojdzie do tego dzisiaj.

Pierwsze walki rozkręcały się powoli, *lanistae* musieli biczami zagrzewać mężczyzn do boju. Kaligula zdawał się bardziej interesować tłumem niż gladiatorami. Deszcz ustał na chwilę, lecz wkrótce zaczęło lać jeszcze rzęsiściej. Podczas każdej przerwy wielu ludzi wstawało i zmierzało do wyjścia.

Po godzinie walk Kaligula przejął inicjatywę. Wstał i zarządził przerwę w igrzyskach. Przykazał strażnikom, by nie pozwolili już nikomu z widzów wyjść. Krzyknął, ile sił w płucach, by usłyszano go mimo deszczu.

– Jako gospodarz igrzysk postanowiłem zmienić ich przebieg – zawołał ostrym tonem. – Za chwilę ujrzycie więcej akcji i przelewu krwi niż widzowie wszystkich poprzednich igrzysk! Rozkazuję, by wszyscy gladiatorzy oprócz Flamy weszli na arenę jednocześnie. Zwycięzcą będzie ten, który pozostanie przy życiu. Pozostałym nie okażę litości.

Tłum odpowiedział przeciągłym rykiem. Gdy gladiatorzy wypełniali stopniowo arenę i zajmowali miejsca, na widowni zapanowało wyczuwalne rozgorączkowanie. Wielu wojowników oparło się plecami o sięgające im do pasa drewniane bariery, które oddzielały arenę od najniższego rzędu widzów. Inni stanęli pośrodku mokrego piasku, rozglądając się dokoła, by ocenić sytuację.

Gladiatorzy uzbrojeni byli różnorako. Wyglądało na to, że niektóre większe szkoły będą walczyć w grupach. Manswet i Kobius, jedyni gladiatorzy z ich szkoły, których jeszcze nie pokonano, stanęli blisko środka areny, zwrócenii plecami do siebie. W sumie naliczyłem czterdziestu dwóch walczących. Przeżyje tylko jeden z nich.

Wciąż lało jak z cebra, ale nikt z widzów już się tym nie przejmował. Kaligula stał na rostrze, rozpostarłszy szeroko ramiona – bóg przed swoim ludem.

– No i co, ktoś chce wyjść? – krzyknął.

Tłum odpowiedział pełną aprobaty wrzawą.

– A to jeszcze nie koniec! – ryknął Kaligula. – Wiemy z historii igrzysk, że *equites* walczyli dotąd tylko między sobą. Dziś to również się zmieni!

Odczekał, aż ucichną wiwaty, a potem wydał rozkaz:

– Wpuścić ich!

Na jego komendę na arenę wjechało czterech konnych gladiatorów. Każdy trzymał w lewej ręce okrągłą tarczę, jakiej używali konni w czasach republiki, a w prawej włócznię, wszyscy mieli przypasane miecze. *Equites* z wysokości swoich siodła mogli powalać pieszych gladiatorów, a potem zwrócić się przeciwko sobie. W ciągu paru chwil na arenie zapanował chaos.

Grzmotom burzy odpowiadały grzmiące okrzyki tłumu. Widzowie wstali z miejsc, niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę na drewnianych trybunach.

Manswet spoglądał to tu, to tam, rzucając przez ramię wskazówki Kobiusowi.

Kaligula uśmiechnął się, dumny ze swego okrutnego pomysłu.

– Niech zwycięży najlepszy gladiator! – zawołał. Uniósł berło i bój się rozpoczął.

Otoczający Flawię widzowie wrzasnęli jednym głosem. Wstała z miejsca, by lepiej widzieć, lecz inni zrobili to samo. Przywarła wzrokiem do Mansweta, bezgłośnie modląc się do bogów.

Zachowajcie go. Dajcie mu siłę. Pozwólcie mu zwyciężyć.

Widziała go w wielu walkach, ale nigdy w takiej jak ta. Podejrzewała, że Kaligula zaplanował to widowisko od samego początku. Burza była tylko pretekstem, chodziło o to, by zemścić się na Manswecie. Nie wahał się przy tym poświęcić życia czterdziestu pięciu gladiatorów.

Serce podeszło jej do gardła, słyszała każde jego uderzenie. W pierwszych chwilach, gdy rozpętał się chaos, na ziemię padło trzech gladiatorów, przeszytych włóczniami konnych. Jeden z walczących wpadł w sieć i zginął od ciosu trójzębem. *Retiarius* jednak, który go pokonał, nie zdążył nacieszyć się zwycięstwem, gdyż inny gladiator przeciął mu gardło, zachodząc od tyłu.

Manswet i Kobius walczyli wspólnie z jakimś gladiatorem, stojącym przed nimi, gdy nadszedł *equita* i wbił ich przeciwnikowi miecz między łopatki.

Walczący padali tak gęsto, że trudno było za tym nadążyć. Flawia przycisnęła pięści do ust, by stłumić okrzyki. Miała nadzieję, że Manswet przetrwa to piekło.

Ataki przebiegały tak szybko, że Manswet kierował się tylko czystym instynktem i adrenaliną. Ledwie zwracał uwagę na ból w prawej stopie, przez który nie mógł obracać się i ciąć tak szybko jak zwykle. Teraz wszystko zależało od obrony. Musiał po prostu przeżyć początkowe zamieszanie.

Przykucnął za swą ciężką, wypukłą tarczą, wysuwając lewą stopę do przodu i opierając się na Kobiusie, który chronił go od tyłu. Odparł nadjeżdżających *equites*, od których ciosów odchyliła mu się tarcza, a on sam zachwiał się do tyłu. Szybko odzyskał równowagę i spostrzegł, że jego i Kobiusa otoczyło czterech gladiatorów z konkurencyjnej szkoły. Rzucił się do przodu, atakując dwóch jednocześnie. Podbił tarczę jednego z nich i wypruł mu wnętrzności jednym uderzeniem miecza.

Usłyszał, że Kobius krzyczy coś z tyłu, i szybko się obejrzał. Ujrzał, że przyjaciel krwawi, gdyż ostrze przecięło mu ramię. Rozwścieczony Manswet natarł na drugiego gladiatora stojącego przed nim i zasypał jego tarczę gradem ciosów, zmuszając przeciwnika, by ją zniżył. Wówczas przeszył mu szyję śmiertelnym pchnięciem.

Odwrócił się, by pomóc Kobiusowi. W mgnieniu oka położył jego dwóch przeciwników. Nie było jednak czasu na odpoczynek. Wokół Kobiusa oplątała się sieć *retiarius*a, powalając go na piasek. Zanim Manswet zdążył coś przedsięwziąć, *retiarius* zagłębił trójzab w brzuch Kobiusa i młody przyjaciel Mansweta wydał ostatni, śmiertelny jęk.

Manswet poczuł, że coś w nim pęka. Przeszedł znów do ataku, tym razem nie bacząc na nic, i w ciągu paru chwil zabił trzech kolejnych gladiatorów. Pędził przed siebie z mieczem czerwonym od krwi, powalając na piasek każdego, kto znalazł się w pobliżu. Arenę zaścielały teraz ciała mężczyzn i koni, lecz Manswet nie przystanął nawet po to, by złapać trochę tchu. Odwracał się i atakował, przesywając mieczem kolejnego przeciwnika, a potem wrywając broń z martwego ciała, by znów zakręcić nią młynka i nacierać dalej. Nozdrza wypełnił mu zapach krwi, potu oraz strachu otaczających go ludzi. Jego pierś unosiła się i opadała w ciężkim, zmęczonym oddechu.

Napędzała go wściekłość. Wściekłość na Kaligulę za tę bezsensowną rzeź, w której zginęło tylu dzielnych mężczyzn. Wściekłość z powodu utraty przyjaciela, Kobiusa. Nigdy wcześniej nie walczył tak zaciekle, nigdy nie był tak spragniony krwi. Powalił kolejnego przeciwnika, ciosem tak potężnym, że niemal odrąbał mu ramię, a potem ruszył na następnego gladiatora. Niech tamtego dobije ktoś inny.

Wyprostował się, otoczony ciałami poległych, uniósł wzrok do nieba i zawył jak szaleniec. Deszcz lał jak z cebra, na arenie wciąż toczyły się potyczki. Któż jed-

nak ośmieliłby się zmierzyć z Manswetem?

Jakiś impuls kazał mu się odwrócić, w samą porę, by odeprzeć kolejny cios. Jego furia skupiła się teraz na człowieku, który zakradł się do niego od tyłu. Manswet zmusił go do odwrotu, lecz zarazem poczuł palący ból z tyłu lewego ramienia. Zachwiał się, lecz nadal walczył. Gdy przeciwnik się wycofał, Manswet spojrzął za ramię i zobaczył, że utkwiała w nim włócznia.

Rzucił miecz, sięgnął prawą ręką za siebie, skrzywił się i wyszarpnął włócznię. Świat pociemniał mu przed oczyma od przeszywającego bólu, na chwilę zakręciło mu się w głowie. Zdezorientowany, zdołał jednak zablokować kolejny cios tarczą, przykucnął szybko i podniósł miecz.

Walczył dalej, choć teraz z trudem trzymał tarczę i wciąż krwawił. Na arenie zostało już tylko kilku gladiatorów, ryk tłumu wprost ogłuszał. Gdy ostatni dwaj wojownicy natarli na Mansweta, spróbował przemóc zawroty głowy. Obaj przeciwnicy byli z tej samej szkoły i najwyraźniej zamierzali uśmiercić Mansweta, zanim zwrócą się przeciw sobie.

Manswet upuścił tarczę. Gladiatorzy podeszli do niego z obu stron, a jego lewe ramię było teraz bezużyteczne. Dopadło go skrajne wyczerpanie, okaleczona kończyna zwisała mu wzdłuż boku, prawa noga drżała. Nie miał jak się osłonić, był wystawiony na ciosy. Rzucił się na mężczyznę po prawej, by szybko się z nim uporać, a potem obrócić się, nim czyjś miecz dosięgnie go od tyłu.

Jednak po tym ataku gladiator zręcznie odsunął się w bok, a Manswet potknął się i przewrócił. Przeciwnik wykonał zamach mieczem, lecz Manswet przetończył się w samą porę, by uniknąć ciosu. Zerwał się na nogi, niepewny, co stało się z gladiatorem, który czaił się za jego plecami. Dobrze wiedział, że sam powinien już być martwy.

Spojrzał tam i zobaczył, że gladiator leży zaplątany w sieć, z wbitym w ciało trójzębem, wykrwawiając się na śmierć.

Obok stał Kobius, z brzuchem całym we krwi, przechylony na bok, z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Z ostatnim uporaj się sam – powiedział.

Mimo że Manswet miał niesprawne lewe ramię, nic nie mogło go powstrzymać. Zaatakował pozostałego przy życiu gladiatora, nieustępliwie prąc naprzód. W pewnej chwili przeciwnik podszedł za blisko i Manswet, zamachnąwszy się mieczem, przeszył mu prawe ramię. Mężczyzna upuścił broń. Manswet złapał za jego tarczę, przyciągnął go ku sobie i pchnął mieczem w pierś.

Ten upadł u jego stóp. Manswet stał na arenie, chwiejąc się na nogach, otoczony istną jatką, dziwiąc się, co w niego wstąpiło. Tłum wiwatował i tupał w drewniane trybuny. Kobius osunął się na ziemię, z ręką przyłożoną do boku, próbując zatamować krwawienie.

Na arenie stał już tylko Manswet.

Tłum zaczął rzucać monety. Ciała czterdziestu czterech gladiatorów oraz czterech koni zaścielały mokry piasek niczym po bitwie.

Kaligula stanął na przedzie łoży cesarskiej, krzycząc coś, machając rękoma, starając się, by go usłyszano.

Manswet spojrzał na niego ponuro z drugiego końca areny. Za nic nie podej-
dzie i nie pozdrowi imperatora. Gdyby mógł się zbliżyć do tego człowieka, zabiłby
go, zanim sam wydałby ostatnie tchnienie.

Gdy burzliwe owacje przycichły, rozległy się fanfary i tłum się uspokoił. Im-
peratorowi wreszcie udało się przekrzyczeć szum deszczu.

– Walka nie jest skończona! – zawołał. – Zostało dwóch gladiatorów, nie je-
den! Zagrzejcie ich biczami do boju!

Manswet nie wierzył własnym uszom! Kilku ludzi leżących na piasku jęcza-
ło, zwijało się z bólu. Jeszcze nie wykrwawili się na śmierć. Jego przyjaciel Kobius
będzie miał szczęście, jeśli przeżyje tę noc. A imperator mimo to domagał się wię-
cej krwi?

Chwiejnym krokiem podszedł na środek areny. Przez chwilę patrzył na Kali-
gulę, potem uniósł miecz nad głowę i wbił go mocno w mokry piasek. Zrobił krok
w tył.

– Napatrzyliście się już na śmierć! – krzyknął. – Dość już mężnych ludzi zgi-
nęło, by dostarczyć tchórzom rozrywki!

Znów byłem w stanie oddychać. Wcześniej patrzyłem zdumiony, jak ranny Manswet pokonywał jednego gladiatora po drugim. Poruszał się z taką furią i szybkością, jakiej nigdy dotąd nie widziałem. Długi miecz ciął powietrze i spadał na przeciwników z taką siłą, że byli całkiem bezradni.

Teraz jednak Manswet stał tam, na arenie, otwarcie sprzeciwiając się imperatorowi i okazując pogardę widzom, którzy uprzyjemniali sobie czas patrząc, jak czterdziestu pięciu ludzi walczy na śmierć i życie. Widzowie wokół mnie nie wiedzieli, jak na to zareagować.

Deszcz wciąż padał. Manswet rzucił ostatnie spojrzenie na pobojuwisko i ruszył do swego przyjaciela Kobiusa. Zarzucił sobie jego ramię na szyję, by go po-deprzeć. Razem skierowali się w stronę wyjścia.

Kaligula rzucił jakieś rozkazy strażnikom, a ci zeszli na arenę. Niektórzy pochwycili ciała martwych gladiatorów i zaczęli je ściągać z areny. Inni otoczyli Mansweta i Kobiusa.

Zgodnie z rozkazami Kaliguli rozdzielili obu mężczyzn i zmusili Mansweta, by przeszedł na skraj areny. Krew wciąż spływała mu z rany na lewym ramieniu. Oblepiał go mokry piasek, a broń, którą wspierał na prawym barku, była splamiona krwią jego przeciwników. Kobius został sam, ledwie trzymając się na nogach.

– Nie uwieńczyliśmy jeszcze zwycięzcy! – obwieścił cesarz. – Dwaj pozostali przy życiu gladiatorzy zasłużyli na walkę z wielkim Flamma!

Jeszcze nie skończył mówić, gdy na arenę wkroczył Flamma i skierował się prosto do Kobiusa. Usłyszałem, że Manswet krzyczy „Nie!”, próbując się przedrzeć między pretorianami, lecz było ich zbyt wielu, zatrzymali go. Odwróciłem się z niesmakiem, nie chcąc patrzeć, jak Flamma przebija mieczem Kobiusa i odwraca się, by ruszyć na drugiego rannego gladiatora.

Twarz Mansweta znów zapłonęła wściekłością. Uniósł miecz i ruszył na spotkanie nowego przeciwnika. Flamma odrzucił tarczę, próbując wyrównać szanse, ale Manswet był zmęczony i ranny, powłóczył prawą nogą i nie był w stanie unieść lewego ramienia.

Flamma wydał bojowy okrzyk, ujął rękojeść miecza obiema rękoma i ruszył przed siebie, gotów zabijać. Wymienili ciosy, lecz Flamma uderzał z siłą i szybkością, której Manswet nie mógł sprostać, walcząc jedną ręką. Jedno z uderzeń zraniło go w grzbiet prawej dłoni. Upuścił miecz.

Padł na kolana, a Flamma się zawahał. Ranny gladiator odrzucił głowę w tył, zaś Flamma, z twarzą zasłoniętą przyłbicą, przyłożył koniec miecza do szyi Mansweta.

Ludzie na widowni wzniesli kciuki w górę, w uznaniu dla zdumiewającego

męstwa, którym tego dnia wykazał się Manswet. Wszyscy patrzyli na cesarza.

Flamma, tak jak inni, odwrócił się, by zobaczyć, jaki werdykt wyda Kaligula.

Właśnie na taki moment czekał Manswet. Odepchnął miecz od swej szyi i rzucił się na przeciwnika.

Ten atak wprawdzie zaskoczył Flammę. Manswet miał go w rękę. Flamma jednak szybko ochłonął, uwolnił prawe ramię i uderzył mieczem w odsłonięty bok Mansweta, zatapiając broń aż do połowy.

Wydawało się, że na krótką chwilę świat się zatrzymał. Manswet oparł się ciałem o Flammę, z mieczem wbitym w bok.

Flamma zrobił krok w tył, a wielki Manswet, którego od wolności dzieliły zaledwie dwie walki, upadł twarzą na mokry piasek.

Tym razem Flamma nie zamierzał ryzykować. Wyszarpnął miecz z boku Mansweta, postawił stopę na szyi gladiatora i dokończył dzieła.

Tłum osłupiał. Nie mogłem na to wszystko patrzeć. Manswet wydawał się niezwycięzony. Nigdy nie myślałem, że spotka go taki koniec.

Nikt nie klaskał. Nikt nie rzucał sestercji na arenę. Widownię wypełniła niesamowita cisza, słychać było jedynie szum padającego deszczu.

Kaligula stanął na skraju łoża cesarskiej i przemówił w zapadłej ciszy na tyle głośno, by usłyszeli go widzowie.

– Szkoda, że Manswet postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Zamierzałem okazać mu litość.

Flawia próbowała wbiec na arenę w chwili, gdy wprowadzono Flammę na finałny pojedynek. Krzyczała i szamotała się, lecz pretorianie wywlekli ją stamtąd. Spadł jej z głowy kaptur i jeden ze strażników zorientował się, że mają do czynienia z kobietą.

– Tym razem daruję ci życie. – Uśmiechnął się szyderczo. – Ale jeśli jeszcze kiedyś spróbujesz się zakraść na niższe trybuny, dopilnuję, by ukrzyżowano cię razem ze skazańcami.

Była poza widownią, gdy zapadła tam głucha cisza. Flawia od razu zrozumiała, że Manswet zginął.

Zaczęła spazmatycznie szlochać i przysięgła bogom, że Kaligula kiedyś za to zapłaci.

Po śmierci Mansweta zbiegłem po schodach, przecisnąłem się przez tłum i popędziłem jak najszybciej do wyjścia, gdzie zaciągano ciała martwych gladiatorów. Kiedy tam dotarłem, widzowie opuszczali właśnie arenę i musiałem przedzie-

rać się przez potok ludzi. Wszyscy pragnęli jak najszybciej schować się przed deszczem i ochłonać z wrażeń, jakie przyniósł ten ciężki dzień. Igrzyska nie powinny kończyć się w ten sposób.

Utorowałem sobie drogę przez tłum łokciami i w końcu dobrnąłem do dwóch strażników, którzy usuwali z areny ciało Mansweta.

– Dokąd go zabieracie? – spytałem.

– Był godnym wojownikiem. Spalimy jego ciało, tak jak i innych męźnych gladiatorów.

Wiedziałem, że tych mniej odważnych wrzucano do Tybru.

– Znam go – powiedziałem.

– Tak jak i wszyscy.

Sięgnąłem do sakiewki i wydobyłem dwie złote monety.

– *Aureus* na głowę – zaproponowałem. Jeden *aureus* był wart więcej niż sto sestercji. To było więcej, niż ci żołnierze zarobią przez następne trzy miesiące.

– Dokąd go mamy zanieść? – spytał cicho jeden z żołnierzy.

Podąłem im miejsce w jednej z uliczek u podnóża Palatynu, nieopodal sklepów.

– Jeśli zaniesiecie go tam natychmiast, dla każdego jeszcze jeden *aureus*.

Kiedy przybyłem na wskazane miejsce, strażnicy już tam byli. Chwilę wcześniej kupiłem konia, płacąc zań niebotyczną sumę. Zarzuciliśmy na niego ciało Mansweta i przywiązaliśmy je do grzbietu zwierzęcia. Gladiator miał włosy zlepione krwią, ciało pokryte brudem i piaskiem. Owinęliśmy go derkami, które przyniosłem, po czym wypłaciłem strażnikom obiecaną nagrodę. Oddalili się bez słowa.

Powoli przemierzałem konno brukowane ulice Rzymu, ignorując spojrzenia mijanych przechodniów. Od posiadłości Aproniusza dzieliły mnie cztery mile. Tam wzniosę stos pogrzebowy z najsuchszego drewna, jakie zdołam znaleźć. Ułożę na nim ciało Mansweta i przygotuję je do godnego pogrzebu.

Sporo wydałem, by przekupić strażników i nabyć konia. Była to jednak ostatnia rzecz, jaka zajmowała moje myśli.

Nie mogłem już znieść tego, co stało się z moim krajem. Szalony imperator w pojedynkę niszczył najwspanialszą cywilizację, jaką znał świat. Dobrzy ludzie, tacy jak Manswet, płacili swoim życiem.

Targały mną silne emocje, od rozpacz po wściekłość. Myślałem o bólu, jakiego dzisiejsze wydarzenia przysporzyły Flawii. Myślałem o tchórzostwie tylu ludzi, którzy pozwalali Kaliguli na tyranie i mieli w niej swój udział. Myślałem, jaki byłem naiwny, wierząc, że w końcu zwyciężą ludzie dobrzy, którzy postępują tak, jak należy.

Powinienem zachować chłodny stoicyzm, ale całą moją istotę opanowała bez

reszty nienawiść. I pragnienie zemsty. Tego wieczoru zamierzałem rozpalić stos i patrzeć, jak wznoszą się płomienie, jak ulatują iskry, unosząc ciało Mansweta do nieba.

Ten ogień szybko zagaśnie. Lecz ogień, który rozgorzał we mnie, nie wypali się, póki Kaliguli nie spotka śmierć.

Po powrocie do Rzymu napisałem list, opieczetowałem go i zaniósłem do świątyni Westy. Wręczyłem go jednemu ze strażników, który rozpoznał we mnie adwokata Flawii. Poprosiłem, by zaniósł list Flawii, a on obiecał, że to uczyni.

Później, o północy, Flawia spotkała się ze mną pod Łukiem Augusta, tak jak poprosiłem w liście.

Miała na sobie czarny płaszcz z kapturem i nawet w blasku pochodni dostrzegalem, że jest pogrążona w głębokim smutku. Wstrząsnął mną widok jej włosów, obciętych przy samej skórze. Sprawiała przez to wrażenie jeszcze chudszej i mizerniejszej niż na procesie, w przyćmionym świetle wyglądała niemal upiornie. Jej wielkie, brązowe oczy były zapadnięte i podkrążone, zaczerwienione od płaczu. Nosiła się królewsko jak zawsze, ale musiało ją to kosztować wiele wysiłku.

Podeszła do mnie, uścisnęliśmy się na powitanie. Widziałem, że z trudem powstrzymuje łzy.

– Mam ciało Mansweta – powiedziałem.

Gdy to usłyszała, aż odrzuciła głowę.

– Gdzie?

– W posiadłości Aproniusza. Przygotowałem mu godny pogrzeb.

Chciała udać się tam ze mną. Pojechaliśmy razem na koniu, którego tego dnia kupiłem. Flawia siedziała za mną, obejmując mnie w pasie. Jechaliśmy powoli, gdyż nie byłem zbyt dobrym jeźdźcem, a poza tym koń, za którego tak słono zapłaciłem, okazał się niezbyt dobrym wierzchowcem. Niewiele rozmawialiśmy. Czasami słyszałem, że Flawia cicho płacze.

Burza już przeszła, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, ziemia wokół pogrzebowego stosu wciąż była rozmiękła.

Dołożyłem wszelkich starań, by przygotować ciało Mansweta. Umyłem go, także jego włosy, oczyściłem rany i namaściłem ciało oliwą. Rynsztunku gladiatora nie zdejmowałem. Żył jak wojownik i powinien umrzeć jak wojownik. Uplotłem wieniec i włożyłem mu na głowę.

Poprosiłem Flawię, by chwilę poczekała, zanim podejdzie do zmarłego. Noc była ciemna choć oko wykol, ciemne chmury zasłaniały księżyc i gwiazdy. Zapaliłem dwie pochodnie, ustawiając je po obu stronach pogrzebowego stosu.

Odwróciłem się i skinąłem głową ku Flawii. Oddaliłem się o parę kroków, by mogła przez chwilę побыć z Manswetem sam na sam.

Podeszła do martwego ciała, zsunęła swój kaptur i delikatnie pogładziła policzek zmarłego. Pochyliła się i pocałowała go w czoło, po czym położyła mu monetę na ustach, opłatę dla bogów za przeniesienie go do innego świata. Łzy powoli spływały jej po policzkach. Przesunęła palcami po powiekach zmarłego i odeszła

na bok, a jej ciało dygotało z żalu. Podeszedłem do niej i objąłem ją ramieniem. Wtuliła się we mnie i zaszlochała.

– Przykro mi – powiedziałem.

Po chwili odzyskała nad sobą panowanie. Otarłem jej oczy.

– Jestem gotowa.

Pozostawało jeszcze jedno do zrobienia, nim podpalimy stos. Każdy wielki człowiek miał prawo do mowy pogrzebowej. Zamierzałem dać z siebie wszystko.

– Manswet walczył z wielkim męstwem, godnością i wprawą – powiedziałem. – Lecz co ważniejsze, przeżywał swoje życie, nawet chwile na arenie, z radością i pasją prawdziwego Rzymianina. Walczył, by otrzymać obywatelstwo rzymskie, walczył też dla braci, swoich towarzyszy ze szkoły gladiatorów. Można by rzec, że oddał za nich życie, złożył je w ofierze za swoich przyjaciół. Wkraczając po raz ostatni na arenę, wiedział, że czeka go nie tylko walka z gladiatorami. Miał walczyć ze zwyrodniałymi knowaniami samego imperatora. Zrobił to jednak, bo potrzebowali go jego bracia. Zrobił to, gdyż uważał, że postępuje słusznie.

Zamilkłem, niepewny, czy moje słowa pomagają Flawii, czy ją ranią. Zdecydowałem się jednak mówić dalej.

– Umiał też kochać. Nadał sobie imię „Łagodny”, gdyż taki właśnie był. To samo wielkie serce, z którego czerpał odwagę do walki, pozwalało mu być czułym w miłości.

Flawia uściśnęła mnie mocniej ramieniem, którym obejmowała mnie w pasie, w niemym podziękowaniu.

– Widzę w twych oczach, Flawio, że kochałaś go ponad życie. Czasami myślę, że te wielkie sukcesy na arenie zawdzięczał po części marzeniom o wspólnym życiu z tobą. Miłość jest mocniejsza niż lęk. Prawdziwa miłość zwycięża lęk. Niech bogowie zmiłują się nad jego duszą. Niech jego duch wzniesie się do nieba. Niech imię Mansweta będzie sławione, a pamięć o nim, która wypełnia dziś nasze serca, niech przetrwa w nich na zawsze.

Przerwałem, lecz wiedziałem, że nie mogę na tym skończyć. Aby uczcić pamięć wielkiego Mansweta, nie wystarczą zwykłe słowa.

– I niech bogowie ześlą nam siłę, byśmy pomścili jego śmierć i pozbawili czci wszystkich, którzy za nią odpowiadają.

Odczekaliśmy chwilę w ciszy. Potem wyczułem, że Flawia zbiera w sobie siły, by podpalić stos.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Odsunęła się ode mnie, podniosła pochodnię i podpaliła drewno.

Patrzyliśmy przez chwilę w nabożnym milczeniu, jak płomienie strzelają ku niebu.

– Czy te słowa o pomszczeniu jego śmierci traktowałeś poważnie? – zapytała w końcu.

Odwróciłem się ku niej. Blask płomieni tańczył na jej przepelnionej bólem twarzy.

– Tak – odparłem.

– Daj mi swój sztylet – poprosiła.

Wręczyłem go jej. Flawia objęła lewą ręką ostrze i przesunęła nim po wnętrzu dłoni, zaciskając wokół niego palce. Oddała mi sztylet, dłoń jej krwawiła.

Zrobiłem to samo, starając się nie zwracać uwagi na ból.

Wsunęła swoją zakrwawioną dłoń pod moją, przykrywając obie prawą ręką, a ja położyłem na niej swoją prawą dłoń.

– Przysięgam bogom, że pomszczę śmierć Mansweta – powiedziała. – Krew za krew, życie za życie. Nie spocznę, póki Gajusz Juliusz Cezar August Germanik nie będzie martwy. Niech bogowie mnie przeklną i dręczą moją duszę, jeśli nie dopełnię tej świętej przysięgi.

Powtórzyłem jej słowa, a nasza krew mieszała się, ściekając nam z rąk. Złożywszy przysięgę, obmyliśmy rany. Pociąłem skrawek mojej togi na pasy, byśmy mogli obandażować dłonie.

Nie dręczyły mnie wyrzuty sumienia z powodu naszych planów. Dziwiło mnie za to, jaką osobą się stałem. Teofil, wielbiciel rzymskiego prawa, człowiek, który w każdym widział to, co najlepsze, był teraz spiskowcem i zamierzał zamordować rzymskiego cesarza.

Oboje, wpatrzeni w płomienie dogasającego stosu Mansweta, wiedzieliśmy, że wiele podobnych spisków się nie powiodło. Nie miałem jednak wątpliwości, że nasz się uda. Mówił mi o tym nie tylko wyraz oczu Flawii. Miałem poczucie, że bogowie w pewien sposób nam sprzyjają. Że pomimo śmierci Mansweta nie siedzą bezczynnie, patrząc na upadek Rzymu.

A gdyby nawet tak było, nam się uda. A bogowie niech będą przeklęci. Braлиśmy sprawy we własne ręce.

SPISKOWIEC

III II I I II III IV V VI **VII** VIII

Przez następne kilkanaście wieczorów spotykaliśmy się potajemnie z Flawią, planując nasz spisek. Roztrząsaliśmy dotychczasowe nieudane próby odebrania Kaliguli życia i uczyliśmy się na cudzych błędach. Niedoszli zabójcy zwerbowali zbyt wielu spiskowców. Nie mieli planu, jak przedostać się przez linię straży pretoriańskiej. Nie doceniali przebiegłości i paranoi Kaliguli.

Powiedziałem Flawii o truciznie, którą nosiłem wciąż przy sobie. Oboje byliśmy jednak zgodni, że to nie jest dobry sposób na uśmiercenie Kaliguli. Cesarz nigdy nie zje ani nie wypije niczego, dopóki kto inny tego nie spróbuje. Poza tym wy czułem, że Flawia uważa otrucie za zbyt humanitarną metodę, choć ona sama nigdy nie powiedziała tego wprost.

Na drodze stały nam trzy poważne trudności. Po pierwsze, musieliśmy znaleźć kogoś z bliskiego otoczenia Kaliguli, by pomógł nam zrealizować nasz plan. Cesarz otaczał się zaufanymi pretorianami i elitarnymi żołnierzami z germańskich plemion, z którymi niegdyś walczył jego ojciec. Wielu z tych ludzi nawet nie mówiło po łacinie, wszyscy byli bezwzględnie lojalni wobec Kaliguli.

Drugi problem stanowił senat. Flawia, która już raz musiała się bronić przed imperialną władzą, zgadzała się teraz, że system imperialny przyniesie Rzymowi śmierć. Chcieliśmy nie tylko pomścić Mansweta; mieliśmy też wyższe cele. Pragnęliśmy doprowadzić do przywrócenia republiki. To jednak wymagałoby stanowczego działania senatu, a kto zaufa temu kłębowi żmij?

Nawet gdybyśmy znaleźli senatora, który byłby godny zaufania, musieliśmy dopilnować, by nie był zamieszany w nasz spisek. Kaligula wciąż cieszył się pewną popularnością wśród wolnych obywateli i wojska, toteż senat nie zdołałby przejąć władzy, gdyby ludzie wiedzieli, że któryś z jego członków miał udział w zabójstwie cesarza.

Ostatni problem stanowiła rodzina imperatora. Gdyby jedynym naszym dokonaniem było zabójstwo Kaliguli, straż pretoriańska zaraz obwołałaby cesarzem któregoś z jego krewnych. Powinniśmy więc aresztować również ich, nawet jego wuja Klaudiusza, z którego nieudolności Kaligula drwił, lecz który mimo to był uważany za najpoważniejszego kandydata na następcę cesarza.

Najważniejszą jednak sprawą było znalezienie sposobu, by dopaść Kaligulę na osobności.

Teraz wreszcie pojawił się jakiś pomysł, a przyszedł z zupełnie nieoczekiwanej strony.

Ta rozmowa odbyła się pod koniec wystawnej uczyty, wydanej przez pewne-

go wybitnego senatora. Zwykle gardziłem takimi wydarzeniami, lecz moja pozycja społeczna wymagała, bym tym razem przyjął zaproszenie. Nie brakło tam również Seneki; spoczywał na łożu po drugiej stronie wielkiej sali biesiadnej. Nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu naszej kłótni po procesie Flawii.

Jakież więc było moje zdumienie, kiedy dawny nauczyciel zaproponował mi wspólną przechadzkę po ogrodach. Konwersacja z początku była wymuszona, lecz gdy Seneka upewnił się, że jesteśmy sami, zagrał ze mną w otwarte karty.

– Tymidiusz oskarżył senatora Pomponiusza o spisek przeciw cesarzowi – powiedział. – Pomponiusz wie o naszej dawnej przyjaźni i poprosił mnie, bym wstawił się za nim u ciebie. Chce, byś wziął jego sprawę.

Zaskoczyła mnie uwaga o naszej dawnej przyjaźni. I choć pochlebiało mi, że Pomponiusz zwrócił się do mnie, zamierzałem odmówić. Ostatnią rzeczą, jakiej Flawia i ja teraz potrzebowaliśmy, teraz, gdy byliśmy w samym centrum spisku przeciw cesarzowi, było zwracać na siebie uwagę procesem o zdradę.

– Chciałbym przyjąć tę sprawę, Seneko, ze względu na ciebie. Niestety nie mogę.

Wyczułem jego rozczarowanie. Nie odpowiedział mi od razu. Wiedziałem, że jest zbyt dumny, by mnie prosić.

Jego nastrój mi ciążył, więc podjąłem ryzyko. Komu mógłbym zaufać, jeśli nie Senece, przyjacielowi i mentorowi, który nienawidził Kaliguli niemal równie mocno jak ja?

– Powiedziałeś mi kiedyś, że zuchwałe czasy wymagają zuchwałych czynów – zacząłem, kątem oka badając jego reakcję. – Mam dość bronienia uczciwych ludzi, oskarżanych o zdradę. Mam dość imperatorów, którzy skazują dzielnych Rzymian na śmierć ku uciesze ludu. Mam dość senatorów, którzy przyklękają, by ucałować stopę człowieka takiego jak Kaligula, głosują za przyznaniem mu kolejnych honorów, a potem narzekają na cesarza za jego plecami.

Przeszliśmy parę kroków w milczeniu. Wahałem się, czy przejść do szczegółów. Czekałem, aż Seneka okaże mi w jakiś sposób, że sympatyzuje z naszą sprawą.

– Zawsze byłeś idealistą – rzekł w końcu. – Idealiści zostają nauczycielami, a pragmatycy imperatorami.

To było typowe dla Seneki. Mgliste i zwodnicze. Byle nie wyrzec słowa, które ktoś mógłby wykorzystać przeciw niemu.

– Mam zamiar zabić cesarza – przyznałem otwarcie. – Potrzebuję twojej pomocy, by przywrócić republikę.

Seneka odruchowo się obejrzał, czy ktoś za nami nie idzie. Zmarszczył brwi i nawet nie starał się ukryć swego niepokoju.

– Zakładam, że masz plan, jak znaleźć się z nim sam na sam?

– Jeszcze nie.

– Przyjmuję, że pilnujesz, by najbliższy krąg zaufanych doradców pozostał niewielki?

– Tak.

– Kimże oni są?

Znów rozważyłem, ile mogę powiedzieć.

– Nie wolno mi tego wyjawić.

– Rozumiem. – Wziął głęboki oddech. W dawnych latach tak właśnie okazywał swą irytację, kiedy go rozczarowałem. – A więc wyjaśnijmy to sobie. Postanowiłeś zabić imperatora, lecz nie masz żadnego planu. I z tego powodu odrzucasz moją prośbę o reprezentowanie mego przyjaciela Pomponiusza w procesie o zdradę?

– Jestem otwarty na sugestie – odparłem.

Uśmiechnął się.

– Sugeruję, byś tym razem nie mieszał w to mego imienia.

Obiecałem, że tego nie zrobię, i jeszcze raz przeprosiłem, że wymieniłem go jako świadka na procesie Flawii. Potem opowiedziałem mu o pogrzebie, jaki wyprawilem Manswetowi. I o tym, jaką przysięgę złożyliśmy z westalką. Próbowałem przekonująco opisać dojmujący ból Flawii.

Przechadzka miała się już ku końcowi, gdy Seneka zniżył głos.

– Muszę postawić sprawę jasno. Nigdy nie wezmę udziału w spisku przeciw cesarzowi. Martwię się jednak, jak długo ten człowiek będzie jeszcze żył. Słyszałem, że jest wciąż żądny nowych podbojów, zwłaszcza gdy w grę wchodzi kobiety, których nie wolno mu tykać. Już nie pokazuje się publicznie z Cezonią. Gdyby piękna kobieta zwabiła go gdzieś w ustronne miejsce, to obawiam się, że naszego dobrego cesarza można by łatwo zlikwidować. A gdyby tak się stało, senat może by się nawet zdobył na przywrócenie republiki. Upokorzenia, jakich senatorowie doznali od Kaliguli, to najlepsza nauczka. Poznali wady systemu imperialnego.

Seneka zatrzymał się i spojrzał na rozciągającą się przed nami posiadłość.

– Szkoda by było, prawda? Gdyby imperator dał się zwabić na taką schadzke z kobietą?

– Wielka szkoda – przyznałem.

– Zważywszy na charakter naszej rozmowy, nie sądzę, byśmy w najbliższym czasie mieli okazję znów konwersować – podsumował Seneka. – Lecz jako twój dawny nauczyciel przypomnę ci na koniec pewne zdarzenie z historii. W tamte idy marcowe, kiedy to zamordowano Juliusza Cezara, wyzwoliciele sądzili, że cały Rzym będzie podzielał ich radość po śmierci władcy. Przemaszerowali na Forum, wołając do mas: „Ludu rzymski, znów jesteśmy wolni!”. Odpowiedziało im milczenie.

Otoczył mnie ramieniem. Przez chwilę miałem wrażenie, że wrócił mój dawny mentor.

– Wiesz, o co mi chodzi, Teofilu?

Czekałem.

– Łatwiej zabić tyrana niż zakończyć tyranię – powiedział.

Pomimo złowieszczego ostrzeżenia mego mentora, byłem zbyt zaangażowany w spisek, by zawrócić. Jak na ironię, brakujący element pojawił się wkrótce po procesie senatora Pomponiusza. Jego oskarżyciele, w tym Cepion Kryspinus, pełniący funkcję ich rzecznika, liczyli na zeznanie domniemanej kochanki Pomponiusza, pięknej aktorki Kwintylli, i uznali je za swój główny dowód. Aby zmusić ją do obciążającego świadectwa, poddali ją torturom, które prowadził trybun straży pretoriańskiej Kasjusz Cherea. Tortury były tak okrutne, że twarz aktorki na zawsze oszpecono. Mimo to odmówiła zeznawania przeciw Pomponiuszowi.

Kiedy Kwintyllę zawleczono przed Kaligulę i oskarżono o spiskowanie z Pomponiuszem, imperator ulitował się nad aktorką, widząc, w jakim jest stanie, i uwolnił zarówno ją, jak i Pomponiusza. Podarował Kwintylli osiemset tysięcy sestercji, w nagrodę za jej niezłomność wobec mąk. Zgromił też pretorianina Chereę przed całym senatem, wyśmiewając jego zniewieściały sposób bycia oraz tuszę i ganiąc go ostro za torturowanie bezbronnej Kwintylli.

Tego wieczora postanowiliśmy z Flawią, że powinniśmy zaproponować upokorzonemu Cherei przyłączenie się do naszej sprawy.

Flawia podjęła starania, by go nakłonić do współpracy. A to jakaś rozmowa, a to pełne sympatii spojrzenie. Prośba o spotkanie na osobności. Po dziesięciu dniach zaskarbiła go sobie.

Oboje niepokoił się przed wtajemniczeniem Cherei w nasz plan, ja bardziej niż Flawia, głównie dlatego, że nie miałem dotąd okazji przyjrzeć mu się z bliska. Flawia jednak poprosiła, bym jej zaufała. Zresztą – czy mieliśmy jakiś wybór? Skoro chcieliśmy zbliżyć się do cesarza, musieliśmy się ułożyć z kimś z jego bliskiego kręgu, nawet jeśli ci ludzie budzili naszą odrazę.

Flawia wtajemniczyła więc Chereę w spisek, a mnie przypadło zadanie powiadomienia Aproniusza, mego dawnego klienta. Trzy razy jeździłem do jego wiejskiej posiadłości, by spędzić z nim wieczór, dyskutując o filozofii i o naszym wspólnym uwielbieniu dla republiki. W końcu, w sposobnym czasie, rzuciłem aluzję na temat tego, co się może zdarzyć.

– Gdyby coś się stało cesarzowi, byłby to odpowiedni moment, by przywrócić władzę senatowi – zasugerowałem. – Nastroje ludu temu sprzyjają.

Saczyliśmy wino, a on przyglądał mi się podejrzliwie.

– Aby do tego doszło, potrzebni byłiby senatorowie z wielką odwagą i przekonaniem – ciągnąłem. – Trzeba by zneutralizować gwardię pretoriańską i absolutnie unikać podejrzeń, że sami senatorowie uczestniczyli w spisku przeciw cesa-

rzowi.

Aproniusz powoli skinął głową, potwierdzając moje słowa.

– Wszystko, co mówisz, jest prawdą – rzekł. – Ale mam jedno pytanie.

– Słucham?

– Czy Flawia też jest w to zaangażowana?

– Tak.

– A więc przekaz jej, że was wesprę – obiecał Aproniusz.

Dwa miesiące po pogrzebie Mansweta Kaligula postanowił przenieść swój pałac do Aleksandrii. Cherea w tajemnicy powiadomił nas, że imperatora skłania do tego po części narastający paranoiczny lęk przed spiskami, a po części marzenie o egzotycznych Egipcjankach. Cesarz zamierzał wyruszyć do Egiptu na osiem dni przed kalendami lutowymi[15]. Zaplanował, że jego wyjazd poprzedzą trzy dni przedstawień teatralnych.

Mieliśmy zamiar uderzyć ostatniego dnia jego pobytu w Rzymie.

[15] Czyli 25 stycznia.

Dziewiątego dnia przed kalendami lutowymi[16] skoro świt w moim domu pojawili się dwaj pretorianie i zakuli mnie w kajdany. Zostałem aresztowany i oskarżony o planowanie zamachu na życie Gajusza Juliusza Cezara Augusta Germanika. Wtrącono mnie do pałacowego więzienia wraz z innymi, których zatrzymano pod podobnymi zarzutami.

Było bardzo zimno, niemal mroźnie, strażnicy pozwolili mi wziąć płaszcz. Gdy prowadzili mnie ulicami Rzymu, zwiesiłem głowę. Twarz ukryłem w cieniu kaptura. Było wcześniej, toteż na Forum przebywało niewielu ludzi.

Strażnicy doprowadzili mnie do pałacu i zamknęli w ciemnej celi. Natychmiast przypomniały mi się wizyty u Flawii i Mansweta. To nie Tullianum – nie okazałem się wystarczająco ważnym więźniem – lecz i tak czułem się przytłoczony. Nie było tam okien, panował ten sam ohydny smród. Drżałem, otoczony wilgotną ciemnością.

Zabrali mi sztylet, lecz zdołałem ukryć przed nimi mały flakonik z trucizną. Czułem go teraz pod palcami i myślałem o nadchodzących godzinach. Błagałem Apolla, by chronił Flawię. Usiadłem, oparłem się o ścianę, zamknąłem oczy i starałem się nie wyobrażać sobie, co mnie czeka.

Pełen przepychu teatr, zaprojektowany specjalnie dla cesarza, mieścił niemal dziewięć tysięcy widzów – kolejny monstrualny wydatek z państwowych funduszy. Wzniesiono go na Palatynie, prowadziło doń kilka wejść od strony Forum oraz podziemny tunel, który łączył go bezpośrednio z pałacem Kaliguli.

Teatr otwarto na siedem dni przed planowanym wyjazdem imperatora do Aleksandrii, a od dwóch dni pokazywano tam spektakl za spektaklem. Dziś, w ostatnim dniu tych widowisk i ostatnim dniu pobytu cesarza w Rzymie, wszystkie miejsca były zajęte.

Przedstawienie miało się właśnie rozpocząć. Kaligula zajął miejsce w łoży cesarskiej – bez Cezonii u boku – i nalegał, by Flawia usiadła obok niego. Włosy zaczęły jej już odrastać, lecz wciąż nosiła czarną perukę, sprowadzoną ze Środkowego Wschodu. Twarz miała okoloną puklami. Na powieki nałożyła nieco cienia, uczerniła rzęsy, usta pomalowała na kolor ciemnego cynobru. Hojnie skropiła się perfumami. Zdaniem Rubrii wyglądała pięknie.

Na początek Kaligula złożył ofiarę z byka ku czci Augusta. Gdy wrócił do łoży, ręce miał splamione krwią. Kazał sługom rozrzucić wśród widzów kosztowne słodycze, a sam obmył dłonie w misie i zajął miejsce obok Flawii, by wychylić kielich wina.

Podczas gdy on pił, Flawia rozważała możliwe zagrożenia. Teatru pilnowała co najmniej setka Germanów ze straży przybocznej Kaliguli. Podobna liczba pretorianów czuwała wmieszana w tłum. Spodziewano się, że jacyś spiskowcy mogą zamierzyć się na cesarza w ostatni dzień jego pobytu w mieście.

– Doniesiono mi, że znów wymykasz się z domu westalek – mruknął pod nosem Kaligula, podczas gdy widzowie przepychali się, by zdobyć słodycze. – Powiedziano mi, że tym razem obiektem twoich nocnych afektów jest nie kto inny, ale sam Teofil.

– Obawiam się, że wasza wysokość został wprowadzony w błąd.

– Może cię zainteresuje wieść, że Teofil został dziś rano aresztowany – ciągnął cesarz wesołym i zdawkowym tonem. Mówił tak cicho, że mogła go słyszeć tylko Flawia. – Trzymają go w lochach pałacowych, został oskarżony o udział w zdradzie. Chciałbym rozwiązać tę sprawę, nim wyjadę.

Flawia starała się powstrzymać emocje. Rzuciła niby to przypadkowe spojrzenie za siebie i ujrzała Chereę, stojącego na tyłach łoża cesarskiej. Odpowiedziała cesarzowi cichym i opanowanym tonem.

– Dobrze znam Teofila. Zapewniam, że nigdy nie wzięłyby udziału w czymś takim. Kto go oskarża?

– Człowiek, któremu ufam. Człowiek, który pragnie zeznawać przed senatem i opowiedzieć o szczegółach spisku. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Tłum się uspokoił. Cesarz wstał z miejsca.

– Dziś rano zostaną wystawione trzy sztuki – zapowiedział publiczności. – Druga i trzecia oparte są na greckiej tragedii, przedstawiającej losy Kinyrasa i Mirry. Pierwsza zaś, która otworzy dzisiejszy pokaz, została napisana specjalnie na tę okazję.

Usiadł z powrotem i już niewiele więcej powiedział. Rozmowa z Flawią najwyraźniej dobiegła końca. Westalka patrzyła z przerażeniem na rozwój zdarzeń w pierwszej sztuce. Była to pantomima o bandzie rabusiów, których aresztowano, a przywódcę przybito do krzyża. Scenę pokryły kałuże sztucznej krwi.

– Szkoda, że nie mogę krzyżować obywateli rzymskich – zauważył Kaligula. Wrzucił do ust kilka kulek winogron. – Mogę ich jednak skrócić o głowę. I właśnie taki koniec planuję dla Teofila, chociaż jestem otwarty na negocjacje.

Flawia z trudem przełknęła ślinę.

– Jakiego rodzaju negocjacje?

– Obiad spożyję w moich komnatach – odparł Kaligula. – Jeśli spotkasz się tam ze mną, sama, wszystko jeszcze może zostać przebaczone. Mogę wydać rozkaz uwolnienia Teofila zaraz po wyjeździe do Aleksandrii. Wtedy już będę daleko i będę bezpieczny.

– Skąd mam wiedzieć, że tym razem cesarz dotrzyma słowa?

Aktorzy skłonili się, a publiczność zaczęła klaskać. Kaligula wstał, a wraz z

nimi widzowie. Flawia też podniosła się ze swego miejsca, aczkolwiek niechętnie.

– Ujmijmy to w ten sposób – odrzekł, pochylając się ku Flawii, tak że mogła go dosłyszeć mimo szumu oklasków. – Masz moje słowo, że umrze, jeśli nie zrobisz nic. A ponieważ najwyraźniej zależy ci na tym człowieku, inaczej przecież nie toczylibyśmy tej rozmowy, widzę sens w tym, by trzymać go przy życiu, dopóki będziesz mi szła na rękę. Tym sposobem będę mógł cię zaprosić do pałacu, ilekroć zechcę.

– A co z Cezonią?

– Jest matką moich dzieci i nic poza tym.

Usiedli. Na scenie trwały przygotowania do kolejnej sztuki. Flawią wstrząsnął dreszcz pogardy. Nie znosiła być tak blisko tego człowieka.

– Niech stanie się zadość życzeniom cesarza – rzekła w końcu. – Czy mam teraz wyjść?

Wyciągnął rękę, by przytrzymać jej dłoń. Miała ochotę ją wyrwać, ale zmusiła się do zachowania spokoju.

– Masz zimne ręce, moja droga – zauważył Kaligula.

– Budzisz we mnie niepokój.

Cesarz zaśmiał się pogardliwym chichotem z głębi gardła.

– Może powinnaś już się oddalić – powiedział. – Przyjdę do ciebie za chwilę. Tymczasem obywatelom Rzymu może dobrze robi, jeśli ujrzą, że westalka obdarta mnie takim samym szacunkiem jak najwięksi senatorowie.

Pochylił się i rozpiął sandał. Uniósł prawą stopę i spojrzał na Flawię.

Sama myśl o tym była odrażająca. Flawia nie potrafiła się do tego zmusić, do ukłęknięcia i pocałowania owłosionej stopy tego człowieka, jakby był jakimś bogiem, któremu należy się cześć. Kaligula był naprawdę obłąkany.

Zamiast tego pochyliła się ku niemu bliżej i szepnęła mu do ucha:

– Nie ucałuję stóp cesarza – powiedziała. – Ale będę na ciebie czekać.

Zawahał się na moment, a potem opuścił nogę. Obrócił się i strzelił palcami. Cherea podszedł ku niemu.

– Flawia chciałaby sobie obejrzeć moje komnaty – powiedział Kaligula, zniżając głos.

Cherea skinął głową, a Flawia ujęła go pod ramię. Razem wyszli przez drzwi prowadzące do pałacu.

[16] Czyli 24 stycznia.

Wydawało mi się, że siedzę w celi już całą wieczność. Mnóstwo czasu, by rozważyć wszystkie możliwe opcje. W najlepszym wypadku nasze przedsięwzięcie toczyło się dalej, tyle że wolniej, niż się spodziewaliśmy. W najgorszym – Cherea wystawił do wiatru nas oboje. A może ktoś inny wykrył nasz plan, a Cherea i Flawia również siedzą w więzieniu? Było tysiąc możliwości i żadna nie pozostawiała mi miejsca na działanie.

Czekałem zatem. Czas dłużył mi się w nieskończoność. Z początku nie mogłem się uwolnić od czarnych myśli, od przypuszczeń, że wszystko poszło źle. Jednak siedząc samotnie w zimnie i ciemności, poczułem, że w jakiś dziwny sposób moja determinacja rośnie. Pokrzepiałem się żywymi wyobrażeniami, schowanymi w zakamarkach mej pamięci. Kaligula jako nastolatek, zepsuty i arogancki, śmieje się ze mnie, gdy wiszę na krzyżu. Kaligula jako cesarz, szyczący ze mnie, gdy bronię Mansweta i Flawii. Pełen zazdrości Kaligula przewodniczący igrzyskom, doprowadzający do śmierci odważnego Mansweta. Hipokryta wołający z łoża, że przecież okazałby litość, gdyby tylko Manswet dał mu szansę.

I ostatni obraz – Flawia pogrążona w nieutulonym żalu.

Czas ciągnął się, a ja wciąż na nowo odtwarzałem te wydarzenia w pamięci, zastępując resztki strachu falą gniewu i niezłomnym postanowieniem zemsty.

Cherea szybko prowadził Flawię podziemnymi tunelami, wiodącymi do pałacu cesarskiego, wąskimi korytarzami z freskami na ścianach, przedstawiającymi Kaligulę i innych cesarzy. Minęła wizerunek cesarza wygłaszającego swą pierwszą mowę przed senatem i pomyślała o tych upajających dniach, kiedy wydawało się, że młody Kaligula zapoczątkuje nowy złoty wiek. Od tamtych chwil nie minęły nawet cztery lata.

Cherea już ledwie dyszał, kiedy wprowadził westalkę do małej niszy u podnóża stromych kamiennych schodów, które wiodły do pałacowego więzienia. Chwycił brunatny płaszcz z kapturem, leżący w rogu niszy, i rzucił go Flawii. Przywdziała go bez słowa. Wtedy wręczył jej sztylet.

Najpierw uwolnią Teofila. Potem wrócą tu w trójkę i przetną drogę imperatorowi w wąskim korytarzyku prowadzącym do jego komnat. Flawia wiedziała, że apartamentów cesarza będą strzec wierne oddziały germańskie. Najlepiej będzie go zabić w tym właśnie przejściu, nim dotrze do komnat.

Gdy wspinali się po schodach, Cherea kazał Flawii zdjąć kaptur, by strażnicy mogli zobaczyć jej twarz. Wyjaśnił im, że cesarz kazał mu zaprowadzić westalkę do swoich komnat. Strażnicy uwierzyli. Powiedział im również, że Kaligula polecił

mu też doprowadzić tam Teofila, by zaszantażować westalkę groźbą jego śmierci, w razie gdyby nie chciała współpracować. Nie wiadomo, czy tym razem też dali wiarę, w każdym razie posłuchali rozkazów Cherei.

Gdy dotarli do celi, Cherea odezwał się do germańskich strażników w ich języku. Flawia nie miała pojęcia, o czym mówią. Strażnicy kilkakrotnie obrzucili ją spojrzzeniami, lecz w końcu podali Cherei klucze, a on otworzył drzwi.

Cherea wyszarpnął mnie z celi i popychając, skierował do korytarzyka prowadzącego ku schodom. W ręku miał miecz. Był z Flawią. Podziękowałem bogom za uwolnienie i zszedłem po schodach najszybciej, jak zdołałem.

Gdy już znaleźliśmy się w podziemnym korytarzu, Cherea upewnił się, że nikogo nie ma. Uwolnił mi ręce z kajdan i wręczył brunatny płaszcz z kapturem. Wyciągnął zza pasa zapasowy sztylet i podał mi go.

– Nie mamy za wiele czasu – powiedział. Jego podpuchnięta, okrągła twarz była czerwona od wysiłku, oczy miał zwężone. W jego spojrzeniu czytałem, że teraz, gdy wreszcie nadszedł oczekiwany moment, jest zdenerwowany i niemal bliski paniki. Znów dopadły mnie wątpliwości, czy wybraliśmy sobie właściwego sojusznika.

– Nasuńcie kaptury i idziemy – polecił.

Pobiegliśmy podziemnym korytarzem, potem następnym. Za każdym razem, gdy mieliśmy skręcić, Cherea szedł pierwszy i sprawdzał, czy nikt nie nadciąga. Szliśmy szybko, trzymając się blisko ścian. Za którymś razem okazało się, że w naszym kierunku zmierza grupa pretorianów.

– Trzymaj ręce razem – szepnął Cherea. Zrobiłem, jak polecił, a on przyłożył koniec miecza do moich pleców. Flawia szła za nami. Gwardziści zatrzymali się i zapytali, czy Cherea nie potrzebuje pomocy. Odparł, że nie, więc poszli swoją drogą.

Dotarliśmy do długiego korytarza, który wiódł prosto do komnat cesarza, i zaczailiśmy się w miejscu, gdzie przecinał się z innymi, mniejszymi korytarzykami. Gdyby ktoś nadchodził od strony teatru, nie zauważyłby nas. Chwile wlekły się jedna za drugą. Ani śladu imperatora.

– A jeśli nie przyjdzie? – spytałem.

– To zabijemy go w teatrze – odrzekł Cherea. – Własnoręcznie wbiję mu nóż w plecy. Moi ludzie albo mnie wesprą, albo aresztują. Cokolwiek się stanie, ty już będziesz w drodze do senatu.

Postanowiliśmy wszyscy troje, że damy sobie jeszcze chwilę.

Korytarzem po lewej nadciągnęła grupka młodych greckich chórzystów i minęła nas, za nimi szli przodownicy chóru. Widocznie mieli wystąpić w teatrze. Idąc, śpiewali melancholijną, tragiczną pieśń, ich głosy odbijały się echem od

ścian. Rozpoznałem pieśń z czasów nauki w szkole Molona i uznałem to za omen. Bogowie uśmiechali się do nas. To była pieśń żałobna dla Kaliguli.

– Nadchodzi – ostrzegł Cherea. Gdy grecki chór przeszedł, Cherea wyjrzał za róg. – Chodźcie.

Podążaliśmy za nim tunelem jeszcze jakieś trzydzieści kroków, w ślad za dwoma tuzinami chórzystów. Dostrzegłem za nimi Kaligulę i dwóch jego gwardzistów. Dlaczego nie zaczekaliśmy na nich w korytarzyku? Wydawało mi się, że Cherea pragnął przydać tej sprawie jak najwięcej dramatyzmu. Może chciał mieć świadków, by nie było wątpliwości, kto zabił cesarza. Jego imię będzie wysławiane albo przeklęte, lecz znajdzie się na ustach całego Rzymu.

Chórzyści zatrzymali się i skłonili przed cesarzem. Nasza trójka zamarła w miejscu, ale byliśmy na tyle daleko, że Kaligula prawdopodobnie nas nie dostrzegł.

– Zaśpiewajcie inną pieśń – powiedział.

Chłopcy zaintonowali jakąś radosną melodię. Śpiewali ile sił w płucach, dołączyli do nich przodownicy chóru. To było niesamowite, jak ze snu, wręcz wciskało w ścianę – słyszeć ten pełen werwy muzyczny hołd, a zarazem skradać się za chórem i wreszcie wsunąć się do niszy, by znaleźć się poza zasięgiem wzroku cesarza. Wszystkie nerwy miałem napięte. Za chwilę przyjdzie pora na nasz ruch.

Chór zamilkł, a cesarz zaczął klaskać. Nie szczędził pochwał chórzystom. Słyszeliśmy, jak chłopcy mu dziękują, ruszając w stronę teatru. Wiedzieliśmy, że lada moment Kaligula przejdzie tuż obok nas.

– Gwardzista po lewej to Sabinus – wyjaśnił Cherea. – Jest z nami. Gwardzista po prawej nie.

Rozpoznałem gwardzistę po prawej. Był nim Lucjan, nadal jeden z najbliższych przyjaciół Kaliguli. Był w pełnym rynsztunku, ale nam dawało przewagę zaskoczenie.

– Uderz sztyletem tutaj – poradził Cherea, wskazując miejsce obok swego napierśnika, po lewej stronie. – Ja zajmę się cesarzem.

– A ja z tobą – rzekła Flawia.

I właśnie wtedy nadeszła wyczekiwana chwila. Wyszliśmy z niszy, wprost przed cesarza i jego strażników. Grecki chór był już jakieś czterdzieści kroków za nimi, w głębi korytarza, i właśnie zniknął za rogiem.

– Co to takiego? – spytał cesarz.

Cherea wyciągnął miecz i nie tracił czasu. Zamachnął się na cesarza, ujmując broń w obie ręce, by jednym potężnym ciosem pozbawić imperatora głowy.

W tym króciutkim, kulminacyjnym momencie czas zdawał się zwalniać. Zobaczyłem zdumione spojrzenie imperatora, jego usta ułożone na kształt litery „o”, oczy szeroko otwarte z przerażenia. Miecz uderzył w obojczyk, miażdżąc kość i zostawiając w ciele głęboką ranę.

Lucjan skoczył ku Cherei, ale ja pchnąłem go od dołu sztyletem, zatapiając

broń między jego żebra, tuż pod lewym ramieniem. Obrócił się ku mnie, a ja z całej siły wierciłem i ciąłem ostrzem. Poczułem drzenie, które powiedziało mi, że właśnie przeszyłem serce. Lucjan krzyknął, ale zanim zdołał zadać pierwszy cios, zatoczył się i osunął na podłogę.

Kaligula jakimś cudem przeżył pierwsze uderzenie, choć słańał się na nogach. Flawia rzuciła się do przodu i wbiła mu sztylet w serce. Gwardzista imieniem Sabinus również włączył się do akcji i kilkakrotnie dźgnął imperatora w plecy. Gdy Kaligula upadł, Cherea znów uderzył mieczem, tym razem kierując cios w szyję imperatora. Wytrysnęła krew. Kaligula zacharzał, a jego ciało opadło bezwładnie.

Wpatrywałem się w ten widok, zmrożony zgrozą owej chwili. Władca Rzymu leżał martwy u naszych stóp, kałuża krwi rozlewała się coraz szerzej na gładkich, lśniących kamieniach posadzki. Jego przyjaciel z dzieciństwa, a mój niegdysiejszy dręczyciel, leżał obok niego, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Wiele razy marzyłem, że mszczę się na imperatorze. Nigdy jednak nie miałem zamiaru zabić przy tym niewinnego człowieka.

– Skończone – powiedziałem.

– Jeszcze nie – odparł Cherea.

Wiedziałem, co miał na myśli. On i Sabinus wkroczą teraz do pałacu i aresztują żonę, córkę i wuja Kaliguli. Flawia zostanie tutaj i zacznie krzyczeć, by powiadomić cały świat o śmierci cesarza. Opowie, że wracała z pałacu i natknęła się na ciało imperatora leżące w korytarzu. Ja pobiegnę podziemnymi tunelami do wyjścia prowadzącego na Forum. Moim zadaniem było zanieść wieść senatowi i zebrać ludzi.

– Niech bogowie będą z wami – rzekł Cherea.

Flawia zdjęła płaszcz i podała go mnie. Ujęła moją twarz w dłonie, pochyliła się i mnie pocałowała.

– Wywiąż się dobrze ze swego zadania – powiedziała. – I uważaj na siebie.

Po tych słowach Cherea, Sabinus i ja ruszyliśmy korytarzem, a potem w górę po schodach. Usłyszałem za sobą mrożący krew w żyłach krzyk.

Cesarz był martwy. Pozostawało pytanie, czy imperium umrze razem z nim.

Krzyk Flawii ściągnął z powrotem greckich chórzystów. Osłupiali chłopcy wpatrywali się w zwłoki. Minęło ich w biegu kilka germańskich oddziałów. Dotarli do Flawii klęczącej przy zakrwawionym ciele Kaliguli. Wskazała im kierunek i pobiegli dalej. Gwardia pretoriańska przybyła tuż za nimi, wkrótce podziemne tunele zaroily się od wojska.

Flawia przedarła się z powrotem do teatru, gdzie panowało istne pandemonium. Germańscy strażnicy Kaliguli stanęli przy wejściach z obnażonymi mieczami, nie pozwalając nikomu opuścić widowni. Flawia zajęła miejsce w łoży cesarskiej i głośno płakała, wyjaśniając innym, że Kaligulę zasztyletowano na śmierć. Jego napastnicy chyba uciekli. Rubria przyklękła przy niej i położyła głowę na jej kolanach.

Niektórzy senatorowie próbowali opuścić teatr, lecz strażnicy twardo się temu sprzeciwiali. Senatorowie głośno protestowali, jednak żołnierze tylko kręcili głowami, przeżyli mięśnie i gestem pokazywali im, że mają wrócić na swoje miejsca.

Część senatorów posłuchała. Inni podeszli do cesarskiej łoży.

– Dopiero co natknęłam się na niego w tunelu – wyjaśniała Flawia.

– Jesteś pewna, że był martwy?

Skinęła głową, zaczęła coś mówić, lecz znów wybuchła płaczem.

Emocje szybko narastały. Niektórzy widzowie otwarcie płakali, inni wyglądali na uradowanych. Zaczęły się szerzyć pogłoski, że Kaligula tak naprawdę wcale nie zginął i że całe zamieszanie to tylko podstęp, mający pokazać, kto będzie się cieszył ze śmierci imperatora.

Gdy wrócili trzej najbliżsi członkowie ochrony osobistej cesarza, sprawy przybrały krwawy obrót. Gwardziści ścięli głowy trzem senatorom, których zastali w korytarzu, i przynieśli je do teatru. Umieścili zakrwawione głowy na scenie, zwrócone twarzami ku publiczności. Ludzie kulili się z przerażenia. Niektórzy rzucali się strażnikom do nóg, wołając, że są niewinni.

Flawia czuła oburzenie, widząc, jak szybko rozkręca się spirala przemocy. Tych trzech uśmierconych senatorów po prostu znalazło się w złym miejscu w niewłaściwym czasie.

Pozostali senatorowie, a było ich mniej więcej pięćdziesięciu, zbili się w grupkę w pobliżu swych miejsc. Otoczyli ich germańscy strażnicy. Flawia chwyciła Rubrię za rękę i obie przeszły między senatorami i członkami przybocznej gwardii cesarza. Stały przed gwardzistami, zasłaniając sobą senatorów. Dołączyły do nich dwie inne westalki.

– Z drogi! – rozkazał jeden z gwardzistów.

– Ci ludzie zasłużyli przynajmniej na uczciwy proces – odrzekła Flawia, nie ruszając się z miejsca.

Dowódca straży przez chwilę świdrował ją wzrokiem, nozdrza rozszerzyły mu się z wściekłości.

– Nikomu nie wolno stąd wyjść! – warknął.

Pobiegłem do domu Sencjusza Saturnina, jednego z dwóch rzymskich konsulów, którzy teraz dzierżyli władzę, dopóki senat nie wybierze nowego cesarza. Zadyszany głosem przekazałem wieść o śmierci Kaliguli. Nalegałem, by Sencjusz zwołał posiedzenie senatu, bo w przeciwnym razie Rzym może pogrążyć się w chaosie.

Sencjusz, przebiegły i nieufny starzec, który niejedno przeżył, wyprostował się, jakby od dawna się spodziewał takiego obrotu spraw.

– Dziękuję ci za wiadomość, Teofilu. Możesz być spokojny, senat zbierze się tak szybko, jak to będzie możliwe.

Wyszedłem od Sencjusza i pobiegłem do domu Seneki. Czekał na mnie razem z Aproniuszem.

– Cesarz nie żyje – wydyszałem, gdy stanąłem przed nimi. Pochyliłem się, by zaczerpnąć tchu.

– W jaki sposób zginął? – zapytał Aproniusz.

– Mniej bolesny, niż na to zasłużył – odparłem.

Nie minęła jeszcze godzina od śmierci Kaliguli, gdy do teatru wkroczył wysłannik senatu. Był nim Ewarestus Aruncjusz. Przyodziały w czarny strój żałobny, wszedł zamaszystym krokiem na scenę i stanął za odciętymi głowami trzech senatorów. Ewarestus był licytатorem i wyróżniał się niezwykle władczym głosem; mało kto mu w Rzymie dorównywał.

Obwieścił, że Kaligula został zamordowany – zakłuty sztyletem przez nieznaną sprawców. Zgodnie z zarządzeniem konsulów senat zbierał się właśnie, by wybrać nowego imperatora, a widzowie mieli opuścić teatr. Żałoba po cesarzu ma się rozpocząć natychmiast. Senatorowie powinni udać się na Kapitol.

Strażnicy, choć niechętnie, otworzyli drzwi teatru. Widzowie prawie tratowali jedni drugich, byle jak najspieszniej opuścić to miejsce.

Flawia wyszła razem ze wszystkimi i szybko podążyła do domu westalek, by zmyć krew ze skóry i z ubrań. Wykonała już swoje zadanie, by uwolnić Rzym od tego szalonego tyrana. Teraz przyszła pora na senat.

Obserwowałem przez trzy godziny, jak senatorowie debatują nad przyszłością imperium. Aproniusz przemówił jako jeden z pierwszych. Tak jak się spodziewałem, przedstawił przekonujące dowody, że czas zrzucić kajdany systemu imperialnego i wrócić do republiki. Surowo zganiał senatorów za to, że nie zdołali się przeciwstawić nadużyciom Kaliguli. Przygotował całą listę zniewag i arogancji, jakich senat doznał ze strony cesarza, i po kolei je wyliczał.

– Oto, co się dzieje, kiedy rezygnujemy z praw przynależnych nam jako rzymskim obywatelom i klękamy, by ucałować stopę człowieka, który uznaje się za boga! – wołał.

Wiedziałem, że Aproniusz będzie stanowczo obstawał za przywróceniem republiki, lecz nie miałem pojęcia, że będzie to czynił z taką mocą. Jego mowę często przerywały oklaski, senatorowie z opozycji wyglądali na rozwścieczonych.

Po Aproniuszu wystąpił sam Sencjusz Saturnin, konsul, z którym wcześniej rozmawiałem. W swojej oracji podjął ten sam temat.

– To nasza gnuśność pomogła zbudować tyranie cesarza. I nasz brak sprzeciwu wobec jego zachcianek. Ulegliśmy pokusie świętego spokoju i nauczyliśmy się żyć jak pokonani więźniowie. Baliśmy się umrzeć, jak przystało odważnym mężom, i znosiliśmy najgorsze upokorzenia.

Kiedy skończył, połowa senatorów zgotowała mu owację na stojąco, pozostali zaś wyglądali, jakby życzyli mu śmierci. Jeden z nich zerwał się na równe nogi i podszedł do Sencjusza. Wskazał na sygnet na ręce konsula, ujął tę rękę i podniósł, by wszyscy ujrzeli pierścień.

– Widzicie, co ten człowiek nosi? – zapytał. – Sygnet z podobizną Kaliguli. A gani nas, że podchlebialiśmy się cesarzowi. Jak myślicie, kto wyznaczył go na konsula?

Debata toczyła się dalej. Pod drzwiami senatu zebrał się tymczasem ogromny tłum. Na Forum mówcy wchodzili na rostrę i podjudzali zebranych. Miejskie siły porządkowe, posłuszne surowym rozkazom konsulów, trzymały straż w pobliżu. Gwardii pretoriańskiej nigdzie nie było widać.

Kilku bardziej zdeklarowanych orędowników republiki weszło do sali senatu i poprosiło mnie, bym też przemówił z rostry.

– Ludzie cię posłuchają – twierdzili. – Masz szansę zmienić bieg historii.

Początkowo miałem wątpliwości. Zastanawiałem się, czy powinienem publicznie zajmować stanowisko. Choć jeszcze nie rozniosła się wieść o moim aresztowaniu, ludzie w końcu się dowiedzą, że dziś rano zostałem oskarżony o zdradę. Gdyby jednak przywrócono republikę, oskarżenie, jak również podobne zarzuty skierowane przeciw innym, zostaną oddalone, a nawet uznane za powód do chwały. Gdyby zaś republika nie powróciła, oskarżenie o *crimen laesae maiestatis* będzie tylko jednym z wielu problemów. Nie było nic pośrodku.

Wyszedłem za nimi na zewnątrz. Kiedy przyszła moja kolej, wstąpiłem na

rostrę, na to samo miejsce, z którego Marek Antoniusz wychwalał pod niebiosa Juliusza Cezara. W swoim słynnym peanie Antoniusz demonizował Brutusa, zabójcę Cezara, utrwalając władzę imperatorów. Może dziś władza ta zostanie obalona.

– Nadejdzie pora na oplakiwanie Gajusza Juliusza Cezara Augusta Germanika – zacząłem. – Teraz jednak nie czas na to!

Spojrzałem na tysiące ludzi stojących przede mną, na wspaniałe rzymskie świątynie za nimi, na siły porządkowe stojące w szeregach wzdłuż portyków Forum.

– Przyjdzie czas, że ciepło wspomnimy wczesny okres jego panowania, dni, kiedy zakończył procesy o zdradę i przechadzał się wśród nas jak zwykły rzymski obywatel. Dni, kiedy traktował wszystkich przyzwoicie i z szacunkiem. Teraz jednak nie pora na wspominki.

Moje słowa rozbrzmiewały pośród zebranych i zauważyłem, że w ogóle się nie denerwuję. Przygotowywałem się do tej chwili przez całe życie. Głos miałem mocny, spojrzenie spokojne, trzymałem głowę wysoko.

– Dziś jest dzień działania. Dziś musimy wybrać. Z jednej strony mamy wolność. Naród prawa. Naród, w którym każdy człowiek, bez względu na to, kim się urodził, synem wyzwolenca, niewolnikiem czy rzymskim ekwitą, może wspiąć się na sam szczyt i osiągnąć największe triumfy. Jeśli pójdziemy tą drogą, wybierzemy chwałę Rzymu. Odwagę rzymskiego legionisty, autorytet rzymskiego urzędnika, geniusz rzymskiego architekta. Rzym niósł cywilizację całemu światu nie dlatego, że przewyższaliśmy innych uzbrojeniem, lecz dlatego, że przewyższaliśmy ich wolą. Jesteśmy Rzymianami. Nie kłanialiśmy się nikomu. Oto jedna z dróg, jakie rozciągają się przed nami: przywrócenie naszej chwały. Druga droga to system imperialny. Potykamy się jeden o drugiego, byle ucałować stopę innego człowieka. Pozwalamy, by ten człowiek szydził z naszych instytucji, grożąc, że przyzna swemu koniowi drugie co do ważności stanowisko w państwie. Stoimy bezczynnie, gdy wyciąga rękę, sięga po nasze żony i zabiera je do swych komnat, a my patrzymy na to, pogrążeni we wstydzie. Nie mówić nic. Nic nie robić. Oto droga imperium. Jeden człowiek zostaje bogiem, a wszyscy inni jego niewolnikami!

Kilku ludzi zaczęło klaskać, inni posykiwali lub wykrzykiwali swoje protesty. Wiedziałem, że wstępuję na niebezpieczny grunt, potępiając pamięć cesarza, gdy jego ciało jeszcze nie ostygło.

– Jaka jest cena rzymskiej duszy? Czy kupuje się ją darmowym chlebem i rozrywkami, jakie daje Circus Maximus? Czy tyle trzeba zapłacić, byśmy dali się upokorzyć jak zwierzęta? Czy też może dusza Rzymianina jest bezcenna? Może to dusza prawa, dobra i wartościowa? Czy każdy obywatel powinien mieć szansę, by z najgorszych nizin wstąpić do nieba? Oto, co oznacza republika. Oto, co oznacza przywrócenie chwały Rzymu.

Przerwałem, szukając w głowie odpowiedniego zakończenia.

– Założyciele Rzymu stworzyli największą republikę w ludzkiej historii. Czas na jej powtórne narodziny; przyszła kolej na nas, byśmy napisali nowy rozdział rzymskich dziejów, rozdział traktujący o godności, możliwościach i wolności.

Ludzie klaskali, kilku nawet wiwatowało. Jednak nie była to burzliwa reakcja, jakiej pragnąłem – reakcja tłumu gotowego do działania.

Zszedłem po schodach rostry, rozczarowany własnym wystąpieniem. Przyjaciele pocieszali mnie, że byłem wymowny i poruszający, lecz ja wiedziałem, że nie porwałem tłumu, nie uruchomiłem jego wyobraźni. Może ci ludzie zbyt długo byli niewolnikami imperatora i nie mieli już w sobie tej iskry wolności, którą chciałem rozpalić.

August i jego następcy sprytnie zabiegali o względy ludu – i zmienili aroganckich obywateli w uległych niewolników, a wszystko to za cenę rzymskiego pokoju, pięknych dróg, darmowego jedzenia i rozrywek.

Z jakiegoś dziwnego powodu pomyślałem o mojej rozmowie z Nikodemem. Mówił o nowym początku, o ponownych narodzinach. Zapewne coś takiego może się zdarzyć tylko w Judei. Być może w Rzymie, gdzie panował cynizm, republiki nie da się już wskrzesić z martwych.

Dwie godziny później na rostrę wstąpił Herod Agryppa i uspokoił tłumy. Wszyscy wiedzieli, że był przyjacielem Kaliguli i dlatego został mianowany tetrarchą Galilei i Perei. Przybył do Rzymu, by świętować wraz z Kaligulą ostatnie dni przed jego wyjazdem do Aleksandrii.

Był mężczyzną wysokim i dystyngowanym, około pięćdziesiątki, choć patrząc na jego twarz, dawało mu się z dziesięć lat mniej. Miał długi, spiczasty nos i wypukłe czoło. Zawsze nosił wieniec laurowy, który częściowo skrywały jego kręcone, czarne włosy. Roztaczał tę nieuchwytną aurę, która każdemu dawała do zrozumienia, że ma przed sobą człowieka u władzy.

– Kilka godzin temu jeden z najlepszych adwokatów Rzymu powiedział, że dziś nie pora opłakiwać cesarza. Mam jednak nadzieję, że wybaczycie tym z nas, którzy kochali imperatora, jeśli nie będziemy mieć oczu suchych, czego podobno wymaga ten dzień.

Agryppa spojrzał na mnie, jakbym miał moc udzielić mu pozwolenia na żałobę. Bez mrugnięcia odwzajemniłem jego spojrzenie.

– Mam również nadzieję, że nasz przyjaciel Teofil wybaczy nam, jeśli uronimy łzę po żonie i malutkiej córeczce cesarza.

Na te słowa zamarłem. Czy bliscy cesarza też stracili życie? Cherea miał ich przecież tylko aresztować.

Tłum powitał tę wieść stłumionymi okrzykami.

– Cherea i Sabinus, tchórzliwi zdrajcy, którzy pchnęli Kaligulę sztyletem w

plecy, wtargnęli do komnat Cezonii i kazali jej modlić się do bogów – ciągnął Agryppa. – Cezonia odważnie przyjęła czekającą ją śmierć i miała tylko jedną prośbę. Błagała tych dwóch, by oszczędzili jej dwuletnią córeczkę, Druzyllę.

Zanim Agryppa dokończył opowieść, czułem już w głębi serca, że Cherea zrobił coś niewymownie okropnego. Wyczuwałem już, że tłum z odrazą przyjął wieść o bezlitosnym uśmierceniu Cezonii. Przygotowywałem się na następny cios.

– Zamordowawszy Cezonię, Cherea zabił też małą Druzyllę, rozbijając jej głowę o ścianę pałacu. Oto wielcy obrońcy republiki, o których wspominał wcześniej Teofil.

Tłum był przerażony, ja również. Spełniły się moje najgorsze przeczucia. Cherea był potworem, stworzonym przez nieustanne szyderstwa Kaliguli. Teraz ten potwór rzucił się na dręczyciela i unicestwił wszystkich jego bliskich.

– Straż pretoriańska znalazła w pałacu Klaudiusza, ukrytego za kotarą. Wyprowadzili go z Palatynu do koszar i tam obrali nowym imperatorem Rzymu.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom! Klaudiusz, pięćdziesięcioletni wuj Kaliguli, żył jeszcze tylko dlatego, że wszyscy uważali go za całkowicie nieudolnego człowieka, który nie stanowi dla Kaliguli żadnego zagrożenia. Był niezdamny, jękał się, gdy mówił, i trzymał się na uboczu jak jakiś uczony samotnik. Kaligula często stroił sobie z niego żarty. Nikt nie uważał Klaudiusza za materiał na cesarza.

– Cherea i Sabinus zostali aresztowani i straceni – obwieścił Agryppa. Duch we mnie podupadł. Cherea przekonywał nas, że gwardia pretoriańska wesprze go po śmierci Kaliguli. Grubo się przeliczył.

– Ludzie tacy jak Teofil mogą pragnąć republiki, ale musimy pamiętać, że to boski August zastał Rzym kamiennym, a zostawił marmurowym. Najwspanialszy okres naszego państwa to lata cesarstwa! Dlatego słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą opłakiwać tych imperatorów, którzy zostali zamordowani, zanim zdążyli pokazać się z dobrej strony. A więc, jeśli będziesz tak uprzejmy i mi wybaczysz, pożegnaj zmarłego Kaligulę, Cezonię i biedną małą Druzyllę.

Agryppa zszedł z rostry, a tłum okazał mu szacunek, zachowując milczenie.

W tym momencie zrozumiałem, że przegraliśmy. Senat wytrzyma jeszcze kilka godzin, ale gdy szanse na przywrócenie republiki zmaleją, senatorzy zaczną wymykać się z sali, z obawy przed odwetem.

Agryppa został nieoficjalnym pośrednikiem między senatem a gwardią pretoriańską. Następnego ranka wynegocjował rezolucję. Senat uzna Klaudiusza jako nowego władcę, a w zamian nie zostaną wniesione żadne oskarżenia przeciw tym, których podejrzewano o uczestnictwo w spisku przeciw Kaliguli. Ci, którzy czekają na proces o zdradę, zostaną ułaskawieni. Także moje aresztowanie, które zaaranżował Cherea jako część naszego zamachu, zostanie wymazane z zapisków sądowych.

Następnego dnia Klaudiusz udał się do pałacu cesarskiego, eskortowany

przez pretorianów. Na balkonie pałacu dowódca gwardii włożył mu na głowę cesarski wieniec. Klaudiusz natychmiast ogłosił, że państwo obdaruje każdego pretorianina sumą piętnastu tysięcy sestercji, czyli dziesięciokrotnością rocznego żołdu. Gwardia pretoriańska obwołała Klaudiusza imperatorem, więc teraz im za to płacił.

Tego samego dnia senat uznał Klaudiusza za cesarza i obsypał go zwyczajowymi prawami i zaszczytami pryncypatu. Tak jak wcześniej jego bratanek, Klaudiusz obwieścił koniec procesów o zdradę i oznajmił, że spali wszystkie związane z nimi dokumenty. Jakoś zdołał wyjąkać swą pierwszą mowę, ogłosił też, że zamierza traktować senat z należytych respektem.

Tej nocy, leżąc w łóżku, próbowałem wreszcie zasnąć po dwóch bezsennych dniach i nocach. Kiedy tylko zamknąłem oczy, widziałem zakrwawione zwłoki Kaliguli. Czułem, jak mój sztylet zagłębia się w ciało Lucjana. Słyszałem, jak Agrypa opisuje straszną śmierć bezbronnej małej dziewczynki.

Czy tym właśnie się stałem? Zabójcą? Przywódcą nieudanej rebelii? Człowiekiem, który rozpełtał straszliwe zło w imię sprawiedliwości?

Lecz czy było inne wyjście? Ktoś musiał powstrzymać ten obłęd. Mowa, którą dziś wygłosił w senacie Klaudiusz, w niemiły sposób przypominała pierwszą mowę Kaliguli sprzed czterech lat, jakby ktoś przechował gdzieś tamte słowa i teraz wydobył je na światło dzienne. Może tylko zastąpiliśmy jednego tyrana następnym? Czas pokaże.

Tej nocy zasypiałem i znów się budziłem, dręczony myślami, niepewny, jak potoczą się wydarzenia. Próbowałem z całej siły przekonać sam siebie, że postąpiłem właściwie. Skąd mogliśmy z Flawią wiedzieć, że Cherea rzuci się na rodzinę cesarską jak ranny lew? Czy to nasza wina, że senat znów uchylił się od odpowiedzialności i przegapił historyczny moment?

Może republika była nieodwołalnie martwa. Lecz przynajmniej próbowałem.

Pomyślałem o Flawii. Przypomniałem sobie bezsensowną śmierć Mansweta. Flawia i ja dopełniliśmy przysięgi. Nie mieliśmy innego wyboru.

Przekląłem imię Kaliguli i w końcu zapadłem w sen.

Po śmierci Kaliguli nerwy miałem w strzępach. Nie mogłem spać. W ciągu dnia wciąż oglądałem się za siebie. Z tysiąc razy odtwarzałem w wyobraźni zabójstwo cesarza.

Z początku byłem pewien, że gwardia pretoriańska jednak po mnie przyjdzie. Martwiłem się, że Cherea lub Sabinus coś o mnie wspomnieli przed egzekucją. Albo że zapamiętali mnie greccy chórzyści lub któryś z ich przodowników.

Bałem się o Flawię. Nie tylko uczestniczyliśmy w zamachu, ale też oboje podjęliśmy ryzyko i publicznie zajęliśmy stanowisko zaraz po śmierci Kaliguli – ona w teatrze, a ja na rostrze.

Wyglądało jednak na to, że Klaudiusz, nowy imperator, nie rzucał słów na wiatr. Zacząłem już myśleć, że może naprawdę ustaną oskarżenia o spisek bądź inne zdradzieckie czyny. Zacząłem sądzić, że może całkowicie się pomyliłem w ocenie Klaudiusza. Był niezgułowaty i miał problem z kolanem, które czasem odmawiało mu posłuszeństwa. Kiedy wpadał w gniew, trzęsła mu się głowa, a kiedy był czymś poruszony, mówił piskliwym głosem. Miał jednak w sobie coś autentycznego i powoli zaczął do siebie przekonywać senatorów. Kiedy debatowali nad ustawami, siedział pośród nich, czekając z wypowiedaniem się, aż przyjdzie jego kolej. Od czasu do czasu beształ ich za to, że niechętnie podejmują się dyskusji nad ustawami, które były jego pomysłem. Ale nie wyśmiewał ich ani nie znieważał. Nie kochał przywilejów przynależnych mu z tytułu zajmowanej pozycji. Nie był jak Kaligula.

Dni przechodziły w tygodnie, a te w miesiące. Trzymałem się w cieniu i skupiłem się na swoich klientach, starając się za wszelką cenę unikać kontrowersji politycznych. Gdy wraz z Flawią planowaliśmy uśmiercenie Kaliguli i przywrócenie republiki, pogodziłem się z faktem, że albo nasz plan się powiedzie, albo zginę. Tymczasem żyłem, i to w okolicznościach, których nigdy bym się nie spodziewał. Republika nadal była martwa, a ja żyłem.

Chociaż byłem dopiero po trzydziestce, postanowiłem, że kończę z rzymską polityką.

Czas płynął, a moje myśli znów krążyły wokół Flawii. Planowałem dni w ten sposób, by uczestniczyć w publicznych ceremoniach, na których mogłem ją zobaczyć. Wymienialiśmy spojrzenia, lecz staraliśmy się, by nie trwały zbyt długo – z obawy, że ktoś mógłby je zauważyć. Podejrzewałem, że nękają ją te same troski, co mnie. Gdyby ujrzano nas razem niedługo po śmierci Kaliguli, ludzie mogliby połączyć fakty i odkryć nasz spisek.

Zastanawiałem się, czy resztę życia spędzę w tej paranoi: wzdrygając się, gdy ktoś zapuka do drzwi, bojąc się, że ludzie, którzy idą za mną na ulicy, zamie-

rzają mnie aresztować. Zacząłem rozumieć, dlaczego imperatorzy popadają w obłąd.

Na wiosnę dotarły do mnie wstrząsające wieści. Klaudiusz skazał na banicję Senekę. Oskarżył go o cudzołóstwo, którego Seneka miał rzekomo dopuścić się z siostrą Kaliguli, Julią Liwillą. Na mieście plotkowano, że to żona Klaudiusza naciskała, by wygnąć Senekę z Rzymu.

Te nowiny mnie zasmuciły, z dwóch powodów. Okazało się, że Klaudiusz jest podatny na manipulacje, a poza tym nie pogodziłem się jeszcze z Seneką. Postanowiłem spotkać się z nim w dniu jego wyjazdu na Korsykę. Może zdołam odzyskać przyjaźń swojego dawnego nauczyciela, zanim ten wsiądzie na statek.

Gdy przyszedł ów dzień, z zaskoczeniem przekonałem się, że tylko garstka klientów Seneki przybyła na przystań, by go pożegnać. Przypomniałem sobie poranne *salutationes* w jego domu, dziesiątki klientów czekających każdego dnia na jego patronat. Wówczas cieszył się popularnością. Teraz przekonał się, kto był jego prawdziwym przyjacielem.

Usiadłem na kamiennym murku i cierpliwie czekałem, podczas gdy Seneka rozmawiał na osobności z każdym z przybyłych. W końcu podszedł i do mnie, a ja powstałem, by go powitać. Uścisnęliśmy się. Uderzył mnie smutek, widoczny w jego oczach pod obwisłymi powiekami. Za nim służący ładowali na statek skrzynie z jego dobrami. Jednego nie można było powiedzieć o Senece – że podróżuje z lekkim bagażem.

– Miło, że przyszedłeś – powiedział. W jego głosie brakło typowej dla niego wesołości. Kto jak kto, ale Seneka będzie naprawdę tęsknił za Rzymem. Rozkwitał wśród intryg, intelektualnych dyskusji i surowej siły rządzących, która jak mgła spowijała miasto. Korsyka była ziemią niczyją. Prawdziwy stoik czułby się tam świetnie, lecz Seneka będzie tam usychał.

– Tak mi przykro – powiedziałem. – Zaslugujesz na coś lepszego.

– Będę miał dużo czasu na pisanie. Każdy wielki filozof tego potrzebuje.

– Chciałbym ci jakoś pomóc. – Spuściłem wzrok i kopnąłem mały kamyk. Zastanawiałem się, czy na decyzję cesarza wpłynął fakt, że wymieniałem Senekę jako świadka w procesie przed Kaligulą.

– Wiem, o czym myślisz – rzekł Seneka. – Lecz to nie twoja wina, Teofilu. Sam to na siebie ściągnąłem.

Od zawsze krążyły plotki o Senece i kobietach. Nigdy nie wiedziałem, dawać im wiarę czy je lekceważyć. Była to jedna z wielu sprzeczności w życiu mego przyjaciela. Człowiek, który sławił moralność, najwyraźniej sam naruszał umowę małżeńską.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, póki Seneki nie zaczęto wzywać z

nadbrzeża. Nadeszła pora, by postawić żagle.

– Uważaj na siebie – poradził mi Seneka. Ujął mnie za ramiona, jak ojciec syna. – I nie rezygnuj z Rzymu. Nie rezygnuj z republiki.

Skinąłem głową. Prawdę mówiąc, już złożyłem broń, lecz mój mentor nie musiał tego wiedzieć.

Objął mnie i szepnął mi do ucha coś, co mnie absolutnie zdumiało.

– Rozmawiałem z Flawią. Spytała mnie, czy byłbyś gotów ją poślubić, kiedy już skończy swą służbę jako westalka.

Odchyliłem się do tyłu, szeroko otworzyłem oczy ze zdumienia.

– I co jej odpowiedziałeś?

– Powiedziałem, że nie wiem. Ale na wypadek, gdybyś miał taki zamiar, dodałem, że w nikim nie znalazłaby lepszego męża.

– Tak jej powiedziałaś? – Cały poruszony, podniosłem głos, ściągając na siebie kilka spojrzeń.

Seneka zniżył konspiracyjnie głos.

– Zuchwałe czasy wymagają zuchwałych czynów. – Klepnął mnie w ramię i odwrócił się, gotów do odejścia.

– Czy powiedziała, co robi, gdybym ją o to poprosił?

Seneka przystanął i obrócił się powoli.

– Nie, Teofilu. Lecz jeśli chcesz mojej rady, sam powinieneś się o tym przekonać.

Podziękowałem mu za wszystko. Patrząc, jak odchodzi, myślałem, jak bardzo będzie mi go brakować.

Przystanął, nim wszedł na statek. Odwrócił się i spojrzał na grupkę swych przyjaciół.

– Wróć tu – obiecał. – Opiekujcie się miastem pod moją nieobecność.

Nie marnowałem ani chwili i napisałem do Flawii list z prośbą o spotkanie. Zapieczętowałem go i znalazłem sposób, by podrzucić go Rubrii. Obiecała, że przekaże list westalce.

Dzień później przybył do mnie posłaniec z odpowiedzią, zapieczętowaną sygnetem Flawii. List zawierał jedynie wskazówki co do miejsca spotkania – nad Tybrem – i czasu. Mieliśmy się spotkać za dwa dni, o trzeciej straży nocnej.

Od razu wiedziałem, że do tego czasu nie będę w stanie ani jeść, ani spać.

Przez dwa następne dni zużyłem więcej pergaminu niż wówczas, gdy wraz z Seneką pisaliśmy list do Tyberiusza z prośbą o ukrócenie igrzysk. Próbowałem poczucia humoru. Próbowałem żarliwych słów. Potem to połączyłem, uciekając się do starej formuły – najpierw rozbawić, następnie doprowadzić do płaczu. Nic jednak nie było w stanie oddać mych uczuć do Flawii.

W końcu zrozumiałem, że swoich uczuć nie zdołam przedstawić na piśmie. Muszę przemówić prosto z serca. Lecz nawet pode mną, uczonym retorem, wobec takiego wyzwania ugięły się kolana.

Postanowiłem nie przynosić jej pierścienia. Zgodnie z tradycją, gdy mężczyzna i kobieta się zaręczyli, ona odtąd nosiła na palcu jego pierścień. Niemniej w naszej relacji nie było nic tradycyjnego. Dziewica westalska nie może nosić pierścienia, póki nie ukończy służby w świątyni, prawda? Flawia miała przed sobą jeszcze sześć lat takiej służby. Byłem świadom, że jeśli powie „Tak”, będziemy musieli trzymać nasze zaręczyny w tajemnicy, póki ten czas nie minie. Na razie była poślubiona Rzymowi.

Gdy przybyłem nocą na wyznaczone miejsce, Flawia już na mnie czekała. Usłyszałem jej głos, gdy ostrożnie wyszukiwałem drogę wśród drzew i zarośli, porastających brzegi Tybru.

– Tutaj, Teofilu.

Wyszedłem na małą łączkę, gdzie leżało kilka pni, na tyle płaskich, że można było wygodnie usiąść. Przy nich widać było pozostałości ogniska, ktoś zrobił nad tym miejscem mały daszek dla ochrony przed deszczem.

Ucałowałem Flawię w oba policzki.

– To tutaj spotykaliście się z Manswetem?

Kiwnęła głową.

– To miejsce pełne jest wspomnień – powiedziała za smutkiem w głosie. – Pewnie powinnam wybrać inne.

Usiedliśmy na jednym z pni. Nocne powietrze było zimne, więc przysunęliśmy się do siebie, okrywając się derką przyniesioną przez Flawię.

– Chcesz, żebym rozpalił ogień? – spytałem.

– Lepiej nie. To mogłoby przyciągnąć czyjaś uwagę.

Świeciły gwiazdy, księżyc w pełni odbijał się migotliwie w drobnych falach Tybru. Ta noc i to miejsce były prawie idealne, z wyjątkiem wspomnień o Manswecie, które wisały w powietrzu, tak dotykalne i wyraźne jak te stare drzewa okalające polankę. Miałem poczucie, że prośba o rękę, wypowiedziana w tym miejscu, zabrzmiała dziwnie i nielojalnie. Pomyślałem jednak o rozmowie z Seneką i zrozumiałem, że to może być moja pierwsza i ostatnia szansa.

Najpierw przez dłuższą chwilę prowadziliśmy rozmowę. Oboje nabieraliśmy powoli pewności, że nasza rola w spisku przeciw Kaliguli nigdy nie wyjdzie na jaw. Flawia opowiedziała mi o wszystkim, co wydarzyło się wówczas w teatrze i jak z Rubrią i innymi westalkami pomogły uratować senatorów.

– Gdyby Cherea nie zabił Cezonii i Druzylli, i to jeszcze w taki sposób, może osiągnęlibyśmy więcej – powiedziałem. – Nastroje zaczynały nam sprzyjać.

– Wzbudziliśmy w ludziach zbyt wielki gniew – odrzekła Flawia. Mówiła to melancholijnym tonem, a ja zastanawiałem się, czy nie nękają jej jakieś wątpliwości.

– Zrobiłabyś to jeszcze raz?

Namyślała się przez chwilę. Z wyrazu jej oczu odgadłem, że wspomnienia kładą się na jej myślach ponurym cieniem.

– Tak, dla Mansweta. Ale nie werbowałabym innych do pomocy. I nie próbowałabym przywrócić republiki.

W trakcie tej rozmowy przez umysł przebiegały mi tysiące myśli. Pomyślałem o chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Flawię, o tym, jak topniała we mnie wola, gdy dyskutowała o igrzyskach ze mną i z Seneką. Pomyślałem, że moje uczucia do niej będą trwałe zawsze. Przypomniałem sobie noc pogrzebu Mansweta, kiedy zmieszała się nasza krew i kiedy w jej twarzy dostrzegłem żelazną determinację. W jej oczach było teraz więcej smutku, więcej rezygnacji wobec bólu życia, lecz ona sama była nadal zniewalająco piękna.

Chciałem zmienić temat, by podnieść ją nieco na duchu.

– Co zamierzasz robić, gdy zakończysz służbę w świątyni Westy? – spytałem.

Bawiła się przez chwilę gałązką, a potem wrzuciła ją w popiół. Wyciągnęła rękę i ujęła mnie za dłoń, drobny i naturalny gest, od którego jednak mocniej zabiło mi serce.

– Jeszcze nie wiem. Przez ostatni rok miałam jedynie nadzieję, że przeżyję. Chciałabym podróżować. Partenon w Grecji. Piramidy w Egipcie. Pozostałości wiszących ogrodów w Babilonie. Chciałabym zobaczyć świat. Posmakować wina z czterech stron imperium.

Zapadła niezręczna cisza. Zastanawiałem się, co teraz powiedzieć. Miałem wielką ochotę zapewnić, że to również moje marzenia, ale prawda była taka, że kochałem Rzym – miłością głęboką i mocną. Mieszkałem już w prowincjach i nie spełniały one moich oczekiwań. Ale jeśli zajdzie taka potrzeba, pojedę za Flawią na koniec świata.

Nie wyjawilem żadnej z tych myśli. Zadałem za to jedno pytanie, które liczyło się dla mnie bardziej niż cokolwiek innego.

– Sama?

– Chyba tak. Nie wiem.

Czułem zdenerwowanie i cały drżałem z zimna. Znów byłem dwunastoletnim uczniakiem, który po raz pierwszy podnosi rękę, by odpowiedzieć na pytanie Seneki. Niepewnym młodym adwokatem z dygocącymi kolanami, perorującym na swoim pierwszym procesie o zdradę. Poślednim ekwitą, który spotyka się z piękną westalką.

– Moglibyśmy podróżować razem – wydusiłem. Ziemia jakoś mnie nie pochłonęła, a Flawia nie rzuciła się do ucieczki, więc postanowiłem ciągnąć dalej. – Nie wiem, jak to powiedzieć... Prawdę mówiąc, próbowałem to napisać setki razy... więc chyba zdołałem to teraz z siebie wydusić.

Spojrzałem na Flawię, a ona obróciła się ku mnie. Nie mogłem odczytać jej uczuć, więc zdecydowałem się mówić dalej, zanim całkiem stracę odwagę.

– Chcę cię poślubić, Flawio. Proszę więc, byś została moją żoną, gdy skończy się twoja służba w świątyni.

Stało się. Najmniej eleganckie oświadczyzny na świecie. Człowiek przez całe życie uczył się sztuki oratorskiej, a ta jedna krótka wypowiedź, która znaczyła dla niego więcej niż wszystko na świecie, okazała się tak marna, że mógłby ją ułożyć siedmiolatek.

– Poślubić mnie? – spytała, otwierając szeroko oczy.

– Kocham cię, odkąd cię po raz pierwszy zobaczyłem – wyznałem. – Nigdy ci nic nie mówiłem, bo wiedziałem, że kochasz Mansweta. I może teraz też powinienem trzymać język za zębami. Ale nie potrafiłbym sobie wybaczyć, Flawio, gdybym przynajmniej nie spróbował. I kiedy Seneka powiedział mi parę dni temu, że pytałaś go o moje zamiary...

– Seneka? Co ma z tym wspólnego Seneka?

Byłem tak zdenerwowany, że potrzebowałem chwili, zanim do mnie dotarło, co właśnie powiedziała. Nie miała pojęcia, o czym mówię – wcale nie rozmawiała o tym z Seneką! Moje wyznanie naprawdę ją zaskoczyło. Miałem ochotę udusić mego mentora, ale to mogło poczekać.

– Nic – odparłem. – Z wyjątkiem tego, że Seneka ma talent do przenikliwych uwag. Na przykład, że małżeństwo to sprawa serca, a nie kontrakt dla podniesienia statusu społecznego.

– Seneka tak powiedział?

– No... nie całkiem. Ale powinien był.

Uśmiechnęła się i na ten widok moje zdenerwowanie nieco opadło.

– Sądzę, że Seneka ma rację, a przynajmniej miałby ją, gdyby to powiedział – rzekła, wpatrując się w ziemię. – Ale gdy przestanę być westalką, będę miała trzydzieści dziewięć lat. Już jako mała dziewczynka wiedziałam, że spędzę życie w służbie dla Rzymu. Wiedziałam, że posługa w świątyni Westy wyklucza założenie własnej rodziny. Rodzić dzieci w wieku trzydziestu dziewięciu lat to nie drobnostka.

– Ale nie niemożliwość – odrzekłem szybko. – I jakie to ma znaczenie? Jest wiele młodych kobiet, z którymi mógłbym założyć rodzinę, ale to nie je kocham. Kocham ciebie. Nawet gdybyśmy mieli żyć tylko we dwoje, chcę starzeć się z tobą.

– Przez te sześć lat dużo się może zdarzyć.

– Czekam już jedenaście. Mogę poczekać jeszcze sześć.

Spojrzała na mnie swymi ciemnobrązowymi oczyma. Chciałem wierzyć, że zmiękła. Delikatnie ująłem ją za brodę i nachyliłem się, tak że nasze usta znalazły się blisko.

– Zapomnij o dzieciach, o naszym wieku, o tym, za ile lat stalibyśmy się mężem i żoną, i odpowiedz mi tylko na jedno pytanie – powiedziałem. – Czy mnie kochasz? Może nie w ten sposób, w jaki kochałaś Mansweta. Lecz czy mnie kochasz?

W odpowiedzi nachyliła się i pocałowała mnie. Ujęła mnie za głowę i delikatnie ją przytrzymała, aż w końcu rozluźniłem się i napawałem tą najwspanialszą chwilą mego życia.

Kiedy oderwaliśmy się od siebie, lekko zadrżała, jakby przytłoczona emocjami. Otuliła się ramionami i oparła o mnie, a ja ją objąłem. Nastąpiło milczenie. Zgadywałem, że rozmyśla, a ja miałem w głowie setki przypuszczeń, czego mogą dotyczyć te myśli.

Kiedy się odezwała, jej głos był bliski szeptu.

– Pamiętam ostatnią noc, kiedy z nim byłem. Właśnie tutaj. Tylko my dwoje. Powiedział, że przestanie walczyć, gdy zdobędzie wolność. Snuliśmy wspólne plany. Na tych samych pniach. Przyrzekliśmy sobie, że kiedy po raz ostatni wyjdę z domu westalek, pójdę za nim do jego domu, gdzie dopełnimy naszego małżeństwa. Cały Rzym nie będzie mówił o niczym innym. Westalka i najpopularniejszy rzymski gladiator. A teraz on odszedł.

Głos jej się załamał. Domyśliłem się, że płacze. Wyciągnąłem rękę i otarłem jej łzy.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Teofilu – powiedziała. – Ale to wszystko dzieje się tak szybko. Potrzebuję czasu. Nawet nasz pocałunek wydał mi się pewnego rodzaju zdradą.

Te słowa rozdarły mi serce. Nie dlatego, że wciąż kochała Mansweta, lecz ponieważ byłem tak bardzo zaślepiiony własnymi pragnieniami, że nic z tego nie rozumiałem. Może nigdy mnie nie pokocha. Jak miałem konkurować z duchem?

– Nigdy nie zdołam go zastąpić – powiedziałem miękko.

– Wiem – odrzekła. – Nie proszę cię o to.

Może powinienem na tym poprzestać. Lecz zaryzykowałem już wszystko i teraz mówiło za mnie moje serce.

– Moglibyśmy stworzyć coś innego. Coś szczególnego, na nasz własny sposób. Manswet na pewno chciałby, żebyś była szczęśliwa.

Otarła łzy i pocałowała mnie w policzek.

– Po prostu potrzebuję czasu – powtórzyła. – Dziękuję ci za zrozumienie.

„Jeśli chcesz być kochany, kochaj”.

Tak powiedział Seneka. Tym razem naprawdę. I te słowa stały się moją maksymą na następne pół roku, kiedy to nie odstępowałem Flawii, wiedziony odnowioną gorliwością. Spotykaliśmy się nocami, w różnych miejscach. Nad brzegiem Tybru. Na łące na zboczu Eskwilinu, gdzie leżeliśmy na plecach, wpatrując się w gwiazdy. Oparci o mury serwiańskie i wtuleni w siebie. W mojej rodzinnej posiadłości, w ciepłe ogniska.

Rozmawialiśmy o Manswecie – o jego heroizmie i męstwie, o jego miłości do areny, o tym, jak uczciliśmy jego pamięć. Opowiadaliśmy sobie o swoich marzeniach, nadziejach i rozczarowaniach. Rozmawialiśmy o religii i o naszych rodzinach. Opowiedziałem Flawii o moim pobycie w Judei. O żalu po procesie Nazarejczyka. Ona zabawiała mnie historiami o intrygach w domu westalek. Przyznała, że tak naprawdę nie zapamiętała mnie po pierwszym spotkaniu – wystraszonego młodego ekwity, który pragnął zrobić dobre wrażenie na jednej z najsłynniejszych westalek Rzymu.

– Jestem pewna, że byłeś czarujący – zapewniła.

Przez te miesiące stopniowo rodził się w nas niechętny podziw dla Klaudiusza jako imperatora. Bardziej niż własna wygoda czy popularność interesowało go rządzenie cesarstwem.

– Czuję ulgę, że nie muszę się martwić, czy ktoś nie podgląda nas z Pałacy, gdy kąpiemy się w łaźniach – zauważyła Flawia.

Każda godzina, którą spędzaliśmy razem, w moim odczuciu mijała szybko jak chwila. Moje życie było teraz odliczaniem dni dzielących mnie od kolejnego wieczoru z Flawią. Żyłem dla tych chwil i hołubiłem je w pamięci do następnego spotkania.

Bywały momenty – moje ulubione – kiedy przytulała się do mnie, ja przyciągałem ją blisko siebie i oboje milczeliśmy. Nauczyłem się przy niej odpoczywać i zapomniałem, że jest westalką. Za każdym razem żegnaliśmy się pocałunkiem.

Jednej z tych nocy, kiedy wyczułem, że nastrój jest odpowiedni, powtórzyłem moje pytanie. Tym razem powiedziałem Flawii, że nie mogę sobie wyobrazić życia bez niej. Sześć lat czekania będzie jak jeden dzień, jeśli powie „Tak”. Lecz moim jedynym pragnieniem jest, by była szczęśliwa. Zrozumiem, jeśli nie podziela moich uczuć. Wstrzymałem oddech i czekałem na odpowiedź.

Wzięła mnie za rękę i spojrzała mi w oczy.

– Dlaczego tak długo z tym zwlekałeś? – zapytała.

Uśmiechnąłem się, a ona obdarzyła mnie długim pocałunkiem. Przypomniało mi to nasz pocałunek sprzed pół roku, lecz tym razem czuliśmy się swobodniej i

żadne z nas nie chciało go kończyć.

– Czy to znaczy „tak”? – spytałem.

– To znaczy, że cię kocham, Teofilu. Lecz w sprawie tak ważnej jak małżeństwo muszę poradzić się bogów.

Bogów? Kogo obchodzą bogowie?

– A jeśli omen będzie niepomyślny?

– Jeśli mamy być razem, nie będzie niepomyślny.

Chyba że bogowie akurat będą spali albo przepowiednia z wnętrzości zwierząt będzie niejednoznaczna, albo tysiąc innych rzeczy pójdzie źle, pomyślałem. Lecz jak mogłem się spierać z kapłanką, która chciała poradzić się bogów?

– Pamiętaj tylko, że serce powinno rządzić trzewiami.

– Znowu Seneka? – zapytała.

– Powinnaś już wiedzieć, że moje złote myśli są lepsze niż Seneki.

Następnego dnia Flawia złożyła w ofierze dorosłego byka. Poderżnęła mu gardziel i rozkroiła brzuch. Rozłożyła wątrobę, jelita i nerki na ołtarzu. Okadziła go, wylała wino i pomodliła się, by bogowie przychylnie przyjęli ofiarę.

Tak się jednak nie stało. Wątroba była uszkodzona. Jelita okaleczone. Rozpostarła je delikatnie palcami i przewróciła na drugą stronę. Próbowała je rozdzielić, lecz przerośnięta bliznami tkanka na to nie pozwalała. Jedynymi zdrowymi narządami były nerki i serce.

Co to oznaczało? Na pewno nie będziemy mieć dzieci. Poranione wnętrzości zapowiadały ból, lecz najgorszy omen stanowiła wątroba. Flawia patrzyła na nią, próbując jakoś pogodzić swe uczucia do Teofila ze złowieszczą wróżbą.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie przychylności bogów. Przez całą noc leżała bezsennie, myśląc o swej relacji z Teofilem. Na pewno różniła się od jej związku z Manswetem, lecz to już jej nie martwiło. Czy ten związek był lepszy? Trudno powiedzieć.

Teofil był pokrewną duszą. Miał przenikliwy umysł i dobre serce, i Flawia czuła, że jej własne serce przyspiesza, kiedy on jest w pobliżu. Miłość, jaką czuła do Mansweta, kazałaby jej zaryzykować wszystko, narazić własne życie, byle być z nim. Uczucia, jakie żywiła do Teofila, ta nowa miłość, to było coś całkiem innego. Nie tak brawurowego, lecz równie prawdziwego. Przy nim czuła się sobą, jakby byli stworzeni dla siebie. Był miły i skupiał się na niej. Wierzył w nią. Przy takim człowieku dwadzieścia lat małżeństwa wydawałoby się zbyt krótką chwilą.

Wyglądało jednak na to, że bogowie byli temu przeciwni. Mogła teraz złamać mu serce, mówiąc prawdę o wróżebnych znakach. Albo też mogli się pobrać, co i tak kiedyś złamie mu serce, przyniesie bolesną i straszną śmierć.

Może bogowie się mylili. Ale kto chciałby to sprawdzać na sobie?

Może to była kara za spisek przeciw Kaliguli, przeciw człowiekowi, który ogłosił się bogiem. Ona i Teofil byli silni. Lecz czy ktokolwiek ma tyle mocy, by sprzeciwić się woli bogów?

Rozważała to wszystko, a płomienie lizały i zwęglaly wnętrzości byka. Patrzyła, jak ogień strzela wyżej i pochłania mięso, unicestwiając jej ofiarę.

Któż potrafi uśmierzyć gniew bogów?, pomyślała. Bogowie się gniewali i wnętrzości byka nie wystarczyły, by ich zadowolić.

Cóż, dostała odpowiedź. Bogowie przemówili.

Żałowała, że w ogóle zadała pytanie.

Sześć lat później W siódmym roku panowania Tyberiusza Klaudiusza Cezara Augusta Germanika

Dla Flawii, która teraz miała trzydzieści dziewięć lat, był to dzień gorzko-słodkich emocji. Zapomniała już, jak wygląda życie poza świątynią Westy. Będzie jej brakowało innych kapłanek, przywilejów i obowiązków jej zaszczytnego urzędu, a najbardziej będzie tęsknić za Rubrią, która wyrosła na piękną, młodą kobietę.

Ostatni dzień swej służby niemal w całości spędziła z Rubrią. Młodsza westalka pomogła Flawii ułożyć włosy w tradycyjnym stylu, odpowiednim na tak szczególną okazję. Ostrzem włóczni rozdzieliła włosy Flawii na sześć pasm, które zaplotła w warkocze, zwinęła i uformowała z nich koronę na czubku głowy. By dopełnić całości, Rubria wplotła w tę fryzurę kilka kwiatów i świętych roślin.

Później po południu Flawia przywdziała obrębianą białą tunikę i przepasała się wełnianą szarfą, którą przytrzymała węzłem Herkulesa[17]. Na tę okazję ufarbowała też sandały szafranem. Przez prawie godzinę zajmowały się z Rubrią makijażem.

W końcu Rubria wzięła lustro, a Flawia kiwnęła głową z aprobatą. Nałożyła płomiennie pomarańczowy welon, który zakrył jej głowę i twarz, oraz szafranową pallę, powłóczyły płaszcz bez rękawów noszony na tunikę.

Tak przygotowana, udała się do ogrodów westalskich, by pożegnać się z kapłankami. Tego wieczoru służbę kończyło sześć z nich. Mniej więcej za miesiąc Klaudiusz wybierze sześć następnych.

Pożegnawszy się z wszystkimi, Flawia przeszła do portyku domu i tam czekała na oblubieńca. Rozejrzała się po Forum. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widziała twarze swych wielbicieli. Wydawało się jej, że razem z nią czeka cały Rzym.

Nikt nie przypominał sobie, by kiedyś był świadkiem czegoś podobnego – westalka zawiera małżeństwo w dniu, w którym kończy swą służbę. Flawia czekała cierpliwie, otoczona przyjaciółmi i admirującymi ją tłumami Rzymian, i nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu, któremu żaden inny nie dorównywał. Przybyłem do domu westalek i odśpiewałem tradycyjny hymn ślubny. Tysiące gapiów i przyjaciele przyłączyli się do śpiewu.

Wspiąłem się po schodach i stanąłem w portyku, obok Flawii i pozostałych westalek. Przyglądaliśmy się, jak Rubria składa w ofierze wieprza i rozpościera

wnętrznosci na ołtarzu. Podeszła do niej Adrianna, zbadala trzewia i z aprobatą kiwnęła głową. Parę lat temu zakończyły z Flawią swój zatarg i wiadomo było, że tego dnia omen będzie pomyślny.

Mimo to poczułem ucisk w gardle. Przypomniałem sobie wyraz twarzy Flawii, gdy powiedziała mi po raz pierwszy, że początkowe wróżby były złe. Przez długie miesiące zmagala się ze sobą, nie wiedząc, co z tym zrobić. Ja tymczasem ostrożnie przedstawiałem swoje argumenty. Twierdziłem, że wróżby tyle razy były mylne, iż można by się zastanawiać, co ci bogowie w ogóle robią. Opowiedziałem Flawii o moich doświadczeniach z wyrocznią i przepowiednią o szlachetnym księciu.

– Czy tak byś określiła Kaligulę? – spytałem.

Oboje wyliczaliśmy też przypadki, kiedy to wróżby były pomyślne, a jednak doszło do katastrofy. Przyznała, że czasem sama powątpiewa w całą tę ceremonię.

Co najważniejsze, w końcu zgodziła się, że od początku miałem rację. Serce zatriumfowało nad trzewiami. Perspektywa wspólnego życia liczyła się bardziej niż jakikolwiek ból, który mógł stanąć na naszej drodze.

Postanowiliśmy, że nie spędzimy życia na obawach. Zawarliśmy pakt, że nie będziemy już wspominać tych złych omenów.

Kiedy składanie ofiary ślubnej dobiegło końca, podpisaliśmy kontrakt. Dzieśięciu przyjaciół przypieczętowało umowę sygnetami. W tradycyjnej ceremonii ślubnej wyrwałbym pannę młodą z ramion matki. Ponieważ jednak Flawia była westalką, wyrwałem ją z ramion Adrianny, przełożonej kapłanek.

Wyruszyliśmy z domu westalek, poprzedzani przez trzech młodych chłopców, do mojego nowego domu na Eskwilinie, który niedawno kupiłem. Zgromadzeni tłumnie ludzie wznosili okrzyki i śpiewali, a gdy minął ich nasz pochód, powoli się rozchodzili. Od czasu do czasu odwracałem się i rzucałem w tłum orzechy, słodkie przysmaki i ciastka sezamowe. Kiedy mijaliśmy po drodze jakąś świątynię, Flawia rzucała monety w hołdzie dla bóstw. Może i wróżebne znaki nie były godne zaufania, lecz nie zaszkodzi ugłaskać bogów.

Gdy przybyliśmy do domu, Flawia rozpostarła przed wejściem pasma wełny i namaściła drzwi oliwą i sadłem. Odwróciła się do mnie, po raz pierwszy zdjęła welon, a ja wziąłem ją na ręce i przeniosłem przez próg.

Gdy znaleźliśmy się w atrium, delikatnie postawiłem ją na podłodze i wręczyłem jej dzban z wodą, na znak, że będzie dawczynią życia w moim domu. Potem podałem jej pochodnię, symbol matrony, pani domu. Patrzyłem, jak rozpala od niej ogień na palenisku.

Flawia od razu ogrzała dom swoją obecnością. Za nami do atrium cisnęła się wiwatujący tłum. Flawia stanęła tyłem do gości, zgasiła pochodnię i rzuciła ją za siebie. Do człowieka, który ją złapał, uśmiechną się bogowie.

Po wystawnej uczcie, która przeciągnęła się do wieczora, w końcu nadeszła

upragniona przeze mnie chwila. Flawia i ja przeszliśmy we dwoje do komnat. Porozmawialiśmy o dzisiejszych wydarzeniach i o naszej wspólnej przyszłości. Powiedziałem jej, że jestem gotów zrezygnować z pełnej napięcia pracy adwokata w rzymskich sądach. Przez całe lata poświęcałem się dla moich klientów, teraz czas poświęcić się rodzinie.

– Chcę nauczać. Może założę własną szkołę retoryki. Chcę spędzać czas z tobą i podróżować.

– Dokąd? – spytała Flawia.

– Wszędzie. Zaczniemy od Grecji, a potem ruszymy dalej.

Pocałowała mnie i stało się jasne, że nasze podróżnicze plany mogą poczekać.

– Wiesz, czego ja chcę? – spytała.

– Powiedz.

– Chcę mieć rodzinę. Chcę dać ci syna.

A więc zaczęliśmy próbować. W tym dniu, który nie mógł być już lepszy, ostatnie, co zaprzętało mi myśli, to złe omeny.

[17] Węzeł Herkulesa – specjalny węzeł, w który wiązano pas na pannie młodej w starożytnym Rzymie. Rozplątać miał go później pan młody.

APOSTOL

III II I I II III IV V VI VII **VIII** IX

Piętnaście lat i dziesięć miesięcy
później

W dziewiątym roku panowania Nerona Klaudiusza Cezara Augusta Germanika

Piętnastoletni Manswet, mój jedyny syn, ciągnął belkę krzyża Drogą Appijską, podobnie jak dwudziestu jeden jego szkolnych kolegów. Sam miałem wówczas pięćdziesiąt trzy lata, lecz wspomnienia zalały mnie z taką siłą, jakby to działo się wczoraj. Sprzyjała temu pogoda, gdyż była równie upalna i męcząca jak ta zapamiętana z dzieciństwa. Wraz z uczniami przez całą drogę dławiliśmy się od kurzu, a skórę pokrywała mi cienka warstwa brudu. Maszerowałem żwawo, o wiele szybciej niż wtedy Seneka, a uczniowie robili wszystko, by dotrzymać mi kroku. Oczywiście jako jedyny nie wlokłem za sobą belki.

Manswet i jego koledzy, inaczej niż my prawie czterdzieści lat temu, nie narzekali. Mój syn był zbudowany tak jak ja – szczupły i żyłasty – lecz nos i oczy odziedziczył po matce. Patrzyłem, jak się krzywi i przerzuca belkę z jednego ramienia na drugie. Uśmiechnąłem się do siebie, gdyż mój syn z uporem trzymał się tuż za mną, o kilka kroków przed kolegami, podobnie jak ja, gdy szedłem w ślad za Seneką. Różniło nas tylko to, że Manswet się tego nie wstydził.

Po kilkugodzinnym marszu dotarliśmy na to samo pastwisko, odległe o wiele mil od Rzymu, na którym Seneka wyjaśniał mi i moim kolegom, czym jest ukrzyżowanie. Kazałem chłopcom zebrać się wokół i usiąść na belkach. Wciąż spoglądałem na Drogę Appijską z nadzieją, że wkrótce pojawi się na niej Seneka we własnej osobie, tak jak obiecał.

Pozwoliłem chłopcom napić się wody i poczekałem jeszcze chwilę, zanim rozpocząłem wykład. Opowiedziałem im o buncie Spartakusa i o niewolnikach. O tym, jak Krassus ukrzyżował buntowników wzdłuż Drogi Appijskiej, od tego miejsca aż do Rzymu. O tym, jak niewolnicy wołali o litość, jak błagali, by przebito ich włócznią. Opisałem ukrzyżowania, które sam widziałem w Judei i na igrzyskach w Rzymie.

Właśnie kiedy chciałem wciągnąć uczniów w dyskusję, ujrzałem w oddali zbliżającą się lektykę Seneki. Przeciągnąłem opowieść na tyle, by miał czas do nas dołączyć.

To był nie lada wyczyn, namówić kogoś tak sławnego jak Seneka, by pojawił się w mojej szkole retorycznej. Mój dawny mentor miał jednak u mnie dług.

Wrócił z wygnania w ósmym roku panowania Klaudiusza. Osławiona czwarta żona cesarza, Agrypina Młodsza, poprosiła, by Seneka uczył jej syna, Nerona. Pięć lat później Klaudiusz zmarł w podejrzanych okolicznościach, wkrótce po zjedzeniu miski grzybów. Neron został imperatorem, a Seneka jego głównym doradcą.

Już na początku panowania Nerona Agrypina wypadła z łask zepsutego młodego cesarza. Gdy zatłuczono ją na śmierć, większość Rzymian podejrzewała, że stało się to z rozkazu Nerona. Wówczas jednak Seneka wysłał do senatu list, w którym twierdził, że Agrypina spiskowała przeciwko synowi i że ludzie, którzy ją zabili, ocalili cesarzowi życie. List Seneki przyjęto w senacie przychylnie, choć podejrzewania wobec Nerona nigdy nie ustały.

Odkąd pozbył się Agrypiny, młody imperator znalazł się poza wszelką kontrolą. Kilka miesięcy temu ograniczył wpływy Seneki, oskarżając go o defraudację. Seneka zwrócił się do mnie, chociaż od lat nie pracowałem już jako adwokat. Wy negocjowałem układ, który pozwalał Senece na spokojne wycofanie się z życia publicznego, a jednocześnie gwarantował mu oddalenie zarzutów o fałszerstwo. W zamian za to miał publicznie okazywać swoje poparcie dla Nerona w ostatnich dniach swego urzędowania.

– Czy kiedykolwiek zdołam ci się odplacić? – spytał po wszystkim Seneka.

Wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy poprosić go, by poprowadził lekcję dla moich uczniów, przy Drodze Appijskiej.

Świta Seneki zatrzymała się przy pastwisku, a Manswet i jego koledzy patrzyli jak urzeczeni. Wiedzieli, że przybył ktoś ważny. Lektyka się otwarła i wysiadł z niej Seneka, a chłopcy aż otworzyli usta.

Panowanie Nerona dodało lat memu mentorowi. Prawie całkiem już wyłysiał, zostało mu tylko kilka siwych kępek nad uszami i wianuszek włosów z tyłu głowy. Zęby mu pożółkły i tak bardzo stracił na wadze, że martwiłem się o jego zdrowie. Pomarszczona i poznaczona plamkami skóra zwisała na nim, jakby przypominając, że nie jest już tym człowiekiem, którym był niegdyś. Na jego przedramionach i nogach, a także na rękach widać było żyły.

Przeprosił za spóźnienie.

Przedstawiłem Senekę uczniom, a jego poinformowałem, jak daleko posunęliśmy się z lekcją. Poprosiłem, by dalej poprowadził ją on.

Zaczął od szczegółowego opisu zgrozy ukrzyżowania. Tak przedstawić je mógł tylko człowiek, który widział tę torturę z bliska. Ponure opisy, jak również zapadnięte oczy Seneki podkreśliły dobitnie sens tej lekcji, czego mnie wcześniej nie udało się osiągnąć. Manswet chłonał każde słowo.

Nie byłem zaskoczony, gdy na pytanie Seneki, czy Krassus powinien krzyżować niewolników, jako pierwszy zareagował Manswet.

– Popieram Spartakusa i jego niewolników – oznajmił, podniósłszy najpierw rękę. Stał wyprostowany jak trzcina i spojrzał Senece prosto w oczy, tak jak go uczyłem. – Dlaczego wolno nam krzyżować wszystkich z wyjątkiem rzymskich obywateli? Jedno z dwojga, albo ta kara jest skuteczna, albo nie. Jeśli jest, to Rzymianie powinni się przygotować na to, że zbiorą to, co zasiali.

Seneka uśmiechnął się, zdeprymowany. Wiedziałem, o czym myśli. Znów

widział mnie – młodego idealistę, jeszcze niezepsutego przez zło, dla którego świat jest czarno-biały.

– Bohaterami tej historii są Spartakus i pozostali niewolnicy, gdyż znaleźli sprawę, za którą warto umrzeć – ciągnął mój uparty syn. – Niewolnicy walczyli o wolność i równość. W dzisiejszym Rzymie, mistrzu Seneko, nie mamy niczego, co by nas natchnęło do ofiary. Żyjemy dla rozrywki i przyjemności. Ceniemy życie dla niego samego i przedłużamy je za wszelką cenę.

Niemal żałowałem Mansweta, bo wiedziałem, co się teraz stanie. Sokratejska metoda nauczania w rękach Seneki stawała się wyjątkowo groźnym narzędziem. Zada Manswetowi parę sarkastycznych pytań, by utrzyć mu nosa. To będzie dobra lekcja dla pewnego siebie młodego człowieka.

Zamiast tego Seneka tylko skinął głową ze zboląłą miną.

– Dobrze powiedziałeś – pochwalił. – Prawdziwe niebezpieczeństwo życia to nie bolesna i upokarzająca śmierć za młodu. To żaden wstyd umrzeć jak niewolnicy. Wstydem jest umrzeć za młodu, a mimo to dożyć starości. To, mój synu, los gorszy niż jakiegokolwiek ukrzyżowanie.

Neron uwielbiał teatr. Widziałem w tym, podobnie jak w wielu innych sprawach, wpływ Seneki. Seneka zachęcał Nerona, by zajmował się muzyką i sztuką, a mniejszą wagę przykładał do igrzysk i związanej z nimi symboliki militarnego podboju. Neron, posłuszny naleganiom Seneki, budował teatry i gimnazjony. Rzymianie zaś szli za przykładem imperatora i masowo uprawiali greckie sporty, takie jak gimnastyka i zapasy. W teatrach dominowały greckie dramaty.

Niemniej Seneka stworzył potwora. Co innego zajmować się muzyką i teatrem, a co innego obsesyjnie pragnąć być gwiazdą.

Neron pierwszy raz zagrał na lirze podczas juwenaliów, które ustanowiono w piątym roku jego panowania, dla uczczenia cesarskiego pierwszego golenia. Młody cesarz, zawsze pozostający w centrum uwagi, zebrał zgolone włosy i umieścił je w złotym puzderku, które złożył w ofierze Jowiszowi.

W wieku dwudziestu dwóch lat Neron wziął udział w zawodach jako *citharoedus*, grając na lirze i śpiewając. Gdy skończył śpiewać, ukląkł przed sędziami, obok innych konkurentów. Oczywiście otrzymał zwycięski wieniec. Tłum nagrodził go burzliwą owacją.

Od tej chwili Nerona bardziej niż rządzenie państwem pochłaniała jego kariera muzyczna. Wynajął nauczycieli śpiewu i codziennie ćwiczył. Rzadko zwracał się do większego zgromadzenia bez pośrednika, który miał mówić za niego, Neron bowiem musiał oszczędzać głos. Kiedy się rozgniewał i wybuchał wściekłością, Seneka uspokajał go, przypominając, że jeśli nie będzie ostrożny, może uszkodzić głos.

– Neron to w głębi duszy aktor – wyjaśnił mi Seneka. – Artysta w skórze imperatora. Dla Nerona imperium to scena, na której on gra główną rolę.

Flawia i ja nigdy nie widzieliśmy występu cesarza i nie tęskniliśmy za tym. Jednakże szóstego dnia przed idami październikowymi[18], w dziewiątym roku panowania Nerona, zasiedliśmy na widowni nowego, olśniewającego teatru z tysiącem miejsc, czekając, aż na scenie ukaże się dwudziestopięcioletni imperator.

Układ, który wywalczyłem dla Seneki, wymagał między innymi, by mój mentor uczestniczył w tamtym wieczornym przedstawieniu i nie szczędził pochwał cesarzowi. To żądanie wydawało się dziwne, nawet w przypadku takiego narcyza, jakim był Neron. Podejrzywałem, że imperator chowa coś w zanadrzu.

Czekając na spektakl, ukradkiem zerknąłem na Flawię. Moja żona w wieku pięćdziesięciu pięciu lat nadal zachowała wdzięczne rysy i przenikliwe spojrzenie, które tak zafascynowało mnie przed trzydziestu laty. Wysokie kości policzkowe przydawały jej wytworności i czyniły z niej klasyczną piękność. Tego wieczoru ułożyła ze swych włosów fryzurę, która przypominała mi czasy, gdy jeszcze była

westalką i gdy zauroczony marzyłem, że może kiedyś ją poślubię.

Zmarszczki nie oszczędziły jej twarzy i mężczyźni już się za nią nie oglądali na ulicy. Mimo to zewnętrzzną urodą wciąż dorównywała kobietom dwakroć od niej młodszym, a co do piękna jej duszy, tutaj nikt nie mógł z nią iść w zawody.

– Bardzo mi przypomina Kaligulę – oceniła Flawia, nachylając się ku mnie, gdy Neron stanął na scenie. – Młody. Zepsuty. Lubieżny.

– Który gorszy? – spytałem. Co do mnie, to było jak wybieranie między dzikimi bestiami a krzyżem.

– Kaligulę znałam lepiej, więc też bardziej go zniechędziłam – odrzekła Flawia ponuro. – Sądzę jednak, że Neron jest niebezpieczniejszy.

– Zwłaszcza odkąd usunął Senekę.

Flawia wzruszyła ramionami. Nie przepadała za Seneką od czasu, gdy bronił on Nerona po śmierci Agrypiny.

– Nie sądzą, żeby mogło być gorzej.

Tylko poczekaj, miałem ochotę powiedzieć. Nauczyłem się jednak pozwalać Flawii na ostatnie słowo.

Tego wieczoru Neron miał na sobie długą, białą, powłóczystą szatę, na wzór swego patrona, boga Apollina. Wyszedł na scenę z lirą, a cała widownia przycichła w oczekiwaniu na występ.

Twarz Nerona, w przeciwieństwie do twarzy Kaliguli, nosiła znamię czegoś boskiego. Neron miał mocno zarysowaną szczękę i kręcone jasne włosy. W jego stalowobłękitnych oczach pobłyskiwały szelmowskie iskierki. Codziennie ćwiczył w gimnazjonie, toteż ciało miał szczupłe i muskularne. Ci, którzy podchlebiali się cesarzowi, porównując jego wygląd do Apolla, nie byli dalecy od prawdy.

Słyszałem, że Neron tworzył. Tym razem zaśpiewał nową pieśń, którą, jak twierdził, sam ułożył. Jego głos brzmiał dobrze i choć nienawidziłem tego człowieka jako imperatora, musiałem przyznać, że jego popis sceniczny robił wrażenie. Na wszystkich z wyjątkiem Flawii.

– Okropne – szepnęła. – Ani razu nie trafił we właściwy ton. Popatrz, jak wykrzywia twarz, jak się wysila, by pokazać, że coś czuje. – Zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

Miała rację co do tych nienaturalnych min. Najlepsi *citharoedi* pozwalali, by to muzyka przekazywała emocje, Neron przeciwnie, czuł się zobligowany, by wspomóc melodię zaciskaniem oczu niby w ekstazie i przesadnym podkreśleniem emocji.

Śpiewał dość długo i najwyraźniej oczarował całą widownię. Pieśń kończyła się samobójstwem głównego bohatera, a przy ostatniej nucie Neronowi udało się wycisnąć z siebie łzę. Kiedy skończył, widzowie przez chwilę siedzieli w nabożnym milczeniu, jakby zastygli z wrażenia po wysłuchaniu smutnej pieśni.

Potem zaś po raz pierwszy miałem okazję zobaczyć wielką owację słynnych

augustianów Nerona, setek ludzi, którym płacono za klaskanie na występach cesarza. Powstali z miejsc i żarliwie wiwatowali. W parę chwil przyłączył się do nich cały teatr. Neron udawał, że jest mile zaskoczony ciepłym przyjęciem. Stał z lirą u boku, skłoniwszy się lekko. Owacja była coraz gorętsza, augustianie zaczęli skandować imię cesarza.

Oboje z Flawią wstaliśmy również i złożyliśmy ręce, udając, że klaszczemy. Flawia spojrzała na mnie i przewróciła oczyma. Odpowiedziałem jej znaczącym uśmiechem.

Minęła chwila, potem kolejna, potem znów kolejna, aż w końcu widzowie się zmęczyli. Gdy wrzawa zaczęła przycichać, jeden z klaszczących zawołał na tyle głośno, by usłyszano go mimo trwających wciąż oklasków:

– O Najwspanialszy, Apollinie, Auguście, drugi Apollo Pytyjski! Przysięgamy na twoje imię, że nikt ci nie dorównuje!

Gdy przestał wołać, tłum ryknął jeszcze raz, a Neron stał cierpliwie, napawając się poklaskiem i uwielbieniem widowni. Nawet zaprawieni w boju pretorianie przyłączyli się do tej przepelnionej emocjami owacji. Seneka stał obok nich, w pierwszym rzędzie, wiwatując z entuzjazmem.

– Można by pomyśleć, że to uwłaczające dla człowieka takiego jak Seneka – szepnęła mi Flawia do ucha.

– Po prostu nie potrafisz docenić prawdziwego talentu – odparłem.

Szturchnęła mnie łokciem w żebra, a tłum wiwatował dalej.

Prawdziwy teatr zaczął się godzinę później. Zawodowi aktorzy odgrywali greckie tragedie, w większości znane publiczności. Było to zaledwie preludium. W ostatniej tragedii gwiazdą był bowiem sam Neron. Po raz pierwszy założył maskę aktora i wystąpił publicznie w sztuce.

Na swój pierwszy popis wybrał opowieść o Orestesie, jedną z najlepiej znanych i najbardziej skomplikowanych greckich tragedii. Neron pojawił się w kostiumie greckiego księcia, lecz maska miała jego własne rysy.

Przez następną godzinę cesarz, otoczony zawodowymi aktorami, odgrywał rolę Orestesa, mitycznego greckiego bohatera, który zabił własną matkę, by pomścić śmierć ojca i uratować królestwo. Za ten czyn ścigały go greckie Furie, zachęcane przez ducha matki. Potem odbył się nad nim słynny sąd w Atenach. Ława przysięgłych podzieliła się na dwa obozy, a Orestes został uniewinniony jednym głosem, który oddała bogini Atena. Przysięgli orzekli, że zabójstwo było usprawiedliwione, ponieważ Orestes ratował królestwo przed zdrajczynią.

Patrzyliśmy na to z Flawią w osłupieniu. Od razu zrozumieliśmy intencje Nerona. Bronił się przed opinią publiczną, tłumaczył się z zabójstwa Agrypiny.

Okoliczności jej śmierci były dobrze udokumentowane. Kiedy Nerona zaczę-

ło drażnić, że matka próbuje go ograniczać, uknuł intrygę. Chciał, by jej śmierć postrzegano jako skutek katastrofy morskiej. Agrypina jednak przeżyła, choć była naprawdę bliska śmierci. Neron wysłał więc żołnierzy, by zatłukli ją na śmierć. Kiedy pojawili się u niej, Agrypina podobno obnażyła brzuch i kazała, by tam ją tłukli, gdyż uznała swe łono za przeklęte, skoro spłodziło takiego potwora.

Większość ludzi, w tym ja, uważało, że Seneka nie miał nic wspólnego z tym planem. Mój mentor pomógł natomiast Neronowi usprawiedliwić śmierć Agrypiny przed senatem. Wymyślił historię o spisku przeciw Neronowi, któremu przewodziła Agrypina, senat zaś podjął uchwałę, by uczcić ocalenie życia cesarza.

Teraz, pięć lat po tamtych wydarzeniach, pierwszy publiczny popis aktorski Nerona miał nikczemną wymowę. „Tak, zabiłem własną matkę. Lecz to matkobójstwo było usprawiedliwione i Rzym powinien mi za nie podziękować”.

Gdy Orestes w sztuce przygotowywał się do zamordowania matki, ona obnażyła pierś i kazała synowi tam uderzyć, gdyż żałowała, że go w ogóle wykarmiła. Naga pierś, nagie łono – wszyscy widzowie zauważyli te podobieństwa.

– Nie mogę uwierzyć, że Neron miał czelność to zrobić – szepnęła Flawia.

Gdy przedstawienie się skończyło, augustianie rozpoczęli owację. Natychmiast dołączyli do nich widzowie. My z Flawią również wstaliśmy, lecz nie mogliśmy się zmusić do oklasków.

Neron zerwał maskę i uśmiechnął się promiennie do wiwatującego tłumu. Mówiono, że prześladowała go pamięć tego zabójstwa, że przez lata miewał z tego powodu koszmary. Może to był jego sposób na odpędzenie nękających go duchów.

Najgorsze jednak miało dopiero nastąpić. Kiedy aplauz przycichł, ostatnie słowo należało do Seneki. Zgodnie z umową właśnie w tym miejscu miał ogłosić swą rezygnację. Teraz w pełni zrozumiałem, dlaczego Neron nalegał, by Seneka w pożegnalnej mowie pochwalił też jego występ.

Zastanawiałem się, czy po tym obrzydliwym debiucie Nerona mój niedysyjszy mentor odmówi mu wsparcia.

Ku mojemu rozczarowaniu Seneka wyszedł na scenę, przygarbiony i wyraźnie słaby. Z widocznym zakłopotaniem ogłosił, że rezygnuje ze stanowiska i że służba Neronowi była dla niego wielkim zaszczytem. Rzucił parę ukradkowych spojrzeń w stronę cesarza i zamilkł, lustrując wzrokiem zgromadzonych widzów. Na moment zatrzymał spojrzenie na mnie i Flawii, jakby z góry przeproszał za to, co teraz powie.

– Parki, nic nie ujmujcie z długości jego życia! – zaczął, głos miał teraz donośny i pewny. – Niechaj zwycięsko przekroczy granicę śmiertelnego istnienia on, który jest do Apolla podobny postawą, podobny wdziękiem; nie gorszy grą, nie gorszy pieśnią. On znużonym ludziom przywróci wiek złoty, do życia wskrzesi moc prawa. Jak Jutrzenka rozprasza gasnących gwiazd krocie, które sprowadza Zorza w purpury pozłocie, jak płonie Brzask różany, wieszcząc Dnia nastanie, mrok

pierzcha, Słońce wjeżdża na złotym rydwanie: takim jawi się Neron, takiego Ceza-
ra wkrótce Rzym ujrzy: z twarzy łagodny mu bije blask boski, bujne włosy spływają
na szyję.

To wywołało kolejną falę burzliwej owacji. Ani ja, ani Flawia nie przyłą-
czyliśmy się do niej.

– Chętnie ukręciłabym mu tę jego szyję – szepnęła. – Wygląda na to, że on i
Seneka są siebie warci.

W drodze do domu próbowałem bronić Seneki. Jest godny pożałowania,
tłumaczyłem Flawii, nie potępienia. Padł ofiarą swej nieustannej pogoni za władzą
i luksusem. Przefrymarczył duszę, przystając na jeden kompromis za drugim, aż w
końcu własny los wymknął mu się spod kontroli. Obsypywanie imperatora po-
chwałami to część tej transakcji, jedyne wyjście, jakie mu zostało. Nie wiedział, że
Neron zamierza odegrać tragedię o matkobójstwie.

Flawii zupełnie nie trafiło to do przekonania.

– „Parki, nic nie ujmuje z długości jego życia!” – zacytowała szyderczym
tonem. – „Jak Jutrzenka, jak Brzask różany, takim jawi się Neron: z twarzy łagod-
ny mu blask bije, bujne włosy spływają na szyję”.

Miała rację. Podczas tej rozmowy obiecałem sobie, że nigdy nie dam się
zwabić w podobną pułapkę. Władza i wpływy to puste obietnice. To tak jakbyś pił
słoną wodę morza – przyprawia cię o jeszcze większe pragnienie.

Flawia mruknęła gniewnie na myśl o występie mego mentora.

– Pamiętasz, zapytałeś mnie kiedyś, który imperator jest gorszy.

– Tak.

– Dochodzę do wniosku, że od nich obu gorszy jest Seneka. Ludzie, którzy
wiedzą więcej, a mimo to pomagają władcom, by morderstwo uszło im na sucho,
są najbardziej żałośni ze wszystkich.

[18] Czyli 10 października.

Od lat nie miałem wieści od żony Piłata, więc list od niej był wielkim zaskoczeniem. Prokula pisała, że u niej wszystko dobrze i że w końcu znalazła spokój po wypadkach, do jakich doszło w Judei i potem w Rzymie. Znalazła też przebaczenie.

Kilka miesięcy temu spotkałam się z więźniem imieniem Paweł, pochodzącym z Tarsu apostołem ruchu zwanego Drogą.

Wysłuchawszy go i dowiedziawszy się o cudach, których dokonał, uwierzyłam w coś tak zdumiewającego, że waham się nawet, czy o tym pisać. Jezus, człowiek zwany też Chrystusem, którego Piłat kazał ukrzyżować, wrócił do życia trzy dni później! Widziały go setki świadków, Teofilu, i to w Jego imię ludzie tacy jak Paweł potrafią dokonywać cudów.

Gorąco pragnę porozmawiać o tym z tobą, jeśli zdarzy się taka sposobność, lecz mam też prośbę. Paweł potrzebuje teraz cudu dla siebie. Oskarżono go o propagowanie zakazanej religii i nawoływanie do buntu przeciw Rzymowi. Jako obywatel rzymski odwołał się do cesarza.

Paweł przebywa w areszcie już od ponad roku. I potrzebuje dobrego adwokata. Chyba nie muszę dodawać, że moje myśli od razu zwróciły się ku tobie. Wiem, że zawiesiłeś swą praktykę adwokacką, lecz mam nadzieję, że może rozważysz tę sprawę i zgodzisz się uczynić w swym postanowieniu wyjątek. Przyjęłam chrzest i dołączyłam do wyznawców Drogi. Doświadczyłam czegoś, co opisać można jedynie jako wolność i przebaczenie, jakich dotąd nie znałam. Chętnie opłacę twoje usługi. Koszty nie grają roli.

Wybacz mi moją zuchwałość. Proszę, przekaz Flawii moje wyrazy szacunku i miłości.

Trzydzieści lat wcześniej może bym się zgodził. Wtedy jednak marzyłem, że zostanę największym adwokatem Rzymu. Teraz byłem mądrzejszy. Flawia i ja walczyliśmy już z jednym imperatorem i omal nie przypłaciliśmy tego życiem. Teraz swoją energię poświęcałem następnemu pokoleniu. Moi uczniowie za jakiś czas mieli stać się przywódcami Rzymu. To była jedyna nadzieja, jaka nam pozostała.

Minęło piętnaście lat, odkąd prowadziłem jakąś większą sprawę. Czasy się zmieniły. Zmieniły się metody. Nawet moja wytrzymałość i energia nie były już takie jak kiedyś.

Usiadłem i zacząłem pisać odpowiedź. W połowie listu uświadomiłem sobie, że najpierw powinienem omówić tę sprawę z Flawią.

Przy obiedzie Flawia wysunęła swoje argumenty przeciw zuchwałej prośbie

Prokuli. Członkowie tej nowej sekty już wywołali w Rzymie pewne poruszenie. Flawia widziała w nich zagrożenie dla rzymskiej religii, która łączyła cześć dla imperatora z hołdem wobec bogów greckich i rzymskich.

– Żydom pozwolono czcić własnego Boga i zobacz, jakie to przyniosło skutki – mówiła. – Nigdy nie wrośli w rzymską kulturę. Nie mogę sobie wyobrazić, że będziesz pomagał uprawomocnić kolejną religijną sektę, by osłabiała powszechną cześć dla bogów, którym my służyliśmy przez całe życie.

Uwaga Flawii miała sens, lecz Manswet podszedł do sprawy z innej strony.

– A jeśli ten człowiek jest niewinny? A poza tym, matko, czy rzymscy bogowie nie mają dość siły, by bronić się sami?

Flawia rzuciła mi znaczące spojrzenie, jakbym to ja zasugerował mu te pytania. Wiedziałem, co myśli. *Jaki ojciec, taki syn.*

– Jeśli jest niewinny, potrzebuje adwokata, który naprawdę wierzy w jego sprawę – powiedziałem.

– A może wystarczy mu po prostu ktoś, kto nie pozwoli, by zgnił w więzieniu – odparował Manswet.

– Co za różnica, skoro trzeba go bronić przed Neronem? – zaproponowała Flawia. – Wobec niego nawet najlepszy adwokat jest bezsilny. Cesarza bardziej niż wymierzanie sprawiedliwości interesują próby przed następnym konkursem cytrzystów i lirników.

Skinąłem głową.

– Mama ma rację.

– Tym bardziej powinieneś się tym zająć – upierał się Manswet. – Najtrudniejsze sprawy wymagają najlepszych adwokatów. Czy nie tak powiedział Cyncero? Czy sam mnie tego nie uczyłeś?

Skrzywiłem się. Jak wytłumaczyć piętnastolatkowi, czym jest prawdziwy świat?

– Słyszałem te wszystkie opowieści, jakim to wspaniałym byłeś adwokatem, ale nigdy nie widziałem, jak bronisz jakiejś sprawy – ciągnął Manswet. – Co się stało z człowiekiem, który stanął do walki z obłąkanym imperatorem, by ocalić życie pewnej westalki?

– Nie odzywaj się tak do ojca – ostro skarciła syna Flawia.

– W porządku – uspokoiłem ją. Właśnie tego uczyłem mego syna. Zadawać trudne pytania. Rzucać wyzwania. Zresztą w tym, co mówił, było sporo prawdy.

– Po obiedzie porozmawiam o tym z twoją matką – obiecałem. Powiedziałem to tonem dość oficjalnym, na znak, że dyskusja skończona.

Spojrząwszy na Mansweta, odgadłem, że mógłby przytoczyć jeszcze setki innych powodów, dla których powinienem przyjrzeć się sprawie Pawła. Nauczyliśmy go, co to szacunek, więc ugryzł się w język, lecz błysk w jego oczach zdradzał prawdziwe uczucia. Był młody. Rwał się do boju. Chciał zobaczyć, jak stoję w

obronie zasad, których go uczyłem.

Resztę posiłku spożył w milczeniu.

Późnym wieczorem odbyliśmy z Flawią rozmowę. Myśl o reprezentowaniu Pawła zaczęła mnie intrygować. Zawsze będę uznawał tę rozmowę z Flawią za jeden z moich największych triumfów. W końcu przystała na to, bym przynajmniej spotkał się z Pawłem i wysłuchał jego historii. Postanowiłem, że zabiorę ze sobą Mansweta.

Flawia jednak wymogła na mnie obietnicę, że nie wezmę tej sprawy, jeśli będzie nie do wygrania. Oboje wiedzieliśmy, że kiedy już zgodzę się na współpracę z klientem, zrobię wszystko, by udowodnić jego niewinność. A wówczas mógłbym wzbudzić gniew cesarza i narazić całą rodzinę.

– Nawet nie znamy tego człowieka – przypomniała Flawia. – Dlaczego mielibyśmy narażać dla niego życie?

– Spokojnie, nie wszystko od razu – zasugerowałem.

Nie powiedziałem żonie, że już nie mogłem się doczekać spotkania z Pawłem. Parki nie zawsze mi sprzyjały. Lecz może teraz, w jakiś pokrętny sposób, dawały mi szansę, bym naprawił swój dawny błąd. Gdyby Paweł był przywódcą jakiejś innej sekty religijnej, nawet nie zastanawiałbym się nad tą sprawą. Ale on był jednym z wyznawców człowieka, który także przeze mnie zawisł na krzyżu tuż przed Paschą trzydzieści lat temu.

Od tego dnia Nazarejczyk nękał moje myśli. To on był inspiracją dla moich najlepszych wystąpień przed sądem. Jego proces obnażył słabość moich zasad moralnych i na myśl o tym wciąż czułem wstyd.

Cieszyłem się, że mogę zrzucić część odpowiedzialności na Mansweta, który obstawał za tym spotkaniem. Ale tak naprawdę byłem go bardzo ciekaw. Pragnąłem usłyszeć, co Paweł ma do powiedzenia.

74

Paweł wyglądał inaczej, niż się spodziewałem. Spotkaliśmy się w domu, który wynajmował w żydowskiej dzielnicy, rozciągającej się na wschód od Tybru, nieopodal zakola rzeki, gdzie uformowała się Wyspa Tyberyjska. Dom miał cienkie ściany, z ulicy dobiegała kakofonia głosów przechodniów i kupców. Paweł był przykuty za przegub do rzymskiego żołnierza. Kiedy wszedłem, żołnierz stanął na baczność i przedstawił się jako Sergiusz Fabiusz Kossus.

Apostoł, jak nazwała go Prokula, był mniej więcej w moim wieku, może trochę starszy. Był niski, łysiejący, miał obwisłe ramiona, krzaczastą czarną brodę i małe oczka, które często mrużył. Wydawał się posiadać nieprzebrane zasoby energii, mimo że wstał z trudnością i prostował się powoli, jakby bolały go plecy. Poruszając się, wyraźnie kulał. I chyba miał trudności z podnoszeniem prawego ra-

mienia.

Spotkania nie odbywaliśmy sam na sam. Przyszedłem z Manswetem, poza tym oczywiście obecny był przykuty do Pawła Sergiusz. Żołnierz, wbrew moim oczekiwaniom, nie zachowywał się jak beznamiętny strażnik więzienny. Towarzyszył nam też młody lekarz o jasnym spojrzeniu, który miał na imię Łukasz. I Prokula, która miała nas sobie przedstawić. Grupę uzupełniał Onezym, zbiegły niewolnik. Paweł przedstawił nam go jako swojego „brata w Chrystusie”. Niezła mieszanka.

Czułem się skrępowany, omawiając prawne problemy Pawła w obecności Sergiusza, lecz Paweł zdawał się na to nie zważać.

– Ten człowiek wysłuchał więcej kazań i modlitw niż ktokolwiek w Rzymie – rzekł, podzwaniając łańcuchem na lewym przegubie. Sergiusz uśmiechnął się na to, z widoczną sympatią dla swego ekscentrycznego, drobnego więźnia. – Nie mam sekretów ani przed nim, ani przed pozostałymi strażnikami – dodał Paweł.

Prokula przedstawiła mnie jako jednego z największych adwokatów w Rzymie. Zbyłem tę pochwałę jakąś skromną uwagą. Poprosiłem wcześniej Prokulę, by nie mówiła Pawłowi, jaką rolę odegrałem w procesie Jezusa. Gdybym mimo wszystko wziął sprawę Pawła, nie chciałem, by poczytywał mi za złe, że nie zapobiegłem egzekucji Nazarejczyka. Przed wszystkim jednak miałem nadzieję sprawdzić wiedzę Pawła na temat zdarzeń, których sam byłem świadkiem. Wiedziałem z rozmowy z Prokulą, że Pawła nie było w Jerozolimie podczas tych przełomowych dni, które poprzedzały śmierć Jezusa. Chciałem się przekonać, na ile wiarygodne były jego źródła.

Na początek poprosiłem Pawła, by opowiedział mi o zarzutach, jakie mu postawiono, i o postępowaniu prawnym w Jerozolimie i Cezarei. Przypomniałem mu, że Sergiusz ma obowiązek sporządzić dla przełożonych raport o wszelkich obciążających więźnia rozmowach.

Zwięzłość nie należała do jego zalet. Nie spiesząc się, opowiedział nam całą historię swego życia, a Manswet robił notatki na woskowej tabliczce.

Otóż Paweł początkowo prześladował wyznawców Drogi, dopóki sam się nie nawrócił w dość dramatycznych okolicznościach. Opowiadał, jak potem próbował nawracać innych. Opisywał różne miejsca, które odwiedził i w których opowiadał wielu ludziom o śmierci Jezusa i o jego, jak twierdził, zmartwychwstaniu. Czule wspominał tych, którzy uwierzyli. Była to zajmująca historia, pełna uzdrowień, ucieczek z więzienia i niezwykłych nawróceń.

Przyglądałem się temu żwawemu, małemu człowieczkowi i próbowałem ocenić, czy mówi prawdę. W przeszłości szacowałem w ten sposób setki klientów. Istnieją pewne drobne szczegóły, demaskujące kłamcę. Ukradkowe spojrzenia to tu, to tam. Chwila zawahania przed próbą oszustwa. Jakieś niezgodności w detalach opowieści. Pawła na niczym takim nie pochwyciłem.

Apostoł najwyraźniej wierzył we wszystko, co mówił. Z całego serca. Emanował pasją, czasami wyrzucał obie ręce w górę, co wywoływało uśmiech Sergiusza, który musiał wtedy unieść prawą rękę. Prokula słuchała z półuśmiechem. Musiała wyczuć, że ten człowiek oczarował również mnie.

Był na pewno wytrwały, to musiałem mu przyznać. Dokądkolwiek się udawał, nauczał o Nazarejczyku. Jak się wydawało, miał grupę zdeklarowanych wrogów, którzy szli za nim od miasta do miasta i przysparzali mu kłopotów. Trzy razy obito go różgami, raz kamienowano, pięciokrotnie przeżył biczowanie, otrzymawszy trzydzieści dziewięć uderzeń, a więziono go tyle razy, że nie mogłem wprost zliczyć.

– Pokaż mu plecy – poradził Łukasz.

Paweł zbył to wzruszeniem ramion.

– Myślę, że Teofil ma już obraz sytuacji.

Przez lata nauczyłem się traktować opowieści klientów z pewną dozą rezerwy, zwłaszcza tak dramatyczne jak ta Pawłowa. Sceptycznie podchodziłem do większości opisanych przezeń cudów. Na przykład, kiedy Paweł i jego przyjaciel Syłas byli w więzieniu w Filippi, nastąpiło trzęsienie ziemi, na skutek którego rzekomo jeden ze strażników przyjął chrzest. Albo ta historia prokonsula na Cyprze, który przystał do wiernych, kiedy Paweł rzucił klątwę na fałszywego żydowskiego proroka, a ten natychmiast stracił wzrok. Albo opowieść o młodym człowieku imieniem Eutyk, który zasnął podczas kazania Pawła w Troadzie, spadł z okna na trzecim piętrze i zginął na miejscu. Paweł ponoć przytulił owego młodzieńca i Eutyk wrócił do życia.

– Niektórzy mówią, że moje mowy są troszkę przydługie – przyznał Paweł jak najpoważniej.

Najbardziej zaciekała mnie historia podróży Pawła do Aten, samego serca greckiej kultury.

Odwiedziliśmy to miasto z Flawią. Opis Pawła brzmiał wiarygodnie, zwłaszcza opowieść o tym, jak poproszono go, by wystąpił pośrodku areopagu i objaśnił nową religię wielkim filozofom ateńskim.

– Zacytowałem kilku ich filozofów – rzekł Paweł. – Takich jak Epimenides. Powiedziałem, że głoszę im nieznanego Boga, tego, którego bezwiednie czcili.

– Jak to przyjęli? – zapytałem.

Paweł skrzywił się.

– Czasami wielka wiedza może stać się przeszkodą na drodze do poznania prawdy.

Bardzo mi przypadł do gustu szczery styl tego człowieka. I chyba nigdy nie spotkałem nikogo równie przekonanego, że znalazł prawdę.

Z wyrazu twarzy Mansweta domyśliłem się, że mój syn jest bez reszty oczarowany tymi opowieściami. Któryż piętnastolatek by nie był? Czas płynął, a ja

uświadomiłem sobie, że spędziłem z apostołem dwie godziny, a mimo to nadal nie miałem pojęcia, kto i jak będzie przeciw niemu zeznawać. Niepokoilem się jednak trudną sytuacją tego człowieka i przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Kiedy Paweł mówił, obserwowałem Łukasza. Lekarz był człowiekiem rozsądnym i zwracał uwagę na szczegóły. Towarzyszył Pawłowi w kilku podróżach i kiedy ten opowiadał, Łukasz dorzucał imiona i nazwy miejscowości. Wyglądało na to, że ma doskonałą pamięć i obsesję na punkcie porządkowania faktów. Myślał jak Grek, jego relacja mogłaby zainteresować Nerona. Ponadto świadectwo z niezależnego źródła byłoby bardziej wiarygodne.

– Aby twoja apelacja zyskała posłuch, trzeba przykuć uwagę imperatora – zauważyłem. – Przedstawienie faktów na piśmie ma tę samą moc, co świadectwo ustne.

Musiałem tu zachować ostrożność. Nie chciałem, by Paweł pomyślał, że zamierzam wziąć jego sprawę.

– Oto moja propozycja – powiedziałem. – Chciałbym, żeby Łukasz, jako niezależny świadek, na moje zlecenie spisał kronikę tych wszystkich wydarzeń. Zadedukuj ją mnie, a ja przedstawię twoją relację ludziom, którzy badają tę sprawę dla cesarza. Zaczynaj od początku, niczego nie pomijaj. Powinieneś podkreślić, Łukaszu, że ta wiara wyrosła z wiary Żydów, że nie jest czymś innym, a zatem nie jest nielegalna. Musisz też dowieść, że nikt nie próbuje wzniecić powstania przeciwko Rzymowi.

– Czy Neron to przeczyta? – zapytał Paweł.

– Nie wiem. I zrozum, proszę, że nie zobowiązałem się cię bronić. Jeszcze nie. Podejmę decyzję, gdy przeczytam rękopis Łukasza.

Łukasza ten pomysł zdawał się intrygować, lecz Paweł wyglądał na zmartwionego. Kiedy się odezwał, był mniej ożywiony niż przedtem, twarz miał posępną, czoło zmarszczone z troski.

– Doceniam twoją radę – powiedział. – Lecz musisz zrozumieć, Teofilu, że kiedy po raz pierwszy spotkałem Ananiasza, trzydzieści lat temu, i spadły mi łuski z oczu, on nie miał wątpliwości, jaka jest moja misja. Powiedział, że będę wybranym narzędziem, by głosić imię Jezusa narodom i ich królom, jak również dzieciom Izraela. Powiedział, że będę musiał wiele wycierpieć w imię Jezusa.

Rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na kajdanach, które skuwały go z Sergiuszem.

– Skoro ten list ma przeczytać cesarz, najważniejsze jest nie to, by świadczył on o mojej niewinności, lecz by głosił dobrą nowinę o Mesjaszu.

Te słowa, choć szlachetne i płynące z serca, wzmożyły moje obawy. Skoro Paweł zamierzał umrzeć dla Drogi, mógł to zrobić beze mnie. Wolałem klientów, którzy słuchali moich rad i nie utrudniali mi zadania.

Na razie zachowałem te obawy dla siebie. Zgodziliśmy się, że nad rękopisem

powinno pracować więcej osób. Manswet będzie więc pomagał Pawłowi i Łukaszowi. Nic lepiej nie przygotowuje młodego człowieka do zawodu adwokata niż praca nad prawdziwym przypadkiem sądowym. Obiecałem, że kiedy skończą, przeczytam każde słowo.

– Pamiętajcie, że będzie to czytać kilku nadzwyczaj wpływowych ludzi – przypomniałem.

– Będę o tym pamiętał – obiecał szybko Paweł. Wstał i pokuśtykał w róg pokoju, ciągnąc za sobą Sergiusza, po czym wydobyl fragmenty jakiegoś rękopisu, spisane na starym papirusie.

– Mamy tu już fragmenty relacji z życia Jezusa, spisanej przez młodego ucznia imieniem Jan Marek. Może zaczniemy od tego.

Zanim wyszliśmy, Paweł spytał, czy mam coś przeciwko wspólnej modlitwie. Dlaczego miałyby mi to przeszkadzać? Modliłem się już tysiące razy do dziesiątków bogów greckich i rzymskich. Czymże był jeden więcej?

Powiedziałem Pawłowi, że nie mam nic przeciw temu, a on padł na kolana. Sergiusz uśmiechnął się, pociągnięty na klęczki przez kajdany.

Modlitwa, którą tego dnia odmówił Paweł, zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Rozmawiał z Bogiem tak, jakby mówił do kogoś, kto jest z nami w pokoju. Wzywał mocy Ducha Świętego, by pomógł Łukaszowi spisać świadectwo, o które prosiłem. Poprosił też Ducha Bożego, by otworzył mi oczy i wkroczył w moje życie. Ta część modlitwy była dla mnie krępująca. Ten człowiek powinien pracować nad swymi manierami.

W drodze do domu Manswet nie przestawał mówić o Pawle.

– Musisz mu pomóc – stwierdził.

– Nie wiesz, o co prosisz – odpowiedziałem. – Na razie skupmy się na rękopisie. Kiedy będzie gotowy, postanowimy, co dalej.

Manswet podjął się swego zadania z entuzjazmem, którego się po nim nie spodziewałem. Cierpiała na tym nawet jego nauka, tyle czasu spędzał z Pawłem i jego towarzyszami. Będąc z nimi, robił notatki na woskowych tabliczkach, podobnie jak podczas nauki ze mną. Przynosił te zapiski do domu, odczytywał mi je, poprawiał zapisany na wosku tekst i przygotowywał się na następny dzień. Zdołał mnie namówić, bym kupił Łukaszowi stertę pergaminowych arkuszy na ostateczną wersję, chociaż papirus byłby dużo tańszy.

Widziałem w jego oczach tę iskrę idealizmu, który i mnie napędzał w młodości. U mnie łączyło się to z ideą przywrócenia republiki. Manswet zapalił się z kolei do tego nowego ruchu, zwanego Drogą, który uczył o nowym, innym królestwie. Martwiłem się o mego syna, wiedząc, że jego marzenia, tak jak i moje, pewnego dnia rozbiją się o twarde, poszarpane skały rzymskiej rzeczywistości.

Po dwóch miesiącach robienia notatek i przepisywania szkiców na papirus Łukasz był wreszcie gotów, by zapisać pergamin opowieściami o Jezusie i Pawle. Manswet nie mógł się doczekać, kiedy mi je odczyta.

Praca nad kroniką dobiegała już końca, kiedy pewnego wieczoru Manswet wrócił do domu wyraźnie przygnębiony. Niewiele mówił i wbijał wzrok w talerz. Flawia i ja wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia.

– Masz jakieś zmartwienie? – zapytałem.

– Nie – wzruszył ramionami.

To była odpowiedź kogoś, kogo nauczono stoicyzmu, lecz nie mogła ukryć prawdziwych uczuć mego syna.

– Jestem twoim ojcem. Możesz ze mną porozmawiać.

Manswet grzebał w jedzeniu na talerzu i milczał. Bolało mnie, że ma takie opory, by podzielić się ze mną tym, co najwyraźniej ciążyło mu na sercu. Przyszło mi do głowy, że Paweł może stracić moją przychylność.

– Paweł odesłał dziś Onezyma – wyjął w końcu Manswet.

– Tego niewolnika?

– Tak. Nazywał go bratem, ale i tak go odesłał z powrotem.

– Z powrotem czyli dokąd?

– Do Filemona z Kolosów – wyjaśnił Manswet. – To nie w porządku.

– Musiał go odesłać – tłumaczyłem. – Ten człowiek jest własnością Filemona. Paweł i tak ma już sporo kłopotów.

– Jak jeden człowiek może być własnością drugiego?

To szczere pytanie nieco mnie zaskoczyło. Jakież to idee zaszczepiał Paweł

w umyśle mego syna? Traktowaliśmy niewolników z wielkim szacunkiem, dawaliśmy im sprawiedliwe wynagrodzenie, a wielu z czasem wyzwaliśmy. Dopóki jednak nie zapracowali na swoją wolność, należeli do nas.

– To los decyduje, kto się urodzi wolny, a kto jako sługa – odparłem. – Naszym zadaniem jest dobrze wypełnić swoje obowiązki.

– Paweł mówi inaczej. Powiada, że w jego religii wszyscy są równi. Że nie ma tam Żyda ani Greka, mężczyzny ani kobiety. Ani też niewolnika czy wolnego.

Zauważyłem, że Flawia powstrzymuje uśmiech. Twierdziła, że nasz syn wdał się we mnie, że ma odpowiedź na wszystko. Jednak w tej sprawie był jak ona. Pierwszy ukochany Flawii zginął, próbując wywalczyć sobie wolność. Z tego powodu, jak i z tysiąca innych, nie znosiła myśli, że jeden człowiek mógłby stanowić własność drugiego. Zawsze naciskała na mnie, bym wyzwalał więcej naszych niewolników.

Manswet spojrział na mnie swymi wielkimi, brązowymi oczyma, by sprawdzić, jak zareaguję. Flawia dała mi nieznaczny sygnał ruchem głowy.

– Mówi to wszystko, a mimo to odesłał Onezyma do domu? – zapytałem.

– Chwileczkę – odparł Manswet. Wyszedł z sali biesiadnej i przyniósł jedną z woskowych tabliczek. – Mogę ci przeczytać fragment listu Pawła do Filemona?

Wzruszyłem ramionami. Co mi szkodziło?

– Na początku gorąco dziękuje Bogu za niego i za jego wiarę w Jezusa. Dalej pisze tak: „Przeto, choć z całą swobodą mogę w Chrystusie nakładać na ciebie obowiązki, to jednak raczej proszę w imię miłości, bo taki już jestem. Ja, stary Paweł, a teraz jeszcze więzień Chrystusa Jezusa – proszę cię za moim dzieckiem, za tym, którego zrodziłem w kajdanach, za Onezymem. Jego ci odsyłam; ty zaś jego, to jest serce moje, przyjmij do domu! Może bowiem po to oddalił się od ciebie na krótki czas, abyś go odebrał na zawsze, już nie jako niewolnika, lecz więcej niż niewolnika, jako brata umiłowanego. Jeśli więc się poczuwasz do łączności ze mną, przyjmij go jak mnie”.

Manswet odwrócił pokrytą woskiem tabliczkę i czytał dalej.

– „Jeśli zaś wyrządził ci jakąś szkodę lub winien jest cokolwiek, policz to na mój rachunek. Piszę do ciebie ufny w twoje posłuszeństwo, świadom, że nawet więcej zrobisz, niż mówię”.

Skończył i czekał, co powiem. Flawia odezwała się pierwsza.

– Chyba zaczynam lubić tego człowieka – stwierdziła.

Tego wieczoru jeszcze długo odpoczywaliśmy przy stole, dyskutując o tym, jak powinno się traktować usługujących nam niewolników, którzy właśnie sprząтали po naszym posiłku i wykonywali domowe obowiązki. Zgodziłem się, że mamy obowiązek traktować ich sprawiedliwie i pomóc im zasłużyć na wolność. Jeśli ją otrzymają, ich dzieci urodzą się wolne.

Mój radykalny syn nie był zadowolony.

– Paweł traktował Onezyma jak brata – dowodził. – Dlaczego tylko Rzymianie mogą mieć prawa, przywileje?

Przypomniałem sobie, że w jego wieku byłem taki sam. Od dwóch lat jako jego nauczyciel zachęcałem go, by zadawał pytania i kwestionował tradycyjne mądrości. Pragnąłem zmienić Rzym, lecz dla mnie oznaczało to powrót do czasów republiki. Manswet natomiast chciał czegoś nowego i całkiem innego.

Zrobiłem, co w mojej mocy, by nauczyć syna, jaką wartość ma ludzka dusza. Może nauczyłem go tego aż nazbyt dobrze.

Wczesnym wieczorem, niemal trzy miesiące od mego pierwszego spotkania z Pawłem i jego towarzyszami, odwiedził mnie w domu lekarz Łukasz, przynosząc rękopis podzielony na dwie części. Manswet stał obok, trzymając ręce za plecami, dumny z roli, jaką odegrał w przygotowaniu tej kroniki. Jak to było w zwyczaju, Łukasz zszył kartki pergaminu roślinnymi włóknami w dwa długie pasy, które zwinął w osobne zwoje. Każdy z nich był o wiele dłuższy, niż oczekiwałem.

– Zrobiłeś to w trzy miesiące?

– Czas nagiął, więc pracowaliśmy dzień i noc. Nie mieliśmy pojęcia, kiedy Paweł będzie sądzony.

Uczciliśmy koniec pracy kielichem wina, a Łukasz opisał ze szczegółami, ile pomocy otrzymał przy opracowywaniu tych dwóch zwojów. Wychwalał Mansweta, który pełnił rolę sekretarza, robiąc zapiski z rozmów. Mogli je wykorzystać przy sporządzaniu ostatecznego tekstu.

– Pierwsza księga opisuje życie Jezusa – wyjaśnił. – Sporą jej część oparłem na pracy Jana Marka. Ma udowodnić, że Jezus był żydowskim Mesjaszem, a nie założycielem jakiejś nowej religii. Druga księga to historia wyznawców Jezusa. Oczywiście położyłem nacisk na posługę Pawła i ze szczegółami opowiedziałem o jego procesach. Kończy się na uwięzieniu Pawła w Rzymie.

Jako uprzejmy gospodarz cierpliwie słuchałem wywodów Łukasza. Nic się nie odzywałem, lecz w duszy pragnąłem, by już sobie poszedł, bym mógł zacząć czytać jego dzieło. Kiedy zaczął je tworzyć, spodziewałem się, że zmieści je na trzydziestu, może czterdziestu arkuszach pergaminu. Obserwując jednak, jak Manswet zaangażował się w pracę z Łukaszem, Pawłem i ich towarzyszami, zrozumiałem, że całość będzie znacznie obszerniejsza. Ale czegoś takiego się nie spodziewałem. Nie miałem serca powiedzieć tego Łukaszowi, ale wątpiłem, czy Neron i jego asesory znajdą czas, by przeczytać tak obszerne świadectwo.

Ja sam natomiast właśnie czegoś takiego potrzebowałem. To aż nadto wystarczyło, bym podjął decyzję, czy przyjmę Pawła jako pierwszego od piętnastu lat klienta, jeśli nie liczyć Seneki.

Gdy tylko Łukasz wyszedł, Manswet zaczął mnie przynaglać do czytania. Podejrzywałem, że zechce zostać ze mną i zaglądać mi przez ramię w trakcie lektury. Aby się go pozbyć, zleciłem mu parę zadań na następny dzień, i zamknąłem się sam w swoim gabinecie.

Łukasz był dobrym pisarzem. Ujmował sprawy prosto, zwracał uwagę na szczegóły i wiedział, jak się opowiada historie. Mój instynkt nie zawiódł mnie co

do niego.

Na początek dał formalny i przekonujący wstęp, trzeba mu przyznać: już w pierwszym zdaniu napomknął o zdarzeniach, które się „dokonały”. Nawiązywał do żydowskich proroków i żydowskiej religii.

Wielu już starało się ułożyć opowiadanie o zdarzeniach, które się dokonały pośród nas, tak jak nam je przekazali ci, którzy od początku byli naocznymi świadkami i sługami słowa. Postanowiłem więc i ja zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil i opisać ci po kolei, dostojny Teofilu, abyś się mógł przekonać o całkowitej pewności nauk, których ci udzielono.

Rozpoczął opowieść dramatyczną relacją o narodzeniu Jezusa. Z precyzją godną historyka dokładnie określił czas, kiedy to się stało.

W owym czasie wyszło rozporządzenie cesarza Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym świecie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz.

Twierdził, że Jezus narodził się z dziewicy i był szczególnym dzieckiem. Następnie szybko przeszedł do publicznej działalności Nazarejczyka. Opowiadał o jego naukach i cudach. Jezus uzdrawiał ludzi. Kwestionował konwencjonalny sposób myślenia żydowskich przywódców religijnych. Mówił o królestwie Bożym.

Najbardziej zaintrygowały mnie końcowe karty pierwszego zwoju, na których Łukasz przedstawił ostatnie dni Jezusa. Gdy czytałem tę część, była późna noc, a Manswet już dawno poszedł spać. Nie mogłem jednak oderwać się od lektury. Jakby Łukasz sam to wszystko widział.

Czytając relację o wjeździe Jezusa do Jerozolimy na osiołku, wspominałem, jak Piłat sobie pokpiwał, gdy o tym usłyszał. Pomyślałem, jak inaczej wyglądało moje przybycie do miasta w tych samych dniach, kiedy wjeżdżaliśmy tam wraz z wielką kawalkadą żołnierzy. Nieco dalej, gdy Łukasz opisywał wypędzenie kupców, sprzedających gołębice na dziedzińcach świątyni, zamknąłem oczy i przywołałem w myślach tę scenę.

Z zadowoleniem przekonałem się, że Łukasz zrelacjonował też incydent z wysłannikami faryzeuszy, którzy spytali Jezusa, czy mają płacić podatki cesarzowi. Zrozumiałem, że ten fragment może być decydującym argumentem naszej obrony. Łukasz zacytował pytanie rabiego: „Pokażcie Mi denara. Czyj nosi obraz i napis?”.

Przypomniałem sobie, co mi powiedział mój przyjaciel Nikodem – że te słowa tak naprawdę można było odczytywać na dwóch poziomach. Neron nie musiał tego wiedzieć. Słowa Jezusa były wystarczająco jasne: „Oddajcie więc cesarzowi to, co należy do cesarza, a Bogu to, co należy do Boga”.

Bardzo mi się spodobało to, co Łukasz napisał dalej:

I nie mogli pochwycić Go w żadnym słowie wobec ludu. I zadziwieni Jego odpowiedzią, zamilkli.

To było niezwykle doświadczenie – czytać o tych zdarzeniach, jakby Łukasz był tam wówczas, jakby stał tuż obok mnie. Każdy szczegół się zgadzał.

Kiedy doszedłem do opisu ostatniego wieczoru przed śmiercią Jezusa, nie mogłem usiedzieć spokojnie. Wziąłem zwój i zacząłem przemierzać pokój tam i z powrotem, uważnie czytając spisane słowa. Wydarzyło się wówczas tyle rzeczy, o których nie wiedziałem. Jezus przepowiedział, że zostanie zdradzony. Tego samego wieczoru podczas modlitwy prosił żydowskiego Boga, by mógł jakoś uniknąć swego przeznaczenia, lecz ostatecznie poddał się losowi.

Potem nastąpił proces Jezusa:

I całe ich zgromadzenie powstało; i poprowadzili Go przed Piłata. Tam zaczęli oskarżać Go: „Stwierdziliśmy, że ten człowiek podburza nasz naród, że odwozi od płacenia podatków cesarzowi i że siebie podaje za Mesjasza-Króla”. Piłat zapytał Go: „Czy ty jesteś królem żydowskim?”. Jezus odpowiedział mu: „Tak”. Piłat więc oświadczył arcykapłanom i tłumom: „Nie znajduję żadnej winy w tym człowieku”.

Musiałem odłożyć zwój i na chwilę przerwać lekturę, znów bowiem zalały mnie wspomnienia tych wydarzeń i związane z nimi emocje. Przejmująca próba Piłata, by zaświadczyć o niewinności Jezusa. Odesłanie Jezusa do Heroda. I to jak wrócił, odziany w tę szyderczą purpurową szatę, jako ofiara zniewag Heroda.

Gdy znów podniosłem zwój, przeczytałem przerażające słowa.

Zawołali więc wszyscy razem: „Strać Go, a uwolnij nam Barabasa!”.

I dalej:

Piłat, chcąc uwolnić Jezusa, ponownie przemówił do nich. Lecz oni wołali: „Ukrzyżuj, ukrzyżuj Go!”.

Przytłoczony emocjami, rozpamiętywałem, co wówczas zrobiłem. I czego nie zrobiłem. Podsunąłem manewr z Barabaszem. Wzdrygnąłem się na wspomnienie tłumy, który skandował, domagając się ukrzyżowania Jezusa. Słuchając tych wrzasków, milczałem, zamiast naciskać na Piłata, by uczynił to, co jak obaj wiedzieliśmy, było słuszne.

Cóż to jest prawda?

Wiedziałem wtedy, że skazaliśmy niewinnego człowieka. Lecz jeśli Łukasz się nie mylił, chodziło o coś więcej. Jeśli Łukasz miał rację, ukrzyżowaliśmy żydowskiego Mesjasza i samego Syna Bożego.

Usiadłem znowu i przeczytałem o ukrzyżowaniu. Słowa Chrystusa wróciły do mnie jak echo, przeszywając moje sumienie. „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

A potem słowa jego prześladowców. „Innych wybawiał, niechże teraz siebie wybawi, jeśli jest Mesjaszem, Bożym Wybrańcem”.

Przypomniałem sobie kobietę pochwyconą na cudzołóstwie i jej opowieść o tym, jak Jezus ją obronił. Poczułem dreszcze, rozpamiętując, jak użyłem tej samej

strategii, by ocalić Flawię.

Łukasz opisał mrok, który ogarnął ziemię w południe, i rozdarcie zasłony w świątyni. Wspomniał nawet o setniku, chociaż był na tyle ostrożny, by nie wymieniać imienia żołnierza, który u stóp krzyża wzywał Boga.

Pierwszy zwój właściwie powinien skończyć się tutaj. Z mego punktu widzenia to był koniec tej historii. Niesłusznie zabito prawego człowieka. Bogowie wpadli w gniew. Nawet sama natura zaprotestowała.

Łukasz nie skończył jednak na tym. Dalej relacjonował wypadki, o których zdarzało mi się słyszeć przez ostatnie trzydzieści lat. Trzy dni po ukrzyżowaniu Nazarejczyka jego grób był pusty. Jezus wrócił do życia i spotykał się ze swymi uczniami, jadł z nimi, ukazał się wielu świadkom.

Przypominał im, że przepowiedział zarówno swą śmierć, jak i swój powrót do życia. To, że Mesjasz będzie cierpiał i trzeciego dnia zmartwychwstał. I stało się to, co zapowiedział.

Jego wyznawcy przypomnieli sobie te słowa i gotowi byli za tę sprawę umrzeć.

A gdy już ich o wszystkim pouczył, Jezus „rozstał się z nimi i został uniesiony do nieba”.

To niezwykle żywa opowieść. Ale czy również prawdziwa?

Paweł i Łukasz byli co do tego przekonani.

Po paru godzinach snu obudziłem się i zacząłem czytać drugi zwój. Pierwsza część udała się Łukaszowi mistrzowsko, historia Jezusa była fascynująca. Ale to nie Jezusa miałem bronić. To Paweł przebywał w areszcie domowym. Księga druga zawierała jego dzieje.

A historia w niej przedstawiona rozpoczynała się dokładnie od tego zdarzenia, na którym skończył się zwój pierwszy: od rozstania Jezusa z uczniami i zapoczątkowania ruchu, który znałem jako Drogę. Wyznawcy Jezusa, zamiast po jego odejściu usunąć się w cień, zaczęli mówić o nim ze zdwojonym zapałem. Uznałem za zdumiewające to, że w Jerozolimie i okolicach przybywało ludzi wierzących w owego Mesjasza, mimo że jego samego nie było już na świecie.

Paweł, kiedy po raz pierwszy pojawił się w kronice, nosił imię Szaweł i był prześladowcą Kościoła. Potem Łukasz pisał o tym, jak Jezus objawił się Szawłowi w drodze do Damaszku. Uwierzywszy, Szaweł z prześladowcy stał się głosicielem Jezusa. Z nieprzyjaciela Drogi stał się jej orędownikiem, jednym z największych. Lecz tym samym stał się celem ataków. W następnych latach, odtąd już jako Paweł, wycierpiał wiele z rąk tych, którzy chcieli go uciszyć.

Zaniepokoiło mnie kilka ostatnich stron drugiego rękopisu. Paweł był błyskotliwym człowiekiem, lecz nie miał żadnego instynktu samoobronnego. Chciał nawracać każdego, kto zasiadał jako sędzia na jego rozprawie. Król Agryppa na przykład, który teraz pełnił urząd prefekta całej Syrii (w tym również dawnego terytorium Piłata), zdawał się być urażony postawą Pawła. „Niewiele brakuje, a przekonałbyś mnie do tej nowej wiary”, powiedział.

Odpowiedź Pawła nie była zbyt zręczna: „Dałby Bóg, aby prędzej czy później nie tylko ty, ale też wszyscy, którzy mnie dzisiaj słuchają, stali się tacy jak ja, pominąwszy te więzy”.

Proces zakończył się oświadczeniem Agryppy. Wprawdzie Paweł nie uczynił niczego, co by zasługiwało na karę śmierci, Agryppa jednak zdecydował się odsłać go do Rzymu. „Można by zwolnić tego człowieka, gdyby się nie odwołał do cesarza”.

Już widziałem, co się szykuje. Stanę z Pawłem przed Neronem, a apostoł będzie nakłaniał młodego, aroganckiego imperatora, żeby żałował za grzechy i oddał cześć żydowskiemu Mesjaszowi. Wyglądało to tak, jakby jedynym celem Pawła było pakować się w kłopoty wszędzie, dokądkolwiek się udał. Z pewnością nie bał się cierpieć za swe przekonania. Może był tak oczarowany Nazarejczykiem, że czuł się powołany, by jak on zginąć gwałtowną i spektakularną śmiercią. Ja jednak nie miałem ochoty ginąć razem z nim.

Gdy byłem młodszy, mną też kierował płomienny idealizm. Chciałem

umrzeć w imię zasad, gdy wraz z Flawią wypowiedzieliśmy wojnę Kaliguli. Wszystko to jednak na nic się nie zdało. Ryzykowaliśmy życiem, imperatorzy się zmieniali, a oto teraz Rzym był gorszy niż dawniej.

Paweł, jeśli chciał, mógł sobie poświęcać życie dla Drogi. Różniło nas jednak to, że ja miałem rodzinę. Flawia i Manswet potrzebowali mnie żywego.

Mimo to nie mogłem się powstrzymać, nadal obmyślałem rozmaite warianty obrony. Może istniał jakiś inteligentny sposób udowodnienia niewinności Pawła. Może u Nerona też znajdę jakiś słaby punkt, podobnie jak niegdyś u Kaliguli.

Tylko jeden człowiek mógł to wiedzieć. Zwinąłem pergamin i wybrałem się do Seneki.

– Nie wiesz, co teraz robi Neron, prawda? – spytał Seneka.

Wzruszyłem ramionami. Przestałem już śledzić poczynania imperatora i to, co działo się za kulisami rzymskiej polityki.

– Rozbudowuje swój pałac – wyjaśnił Seneka. – Zwozi złoto z czterech stron imperium, by nowy gmach wprost oślepiął. Osusza jezioro u stóp Palatynu, by zbudować tor wyścigowy dla rydwanów, dziesięć razy większy niż Circus Maximus. Sadzi las w swojej posiadłości, grodzi go i zaopatruje w dziką zwierzynę, by urządzać tam polowania z przyjaciółmi.

Seneka wstał z miejsca i podsycił ogień na palenisku. Poruszał się powoli, ciało miał zeszywniałe, plecy pochylone.

– Na Saturnalia przygotowuje najbardziej wystawną i widowiskową ucztę, jaką kiedykolwiek oglądał Rzym.

Wzdrygnąłem się na myśl o tym. Saturnalia, grudniowe doroczne święta, rozpoczynały się w najkrótszym dniu roku. Przez sześć dni społeczeństwo wyzbywało się wszelkich krępujących ograniczeń i wszystko się mogło zdarzyć. Oczekiwano, że panowie będą usługiwać swym niewolnikom. Zgraje chłopaków plądrowały domy i napadały na przechodniów. Odkrywano nowe wymiary seksualnej deprawacji.

Święto rozpoczynano złożeniem ofiary w świątyni Saturna, po której następowała wielka uczta dla rzymskiego ludu. Szkoły, sądy i sklepy zamykano. Togi odkładano w ką, zastępując je luźnymi greckimi szatami zwanymi *synthesis*. Ludzie zaczęli pić już rano i bawili się do późnej nocy. W całym mieście wydawano ucztę, ciągnące się całymi dniami, a podczas każdej z nich ciągnięto losy, by w ten sposób wybrać „króla” Saturnaliów.

Seneka wrócił powoli na swoje miejsce, odetchnął i mówił dalej:

– Neron wyznaczył swego przyjaciela Tygellina na głównego organizatora tegorocznych Saturnaliów.

Nie mógł gorzej wybrać. Za panowania Kaliguli Tygellina posadzono o ro-

mans z Agrypiną Młodszą i wygnano do Grecji. Na prośbę Agrypiny pozwolono mu wrócić do Rzymu, gdy cesarzem został Klaudiusz.

Tygelin odziedziczył potem dużą sumę pieniędzy i zainwestował ją w hodowlę koni wyścigowych. Kiedy cesarzem został Neron, mianował Tygelina prefektem gwardii pretoriańskiej, drugim pod względem potęgi człowiekiem w Rzymie. Choć Tygelin miał tyle lat, że mógłby być ojcem imperatora, stał się głównym inicjatorem cesarskich ekscesów i rzucał się wraz z Neronem w wir uciech. Znany był zarówno ze swej błyskotliwości, jak i z bezwzględności.

– To nie wszystko. Sprawa twojego przyjaciela Pawła w końcu przyciągnęła uwagę cesarza – poinformował mnie Seneka. – Wygląda na to, że wyznawcy Drogi nie okazują imperatorowi należnego szacunku. Sprawę przeciw Pawłowi ma prowadzić Tygelin i ukarać go dla przykładu.

Tygelin nie miał doświadczenia sądowego, nigdy też nie studiował u wielkich retorów. Miał jednak coś, z czym nie mogła się mierzyć cała elokwencja świata: był kompanem i podjudzaczem cesarza. Mógł szeptać mu do ucha, gdy nocą odwiedzali razem burdele i planowali nowe wyskoki, które miały wstrząsnąć rzymską arystokracją.

Paweł stanie się igraszką w ich rękach.

– Twierdzisz, że sprawa jest już przesądzona?

– Twierdzę, że Paweł ma szczęście, gdyż jest obywatelem rzymskim. Ścięcie trwa dużo krócej niż ukrzyżowanie.

Paweł bardzo spokojnie przyjął wieść o tym, że nie mogę go reprezentować w sądzie. Podziękował mi za dokładne przeczytanie rękopisu zredagowanego przez Łukasza. Był wdzięczny również za to, że pozwoliłem Manswetowi spędzić u niego tyle czasu. Powiedziałem mu, że dopilnuję, by zwoje trafiły do rąk Nerona.

Zanim wyszedłem, Paweł i jego przyjaciele położyli na mnie ręce i przymknęły oczy, a Paweł pomodlił się za mnie. Było to dość krępujące, znaleźć się w środku ich modlitewnego kręgu. Z zaciekawieniem otworzyłem oczy, by rzucić okiem na otaczających mnie wyznawców Drogi. Wszyscy zdawali się podchodzić do tej modlitwy bardzo poważnie, trwali w skupieniu z zamkniętymi oczyma i mruzcili coś, jakby potwierdzając słowa Pawła.

Apostoł podziękował Bogu za to, że zesłał mnie i Mansweta, byśmy pomogli mu przygotować się do procesu. Pomodlił się o Boże błogosławieństwo dla mnie i mego domu. Poprosił, bym w przesłaniu krzyża Jezusa dojrzał nie głupstwo, lecz moc i mądrość Bożą.

Wracając do domu, musiałem sam sobie przypominać, że w tej sprawie nic nie mogę zrobić. Nawet gdyby sam Oktawian August powstał z martwych, by reprezentować Pawła, apostoł i tak zostałby skazany na śmierć.

Czym innym jest szlachetność, a czym innym brawura. Neron zamordował własną matkę. Bez wahania zniszczyłby i mnie, gdybym stanął w obronie tego, kto podważa jego autorytet.

Gdy powiedziałem Manswetowi o mojej decyzji, przyjął ją z trudem. Próbowalem mu coś wyjaśnić, ale uciekł do swego pokoju. Przez dwa dni odzywał się do mnie tylko wtedy, gdy ja zagailem jako pierwszy. W ogóle się nie uśmiechał i nie chciał patrzeć mi w oczy.

Martwiłem się tym, ale zdania nie zmieniłem. Wiedziałem, że podjąłem właściwą decyzję. Nie zaryzykuję gardłem dla człowieka, który ewidentnie pragnie śmierci. Mimo to w chwilach spokoju nękały mnie wątpliwości. Jak to powiedział Seneka? Prawdziwe niebezpieczeństwo życia to nie bolesna i upokarzająca śmierć za młodu. Wstydem jest umrzeć za młodu, a mimo to dożyć starości.

Trzeciego dnia powtórnie przeczytałem pierwszy rękopis Łukasza. Znów oczarowała mnie postać Nazarejczyka, tak jak trzydzieści lat temu w Jerozolimie. Fascynował mnie jego stoicyzm, jego nauki, to, jak uciszał swoich krytyków. Nawet jego haniebna śmierć na krzyżu wydawała się mieć jakieś głębsze znaczenie – jakby w jakiś sposób łagodziła gniew Boga. Kiedy skończyłem czytać, wiedziałem już, co powinienem zrobić.

W dzień poprzedzający Saturnalia powiedziałem Pawłowi, że biorę jego sprawę, choć moja intuicja i stanowcza rada Flawii podpowiadały mi co innego.

Flawia spędzała tydzień Saturnaliów poza miastem, lecz wieści, jakie do niej dotarły, przeraziły ją. Ośrodkiem obchodów święta stało się wielkie, sztuczne jezioro znane jako staw Agryppy, zasilane wodą z akweduktu i łączące się z Tybrem kanałem długim na sześćset stóp.

Jezioro otaczały lasy, do których Neron z tej okazji wpuścił egzotyczne zwierzęta i ptaki. Na brzegach wybudowano gospody oraz domy publiczne i ustawiono wielkie pochodnie, których poblask migotał upiornie na wodzie.

Przez dwa dni tysiące Rzymian opychało się jedzeniem i winem, dostarczanym za darmo z nakazu imperatora. Neron, oczywiście, znajdował się w centrum uwagi. Spędzał ten czas na wielkiej, luksusowej tratwie, pokrytej purpurowym kołbiercem i zastawionej kosztownymi łożami. prostytutki – zarówno kobiety, jak i mężczyźni – przeprawiali się na tratwę łodziami dzień i noc, jakby imperator i jego zausznicy zamierzali podjąć nimi na tej pływającej scenie cały Rzym.

Trzeciego dnia Saturnaliów nowiny nie były lepsze. Neron przeniósł się z libacją do pałacu, gdzie odbyła się wystawna ceremonia ślubna. Było to trzecie i najbardziej kontrowersyjne małżeństwo cesarza.

Neron jako młody człowiek zgodził się poślubić Klaudię Oktawię, wujeczną wnuczkę Tyberiusza i swoją przyrodnią siostrę. Była to kobieta elegancka, arystokratka, którą lud uwielbiał. Neron uznał ją za nudną. Choć był mężem Oktawii, zakochał się w pięknej Poppei Sabinie, żonie jednego ze swoich przyjaciół. Poppea poszła za sugestią Nerona i uzyskała rozwód. A gdy zaszła w ciążę z cesarzem, ten rozwiódł się z Oktawią, by dwa tygodnie później poślubić Poppeę. Oktawię wygnano z Rzymu, oskarżono o cudzołóstwo i zmuszono do popełnienia samobójstwa. Dziecko, które urodziła Poppea, żyło tylko cztery miesiące.

Neron, wciąż będąc mężem Poppei, postanowił zawrzeć kolejne małżeństwo, właśnie podczas obchodów Saturnaliów. Zgodnie z relacjami naocznych świadków, pannę młodą prowadził do ślubu Tygellin. Panem młodym był Pytagoras, wyzwolenc należący do najbliższego kręgu cesarza. Natomiast pijany imperator, odziany w ślubną suknię i welon, był promieniejącą panną młodą.

Dwór cesarza świętował owe zaślubiny z wielkim entuzjazmem, choć nie było pewne, czy cesarz traktuje je poważnie, czy tylko je odgrywa jako *rex Saturnalium*, król kpin, wprawiając cały Rzym w konsternację swoim wybrykiem.

Co do Flawii, ostatni wyskok Nerona tylko zwiększył jej wdzięczność za to, że nie ma już nic wspólnego z cesarskim dworem. Imperator obalał, jeden po drugim, filary rzymskiego społeczeństwa. Odczuła ulgę, kiedy orgie Saturnaliów wreszcie się skończyły. Może Neron na nowo zajmie się sprawami państwa.

Dzień po Saturnaliach Flawia przyjechała do miasta i usłyszała wieści, które przeszły jej serce. Rubria była umierająca. Napadnięto na nią poprzedniej nocy, kiedy samotnie pilnowała w świątyni wiecznego ognia. Szaty miała podarte, twarz posiniaczoną i poranioną. Najwyraźniej uderzyła głową o marmurową posadzkę.

Ktoś zasadził się od tyłu na strażnika trzymającego wartę przed świątynią i pozbawił go przytomności. Krwawy szlak wiódł z wewnętrznego dziedzińca świątyni poza główne drzwi. Pod paznokciami Rubrii zostały kawałki ciała. Walczyła z napastnikiem.

Flawii pozwolono wejść do domu westalek i czuwać przy przyjaciółce razem z innymi. Rubria leżała w łóżu, dogładana przez najlepszych lekarzy cesarstwa. Nie poruszała się jednak. Napastnik próbował ją udusić, na szyi wciąż widać było tego ślady. Nie mogła otworzyć lewego oka, gdyż otaczała je ciemna opuchlizna. Usta również miała spuchnięte, we włosach było widać zaschlą krew. Oddychała i serce jej biło, lecz poza tym nie zdradzała żadnych oznak życia.

Składano za nią ofiary. Zanoszono modły. Badano omeny.

Szeptano, że podejrzanym jest sam cesarz. Przypadkiem podsłuchano, że tego wieczoru, gdy napadnięto Rubrię, Neron i Tygellin, zamroczeni alkoholem, rozmawiali z innymi hulakami o westalkach. Była to jedyna bariera rozpasania seksualnego, której nikt nie ośmielał się przekroczyć podczas święta. Mówili, że byłoby to doskonale ukoronowanie Saturnaliów, w sam raz na ich ostatnią noc. Tygellin nawet wznosił za to toast.

Żadna z westalek nie czuła się teraz bezpieczna. Przełożona domu zdecydowała, że odtąd będą pilnować ognia dwójkami. Wzmocniono strażę.

Później, po południu, westalki odetchnęły z ulgą, gdyż zidentyfikowano napastnika Rubrii. Okazał się nim sługa z pałacu, który twarz miał podrapaną paznokciami. Chociaż głośno zapewniał o swej niewinności, stracono go, nim zapadł zmierzch.

Rubria wciąż leżała bez ruchu.

Flawia pozostała przy łóżu Rubrii przez następne dwa dni, modląc się do bogów, by jej dawna podopieczna wróciła do zdrowia. Była dla Flawii niemal jak córka. Flawia wciąż doskonale pamiętała dzień, w którym mała Rubria po raz pierwszy przekroczyła próg *Atrium Vestae*, naiwna i niewinna, pełna entuzjazmu i pragnąca się przypodobać. Wyrosła na piękną kobietę, jeszcze szczuplejszą niż dawniej, o wiele bardziej zblazowaną i cyniczną, lecz wciąż pełną wielkiej miłości do życia.

Taka była zaledwie kilka dni temu.

Flawia patrzyła, jak jej przyjaciółka oddycha, jak jej drobna pierś unosi się i

opada. Parę razy wydawało się jej, że Rubria coś mamrocze. Pochylała się więc nad nią i wpatrywała w jej usta.

– Rubrio, to ja. Słyszysz mnie?

Żadnej odpowiedzi. Dochodziła więc do wniosku, że to było złudzenie, prostowała się i znów pogrążała w modlitwie do bogów.

Flawia spała niewiele, nie chciała nic jeść. Czasami płakała gorzko i w duchu przeklinała Nerona. Chwilami była tak wycieńczona, że nie mogła uronić ani jednej łzy.

Trzymała Rubrię za rękę. Umyła jej włosy. Co jakiś czas zanurzała palec w wodzie i zwilżała nim wargi młodej westalki.

Pod koniec drugiego dnia lekarze nie mieli już nadziei. Upuścili chorej mnóstwo krwi, lecz to nie przyniosło pożądanego skutku. Nie mieli jak zastosować leków ziołowych, gdyż Rubria nie była w stanie nic przełknąć. Sprawdzali jej puls, patrzyli, jak płytko oddycha, i kręcili głowami.

Jak długo można przeżyć bez wody?, zastanawiała się Flawia.

Drugiego dnia pod wieczór porozmawiała z przełożoną westalek. Obie uznały, że pora zabrać Rubrię do świątyni Eskulapa. Innym to pomogło. Bóg uzdrowienia z pewnością okaże miłosierdzie dziewczycy westalskiej.

Słudzy z domu westalek zanieśli Rubrię do świątyni Eskulapa i delikatnie złożyli ją na pledach rozestłanych blisko ołtarza, układając ramiona dziewczyny wzdłuż jej ciała. Rubria miała na sobie szaty westalki. Przełożona domu ucałowała jej czoło i wszyscy z wyjątkiem Flawii opuścili świątynię.

Flawia uklękła obok przyjaciółki, odmówiła modlitwę i wylała wino na ołtarz. Rozłożyła ciastka na marmurowej posadzce i uniosła wzrok, by spojrzeć na posąg.

– Uzdrów ją, boże wiecznego życia.

Wypuściła węża z płóciennego worka i patrzyła, jak pełźnie po ciele Rubrii, w górę ramienia, na bark, szyję, jak ześlizguje się na drugą stronę. Wiedziała, że nie może dotykać gada. Zwierzę było teraz święte, tak samo jak świątynia. Mogło pełznąć, gdzie mu się podobało.

Usiadła koło Rubrii na zimnej posadzce i czekała. Może będzie miała wizję i dowie się, co powinna zrobić. Może zaśnie i dowie się tego we śnie.

Położyła dłoń na czole Rubrii i poczuła gorączkę. To nie był dobry znak. Usta Rubrii były popękane i wysuszone, powieki opuchnięte. Leżała nieruchomo.

– Uzdrów ją, boże wiecznego życia.

Zaledwie parę tygodni temu spotkały się i rozmawiały o planach Rubrii. O tym, co będzie robić, gdy już opuści *Atrium Vestae*. Rubria dziękowała Flawii za wzór, jakim dla niej była – pokazała jej, że skończywszy służbę, można jeszcze założyć rodzinę. Sama miała już kilka pomysłów, kto mógłby zostać jej wybrankiem. Flawia, słuchając jej, wróciła pamięcią do pierwszych lat swojej znajomości z Teofilem. Do czasu przedmałżeńskiego. Pierwszych miesięcy wspólnego życia. Do radości z odkrycia, że jest w ciąży. Do cudu narodzin Mansweta.

A teraz Rubria mogła stracić to wszystko, albo i więcej.

Flawia ziewnęła, powieki jej ciążyły. Zmagala się z sennością. Powinna się modlić. Powinna błagać Eskulapa o zdrowie dla przyjaciółki. Powinna czuwać, by dostrzec cud, kiedy się wydarzy...

Flawia aż podskoczyła z przerażenia, czując dotyk czyjejś ręki na swoim ramieniu. Szybko obejrzała się za siebie i dostrzegła trzech mężczyzn stojących w ciemności. Wówczas przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

Obok niej Rubria wciąż leżała na podłodze z zamkniętymi oczyma, a jej pierś unosiła się i opadała.

– Przepraszam, że cię przestraszyłem – powiedział miękko jeden z mężczyzn.

Flawia mimo ciemności rozpoznała w nim syna.

– Co ty tu robisz?

Manswet stał obok starszego mężczyzny, niemal całkiem łysego, o ogorzałej trójkątnej twarzy. Nieznajomy przykuty był łańcuchem do rzymskiego żołnierza. Flawia domyśliła się, że to Paweł z Tarsu.

– Przyprowadziłem Pawła, by pomodlił się za Rubrię – wyjaśnił Manswet. – On może ją uzdrowić, matko.

– Czy ktoś wie, że tu jesteś? – spytała Flawia ostro, spoglądając na drzwi.

– Nie sądzę – odpowiedział Paweł. – Gdyby ktoś wiedział, zarówno ja, jak i Sergiusz zapłacilibyśmy za to życiem.

Miał rację. Sergiusz ryzykował, że poniesie równie surową karę jak Paweł.

– Wy tłumaczę ci wszystko później – rzekł Manswet głosem, w którym obawa mieszała się z radosnym ożywieniem. – Ale nie mamy za dużo czasu. Pozwólmy Pawłowi pomodlić się i wrócić do domu.

Dla Flawii nie było to takie proste. Powstała, zastanawiając się, jak najlepiej wyrazić to, co ją nurtowało. Znajdowali się w świątyni rzymskiego boga. Zazdroznego rzymskiego boga, który miał moc uzdrawiania i obdarzania wiecznym życiem. Nie mogli obrażać Eskulapa, modląc się do żydowskiego Boga lub, co gorsza, do zmarłego żydowskiego rabiego.

Jednak Paweł już klęczał, a wraz z nim, z konieczności, Sergiusz. Apostoł położył prawą dłoń na czole Rubrii.

– To chyba nie jest dobry pomysł – odezwała się Flawia.

Paweł spojrział na nią, a w jego oczach malowało się zrozumienie.

– Twoja przyjaciółka jest bardzo chora – powiedział. – Eskulap już miał swoją szansę. Jak ona ma na imię?

Flawia wciąż dopiero otrząsała się ze snu i trudno jej było jasno myśleć. Nie mogła tak po prostu wyrzucić tych mężczyzn ze świątyni. Gdyby wezwała pomocy, Manswet znalazłby się w tarapatach, razem z Pawłem i jego strażnikiem. Nigdy jednak nie słyszała, by ktoś modlił się do żydowskiego Boga w rzymskiej świątyni.

– Jak ma na imię? – zapytał powtórnie Paweł.

– Rubria.

Najwidoczniej to mu wystarczyło. Zamknął oczy i zaczął się modlić. Ku zaskoczeniu Flawii, Manswet uklęknął obok niego i położył rękę na ramieniu Rubrii.

Głos Pawła brzmiał pewnie, słowa płynęły wartko.

– Ojczy niebieski, Ty wskrzesiłeś Jezusa trzeciego dnia, podnieś teraz z łoża Rubrię, niech napelni ją życie, nadzieja i zrozumienie, że została podniesiona dzięki Twojej łasce. Otwórz oczy jej serca, by mogła poznać głębokość, szerokość i wysokość Twojej miłości. Umocnij tę kobietę mocą Twojego Ducha i napelnij ją Bożą pełnią.

Potem swoją modlitwę odmówił, niezbyt pewnie, Manswet. Poprosił Boga,

by okazał swoją moc, uzdrawiając Rubrię. Tak jak Paweł, wspomniał imię Jezusa i jego zmartwychwstanie, o którym pisał Łukasz.

Flawia uznała, że będzie musiała odbyć z synem poważną rozmowę.

Kiedy modlitwa dobiegła końca, wszyscy trzej goście powiedzieli „Amen”. Paweł podziękował Bogu za cud, którego Ten miał dokonać, po czym wstał.

Rubria leżała nieruchomo.

– Będzie żyła – powiedział Paweł, jakby skądś wiedział to na pewno. – Bóg podniesie ją z choroby.

Podziękował Flawii i zaczął zbierać się do odejścia.

– Uważaj na siebie – pożegnała go Flawia. Mówiła to z całą powagą; przecież naruszyli warunki aresztu domowego. – A z tobą, synu, będę musiała porozmawiać.

Rubria nie poruszyła się przez całą noc. Nie usiadła. Nie jęczała, nie drgnęła i nie wymamrotała ani słowa.

Lecz następnego dnia, tuż przed południem, gdy Flawia znów siedziała w jej pokoju, czuwając przy łożu chorej, zdarzyło się coś wprost zdumiewającego.

Rubria otworzyła oczy.

Minęło kilka dni, nim Rubria odzyskała siły. Z początku była zdezorientowana i miała trudności z rozpoznawaniem ludzi. Nie potrafiła sobie przypomnieć nic z tego, co jej się przydarzyło. Z czasem stała się bardziej przytomna i nadążała już za rozmową, choć wciąż dokuczał jej ból głowy. Pamiętała wszystko aż do dnia napaści, lecz w ogóle nie mogła sobie przypomnieć ataku, który spowodował tyle obrażeń.

Piła dużo wody i zaczęła jeść; podawano jej małe porcje chleba, owoców i sera oraz odrobinę miodu. Siły wracały, więc Rubria zaczęła odbywać krótkie przechadzki z Flawią. Opuchlizna na twarzy ustąpiła.

Flawia powiedziała jej o słudze Nerona, który został ukarany za napaść. Szepnęła jej też jednak o swoich podejrzeniach.

– Chodzą słuchy, że Neron i Tygellin rozmawiali o gwałceniu westalek podczas Saturnaliów. Neron nie pokazuje się od ostatniego dnia święta. Myślę, że czeka, aż zagoją mu się zadrapania.

Rubria przyjęła te wieści spokojnie. Usilnie starała się przypomnieć sobie wypadki tamtej nocy, lecz na próżno. Denerwowała się, kręciła głową i przepraszała, że nic nie pamięta.

– To nie twoja wina – uspokoiła ją Flawia. – Kiedyś te wspomnienia do ciebie wrócą.

Po pięciu dniach palący ból głowy wreszcie ustąpił i Rubrii wróciła werwa. Flawia wiedziała, że powinna już opuścić dom westalek. Przedtem jednak chciała jeszcze odbyć ostatni spacer z przyjaciółką.

Wolnym krokiem przemierzały ogrody. Gdy znalazły się przy posągach, Flawia opowiedziała Rubrii, co się zdarzyło tamtej nocy w świątyni Eskulapa.

– Myślisz, że to dlatego zostałam uzdrowiona? – spytała Rubria.

– Nie wiem – odparła Flawia w zamyśleniu. – Wszystko, co wiem, to że kiedy Paweł wyszedł, poczułam się inaczej. Tamtej nocy jego wiara dała mi nadzieję. I z jakiegoś powodu wciąż ją daje. Kiedy otworzyłaś oczy, pierwsze, co przyszło mi na myśl, to jego modlitwa.

Rubria zmarszczyła czoło. Flawia widywała to już setki razy.

– To wszystko wydaje się takie skomplikowane – wyznała.

– Wiem – odrzekła Flawia. Wyciągnęła dłoń i dotknęła ręki przyjaciółki. – Po prostu cieszę się, że wracasz do zdrowia.

Dla Mansweta obrona Pawła stała się jego osobistą batalią. Mój syn był pewien, że to Paweł uzdrowił Rubrię. Był przekonany, że wszyscy byliśmy świadka-

mi cudu podobnego do tych, które opisywał Łukasz. Jak ktoś mógł w to nie wierzyć?

Flawia w końcu zaczęła myśleć podobnie. Co rusz znajdowała jakiś pretekst, by pójść do domu Pawła i słuchać jego nauk. Zaprzyjaźniła się z Prokulą, która opowiedziała jej o tym, co sama przeżyła w świątyni Eskulapa. Flawia zaczęła mi sugerować, że powinniśmy dawać pieniądze tym wyznawcom Drogi, którzy nie mieli co włożyć do ust.

Niejeden raz posprzeczaaliśmy się z Flawią o to, jak dużą sumą możemy ich wesprzeć. Przecież zająłem się sprawą Pawła, nie pobierając za to wynagrodzenia. Jakże mogła prosić o więcej?

Uderzyło mnie podobieństwo między uzdrowieniem Rubrii a uleczeniem Prokuli. Oba dokonały się w świątyni Eskulapa, kiedy wszystko inne już zawiodło. Jedno wiązało się z wizją Jezusa, drugie z modlitwą do jego Boga. Według rękopisu Łukasza Jezus nie tylko leczył ludzi, kilku podobno wskrzesił z martwych.

Wciąż jednak pozostawały pytania. Jeśli to Paweł uzdrowił Rubrię, dlaczego nie ocknęła się zaraz po jego modlitwie? I skoro Jezus był tak pełen mocy, dlaczego nie ocalił sam siebie?

Ze względu na mego klienta starałem się zachować obiektywizm. Ten człowiek potrzebował adwokata, który potrafi przekonać Nerona. Aby stać się kimś takim, musiałem patrzeć na tę nową odmianę religii z takim samym sceptycyzmem, jaki podczas procesu okaże Neron. Flawia i Manswet mogli sobie reagować emocjonalnie. Ja nie. Jeszcze nie.

Analizując dalej rękopis Łukasza i mocne strony naszej sprawy, uświadomiłem sobie, że będziemy potrzebowali wielu świadków. Aby udowodnić, że Droga jest odroślą judaizmu, a nie jakąś nową i niebezpieczną religią, potrzebowałem znawcy, który umiałby opowiedzieć o żydowskim Mesjaszu. Doskonale nadawałby się do tego Nikodem, członek Sanhedrynu.

Łukasz wspominał o dwóch setnikach, którzy stali się wyznawcami Jezusa. Pierwszym był ten, którego sługę Jezus uzdrowił. Drugim był Kwintus, setnik odpowiedzialny za ukrzyżowanie Nazarejczyka. Chciałem, by ten pierwszy zaświadczył, że Jezus nigdy nie namawiał go do porzucenia służby w armii rzymskiej. Skoro Pawłowi zarzucano, że jako wyznawca Jezusa podlegał do buntu, takie zeznanie byłoby mocnym dowodem jego niewinności. Co do Kwintusa, którego znałem z lat spędzonych w Judei, ten mógłby opowiedzieć o trzęsieniu ziemi i o ciemnościach, które towarzyszyły ukrzyżowaniu Jezusa. Nawet Neron musiałby uznać takie znaki za potwierdzenie, że bogowie sprzyjali Nazarejczykowi.

Potrzebowałem też kogoś, kto widział i słyszał, jak Jezus nakazywał Żydom płacić nałożone przez cesarza podatki. Był jeszcze strażnik więzienny z Filipi, który mógłby opowiedzieć, że po tamtejszym trzęsieniu ziemi Paweł i Sylas pozostali w więzieniu, choć mieli okazję do ucieczki.

Neron uwielbiał Greków, pomyślałem więc, że wspaniale byłoby sprowadzić areopagitę Dionizosa, by opowiedział, jak został wyznawcą Jezusa po wystąpieniu Pawła w Atenach. Urzędnik miejski z Efezu mógłby złożyć pisemne oświadczenie potwierdzające, że to wrogowie Pawła, a nie on sam, wszczęli zamieszki w tym mieście.

Sporządziłem długą listę osób, mogących potwierdzić prawdziwość zdarzeń spisanych przez Łukasza. Pragnąłem zebrać jak najwięcej świadków, którzy widzieli Jezusa po zmartwychwstaniu.

Na trzy miesiące przed procesem spotkaliśmy się z Pawłem w jego domu. Przejrzałem z nim moją listę, a on poprosił o pomoc wszystkich, których zdołał zebrać. Tego wieczoru dom był pełen ludzi, którzy towarzyszyli Pawłowi w jego posłudze lub stali się wyznawcami Jezusa dzięki naukom, jakie apostoł głosił w Rzymie. Ludzie ci zgodzili się już wyruszyć, dokądkolwiek będzie trzeba, by sprowadzić świadków do Rzymu. Nie było czasu do stracenia.

Posłaliśmy Tychika do Efezu, Krescensa do Galacji, zaś Tytusa do Dalmacji. Tego wieczoru po raz pierwszy spotkałem Jana Marka. Był młody i krzepki, wysłailiśmy go do Jerozolimy, by znalazł świadków, którzy widzieli zmartwychwstałego Chrystusa. Arystarch z kolei miał udać się do Grecji i odnaleźć tam Dionizosa.

Widok był zdumiewający – ci wszyscy mężczyźni gotowi natychmiast spakować manatki i wyruszyć w drogę ze względu na Pawła i sprawę człowieka, którego nazywali Chrystusem. Paweł pomodlił się nad każdym z nich, zanim ich rozstał.

Gdy już wyszli, dom wydał się cichy i opuszczony. Został z nami Łukasz, gdyż był mi potrzebny do weryfikacji rękopisów. Prokula, Manswet, Flawia i ja również byliśmy na miejscu. Sergiusz, który zamienił się z jakimś innym żołnierzem, by tego wieczoru być przy Pawle, miał łzy w oczach.

Pomyślałem, jak inaczej to wyglądało, gdy odbywały się procesy o *crimen laesae maiestatis*. Nawet tak dobrego człowieka jak Aproniusz opuścili znajomi. Gdy gniew cesarza spadał na kogoś, jego przyjaciele pierzchali.

Nie tak było z Pawłem. Ludzie, którzy zebrali się tego wieczoru w jego domu, trwali u jego boku, gotowi wybrać się w niebezpieczną podróż ze względu na apostoła.

– Jak myślisz, ilu z nich wróci? – spytałem.

– Wszyscy – odparł Paweł.

Ten mały człowieczek nie miał wątpliwości. I nikt z zebranych w pokoju nie spodziewał się po nim innej odpowiedzi.

Nie wrócił nikt.

Choć Paweł modlił się o bezpieczny i szybki powrót swych przyjaciół, jego modlitwy najwyraźniej nie zostały wysłuchane. Otrzymaliśmy list od Jana Marka. Pisał, że ma trudności z przekonaniem świadków, by wyruszyli z nim do Rzymu. Pytał, czy moglibyśmy przełożyć proces. Żadnych wieści od Krescensa, Tychika, Arystarcha i Tytusa.

Na dzień przed procesem nawet Paweł przyznał, że świadkowie najpewniej się nie pojawią.

– Przyjaciele mnie opuścili – rzekł.

Był to jedyny raz, kiedy widziałem, że spochmurniał i ogarnęły go wątpliwości.

Następnego dnia nie zdradzał najmniejszych oznak uzalania się nad sobą. Zawsze był pełen energii, a teraz wręcz buchał optymizmem.

Pomodlił się, nim wyszliśmy z jego domu.

– Panie, daj mi siłę, bym głosił Ewangelię tak odważnie, jak powinienem. Pozwól, by dotarła do Nerona i wzbudziła w nim skruchę. Pozwól, by Twoja chwała zajaśniała dziś w sali sądowej cesarza!

Skończył modlitwę i wstał. Sergiusz, wciąż skuty z nim łańcuchem, wstał również.

– Nie sądzisz, że powinieneś się pomodlić o naszą wygraną przed sądem?

Na poły żartowałem, lecz Paweł potraktował tę uwagę poważnie. Spojrzał na mnie przenikliwie spod swych krzaczastych brwi.

– Kiedy aresztowano mnie w Jerozolimie, zjawił się Pan, by mi dodać otuchy. Powiedział, że jak byłem Jego świadkiem w Jerozolimie, tak samo będę głosił Dobrą Nowinę w Rzymie. To od początku była moja misja. Głosić Dobrą Nowinę Żydom, jak również innym narodom i ich królom. Czy jest jakiś większy ziemski król niż cesarz?

Tak wyglądała dyskusja z Pawłem; zdążyłem się do tego przyzwyczaić przez te kilka miesięcy. Wiedziałem, że próby zmieniania go są pozbawione sensu. Paweł traktował ten proces jak okazję do głoszenia nauk przed najwyższym sądem tego świata. Ja jednak chciałem go wygrać. Starłem się przekonać Pawła, że gdy doprowadzimy do jego uwolnienia, będzie mógł nauczać aż do późnej starości. Zawsze jednak miał tę samą odpowiedź.

– To Bóg decyduje. Skoro dał mi okazję, bym głosił Jego naukę przed Nero-nem, jak mogę jej nie przyjąć?

Z domu, w którym mieszkał Paweł, do pałacu cesarza szło się jakieś dwie mile. Kiedy nasza mała grupka przemierzała tę drogę, apostoł przez większość cza-

su wznosił pieśni chwały. Łukasz śpiewał wraz z nim, cokolwiek fałszując. Do śpiewu przyłączał się również Manswet. Znał słowa hymnów tylko połowicznie, a melodię jeszcze słabiej, lecz to go nie powstrzymywało. Nawet Sergiusz nucił coś pod nosem. Duch tej małej gromadki udzielił się i mnie, choć byłem zbyt sceptyczny, by przyłączyć się do śpiewu.

Po drodze przyciągaliśmy zdziwione spojrzenia, lecz Paweł nie zwracał na nie uwagi. Uśmiechnąłem się, dostrzegając ironię tego wszystkiego. Paweł, nieustannie wznoszący pochwalne hymny, kaleczący każdą melodię, miał być sądzony przez człowieka, którego najbardziej na świecie obchodziło to, jak dobrze gra na li-rze.

Flawia spędziła ten ranek w domu westalek. Nie widziała innego wyjścia. Nigdzie nie zdołaliśmy znaleźć świadków dla Pawła, a on był zdecydowany zmierzyć się z cesarzem i namawiać go do skrucy. To nie mogło skończyć się dobrze. Zachwycała się nieustępliwością Pawła, lecz w tej kwestii zgadzała się z mężem.

Długo z tym zwlekała i biła się z myślami, nim zdecydowała się poprosić Rubrię, by dołączyła do tej walki. Wspominała własny bój sprzed trzydziestu siedmiu lat, kiedy to postanowiła uwolnić Aproniusza. Wiedziała wtedy, że naraża swoje życie. Jej przyjaciółka też musiałaby się z tym liczyć.

Flawia wytłumaczyła jej sytuację i powiedziała, że decyzję Rubria musi podjąć sama.

– Wierzę, że ten człowiek uzdrowił cię dzięki mocy Ducha Świętego – powiedziała. – I wierzę, że ten sam Duch może cię ochronić. Lecz tylko ty możesz podjąć decyzję, a ja ją zrozumieję, jakakolwiek ona będzie.

Rubria była dość mądra, by niczego nie obiecywać. Obie wiedziały, że cień westalki musiał paść na skazańca przypadkowo, gdyż inaczej go nie uwalniano. Rubria nie wypytywała jednak o czas procesu ani o to, któredy mogą prowadzić Pawła.

– Obawiam się, że zaprowadzą go prosto na Forum, by tam go ściąć – powiedziała Flawia. – Czuję, że cesarz zechce go ukarać dla przykładu.

Rubria spojrzała w okno. Flawia natychmiast odgadła jej myśli. Przez cały ranek mżyło, niebo było zachmurzone. Jeśli się nie rozjaśni, cienia nie będzie.

– Wiem – odezwała się Flawia. – Będę się o to modlić.

Dziwnie było się znaleźć w tej samej ogromnej sali sądowej, w której wiele lat temu bronilem Flawii i Mansweta. Dziś wydawała się jeszcze większa, gdyż brakło tłumów pchających się do środka i wykrzykujących imię mego klienta. Tym razem w sali zgromadziło się pięćdziesięciu pretorianów, pół tuzina więźniów, któ-

rzy wnieśli apelację, oraz mniej więcej pięćdziesięciu cesarskich dworzan.

– Imponujące – powiedział Paweł, rozglądając się dokoła.

Sala wyglądała jeszcze lepiej niż w czasach Kaliguli, gdyż Neron przebudował ją i unowocześnił, tak jak wszystko inne w pałacu. Fotel sędziowski był teraz pokryty złotem, pod ścianami stały posągi niegdysiejszych cesarzy, wykonane z kości słoniowej. Nad podium, na którym miał zasiadać imperator, górował niezwykle dużych rozmiarów posąg samego Nerona. Przedstawiał cesarza jako Apolla, doskonale zbudowanego i pięknego boga, dawcę zdrowia i życia.

Neron, jak zwykle, wkroczył na salę zapowiadany dźwiękiem fanfar i szybko uporał się ze sprawami, które poprzedzały proces Pawła. Angażował się bardziej, niż się tego spodziewałem, zadawał pytania i rzucał uszczypliwe komentarze. Po każdej sprawie, gdy więzień lub jego adwokat zakończył mowę obrończą, Neron nie marnował czasu i szybko ogłaszał werdykt.

– Winny. Więzień zostanie ścięty na rostrze w południe.

Każdy kolejny wyrok przyprawiał mnie o dreszcze, lecz Paweł zdawał się przyjmować to wszystko ze spokojem, a jego intelektualna ciekawość była w pełnym rozkwicie. Nachylał się ku mnie i szeptem zadawał pytania o procedury prawne albo o pochodzenie podsądnych. Czasami wydawało mi się, że cicho się modli.

Niekiedy wbijał wzrok w Nerona, jakby dzięki temu mógł zajrzeć w ciemną duszę młodego władcy Rzymu.

– Następna sprawa! – obwieścił Neron.

Sergiusz pochylił się i uwolnił z kajdan lewą rękę Pawła. Ten potarł przegub i uśmiechnął się.

Czułem ucisk w żołądku, tak jak lata temu. Paweł natomiast wyglądał na podekscytowanego.

– Rzym przeciwko Pawłowi z Tarsu – oznajmił urzędnik. Paweł powstał ze swego miejsca, ja również.

– Chwała Panu – mruknął pod nosem.

Tygellin, przyjaciel Nerona, który prowadził sprawę, był młodszy ode mnie zaledwie o kilka lat, lecz włosy wciąż miał czarne. Z daleka wyglądał na jakieś trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Z bliska jego prawdziwy wiek zdradzały chropowata skóra i wielki, czerwony nos, wynik zbyt wielu nocy niepohamowanego pijaństwa. Zarzucano mu powszechnie, że zachowuje się, jakby był o połowę młodszy, a swoją pozycję zawdzięczał jedynie odziedziczonemu majątkowi i hullaszczej przyjaźni z cesarzem. Nienawidzili go zwłaszcza senatorowie, gdyż nie był jednym z nich.

Nikt jednak nie lekceważył tego człowieka. Krytykowano go, owszem. Lękano się jednak jego bezwzględności i przebiegłości. Nie można go było ignorować.

Kiedy zapowiedziano naszą sprawę, wstał, podszedł do stojącego przed cesarzem Pawła i otoczył ramieniem drobnego apostoła.

– Ten człowiek – powiedział, odwracając się i spoglądając na Pawła – wydaje się nieszkodliwy. W rzeczywistości zaś jest podstępny i stanowi zagrożenie dla imperium.

Kilka razy poklepał apostoła po plecach. Rozdrażniło mnie to protekcyjne traktowanie. Potem Tygellin ruszył w stronę podium Nerona.

– Wiem, dostojny imperatorze, że nie lubisz długich oracji, więc przejdę od razu do rzeczy. Paweł z Tarsu znalazł się przed sądem, ponieważ chce założyć nową religię i ponieważ odmawia oddania czci tobie, najdostojniejszy, a także innym rzymskim bogom. Jest też sądzony z powodu swych zdradzieckich nauk.

Tygellin rzucił apostołowi protekcyjne spojrzenie. Paweł w odpowiedzi popatrzył na niego pogodnie, a w jego spojrzeniu dało się dostrzec raczej litość niż pogardę.

– Z pewnością nie wygląda na kogoś takiego – rzekł Tygellin, lekceważąco machnąwszy ręką. – Przyznaję. Lecz tak naprawdę to jeden z najniebezpieczniejszych ludzi w całym Rzymie. Ma tysiące wyznawców i naucza ich wszystkich, że istnieje potęga większa niż ty, najdostojniejszy. Mówi o królestwie, które pokona twoje imperium. Mógłbym przedstawić z tysiąc świadków, lecz potrzeba mi tylko dwóch. Pierwszym jest Aleksander, brązownik z Efezu, drugim zaś Demas, wyznawca Drogi, który spędził wiele godzin z Pawłem podczas jego pobytu w Rzymie. Obaj powiedzą wszystko, co powinieneś wiedzieć o tym nowym ruchu, który pragnie podważyć twój autorytet, najdostojniejszy. Ponieważ zaś wiem, że cesarz lubi działać szybko, załatwię moją sprawę krótko. Do obiadu jest jeszcze sporo czasu, wystarczy, by ściąć oskarżonego.

Wracając na swoje miejsce, Tygellin popatrzył na Pawła. Zaskoczył mnie

sposób, w jaki przedstawił sprawę. Kilku żydowskich przywódców przybyło tu z Jerozolimy, by świadczyć przeciwko memu klientowi i temu dziwaczemu nowemu „zabobonowi”. Tygellin jednak najwyraźniej postanowił ich zignorować. Skupił się za to na oskarżeniu o zdradę.

– Czy obrońca pragnie wygłosić krótką mowę wstępną? – zapytał Neron.

– Tak.

Neron strzepnęła dłonią na znak, że mam to zrobić szybko.

Wstałem i wziąłem głęboki oddech. Temat był zbyt ważny, by się spieszyć.

– Zanim zaczniesz – odezwał się Neron – powinieneś wiedzieć, że przeczytałem przedstawione w dwóch rękopisach zeznanie świadka imieniem Łukasz. Jako badacz greckiego dramatu muszę wyznać, że uznałem tę opowieść zacnego lekarza za wielce zabawną.

Neron powiedział to z półuśmiechem. Nie podobała mi się jego postawa. Próbował zmusić mnie do jakiejś reakcji i zepchnąć na pozycje obronne. Nie zamierzałem jednak dać się wyprowadzić z równowagi.

– Jak ci wiadomo, dostojny imperatorze, ani namiestnik Festus, ani namiestnik Feliks, ani król Agryppa nie znaleźli winy w moim kliencie. Agryppa powiedział, że puściłby Pawła wolno, gdyby mój klient nie odwołał się do cesarza.

Neron zaczął coś szeptać przez ramię do jednego ze swych asesorów. Miałem ochotę udusić tego człowieka. Tygellina wysłuchał z wielką uwagą.

Postanowiłem, że poczekam, aż poświęci mi pełną uwagę.

Przestał szeptać i odwrócił się ku mnie niecierpliwie.

– Mów dalej – nakazał.

– Z lektury świadectwa Łukasza wiesz, dostojny imperatorze, że te oskarżenia miały początek w Sanhedrynie w Jerozolimie. Rozgorzała tam wielka dysputa, gdy Paweł zaświadczył przed tym gronem, że wierzy w powstanie z martwych. To wtedy go wyszydili. To wtedy zaczęła się ta cała sprawa.

Neron znów szepnął coś przez ramię, a we mnie aż się zagotowało. Chodziło o życie ludzkie! Mógłby przynajmniej mnie wysłuchać.

– Czy w tym imperium wiara w zmartwychwstanie jest przestępstwem? – spytałem. – A co z Augustem? Czyż Rzymianie nie widzieli, jak dusza Augusta uniosła się niczym iskra do nieba?

Cesarz nie słuchał. Głowę miał odwróconą.

– A co z Agrypiną? – zapytałem.

Neron gwałtownie odwrócił głowę na dźwięk imienia matki.

– Co niby z Agrypiną? – zapytał z irytacją.

– Odeszła na zawsze? – spytałem. – Czy raczej jej dusza żyje nadal? – Wiedziałem, że chodziły pogłoski, iż Nerona prześladowa udręczona dusza jego matki. – Jakże można skazać mego klienta na karę śmierci za głoszenie doktryny o życiu pozagrobowym, skoro każdy Rzymianin wie, że to prawda?

Pozwoliłem, by to pytanie wybrzmiało w chwili ciszy. Neron wpatrywał się we mnie gniewnie. Przynajmniej zyskałem jego uwagę.

– Co do zdrady, żaden zarzut nie byłby równie śmieszny. Sam słyszałem, jak oskarżony nauczał wyznawców Jezusa, by byli posłuszni każdej władzy. Mają oddać władzy to, co są jej winni. Jeśli zarządzono cło, mają płacić cło. Jeśli nałożono na nich podatek, jego też mają oddać. Jeśli nakazano im szacunek, mają go okazywać.

Paweł kiwał potakująco głową. Wiedziałem, że ta część jego świadectwa przypadnie Neronowi do gustu.

– Trzydzieści lat temu byłem asesorem w służbie Poncjusza Piłata w Judei. Tam też, dostojny imperatorze, byłem obecny na procesie Jezusa z Nazaretu. Żydowski przywódca oskarżył go o bluźnierstwo i zdradę, lecz Piłat wiedział, że Jezus nie uczynił nic złego. Ja też to wiedziałem. Sam słyszałem, jak nauczał w świątyni. Faryzeusze pytali go, czy Żydzi powinni płacić podatki cesarzowi Tyberiuszowi. Jezus poprosił wtedy o monetę i spytał, czyj nosi napis i wizerunek. Gdy odpowiedzieli, że cesarza, Jezus rzekł do nich: „Oddajcie więc cesarzowi to, co należy do cesarza, a Bogu to, co należy do Boga”.

Zniżyłem głos.

– W dzień tamtego procesu Piłat martwił się bardziej o utrzymanie pokoju niż o to, czy Nazarejczyk jest niewinny. Stałem za Piłatem, tak jak dziś twoi asesory za tobą. Podsuwałem mu rozwiązania prawne, które mogły pohamować wściekłość żydowskich przywódców. Tamtego dnia skazaliśmy niewinnego człowieka na ukrzyżowanie. Było to ponad trzydzieści lat temu, lecz gdy zamknę oczy, wciąż widzę pełną stoickiego spokoju twarz Nazarejczyka, czekającego, aż osądzimy go sprawiedliwie.

Zatrzymałem się na moment, po czym mówiłem dalej:

– Tamta chwila wciąż mnie prześladowa. Gdybym miał przeżyć powtórnie jakiś dzień z mego życia, wybrałbym tamten. Pozwoliłem, by strach, ambicja i polityka stłumiły sprawiedliwość. Ponieważ zaś wierzę w nieśmiertelność duszy, wiem, że pewnego dnia zdam sprawę z tego, co zrobiłem. Nie popełniaj tego samego błędu, dostojny imperatorze. Stoi przed tobą Paweł z Tarsu, niewinny człowiek. Nie pozwól, by jego krew splamiła twoją duszę.

===bQk+CDteP1k4Dj5dZAIzUGlcbVk6WDoLPgkxVGcEM1c=

– Cóż – odezwał się Neron, gdy skończyłem – całkiem dramatyczna mowa. Może powinieneś kiedyś dołączyć do mnie na scenie, Teofilu.

Dla mnie nie było w tym nic zabawnego, więc nie zaszczyliłem cesarza uśmiechem.

– Co sądzisz o Grekach? – życzliwie zapytał Neron Pawła. – Czytałem o twoim małym wystąpieniu pośrodku areopagu.

Paweł zrobił krok do przodu, lecz ogromny strażnik powstrzymał go wyciągnięciem ręki.

– Grecy wielbią rozum – odparł apostoł. – Nauczałem, że zostaliśmy zbawieni i uzyskaliśmy przebaczenie przez ofiarną śmierć Jezusa na rzymskim krzyżu. Grecy uznali to za głupotę.

– Nie tylko Grecy – zażartował Neron.

Paweł uśmiechnął się. W przeciwieństwie do mnie wyglądał na rozluźnionego.

– Mi też z początku wydawało się to głupstwem – przyznał. – Taka jest moc Ewangelii. Jest głupstwem dla mądrych, a dla prostaczków pełna głębi. Żydowskie prorocтва mówią, że Bóg wytraci mądrość mędrców i zniweczy przebiegłość przebiegłych.

– Tak, tak – przerwał Neron z lekceważeniem. – Lecz ja wolę greckich filozofów niż żydowskich proroków.

– Kto chętnie poddaje się losowi, uznawany jest wśród ludzi za mądrego – rzekł Paweł.

– Stoicy?

– Właśnie. Może opowiem, jakiego rodzaju los wtrącił się w moje życie?

– Nie interesują mnie słowa stoików. Skłaniam się ku epikurejczykom, ludziom, którzy doceniają rolę przyjemności i zmysłowości.

Patrzyłem w zdumieniu na tę wymianę zdań – na Nerona i Pawła dyskutujących o greckiej filozofii, jakby spoczywali przy stole z kielichami wina w ręku. Nie wiedziałem, jak to wpłynie na naszą sprawę, lecz nie mogłem się opędzić od myśli, że cesarzowi przynajmniej zaimponuje rozległa wiedza tego niepozornego człowieka, który stał przed nim.

– Kiedy powiadamy, że przyjemność jest samym sednem dobra, myślimy nie o przyjemnościach rozrzutników i rozpustników, jak niektórzy przez niewiedzę albo uprzedzenie, albo nawet umyślne wypaczenie pojmują nasze poglądy – mówił Paweł, patrząc wprost na Nerona – lecz o tym, że nie ma bólu w ciele i zamętu w duszy. Nie kielichy i nieskończone uczty, nie napawanie się chłopcami i kobietami, nie rozkoszowanie się rybami i czym tylko może się do nas przymilić bogaty stół,

nie to! Rodzą życie szczęśliwe nie te wszystkie rzeczy, lecz...

Paweł przerwał, by złapać oddech. Spozrzegłem, że twarz Nerona pociemniała, oparł brodę na zaciśniętej w pięść dłoni.

– To słowa samego Epikura – wyjaśnił Paweł. – Wielu o nich zapomina.

Cesarz wziął łyk wina. Paweł uznał to za znak, że ma mówić dalej.

– Był taki czas – ciągnął – kiedy sądziłem, że powinienem robić wszystko, co możliwe, by sprzeciwić się imieniu Jezusa z Nazaretu. Wiodłem życie żydowskiego faryzeusza i widziałem w wyznawcach Jezusa zagrożenie dla religii moich ojców. Z upoważnienia najwyższego kapłana wtrąciłem wielu z ludu Pana do więzienia, a kiedy skazywano ich na śmierć, głosowałem przeciwko nim. Byłem tak opętany pragnieniem niszczenia ich, że ścigałem ich nawet w obcych krajach.

Neron odchylił się do tyłu, słuchając opowieści Pawła, i przyglądał mu się z mieszaniną lekceważenia i ciekawości.

– W trakcie jednej z tych podróży udałem się do Damaszku, z pełnomocnictwa najwyższych kapłanów i z misją od nich. Koło południa olśniła mnie światłość z nieba, jaśniejsza niż słońce. Usłyszałem głos mówiący do mnie: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?”. Spytałem, kto do mnie mówi, i wyraźnie usłyszałem odpowiedź. Ów głos odpowiedział: „Ja jestem Jezusem, którego prześladujesz. Podnieś się teraz. Namaściłem cię na świadka, byś otworzył oczy swego ludu i innych narodów, aby mogli zostać wybawieni z mocy szatana i by uzyskali przebaczenie za swe grzechy”.

Paweł wyglądał na poruszonego, jego entuzjazm był wręcz zaraźliwy. W oczach miał blask.

– Od tego dnia byłem posłuszny widzeniu z nieba. Później pewien człowiek imieniem Ananiasz, który modlił się za mnie i uzdrowił mnie ze ślepoty, powiedział mi, że stałem się naczyniem wybranym, bym niósł imię Jezusa do Żydów, do innych narodów i do ich królów. Od tego dnia nauczałem wszędzie, że ludzie powinni żałować za swe grzechy i nawracać się do Boga. A teraz...

Paweł zawahał się, przytłoczony tą chwilą. Zdusił emocje i ciągnął dalej.

– A teraz Bóg przyprowadził mnie tutaj, bym zaświadczył przed najpotężniejszym władcą tego świata o prawdzie. Mesjasz cierpiał i poniósł śmierć, lecz trzeciego dnia powstał z martwych. Przynosi światło tobie i wszystkim ludom. Przyjdzie dzień, kiedy osądzi świat sprawiedliwie, a udowadnia to każdemu przez swoje powstanie z martwych. Teraz jest dzień zbawienia. Teraz jest dzień skruchy dla wszystkich ludzi.

Ta mowa mnie poruszyła. I pasja Pawła. Jego odwaga. Szczera prawda, która niosła się echem po wielkiej sali sądowej.

Był to też jednak strategiczny błąd – przed czym Pawła ostrzegałem. Rzucił wyzwanie człowiekowi, który miał zdecydować o jego losie. Mógł równie dobrze pogrozić palcem wielkiemu imperatorowi i oskarżyć go imiennie. Twierdził, że ist-

nieje większy sędzia niż Neron. I że ów sędzia ukarze cesarza i wszystkich, którzy nie okażą skruchy.

Nikt w ten sposób nie mówił do Nerona. Można było dostrzec drwinę w pozbawionym humoru grymasie, który wykrzywił jego usta.

Po paru chwilach ciszy Neron przymusił się do cierpkiego uśmiechu.

– Zauważyłem, czytając dostarczone mi rękopisy, że podczas jednego z twych procesów namiestnik Festus nazwał cię szalonym. Zaczynam nabierać przekonania, że miał rację.

Kilkoro dworzan Nerona zanosło się rżącym śmiechem.

Cesarz wychylił się do przodu, jego uśmiech zniknął. Oczy miał zimne i pociemniałe.

– Czy dobrze cię rozumiem, Pawle z Tarsu? Mówisz, że powinienem okazać skruchę, bo w jakiś sposób uraziłem twego Boga? Czy więzień oskarża swego sędziego?

Paweł nie wahał się nawet przez chwilę.

– Tak, wielki imperatorze. Kto jak kto, ale ty z pewnością powinieneś okazać skruchę.

W tym momencie zrozumiałem, że proces już się zakończył. Wszystko, co teraz nastąpi, będzie tylko na pokaz.

Widziałem, że twarz Nerona stężała od hamowanych emocji. Chciał przynajmniej zachować pozory, że postępuje, jak imperatorowi przystało.

– Czy oskarżyciel chce wezwać jakichś świadków? – spytał chłodno.

– Tak, wielki imperatorze – odrzekł Tygellin. – Naszym pierwszym świadkiem jest Aleksander brązownik.

Paweł obserwował ze współczuciem, jak Aleksander występuje naprzód i składa przysięgę. Najwyraźniej pamiętał go z Efezu.

Aleksander zeznał o tym, co się zdarzyło, kiedy Paweł nauczał w Efezie. W ciągu dwóch lat wielu ludzi zostało wyznawcami Nazarejczyka. Paweł głosił, że bogowie uczynieni ludzkimi rękami nie są w ogóle bogami. Zakwestionowano bóstwo wielkiej Artemidy i prawie przestano jej oddawać hołd w świątyni. Ludzie stracili pracę. Doszło do zamieszek, a Pawła zmuszono do opuszczenia miasta.

Tygellin podszedł do pudełka ze zwojami i wyjął jeden z nich. Wręczył go Aleksandrowi i spytał, czy świadek rozpoznaje ten papirus.

– Tak. Jakiś czas temu Paweł, gdy był już uwięziony w Rzymie, napisał list do wiernych w Efezie. Sporządzono kopie i jedną z nich przywiozłem do Rzymu.

Paweł nie okazywał niepokoju, lecz ja podupałem na duchu. Wiedziałem, że mój klient jest płodnym pisarzem, i byłem pewien, że ten list nie przysłuży się naszej sprawie.

Tygellin wskazał na jakiś fragment rękopisu.

– Proszę, przeczytaj, co napisał tutaj oskarżony.

Aleksander wziął zwój i zaczął czytać, drżącym i niepewnym głosem.

– Wykazał On swą moc i potęgę, gdy wskrzesił Go z martwych i posadził po swojej prawicy na wyżynach niebieskich, ponad wszelką Zwierzchność i Władzę, i Mocą, i Panowaniem, i ponad wszelkim innym imieniem wzywany nie tylko w tym wieku, ale i w przyszłym.

Skończył i podniósł wzrok na Tygellina.

– Czy efescy wyznawcy Jezusa z Nazaretu twierdzą, że imię Jezusa, znanego też jako Chrystus, przewyższa imię cesarza?

Aleksander miał rozbiegany wzrok. Był spięty niczym ptak w klatce.

– Tak, tak uważają.

– A skąd powzięli tę myśl?

– Z tego listu.

Neron przyglądał się temu beznamietnie, lecz wiedziałem, że nie może pozwolić, by takie nauki uszły komuś płazem.

Gdy Aleksander skończył zeznawać, Neron zapytał mnie, czy mam jakieś pytania.

– Nie, imperatorze. – Nie było sensu dalej skupiać jego uwagi na tym, co napisał Paweł.

Wystąpienie następnego świadka było podobne. Demas potulnie podszedł do Pawła na środek sali, poniżej trybunału Nerona. Przepytywany przez Tygellina zaświadczył, że kiedyś był wyznawcą Drogi i uczniem Jezusa w Rzymie. Rozwinęto kolejny papirus. Tym razem był to list do wiernych w Rzymie, napisany przez Pawła przed jego ostatnim aresztowaniem. Tygellin potrzebował chwili, by odnaleźć fragment, który miał odczytać Demas. Kiedy go odnalazł, słowa zabrzmiały wręcz jak wyrok śmierci na Pawła.

– Jeżeli więc ustami swoimi wyznasz, że JEZUS JEST PANEM, i w sercu swoim uwierzysz, że Bóg Go wskrzesił z martwych, osiągniesz zbawienie – przeczytał Demas. – Bo sercem przyjęta wiara prowadzi do sprawiedliwości, a wyznawanie jej ustami do zbawienia.

Wszyscy w sali zrozumieli wagę tych słów, lecz Tygellin i tak dobitnie wyłożył, co one znaczyły.

– Wiesz, co zazwyczaj czynią rzymscy wodzowie, gdy podbiją jakąś prowincję? – spytał Demasa.

– Tak, słyszałem o tym.

– I co każą powiedzieć poddanym na znak podporządkowania Rzymowi?

– Że cesarz jest panem.

– Czy słyszałeś kiedykolwiek, jak oskarżony nauczał?

– Parę razy w jego domu.

– Czy w trakcie tych nauk słyszałeś kiedy, by uznał, że to cesarz jest panem?

– Nie. Uczył, że Panem jest Jezus.

– A co z cesarzem?

Demas spuścił wzrok i zawahał się.

– Co z cesarzem?

– Któregoś dnia słuchaliśmy nauki o tym, że na imię Jezusa zegnije się każde kolano w niebie i na ziemi i że wszyscy uznają, iż Jezus jest Panem. To dotyczy także cesarza.

Neron miał usta mocno zaciśnięte, oczy zwężone.

– Czy to prawda? – spytał Pawła.

– Może moje słowa zostały trochę wyrwane z kontekstu – odrzekł szybko Paweł. – Bóg jest miłosierny i wiele znosi bez skargi. Jest bogaty w łaskę i pragnie wybaczać. Lecz Jego łaska objawiła się w Jego Synu, Jezusie. I owszem, to jedyne imię pod niebem, w którym można osiągnąć zbawienie.

Neron prychnął.

– Usłyszałem już dosyć zeznań – powiedział, wstając. – Powrócę z orzecze-

niem.

Z tymi słowami wyszedł pośpiesznie. W ślad za nim podążyli asesorzy i urzędnicy.

Wyszedłem naprzód i stanąłem obok mego klienta.

– Głosiłem Ewangelię samemu Neronowi – podsumował Paweł głosem pełnym melancholii. – Wszystko teraz w rękach Boga.

– Imperator nie ma żadnej władzy, która nie byłaby mu dana z góry – odparłem.

Paweł spojrział na mnie z ukosa – było to znaczące spojrzenie dumnego nauczyciela.

– Słowa Jezusa – stwierdził.

– Powiedział to Piłatowi w pretorium – potwierdziłem.

– Wierzysz w to?

– Jak mógłbym nie wierzyć? Powrócił do życia trzy dni później, prawda?

Paweł uśmiechnął się szeroko.

– Tak słyszałem – powiedział.

Flawia wyszła z sali sądowej i spojrzała na niebo. Nigdzie ani skrawka błękitu. Tylko groźne chmury, najciemniejsze na horyzoncie, i wiatr, który pchał je wprost nad Rzym.

Dziś nie będzie słońca. Ani cieni. Żadnej szansy, by jakaś dziewica westalska przecięła drogę skazańcowi i go uwolniła.

Wyglądało na to, że Paweł się tym nie przejmuje. Słyszała to w jego głosie. Tego ranka modlił się, by Bóg dodał mu odwagi, aby śmiało głosił Ewangelię. Jego modlitwa najwyraźniej została wysłuchana.

Gdyby tylko Bóg wysłuchał i jej modłów.

Neron powrócił w paskudnym nastroju. Zajął swoje miejsce z zaciśniętymi zębami, a urzędnik obwieścił, że otwiera dalszy ciąg rozprawy. Asesorzy wsunęli się na swoje miejsca za cesarzem, rozglądając się po sali sądowej. Zastanawiałem się, o czym rozmawiali podczas przerwy.

Miałem nadzieję, że pozwolą mi wygłosić mowę końcową, zanim Neron wyda wyrok. Wiedziałem, że przynajmniej powinienem spróbować.

– Sądzę, że zanim sąd ogłosi werdykt, mam prawo wygłosić przed waszą wysokością końcową mowę.

Neron popatrzył na mnie gniewnie.

– Wygląda na to, że oskarżony sam całkiem dobrze potrafi mówić we własnym imieniu.

– Mimo to, jeśli cesarz pozwoli, oskarżony nie jest zawodowym adwokatem. Nie orientuje się w zawiłościach rzymskiego prawa, a to może rozstrzygnąć o jego życiu lub śmierci.

– Powinien był o tym pomyśleć, zanim się odezwał.

– Z całym szacunkiem, imperatorze, zadawałeś mu pytania. Jest przyjęte, by w sprawach tego rodzaju...

– Dość! – warknął Neron.

– Dostojny imperatorze, istnieją pewne procedury. Uświęcone tradycją prawa...

– Powiedziałem, dość! – Neron wstał i spiorunował mnie wzrokiem. Jego strażnicy wystąpili o kilka kroków. Poczulem, że twarz mi płonie z gniewu.

– Moi asesorzy zapoznali mnie z historią twojej praktyki adwokackiej – wyrzucił z siebie cesarz. – Broniłeś Aproniusza, kiedy obsypał Tyberiusza plugawymi zniewagami. „Zwykle słowa”, tak wówczas powiedziałaś. Później, gdy ciało Kaliguli jeszcze nie ostygło, wszedłeś na rostrę i podburzałeś ludzi przeciw pryncypatowi. Powiedziałaś, że imperatorzy uczynili z Rzymian niewolników.

Neron miał twarz stężałą od wściekłości, na szyi nabrzmiały mu żyły. Nieugięcie odwzajemniałem jego spojrzenie.

Gniew buzował w nim przez chwilę, wreszcie odezwał się ponownie.

– Może to raczej ty powinieneś stanąć przed sądem, a nie jakiś zwiedziony żydowski szaleniec, wyznawca dziwnego nowego zabobonu.

– Mam do wykonania zadanie jako adwokat – odrzekłem. Mówiłem opanowanym głosem, choć gardło miałem ściśnięte, a w ustach mi zaschło. – Nasz rzymski system prawny wymaga, bym zrobił to należycie.

Wydawało się, że te słowa ugłaskały Nerona, przynajmniej odrobinę. Rozluźnił się i rozparł w fotelu, wciąż wpatrując się we mnie groźnie. Najwyraźniej

przypomniał sobie, że zasiada tu jako sędzia, a nie jako mój przeciwnik.

Pociągnął łyk wina i przebiegł wzrokiem po sali sądowej, napawając się jej ostentacyjnym pięknem, które odzwierciedlało jego nieograniczoną władzę. Ściany ozdobione szeregiem pereł z Persji. Posadzka wykładana kolorowymi marmurami z Egiptu. Subtelnie rzeźbione kolumny korynckie. Górujący nad oskarżonym wyniosły złoty posąg samego Nerona. Kto mógł się przeciwstawić jego władzy?

Spojrzał na Pawła, a ja poczułem niepokój. W jego małych niebieskich oczach błysnęła ironia. Nikły cień uśmiechu. Zalała mnie fala złych przeczuć. Neron sposobił się do czegoś, co na pewno nie było niczym dobrym.

– Twierdzisz, że wierzysz w zmartwychwstanie – powiedział. Ton miał teraz mniej opryskliwy, a bardziej żartobliwy. – Dam ci szansę, byś w południe to udowodnił.

Paweł choć raz wykazał się zdrowym rozsądkiem i nic nie odpowiedział.

– Tygellin wykazał w swym wystąpieniu, że jesteś zagrożeniem dla Rzymu. Wzywasz rzymskiego imperatora do skrucy. Mówisz, że istnieje Bóg większy niż bogowie rzymscy. Składasz przysięgę wierności innemu królowi. Lecz może Festus miał rację. Może po prostu jesteś obłąkany. Widzisz zmarłego człowieka. Odzywasz się do cesarza, jakby był zwykłym niewolnikiem. Wydajesz się wierzyć, że za pomocą kilku zdań możesz mnie przekonać, bym zaprzepścił potęgę Rzymu i stał się wyznawcą religii założonej przez jakiegoś żydowskiego rabiego. Czy człowiek zdrowy na umyśle rozumowałby w ten sposób?

Na moment zamigotała we mnie iskierka nadziei. Czyżby cesarz miał zamiar uznać Pawła za niespełna rozumu, ukarać go za szaleństwo i puścić wolno? Lecz nawet jeśli umyślił sobie to nieoczekiwane rozwiązanie, instynkt mi podpowiadał, że szykuje się tu coś bardziej podstępnego. Neron, wielki aktor, grał pewną rolę. Ten proces był sceną większej sztuki. Nie miałem jednak pojęcia, o czym była ta sztuka. A zresztą jakie to miało znaczenie, skoro Paweł ostatecznie miał odzyskać wolność?

– Mówiłeś o Bogu, który okazuje wielkie miłosierdzie i łaskę – ciągnął Neron. Podniósł się i stanął wyprostowany, z wypiętą piersią, uniesionym podbródkiem. Niczym wzór do naśladowania, który cały świat miał podziwiać. – Dziś poznasz, że cesarz jest największy ze wszystkich bogów. Uznaję cię za winnego podburzania do buntu. Uznaję, że zasłużyłeś na śmierć. Lecz z łaski i miłosierdzia cesarza zostaniesz uwolniony.

To orzeczenie wprawiło w osłupienie wszystkich zgromadzonych w sali sądowej i minęła chwila, zanim dotarło do świadomości zebranych. Szybki rzut oka na mego klienta powiedział mi, że Paweł był zakłopotany tym wyrokiem i chciał coś powiedzieć. Położyłem lewą rękę na jego ramieniu, by go przed tym powstrzymać.

– Dziękuję, dostojny imperatorze – powiedziałem.

– A teraz zejździe mi z oczu, zanim zmienię zdanie – powiedział Neron.

Wbrew mojej usilnej radzie Paweł skierował się od razu na Forum i nauczał tak, jak nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło. Nie napomknął ani słowem o procesie, lecz mimo to przyciągnął spory tłum. Mówił o ukrzyżowaniu i zmartwychwstaniu Jezusa. Opowiedział powszechnie już znaną historię swego nawrócenia w drodze do Damaszku. Jeśli ktokolwiek zasłużył na karę, twierdził Paweł, to właśnie on, największy z wszystkich grzeszników. Lecz znalazł przebaczenie – i podobnie może stać się ze wszystkimi.

W południe odepchnęli go na bok żołnierze rzymscy, którzy wlekli skazańców na Schody Gemońskie, by tam ich ściąć. Myślałem, że to otrzeźwi Pawła, lecz najwyraźniej widok skazanych tylko dodał mu wigoru. Zaczął głosić swe nauki więźniom i przemawiał jeszcze gorliwiej. Skazańcy tylko mierzyli go wzrokiem, jakby był jakimś szaleńcem.

Kiedy zakończono egzekucje, Paweł zaprosił wszystkich nad Tybr, by ich ochrzcić. Podążyłem jego śladem wraz z Flawią i Manswetem. O świcie tego dnia chrzest był ostatnią sprawą, jaka mogłaby zaprzętać mi głowę. Byłem adwokatem, a nie uczniem. Jednak przez te kilka godzin tyle się zmieniło.

W którymś momencie procesu, nie potrafiłem powiedzieć, kiedy dokładnie, pomieszane fragmenty mego życia ułożyły się w całość. Przypuszczam, że były tam od początku, owe wyraźne świadectwa, podsunięte przez Adwokata większego niż ja, i stopniowo dowodziły Jego słuszności, a ja nie mogłem już dłużej tego ignorować.

Moje bezpośrednie spotkanie z Nazarejczykiem. Jego ofiara. Bolesny protest natury przeciw Jego śmierci. Coraz więcej dowodów na Jego zmartwychwstanie. Nadprzyrodzona moc Jego wyznawców.

Paweł pokazał, jak radykalny był to wybór. Kto jest Panem – Neron czy człowiek zwany Chrystusem? Czyje królestwo zwycięży?

Nas, Rzymian, fascynowała śmierć. Wymyśliliśmy krzyż – narzędzie skrajnego bólu i upokorzenia. Kiedyś na nim zawisłem i odczułem w pełni, czym jest wstyd.

Lecz teraz, w tym nowym ruchu, krzyż był źródłem mocy. Upokorzenie stało się siłą. Krew Nazarejczyka wzbudziła rzekę przebaczenia, wolności i nadziei. Śmierć stała się przejściem do nowego życia, odtąd nie musieliśmy się jej bać.

„Cóż to jest prawda?”, spytał niegdyś Piłat.

Jego żona, Prokula, znalazła odpowiedź. Podobnie mój syn, Manswet, a w końcu nawet Flawia, kiedy uzdrawiająca moc Jezusa zawróciła dziewicę westalską z krawędzi śmierci.

Było czymś jak najbardziej właściwym, że i ja znalazłem odpowiedź w trak-

cie procesu, dzięki odważnym słowom mego klienta, którego prawda obchodziła bardziej niż wolność, a dusze królów bardziej niż skuwające go kajdany.

Z jakiegoś powodu imperator stanął po stronie apostoła, pomimo szczerych słów Pawła na jego temat. Zapadł wyrok zupełnie nieoczekiwany, prawdziwy cud.

Paweł został uznany za winnego, a mimo to był wolny.

I ja także, podążając za nim nad brzeg Tybru, po raz pierwszy w życiu kosztowałem wolności.

Tego dnia szedłem wzdłuż mulistych brzegów rzeki, trzymając Flawię za rękę, i tylko kilkaset kroków dzieliło nas od miejsca, gdzie po raz pierwszy się jej oświadczyłem. U drugiego boku Flawii szedł Manswet. Wcześniej patrzyliśmy, jak Paweł ochrzcił ponad czterdziestu nowych wiernych, mężczyzn i kobiet. Wszyscy wychodzili z wody z uśmiechem na twarzy, spoglądając w niebo. Wszyscy po chrzcie dziękowali Pawłowi uściskiem.

Paweł umyślnie zostawił nas na koniec. Ludzie przyglądali się, jak jeden ze sławnych adwokatów, była kapłanka ze świątyni Westy oraz ich syn zanurzają się w wodzie na znak oddania się nowej wierze. W połowie drogi dzielącej mnie od Pawła nastąpiłem na pokryty glonami kamień i poślizgnąłem się, pociągając za sobą Flawię. Zaśmialiśmy się, a wierni przyjęli to radosnymi okrzykami. Manswet tylko pokręcił głową.

Gdy w trójkę zbliżyliśmy się do Pawła, apostoł promieniał niczym dumny ojciec. Manswet podszedł pierwszy, co było zrozumiałe, gdyż jako pierwszy uwierzył w Chrystusa. Gdy mój syn wyłonił się z wody, Paweł objął go i poklepał po plecach. Widziałem łzy w oczach Flawii.

– Wasz syn to dobry człowiek – powiedział do nas Paweł.

– Wiem – odrzekła Flawia. Ja tylko skinąłem głową, bo zabrakło mi słów.

Flawia podeszła następna. Stała przed Pawłem i chwyciła jego lewą dłoń. On podparł ją ręką na plecach, w okolicach krzyża.

– Czy chcesz umrzeć dla siebie i pójść za Jezusem z Nazaretu, twoim Zbawcą i Panem?

To nie było teoretyczne pytanie. Wszyscy wiedzieli, że dziś ledwie uszliśmy z życiem z sali sądowej cesarza.

– Chcę – odrzekła Flawia.

Po tym prostym wyznaniu Paweł odchylił Flawię do tyłu, zanurzając ją w mulistych wodach Tybru, a potem podniósł ją z powrotem. Woda spływała po jej długich, czarnych włosach. Flawia otarła krople z oczu. Przypomniało mi to, jak zobaczyłem ją po raz pierwszy, zalaną krwią ofiarnej jałówki, jak patrzyłem na jej lśniącą, piękną i urzekającą twarz. W tamtej chwili ją pokochałem, lecz nigdy nie darzyłem jej miłością większą niż teraz.

Podeszła do mnie i objęliśmy się na chwilę, zanim i ja ruszyłem, by przyjąć chrzest.

Całe to przeżycie pamiętam jak przez mgłę. Paweł spytał mnie, czy jestem gotów oddać życie. Szybkie spojrzenie na Flawię i Mansweta, zanim zanurzyłem się w wodzie. Zapierające dech w piersiach ukojenie, gdy wyłoniłem się z fal i spojrzałem w niebo. Doświadczenie Bożej błogości.

Z natury nigdy nie miałem skłonności do poddawania się emocjom, lecz nagle ogarnęła mnie ochota, by krzyknąć i wznosić ramiona, uroczyście wysławiając Pana. Poprzestałem na chlapnięciu wodą.

Po zakończonym chrzcie wyszliśmy wszyscy troje z rzeki i w milczeniu wspięliśmy się na śliski brzeg.

Nie wiedziałem, co myślą Flawia i Manswet, lecz ja wróciłem pamięcią do wieczoru, który spędziłem z Nikodemem zaledwie kilka dni przed burzliwymi wydarzeniami w Jerozolimie. Wtedy te słowa nie miały dla mnie sensu, lecz teraz doskonale je rozumiałem. Wówczas były tylko teoretycznym wywodem. Teraz opisywały moje uczucia i moje życie.

Dopóki ktoś się nie narodzi z wody... Królestwo Boże... Co się z ciała narodziło, jest ciałem, a co z Ducha, jest duchem.

Tego dnia, na brzegach Tybru, poczułem na skórze chłodny wiatr. Wszyscy ociekaliśmy wodą, a wczesnowiosenny wietrzyk był przenikliwy.

– Jak się czujesz? – spytała Flawia.

Zastanowiłem się chwilę, zanim odpowiedziałem. Poczucie winy, które dźwigałem przez tyle lat – winy z powodu mego tchórzostwa podczas procesu Jezusa, z powodu spiskowania przeciw Kaliguli i śmierci Lucjana i z powodu tysiąca innych uczynków, które były wynikiem egoizmu, chciwości i oszustwa – to wszystko teraz zniknęło.

– Czuję, że mi przebaczone – odparłem w końcu. – I że w pełni żyję.

Sześć dni po naszym chrzcie Paweł i Łukasz wyruszyli do Hiszpanii. Paweł od dawna zamierzał głosić tam dobrą nowinę o Jezusie Celtom i Iberom. Była to część jego misji niesienia Ewangelii na krańce ziemi. Dalej, poza rzymską prowincją Hiszpanii, rozciągało się już tylko morze.

Apostoł obiecał, że wróci, lecz i tak było mi trudno pogodzić się z jego odejściem. Szczególnie ciężko przyjął to Manswet. Błagał mnie i Flawię, byśmy pozwolili mu wyruszyć wraz z Pawłem, lecz oboje zgodnie stwierdziliśmy, że nie jest jeszcze na to gotów. A i Paweł powiedział mu, że jest potrzebny w Rzymie.

Chciałem, by mój syn dokończył naukę retoryki. Nie miałem wątpliwości, że Bóg pozwoli mu szerzyć wiarę w Nazarejczyka, ale nie w tak odległej prowincji jak Hiszpania. Zawsze marzyłem, że Manswet będzie podążał śladami wielkich retorów pokroju Cyclerona tutaj, w Rzymie. Że on i jego pokolenie zdołają przywrócić do życia cnoty republikańskie w oparciu o zasady, jakich nauczał Nazarejczyk.

Poza tym pragnąłem mieć Mansweta przy sobie. Chciałem, abyśmy razem poznawali nową wiarę.

Gdy patrzyłem, jak Paweł i Łukasz odchodzą, czułem zarazem wzburzenie i osamotnienie. Żwawy krok Pawła, lekko utykającego, i widok ich obu odchodzą-

cych zmusiły mnie do uśmiechu. Wyobrażałem sobie, że to dużo młodszy Łukasz będzie proponował, by zatrzymali się na noc. Zaoferowaliśmy się, że kupimy im konie, lecz Paweł przekonał nas, byśmy rozdali te pieniądze wiernym w potrzebie. Wolał wędrować piechotą.

Nękało mnie też poczucie głębokiej straty. Paweł był niekwestionowanym przywódcą wiernych w naszym mieście, przez ostatnie kilka dni prawie się z nim nie rozstawałem, chłonąc jego mądrość. Teraz zaś człowiek, który doprowadził mnie do wiary i tchnął we mnie odwagę przed sądem Nerona, opuszczał nas. Wciąż czułem, że Duch działa w moim życiu i w życiu innych wierzących, lecz to wcale nie rozpraszało mego smutku. Apostoł, człowiek, który dokonał tak wielu cudów i doznał tylu cierpień, szedł teraz dalej, a nas zostawiał samych.

Patrzyłem wraz z dziesiątkami wiernych, jak Paweł i Łukasz odchodzą. Apostoł ani razu się nie odwrócił, by pozdrowić nas po raz ostatni. Najwidoczniej uznał, że wystarczy już wcześniejsze pożegnania.

Ostatniego wieczora spotkał się na osobności z Flawią, Manswetem i ze mną. Pomodlił się za nas. Podziękował mi jeszcze raz za wyratowanie go, jak to ujął, „z paszczy lwa”. Zachęcał nas, byśmy stanęli na czele wiernych w Rzymie.

Teraz zaś odchodził. Kiedy razem z Łukaszem zniknęli nam z oczu, jeden z wiernych zaintonował pieśń. Był to hymn pochwalny, którego nauczył nas Paweł. Apostoł mówił, że śpiewał go w więzieniu w Filipi. Zacząłem śpiewać wraz z innymi, jak najlepiej potrafiłem, choć trudno mi było nucić, gdyż ścisnęło mnie w gardle.

*Temu zaś, który mocą działającą w nas
może uczynić nieskończenie więcej
niż to, o co my prosimy czy rozumiemy,
Jemu chwała w Kościele i w Chrystusie Jezusie
po wszystkie pokolenia wieku wieków! Amen.*

ŚWIADEK

I II III IV V VI VII VIII **IX**

Dwa miesiące później

Na godzinę przed świtem, dwa miesiące po odejściu Pawła, Teofil odłożył trzcinowe pióro. Oczy miał zaczerwienione i zażawione. Właśnie ukończył swoje pamiętniki. Domownicy spali twardym snem, a on w pełnej znużenia ciszy dumął nad swym dokonaniem. Skończył pamiętniki dokładnie tak, jak chciał – stosowną doksologią, wysławiającą moc Boga i chwałę Chrystusa.

Pomysł napisania pamiętników podsunął mu Paweł. Apostoł, który sam był znakomitym pisarzem, wierzył w moc słowa utrwalonego atramentem na papirusie, zdolnego inspirować ludzi i utrzymywać idee, czego nigdy nie osiągnie się za sprawą ulotnej retoryki mowy.

Ta praca zajęła Teofilowi niemal o miesiąc mniej, niż potrzebował Łukasz na swoje kroniki, ale przecież spisując własne wspomnienia nie trzeba zbierać aż tylu informacji. W ciągu dnia Teofil nadal prowadził zajęcia z retoryki dla Mansweta i pozostałych swoich uczniów. Potem do późnej nocy mozolił się nad rękopisami. Pochylony nad pergaminem przy blasku świecy, przywoływał wspomnienia i emocje wszystkich wydarzeń, które wpłynęły na jego życie. Przez dwa miesiące niewiele jadł i mało co spał. Kilka razy trudził się nad robotą aż do chwili, gdy kogut pianiem oznajmiał początek nowego dnia.

Czasami wzywał Flawię i prosił ją, by opowiedziała mu niektóre zdarzenia ze swego życia. Zapłakana opisywała dzień śmierci gladiatora Mansweta. Rozdarta między niegasnącą wściekłością a wciąż żywym wstydem, wspominała swoje powiązania z Kaligulą.

Jednak to nie same namowy Pawła kazały Teofilowi siedzieć po nocach i szczegółowo spisywać historię swego życia. Podobnie uczynił Cycero, a do pewnego stopnia także i Seneka. To pozwalało wpłynąć na przyszłe pokolenia, przekazać cnoty z ojca na syna. Dusza jest nieśmiertelna, żyje dłużej niż ciało. Spisana opowieść w pewien sposób również może żyć wiecznie.

Ponadto Teofil miał złe przeczucia po procesie Pawła, te same mroczne emocje, które targały nim po zamachu na Kaligulę. Coś mu podpowiadało, że on sam oraz inni wyznawcy Nazarejczyka wkrótce w pełni doświadczą na sobie gniewu Nerona. Z jakiegoś powodu Neron się nimi bawił. Ale wkrótce na nich zapoluje, tak jak polują na egzotyczne zwierzęta podczas igrzysk.

Dzień po ukończeniu pamiętników Teofil skrupulatnie ułożył zwoje pergaminu w pudełku. Opieczętował pudełko laką i wspólnie z Flawią odnieśli je do świątyni Westy. Dziewice były strażniczkami najważniejszych rzymskich dokumentów, między innymi testamentów i pamiętników najbardziej prominentnych obywateli.

Powierzyli pamiętniki Rubrii i udzielili jej dokładnych wskazówek. Gdyby

zarówno Teofil, jak i Flawia stracili życie, pamiętniki powinna oddać Manswetowi, i nikomu innemu. Decyzja o tym, czy je upublicznić – w części lub w całości – czy też nie, będzie należała do Mansweta. To Manswet powinien decydować, czy chce, by się dowiedziano, że jego rodzice brali udział w zamachu na życie Kaliguli. Chwilowo ci, którzy przeciwstawili się tamtemu cesarzowi, uważani byli za bohaterów. Rzym jednak zawsze był kapryśną kochanką i nierzadko bohaterowie jednego dnia w dniu następnym uznawani byli za łotrów.

Jeśli Manswet ich nie przeżył, Rubria miała upublicznić pamiętniki. Niemniej zarówno ona, jak i Manswet powinni się z tym wstrzymać, dopóki żył Seneka, by ochronić go przed ewentualną karą.

Teofil modlił się, by jego wspomnienia mogły kiedyś rzucić światło na korupcję systemu imperialnego i zaszczerpić ruch, który doprowadzi do przywrócenia republiki. Gdyby nigdy do tego nie doszło, gdyby te wspominki przeczytał tylko Manswet – i tak byłyby warte każdej chwili jego mozołu.

Prawdę mówiąc, pisał je dla jednej tylko osoby. Być może był to ów sceptycyzm, jaki opanowywał go po każdym większym zwycięstwie, ale Teofil martwił się, że może nigdy nie zobaczyć, jak Manswet osiąga wiek męski. Dlatego też razem z Flawią umieścili w tym samym zapieczętowanym pudełku list do syna, wyjaśniając mu, że w ich przeszłości były sprawy, o których nigdy mu nie mówili, lecz teraz chcą, aby je poznał. Tę historię zawarli w pamiętnikach. Powiedzieli już Manswetowi, po kim odziedziczył imię, lecz chcieli, by ich syn kiedyś przeczytał naoczną relację o odwadze i godności, z jaką gladiator Manswet stawiał czoła śmierci.

Teofil nie krył też we wspomnieniach szczegółów swych największych porażek – tchórzostwa podczas procesu Jezusa, pijackiej perory po procesie Aproniusza, spisku na życie Kaliguli.

– Twój syn powinien poznać zarówno twoje porażki, jak i triumfy – poradził mu Paweł. – Nasza słabość tworzy przestrzeń dla Bożej mocy.

A tych słabości było mnóstwo. Teofil postanowił, że będzie pisał z brutalną szczerością, odzwierciedlającą pytanie, które dawno temu nauczył go stawiać sobie Seneka, to samo pytanie, które Piłat tak nonszalancko postawił na procesie Jezusa: Cóż to jest prawda? Teofil uważał, że słowa tracą swą moc, jeśli będzie unikał w nich prawdy, by chronić swą reputację.

Flawia nalegała, by i ona mogła odsłonić swą duszę, czasami mimo protestów Teofila. Pogwałciła przysięgi westalki, a jednak ostatecznie otrzymała przebaczenie. To trzeba było włączyć do tej historii.

– Cała prawda – powiedziała Flawia – jest znacznie potężniejsza niż częściowe kłamstwo.

Oddając zwoje Rubrii, wymogli na niej obietnicę, że będzie ich strzec jak własnego życia. Następnie w milczeniu opuścili świątynię. Pozostawienie ukończo-

nych pamiętników u westalek w jakiś sposób zdawało się potęgować w nich poczucie czającego się gdzieś niebezpieczeństwa. Spisując swoją historię, Teofil czuł się niezwykczony – czuł, że Bóg nie pozwoli mu umrzeć, póki nie ukończy tego ważkiego dzieła. Teraz jednak, gdy pamiętniki były już ukończone, odczuwał pewną bezbronność, groźny cień imperatora wisiał nad nim i rósł z każdym krokiem.

– Mam wrażenie, jakbym w tym pudełku zostawiła kawałek serca – powiedziała Flawia.

Teofil czuł się podobnie.

– To była długa podróż.

– I jeszcze się nie skończyła – dodała szybko Flawia. – Jeszcze dużo przed nami.

Teofil nie był tego taki pewien, lecz nic nie odpowiedział.

Flawia jak zwykle odczytała jego myśli.

– Tak bardzo się niepokoisz – stwierdziła, przysuwając się do niego, i otoczyła go ramieniem, gdy tak szli przez miasto.

– Może – odparł niepewnie.

– Długie jest życie, jeżeli ktoś umie czynić z niego użytek.

Ten cytat go zaskoczył.

– Myślałem, że nie lubisz Seneki.

– Gardzę nim jako człowiekiem, aczkolwiek przyjmuję jego nauki.

Byli małżeństwem od ponad szesnastu lat, a ona wciąż potrafiła go zadziwić. W słowach, które zacytowała, było sporo prawdy. Seneka wiedział, jak wyrazić swą myśl, jak natchnąć ludzi do przykładowego życia. Jednak to Flawia, przynajmniej w oczach męża, najlepiej wiedziała, jak takie życie wieść.

W następnych tygodniach Teofil śledził to, co działo się w Rzymie. Codziennie wysyłał jednego ze sług do miasta, by przepisał mu co ważniejsze fragmenty *Acta Diurna* – oficjalnych codziennych komunikatów, wywieszanych na Forum przez cesarskich urzędników. *Acta* zawierały najświeższe informacje o kampaniach wojskowych, procesach, skandalach i rozmaitych wyczynach cesarza. Każdą taką relację oczywiście musiał najpierw zaaprobować sam Neron.

Owe raporty nawet po cesarskiej redakcji jasno pokazywały, że Neron coraz bardziej pogrążał się w swoim narcyzmie i był coraz bardziej nieprzewidywalny.

Imperator najwyraźniej uznał, że jego talenty artystyczne powinna znać szersza publiczność, nie tylko obywatele Rzymu. Wzywała go Grecja, kolebka sztuk.

Pierwszy z tych występów dał na scenie wypełnionego po brzegi teatru w Neapolu. Publiczność, zdopingowana burzliwymi oklaskami augustianów, zgottała tam imperatorowi owację na stojąco i nie szczędziła mu pochwał.

Jak informowały *Acta*, wieczorem po tym występie Neapol nawiedziło trzęsienie ziemi i teatr się zawalił. Gdyby trzęsienie nastąpiło kilka godzin wcześniej, pochłonęłoby tysiące ofiar. Neron zinterpretował to jako znak błogosławieństwa od bogów.

Kilka miesięcy później cesarz wrócił do Rzymu. *Acta* donosiły, że planuje kolejną podróż. Tym razem zamierzał odwiedzić Aleksandrię. Chciał wyruszyć w pierwszych dniach czerwca. Neron wydał publiczne obwieszczenie, w którym zapewniał obywateli Rzymu, że w czasie jego nieobecności sprawy „będą się toczyły pomyślnie i bez zmian”.

Po dwóch dniach odwołał podróż. Powód, jaki podano, brzmiał znajomo, dlatego Teofil nabrał podejrzeń, większych niż kiedykolwiek dotąd. Zupełnie jakby Neron, niczym wyszkolony aktor, improwizujący na podstawie znanego sobie dramatu, przywłaszczył sobie – nieco je zmieniając i dostosowując do własnych potrzeb – przeżycie Pawła w drodze do Damaszku.

Jak donosiły *Acta*, Neron przed wyjazdem do Aleksandrii objeżdżał świątynie, by składać ofiary bogom. Nadeszły właśnie Westalia, święto rozpoczynające się prostą ceremonią w świątyni Westy, którą Neron zechciał zaszczyścić swą obecnością.

Kiedy jednak wszedł do świątyni, coś pochwyciło go za rąbek szaty, tak że nie mógł zrobić kroku. Natychmiast zaczął drżeć i ogarnęło go poczucie nadciągającego niebezpieczeństwa. Nagle, bez ostrzeżenia, otoczyła go ciemność.

Oślepionego imperatora zaniecono w lektyce do pałacu. Wieczorem w cudowny sposób odzyskał wzrok, kiedy ktoś położył na nim ręce, jak niegdyś Ananiasz na Pawle. Dla Nerona był to rodzaj duchowego przebudzenia, który skłonił

go do natychmiastowej zmiany planów. Tego dnia, odzyskawszy wzrok, wydał dekret. Odnosiły go, słowo w słowo, *Acta*, a słudzy Teofila skopiowali:

Widziałem zasmucone oblicza współziomków, słyszę ich ciche skargi, że w tak daleką podróż chcą się udać, ja, którego niewielkich nawet wycieczek znieść nie mogą, nawykłszy wobec kaprysów przypadku w widoku cesarza znajdować pociechę. Jak więc w prywatnych stosunkach pierwszeństwo ma najbliższa rodzina, tak na najwyższym stanowisku naród rzymski największe ma znaczenie i należy go słuchać, gdy zatrzymuje.

Acta wychwalały decyzję imperatora. Nie można było zignorować omenu ze świątyni Westy. Nad Rzymem wisiało nieszczęście i miasto potrzebowało swego władcy. Imperator postanowił zatem pozostać ze swym ludem.

Teofil przeczytał to zadziwiające oświadczenie i kpił sobie w duchu z tej nieoczekiwanej życzliwości cesarza dla ludu. Imperator coś knuł. Z jakiejś nieznanej przyczyny wymyślił tę uduchowioną wymówkę, by pozostać w Rzymie.

Pomimo złożonej obietnicy imperator wraz z wielką świtą straży przybocznej, sług i urzędników w przeddzień id lipcowych opuścił miasto i skierował się do Ancjum, położonego nad brzegiem morza, dwadzieścia pięć mil od Rzymu. Neron miał tam obszerny pałac i rozległe ogrody nad samą wodą, ochładzane zachodnimi wiatrami, ciągnącymi od strony morza.

Teofil był jednym z niewielu, którzy nie wybrali się do Rzymu, by oglądać wyjazd cesarza. Świadkowie tego zdarzenia opowiadali mu później o wielkiej procesji, rozciągającej się od Via Sacra aż do Eskwilinu.

Według doniesień Neron nie zamierzał pozostać w Ancjum długo. Planował wrócić do miasta pod koniec świąt, na przypadające wówczas igrzyska ku czci Juliusza Cezara i jego patronki, bogini Wenus. Punktem kulminacyjnym igrzysk miały być wyścigi rydwanów, a Neron nigdy żadnych nie opuścił.

Najpierw jednak zaplanował występ na scenie swego prywatnego teatru w Ancjum, gdzie pojawił się w luźnej tunice cytrysty, by wykonać pieśń przed licznie zgromadzonymi najwybitniejszymi obywatelami. *Acta* donosiły nawet, że było to *Zdobycie Ilionu* – melancholijna opowieść o tym, jak podczas wojny trojańskiej Grecy opanowali i zniszczyli miasto, podstępem wwożąc doń drewnianego konia.

Był to utwór skomplikowany i trudny technicznie, Neron mógł się więc wykazać pełnią swych talentów aktorskich i wokalnych. Nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, przynajmniej według tych, którzy sporządzali *Acta*, że największy artysta Rzymu wywiązał się z tego zadania znakomicie.

Teofila wyrwał ze snu sługa, którego z kolei zaalarmował goniec przybyły z Rzymu. Był środek nocy, a kiedy Teofil wyszedł na zewnątrz, nawet stąd, z portyku swego domu odległego od miasta o dwie mile, mógł dostrzec jasną lunę. Pożary były w Rzymie czymś powszednim, nigdy jednak Teofil nie widział równie ogromnego. Płomienie strzelały w niebo, jakby chciały dosięgnąć i dręczyć rzymskich bogów, iskry strzelały na wszystkie strony. Teofil natychmiast obudził Mansweta i domowych niewolników. Wszyscy chwycili za wiadra i łopaty i razem ruszyli do miasta, by sprawdzić, czy mogą jakoś pomóc.

Po drodze mijali tysiące spanikowanych mieszkańców, biegnących co tchu w przeciwnym kierunku. Większość była roztrzęsiona, od czasu do czasu tylko oglądali się przez ramię, by spojrzeć na rude płomienie tańczące wśród nocy. Inni histerycznie poszukiwali swoich bliskich. Niektórzy sunęli tępo przed siebie, jakby byli na pół martwi. Zapewne widzieli, jak płomienie strawiły cały ich dobytek.

Teofil odtwarzał sobie przebieg wypadków na podstawie usłyszanych relacji, pospiesznie opowiedzianych przez ludzi napotkanych na drodze. Pożar rozgorzał w pobliżu Circus Maximus, przygotowywanym już przez tysiące niewolników na *Ludi Victoriae Caesaris*. Płomienie, karmiąc się oliwą – tą kuchenną i tą z lamp – sianem, słomą i drewnem, zamieniły cyrk w wielkie, trzaskające morze ognia.

Požoga szybko się rozprzestrzeniała, pochłaniając setki sklepików i budynków mieszkalnych. Wiatr ciągnący przez wąskie uliczki jeszcze pogarszał sytuację. Gdzieś wybuchaly wielkie kadzie z oliwą i smołą. Iskry unosiły się na wietrze i padały na kolejne tego typu zbiorniki, w innych rejonach miasta.

Gdy Teofil, Manswet i słudzy dotarli do miasta, dym i zapach spalenizny otoczyły ich, zanim odczuli gorąco pożaru. Z początku pachniało oliwą, smołą i farbą. Kiedy jednak podeszli bliżej, poczuli odstręczający odór palonych ciał zwierzęcych i ludzkich. Gęsty dym oślepił ich i dławiał, lecz brnęli naprzód, poszukując grup *vigiles*, wyszkolonych strażaków, odpowiedzialnych za gaszenie pożaru.

Teofil spodziewał się, że walczący z pożogą będą jakoś zorganizowani, lecz w mieście królował chaos. Tu przez ulicę przebiegła kobieta z dzieckiem na ręku, szukająca z krzykiem pozostałych swych dzieci. Tam stali członkowie jakiejś rodziny, wtuleni w siebie nawzajem, a dookoła nich waliły się domy. Ludzie skakali z wyższych pięter na bruk, łamiąc sobie kości. Teofil zdążył zaciągnąć kilku w bezpieczne miejsce. Innych pochłonał rozszalały ogień.

Požar rozprzestrzeniał się, pożerając wielkie spichlerze na zboczach Awentynu, pastwą płomieni padł też targ na Celiusie. Teofil, niepokojąc się, że płomienie wkrótce ich otoczą, polecił swoim, by wycofali się na Forum. Tam *vigiles*, niewolnicy i pretorianie w pośpiechu wynosili ze świątyn cenne przedmioty. Mieli na-

dzieję, że tutaj, do wielkiego centrum cywilizacji, wzniesionego z kamienia i marmuru, do starożytnych świątyń rzymskich bogów pożar nie dotrze.

W ciągu następnych godzin ognista rozszalała bestia udowodniła im, że się mylili. Teofil stał obok Mansweta i oszołomiony patrzył, jak *Domus Transitoria*, nowe skrzydło pałacu Nerona, ginie w płomieniach. Kosztowne dzieła sztuki, cenne przedmioty z czterech stron imperium, szaty Nerona, liry i jego olbrzymie posągi – to wszystko ogień pochłonął w kilka chwil.

Niepowstrzymane płomienie przemieszczały się wzdłuż Via Sacra, otaczając Forum niby wielki lewiatan, sypiąc deszczem iskier i rozżarzonych węgielków. Teofil wycofał się wraz ze swą grupką.

Rozgrzane kamienie trawertynu były niczym lawa. Świątynię Westy, w której podtrzymywano święty ogień, serce Rzymu, pochłonęły płomienie. Westalki umknęły już ze swego domu, stojącego w pobliżu świątyni, wynosząc zeń tyle cennych przedmiotów, ile tylko zdołały. Ogień z hukiem powalił *Atrium Vestae*, wydawało się, że urządził tam sobie ucztę – głodny, wypatrujący na Forum swej kolejnej ofiary.

Obserwując pożogę z bezpiecznej odległości, Teofil słyszał, jak *vigiles* lamentują nad utraconymi pamiątkami rzymskiej historii. Zdążyli wynieść ze świątyń tylko te najcenniejsze. Wiele innych świętych przedmiotów obróciło się w popiół, spłonęły też niemal wszystkie ważne dokumenty miasta. Mówiono, że ocalało jedynie kilka najcenniejszych, jak testamenty Juliusza Cezara, Augusta i samego Nerona. Teofil przypuszczał, że jego pamiątniki, które zaprzętały mu myśli przez ponad dwa miesiące, ogień już dawno pochłonął. Na tę myśl robiło mu się niedobrze, nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać.

On i inni pracowali gorączkowo wraz z *vigiles*, uprzedzając płomienie. Rząd za rządem burzyli budynki, zrównywali je z ziemią, by zahamować pożar. Czasami znajdowali się tak blisko pożogi, że jej żar przypalał im włosy i brwi. Teofilowi wydawało się, że za chwilę twarze stopnieją im od gorąca. Nad nimi wznosiły się wielkie ściany ognia, zmuszając ich do wycofania się i wyznaczenia nowej linii obrony, gdyż wiatr roznosił iskry poza rozbiórkę, którą pospiesznie przeprowadzili.

Czasami rzeki ognia przepływały obok nich do innych rejonów miasta. Budynki za nimi zaczynały płonąć, kolejne jaśniały w świetle żaru. Ktoś wykrzyczał rozkaz i znów Teofil i jego towarzysze zbierali się do pospiesznego odwrotu. Lawirowali w labiryncie płomieni, wypatrując drogi – wyczerpani, oszołomieni, niemal ślepi od dymu. Krztusząc się i slaniając na nogach, wyszukiwali kolejną linię obrony i pomagali rozbierać kolejne budynki jedynie po to, by ogień znów ich wyprzedził.

W połowie nocy Teofil i jego grupka doszli do wniosku, że będą bardziej użyteczni, pomagając mieszkańcom uciec przed pożarem. Drogi pełne były starców, kalek i chorych, wołających o pomoc, rozpaczliwie próbujących uniknąć za-

deptania przez tłum. Małe dzieci, które zgubiły rodziców, biegały raz w jedną, raz w drugą stronę, spanikowane i szlochające. Teofil, Manswet i ich słudzy uratowali tyle z nich, ile mogli, odprowadzając je na bezpieczne wzgórze, oddalone od miasta o jakąś milę.

Gdy nastał świt, ich grupka również się tam udała, by odpocząć. Wielkie połacie miasta obróciły się w popiół. Ogień dalej rozprzestrzeniał się we wszystkich kierunkach, pożerając wszystko na swojej drodze. Wiatr zdawał się zmieniać kierunek, a strumienie płomieni rozgałęziały się we wszystkie strony. Tysiące strażaków nadal burzyło wielkie połacie miasta w rozpaczliwej próbie zażegnania pożaru.

Oceniając zniszczenia, Teofil i Manswet uświadomili sobie, że to właśnie dzielnica, w której mieszkało wielu wyznawców Drogi, znalazła się w szczególnym niebezpieczeństwie. Chociaż obaj byli wycieńczeni, zebrali służących i postanowili, że rozejdą się po tych rejonach miasta i powiadomią wiernych, że mogą na jakiś czas zatrzymać się w posiadłości Teofila, położonej w bezpiecznej odległości od pożogi.

Ogień szalał w Rzymie przez pięć dni i pięć nocy. Przez ten czas Teofil z synem pomagali walczyć z nieustępliwymi płomieniami, a w nocy wracali do domu, by zająć się tymi, którzy uszli z pożaru. Neron i jego świta powrócili z Ancjum. Cesarz nakazał udostępnić pogorzelncom publiczne budynki na Polu Marsowym. Ponieważ lwia część znajdujących się w Rzymie zapasów zboża i chleba pochłonął ogień, imperator zarządził, by natychmiast sprowadzono nowe dostawy z wielkich spichlerzy w Ostii.

Po pięciu dniach *vigiles* zdołali wreszcie powstrzymać pożar, dławiąc go u stóp Ekswilinu. Wielkie połacie miasta wciąż się tliły, tu i tam wybuchały jeszcze słupy ognia, niemniej główna pożoga była już opanowana. Ludzie wracali z pól otaczających Rzym, by poszukiwać swoich bliskich. Nad miastem unosił się odór śmierci, zmieszany z kłębiącym się dymem. Część zwłok prawie całkiem strawił ogień, inne gniły w słońcu. Rozpaczające matki z łkaniem szukały swoich dzieci.

Kiedy jednak wszyscy zaczęli już się skupiać na wielkiej odbudowie i pomocy pogorzelncom, pożar wybuchł na nowo. Rozgorzał w Emiliańskich posiadłościach Tygellina, przyjaciela i zausznika cesarza, oskarżyciela na procesie Pawła.

Tak jak wcześniej, ogień rozprzestrzeniał się z niepohamowaną szybkością, zmierzając w kierunku Kapitolu. Tym razem Teofil pozostał w swej posiadłości, zbyt zmęczony, by reagować. Dowiedział się od ludzi, którzy podjęli ryzykowną wyprawę do miasta, że świątynie ocalałe podczas pierwszej pożogi teraz poszły z dymem. Stopiło się jeszcze więcej przedmiotów sakralnych i złota. Nawet starożytna świątynia Jowisza, patrona Rzymu, padła pastwą płomieni, a jej dach legł w gru-

zach.

Gdy płomień drugiej fali pożaru wreszcie przygasł, cały Rzym wrzał. Z czternastu dzielnic miasta trzy spłonęły doszczętnie, a siedem było poważnie zniszczonych. Tylko cztery wyszły z pożaru bez szwanku.

Teofil i Flawia otworzyli swój dom dla pogorzalców, z których większość była wyznawcami Drogi. Wielu z nich straciło bliskich krewnych. Wielu widziało, jak płomienie pożerają wszystko, co posiadali. W nocy wierni spali we wszystkich pomieszczeniach domu. Teofil, budząc się rano, przestępował leżących na podłodze ludzi. Niektórych nie rozpoznawał – najwyraźniej byli to nowi pogorzalcy, którzy dotarli tu nocą w poszukiwaniu schronienia.

Ubrania wszystkich przesiąknięte były zapachem dymu, który mieszał się z odorem dziesiątków niemytych ludzkich ciał, stłoczonych w ciasnych pomieszczeniach. W ciągu dnia pogorzalcy wyprawiali się do miasta, by przeczesywać gruzy domów, w których niegdyś mieszkali, lub bezskutecznie poszukiwać swoich bliskich. Teofil i Manswet często towarzyszyli im w tych wyprawach. Wieczorem wszyscy gromadzili się znów w jego domu, a Flawia wraz ze sługami wydzielala im jedzenie i wynajdywała miejsca, w których mogliby przespać parę godzin.

Tłum rósł z dnia na dzień, tu bowiem mogli otrzymać świeżą wodę, trochę zboża i bezpieczne miejsce do spania. Teofil rozdał mężczyznom, którzy znaleźli schronienie w jego domu, wszystkie swoje ubrania, z wyjątkiem tuniki, którą miał na sobie. Flawia również oddała swą odzież kobietom, mówiąc, że choć tyle może dla nich zrobić.

Pierwsze dni po pożarze pełne były smutku i żałoby. Wierni modlili się za swoich bliskich, którzy nie przeżyli pożogi. Opowiadano sobie historie z życia tych, którzy zginęli zbyt młodo. Mężczyźni i kobiety, pogrążeni w smutku, udawali się na długie przechadzki, by opłakiwać bliskich w samotności.

Marek wpadał każdego dnia i opatrywał poparzonych. Wszystkich pogorzalców, jak również Teofila i Mansweta, męczył suchy kaszel, gdyż nawdychali się zbyt dużo dymu. Wszyscy byli głodni i pełni obaw co do przyszłości.

Jednak nawet pośród żałoby zdarzały się promyki nadziei. Dzieci bawiły się razem w ciągu dnia, ich piski i śmiech przypominały wszystkim, że życie toczy się dalej. Trzeciego dnia po pożarze pewna matka znalazła dwójkę swych dzieci wśród setek tysięcy pogorzalców przebywających na Polu Marsowym. Powiedziała, że czuje się, jakby wróciły z krainy umarłych. Dwa dni później pewna ciężarna kobieta powiła zdrowe niemowlę.

Teofil wsparł się mocno na Bogu. Wraz z innymi zaczynał każdy dzień modlitwą i nauką o wierze. Czytali rękopisy Łukasza, przedstawiające życie Jezusa i podróże Pawła. Czasami czytali fragmenty Pawłowych listów do kościołów w Rzymie, Efezie lub Filipi. Rozważali, co to znaczy być naśladowcą Jezusa, rozmawiali o nadziei, jaką Jego zmartwychwstanie daje tym, co pomarli – nadziei, której reszta Rzymu nie znała.

W tygodniach następujących po pożarze Teofil zauważył, jak bardzo różnią się pogorzelnicy mieszkający w jego domu od innych grup podobnych nieszczęślików, chroniących się w publicznych budynkach. Słyszał relacje o ciągłych kłótniach i gromadzeniu zapasów ze skąpych racji żywnościowych. Z drugiej strony, choć w domu Teofila też nie brakło sprzeczek, słowa Jezusa i działanie Ducha skłaniały wszystkich do bezinteresowności. Gdy jedzenia było zbyt mało, zawsze znaleźli się tacy, którzy deklarowali, że obejdą się bez posiłku.

W całym domostwie kwitły duch wspólnoty i nadzieja. Wierni rozmawiali o odbudowie miasta i o tym, że będzie lepsze i piękniejsze niż dotąd.

W samym mieście pożar dodał odwagi rzezimieszkom. Potężna, niewidzialna siatka złodziejska rozprzestrzeniała się niczym rój szarańczy, plądrując wszystko i kradnąc, co się da. Bandy młodocianych przestępców napadały na bezbronną ludzi, posuwając się nawet do morderstwa, byle zdobyć miskę jedzenia. Posiadłości niektórych senatorów, nietknięte przez pożar, zostały splądrowane przez szajki takich złodziei, świadomych, że rzymskie siły porządkowe są zajęte czym innym.

Neron usiłował mobilizować swych poddanych. Każdego dnia publikował w *Acta Diurna* szczegóły swych planów odbudowy miasta. Założył fundusz pomocy pogorzelncom i nałożył na wszystkie prowincje nowe kontrybucje. Więźniów z Rzymu i okolicznych miast zwerbował do usuwania gruzu. Zapowiedział nowe rozwiązania architektoniczne. W odbudowanym Rzymie siatka ulic miała układać się w prosty, geometryczny wzór. Ulice zostaną poszerzone, a prywatne budynki będą miały ograniczoną liczbę pięter. Właściciele domów czynszowych będą musieli zadbać o to, by każdy taki budynek miał dziedziniec oraz ganek z kolumnami, który w razie kolejnego pożaru posłuży walczącym z ogniem jako platforma. Niższe piętra domów mają być z kamienia lub innego niepalnego budulca. Do dziedzińca każdego z nowo wybudowanych domów czynszowych doprowadzi się wodę z miejskich akweduktów.

Wzniesiony z ruin Rzym będzie miastem lepszym i wytworniejszym niż dotąd. Dzielnice nędzy ustąpią miejsca architektonicznym cudom. Rzym odmieni się – powstanie z popiołów niczym feniks. Główną jego atrakcją stanie się pałac Nerona, *Domus Aurea*, ogromna, pozłacana budowla, zajmująca wielkie połacie miasta. Neron zaś na wieki obejmie tytuł ojca nowego Rzymu.

Być może, myślał Teofil, wielki pożar Rzymu otrzeźwił imperatora, który wreszcie skupi się na rządzeniu państwem. Wierni w jego domu starali się pamiętać o Neronie podczas codziennej modlitwy. Rzym znalazł się na rozdrożu. Może wielki pożar zmiękczy serce tego hedonisty.

A jeśli nie, to przynajmniej ożywił ducha wiernych, którzy po raz pierwszy zaczęli nazywać siebie chrześcijanami.

W domu od trzech tygodni roilo się od ludzi, z których co najmniej tuzin nocowało w sypialni gospodarzy. Teofil potrzebował wytchnienia. Jego prowizoryczny obóz dla pogorzalców działał lepiej niż większość pozostałych, lecz mimo to pozostawał obozem. Ludzie byli wszędzie, dzieci biegały bez nadzoru, wazy się tłukły, a meble łamały, nie wytrzymując nieustannego obciążenia.

Teofil musiał powtarzać sobie, że w porównaniu z innymi był w błogosławionym położeniu, bo przynajmniej wciąż miał dach nad głową. Mimo to odczuł ulgę, gdy z domu Seneki przybył posłaniec z zaproszeniem na spotkanie w wiejskiej posiadłości dawnego mentora. Posłaniec powiedział, że to pilne.

Zaraz po śniadaniu Teofil osiodłał jednego z trzech koni należących do rodziny i wyruszył w drogę. Posiadłość Seneki była oddalona od jego domu o dwie godziny jazdy wierzchem, a podróż dała Teofilowi wiele czasu na myślenie.

W mieście narastało napięcie. Teofil był tam dwa dni wcześniej i słyszał szmerzące się pogłoski. Mówiono o ludziach, którzy powstrzymywali innych od walki z pożarem. Gdy im się sprzeciwiano, twierdzili ponoć, że dostali rozkazy, by zapobiec tłumieniu ognia, choć nie ujawnili, kto je wydał. Inni obywatele utrzymywali, że widzieli na własne oczy, jak jacyś ludzie wbiegali do budynków z pochodniami i podkładali ogień.

Gniew mieszkańców skupił się głównie na imperatorze. Pomimo świadectwa tysięcy ludzi, którzy widzieli Nerona w Ancjum tej nocy, gdy wybuchł pożar, w mieście krążyły pogłoski, że cesarz patrzył na płonący Rzym z dachu swego pałacu i grał na lirze. Na murach ocalałych dzielnic miasta pojawiały się napisy piętnujące Nerona – oskarżenia o podpalenie i nie tylko. Wielu obywateli wierzyło, że cesarz kazał zniszczyć miasto, by zrobić miejsce dla swego kosztownego nowego pałacu.

Kiedy dochodzi do tragedii, ludzie potrzebują winnego. A kto nadaje się do tej roli lepiej niż władca?

Gdy Teofil dotarł wreszcie do posiadłości Seneki, uderzył go panujący w niej spokój. Miejsce było na tyle oddalone od miasta, że pogorzalcy tu nie dotarli. W powietrzu nie unosił się zapach dymu. Nie było porozwieszanych wszędzie ubrań, suszących się w słońcu. Nie brakowało jedzenia, przestrzeni ani świeżej wody.

Seneka ciepło powitał gościa i obaj usiedli w gabinecie gospodarza. Teofil zauważył z niepokojem, że od czasu ich ostatniego spotkania Seneka mocno podupadł na zdrowiu. Plecy zaokrągliły mu się jeszcze bardziej, głowa wystawała spośród przygarbionych ramion niby u sępa. Zmarszczki miał znacznie głębsze, a pod oczami wielkie worki.

Gdy już wymienili uprzejmości, Seneka powiedział, że Neron wysłał do nie-

go gońca z zapytaniem, czy zechciałby powrócić na cesarski dwór. Seneka grzecznie odmówił. Parę dni później Neron znów przysłał gońca. Tym razem Seneka odpowiedział, że słaby stan zdrowia nie pozwala mu na podróże.

– Od tamtej pory nie mam od niego żadnych wieści – wyznał.

Jednak to nie z tego powodu wezwał do siebie Teofila. Były pilniejsze sprawy. Seneka niepokoił się o bezpieczeństwo Teofila i jego rodziny.

– Jak donoszą moje źródła, Neron postanowił, że musi odsunąć od siebie podejrzenia o pożar – powiedział. – Chce je przerzucić na wyznawców Nazarejczyka. Niektórzy przywódcy tego ruchu najwyraźniej głosili, że Bóg karze miejsca takie jak Rzym wielką pożogą. Po ostatnich Saturnaliach i ówczesnych wybrykach Nerona mówili, że Rzym przypomina starożytne miasta, Sodomę i Gomorę, które strawił ogień z nieba.

Słuchając słów Seneki, Teofil poczuł w żołądku tępy ból. Może Neron planował ten pożar już od dawna. Może uwolnił Pawła, by z czasem wykorzystać ten fakt jako dowód swej bezstronności względem wyznawców Drogi. Może już wtedy planował zrzucić winę na chrześcijan.

– Słyszałeś o takich mowach? – spytał Seneka.

– Nic konkretnego.

– Tak czy owak wiem, że jesteś blisko przywódców tego nowego ruchu. Twoja obrona Pawła była godna podziwu, lecz twój klient to człowiek naprawdę lekkomyślny. Jeśli cesarz nie pogardzał wyznawcami Drogi przed tym procesem, z pewnością zmienił swój stosunek do nich w chwili, gdy Paweł go potępił.

– Co planuje cesarz? – spytał Teofil.

– Wiem, że Tygellin aresztował już trzydziestu wyznawców Drogi i rozciągał ich na stole. Wydobywają od nich imiona kolejnych, zamierzają aresztować wszystkich i oskarżyć o podpalenie. – Seneka rzucił Teofilowi znaczące spojrzenie. Osłabione i zapuchnięte oczy filozofa mówiły więcej, niż większość ludzi zdołałaby wyrazić tysiącem słów. Owo spojrzenie jasno dawało do zrozumienia, co wkrótce ma nastąpić.

– Na tej liście jest i twoje imię, Teofilu.

Teofil z trudem przełknął ślinę, bezskutecznie próbując zapanować nad strachem.

– Co z moją rodziną?

– Na liście są też Flawia i Manswet.

Przez całą drogę do domu Teofil myślał tylko o rodzinie. Neron i Tygellin nawet w najlepszych czasach byli bezwzględni. Teraz wykażą się wręcz sadyzmem. Teofil musiał chronić swoją żonę i jedyne go syna.

Stół, o którym wspominał Seneka, był prostokątny i drewniany. Na krót-

szych końcach miał przymocowane walce. To narzędzie tortur wymyślił Tygellin. Kładł więźnia na stole, a jego przeguby i kostki przywiązywał łańcuchami do dwóch walców. Podczas przesłuchania przy pomocy korby i zębarki stopniowo napinał łańcuchy. Jeśli więzień nie godził się na współpracę, kończyło się to dla niego wywichniętymi stawami. Ściągną i mięśnie naciągano mu do tego stopnia, że w końcu pękały z głośnym trzaskiem.

Teofil wątpił, czy zdołałby znieść taką torturę. Jedno wiedział na pewno – zrobiłby wszystko, by oszczędzić żonie i synowi takiego bólu.

Kiedy powrócił do swego pogrążonego w chaosie domu, wszystko, czym zamartwiał się zaledwie dzień wcześniej, zdało mu się błahostką. Zebrał wszystkich dorosłych. Razem ułożyli listę znanych i poważanych przywódców Drogi. Wydobyl list Pawła do wiernych w Rzymie i spisał listę imion wspomnianych przez apostoła.

Paweł wspominał o Pryscylli i Akwili jako o swoich współpracownikach w Jezusie Chrystusie. Z tego, co napisał, wynikało, że ta para już raz naraziła życie dla apostoła. Teofil wiedział, że trzeba ich ostrzec. To samo dotyczyło Epeneta, człowieka, którego Paweł nazwał pierwszym nawróconym z prowincji Azji, a który teraz mieszkał w Rzymie. Potem była mowa o Androniku i Junii, nawróconych Żydach, którzy przebywali w areszcie z Pawłem i którzy, jak pisał „wyróżniają się między apostołami”. Na liście znaleźli się też Ampliat, Urban i Apelles, którego wierność Chrystusowi poświadczyły przebyte próby. Paweł wspominał też o całym domu Arystobula i o wielu innych.

Wspólnota wierzących w Rzymie była bardzo zżyta, wiele z tych imion Teofil znał. Wraz z Flawią dodali też inne osoby, które znali osobiście, między innymi Prokulę, wdowę po Piłacie.

Teofil napisał list, a jego słudzy przez całą noc sporządzali kopie. Wczesnym rankiem następnego dnia Teofil i Flawia wysłali ochotników z poleceniem, by znaleźli wszystkich tych ludzi i zaprosili ich na ważne spotkanie. Teofil napisał w liście, że nie może ich na razie powiadomić o szczegółach, lecz zapewnia, że chodzi o sprawę życia i śmierci. Wierni modlili się gorąco, by adresaci odpowiedzieli.

Zaczęli nadciągać w południe. Priscylla zjawiała się jako pierwsza i powiedziała Teofilowi, że jej mąż, Akwila, został stratowany przez tłum podczas pierwszej nocy pożaru. Prokula przybyła godzinę później. Teofil powitał ją z ulgą, ciesząc się, że żyje.

Andronik i Junia dotarli po południu. Snuli opowieści o pierwszych dniach wspólnoty chrześcijan, którą nazywali *ecclesia*. Byli już sędziwi i posiwiali, wyglądali jak nestorzy tej wspólnoty, a ich obecność niosła spokój. Na własne oczy widzieli Jezusa po zmartwychwstaniu i słyszeli pierwsze świadectwo, jakie głosił rybak Piotr – a byli przy tym ludzie z całego cesarstwa. Opowiadali też, jak uczniowie Jezusa zaczęli mówić obcymi językami, a jednak każdy ze zgromadzonych słyszał słowa wypowiedziane w jego własnym języku. Teofil obserwował, jak Manswet przez całe popołudnie chłonie te opowieści i zadaje pytania.

Każdą nowo przybyłą grupkę przywódców Teofil brał na bok i informował o tym, czego się dowiedział od Seneki. Wszyscy byli zgodni, że muszą się spotkać wieczorem i zdecydować, co powinni zrobić.

Nie wszyscy zaproszeni się stawili. Niektórzy wysłali wyjaśnienia, że nie mogą zostawić swoich spraw i wyruszyć w podróż. Inni po prostu zniknęli.

Niektórzy goście przynieśli własne zapasy chleba i wina, które Flawia dołączyła do tego, co miała pod ręką, i rozdała zgromadzonym. Gdy nastąpiła pora obiadu, w posiadłości przebywało już ponad dwieście osób. Słudzy, na polecenie Flawii, robili, co mogli, by nakarmić wszystkich, rozdzielając ograniczone zasoby jedzenia, póki ich starczyło.

Po obiedzie przywódcy zgromadzili się w gabinecie Teofila, by omówić następne posunięcia. Byli zgodni, że trzeba poinformować wiernych o wszystkim, co wiedzieli.

Zanim zebrali się w gabinecie, Junia zaproponowała:

– Nasz Pan Jezus Chrystus uczył nas, byśmy gromadząc się, wspólnie łamali chleb i dzielili kielich wina na pamiątkę Jego ofiary. Myślę, że powinniśmy najpierw tak uczynić.

Zebrani przystali na jej propozycję.

Flawia i Teofil przygotowali w tym celu atrium, choć tłum wylewał się przez frontowe drzwi. Wszyscy usiedli ciasno jeden przy drugim, zaś Andronik, Junia i Priscylla poprowadzili ceremonię. Opowiadali o paschalnym posiłku, który Jezus spożywał wraz ze swymi uczniami w wieczór poprzedzający ukrzyżowanie.

Andronik uniósł chleb.

– Jezus połamał chleb i rozdał go swoim uczniom, mówiąc: „To jest Ciało moje, które za was będzie wydane: to czyńcie na moją pamiątkę”.

Przełamał chleb na pół i podał jedną część Teofilowi, a drugą Flawii. Przełamał też drugi bochenek i rozdzielił go między innych przywódców.

Teofil razem z Pryscyllą i Prokulą chodzili pomiędzy wiernymi i podawali im odłamane kawałki chleba. Była to bardzo prosta ceremonia, jednak na twarzach chrześcijan można było odczytać głębokie zamyślenie, jakby wspominali zbolełe ciało Jezusa.

Wielu przez dłuższą chwilę trzymało w dłoniach swój kawałeczek chleba, wpatrując się weń, jakby był czymś świętym. Niektórzy otwarcie płakali.

Gdy skończyli rozdzielać chleb, Andronik wziął kielich z winem.

– Pijąc wino po wieczerzy paschalnej, Jezus powiedział: „Ten kielich to Nowe Przymierze we Krwi mojej, która za was będzie wylana”.

Andronik wysączył łyk wina i skinął głową do Junii. Stała przed nim i napiła się z tego samego kielicha, a inni ustawili się w kolejce, by zrobić to samo.

Teofil stanął w niej również, wraz z Flawią i Manswetem. Gdy przyszła jego kolej, spojrzął w oczy Andronika, człowieka, który widział zmartwychwstałego Chrystusa.

Groźby Nerona były teraz odległe. Blisko Teofila byli jego wierzący współbracia, a jeszcze bliżej był Jezus.

Patrzył, jak Flawia, pijąc, przymyka oczy. Manswet był poważny jak nigdy.

Potrzeba było trzech czy czterech kielichów wina. Kiedy skończyli, Andronik odmówił modlitwę. Zaraz potem oddał głos Teofilowi, by ten dał zebrany obraz nowego niebezpieczeństwa, zgotowanego im przez imperatora.

Teofil, nie wspominając imienia Seneki, wyjaśnił, że aresztowano już część wyznawców Drogi i torturowano ich, by świadczyli fałszywie przeciw pozostałym wiernym. Powiedział zebrany, że jeśli zostaną oskarżeni, będzie im służył pomocą jako adwokat.

Gdy skończył mówić, w całym pomieszczeniu na chwilę zapadła cisza. W końcu powstali ci, którzy wyznawcami Jezusa byli najdłużej, i zaczęli dzielić się swymi doświadczeniami. Historie były rozmaite, lecz wszystkie łączyło jedno: Chrystus cierpiał. Jego uczniowie również cierpieli. Teraz przyszła ich kolej, by trwać mocno w wierze. Kilku opowiedziało o tym, jak wtrącono ich do więzienia jedynie z powodu wiary w Chrystusa.

– Nie powinniśmy się bać imperatora, który może zabić tylko ciało – powiedziała Prokula. – Powinniśmy jedynie bać się Tego, który ma władzę zarówno nad naszym ciałem, jak i nad duszą.

Teofilowi te opowieści dodały sił. Spodziewał się, że będą rozmawiać o tym, jak mają ochronić siebie i swoje rodziny. Tymczasem ci, którzy zabrali głos, jeden po drugim mówili o Bożej woli i wyrażali swoją wiarę w to, że Bóg ich ocali, jeśli takie będzie Jego postanowienie. A jeśli nie – oni byli gotowi cierpieć za wiarę.

Czyjeś słowa przywiodły mu na myśl, co Paweł napisał w liście. Był to list

okazany na procesie jako dowód i Teofil go zatrzymał. Cicho polecił Manswetowi, by odnalazł zwój w jego gabinecie. Manswet wrócił po chwili.

Do Teofila jako gospodarza należało ostatnie słowo podczas tego wieczoru. Opowiedział zebrany o roli, jaką odegrał w procesie i ukrzyżowaniu Jezusa. Dwa razy głos wiążł mu w gardle i Teofil potrzebował chwili, by odzyskać panowanie nad sobą i mówić dalej. Prokula potakiwała. Wszyscy słuchali z uwagą, gdy Teofil opisywał cierpienie i mękę Jezusa.

Na koniec wziął zwój, kopię listu Pawła do wiernych w Rzymie, i przeczytał swoje ulubione fragmenty.

Sądzę bowiem, że cierpienie terażniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić. Bo stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych.

Cóż więc na to powiemy? Jeżeli Bóg z nami, któż przeciwko nam? On, który nawet własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wszystkich wydał, jakże miałby także wraz z Nim i wszystkiego nam nie darować? Któż może wystąpić z oskarżeniem przeciw tym, których Bóg wybrał? Czyż Bóg, który usprawiedliwia? Któż może wydać wyrok potępienia?

Któż nas może odłączyć od miłości Chrystusowej? Utrapienie, ucisk czy prześladowanie, głód czy nagość, niebezpieczeństwo czy miecz? We wszystkim tym odnosimy pełne zwycięstwo dzięki Temu, który nas umiłował. I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy terażniejsze, ani przyszłe, ani Moce, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym.

Gdy Teofil skończył, prawie wszyscy zebrani mieli łzy w oczach. Zwinął list i oddał go Manswetowi. Wierni odśpiewali hymn. Było już późno, więc zaproszeni zostali na noc.

Wyruszyli o trzeciej nad ranem. Manswet otwarcie okazywał ojcu swoje niezadowolenie. Postrzegał to jako ucieczkę przed niebezpieczeństwem.

– Wczoraj wieczorem czytałeś słowa Pawła o miłości Boga i Jego opiece, a teraz wysyłasz mnie do Grecji? – pytał.

Teofil jednak nie zamierzał na ten temat dyskutować. Oboje z Flawią byli tego samego zdania. Powołaniem jednych jest pozostać w Rzymie i stawić czoła gniewowi Nerona. Powołaniem innych – nieść wiarę reszcie imperium.

Pożegnanie przebiegło spokojnie, choć nie brakło łez, gdy Manswet żegnał się z matką. Tych dwoje zawsze łączyła serdeczna więź, której Teofil niekiedy im zazdrościł. On był nauczycielem chłopca, miał go dyscyplinować. Jego zadaniem było wychować Mansweta na mężczyznę. Flawia zawsze była o wiele bliżej syna. Łączyła ją z Manswetem przyjemna i pełna humoru relacja – w ostatnich paru latach byli dla siebie nie tylko matką i synem, ale i przyjaciółmi.

Manswet trzymał matkę w uścisku przez dłuższą chwilę, a ona płakała cicho, wtulona w jego ramię. Zmierzył jej włosy, pocałował ją w czoło i powiedział, jak bardzo ją kocha. Zacisnęła wargi i skinęła głową, gdyż brakło jej słów.

Żaden z nich nie oglądał się za siebie, gdy już wyruszyli konno. Teofil wiedział, że w życiu Mansweta była to jak dotąd najtrudniejsza chwila.

Godzinę później zaczął opowiadać synowi o czasach, gdy sam jako chłopiec przebywał w Grecji. Szkoła Molona nauczyła go wierzyć we własne możliwości i dała mu cel w życiu. Opowiedział synowi o wyczerpujących ćwiczeniach fizycznych i o szkoleniu głosu nad Morzem Egejskim.

– Były to najwspanialsze dni mego życia, przynajmniej dopóki nie ożeniłem się z twoją matką.

Przez większość drogi Manswet niewiele się odzywał. Milczenie było wyrazem protestu przeciwko decyzji o wyprawieniu go do Grecji. Dopiero pod koniec podróży przyznał, jak bardzo niepokoił go myśl, że będzie musiał radzić sobie sam. Nigdy nie był poza Rzymem. Co więcej, nie wiedział, co pocnie, gdyby coś się stało ojcu i matce.

Teofil uniósł brodę, ton miał pełen otuchy. Powiedział, że jest dumny z tego, jakim jego syn stał się człowiekiem. Manswet jako pierwszy przyjął wiarę, którą teraz wyznawała cała rodzina. Bóg obdarzył go zdolnościami przywódczymi, inteligencją i pasją. Manswet powinien też ćwiczyć się w retoryce, a żadne miejsce nie nadawało się do tego lepiej niż szkoła Molona.

Do portu w Ostii dotarli na godzinę przed świtem. Teofil wręczył synowi sporą sumę. Były to ich rodzinne oszczędności, pieniądze, które skrupulatnie odkładali z adwokackich, a potem nauczycielskich dochodów Teofila.

Mansweta taka kwota najwyraźniej przeraziła.

– A co będzie z tobą i matką? – spytał.

– Jeszcze nam zostało – odrzekł Teofil beztrąsko. Ile zostało, tego syn nie musiał wiedzieć. Życie w Grecji nie było tanie, podobnie jak nauki w szkole Molona. Manswet będzie potrzebował prawie wszystkiego, co zaoszczędzili.

Czekali na brzegu, patrząc, jak robotnicy załadowują statek. Teofil uznał, że przyszła pora na pewną historię. Usłyszał ją kilka tygodni wcześniej, gdy wierni pochodzenia żydowskiego dyskutowali o hebrajskich Pismach. Była to historia o słynnym hebrajskim proroku imieniem Eliasza i młodym Elizeuszu, który miał zostać jego następcą. Zanim Eliasz odszedł, wzięty do nieba, powiedział do Elizeusza:

– Żądaj, co mam ci uczynić, zanim wzięty będę od ciebie.

Elizeusz poprosił, by przeszły nań dwie części ducha Eliasza. Ten odpowiedział młodemu uczniowi, że gdy będzie patrzył, jak jego nauczyciel odchodzi do nieba, pozostaną z nim dwie części ducha Eliasza.

Teofil wyjaśnił, że Elizeusz rzeczywiście był obecny przy tym, jak Eliasz został porwany do nieba. Prorok upuścił płaszcz, a Elizeusz go podniósł. Potem uderzył tym płaszczem w wody Jordanu, a one się rozstały, podobnie jak niegdyś przed Eliaszem. A to był dopiero początek cudów, jakich dokonał Elizeusz, cudów, które daleko przewyższały dzieła Eliaszowe.

– Bóg mi sprzyjał, Manswecie – rzekł Teofil. – Pozwolił mi uczestniczyć w kilku największych procesach w historii cesarstwa rzymskiego. Wierzę jednak, że jeszcze większe rzeczy zachował dla ciebie.

Patrzył na syna, a serce przepelniała mu duma. Potem wyjął z sakwy płaszcz bez rękawów i wręczył go Manswetowi.

– Wieczorem na Rodos bywa zimno – powiedział.

Manswet wziął płaszcz, w jego oczach pojawiły się łzy. Teofil położył dłoń na ramieniu syna i pomodlił się, by Bóg dokonał w życiu Mansweta rzeczy daleko większych niż te, których dokonał w jego życiu.

Gdy skończył modlitwę, obaj usiedli na chwilę w ciszy, patrząc na migotliwe blaski, które słońce wschodzące za ich plecami rzuciło na morze rozciągające się przed nimi. Teofil pomyślał o swoim pospiesznym wyjeździe z Rzymu przed niemal czterdziestu laty i o przygodach, które czekały go w Grecji. Manswet weźmie tę szkołę szturmem.

Zanim jednak syn wsiądzie na statek, Teofil chciał mu podarować coś jeszcze. Wydobył ze swej sakwy najcenniejszą rzecz, jaką posiadał – kopie dwóch rękopisów, spisanych przez Łukasza – i włożył do sakwy Mansweta.

– Strzeż ich jak własnego życia – powiedział do syna. – A słowa tych ksiąg niech też strzegą twego życia.

Manswet spojrział na ojca, na twarzy malowało się zdecydowanie. Skinął

głową. Teofil wiedział, że nie mógł oddać rękopisów w lepsze ręce.

– Kocham cię, ojcze – powiedział Manswet.

– Ja też cię kocham, synu.

Objęli się, powstrzymując łzy. Teofil patrzył, jak jego syn wsiada na statek, z okropnym uczuciem, że już nigdy go nie ujrzy. Pamiętał, co Łukasz napisał o chrzcie Jezusa, jak ozwał się głos z nieba, gdy Jezus wyszedł z wody. „Tyś jest mój Syn umiłowany, w Tobie mam upodobanie”.

W tej chwili czuł to samo. Usiadł na kamieniu i obserwował ostatnie przygotowania do rejsu. Patrzył potem na odpływający statek, póki nie została z niego mała kropka na horyzoncie. Przywiązał konia Mansweta do własnego rumaka, wsiadł na znużone zwierzę i płacząc ruszył do domu.

Teofil nie spieszył się z powrotem. Zatrzymał się w gospodzie, by zjeść śniadanie i napić konie. Nie miał ochoty wracać do tego dusznego chaosu, w którym pogrążył się jego dom.

Gdy dotarł do łagodnych wzgórz w pobliżu swej posiadłości, było już wczesne popołudnie i słońce mocno przypiekało. Koń wzbijał kopytami kurz, a Teofilowi zaschło w gardle. Łany zbóż na okolicznych polach zbrązowiały już w spiekocie późnego lata. Teofil wspiął się na wzgórze i spojrzał na swoje domostwo, odległe o jakieś pół mili.

Serce podeszło mu do gardła. W dali ujrzał wznoszący się ku niebu dym.

Przynaglił konia i mrużąc oczy, próbował dostrzec coś więcej. Czy pod jego nieobecność w domu wybuchł pożar? Pędem minął zakręt i wjechał na kolejne rozległe wzgórze, przerażony tym, co przed sobą zobaczył. Biały i czarny dym wznosił się kłębami znad następnego wzgórza – jego dom i pola prawdopodobnie trawił pożar. Odwiązał konia Mansweta, a swojego zmusił do galopu. Minął posągi przy głównej bramie i jechał dalej długą ścieżką, obrośniętą winoroślą, przez sad w stronę zabudowań.

Ogień pochłonął wszystko.

Teofil zsiadł z konia paręset stóp od domu i szedł przez tłące się jeszcze pola, nadal usiane dymiącymi skupiskami ognia. Sandały nadpaliły mu się od żaru.

Pobiegł do portyku i z otwartymi ustami spoglądał na leżący przed nim gruz. Całe drewno w domu obróciło się w popioły i sadzę. Kamienne posągi leżały porozbijane. Niektóre ściany jeszcze stały, ogień tylko osmalił ich mocne kamienie. Cały dach się zawalił, a spora część budynku była już tylko tłącą się stertą zwęglonych ruin.

– Flawia!

Żadnej odpowiedzi.

– Flawia!

Obszedł ruiny domu z zewnątrz, starając się nie poparzyć stóp. Wykrzykiwał imię żony i imiona tych, którzy mieszkali w jego domu. Znalazł długi kij i próbował poruszyć nim gruzy w poszukiwaniu zwęglonych ciał.

– Flawia!

Poszukiwał jej gorączkowo, rozgrzebując kijem rumowisko. Nie znalazł nikogo.

Wszystko, co posiadał, poszło z dymem. Książki. Ubrania. Meble i sprzęty domowe. Wszystko utracił.

Wrócił w pobliże bramy i odnalazł konia. Ogarnięty paniką, pojechał do sąsiedniego domostwa i tam poznał straszną prawdę. Pretorianie przybyli o świcie.

Aresztowali wszystkich, a nim odjechali, podpalili dom. Ludziom mieszkającym w pobliżu kazali trzymać się z daleka.

Sąsiad, z którym Teofil przyjaźnił się od kilku lat, swego czasu doszedł do rangi trybuna w rzymskich legionach, brał udział w znanych kampaniach wojennych w Germanii i Brytanii. Ofiarował Teofilowi miecz oraz pancerz, pas i nową parę sandałów, te bowiem, które Teofil miał na stopach, były już kompletnie zniszczone. Nalegał, by ten wziął też jego konia i zjadł coś przed odjazdem.

Teofil odmówił posiłku, wypił kielich wina, wsiadł na konia i ruszył w stronę Rzymu. Nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy tam dotrze.

Czekali na niego.

Gdy tylko zbliżył się do miasta, przynaglając konia do jak najszybszego biegu, wpadł na czterech pretorianów. Ściągnął wodze rumaka i przystanął.

- Dość długo ci zeszło – powiedział dowódca.
- Gdzie moja żona?
- Została oskarżona o podpalenie.

Teofil przez całą noc nie zmrużył oka. Był wykończony i nie potrafił myśleć spokojnie. Oceniał swoje szanse. Stali przed nim wyszkoleni żołnierze. Czterech na jednego. On jednak był rozwścieczony i gotów na śmierć, jeśli to pozwoliłoby ocalić Flawię.

- Na co ci ten miecz, staruszkule? – zakpił jeden z gwardzistów.
- Ktoś spalił mi dom i porwał żonę. Przybyłem ją uwolnić.

Teofil zbyt późno usłyszał za sobą tętent kopyt. Odwrócił się i ujrzał kolejne pół tuzina gwardzistów, nadjeżdżających drogą. Zatrzymali się i odcięli mu drogę ucieczki.

– Rzuć miecz na ziemię – rozkazał stojący przed nim dowódca. – Wiem, że cieszysz się opinią jednego z najlepszych adwokatów w Rzymie. Martwy nie pomożesz żonie.

- Zabierzecie mnie do niej?
- Rzuć miecz!

Wszyscy gwardziści wyjęli broń. Jeden ze stojących za Teofilem napiął łuk. Dowódca miał rację – Teofil nie pomoże żonie, jeśli teraz da się zabić.

Rozwścieczony, wyciągnął miecz przed siebie i rzucił na ziemię, ostrzem w dół.

- Zejdź z konia – nakazał dowódca.

Teofil posłuchał rozkazu i powoli zsiadł z rumaka, nie spuszczając oka z żołnierzy. Gdy dotknął stopami ziemi, gwardziści również szybko zsiadli i otoczyli go. Skuli mu ręce w przegubach, by zaprowadzić go do więzienia.

- O co jestem oskarżony? – spytał Teofil.

– O podpalenie. O podłożenie ognia w Rzymie.

Chmura gniewu zaciemniła mu myśli, gdy żołnierze powlekli go drogą. Wydawali się czerpać wielką uciechę z tego, że tak go prowadzą przez miasto.

Teofil trzymał głowę wysoko, zamierzał prezentować się jak człowiek niewinny, bo takie przecież były fakty. Niektóre części miasta wciąż były stertą popiołów, inne już oczyszczono i przygotowano pod odbudowę. Tysiące niewolników pracowało, w powietrzu unosiły się popiół i kurz. Wszyscy pokryci byli grubą warstwą czarnej sadzy.

Strażnicy prowadzili Teofila przez ruiny Forum i obok wypalonego szkieletu świątyni Westy. U stóp Palatynu wtrącili go do lochu wraz z trzydziestoma innymi więźniami.

Byli tam już Andronik i Junia, spokojni i opanowani. Nie pierwszy raz znaleźli się w więzieniu. W celi przebywali również Epenet i Pryscylla.

Teofil spytał, czy ktoś może wie, co się stało z Flawią. Opowiedziano mu o tym, jak o świcie przed jego domem zjawili się żołnierze – było ich około pięciuset – i aresztowali wszystkich, których tam znaleźli. Dwóch mężczyzn stawiało opór. Zginęli na miejscu. Ich ciała żołnierze zawlekli do domu, a potem podłożyli ogień.

Flawia walczyła z napastnikami i została obezwładniona. Nikt z więźniów nie wiedział, gdzie ją trzymają. Żołnierze nie przedstawili im żadnych zarzutów ani nie podali terminu rozprawy.

Cela nie miała okien, a jedynym źródłem światła była pochodnia, migocząca na jednej ze ścian. Podłoga i ściany były z kamienia. W pomieszczeniu panowały wilgoć i smród.

– Jak myślisz, co z nami będzie? – zwróciła się Pryscylla do Teofila.

– Wytoczą nam proces. Pewnie sprowadzą świadków, którzy zeznają, że podłożyliśmy ogień.

Inni zadawali mnóstwo pytań o procesy i o to, jak mogą przebiegać, a Teofil wyjaśniał im procedury najlepiej jak umiał. Szybko jednak zrozumieli, że im więcej o tym rozmawiają, tym większy niepokój ich ogarnia. W końcu Junia zmieniła bieg rozmowy.

– Myślę, że powinniśmy się pomodlić – powiedziała. – Bóg zajmie się procesami.

Przez następne dwie godziny wierni modlili się tak jak nigdy przedtem.

W nocy pochodnia zamigotała i zgasła, a Teofila i resztę więźniów otoczyła całkowita ciemność. Wczesnym rankiem następnego dnia do celi wkroczyli dwaj żołnierze, a przez drzwi wlał się potok światła. Teofil zamrugał, próbując przyzwyczaić oczy do jasności. Żołnierze wskazali na młodą kobietę imieniem Julia, której podczas aresztowania odebrano dwoje dzieci.

– Pójdiesz z nami.

Szarpnięciem postawili ją na nogi. Wstał również Andronik. Zaczął się głośno modlić za Julię.

– Milcz, starcze – uciszył go jeden z żołnierzy. Pchnął Andronika w pierś, przypierając go do ściany. Teofil wstał, a wraz z nim kilku mężczyzn. Strażnicy jednak powstrzymali ich twardymi spojrzeniami. Julia szlochała, gdy ją wyprowadzali.

Po jej wyjściu więźniowie odśpiewali hymn i pomodlili się. Kilka godzin później strażnicy przyprowadzili Julię z powrotem i rzucili ją na podłogę. Na jej twarzy malowały się wstrząs i zgroza po tym, co przeszła; oczy miała puste i odległe.

Żołnierze rozejrzeli się po celi. Andronik wstał powoli.

– Weźcie mnie jako następnego – powiedział.

Junia wstała wraz z nim, a potem to samo uczynił młody, muskularny mężczyzna imieniem Urban.

– Nie, mnie weźcie pierwszego.

Potem wstali też Apelles i Pryscylla, a za nimi Teofil. Wszyscy prosili strażników, by mogli pójść jako następni.

Żołnierze przesunęli spojrzeniami po stojących więźniach i podnieśli z podłogi człowieka imieniem Flegan. Andonik zaczął znów głośno się modlić, tymczasem kilka kobiet usiadło przy Julii, by ją pocieszyć.

Flegan już nie wrócił.

Przez dwa długie dni strażnicy powtarzali ten proceder, wyprowadzali więźniów pojedynczo. Niektórzy, jak Julia, wytrzymali przesłuchanie i nie powiedzieli strażnikom tego, co ci chcieli od nich usłyszeć. Tych więźniów bezlitośnie torturowano i wrzucano z powrotem do celi, a ich wiara pozostawała niewzruszona. Inni nigdy nie wrócili. Teofil domyślał się, że przyznali się do podpalenia i zgodzili się świadczyć przeciwko pozostałym wiernym.

Więźniowie przestali śpiewać, gdy nie powrócił Flegan. Pełną nadziei wiarę w cud, która dotąd panowała w celi, zastąpiła wola przetrwania.

Nie dawano im jedzenia ani wody; Teofil czuł, że opuszczają go siły. Język mu napuchł, dręczyło go tak wielkie pragnienie, że z trudem mógł przełykać ślinę.

Jeden z więźniów znalazł w kącie celi małą kałużę. Teofil i pozostali po kolei spijali wodę z mokrych kamieni. Dla Teofila najgorsze było czekanie. Czekanie, czy ktoś powróci z tortur. Czekanie, kogo następnego wybiorą strażnicy. Jego niepokój pogłębiała jeszcze obawa o Flawię, o to, co się z nią mogło stać.

Walczyły w nim skrajne emocje, od gotowości do zemsty po rezygnację w obliczu bliskiego końca. I pewnie by oszalał, gdyby nie Andronik i Junia. Byli starzy i słabi, lecz mocniejsi duchem niż ktokolwiek z pozostałych. Widzieli zmar twychwałego Chrystusa. Przypominali reszcie, że Bóg może wybawić ich wszystkich jednym słowem. A jeżeli nie, ich zadaniem jest wytrwać i przynieść chwałę Jego imieniu.

Duch Andronika pozostał nieugięty, nawet gdy przyprowadzono go z powrotem po torturach.

– Powiedziałem im, że nie jest dla nich za późno na skruchę – wydyszał. Jęczał przez chwilę i w końcu omdlał z bólu.

Teofila wzięto jako ostatniego. Gdy drzwi się otworzyły, wiedział, że kolej na niego, wstał więc i podszedł do strażników. Kajdany, które miał na przegubach, przykuli łańcuchem do krzepkiego żołnierza i wyprowadzili Teofila z celi.

– Bądź mocny w Panu! – zawołał za nim Andronik.

Teofil szedł potykając się, oczy piekły go od światła. Był słaby i wymęczony i bał się, że nie przetrzyma próby. Przez ostatnie dwa dni za każdym razem, gdy zamykał oczy, widział w wyobraźni znienawidzone narzędzie tortur. Niemal czuł, jak kości wychodzą mu ze stawów i jak rozrywają mu się mięśnie. Widział klęskę na twarzach tych, którzy wrócili. Niektórzy nie mogli już chodzić ani nawet stać.

Żołnierze wlekli go za sobą, a on modlił się o siłę.

Dołączyło do nich jeszcze pół tuzina strażników i wyprowadzili go na zewnątrz. Mrużył oczy w jasnym świetle słońca. Poprowadzili go przez Palatyn i Via Sacra w stronę Forum. Ludzie rozstępowali się przed nimi i patrzyli na ten żalony widok. Teofil nie mógł sobie nawet wyobrazić, jak smętnie i nędznie musiał wyglądać.

Próbował patrzeć przed siebie, lecz nawet to było trudne. Wciąż zdumiewało go, jakim koszmarnym miejscem stał się Rzym. Tak wiele jego pięknych publicznych świątyń obróciło się w popioły. Niektóre wyburzano teraz do końca, obok fundamentów leżały wielkie stosy ogromnych, nowych kamieni, przygotowanych do odbudowy.

Żołnierze bez słowa przeprowadzili go przez Forum ku Schodom Gemońskim, rozpoczynającym się u stóp Kapitolu. To tutaj duszono władców wrogich krain, a potem porzucano ich zwłoki na schodach, psom na pożarcie. To tutaj przeprowadzono egzekucję Sejana po jego procesie w senacie. Śmierć na tych schodach uważano za największą zniewagę ze wszystkich, jakie znał Rzym.

Teofil wiedział, że prawdopodobnie zbliża się jego koniec. Nie spodziewał

się, że będą torturować rzymskiego obywatela publicznie, ale wyglądało na to, że za rządów Nerona tradycyjne obyczaje nic już nie znaczą. Zamierzali wykonać na nim wyrok bez procesu?

Czekał przez dłuższą chwilę w piekącym słońcu, zanim usłyszał za sobą jakiś głos.

– Mój stary przyjaciel Teofil – powiedział ktoś drwiąco. Teofil rozpoznał Tygellina, jeszcze zanim się odwrócił.

Prefekt gwardii pretoriańskiej stał na szczycie schodów, parę kroków od Teofila, na ustach igrał mu zimny uśmiech. Biła od niego woń zwietrzałych pachnidła, oczy miał nabiegłe krwią. Teofil widział, że Tygellin cieszy się, widząc swego niedysiejszego przeciwnika w tak opłakanym stanie.

– Usiądź – polecił.

– Postoję.

– Niech i tak będzie – zakpił Tygellin. Zszedł po schodach i stanął obok Teofila. Otoczył ramieniem jego plecy.

– Widzisz to, Teofilu? – spytał, wskazując na Forum. – Trwa odbudowa Rzymu, powstanie miasto, jakiego jeszcze nie było. *Domus Aurea* Nerona będzie się rozciągał aż do Palatynu i Ekswilinu. Postawimy złoty posąg imperatora, wysokości na sto dwadzieścia stóp. Zrobimy wspaniałe jezioro, na którym będzie można odgrywać bitwy morskie i urządzać kolejne Saturnalia.

Ścisnął Teofila za ramię. Teofil miał ochotę splunąć mu w twarz.

– Mogłeś zostać najbogatszym rzymskim adwokatem – ciągnął Tygellin. – Mogłeś pomagać w rządzeniu tym wszystkim. A ty odrzuciłeś to dla jakiegoś Chrystusa. Raczej lekkomyślne posunięcie, jak na tak inteligentnego człowieka.

Tygellin zabrał rękę z ramienia Teofila i zniżył głos.

– Twoja żona przesyła pozdrowienia.

Teofil odwrócił się i spojrzał na swego dręczyciela, ale się nie odezwał.

– Jeśli się przyznasz, oszczędzę jej tortur. Co więcej, jeśli przyznasz się, że ty i inni przywódcy tego nowego zabobonu wznieciliście pożar, puszczyć Flawię wolno. Może choćby i dziś opuścić więzienie i nigdy już o nim nie usłyszeć. Ocaliłeś ją już raz, Teofilu. Ocal ją znowu.

Teofil, wyczerpany, przez chwilę podążył myślą za tą propozycją. Kochał Flawię bardziej niż życie. Wiedział jednak, że temu człowiekowi nie należy ufać. Teofil powiedziałby Tygellinowi wszystko, gdyby naprawdę wierzył, że to pomoże uwolnić Flawię. Ale taka nadzieja jest złudna. Powtarzał to sobie w myślach, gdy Tygellin nęcił go obietnicami.

– Z tobą też rozprawię się szybko i bezboleśnie. Ścięcie to śmierć godna Rzymianina. O wiele mniej bolesna niż ukrzyżowanie.

– Nie możesz krzyżować obywateli rzymskich.

– Interesujące, ale nie do końca prawdziwe – odrzekł Tygellin, jakby rozwa-

żał w sądzie jakąś teoretyczną kwestię. – Prawo mówi, że Rzymianin nie może umrzeć przez ukrzyżowanie. Wielki cesarz zinterpretował to tak, że Rzymian można krzyżować, pod warunkiem jednak, że umrą w inny sposób.

Mówiąc to spojrział na Teofila, najwidoczniej próbując się w nim dopatrzeć oznak słabości lub strachu.

Teofil patrzył wprost przed siebie. Płonął gniewem.

– Czy potężny cesarz uważa też, że może się obejść bez procesów?

– Wręcz przeciwnie, potężny cesarz uważa, że procesy powinny rozpocząć się natychmiast.

To był pierwszy błady promyk nadziei, pierwsza dobra wieść, jaką Teofil usłyszał od wielu dni. Może pozwoli mu bronić siebie i innych na publicznej rozprawie.

– Jutro o tej samej porze – rzekł Tygellin. – Jeśli do tego czasu się nie przyznasz, nie rozpoznasz swojej żony, gdy znów ją zobaczysz.

Pozwolił, by ta groźba na chwilę zawisała w powietrzu, a potem zszedł po schodach. Strażnicy rozstąpili się, by go przepuścić.

– Tygellinie!

Prefekt zatrzymał się, nim dotarł do podnóża schodów.

– Chcę bronić mojej żony – oznajmił Teofil. – Nie stawiajcie jej przed sądem beze mnie.

Te słowa wzbudziły tylko niewesoły śmiech.

– Chyba masz mnie za głupca – powiedział Tygellin i odszedł.

Gdy Teofil wrócił do celi, poczuł wstyd, że nie poddano go torturom jak innych.

– Powinniśmy dziękować Bogu, że cię ochronił – powiedziała Pryscylla.

– Może wiedzą, że cały Rzym przybędzie, by oglądać proces twój i Flawii – zauważył Andronik. – Wolą nie torturować żadnego z was przed dniem waszej rozprawy.

Teofil uchwycił się tej nadziei, gdyż oznaczała ona, że oszczędzą Flawię, choćby na jakiś czas.

Nocą czuł jednak, jak siły go opuszczają. Nie był nawet pewien, czy zdoła powiedzieć coś składnie, gdy nadejdzie pora rozprawy. Modlił się, by jego wiara pozostała mocna, niezależnie od tego, co się stanie z jego ciałem.

Tej nocy w celi słychać było jęki i wysilone oddechy cierpiących ludzi. Wypełniało ją też jednak niewytłumaczalne poczucie triumfu. Wszyscy, którzy tu zostali, okazali się niezłomni. Wszyscy prócz Teofila przetrwali bolesne tortury.

Następnego ranka, gdy więźniowie obudzili się z niespokojnego snu, zaczęli modlić się o siłę i odwagę potrzebne, by stawić czoła nowemu dniowi.

Procesy rozpoczęły się trzeciego dnia od ich uwięzienia. Teofil błagał strażników, by pozwolili mu reprezentować współwięźniów.

Jego prośby trafiały w próżnię. Strażnicy otrzymali jasne rozkazy. Człowiek oskarżony o podpalenie nie miał prawa do adwokata.

Rozprawy przebiegały z typowo rzymską sprawnością. Relacje tych, którzy opuścili celę i powrócili jako skazani za podpalenie, pokazywały jasno, że nikt nie mógł liczyć na uniewinnienie. W bazylice julijskiej prowadzono jednocześnie po kilkadziesiąt procesów. Podczas każdego liczni świadkowie zeznawali, że z pierwszej ręki dowiedzieli się o spisku, który uknuli wyznawcy Drogi, w tym Teofil i jego towarzysze z celi – spisku mającym na celu spalenie miasta. Wśród zeznających byli również niedawni więźniowie, którzy na torturach przyznali się do winy.

Każdego, kto po procesie wracał do celi, Teofil pytał o Flawię. Nikt jej nie widział. Teofil modlił się, by jego żona była bezpieczna. Nie potrafił ani nie chciał przestać o niej myśleć. Wspominał pierwsze miesiące ich małżeństwa. Swoją radość na wieść, że Flawia jest w ciąży. Małego Mansweta, niewinnego i swawolnego. Mansweta jako nastolatka, który zaczyna poważnie podchodzić do nauki. Teofil znów zatęsknił za tymi dniami. Czy naśladowanie Jezusa musi być tak trudne?

Relacja Julii przeraziła ich bardziej niż inne. Tuż przed rozpoczęciem jej rozprawy oskarżyciel podszedł do niej i zaproponował jej układ. Jeśli zaświadczy przeciw współwięźniom, władze uwolnią jej dzieci. Jeśli nie, będzie patrzeć, jak jej sześcioletni syn i czteroletnia córka zostaną rzućeni na pożarcie dzikim bestiom na prywatnych igrzyskach w ogrodach Nerona. Odrzuciła zaproponowany układ, mocno uchwyciwszy się przekonania, że Jezus w jakiś sposób ocali jej dzieci.

Kiedy wróciła do celi, nie potrafili jej pocieszyć.

– Co ja zrobiłam? – szlochała. – A jeśli skazałam je na śmierć?

W miarę upływu czasu nad celą zawisła chmura rozpacz. Procesy były farszą. Nie oszczędzono nikogo.

Tego dnia Teofil nie został wezwany na rozprawę, co go nie zaskoczyło. Zostawia go sobie na koniec, by zebrać jak najwięcej świadków, nim pozwolą mu wejść na salę sądową.

Gdy nadszedł wieczór, więźniom po raz pierwszy od trzech dni dano coś do zjedzenia. Strażnicy wsunęli przez drzwi chleb i wodę, a więźniowie sprawiedliwie rozdzielili je między siebie. Było tego tak niewiele, że wystarczyło zaledwie na mały kęs i parę łyków wody dla każdego. Teofil zastanawiał się, jak długo zdołają przetrwać w tych warunkach.

Tej nocy spał niespokojnym snem. Był głodny. Niektórzy więźniowie płakali. Inni modlili się cicho. Urban, którego osądzono tego dnia, chrapał podczas snu.

Nad ranem Teofilowi coś się przyśniło. Postacie były przejrzyste jak zjawy, spowite mgłą. Nie widział ich twarzy. Były to dzieci, niektóre trzymały rodziców za rękę, wszystkie szły w stronę wielkiego statku czekającego w porcie.

Był tam też Manswet. Machał do Teofila, wchodząc na pokład wraz z innymi.

Teofil wyciągnął rękę, lecz nie mógł dotknąć syna. Rodzice płakali, lecz dzieci zdawały się tego nie zauważać. Z uśmiechem, jedno po drugim, wchodziły na pokład.

Teofil usłyszał za sobą grzmiący tętent końskich kopyt. Odwrócił się i ujrzał kurz wzbijany przez tysiące rzymskich żołnierzy pędzących konno. Jego towarzysze z celi odwrócili się wraz z nim, by odważnie stawić czoła swoim katom. Stali ramie przy ramieniu ze spokojną godnością, a żołnierze byli coraz bliżej, nadciągali z obnażonymi mieczami, z błyskającą w oczach nienawiścią.

Zanim zaczęła się rzeź, Teofil rzucił jeszcze okiem za siebie, na statek. Opuszczał port, łapiąc wiatr w żagle. Dzieci, a wśród nich Manswet, opierały się o burtę, wpatrzone w rodziców.

– Są bezpieczne – powiedziała kobieta stojąca obok Teofila. Odwrócił się i spojrział w oczy Julii. – Teraz mogę umrzeć w pokoju.

Gdy się obudził, od razu zrozumiał, co znaczył ten sen. Bóg wskazał mu cel, który miał mu przyświecać na procesie. Wraz z nim poczuł nowy przyptyw sił. Ktoś musiał przemówić w imieniu dzieci. Sztuki oratorskiej uczyli go najlepsi mistrzowie na świecie. Teraz czekał go ostatni egzamin.

Plaucjusz Lateranus był postawnym mężczyzną o byczym karku, puciołowatych policzkach i oczach jak szparki. W przeszłości został posądzony o romans z Messaliną, trzecią żoną cesarza Klaudiusza, i skazany na wygnanie; kary śmierci uniknął ze względu na swego sławnego wuja, który zasłynął jako dowódca podczas podboju Brytanii. Po śmierci Klaudiusza Neron ułaskawił Lateranusa i przywrócił mu dawną rangę i pozycję.

Teofil w ogóle się nie zmartwił, kiedy zawleczony do bazyliki julijskiej dowiedział się, że to osławiony Lateranus będzie orzekał w jego sprawie. Lateranus cieszył się opinią nieugiętego sędziego, który myśli niezależnie. Ponadto nie był wielkim zwolennikiem Nerona, pomimo łaski, jaką obdarzył go cesarz.

Rolę oskarżyciela pełnił oczywiście sam Tygellin, prezentujący się wspaniale w swej ozdobionej barwnym pasem todze, z nienagannie ułożonymi włosami. Teofil zaś miał krótką i zaniedbaną brodę przetykaną siwizną i od dnia aresztowania nosił wciąż tę samą tunikę. Był w kajdanach. Nie dysponował żadnymi notatkami, żadnymi dowodami rzeczowymi, nie miał żadnych świadków. Ledwie mógł ustać na nogach, wiedział też, że będzie mówił chrypliwym głosem.

Tygellin przed rozpoczęciem procesu podszedł do Teofila i ponowił propozycję uwolnienia Flawii, jeśli tylko przyzna się do winy.

– Czy uznano ją już za winną? – spytał Teofil.

– Oczywiście. Przyznała się po paru godzinach przesłuchań.

Teofil nie pozwolił, by ten obraz zagnieździł się w jego umyśle. Wiedział, że nie może ufać żadnemu słowu, które wypowiadał ten człowiek. Postanowił mu nie wierzyć.

– Jestem niewinny – powiedział, choć jego słowom brakowało siły. – Zamierzam to udowodnić, jeśli zostanie mi dana taka szansa.

Tygellin wskazał za niego, na jakiś tuzin mężczyzn i kobiet stojących rzędem.

– Mam kilku świadków, którzy mogą zeznać co innego.

Chwilę po tym, jak Tygellin od niego odstąpił, Teofil poczuł, że ktoś klepie go w ramię. Odwrócił się i ujrzał stojącego przy nim Marka, z bukłakiem pełnym wody w ręce.

– Co ty tu robisz? – spytał Teofil. Szybko wypił łyk wody i zakaszłał, gdyż zbyt szybko ją przełknął.

– Jestem lekarzem – odparł Marek, jakby Teofil mógł o tym zapomnieć. – Strażnicy mnie przepuścili.

Teofil znów łyknął wody, lecz kątem oka dostrzegł zbliżającego się do nich Tygellina.

– Odejdź od więźnia – warknął oskarżyciel, przeszywając Marka płonącym wzrokiem.

– Jestem lekarzem – odrzekł Marek. – Ten człowiek jest chory.

– Straże! – krzyknął Tygellin.

Strażnicy wystąpili naprzód, a Marek uniósł ręce.

– Już odchodzę – powiedział.

Któryś strażnik chwycił go za ramię, lecz Marek strząsnął jego rękę.

– Byłem na procesie Flawii – powiedział szybko. – Wyglądała dobrze, choć uznano ją za winną. Rubria próbowała jej pomóc, ale trzymają ją w areszcie domowym.

– Dziękuję ci – powiedział Teofil do przyjaciela, odpychanego przez strażników. Marek zeszywniał, lecz gwardziści pchnęli go mocniej i zmusili do wycofania się w stronę zebranego tłumu.

– Lojalny aż do przesady – rzekł Tygellin, patrząc za nim. – Zapłaci za to, Teofilu. Tak jak i cała reszta.

Lateranus rozpoczął rozprawę i jako pierwszemu udzielił głosu Tygellinowi. Ten długo mówił przeciw chrześcijanom i przedstawiał Teofila jako jednego z

głównych spiskowców winnych wielkiego pożaru Rzymu.

– Czyż pożar nie zniszczył wielu świątyń rzymskich, świątyń ku czci tych bogów, którym chrześcijanie nie chcą oddawać czci? Ich przywódcy przyrównują Rzym do zdeprawowanych starożytnych miast Sodomy i Gomory, twierdząc, że ich Bóg ukarze takie miasta ogniem z nieba. Cóż, najwyraźniej wyznawcy Chrystusa uznali, że trzeba trochę Bogu pomóc.

Tygellin, podobnie jak podczas procesu Pawła, dumnie spacerował po sali.

– Słyszałem to na własne uszy, kiedy sądziliśmy tu Pawła z Tarsu. Twierdził on, że każdy mężczyzna i każda kobieta w imperium rzymskim, nie wyłączając samego wielkiego cesarza, pewnego dnia padnie na twarz przed Chrystusem i odda mu cześć. Neron wykazał się wielką łaskawością i opanowaniem i uwolnił Pawła, mimo że uznał go za winnego. Ale nowy zabobon szerzył się dalej. A jego zwolennicy pałali coraz większą nienawiścią do imperatora i tego miasta.

Tygellin zrobił kilka kroków, nim zaczął mówić dalej.

– Świadkowie opiszą sekretne spotkania tej sekty, w trakcie których wyznawcom Chrystusa polecano spożywać Jego ciało i pić Jego krew. Oni podburzają naszych niewolników do buntu i twierdzą, że najniższy z niewolników jest równy najszlachetniejszemu obywatelowi rzymskiemu. Co więcej, usłyszycie świadków, którzy zeznają, że Teofil i inni przywódcy uknuli spisek, by zniszczyć ogniem to miasto. Więzień ów już od dawna jest nieprzyjacielem rzymskich cesarzy, a dziś ma na swych rękach krew dziesięciu tysięcy Rzymian.

Teofil słuchał tego wszystkiego z wzrokiem utkwionym w Lateranusie. Pretor zdawał się być nieporuszony retoryką Tygellina. Być może Teofila łudził tylko zmęczony i oszołomiony umysł, a może Lateranus rzeczywiście oceni zeznania bezstronnie.

Gdy Tygellin skończył, pretor zapytał, czy Teofil chce coś na to odpowiedzieć. Teofil odmówił, stwierdzając, że poczeka, aż Tygellin przedstawi swoich świadków.

Przez następne trzy godziny Teofil ze znużeniem słuchał, jak Tygellin przepytuje świadków. Zeznawali dokładnie tak, jak przewidział. Dawni niewolnicy z chrześcijańskich domów świadczyli, że Teofil doradzał im, by powstali przeciwko swym panom. Wierni uwięzieni wcześniej razem z nim twierdzili, że słyszeli, jak Teofil i Andronik omawiali plotki, które obaj wymyślili i rozpowszechniali – plotki wymierzone w Nerona, przedstawiające go jako rzekomego podpalacza Rzymu.

Inni świadkowie, mężczyźni i kobiety, których Teofil nigdy wcześniej nie widział, twierdzili że byli przy tym, gdy planował wzniecić wielki pożar. Jeden ze świadków opowiadał z polotem, jak to Teofil zamierzał po podłożeniu ognia wejść na rostrę i wygłosić mowę przeciw Neronowi oraz popierać powrót republiki.

– Podobną mowę wygłosił po zabójstwie Kaliguli – zauważył świadek.

Jeden odważny mężczyzna nie zgodził się oskarżać Teofila. Najwidoczniej

przyznał się do winy na torturach, lecz kiedy Tygellin nakazał mu wystąpić na przód, rozmyślił się.

– Ten człowiek jest niewinny – powiedział, wskazując na Teofila. – I nie poprę waszych kłamstw, nawet jeśli znów mnie weźmiecie na tortury.

Był to jedyny jasny punkt w całym trzygodzinnym przesłuchaniu świadków. Tłum zaczynał się niepokoić. Za każdym razem, gdy Teofil odmawiał przepytывania świadków, rozlegały się niechętnie pomruki. Ludzie najwyraźniej spodziewali się odważnej obrony. Tymczasem Teofil stał tylko ze stoickim spokojem i nie zadał ani jednego pytania.

Lateranus od czasu do czasu spoglądał na niego oczyma pełnymi ciekawości. Teofil podejrzewał, że sędzia zastanawia się nad tym samym, co nurtowało go wiele lat temu podczas procesu Nazarejczyka.

Nic nie odpowiadasz? Zważ, o jakie rzeczy cię oskarżają.

Nadal jednak czekał na właściwy moment.

Wreszcie pod koniec wystąpienia Tygellina zirytowany Lateranus zwrócił się do Teofila.

– Czy oskarżony ma cokolwiek na swoją obronę?

– Tak.

– Mów zatem.

Widzowie jakby przysunęli się bliżej, nachylając się do przodu, by usłyszeć, co Teofil ma do powiedzenia.

– Jestem niewinny – zaczął. – Sądzicie dziś niewłaściwego człowieka.

– Wasza czcigodność, w mieście krążą plotki, kto podłożył ogień. Dziś powiem publicznie to, co inni szeptali po kątach. Będę dowodził w sądzie tego, co inni myślą po cichu. Zadam pytanie, które nurtuje wszystkich.

Teofil oblizwał wargi. W ustach mu zaschło i nieco chwiał się na nogach. Wzbierała w nim jednak siła, jakby czerpał energię i moc z otaczającego ich tłumy.

– Czy ogień podłożyli chrześcijanie, czy też stało się to z rozkazu Nerona?

To otwarcie zadane pytanie wywołało pewne poruszenie wśród widzów. Teofil przebiegł wzrokiem po sali i zobaczył, że twarz Tygellina pociemniała.

– To oburzające! – zwrócił się prokurator do Lateranusa. – Nie możesz pozwolić, by publicznie znieważano imię cesarza.

– A ty nie będziesz mi mówił, jak mam prowadzić rozprawę – odparował Lateranus, spoglądając groźnie spod spuszczonego czoła. Oprócz niego zaledwie kilku pretorów miałoby dość odwagi, by pozwolić na wygłoszenie podobnej mowy obrończej. Nie przeszkadzało mu, że tłum napał jeszcze bliżej, pragnąc usłyszeć, jak Teofil uzasadni pytanie, które wszystkich interesowało najbardziej.

Tygellin prychnął, lecz nic nie odpowiedział. Najwyraźniej nie chciał za bardzo rozgniewać pretora i ryzykować, że ten wyda wyrok uniewinniający.

– Parę miesięcy temu reprezentowałem człowieka imieniem Paweł z Tarsu, który odwołał się do cesarza – rzekł Teofil. Odchrząknął. – Oskarżono go o założenie tej nowej religii, o której tak wiele słyszeliście, i o podżeganie do zamieszek przeciwko Rzymowi. Tygellin był oskarżycielem na tej rozprawie i poszło mu znakomicie, nie potrzebował nawet przedstawiać torturowanych świadków.

Kątem oka Teofil dostrzegł, że Tygellin kręci głową.

– Na procesie Pawła podsądny zeznał, że nawrócił się na nową wiarę, gdy na drodze do Damaszku objawiło mu się jasne światło, przyprawiając go o ślepotę. Wraz z odzyskaniem wzroku cielesnego Paweł otrzymał też dar cudownego wzroku duchowego. Paweł zeznał, że od tego dnia stał się wyznawcą człowieka imieniem Jezus, który został ukrzyżowany i powstał z martwych. Paweł powiedział nawet Neronowi, że pewnego dnia każdy język wyzna, że Jezus jest Panem.

Lateranus słuchał. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Może ciekawiło go, jaki związek ma tamto świadectwo z procesem Teofila. Może myślał, że ten nieogolony adwokat, który przed nim stoi, jest tak szalony, jak na to wygląda. Może jedynie zachowywał pozory i już postanowił, że ogłosi winę Teofila, kiedy tylko go wysłucha.

– Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy Neron uwolnił Pawła – ciągnął Teofil. – Choć był to niewiarygodny dar dla mego klienta, martwił mnie jego skutek. Neron stwierdził, że Paweł jest winny, a mimo to zechciał okazać mu łaskę.

Zdawało mi się jednak, że imperator kipiał z wściekłości na samą myśl, że ta nowa filozofia szerzy się w jego mieście.

– To oburzające! – wrzasnął Tygellin. – Jak ten człowiek może mówić w imieniu imperatora?

Lateranus zmarszczył brwi.

– Podsądny ma prawo przedstawić swoje argumenty. To ja ocenię, czy były przekonujące.

Lekceważący ton pretora podpowiedział Teofilowi, że czeka go ciężkie zadanie. Owszem, Lateranus pozwolił mu mówić, lecz przekonanie go to całkiem inna sprawa.

– Cesarz zaskoczył mnie nie tylko tym, że uwolnił Pawła – ciągnął Teofil niezrażony. – Miesiące później, gdy cesarz przygotowywał się do wyjazdu do Aleksandrii, on również został oślepiony w świątyni Westy. I tak jak Paweł, doznał duchowego objawienia. Lud Rzymu potrzebował daru obecności imperatora, jego widok miał dawać Rzymianom pociechę w nieszczęściu. Być może było to prawdziwe duchowe doświadczenie, które tylko przypadkiem przypominało historię apostoła Pawła. A może nasz imperator już stawiał dekoracje do widowiska, które szykował, by dopełnić swego panowania. Wielki pożar, który zniszczył Rzym, by Neron mógł go odbudować według własnych planów... i grupa ludzi, których oskarży się o podpalenie. Ludzi, którzy twierdzili, że po ziemi kroczył już władca większy niż Neron.

Te oskarżenia wywołały w tłumie kilka okrzyków i kolejny stanowczy protest Tygellina. Lateranus potrzebował chwili, by zaprowadzić na sali spokój.

– Być może podsądny jest niespełna rozumu – zauważył szorstko, kiedy już na salę wrócił porządek. – Jednak nawet szaleńcy mają prawo do obrony. Możesz mówić dalej, Teofilu, lecz mam nadzieję, że masz na swą obronę coś więcej niż te puste oskarżenia, które do tej pory słyszałem.

Teofil wiedział, że tylko na tyle mógł liczyć. Być może wcale nie przekona Lateranusa, lecz o tym, kogo należało oskarżyć o ten pożar, Nerona czy chrześcijan, zdecyduje publiczność.

– Minęło kilka tygodni i ten sam imperator, który obwieścił specjalnym dekretem, że potrzebujemy jego cennej obecności w Rzymie, wyjechał do pobliskiego miasta Ancjum. Cały Rzym widział jego spektakularny wyjazd. Któż mógłby zliczyć wszystkich tych arystokratów, wyzwolenców, sekretarzy, cyrulików, kucharzy, służących? Któż mógłby zapomnieć owe tabuny harfistów, flecistów, cymbalistów, cytrzystów, tancerek, aktorów i stajennych? Pochód trwał całe godziny.

Teofil przesunął wzrokiem po widzach.

– Ilu z was widziało, że Neron wyjeżdża? Na tyle daleko, by nie można było go oskarżyć o podłożenie ognia, lecz na tyle blisko, by mógł szybko wrócić na ra-

tunek.

Zamilkł, by zaczerpnąć oddechu. Po twarzach widzów poznawał, że zdobywa sobie sympatyków. Głośno wyrażał to, co wielu Rzymian myślało od początku.

– Czy to przypadek, że pożar rozpoczął się czternastego dnia przed kalendarzami sierpniowymi, dokładnie w rocznicę spalenia Rzymu przez Galów ponad czterysta lat temu? Czy to przypadek, że zniszczenie miasta pozwoliło Neronowi odbudować Rzym, jak to już kiedyś było, tym razem jednak zgodnie z wyobrażeniami cesarza, i powiększyć tereny pałacowe o ziemie, na których dotąd stały magazyny i domy mieszkalne?

Teofil, poruszony, mówił podniesionym głosem i gestykułował skutymi rękoma. Zaświtało mu, że zaczyna przypominać ucznia azjatyckiej szkoły retoryki, którą tak potępiał. Wziął więc głęboki oddech i zniżył głos.

Tłum przycichł, pragnąc dosłyszeć każde słowo.

– W noc wybuchu pożaru szerzyły się liczne pogłoski o ludziach, którzy przebiegali miasto i powstrzymywali obywateli od tłumienia pożogi. Mówili, że wydano im taki rozkaz. A cóż porabiał nasz wielki imperator w tę noc, gdy zapłonął ogień?

Teofil przerwał, gdyż wszyscy znali odpowiedź na to pytanie.

– Popisywał się swoim muzycznym talentem przed mieszkańcami Ancjum. Jakże łaskawy jest ten imperator i jakże szczodry! Pawłowi darował wolność. Rzym obdarował widokiem swej wspaniałej świty, wyruszającej do Ancjum. Mieszkańców Ancjum obdarował swą grą na lirze. A jego dary na tym się nie kończą. Rzymianom, którzy zostali pogorzalcami, łaskawie pozwolił zamieszkać na Polu Marsowym. Nie dość na tym, sprowadził darmowe zboże z portu w Ostii i obiecał wszystkim odbudowującym domy wsparcie finansowe. Czy te dary nigdy się nie skończą? Jak ktoś mógłby nie kochać tak szczodrego cesarza?

Teofil poznał, że ten sarkazm nie umknął uwadze zgromadzonych. Byli teraz zaciekawieni, a może nawet urzeczeni tupetem tego, który ośmielił się tak otwarcie krytykować Nerona.

– Gdzie jednak podziewał się dawca tych wszystkich darów, kiedy Rzym zaczął płonąć? Stał na scenie teatru w Ancjum, śpiewając o upadku Ilionu. Niech wasza czcigodność to sobie przemyśli. Nasz imperator w noc wybuchu pożaru śpiewał o zniszczeniu innego miasta wiele lat temu. Troja została zniszczona, ponieważ jej mieszkańcy wtoczyli do miasta wielkiego drewnianego konia. W jego wnętrzu ukrywał się nieprzyjaciel. Troja została zniszczona, ponieważ jej mieszkańcy nie słuchali swoich wieszczków, ludzi, którzy kazali im strzec się Greków, nawet gdy przynoszą dary.

Teofil zamilkł, wiedząc, że jego oskarżenie wybrzmiało wystarczająco jasno – trojańskim koniem Rzymu był cesarz. Teraz uświadomi widzom sedno sprawy.

– Być może tak naprawdę cesarz jest wieszczkiem – powiedział drwiącym tonem. – Cóż za proroczą pieśń wybrał na swój występ. Może powinniśmy się bać własnych imperatorów, tak jak Trojanie powinni byli strzec się Greków. I może szczególnie powinniśmy się obawiać imperatorów przynoszących dary.

Zerknął na zasłuchany tłum. Niektórzy szeptali między sobą. Inni kiwali głowami. Jeszcze inni z przejęciem wsłuchiwali się w mowę Teofila i chłonęli każde słowo. Jeszcze nigdy nie słyszeli takiej przemowy – zeznania jasno potępiającego cesarza, w obecności tylu ludzi.

– Tak więc, dostojny Lateranusie, musisz wybrać pomiędzy świadkami, którzy mówili o spisku chrześcijan podkładających ogień, a zeznaniem, które wskazuje na jeszcze bardziej podstępłą przyczynę. Lecz tego wyboru muszą też dokonać wszyscy Rzymianie. A ja przyznaję, że naprawdę mogą pojawić się poważne rozbieżności w ich opiniach. Twierdzą jednak, że pozostało jeszcze jedno końcowe pytanie, które trzeba zadać. Odpowiedź na to pytanie zadecyduje, która strona ma rację. A pytanie to brzmi: kto ma tak zimne serce, że poświęciłby niewinne dzieci? Gdyż kimkolwiek był ten, kto nakazał podłożyć ogień, musiał wiedzieć, że z pewnością w pożarze zginą najbardziej niewinne istoty. Jak wiemy, rzeczywiście w pożodze straciło życie tysiące dzieci, wydanych na pastwę płomieni. Czy Neron mógł zrobić coś takiego? On jeden zna odpowiedź. My możemy być pewni tylko jednego: nawet teraz, gdy to mówię, siły imperatora biorą w niewolę dzieci chrześcijan.

Teofil przerwał na moment.

– Czy ogień podłożyły dzieci? Czy dwulatki, które ledwie umieją chodzić, podpaliły cały Rzym? Czy Rzymianie kiedykolwiek karali dzieci za grzechy ich ojców? Czy obciążyliśmy Nerona odpowiedzialnością za postępek Agrypiny? A kiedy zabójcy Kaliguli zamordowali dwuletnią Druzyllę, córkę cesarza, czyż cały Rzym nie zwrócił się przeciwko nim? Kiedyż to postanowiliśmy, że można zabijać niewinne dzieci?

Zmierzał już ku końcowi, siły go opuszczały. Pomyślał o biednej, torturowanej Julii i jej najdroższych maleństwach. Były setki takich jak one, dzieci, które w najlepszym razie zostaną osierocone, a w najgorszym poświęcone wraz z resztą chrześcijan.

– Skoro Neron i Tygellin są na tyle bezlitośni, by dzieci chrześcijan dać na pożarcie dzikim zwierzętom, to kto ośmieliłby się powiedzieć, że nie są na tyle bezwzględni, by wszcząć pożar?

Tygellin już nie mógł tego wytrzymać.

– Dostojny Lateranusie – zadrwił. – Nie jesteśmy tu po to, by osądzać cesarza, i na pewno nie po to, by skazywać niewinne dzieci. Jesteśmy tu po to, by uznać winę lub niewinność człowieka, który tak desperacko pragnie ocalić swą skórę, że posuwa się do oskarżania naszego ukochanego imperatora o podpalenie.

Teofil postanowił nie odpowiadać. Pozwolił, by jego przeciwnik miał ostat-

nie słowo. Powiedział już wszystko, co miał powiedzieć, i cała energia go opuściła.

– Słyszałem już wystarczająco wiele – rzekł Lateranus. Spojrzał na Teofila i Tygellina. Potem wstał, gotów ogłosić wyrok. Teofil poczuł na plecach zimny dreszcz. Co innego być adwokatem, a całkiem co innego podsądnym.

– Uznaję podsądnego winnym podpalenia i morderstwa – obwieścił Lateranus ostro. – Uznaję też jego ataki na cesarza za bezpodstawne i obelżywe. – Zmrużył oczy. – Gdybyś był oskarżony o zdradę, też bym cię uznał za winnego.

Teofil spodziewał się takiego orzeczenia, lecz mimo to odczuł je jak uderzenie młotem w brzuch. Wróci do celi, tak jak i inni, z wiszącym mu nad głową wyrokiem śmierci.

Jednak Lateranus jeszcze nie skończył. Udowodnił na koniec, że Teofil otrzymał na swą ostatnią rozprawę idealnego pretora.

– Twoja paranoja, Teofilu, karmi się lękami, że nasz ukochany imperator ukarze śmiercią dzieci za zbrodnie ich rodziców. – Lateranus odwrócił się od podsądnego i spojrzał lodowato na oskarżyciela. – Tygellinie, czy możesz zapewnić sąd, że cesarz nie ma takich planów? Nie chcę, by publiczność wyszła z tego miejsca, wierząc w choćby jedno słowo, które wypowiedział Teofil.

Tygellin zawahał się. Teofil zgadywał, że prokurator szybko myśli. Zapewne zdążył już zaplanować dla dzieci najbardziej makabryczne rodzaje śmierci, jakie można sobie wyobrazić.

Jednak Teofil dobrze odegrał swą rolę. Tygellin wyprostował się, okazując święte oburzenie.

– Jak wie cały Rzym, Neron w dniach, które nastąpiły po pożarze, składał ofiary bogom. Wylał morze łez po dzieciach, które pochłonęły płomienie. Aby przebłagać bogów, należy jak najsurowiej ukarać wszystkich winnych. Neron jednak w swej dobrotliwej łaskawości oszczędzi dzieci. Wszak łaskawość jest jedną z jego zalet. I prawdziwym darem, którym powinien się radować cały Rzym.

Gdy Teofil powrócił do lochu, opowiedział współwięźniom o procesie. Julia i trzy inne kobiety zapłakały z radości, słysząc, że ich dzieci zostaną oszczędzone. Andronik podziękował Bogu za ocalenie najmniejszych. Było to jedno z nielicznych zwycięstw w całej tej potwornej sytuacji.

Teraz, gdy ciążył na nich wyrok śmierci, więźniom pozostało jedynie czekać. Warunki w celi były straszne. Nikt nie usuwał z niej ludzkich odchodów, powietrze było tak gęste od smrodu, że Teofil niemal czuł jego smak. Strażnicy dawali im niewielkie ilości jedzenia i wody, aczkolwiek nie robili tego regularnie i trudno było przewidzieć, kiedy znów coś przyniosą. Uwięzieni dzielili się tymi porcjami i dziękowali Bogu.

Teofil przyłgnął do słabego promyka nadziei. Może Seneka dotrze do Nerona i wyperswaduje mu to szaleństwo. Może jego dawni klienci czy przyjaciele z senatu podejmą jakieś kroki. Może lud rzymski sprzeciwi się masowej egzekucji chrześcijan, skoro wszystkie dowody wskazywały na imperatora. A może – taka właśnie nadzieja trzymała Teofila przy życiu – Bóg sprawi cud i pozwoli im uciec. Uczynił to już wcześniej, mógł uczynić i teraz.

Więźniowie nie mieli kontaktu z zewnętrznym światem, w żaden sposób nie mogli śledzić wydarzeń, które miały wpłynąć na ich los. Teofil z każdym dniem słyszał w ich głosach mniej otuchy, mniej woli przetrwania, mniej nadziei na cud. Starali się pozostać przy zdrowych zmysłach, odtwarzając z pamięci fragmenty ksiąg Łukasza lub listów Pawła. Śpiewali hymny i pieśni, tak jak przed aresztowaniem. Teofil i trzech inni więźniowie, którzy nie mieli uszkodzonych stawów, wykonywali drobne i oszczędne ćwiczenia, na jakie mogli sobie pozwolić w tym miejscu. Ci, którzy nie mogli się ruszać na tyle, by ćwiczyć, starali się jakoś przetrwać i wracać do zdrowia.

W celi nie mieli żadnego światła i coraz trudniej im było rozróżnić dzień od nocy. Więźniowie całkowicie stracili poczucie czasu. Minął tydzień. Może dwa.

Ów dzień nastał bez ostrzeżenia. Nareszcie – i na szczęście! – skończy się to wszystko.

Metalowe drzwi celi otwały się gwałtownie, strażnicy z hałasem nakazali więźniom wstać i wyciągnąć ręce. Nałożyli im kajdany i skuli ich razem w jeden długi szereg. Teofil dopilnował, by Julia znalazła się między nim a Urbanem, tak by mogli ją nieść.

Poprowadzono ich wszystkich w dół po kilku schodach, potem długim korytarzem i na zewnątrz, na ulicę. Strażnicy smagali biczem tych, którzy, jak Julia, mieli trudności z chodzeniem i którym współwięźniowie pomagali iść.

Była późna noc. Pochód przemieszczał się wolno przy blasku pochodni.

Strażnicy, popychając i szturchając więźniów, prowadzili ich do innej części Rzymu, na drugi brzeg Tybru, do prywatnego cyrku zbudowanego przez Kaligulę w ogrodach Watykanu. Nie był tak wielki jak Circus Maximus, lecz dorównywał mu stylem. Miał długi tor do wyścigów rydwanów, a pośrodku stał obelisk, wznoszący się ku niebu. Drewniane, odkryte trybuny mogły pomieścić prawie siedemdziesiąt tysięcy widzów.

Gdy przybyli tam w środku nocy, Teofil odgadł z gorączkowej krzątaniny, że trwają przygotowania do wyścigów i igrzysk.

Więźniów zapędzono do podziemnej części, gdzie już przebywały dziesiątki chrześcijan. Strażnicy zapowiedzieli im, że wrócą po nich rano.

Parę godzin po nastaniu świtu strażnicy wyprowadzili więźniów i ustawili ich w szereg. Każdemu zawiesili na szyi *titulus*, głoszący, że skazaniec jest podpalaczem. Więźniów było zbyt wielu, by ich policzyć, czterystu, pięciuset, może jeszcze więcej. Teofil wypatrywał w tych szeregach Flawii.

Dostrzegł ją wreszcie, stojącą obok Prokuli, sto stóp za nim, i serce zabiło mu mocniej. Gdy ich oczy się spotkały, poczuł, że wracają mu siły. Odzież miała poszarpaną, suknia wisiała na jej wychudzonym ciele, ale Flawia szła samodzielnie. Powiedziała bezgłośnie: „Kocham cię”. Teofil odpowiedział tak samo.

Strażnicy spędzili więźniów razem poza cyrkiem, wystawiając ich na bezlitosne słońce i na spojrzenia napływających tłumnie rzymskich obywateli. Ludzie nadciągali tysiącami, niosąc tobołki z jedzeniem i bukłaki wina, togi lepiły się im do spoconych ciał. Przepychali się i tłoczyli, cisnąc się do wejść i na mosty prowadzące na Watykan. Większość nie zwracała uwagi na skazańców, choć byli i tacy, którzy gapili się na nich, a nawet obrzucali szyderstwami.

Teofil odwzajemniał te spojrzenia, uświadamiając sobie, że sam kiedyś był jednym z takich ludzi. Wypatrywał twarzy przyjaciół, choć wątpił, czy by go rozpoznali z tymi rozczochranymi włosami, gęsto wybujałą brodą, łuszczącą się i brudną skórą.

Podchwytывał urywki rozmów. To nie były zwyczajne igrzyska. Neron najwyraźniej obiecał, że w spektakularny sposób ukarze tych, którzy podpalili Rzym. Dziś nie wystąpią gladiatorzy ani nie odbędą się wyścigi rydwanów; dziś widowiska w mieście dostarczą chrześcijanie.

Na szczęście nie będą to dzieci, pomyślał Teofil.

Zanim strażnicy przeprowadzili Teofila i pozostałych skazańców przed Neronem, przez szereg więźniów przepłynęło zdanie, przekazywane z ust do ust. Kobieta stojąca przed Teofilem odwróciła się i szepnęła mu:

– Bądź mocny w Panu.

Teofil powtórzył to zdanie mężczyźnie stojącemu za nim. Ten skinął głową i przekazał je kolejnemu więźniowi.

Nad cyrkiem rozbrzmiały fanfary. Teofil wiedział, że w tej chwili Neron zasiada na swoim miejscu. Tłum ryknął i strażnicy zaczęli biczami poganiać więźniów, by ruszyli. Rozkuwano ich jednego po drugim i wprowadzano na arenę.

Teofil niemal natychmiast, gdy został rozkuty, ujrzał Marka – był pierwszym skazańcem, którego zmuszono do przemaszerowania wokół owalnego toru! Teofila dopadła ponura myśl, że Marka aresztowano jedynie za pomoc, jakiej udzielił mu podczas procesu o podpalenie. Zawsze był przy nim, w każdej sytuacji, od dzieciństwa, a teraz ta lojalność go zgubiła. Bezradny i dręczony poczuciem winy Teofil miał tylko nadzieję, że jakiś towarzysz Marka z celi doprowadził go do wiary.

Marek, za którym podążał sznur więźniów, zatrzymał się przed lożą Nerona. Spojrzał w górę na cesarza, lecz nie powiedział ani słowa. Strażnicy spiorunowali go wzrokiem, jakby samą siłą woli mogli go przymusić do powitania cesarza tradycyjnym pozdrowieniem.

Marek jednak nie miał zamiaru się odzywać. Któryś strażnik wystąpił na przód i pchnął Marka w plecy ręką schowanego w pochwie miecza.

Marek zgiął się w pół i padł na kolana.

– Mów! – zażądał strażnik.

Chudy i kruchy Marek uniósł głowę, popatrzył przez chwilę na imperatora i splunął na ziemię.

Teofil chciał się wyrwać i jakoś mu pomóc, podobnie jak jego przyjaciel spieszył mu wiele razy z pomocą. Ale ręce wciąż miał skute kajdanami i był zbyt daleko od Marka. Wszystko, co mógł zrobić, to patrzeć bezradnie, jak strażnik unosi miecz, wykonuje szeroki zamach i ścina jego przyjacielowi głowę.

Teofil patrzył na to z niedowierzaniem. Zbierało mu się na wymioty, odwrócił się więc, by uniknąć tego widoku. Jako pierwszy zginął nie kto inny, a Marek.

Odwrócił głowę i zobaczył przez łzy, że następna osoba spośród więźniów również odmówiła pozdrowienia cesarza. Tym razem była to młoda kobieta. Neron rzucił przekleństwo i kazał strażnikom przerwać ceremonię, zabrać więźniów z powrotem do cel. Strażnicy, wśród szyderstw tłumu, wyprowadzili Teofila i pozostałych skazańców z areny.

Wracając do podziemia, przechodzili tuż obok klatek, w których trzymano warczące lwy i lamparty, złowrogie byki i wyjące watahy dzikich psów. Lwy widziane z bliska wydawały się znacznie większe. Oczy miały żółte i nabiegłe krwią, grzywy skudłone i zmierzwione. Teofil wiedział, że głodzono je przez całą ostatnią dobę. Kiedy otwierały ogromne paszcze i ryczały, ziemia zdawała mu się trząść pod stopami. Żołnierze, prowadząc więźniów obok zwierząt, uderzali w klatki, by rozjuszyc bestie, i śmiali się widząc, że skazańcy wzdrygają się lub odsuwają od zwierząt.

Więźniów znów zamknięto. Teofil i tym razem został rozdzielony z Flawią. Pozostawieni sami sobie, chrześcijanie szybko doszli do siebie. Odwaga Marka i tamtej kobiety, ich odmowa pokłonenia się cesarzowi dodała wszystkim sił. Andronek i wszyscy, którzy posiadali dar wlewania otuchy w serca współbraci, wzywali:

– Pokażmy ludowi rzymskiemu, jak się umiera! Duch Pański wyzwoli nas od lęku! Wyjdźmy na spotkanie Pana z pieśnią pochwalną na ustach! Patrzy na nas cały Rzym!

Inni powtarzali słowa Pawła:

– Upodobnijcie się do Jezusa Chrystusa, który uniżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci, i to śmierci krzyżowej.

Chociaż Teofil czuł, że strach wypełnia każdy zakamarek jego ciała, przyłączył się do tych, którzy zachęcali do odwagi.

– Byłem obecny na procesie Jezusa – powiedział, pochylając się, by móc spojrzeć wszystkim współwięźniom w oczy. – Słyszałem, jak powiedział Piłatowi, że dla tej chwili przyszedł na świat. Teraz zaś jest nasza chwila! Wyjdźmy na jej spotkanie z taką samą odwagą!

Minęło sporo czasu, zanim żołnierze przybyli po pierwsze ofiary. Być może cesarz wygłaszał mowę albo grał na lirze, albo składał ofiary rzymskim bogom. Jakkolwiek była przyczyna tej zwłoki, Teofil i jego współwięźniowie zyskali czas, by się zmobilizować.

Gdy strażnicy nadeszli, Teofil wystąpił naprzód wraz z kilkoma innymi mężczyznami, zasłaniając kobiety i starszych więźniów. Strażnicy odepchnęli ich na bok i wywlekli kilku innych skazańców.

Niektórzy protestowali, lecz ich słowa przerwał samotny głos z którejś celi, niosący się echem przez podziemne korytarze, śpiewający hymn chwały. Zawtórowały mu inne głosy, brzmiały wprawdzie ostro i chrypliwie, lecz słowa pieśni podniosły skazańców na duchu. Wkrótce śpiewali już wszyscy, a ich głosy przybierały na sile.

Krata z żelaznych prętów zamykająca wejście do cel zatrzasnęła się z hałasem i grupa niewolników nałożyła zwierzęce skóry na pierwszą grupę ofiar, przywiązując je skutym chrześcijanom do ramion, tak że nie mogli ich z siebie zrzucić. Potem strażnicy wyjęli noże i zadali chrześcijanom rany, by zwierzęta poczuły świeżą krew. Teofil stał na przedzie celi, zacisnąwszy ręce wokół prętów, i wypatrywał Flawii. Ku jego wielkiej uldze nie było jej w tej grupie.

– Idziemy! – wrzasnął jeden ze strażników. Po tych słowach chrześcijan poprowadzono długim, ciemnym korytarzem, popychając ich i szturchając, aż zniknęli Teofilowi z oczu na końcu tunelu.

Gdy nie mógł ich już dostrzec, przyłączył się do modlitwy. Słyszeli wrzawę tłumu, gdy ofiary wyszły na arenę. Słyszeli dobiegający z korytarza szczęk klatek i grzmiący ryk lwów, pędzonych na arenę. Na chwilę zapanowała względna cisza, po której rozbrzmiały oklaski, stłumione okrzyki poruszenia, a potem głośnie owa-cja.

Teofil widział tę scenę w wyobraźni. Wiedział, że wkrótce przyjdzie kolej na niego.

Mijała kolejna makabryczna godzina, i znów kolejna, strażnicy wracali po następne ofiary i wszystko powtarzało się od nowa. Czasami po wyjściu więźniów Teofil słyszał warczenie dzikich psów. Innym razem słyszał ryk lwów. Czasami do jego uszu nie dobiegał żaden dźwięk prócz szczęku klatek i świstu biczów. Poznał z tego, że wypuszczono lamparty.

Strażnicy każdorazowo zabierali piętnastu do dwudziestu więźniów, Teofil nie dostrzegł Flawii w żadnej z tych grup.

Około południa tłum nie okazywał już takiego entuzjazmu. Może widzów znużyła wreszcie ta bezrozumna rzeź.

Teofil pragnął już tylko, by to się skończyło. Mdlilo go ze strachu, lecz był też zdeterminowany, by dobrze zakończyć życie. Przykład tych, którzy odeszli już do Pana, dodał sił nawet najbardziej przygnębionym. Chociaż niewiele zjadł i mało co spał, nie czuł już zmęczenia. Z każdym powrotem strażników czuł w ciele przypływ adrenaliny, przygotowujący go na mękę. Postanowił, że zginie w walce. Zatakuję dzikie bestie – rozwścieczy je, jeśli mu się uda. Dzięki temu szybko rozprawi się z nim i z pozostałymi.

Nie pozwalał sobie na myślenie o tym, co się stanie z Flawią.

Po południu w celi oprócz Teofila były już tylko trzy osoby. Śpiewy i przemowy dawno ucichły. Miejsce nieustępliwego oporu zajęła ponura akceptacja tego, co ich czeka. Żołnierze i więźniowie wpadli już w rutynę. Strażnicy schodzili do podziemia i klepieniem w ramię wskazywali skazańców. Wyznaczeni opuszczali celę bez oporu i wyruszali w swój milczący marsz śmierci, na arenę. Ci, którzy zostali, kiwali głowami i czekali na swoją kolej.

Jakoś późnym popołudniem strażnicy przestali przychodzić. Minęła godzina.

Potem dwie. Teofil wyteżał słuch, próbując ustalić, czy tłum nadal jest na widowni. Nie słyszał aplauzu, którego można się było spodziewać, gdyby imperator zarządził inne pokazy, jak walki gladiatorów czy wyścigi rydwanów.

Teofil pozwolił, by zabłysła w nim mała iskierka nadziei. Egzekucje ustały, przynajmniej na jakiś czas. Rozwahał na głos z innymi więźniami, co to mogło oznaczać.

I potem to usłyszał, dźwięk nie do pomylenia z żadnym innym, niosący się echem wśród zmierzchu. Coś o wiele bardziej złowieszczonego, rytm, który przeszył jego duszę.

Wrzawę tłumy zastąpił odległy stukot młotków.

Gdy zapadł mrok, strażnicy opróżnili cele i ponownie ustawili skazańców w szeregu. Teofil wciąż miał ręce skute kajdanami, tym razem znajdował się na końcu sznura więźniów. Przed sobą miał Andronika i Julię. Nagle usłyszał głos Prokuli. Była niedaleko.

– Prokulo, nie wiesz, co z Flawią? Żyje? – zapytał.

– Stoi na przedzie – odpowiedziała.

Na tę wieść odczuł zarazem ulgę i ból. Cud się nie zdarzył, umrą razem. Ta myśl zraniła jego serce, sprawiła, że poczuł ukłucie głęboko w ciele.

Przeszedł z resztą więźniów obok kletek drapieźników. Tym razem bestie wyglądały na bardziej potulne, jakby się już nasyciły.

Pochód zatrzymał się tuż przed wyjściem z tunelu. Teofil ze swego miejsca na końcu szeregu widział niewiele, lecz do jego uszu dobiegał zgiełk i szum tłumu. Najwyraźniej w wieczornym mroku wracali na swoje miejsca.

Rozległy się fanfary i liktor oznajmił przybycie wielkiego Nerona Klaudiusza Cezara Augusta Germanika. Widzowie ucichli i chyba rozbrzmiała mowa Nerona. Oczywiście nie wygłosił jej sam, ponieważ nie chciał sobie uszkodzić strun głosowych, krzycząc do zgromadzonych. Teofil jednak wylawiał fragmenty i urywki zdań, wygłaszanych przez herolda, który powtarzał słowa imperatora. „Stosowna kara za tę zbrodnię... Prawo zakazuje śmierci przez ukrzyżowanie... Nie zakazuje użycia krzyża... Imperator poradził się boga ognia, Wulkana... Trzeba ułagodzić bogów”.

Teofil spodziewał się, że po skończonej mowie rozlegnie się ryk tłumu, lecz na widowni zapanowała cisza. Przesząpił niespokojnie z nogi na nogę, wyobrażając sobie, jaką nową straszną torturę obmyślił Neron. Złapał się na myśli, że chciałby po prostu zostać rzucony na pożarcie dzikim bestiom.

Gdy skazańcy wyłonili się z tunelu, serce w Teofilu zmiękło jak wosk. Spodziewał się tego po stukocie młotów, lecz czym innym było ujrzenie to na własne oczy. Z owalnej areny uprzątnięto poszarpane zwłoki, piasek był świeżo zagrabiony. Po obu stronach toru, wszędzie wokół na owalnej arenie, leżały dziesiątki krzyży. Było ich może dwieście. Jeden na każdego pozostałego przy życiu więźnia.

Całą arenę oświetlały pochodnie, ustawione pomiędzy krzyżami. Teofil przypomniał sobie lekcję Seneki na Drodze Appijskiej, obraz Krassusa krzyżującego tysiące niewolników. Neron zapragnął go prześcignąć – mniej skazańców, lecz bardziej przerażające widowisko, nie oszczędził nawet kobiet.

– Bądź mocny w Panu. – Pobożna zachęta znów niosła się z ust do ust. Teofil pomyślał, że zapewne zainicjowała ją Flawia, idąca na przedzie.

Strażnicy popchnęli skazańców naprzód i poprowadzili do krzyży, które dla

nich przeznaczono. Krzyż Teofila ustawiony był bezpośrednio przed lożą imperatora. Kiedy pochód więźniów się zatrzymał, kiedy ustawiono ich dookoła całej areny, Teofil uświadomił sobie, że Flawia będzie wisiała obok niego.

Ponownie popatrzyli na siebie, ich oczy wyrażały to, czego nie mogły przekazać słowa. Wciąż nosiła się po królewsku, mimo że włosy miała skołtunione, oczy zapadłe i wymizerowane, skórę pokrytą ranami i brudem. *Bądź mocny*, przekazała mu wzrokiem. *Dobrze zakończ życie*.

Tygellin zszedł z loży cesarskiej i stanął przed Teofilem. Czoło połyskiwało mu od potu.

– Przyznaj się do zbrodni i oddaj cześć cesarzowi, a Flawia odejdzie wolna – powiedział do niego.

– Nie rób tego – ostrzegła Flawia. – Nie zdradź naszego Pana. Nie zdradź mnie.

Teofil spojrział na żonę, a potem na swego dręczyciela. Za Tygellinem dostrzegł cesarza, zwycięsko zasiadającego w loży, otoczonego przez dwór. Teofil zauważył, że w loży zabrakło dziewic westalskich. Być może protestowały przeciw egzekucji Flawii.

– Jezus jest Panem – powiedział.

Tygellin powoli skinął głową.

– Zobaczymy, czy Jezus ci pomoże.

Odwrócił się na pięcie i ruszył po piasku, w kierunku loży cesarskiej. Wspiął się po schodach, wysunął dumnie brodę i zajął miejsce obok cesarza.

Imperator uniósł rękę.

– Niech rozpocznie się ofiara!

Teofil, wiedziony wściekłością i adrenaliną, rzucił się do ataku. Zaciśnął skute pięści i zamachnął się ramionami, wymierzając cios w szczękę strażnika stojącego po jego prawej stronie. Drugi strażnik skoczył na niego od tyłu i powalił go na ziemię. Ktoś kopnął go w brzuch, aż zabrakło mu tchu. Przydusili go wszyscy razem, stękając z wysiłku i przeklinając. Usłyszał gdzieś za sobą głos Flawii:

– Teofilu! Przestań walczyć!

Zewsząd otoczyły go silne ramiona. Szybko go poskromili i przycisnęli do ziemi, by zdjąć mu kajdany. Wciągnęli go na krzyż, położyli na nim i rozciągnęli mu ramiona, układając je na poziomej belce. Dwóch strażników po obu jego stronach przytknęło mu ostrza gwoździ do przegubów. Wywijał się, lecz szarpnięciami przytrzymali go na miejscu. Dowódca skinął głową, strażnicy zamachnęli się młotkami. Teofil krzyknął, gdy gwoździe przebiły mu nadgarstki.

Inni strażnicy przytrzymali mu stopy na ostrokatnej podpórce, przymocowanej u dołu krzyża. Poczul dotknięcie ostrza, skóra i ścięgna rozdierały się, gdy przebijali mu stopy gwoździem. Gdy stukanie młotków ustało, zdusił w sobie krzyk i jęknął. Nigdy w całym swoim życiu nie zaznał takiego bólu.

Zanim strażnicy podnieśli krzyż, nasmarowali go żywicą i saletrą, siarką i smołą. Owinęli Teofila nasączonym czymś płótnem, zapach oliwy wypełnił mu nozdrza.

Ból i odór przyprawiły go o mdłości. Poczł, że jeszcze chwila, a zemdleje.

Trzech krzepkich strażników uniosło krzyż i osadziło go na przygotowanym miejscu. Gwoździe zaczęły rozdzierać przeguby i stopy Teofila, ciało przeszywały mu błyskawice straszliwego bólu. Spojrzał na Flawię, którą również przybijano do krzyża. Zaciskała zęby, oczy miała zamknięte w modlitwie, twarz zwróconą ku niebu.

Teofil napiął mięśnie i uniół się, by zaczerpnąć głęboki oddech, a ból znów przeszył mu ramiona i kostki.

– Kocham cię, Flawio – powiedział.

Uśmiechnęła się półuśmiechem pełnym bólu. Wymówiła bezgłośnie kilka słów.

Teofil w męce spojrzł na łożę cesarską. Znajdzie w sobie siły, jeśli będzie patrzył Neronowi w twarz. Może wściekłość stłumi nieco cierpienie. Ale cesarza nie było! Nie został nawet, by oglądać kulminacyjny punkt swego makabrycznego dzieła!

Minęła bolesna, rozdzierająca chwila i Neron znów pojawił się na swoim miejscu. Miał na sobie zielony strój woźnicy rydwanu. Wyszedł z łoży i na chwilę wmieszał się między widzów na trybunach, a potem przeskoczył barierkę i stanął na torze. Podeszedł do krzyży i stanął przed Flawią.

Spojrzawszy na nią, pokręcił głową i syknął, jakby nie mógł pojąć, jakim cudem znalazła się w takim położeniu.

– Za chwilę ugasimy pochodnie oliwne, a zapalimy ludzkie – zaczął. – Odpowiednia kara dla tych, którzy podpalili nasze miasto. Przejadę w najwspanialszym rydwanie pomiędzy szeregami płonących krzyży. Przykro mi, że stracisz takie widowisko.

Flawia nic nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego z wyrazem pogardy.

– Byłaś kiedyś westalką – powiedział. – Poślubioną Rzymowi. Powróć do tego, Flawio. Wyznaj, jaką rolę odegrałaś w podpaleniu, wyznaj miłość do swego cesarza, a ja nakazę moim ludziom, by zdjęli cię z krzyża.

– Uczynię wyznanie – zdołała wydusić Flawia, z trudem łapiąc oddech.

Neron wyglądał na zaskoczonego.

– Mów – powiedział.

Flawia gwałtownym szarpnięciem podciągnęła się na krzyżu.

– Zgwałciłeś Rubrię! – Wciągnęła powietrze. Łzy wściekłości napłynęły jej do oczu. – Podpaliłeś Rzym – wydyszała – gwałcąc własne... miasto.

Przerwała dla zaczerpnienia oddechu, a twarz Nerona pociemniała. Uśmiechnęła się szyderczo i nienawistnie, lecz Flawia jeszcze nie skończyła. Teofil patrzył w

zdumieniu, więcej, w podziwieniu, z jaką odwagą walczy o kolejny oddech.

– Ja też... grzeszyłam. – Wydała jęk i wydawało się, że tym razem nie znajdzie w sobie dość siły, by znów się podciągnąć.

– Już dobrze, Flawio – zdołał wydusić Teofil.

Pokręciła głową, na jej twarzy malowała się determinacja. Jeszcze raz się podciągnęła.

– Klaskałam... w teatrze... A tak naprawdę... – Skrzywiła się. Odetchnęła. A potem na jej ustach pojawił się uśmiech. – Twoja gra na lirze była okropna.

Opadła z powrotem, uszła z niej energia. Żołnierze Nerona stali wokół bez słowa. Może mieli ochotę się zaśmiać. Teofil wiedział jedno – ostatnia obelga Flawii podsycała w nim determinację. Jego żona w ten sposób pokazała wszystkim, że nie muszą się bać tego człowieka. Imperator mógł zabić ciało, lecz nie mógł tknąć niezłomnego ducha Flawii ani jej niezniszczalnej duszy.

Neron bez ostrzeżenia wyrwał pochodnię stojącemu obok niego mężczyźnie i sam podłożył ogień.

– Neeeeee! – krzyknął Teofil. Wykręcił się gwałtownie, napierając na gwoździe, którymi przybito go do krzyża, jakby w ten sposób mógł się uwolnić. Przeszył go ból.

Patrzył ze zgrozą, jak drzewo krzyża Flawii w jednej chwili rozświetla się niczym pochodnia, a ogień zajmuje płótno w które owinięto ciało jego żony. Teofil odwrócił głowę, nie mogąc patrzeć na jej cierpienia. Na tym świecie już jej nie zobaczy. Następnym razem, gdy ją ujrzy, będzie taka jak kiedyś – promienna, nieskazitelna, przepełniona niebiańskim pokojem.

Zamknął oczy, lecz nie mógł zatkać uszu. Flawia krzyczała w męce. Czuł gorąco i wdychał zapach palonego ciała. Krzyki Flawii ucichły, gdy zadławił ją dym. Potem jednak usłyszał westchnienie i wypowiedane znów słowa.

– Patrz... On zmartwychwstał!

Zdołała zebrać siły mimo ogarniających ją płomieni.

– To prawda, Teofilu! – krzyknęła, a potem jęknęła z bólu.

Rozległ się kolejny udręczony krzyk, z którego Teofil nie umiał wyczytać słów, po czym jej głos ścichł prawie do szeptu. Wydawało się, że już jest wolna od bólu.

– To prawda – powtórzyła.

Śmierć Flawii podsycała w Teofilu postanowienie, by dobrze zakończyć życie, a zarazem osłabiła w nim wolę przetrwania. To wszystko już nie potrwa długo, ani dla niego, ani dla pozostałych.

Walczył o oddech, tak jak na innym krzyżu tyle już lat temu. Patrzył, jak Neron przemierza tor wyścigowy i znika za wrotami stajni. Tłum zamilkł, czekając z niecierpliwością na to, co teraz nastąpi. Jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, były wysilone oddechy Teofila i pozostałych chrześcijan. Niektórzy jęczeli z bólu, inni cicho szlochali.

Żołnierze po kolei gasili oliwne pochodnie. Cały cyrk ogarnął mrok, rozświetlany jedynie przez płonący krzyż Flawii. Teofil wiedział, że za chwilę stanie w ogniu również jego krzyż i jego życie wkrótce się skończy.

Wisiał tak, a myśli mącił mu straszliwy ból, promieniujący z nerwów w przegubach i kostkach. Próbował przywołać z pamięci przykład Jezusa. Wisząc na krzyżu na Golgocie, Nazarejczyk modlił się, by Bóg przebaczył jego prześladowcom.

Teofil nie potrafił się na to zdobyć. Zwiesił głowę i modlił się o karę dla Nerona. W trakcie modlitwy serce przypomniało mu jego winę, rolę, jaką odegrał w sprawie Jezusa. Przypomnił sobie, że Nazarejczyk nawet podczas procesu miał oczy pełne współczucia, że spojrzał na niego z miłością.

Łzy popłynęły mu po twarzy. Odnalazł w sobie wolę, by modlić się za Nerona. *Panie, pobudź go do skruchy. Nawróć go dla Twojej sprawy lub wzbudź innego władcę, który zajmie jego miejsce i doprowadzi cały Rzym do Ciebie.*

Te myśli i modlitwy przerwały dźwięki chaotycznego śpiewu. Teofil nie potrafił powiedzieć, kto go rozpoczął, skazańcy jednak podjęli znane słowa. Jeden po drugim podciągali się na krzyżach i nucili przerywany hymn:

Temu zaś... który mocą... działającą w nas...

Może uczynić... nieskończenie więcej...

Niż to, o co prosimy... czy rozumiemy...

Słowa, śpiewane z wysiłkiem i bez tchu, niosły się w ciemnościach. Kilku widzów krzyknęło z niezadowoleniem, lecz pieśń chrześcijan nadal było słychać.

Teofil uniósł się z trudem i podjął pieśń:

– Jemu chwała w Kościele!

– I w Chrystusie Jezusie! – dodał ktoś inny.

Nie zdołali dokończyć pieśni. W odległym końcu areny otwarły się wrota stajni i rozbłysło światło. Żołnierze na ten znak jednocześnie podpalili dwieście krzyży. Buchnęły płomienie.

Neron z hukiem wyjechał ze stajni i popędził pomiędzy szeregami ludzkich

pochodni w rydwanie ciągniętym przez cztery białe ogiery.

Języki ognia pięły się w górę krzyża Teofila i dosięgły jego stóp. Płótno, w które wcześniej go owinięto, w jednej chwili zajęło się ogniem. Z trudem łapał powietrze, lecz wdychał już tylko czarny dym. Ogień palił go i pochłaniał, cała skóra stanęła w płomieniach.

Kilka chwil obezwładniającego bólu. Neron przemknął obok w pędzie. Rozjarzyło się jaskrawobiałe światło i Teofil krzyknął przeciągle w nieznośnej męce, a potem...

Wszystko ustało.

Nagle ogarnął go spokój.

Ukojenie.

Cisza.

Promienne białe światło.

Pełna czułości twarz Nazarejczyka.

Była tam też uśmiechnięta Flawia. I Marek.

Dobrze, sługo dobry i wierny!

Nazarejczyk wyciągnął rękę i powitał Teofila. I w tej chwili adwokat zrozumiał, że wszystkie obietnice Zbawiciela były prawdziwe. Każde słowo, które wypowiedział.

Podobnie jak słowa Seneki, które towarzyszyły Teofilowi przez całe życie.

*Trzeba więc szukać czegoś takiego, co nie trwa tylko do pewnej chwili, w której nie może już się ostać. A cóż to jest? Duch, lecz duch prawy, szlachetny i wzniosły. Jak nazwiesz go inaczej niżli Bogiem goszczącym w ciele ludzkim? Taki duch zaś może przypaść w udziale zarówno rycerzowi rzymskiemu, jak wyzwoleni-
cowi, jak i niewolnikowi. Czymże jest bowiem rycerz rzymski, wyzwoleniec albo niewolnik? Są to tylko czcze nazwy zrodzone z chciwości zaszczytów lub z krzywdy. Można także z jakiegoś zakątka trafić do nieba. Dźwignij się tylko i siebie samego uczynić godnym boskości.*

Epilog

W trzysta trzydziestym pierwszym roku od narodzenia naszego Pana i Zbawcy, Jezusa Chrystusa

Poruczenie wyszło od Konstantyna, pierwszego rzymskiego cesarza, który nawrócił się na chrześcijaństwo, władcy, który zabronił stosowania starożytnej kary ukrzyżowania. Napisał on list do Euzebiusza, biskupa Cezarei w Palestynie, szanowanego pasterza Kościoła. Imperator potrzebował pomocy biskupa.

Wydalo mi się oto stosowne wskazać Twojej Roztropności, abys profesjonalnym kopistom, dobrze znającym się na swej sztuce, polecil przepisać na starannie przygotowanych pergaminach, w sposób czytelny i w poręcznej, przenośnej formie, pięćdziesiąt kodeksów Świętych Pism, których przygotowanie i uzytek uważasz za niezbędnym dla nauczania Kościoła.

Euzebiusz natychmiast zabrał się do dzieła. Zgromadził księgi, które dotąd okazały się najbardziej użyteczne w nauczaniu i umacnianiu Kościoła, księgi, w których znać było natchnienie Ducha Świętego. Do przepisywania świętych stronic zwerbował najbłęglejszych skrybów. Starannie kaligrafowali każde słowo na nowym pergaminie, licząc litery i słowa na każdej stronie, dzieląc strony na trzy, a czasem cztery kolumny. Oprawili księgi w solidne skórzane okładki, a na każdej złotymi literami wypisali tytuł.

Pisma Święte.

Cztery lata po ukończeniu dzieła biskupi, a wśród nich Euzebiusz, zostali wezwani do Konstantynopola, by pomogli rozstrzygnąć dyskusję wokół poglądów Atanazego z Aleksandrii. Podczas pobytu w stolicy Euzebiusz został przyjęty na prywatnej audiencji u cesarza.

Ucieszył się, gdy zobaczył, że Konstantyn miał kopię Świętych Pism do osobistego użytku. Z jeszcze większą radością przyjął wiadomość, że cesarz przeczytał każde słowo tej księgi. Imperatora nękały pewne teologiczne kwestie dotyczące boskości Chrystusa oraz innych ważkich spraw, które zaprzętały Kościół. Euzebiusz odpowiedział na te pytania najlepiej jak potrafił.

Cesarz miał również pewne praktyczne pytanie. Dotyczyło ono ksiąg spisanych przez Świętego Łukasza.

– Kim jest ten Teofil? – zapytał.

– Nikt tak naprawdę nie wie. Informacje na temat jego tożsamości przepadły. Istnieją jednak pewne teorie na ten temat.

Konstantyn czekał. Euzebiusz wziął to za znak, że ma mówić dalej.

– Niektórzy mówią, że był hojnym dobroczyńcą Łukasza. Inni przypuszczają, że na zlecenie Nerona badał sprawę Pawła przed procesem. Jeszcze inni uważają, że to imię skrywa samego Nerona.

Konstantyn zdawał się to rozważać, chociaż skrzywił się na myśl, że adresem pism Łukasza miałby być osławiony Neron. Jak każdy Rzymianin, imperator dobrze znał dzieje haniebnych rządów i tchórzliwej śmierci władcy. Znienawidzony przez lud, potępiony przez senat i ścigany przez rzymskie legiony, Neron długo zmagał się ze sobą, nim zdobył się na odwagę, by odebrać sobie życie. Kiedy to w końcu uczynił, z pomocą sługi, jego ostatnie słowa były równie narcystyczne jak jego życie: „Cóż za artysta ginie!”.

Po jego śmierci senat wydał *damnatio memoriae*, dekret potępiający nawet pamięć o tym człowieku i nakazujący usunięcie jego imienia i wizerunków ze wszystkich publicznych dokumentów i miejsc.

Nic więc dziwnego, że cesarz Konstantyn zatrzęsł się na myśl, że komuś takiemu Święty Łukasz miałby dedykować swoje dzieło.

– A co ty myślisz o tej sprawie? – spytał Konstantyn Euzebiusza.

Biskup przez chwilę rozważał to pytanie.

– Imię Teofil oznacza „miłujący Boga” – odrzekł w końcu. – Z tego względu można uznać, że Ewangelia Łukaszowa i Dzieje Apostolskie to listy powszechne, adresowane do każdego wierzącego, który miłuje naszego Zbawiciela.

Imperator podszedł do pulpitu, otworzył kodeks Świętych Pism i ponownie odczytał te słowa.

– „Dostojny Teofilu” – mruknął. Spojrzał na Euzebiusza, przeszywając biskupa swym przenikliwym wzrokiem. – I ku tej właśnie hipotezie się skłaniasz, Euzebiuszu?

– Tak, wasza dostojność, choć trudno tu cokolwiek udowodnić. Mimo to jestem przekonany, że w każdym z nas żyje mała część Teofila.

Od autora

Nigdy nie czułem się większym dłużnikiem innych niż przy pisaniu tej książki. Pięć lat pracy nad jednym projektem to długi czas, a ja potrzebowałem pomocy większej niż zazwyczaj.

Mój zespół z wydawnictwa Tyndale wykazywał się niewiarygodną cierpliwością. Kilka razy opóźniliśmy wydanie tej książki, a pracując nad nią, zdążyłem ukończyć współczesny thriller prawniczy. Jestem niezwykle wdzięczny Karen Watson, Jeremy'emu Taylorowi, Jan Stob i reszcie zespołu, który wierzył w tę książkę i pomógł niezwykle ulepszyć surowy szkic, który przedstawiłem na początku. Pomocne uwagi i informacje zwrotne dorzucił również zespół wyrobionych czytelników i redaktorów, w tym Mary Hartman, Robin Pawling, Mike Garnier, Jana Hadder, Alisa Bozich oraz moja żona, Rhonda (jak zawsze pedantyczna nauczycielka gramatyki).

Pracując nad tą książką, nabrałem szacunku dla autorów powieści historycznych. Nie było łatwo nauczyć się mówić, pisać, żyć i myśleć jak Rzymianin z pierwszego wieku. Jeśli chodzi o autentyzm tej książki, sporo zawdzięczam autorom publikacji, z których czerpałem, oraz innym ludziom, którzy pomogli mi zrozumieć, jak wyglądał świat w czasie, gdy Syn Człowieczy postanowił wkroczyć w historię.

Ziarno tej książki zostało zasiane podczas lektury *Paul on Trial*, niebeletrystycznej książki autorstwa jednego z moich przyjaciół i kolegów prawników, Johna Maucka. John dowodzi w niej, że księga Łukasza oraz Dzieje Apostolskie zostały spisane jako zeznanie prawne, mające służyć jako świadectwo w procesie Pawła przed Neronem. Przyjąłem to założenie i rozwinąłem je, tworząc fikcyjną historię Teofila, adresata owych dwóch ksiąg.

Uczyłem niegdyś historii, więc szczegóły historyczne nadal mnie fascynują i są dla mnie ważne. Niestety, nie miejsce to, by odsiewać prawdę od fikcji. Dość powiedzieć, że starałem się być wierny historycznym relacjom, na ile to możliwe. Na mojej stronie internetowej zamieszczam listę publikacji, z których korzystałem, wraz ze szczegółowym wykazem tego, co w książce jest prawdą, a co fikcją. Niemniej jest kilka osób i kilka opracowań, które muszę tu wymienić.

Ten okres historii stał się dla mnie żywy głównie dzięki dwóm osobom. Pierwszą była cudowna przewodniczka po Rzymie, Cinzia Cutrone. Cinzia jest pierwszorzędnym historykiem i cierpliwie odpowiadała na każde moje pytanie, nigdy nie narzucając własnych opinii, lecz zawsze kierując mnie do oryginalnych źródeł.

Drugą jest Ann Wroe, autorka wspaniałej niebeletrystycznej książki pod tytułem *Pilatus Pontius* [wydanie polskie: *Poncjusz Pilat*, Warszawa 2015]. Jej żywy

styl pisarski sprawiał, że okoliczności procesu Jezusa i wydarzenia mu towarzyszące wręcz ożywały przed moimi oczami; to właśnie pozwoliło mi spojrzeć na świat pierwszego wieku naszej ery oczyma Rzymianina. Zawdzięczam jej zwłaszcza dwa epizody: pierwszy, kiedy Teofil odwiedza Nikodema, oraz drugi, gdy Prokula, żona Piłata, zostaje uzdrowiona w świątyni Eskulapa; pisząc je, inspirowałem się opisaniami owej świątyni autorstwa Ann Wroe oraz jej sugestywnym wyobrażeniem, jak mogłoby wyglądać spotkanie Piłata i Nikodema. Autorka ta znakomicie przedstawiła też szczegóły życia Piłata, problemy polityczne, którym musiał stawić czoła, oraz cytaty z rzymskich filozofów, takich jak Cyncero i Seneka, które pomogły mi rozpatrzeć proces Jezusa. Wszystko to miało ogromny wpływ na moją historię. Sądzę, że spośród wykorzystanych przeze mnie historycznych cytatów co najmniej pięć odkryłem wcześniej w książce Wroe, w tym cytat z Seneki, który odegrał tak ważną rolę w życiu mej fikcyjnej postaci, Teofila, i który zamyka książkę.

Jeśli chodzi o życie i czasy Nerona, najbardziej pomocna była książka Edwarda Champlina, zatytułowana imieniem cesarza. Wnikliwe dzieło tego autora pomogło mi zrozumieć wydarzenia, do których doszło za panowania Nerona, i ujrzeć w tym władcy aktora uwięzionego w ciele imperatora, a nie tylko jednowymiarową postać prześladowcy pierwszych chrześcijan.

Trzy kolejne książki pomogły mi żywo sobie wyobrazić potężny pożar, który zniszczył większą część Rzymu. *The Flames of Rome* Paula Maiera [wydanie polskie: *Rzym w płomieniach*, t. 1-2, Warszawa 1994], *The Great Fire of Rome* Stephena Dando-Collinsa i *Der Apostol* Szaloma Asza [wydanie angielskie: *The Apostle*] bardzo sugestywnie ukazują tę tragedię. Korzystałem z nich, tworząc własny opis pożogi. Natomiast trylogia Roberta Harrisa poświęcona imperium rzymskiemu wspaniale pokazuje, jak wyglądało życie adwokata w starożytnym Rzymie – zwłaszcza na przykładzie Marka Cyncerona, na którym wzorowałem swego bohatera. Skorzystałem z kilku spostrzeżeń Harrisa, pisząc o nauce Teofila i przybliżając rolę adwokata w rzymskim systemie prawnym. Na książce Harrisa oparłem, na przykład, opis życia Teofila w szkole Molona oraz porównanie nauczycieli szkoły azjatyckiej do „tańczących mistrzów”. Jestem również dłużnikiem Jeffrey'ego Barra, autora wnikliwej analizy fragmentu Ewangelii, w którym Jezusa pytano o płacenie podatków.

Starłem się być wierny oryginalnym źródłom historycznym, a czytelnik może osądzić, czy mi się to udało. Zacząłem od pism Łukasza i innych ksiąg Nowego Testamentu, w tym oczywiście listów Pawła. Wiele wniosły też pisma historyków starożytnych – w tym Tacyta, Józefa Flawiusza, Swetoniusza, Kasjusza Dio-na oraz Seneki, który tak elokwentnie roztrząsał rozmaite kwestie.

Na koniec chciałbym podziękować człowiekowi, który kierował moją pisarską karierą przez prawie całą minioną dekadę – mojemu byłemu agentowi Lee Houghowi. Jestem pewien, że nikt nie ekscytował się tą książką bardziej niż Lee. Po

długiej i odważnej walce z rakiem mózgu Lee odszedł od nas niedługo przed tym, jak złożyłem w wydawnictwie gotowy maszynopis. Ta książka nosi jego znamię. Jest to znamię zachęty, wytrwałości i wiary.

Lee był świetnym agentem – cholernie wyjątkowym – i jeszcze lepszym przyjacielem. Bardzo mi go brak. I mam nadzieję, że będzie dumny z tej książki. W książce wykorzystane zostały cytaty z następujących źródeł:

Biblia Tysiąclecia, wyd. 5, Poznań 2003; Cycero, *Mowy*, przeł. Stanisław Kołodziejczyk, Julia Mrukówna, Karolina Turkowska, Kęty 2003; tenże, *O inwencji retorycznej*, przeł. Karolina Ekes, Warszawa 2013; tenże, *O państwie – O prawach*, przeł. Iwona Żółtowska, Antyk, Kęty 1999; Epikur, *List do Menojkeusa*, przeł. Zygmunt Kubiak, w: *Literatura Greków i Rzymian*, Kraków 2013; Euzebiusz z Cezarei, *Życie Konstantyna*, przeł. Teresa Wnętrzak, Kraków 2007; Owidiusz, *Fasti. Kalendarz poetycki*, przeł. i opr. E. Wesołowska, Wrocław 2008; Tacyt, *Roczniki*, w: Tenże, *Dzieła*, tłum. Seweryn Hammer, t. 2, Warszawa 1957; Seneka, *Apocolocyntosis, czyli udynienie boskiego Klaudiusza*, przeł. L. Joachimowicz, s.l., s.n., 1959; tenże, *Listy moralne do Lucyliusza*, przeł. Wiktor Kornatowski, Warszawa 1961; tenże, *Pisma filozoficzne*, t. 1-2, przeł. Leon Joachimowicz, Warszawa 1965.

Tytuł oryginału: *The Advocate*

Projekt okładki i stron działowych: Adam Piasek

Zdjęcie na okładce: Angelo Giampiccolo / fotolia.com

Zdjęcie autora: © Tyndale House Publishers

Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

© 2014 by Randy Singer

Polish edition © by Święty Wojciech Dom Medialny sp. z o.o., Poznań 2016

with permission of Tyndale House Publishers, Inc. All rights reserved.

ISBN 978-83-8065-013-8

Wydawca:

Święty Wojciech Dom Medialny sp. z o.o.

Wydawnictwo

ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

tel. 61 659 37 13

wydawnictwo@swietywojciech.pl

Zamówienia:

Dział Sprzedaży i Logistyki

ul. Chartowo 5, 61-245 Poznań

tel. 61 659 37 57 (-58, -59), faks 61 659 37 51

sprzedaz@swietywojciech.pl • sklep@mojeksiazki.pl

www.swietywojciech.pl • www.mojeksiazki.pl

Konwersja do e-wydania: Wydawnictwo Święty Wojciech

